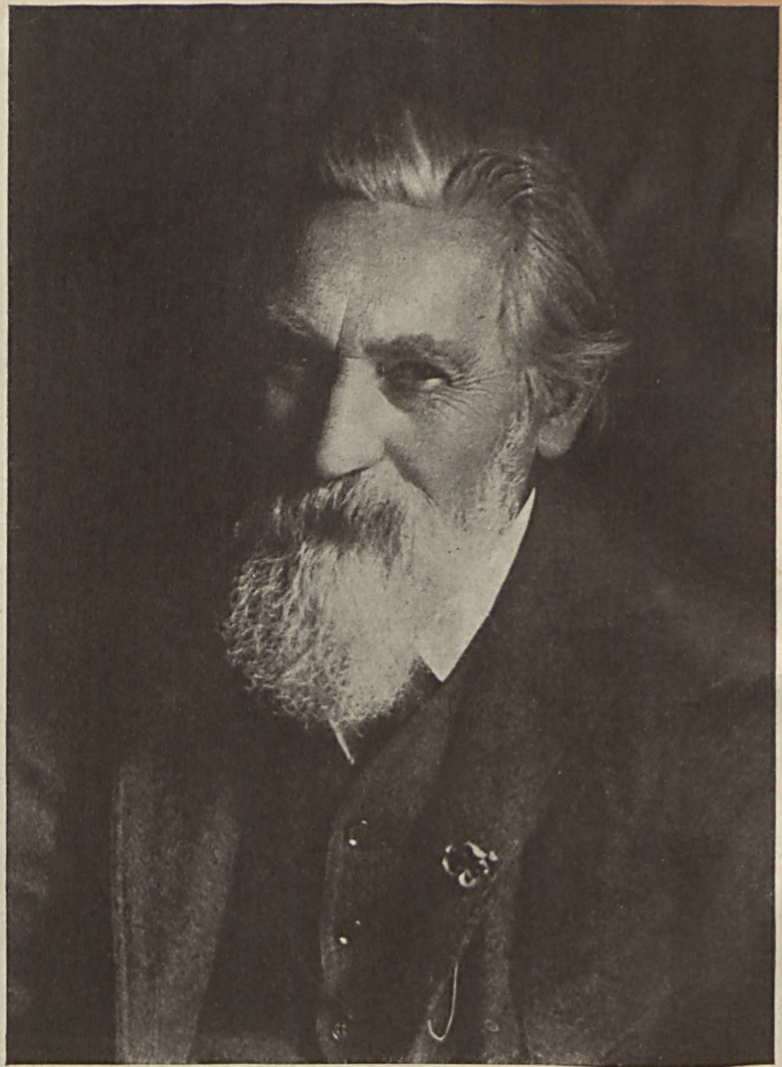


Bolesław Limanowski
Kraków 1912 r.

BOLESŁAW LIMANOWSKI

PAMIĘTNIKI

(1835 — 1870)

WARSZAWA — 1937

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

DRUKARNIA „LINOLIT" WARSZAWA

PRZEDMOWA.

Są żywoty, które wprost proszą się o pamiętnik. Są łańcuchy przeżyć i przejść, z których należy zdać sprawozdanie. Istnieje czasem nie tylko prawo wypowiedzenia się w formie pamiętnikarskiej, istnieje nawet obowiązek. Obowiązek ten spełnił Bolesław Limanowski. Gdy przed przeszło rokiem, po dokonaniu niemal stuletniego życia, zamknął oczy, w opinji publicznej głęboko wstrząśniętej faktem tego zgonu, rozległo się powszechnie i samorzutne wołanie o pamiętniki. Stanęło zagadnienie, czy Limanowski wspomnienia ze swego życia spisał i zostawił w swej spuściźnie. Gdyby tak nie było, musiałoby to wywołać uczucie żalu. Z zadowoleniem więc opinja przyjąć musi, że pamiętniki takie istnieją.

Od dwóch kategoryj osób oczekujemy pamiętników, od działacza i od obserwatora. Od działacza możemy się spodziewać subjektywnego obrazu własnych czynów, obrazu, którego żadne dokumenty i źródła nie będą w stanie odtworzyć, a nadewszystko autorytatywnej interpretacji tej działalności. Obserwator, któremu danem było naocznie oglądać ludzi i fakty, przed którego oczyma przepływał nurt historji, posiada wszystkie walory ważnego świadka. Bez jego zeznania wyrok historji nie będzie mógł zapaść.

Limanowski był w ciągu swego życia i jednym i drugim, działaczem i obserwatorem. Był działaczem niepośledniej miary. W ciągu długiego okresu czasu nazwisko jego przewija się wciąż przez karty historji. Jest najpierw jednym z przywódców młodzieży polskiej na uniwersytetach w Moskwie i Dorpacie. Jest uczestnikiem roboty przedpowstańczej, a potem jej kierownikiem na terenie Wilna. Jest następnie zesłańcem i to takim, który ma ambicję organizowania opinji swych współtowarzyszy niedoli. Jest pionierem idei socjalistycznej w Polsce, na wiele lat przed

pojawieniem się w tym kraju ruchu socjalistycznego. Jest potem uczestnikiem, organizatorem i kierownikiem tego ruchu. Jest twórcą socjalistycznej organizacji „Ludu Polskiego" i następnie gminy narodowo-socjalistycznej, jest współtwórcą Polskiej Partji Socjalistycznej. Jest inicjatorem i konsekwentnym propagatorem łączenia programu niepodległościowego z programem socjalistycznym, co początkowo napotykało na olbrzymie trudności. Jest uczestnikiem ruchu niepodległościowego w epoce poprzedzającej wojnę światową i w czasie jej trwania. Jest senatorem Rzeczypospolitej i na tem stanowisku aż do samego końca, aż do stuletniego kresu wytrwałym obrońcą prawa, wolności i sprawiedliwości. Jest wychowawcą pokoleń młodzieży zarówno przez swe życie, jak i przez swą twórczość naukową. Jest pionierem nowych zainteresowań w historji polskiej, kierujących ją ku dziejom porozbiorowym, ku dziejom walk wyzwoleńczych, i inicjatorem nowej w Polsce dziedziny badań naukowych, badań socjologicznych.

To proste wyliczenie epok i dziedzin pracy Limanowskiego uzasadnia dostatecznie tytuł do napisania pamiętników działacza, wspomnień o własnej czynnej roli.

Każdy działacz jest równocześnie obserwatorem. Ale jeżeli staniemy na stanowisku, że gorączkowa, absorbująca działalność pochłania człowieka całkowicie i przesłania perspektywy rzeczowej, spokojnej obserwacji, nie należy zapominać, że w życiu Limanowskiego były całe okresy, które pozostawiały mu możliwość bacznego obserwowania. Będzie to więc okres młodości, kiedy nie grał jeszcze roli kierowniczej, kiedy stał w szeregu. Będą to długie lata tułactwa, które z natury rzeczy ograniczają możliwość bezpośredniego, czynnego działania. Będą to wreszcie lata sędziwe, lata schyłku życia, kiedy tylko w ważnych, decydujących i zwrotnych momentach dziejowych stawał na widowni. Okresy te sprzyjały zatem powstaniu warunków, zezwalających na pogłębienie obserwacyjno-refleksyjnego stosunku do rozgrywających się wydarzeń. Możemy zatem od Limanowskiego oczekiwać wspomnień, które będą zarazem wspomnieniami działacza i obserwatora. Połączenie w jednej osobie i w jednej jego relacji tych dwóch czynników, nie jest bynajmniej pozbawione wagi. Ma bowiem swoje znaczenie, że działacz dużej miary miał czasem możność rzucenia na wypadki, spokojnego spojrzenia obserwatora, i że świadek dziejów był człowiekiem, który miał naprawdę coś do powiedzenia, a nie tylko przypadkowym przechodniem historji. Namiętne zeznania działacza, są może bardziej efektowne, objektywna narracja obserwatora jest może bardziej pouczająca, ale zjednoczenie tych czynników w jednym utworze pamiętnikarskim ma swoje odrębne wartości, których nie należy lekceważyć.

Ale Limanowski jako pamiętnikarz ma przed sobą nie tylko możliwości działacza i obserwatora, które zazwyczaj występują oddzielnie, a u niego wpólnie, ma jeszcze coś więcej, co tylko zupełnie wyjątkowo może się pojawiać. Te możliwości stwarza długość politycznie świadomego życia Limanowskiego. Życie to obejmuje szereg epok historycznych. Dla każdego z nas, przeciętnie długo żyjącego i działającego człowieka, stulecie dzieli się na dwie części, na jedną, którą znamy z własnej obserwacji i z własnych przeżyć, i na drugą, którą znamy z książek i opowiadań. Epoki, które opanowujemy tak różnymi drogami poznania, wyodrębniają się silnie w naszej świadomości. Inaczej ujmuje ona nasze przeżycia i inaczej to co jest w całem tego słowa znaczeniu historją. Dla Limanowskiego całe niemal stulecie było przeżyciem. Rozmaitość przeżytych epok przedstawia mu się wyjątkowo plastycznie. Ma możność porównawczego ich traktowania i ma możność uchwycenia szeregu momentów, które unaocznia bezpośredni kontakt z odległymi od siebie chwilami dziejowymi. Jak wyglądają wspomnienia czasów dawno minionych przepuszczone przez filtr świadomości człowieka, który myśli dzisiejszymi kategorjami, i naodwrót, jak się przedstawia teraźniejszość oczom człowieka, które widziały bardzo już dawną przeszłość.

Jest to tem ważniejsze, że Limanowski pisze pamiętniki w całem tego słowa znaczeniu. Rzecz bowiem charakterystyczna. Są pamiętnikarze, którzy raczej próbują pisać historję epoki, którą przeżywali. Limanowski aczkolwiek jest historykiem nie ulega tej pokusie i pisze nie historję, lecz pamiętniki. Nie odpowiada na pytanie: co było?, ale na pytanie: co widziałem? A może czyni tak dlatego, że właśnie jest historykiem.

W różnych okresach swego życia Bolesław Limanowski kilkakrotnie przystępował do spisywania swych wspomnień. Ograni-

czał się jednak z reguły do drobnych szkiców, obejmujących pojedyńcze epizody lub pewne okresy życia. To pisał o manifestacji wileńskiej, to o zesłaniu, to o pobycie we Lwowie, to znów o swem życiu w Genewie, to o swym udziale na zjeździe socjalistycznym w Paryżu. Są to właściwie drobne przyczynki pamiętnikarskie, które powstały w różnych czasach i są rozrzucone po różnych zbiorowych wydawnictwach. Największe znaczenie z wspomnień tego typu ma szkic wydany w r. 1902 w wydawnictwie zatytułowanem „Socjalizm — Demokracja — Patrjotyzm“, w którym Limanowski czyni próbę scharakteryzowania swego rozwoju ideowego, przyczem rzuca nieco światła na kilka okresów swego życia.

Do spisania obszernego pamiętnika, obejmującego całokształt życia, przystąpił Limanowski przed wojną światową i w czasie wojny światowej w Krakowie. W ten sposób w latach 1912—1918 powstał pamiętnik, zamykający w sobie okres życia Limanowskiego od urodzenia do chwili opuszczenia zaboru rosyjskiego (lata 1835—1870). W r. 1917 Naczelny Komitet Narodowy powziął zamiar wydania pamiętnika Limanowskiego. Limanowski zgodził się i gotową część pamiętnika dla N. K. N. opracował, uzupełnił krótkiem streszczeniem historji dalszego życia i oddał to N. K. N-owi. Zamiar ten jednak, wobec rychłego zakończenia żywota owej instytucji, nie doszedł do skutku. Funkcje wydawnicze N. K. N. przejęła Krakowska Spółka Wydawnicza, która jednak również do druku nie przystąpiła. Przy likwidacji owej spółki pamiętnik znalazł się w masie konkursowej. Po śmierci Limanowskiego rodzina rękopis ów nabyła.

Niezależnie od tego Limanowski opracowywał następnie, po oddaniu rękopisu N.K.N., dalej swój pamiętnik, i doprowadził go do czasów poprzedzających wojnę światową. Obszerne to dzieło — rękopis obejmuje 24 grube zeszyty — znajduje się w puściźnie pozostałej po śmierci Limanowskiego. W ten sposób istnieją dwa rękopisy pamiętników Limanowskiego, krakowski i warszawski. Rękopis krakowski, który autor w r. 1918 całkowicie przygotował do druku, nie przedstawia większych trudności wydawniczych. Rękopis warszawski wymaga gruntowniejszego opracowania.

Obecnie wychodzi z druku pamiętnik zawarty w pierwszym,

krakowskim rękopisie, przyczem niektóre uzupełnienia dla lat 1865—1870 zaczerpnięte zostały z drugiego rękopisu. Wydanie dalszej części warszawskiego rękopisu, która objęłaby okres następnych czterdziestu lat życia Limanowskiego, wysuwa się jako dalsze kolejne zagadnienie wydawnicze. Rękopis ten w testamencie został przekazany Towarzystwu Uniwersytetu Robotniczego.

Wydanie niniejsze obejmuje zatem okres od r. 1835 do r. 1870. Pod względem znaczenia politycznego okres ten można podzielić na kilka części, na okres międzypowstaniowy, leżący pośrodku między dwoma wielkiemi powstaniami, na okres przedpowstaniowy, na okres powstaniowy i na okres popowstaniowy. Ośrodkiem politycznym całego tego pamiętnika jest zatem powstanie styczniowe, ośrodkiem ideowym jest wogóle idea powstańcza. W tym sensie pamiętnik niniejszy stanowi pewną zamkniętą całość w przeciwstawieniu do następnego okresu historycznego, a zarazem następnego okresu życia Limanowskiego, kiedy ośrodkiem ideowo-politycznym w miejsce idei powstańczej stanie się idea wszechstronnego przewrotu, narodowego, politycznego i społecznego.

Jeżeli przyjmiemy, wyżej uzasadnione, odróżnienie pamiętnikarza — działacza i pamiętnikarza — obserwatora, w okresie, który obejmuje niniejszy pamiętnik, Limanowski występuje więcej w charakterze obserwatora. Wynika to z różnych przyczyn natury ogólno-politycznej i natury osobistej. Po pierwsze jeżeli okresy historyczne można podzielić na sezony ożywienia politycznego i sezony martwe, zpośród czterech okresów na które podzieliliśmy czasokres tego pamiętnika, dwa możemy zaliczyć do ożywionych (przedpowstaniowy i powstaniowy), dwa zaś są niewątpliwie martwe (międzypowstaniowy i popowstaniowy). Pod względem jednak proporcji czasu w ramach tego pamiętnika owe okresy ożywione trwały zaledwie pięć lat, sezony martwe zaś lat trzydzieści. Po drugie z pośród owych pięciu politycznie ożywionych lat Limanowski trzy lata i to najważniejsze, lata 1862—1864, spędził na zesłaniu w oddaleniu od nurtu życia politycznego. Po trzecie przeważająca część okresu tego pamiętnika to okres dzieciństwa i wczesnej młodości, wykluczającej rolę zbyt czynną. Po czwarte był to okres kiedy tętno życia politycznego biło najsilniej na emigracji. Czas ten spędził Limanowski w znacznej części

albo na terenie Inflant, ziemi leżącej pod każdym względem na uboczu, która nie brała bezpośredniego udziału w minionem powstaniu, albo w Moskwie w środowisku najzupełniej obcem. Zaledwie kilka miesięcy spędził w Paryżu, zaledwie kilka dni w Warszawie, w ówczesnych centrach polskiej myśli politycznej.

Ale jako pamiętnik o charakterze obserwacyjnym posiada dzieło niniejsze niewątpliwą wartość. Rzuca ono światło na epokę zaniedbaną przez polską historjografję i literaturę pamiętnikarską. Uplastycznia okres dziejów mało znany. Maluje nam życie społeczne i obyczajowe epoki.

Przedstawia nam kolejno życie szlachty folwarcznej na przełomie ustroju pańszczyźnianego i życie młodzieży polskiej na uniwersytetach rosyjskich, a wreszcie życie polskiego wygnańca.

Okresy czynnego życia politycznego Limanowskiego przykuwają specjalnie uwagę. Jest więc najpierw udział w radykalno-narodowym ruchu młodzieży polskiej w Moskwie i Dorpacie. Uderzają trzy rzeczy 1) mały wpływ życia ideowego środowiska rosyjskiego, w przeciwieństwie do pokolenia epoki popowstaniowego, które wpływom tym ulegało w silnym stopniu 2) niski naogół poziom tego życia młodzieży i małe wyrobienie ideowe 3) czynna rola Limanowskiego w podniesieniu tego poziomu, zwłaszcza w Dorpacie.

Drugi okres, ważny pod względem politycznym, to pobyt w szkole wojskowej w Paryżu. Limanowski znajduje się naraz w samem centrum życia politycznego, w wirze sprzecznych prądów ideowych. W tym wirze jednak znajduje łatwo orjentację. Obraca się głównie w kole osób stanowiących otoczenie Mierosławskiego i stamtąd czerpie natchnienie polityczne. Żadnych wahań między tym obozem, a obozem Hotelu Lambert, obozem Czartoryskiego nie przeżywa. Nastrój rewolucyjny wskazywał mu właściwą drogę. Były jednak pewne odcienie i w obozie rewolucyjnym. Między Mierosławskim, a czerwonymi nie było zupełnej zgodności. W Paryżu obóz czerwonych reprezentowała grupa skupiająca się koło pisma, wychodzącego p. t. „Przegląd rzeczy polskich". Mierosławski, który początkowo z grupą tą współpracował, potem się oddalił. Otóż Limanowski za swego pobytu w Paryżu znalazł się właśnie przy owym „Przeglądzie rzeczy polskich", stał się jego współpracownikiem, a więc niewątpliwie może być w całej pełni zaliczony do obozu czerwonych.

Okresem czynu politycznego był okres manifestacji wileńskiej. W tej akcji odegrał rolę kierowniczą. W okresie zesłania uderza również jego inicjatywa ideowa. Od bierności środowiska odcina się jaskrawie jego czysto osobista próba ucieczki do szeregów powstaniowych. A potem jego wysiłki skierowania współtowarzyszy ku zagadnieniom społecznym i ideowym. A wreszcie po powrocie do kraju w okresie reakcji i bierności popowstańczej, początki jego działalności publicystycznej i wysiłki ożywienia martwoty nowymi zagadnieniami społecznymi.

Cała ta działalność ujawnia wewnętrzny proces rozwoju ideowego, który rozegrał się w Limanowskim i który można śledzić w tym pamiętniku. Rozróżnić możemy w nim dwa elementy, rozwój świadomości narodowej i wytworzenie się światopoglądu społecznego. Pierwszy z tych procesów rozwinął się drogą nieco zygzakowatą. Prowadziła ona od biernego patrjotyzmu środowiska szlacheckiego przez niebezpieczną kładkę kilkunastoletniego pobytu w Moskwie, przechodzącą ponad groźną przepaścią wynarodowienia, do nagłego wybuchu gorącego i czynnego patrjotyzmu rewolucyjnego. Przekonania społeczne rozwijały się w nim przez cały czas na bazie dążenia do sprawiedliwości społecznej. Z dziecinnych wewnętrznych oporów przeciw ustrojowi pańszczyźnianemu zrodziła się w prostej linji ludowość. Bardziej złożone było przejście od ludowości do socjalizmu. Dokonało się ono na drodze przemyśleń socjologicznych.

Okres, który obejmuje ten pamiętnik stanowi pewną całość nie tylko dlatego, że spaja go łączność ideowa, ale także z tego powodu, że jest to okres formowania się oblicza ideowego Limanowskiego, okres dojrzewania politycznego.

Pamiętnik niniejszy stanowi pod pewnym względem dość wyjątkowe zjawisko. Został on spisany przez autora po przekroczeniu osiemdzesięciu lat życia. Pociąga to z natury rzeczy za sobą skutki ujemne i dodatnie. Z jednej strony wchodzi w grę normalne osłabienie pamięci, rosnące w miarę oddalenia od wydarzeń, i w miarę wieku, z drugiej strony jednak jest możliwość głębiej sięgających rzutów oka. Jedno i drugie znalazło zapewne wyraz w tym pamiętniku. Dużą rolę odgrywają materjały, który-

mi dysponował autor dla posłużenia swej pamięci. Przejścia życiowe sprawiły, że wiele tego rodzaju materjałów i dokumentów osobistych zaginęło. Pisząc pamiętnik Limanowski miał w ręku tylko niewielką ilość listów i papierów. Zaginął między innymi dzienniczek, który w pewnych momentach doraźnie i na gorąco spisywał. Niemniej jednak stwierdzić należy, że pamięć autora nagół zdała egzamin. Sprawdzenie w przypisach ścisłości szeregu danych zawartych w pamiętniku, ugruntowuje wiarygodność autora. Uważając pamiętnik za dokument historyczny, wydawcy nie czuli się upoważnieni do wprowadzenia daleko idących zmian rzeczowych lub stylistycznych i ograniczyli się do najkonieczniejszych poprawek w wypadkach niewątpliwych omyłek.

Znane powiedzenie, że człowiek żyje nadal w swych dziełach sprawdza się najbardziej bezpośrednio i dosłownie w pamiętniku. Pamiętnik jest uwiecznieniem życia. Życia, o którem pisze autor pamiętnika, że jego jedyną ambicją było, aby nie upłynęło bez śladu w dziejach.

Dr. Adam Próchnik.

WSTĘPNE WYJAŚNIENIA

Oddawna nalegano na mnie, ażebym pisał pamiętniki. Nie czułem jednak do tego pociągu. Przytem skrępowany pracą zarobkową, mając dla własnego użytku nader mało swobodnego czasu, uważałem za niewłaściwe zajmować się swoją osobą, wobec licznych i ważnych zagadnień i potrzeb wspólnego interesu. Do osobistych wspomnień odwoływałem się tylko wówczas, jeżeli tego nagląco żądano, jak w dziełku: ‚Socjalizm — Demokracja — Patrjotyzm" (Kraków, 1902), albo jeśli to było sprawą zbiorową, jak w książkach: „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego" (Lwów, 1903) i „Z pola walki" (Londyn, 1904 r.).

Wojna światowa, która wybuchła w lipcu 1914 r., wstrzymując wydawnictwa książkowe, ograniczyła i moją wytwórczość piśmienniczą. Kiedy więc w maju 1917 r. zaproponowano mi ogłoszenie pamiętników, wahałem się z początku, lecz ostatecznie podpisałem umowę. „Alea jacta est".

Pisząc pamiętniki, jeżeli mają one służyć nie jedynie dla bawienia i wzbudzenia ciekawości czytelników, lecz i dla użytku poważniejszego przyszłych pokoleń, można mieć przed sobą dwojaki cel: albo psychologiczny, albo socjologiczny.

W pierwszym wypadku pożądana jest jak największa dokładność w opowiadaniu całego przebiegu swego życia: nie utajenie żadnych wydarzeń, ani też zachceń i myśli, chociażby to sprawiało przykrość autorowi. Usiłował to wykonać Jan Jakób Rousseau, lubo uważny czytelnik spostrzeże, jak w pewnych miejscach swych pamiętników stara się osłabić dotkliwość wrażenia, do czego zresztą sam się przyznaje. „Rygoryści — pisze on — mówią, że powinienbym był wypowiedzieć prawdę w całej surowości. Co do mnie, nie widzę, coby mnie obowiązywało do tego, i mniemam, że w tem wyznaniu niepotrzebnem byłoby więcej głupoty aniżeli surowości."

Nadając charakter socjologiczny swym pamiętnikom, piszący nie poczuwa się do obowiązku spowiadania się przed czytelnikiem z wszystkich zdrożności i błędów swego życia. Własna osoba schodzi na drugi plan. O wiele ważniejsze, a nawet jedynie ważne, staje się dokładne i rzetelne — o ile możliwe — przedstawienie wszystkich przejawów życia społecznego, z którem losy pamiętnikarza splatały się w jego domowych, prywatnych i publicznych stosunkach. Zwłaszcza dla historyka pamiętniki tego rodzaju miewają cenne znaczenie.

Wybieram ten drugi rodzaj pisania pamiętników, jako więcej odpowiadający memu własnemu charakterowi i jako bardziej zgodny z tą nauką, która ostatecznie w mym umysłowym rozwoju zajęła naczelne miejsce.

ROZDZIAŁ I

DOM RODZINNY I DZIECINNE LATA

(1835 — 1847)

Ojciec mój — jak czytam to w jego metryce kościelnej — urodził się 20 lutego 1788 r. z Elżbiety z domu Ulanowskiej, ślubnej żony Aleksandra Limanowskiego, członka sądu powiatowego dryzieńskiego. Inną datę urodzenia podaje metryka jego pogrzebowa — jak powiadomił mię o tem brat mój, Lucjan. Podług tej metryki, ojciec miał się urodzić w 1771 r. Jest to prawdopodobniejsze z dwóch względów. Ojciec umarł w dobrze podeszłym wieku; matka mówiła, że miał przeszło siedemdziesiąt pięć lat, co zgadza się z metryką pogrzebową, podług której, umierając w 1847 r., miałby siedemdziesiąt sześć lat. Przypominam sobie opowiadanie ojca, że za panowania Pawła I został za jakąś awanturę zdegradowany z oficera na szeregowca, co byłoby niemożliwe w tym wieku, któryby miał podług metryki urodzenia. Później przywrócono mu stopień oficerski. Przypominam sobie także jego opowiadanie o zawziętym boju z rozbójnikami, którzy w lasach kostromskich w Rosji napadli na niego w domu noclegowym, kiedy wraz z kilku żołnierzami przewoził kasę pułkową. Ojca w sąsiedztwie nazywano powszechnie sędzią, przez pewien czas bowiem był podsędkiem w sądzie powiatowym dyneburskim. Było to za czasów, kiedy obowiązywał jeszcze Statut Litewski, i kiedy w sądzie urzędowano w języku polskim. W późniejszym czasie w papierach, pozostałych po ojcu, znajdowałem ciętem piórem pisane przezeń „żałoby" (skargi) w sprawach procesowych, zwłaszcza w zawziętym jego sporze z sąsiadem naszym Gizbertem ze Szterembergu. Kupił on Platerów majętność Podgórz, którą następnie znacznie rozszerzył nabytemi od drobnej szlachty zaściankami.

Brat ojca, Antoni — jeżeli mnie pamięć nie myli co do imienia

— służył także w wojsku rosyjskiem, ożenił się z córką swego generała, Nelidowa, i dał początek gałęzi rosyjskiej rodu Limanowskich. W późniejszym czasie kilkakrotnie o nich słyszałem. Kiedy w 1861 r. braci moich, Lucjana i Józefa, wieziono na wygnanie do gubernji wołogodzkiej, na jednej ze stacji przed Wołogdą spotkali się z dwoma oficerami. Gdy oficerowie dowiedzieli się od żandarma, że wiezie Limanowskich, jeden z nich podszedł do braci i zapytał, czy nie są synami Wincentego? Na twierdzącą odpowiedź, przedstawił się jako Nelidow, ich powinowaty. W parę dni po przybyciu braci do Wołogdy, przyszedł do nich i w imieniu swej ciotki, Limanowskiej, zaprosił ich w gościnę do jej dóbr, znajdujących się w pobliżu Wołogdy. Bracia bywali u niej, zawsze bardzo życzliwie witani. Następnie przeniosła się ona na stałe mieszkanie do guberni nowgorodzkiej, do swej córki, która wyszła zamąż za lekarza Polaka — nazwiska jego nie przypominam. W liście do moich braci, których za próbę ucieczki do powstania w 1863 r. wysłano na osiedlenie w Syberji, pisała, abym się postarał o przeniesienie do guberni nowgorodzkiej,, a zajmie się mną jako bliskim swym krewnym. W późniejszym czasie, kiedy Podgórz po odcięciu od całego kompleksu siódmej części dla matki i czternastej dla siostry, przeznaczony został przez rząd rosyjski do sprzedania, a nabywcami nie mogli być Polacy, z porady braci napisałem do naszej stryjenki, ażeby kupiła tą posiadłość. Ja z swej strony przyrzekłem, że — gdy kupi moją trzecią część (dwie trzecie należące do braci uważane były za skonfiskowane, a moja uległa przymusowej sprzedaży) — to zrobię dla niej jaknajwiększe ustępstwo. Odpisała w bardzo uprzejmych wyrazach, że, nie posiadając pieniężnego kapitału, nie może korzystać z mojej życzliwej propozycji. Tyle o stryjence. — Podczas mego pobytu na wygnaniu w Archangielsku, opowiadał mi tameczny radca gubernialny, Chacewicz Polak, że, gdy służył był poprzednio na Kaukazie, poznał tam Rosjanina generała Limanowskiego, i bardzo go chwalił. W Archangielsku także słyszałem od jednego z oficerów leśnych — Polaków, że podczas jego pobytu na Litwie w 1861 r. został przysłany na jedną z posad tamecznych młody oficer leśny, Limanowski — Rosjanin, prawosławny. Obcując ciągle z Polakami, nauczył się prędko po polsku i tak się przejął panującym tam nastrojem, że brał czynny i gorliwy udział we wszystkich manifestacjach kościelnych. Został z tego powodu uwięziony. Rodzina wydobyła go z więzienia, lecz równocześnie za jej staraniem przeniesiono go na posadę leśnego oficera do jednej z guberni rosyjskich.

Rodzice mojej matki, Wysłouchowie, mieli posiadłość ziemską, Jassy, w powiecie siebieskim. Matka szczyciła się swoją rodziną i lubiła o niej opowiadać. Gniazdo rodzinne Wysłouchów było w kobryńskim powiecie w Grodzieńskiem. Przesiedlenie się dziadka i babki na Białoruś odbyło się z następujących powodów. Dziadek posiadał duży majątek w powiecie kobryńskim, lecz gospodarzył licho, a prowadząc życie wystawne, obciążył swe mienie tak ogromnemi długami, że groziła mu zupełna ruina. Rodzina ratowała go, przeprowadzając układ z właścicielami Jass. Nastąpiła zamiana majątków. Właściciel Jass Żuk objął dobra dziadka wraz z długami, a oddał mu Jassy niezadłużone lecz małodochodowe i w głuszy leśnej na Kresach położone.

———

Urodziłem się 18 października 1835 r. w majętności Podgórzu w Inflantach Polskich, ochrzczony zostałem w Indryckim rzymsko-katolickim parafjalnym kościele w dniu 10 listopada tegoż roku przez księdza Dominika Golmina, komendarza tegoż kościoła. Trzymali do chrztu: Józef Snarski asesor pow. siebieskiego z Anną Nowicką, kapitanową wojsk rosyjskich. — Tak pisze moja metryka.

Najwcześniejsze moje wspomnienia wiążą się atoli nie z Podgórzem, lecz z Jassami. Babka miała cztery córki: moją matkę Katarzynę, Felicję, Karolinę i Adelę, lecz nie miała syna, a bardzo pragnęła go mieć. Kiedym się urodził, oświadczyła rodzicom, że zabierze mię na wychowanie. Rodzice chętnie się zgodzili na to, mieli bowiem sporo już dzieci, i powędrowałem do Jass na stały pobyt.

Z ówczesnego pobytu w Jassach moje wspomnienia są prawie żadne. Utkwił mi w pamięci tylko gruby jakiś kot, który mię podrapał, i jakiś duży pies, który mię ugryzł. Z psem tym łączy się mgliste wspomnienie, że to było w polu i że niosłem śniadanie Pietraszewskiemu synowi ciotki Felicji. Psy u

trwaliły też w pamięci jakąś wizytę babki w sąsiedztwie. Musiałem zasnąć w powozie, i zostawiono mnie tam śpiącego. Gdym się ocknął, ujrzałem, że jestem sam w powozie, i że psy stoją w pobliżu. Prawdopodobnie na krzyk mój, zaniesiono mnie do pokoju, gdzie przy okrągłym stole siedziała babka z jakąś panią. Pamiętam jeszcze, że z babką chodziłem do cerkwi, której była kolatorką, i że djak dawał mnie prosfirę, wyjąwszy z niej cząstkę dla komunikatu. Było to jeszcze za czasów Unji, później bowiem zerwano wszelkie stosunki z cerkwią, chociaż znajdowała się ona w bardzo bliskiem sąsiedztwie z dworem. Jeszcze przypomina mi się miasto: był to Połock — wielki kościół, ulice i złote rybki z piernika, któremi obdarzył mię Jesipowicz, mąż ciotki Karoliny. Oto i wszystko, co z tej przeszłości wskrzesza moja pamięć.

Dopiero w późniejszych czasach słyszałem od ciotek opowiadania o moim pobycie w Jassach. Byłem podobno pieszczochem babki, któremu niemal wszystko było wolno. Ciotki nie śmiały mię skarcić nawet słowem. Babka tak się o mnie troszczyła, że na noc kładła mi pod poduszkę kawał chleba. Jeżeli się rozgniewała na mnie, to największą jej groźbą było, że nie będzie mnie kochać. Wówczas miałem stawać przed babką w bojowej pozycji i rozkazująco krzyczeć: *kochaj*. Ciotki mię lubiły i bawiły się mojemi konceptami. Zapamiętałem jeden z tych konceptów. Nad kanapą na ścianie w bawialnym pokoju wisiała oprawiona w ramki litografja, przedstawiająca dwie panie, siedzące przy stoliku i chłopczyka stojącego przy nich i trzymającego coś w ręku. Ciotki, pokazując na jedną z pań, pytały mię: — kto to? — Ciocia Lisia (Felicja) — odpowiadałem. — A tu? — Ciocia Lina (Karolina). — A ten chłopczyk? — pytano dalej. — to Boleś — mówiłem. — A co on robi? — Mordeczkę ściereczką wyciera. — Opowiadano też, że kiedy ojciec przyjechał, i powiedziano mi, że ma zabrać mnie z sobą, tak się zląkłem, żem się schował pod przewrócony kubeł i tam przesiedziałem prawie dzień cały. Nabawiłem wówczas — jak opowiadano — ogromnego strachu wszystkim. Biegano po całej okolicy, szukano wszędzie, wołano. Dopiero wieczorem, głodny i zmęczony, wylazłem z pod kubła.

Musiałem mieć pięć lub sześć lat, kiedy babka, oddawszy Jassy Pietraszewskim, przeniosła się na mieszkanie do Drui, miasteczka wileńskiej guberni, odległego o pięć wiorst od Podgórza. Babka przez rok cały trzymała mnie przy sobie. Z tego pobytu w Drui pozostały już liczniejsze wspomnienia. Dużo kościołów, Żydzi, wielka rzeka (Dźwina), wyspa z wielkim pałacem (Miłosza, właściciela miasteczka) i laskiem, w którym pełno było kawek. Babkę przypominam sobie z tego czasu, że była dość wysokiego wzrostu i imponującej postawy. Osiadłszy w Drui, oddała się z gorliwością praktykom religijnym. Chodziłem z nią do kościołów, i przypominam sobie jakiegoś dobrodusznego zakonnika, który mię zawsze zapytywał: „a chcesz ogórków?" — i ująwszy w rękę kutasy białego sznura, przepasującego habit, potrząsał niemi przed moim nosem.

Widocznie, nudząc się w kościele, przeszkadzałem babce w modlitwach, pozostawiała mnie bowiem najczęściej w domu. Korzystałem ze swobody w ogromnych rozmiarach. Biegałem po ulicach nad rzekę, kłóciłem się i biłem się z żydziakami, którzy mię napastowali, łaziłem gdzie się tylko dało, — po ogrodach i krzakach okolicznych. Raz, biegając po ulicach, stanąłem zdumiony niezwykłem widowiskiem: gromada jeźdźców w zielonych, przetykanych złotem płaszczach, w różnobarwnych kapeluszach z piórami. Byli to aktorzy, reklamujący w ten sposób przybycie swoje do miasteczka.

Swoboda, której używałem w całej pełni, sprawiała babce niemało kłopotu. Znoszono na mnie skargi, obwiniano o rozmaite przewinienia a przy tem moja odzież wymagała ciągłej naprawy. Stałem się nieznośnym bębnem, z którym babka nie umiała sobie poradzić. Zdecydowało ją to wreszcie, by odesłać mnie do domu rodziców.

Jedna awantura była tego rodzaju, że omal nie przypłaciłem jej życiem. Słyszałem, że płynące Dźwiną statki, na które tak często patrzyłem, zdążają do wielkiego i pięknego miasta, nazwiskiem Ryga. Zrodziła się we mnie gorąca chęć, by dostać się do tej słynnej Rygi. Na drugi rok, kiedy z wiosną Dźwina ruszyła, i ogromne tafle kry płynęły, dotykając często samego brzegu, w głowie mojej raptownie powstała myśl odbyć podróż do sławnego miasta na jednej z takich tafli. Jużem był wskoczył na jedną, która się zbliżyła do brzegu, gdy na moje szczęście spostrzeżono to, narobiono ogromnego krzyku, ściągnięto mię na

ziemię i szturchając i łając odprowadzono skąpanego w wodzie i zapłakanego winowajcę przed oblicze babki.

*

Podgórz*), utrwalony w pamięci przez pobyt w młodych, pełnych nadziei latach, rysuje się przedemną w promienistem, uroczem oświetleniu. To, co było złe i przykre, utonęło w mroku zapomnienia, a z głębi przeszłości wynurzają się miłe obrazy, wzbudzające żywe bicie serca i tkliwą rzewność. Piękny to kąt kraju.

Dawniej, za czasów Platerowskich, folwark znajdował się w pobliżu ujścia rzeczki Indry do Dźwiny i nosił nazwę Odpoczynku. Ojciec, kupiwszy tę posiadłość, przeniósł gospodarstwo folwarczne bliżej ku Indrycy, własności Platera, gdzie się znajdował kościół parafialny. Nazwano dwór i całą posiadłość Podgórzem, ponieważ droga, prowadząca od Indrycy, niedaleko od nowej siedziby pięła się po dość stromej górze.

Wśród miejscowych posiadłości średnich, Podgórz zajmował poczesne miejsce. Dość rozległy co do obszaru ziemi, — liczby włók lub też morgów nie pamiętam, bo liczby nigdy nie trzymały się mej pamięci — był w stosunku do liczby poddanych zawielki. Główną wieś włościańską stanowiły Łuksztynie nad jeziorem łuksztyńskiem, chat — o ile sobie przypominam — było mniej więcej dziesięć. Znajdowała się ta wieś w dość znacznej odległości od dworu. Dalej biegła droga w prostym kierunku do drugiej osady włościańskiej Wonogi, mającej dwóch gospodarzy rolnych. Nalewo od Łuksztyń i Wonóg znajdowała się trzecia osada nabyta od szlachty zagrodowej, a w której za moich czasów dzierżawcami byli Moskale starowiercy, roskoli. Leżała ona nad jeziorem Lajnickiem i miała nazwę Lajniki. Było jeszcze dwóch gospodarzy poddanych, osiedlonych w dwóch różnych miejscach, i jeszcze jeden mały dzierżawca, Fiedosiej, Moskal — roskoł. Na drodze, która od Indrycy ciągnęła się wzdłuż Dźwiny, stała karczma, w której siedział włościanin poddany imieniem Jakób.

Posiadłość Podgórz miała więc w swym obrębie dwa jeziora,

*) Właściwie po polsku Podgórze, ale u nas i mówiono i pisano Podgórz.

z jednej strony ku południowi opierała się o rzeczkę Indrę, wpadającą do Dźwiny, z drugiej ku zachodowi biegła wzdłuż tej rzeki, z trzeciej ku północy posuwała się ku rzece, czyli raczej strumieniowi, Indrycy, który w górnej swej części przepływał piękną łąkę podgórską, Buciniszki. Była i druga — wielka łąka, porosła tu i ówdzie drzewami i krzakami, Deksznia, z której zbierano dużo siana. Dwór, otoczony zdala wiankiem lasów, w pobliżu wielkiej rzeki, co najwyżej w odległości dziesięciu minut pieszej drogi, był przyjemnem miejscem pobytu. Ziemia karmicielka żyzna, a ryby, grzyby i jagody z dodatkiem orzechów — był bowiem cały lasek leszczynowy — stanowiły hojny dar przyrody.

Najbardziej zespolił się z pamięcią ogród podgórski. Obszerny z czterema altanami, przedzielony wielkim rowem, w którym sączył się mały strumyk z sadzawki znajdującej się koło domu, przedstawiał wielką rozmaitość. Jedna ściana, zwrócona ku drodze prowadzącej do Dźwiny, wysadzona była topolami, druga świerkami, trzecia leszczyną, czwarta lipami, a część przylegająca do sadzawki wierzbami. Koło jednej altany była grupa drzew świerkowych, w cieniu których rozradzały się rydze w obfitości. W pobliżu sadzawki był gaik wiśniowy, wiosną połyskujący białością kwiecia a później czerwienią jagód. W ogrodzie, podzielonym na kwatery, rosły jabłonie, grusze śliwy, a wśród jednej kwatery rozpierała się rozłożysta czereśnia, okrywana siatką przed chciwością wróbli. Drożynom wytykały kierunek z obu ich stron sadzone krzaki agrestu i czerwonych porzeczek Ponad rowem aleja z jarzębin świeciła jesienią koralami: a poza nią nieco niżej gęstą ścianą rozrosły się krzaki malin i czarnych porzeczek, czyli smorodzin — jak je nazywano. Ogród rozłożył się na pochyłości od domu ku Dźwinie, a w dalszej jego części z jednej strony była pasieka, z kilkunastu kłód złożona. Przy jednej ze ścian rozrosły się gęsto bzy liljowe i białe, a przed jedną był klomb kwiatowy.

Zdaje się, że, kiedy przybyłem do Podgórza, budowa domu nie była jeszcze wykończona. Nas chłopców bowiem umieszczono w oficynie w małym pokoiku, przyległym do kuchni — ile przypominam sobie było nas czterech: ja, Lucjan, Józef i Jaś. Ten ostatni, maleństwo jeszcze, wciąż chorował i wkrótce umarł. Przy-

pominam sobie, jak wynoszono go w małej trumience, i jak rzewnie płakaliśmy.

Prawdopodobnie, przeniesiono nas rychło do domu, w którym rodzice z siostrą Kamilą już mieszkali, ponieważ dalsze wspomnienia z nim się łączą. Dom był drewniany, piętrowy, na podmurowaniu. Przed nim rozpościerał się szeroki dziedziniec, a po za nim znajdował się ogródek kwiatowy, pełny aromatu od jaśminów, róż, rezedy i innych kwiatów i ziół pachnących. Po za tym ogródkiem rozpoczynał się ogród.

Od wjazdu na dziedziniec ciągnęły się z lewej strony w prostopadłym kierunku ku domowi drewniane zabudowania na podmurowaniu i z filarami murowanemi: punia, to jest odryna na siano, obora, stajnia, wozownia, dalej płot, po za którym były ogrody warzywne, wreszcie piekarnia z oficyną w pobliżu sadzawki, do której przylegał sad i ogródek kwiatowy. Na prawo zaś od wjazdu równolegle do domu stały: obszerna stodoła na siano i słomę, ponad którą na słupie wysoko wznosiło się gniazdo bocianie, tudzież świren na podmurowaniu, to jest budynek na przechowanie zboża przeznaczony. Przed odryną znajdowała się lodownia, nizki schowek, zagłębiony w ziemię i okryty słomą.

Dom mieszkalny podzielony był na dwie połowy korytarzem, prowadzącym z jednego ganku od strony dziedzińca do drugiego, skąd się schodziło do ogródka kwiatowego. Jedna połowa domu, zwrócona ku oficynie i sadowi, przeznaczona była na przyjęcie gości, druga — na mieszkanie. O ile przypominam sobie, piąterko dobudowano, gdyśmy już mieszkali w tym domu. Z boku od prawej strony był ganek, przez który wchodziło się do kuchni i przyległej tam stancji. Z sionek, pomiędzy kuchnią i drzwiami do pokojów, prowadziły schody na górę, na strych i do pokojów na piętrze.

W dolnej mieszkalnej części domu były trzy pokoje. Pierwszy od strony kuchni, przedzielony przepierzeniem, miał dwojakie przeznaczenie: w jednej połowie stał kredens, w drugiej połowie my chłopcy wraz z nauczycielem naszym mieszkaliśmy, a później siostra z nauczycielką. Drugi pokój środkowy był pokojem stołowym. Trzeci pokój, podzielony podłużnem przepierzeniem, w jednej połowie bez okna służył za sypialnę dla rodziców, w drugiej stała szafa z flaszkami wódek, ze słoikami konfitur, z suszonymi owocami, piernikami i tp. Zapamiętałem ją dobrze. Ojciec bowiem nieraz, wypiwszy kieliszek wódki, przywoływał nas chłopców i dawał po pierniku lub innym smakołyku. Z tego pokoju prowadziły drzwi na korytarz, gdzie też była urządzona śpiżarka. Dalej z tego korytarza wchodziło się do dużej sali balowej, umeblowanej odpowiednio, z licznemi wazonami roślin i kwiatów, z pająkami do świec na ścianach, z żyrandolem na suficie. Oprócz tej sali, czy był jeszcze jeden tylko pokój, czy też dwa — nie przypominam sobie. Wiem tylko, że w ostatnim pokoju zamieszkał ojciec — jak się zdaje — już później, i że tam była jego kancelarja.

Wszedłszy po schodach na górę, miało się z prawej strony obszerny strych, a z lewej drzwi prowadziły na korytarz, po obu stronach którego były po dwa pokoje, a w dalszym ciągu wychodziło się na strych, zapełniony rozmaitemi rzeczami, potrzebnemi do gospodarstwa, i stosem rupieci wszelkiego rodzaju. Pokoje na górze były zimne, i prawdopodobnie z tego powodu przypominam je sobie próżno stojące i tylko rzadko przez kogoś zamieszkiwane.

Najwcześniej przypomina mi się pokój na górze, w którym mieszkaliśmy my, trzej chłopcy, Lucjan i Józef, i ja, pod opieką niańki, Rypki*). Lubiliśmy ją, a ona troskliwie opiekowała się nami. Kiedyśmy od zimna kurczyli się w swych łóżeczkach, okrywała nas swym kożuchem, a sama ziębła. Wojowała o nasze jedzenie, ażeby było dostateczne, ażeby się z niem nie spóźniano. Musiała być łotewką, lecz mówiła po białorusku, mieszając do swej mowy sporo polszczyzny. Pamiętne są dla mnie bajki, opowiadane przez nią o zmierzchu wieczornym. Siedzieliśmy dokoła na podłodze i z wytężoną uwagą słuchaliśmy, jak królewicz, któremu złośliwa, a nadludzką mocą obdarzona, istota porwała i gdzieś więziła ukochaną oblubienicę, jeździł po różnych krajach, szukając jej. Po drodze napotykał ogromne przeszkody, musiał walczyć z nasyłanemi nań strasznemi potworami. Tymczasem w pokoju stawało się coraz ciemniej, straszydła, napotykane przez królewicza, przejmowały nas dreszczem lęku, tuli-

---

*) Prawdopodobnie było to zdrobniałe imię Agrypina.

liśmy się coraz bliżej do naszej piastunki. W późniejszych latach, kiedy byłem dorosłym chłopakiem i chodziłem do gimnazjum w Moskwie, przyjechała wraz z matką do tego miasta i Rypka iako jej służąca. Znowu była taka sama dobra i potulna. Lubiłem ją i przynosząc nazbierane w ogrodzie kwiaty, wypytywałem ją, jak się nazywają. Matka żartowała ze mnie, że się uczę botaniki u Rypki.

Przeniesiono nas później do dolnego pokoju, gdzieśmy mieszkali za przepierzeniem — jak o tem już wspomniałem. Z tem mieszkaniem łączą się wspomnienia pierwszych naszych nauczycieli, czyli — jak ich nazywano — guwernerów. Jak się nazywał pierwszy nauczyciel, nie wiem napewno. Zdaje się, że nazwisko jego było Misztowt. Mężczyzna dość wysoki i silny. Czego nas uczył, nie pamiętam. Zwykle wychodził wieczorem i późno wracał. Podobno lubił upijać się i przesiadywał w karczmie. To tylko wraziło mi się w pamięć, że kiedyś, wróciwszy w nocnej porze i zbudziwszy brata Józefa swojem zataczaniem się, czy w inny sposób, obił go mocno za to, że ten nazwał go pijakiem. O ile sobie przypominam, był u nas krótko, snadź został przez rodziców wydalony.

Drugim nauczycielem był Niemiec Hening. Ojciec przywiózł go z Mitawy, dokąd jeździł w jakimś interesie. Dowiedziawszy się zrana o tem, podkradłem się pod drzwi pokoju, w którym spał nasz przyszły wychowawca, i uchyliwszy nieco drzwi, chciałem nań popatrzeć. Właśnie w tym czasie wstawał. W obcisłych gaciach flanelowych, kurtce flanelowej, w schlafmycy na głowie tak niezwykły przedstawiał widok, że ten obraz utkwił w mojej pamięci, i dzisiaj jeszcze w żywych barwach stoi przed oczyma. Był to typ prawdziwego Niemca, zawsze gruntownie wymyty, wyczesany i ogolony. Uczył nas niemieckiego i rosyjskiego. Po polsku mówić nauczył się u nas, chociaż zawsze zarywał z rosyjska, co pobudzało nas do żartów. Pomimo poważnych lat, lubił tańczyć, a że tańce odbywały się u nas często, więc też skakał sporo. Troszcząc się jednak o całość swych butów, nieraz w kąciku oglądał ich podeszwy. Podpatrzono to i płatano mu rozmaite niewinne figle.

Trzecim z kolei nauczycielem był Knisztowt, który najdłużej u nas przebywał, i od którego najwięcej skorzystaliśmy. Uczył

nas polskiego, łaciny, rosyjskiego, rachunków i początków geografji i historji. Był młody, łagodny i żyliśmy z nim zgodnie. Kochliwego usposobienia i melancholijnego nastroju. Opowiadano, że spotkała go bolesna przygoda na początku guwernerskiego zawodu. Dostał się do domu zamożnych ziemian Mohlów. Tam młoda Mohlówna i młody guwerner zapałali do siebie gorętszem uczuciem. Przyłapano ich czy to na korespondencji, czy też na czulszej schadzce. Mohl, kazawszy mu wsypać sporą dozę batogów, wyrzucił go z domu. Zdaje się, że to złamało życie młodzieńca. Na twarzy miał wyraz cierpienia. W domu naszym dość go lubiano. My nie sprawialiśmy mu kłopotów, on też pozostawiał nam wiele swobody. Żartowano z jego kochliwości, lecz te żarty — jak się zdaje — nie były dla niego bolesne. Przynajmniej miałem takie wrażenie, kiedym się spotkał z nim, będąc już uczniem uniwersytetu, na wakacjach u ciotki w Jassach. Podczas obiadu zaczęto w niego wmawiać, że się kocha w ochmistrzyni ciotki, osobie już letniej. Żarty te nie podobały mi się, żal mi było mego dawnego nauczyciela, usiłowałem więc sprowadzić rozmowę na inne tory, lecz on sam odezwał się znowu z czemś takiem, jakby zachęcając do dalszego roztrząsania jego spraw sercowych. W ciągu dnia kilka razy starałem się zawiązać z nim rozmowę serdeczniejszą i poważniejszą, lecz się nie udawało. Słuchał z roztargnieniem i wydawał się zalękniony wobec mnie. Na drugi dzień, gdyśmy się zgromadzili przy stole na śniadanie, Knisztowta nie było. Zapytałem o niego. Powiedziano mi, że o świcie wyszedł z domu i widziano go w sąsiedniej karczmie. Biedak upijał się. Wędrował od dworu do dworu, gdzie żartowano z niego, lecz karmiono go też, a nieraz obdarzano jakąś częścią garderoby

— Pieniędzy nie dajemy — mówiła ciotka — bo natychmiast je przepije.

Dzieckiem byłem zdrowem, i nie przypominam sobie, bym chorował. Natomiast dla braci moich przyrządzano siarczane kąpiele. Lucjan cierpiał na skrofuły, a Józef miał wysypkę na ciele, zwłaszcza na nogach, i drapał się okrutnie w nocy nieborak. Trzymano nas oddzielnie; do pokojów, gdzie przebywali rodzice bez przywołania nie wolno było chodzić. Dawano nam jadło nie ze stołu rodzicielskiego i nie na porcelanie, lecz w glinianych i drewnianych misach. Potrawy były proste: krupniki, kapusta,

kasze, grochy, ziemniaki, maślanka, twarog, mleko słodkie lub kwaśne. Mięsa nie dawano, tylko wyjątkowo, w święta, jak Boże Narodzenie i Wielkanoc, albo w jakie dnie niezwykłe. Czy to się działo skutkiem obmyślonego systemu wychowawczego, nie wiem, lubo wątpię. W każdym razie wyszło na dobre: przyzwyczaiło nas nie mieć wielkich wymagań, a zadawalniać się małem. Do późna w życiu wolałem nasze zwykłe, proste potrawy od wszelkich specjałów sztuki kucharskiej. Mięsa długo nie lubiłem. Dopiero, odbywając studja lekarskie i słysząc z katedry o potrzebie potraw mięsnych dla organizmu, zacząłem je chętniej jadać. Mleko surowe i chleb, bez żadnych innych dodatków, mogły mi wystarczyć przez całe miesiące ku zupełnemu zadowoleniu

Życie mieliśmy swobodne. Naukami nas nie męczono, uczyliśmy się więc chętnie. Zeby karano za nauki, tego wcale sobie nie przypominam. Mieliśmy sporo czasu na bieganie i zabawy. Nie dozorowano nas zbytecznie. Biegaliśmy więc, najczęściej na bosaka, gdzieśmy chcieli. Najulubieńszą zabawą była wojna. Urządziliśmy sobie trzy rzeczypospolite. Moja znajdowała się pomiędzy sadzawką i płotem od ogrodu owocowego. Rosły tam drzewa, krzaki bzu, parę wisienek; z darni zrobiłem kanapkę. Jedno było nieszczęście, że czasem krowy, które przypędzano poić do sadzawki, przepływały ją i w mojej rzeczypospolitej pozostawiały wcale niemiłe ślady. Jeszcze niemilsze zdarzało się spotykać ślady dorywczych wycieczek istot ludzkich w te zarośla. Rzeczpospolita Lucjana wolna była od tych wonnych dodatków. Urządził on ją na chmielniku, poza dworskiemi zabudowaniami: punią, oborą, stajnią i wozownią. Była tam mała przestrzeń, na której stał stóg słomy, stała też budka słomiana i leżała kopa tyczek. Właśnie te tyczki posłużyły Lucjanowi do ufortykowania swej dzierżawy. Józef wybrał miejsce dla swojej rzeczypospolitej tuż za świrnem przy drodze, wiodącej do Indrycy. Była tam podłużna jama, która prawdopodobnie powstała wskutek wybrania gliny. Dookoła niej rosły gęsto krzaki. W tej jamie zawsze było trochę wody, od deszczów pozostałej. Każda rzeczpospolita miała swoje wojsko, które werbowaliśmy z dziatwy czeladnej: było pięciu, czy sześciu, jeżeli nie więcej chłopaków. Snadnie dawali się werbować, tembardziej że dzieliliśmy się z niemi chlebem, serem, wogóle wszystkiem, co można było zabrać do kieszeni ze swego jadła. Jedna rzeczpospolita zawierała przymierze z drugą, i wspólnie napadały na trzecią. Biliśmy się na pałasze drewniane, ciskaliśmy kamienie, strzelaliśmy z łuków. Te ostatnie fabrykowaliśmy wcale udatnie. Nieraz oberwało się temu lub owemu. Wrzeszczał więc, płakał i uciekał, ale po niejakim czasie wracał znowu. Raz strzała tak srodze ugodziła malca w zadek, że skakał i wrzeszczał; wystraszyliśmy się byli okrutnie, lecz gdyśmy wyciągnęli strzałę, chłopiec się uspokoił, i złych następstw nie było. Projektowaliśmy połączyć swe siły i wspólnie rozpocząć wojnę z Moskwą. Odłożyliśmy to jednak do czasu, aż wyrośniemy i zgromadzimy więcej wojska.

Często i ochoczo kąpaliśmy się w Dźwinie. Nie wolno było samym chodzić do kąpieli, ktoś ze starszych musiał nam towarzyszyć. To nam się przykrzyło, bo nie pozwalano pozostawać długo w wodzie! Obecność starszej osoby istotnie była bardzo potrzebna. Kilkakrotnie ocalono nas od topieli. Mam przed oczyma tonącego Józefa. Zanadto się oddalił od brzegu, i prąd go porwał za sobą. Biedak nie zdołał się oprzeć, znikał raz poraz pod wodą i z pewnością by utonął, gdyby Knisztowt nie rzucił się był w głębie rzeki, nie pochwycił za włosy tonącego swego ucznia i z wielkim wysiłkiem nie przyciągnął go do brzegu. Knisztowt okazał wówczas wiele odwagi, bo nie był wcale dobrym pływakiem.

Jak już mówiłem — mieliśmy dużo swobody. Biegaliśmy więc wszędzie dokoła Podgórza. Ulubionem także miejscem było wzgórze z wielkim dębem ponad łąką Buciniszki. Wybiegłszy z wrót dziedzińca, pędziło się dalej wprost przed siebie po drodze, pozostawionej dla wozów wśród pól, zbożem, lnem lub czem innem porosłych. W ciągu dziesięciu lub mniej nawet minut dobiegało się do dębu. Wysoki, z gniazdem bocianim na wierzchu, objętością swą świadczył o długim szeregu ubiegłych lat. W wypróchniałej jego wnętrzności mógł się ukryć człowiek. Owiewały go wspomnienia jakichś legend. Stał na szczycie wzgórza, które w porze dojrzewania jagód świeciło czerwienią poziomek. Położywszy się na ziemi, staczaliśmy się powoli, pochłaniając jagody w ogromnej ilości. Przed pamięcią, która roznieca tęskną rzewność, stoi zmierzch wieczorny, pełny ciszy samotnej, i widzę

siebie samego na łące, poszukującego trzmieli do ustawionego drobnego ula na tejże łące.

Kamila nie dzieliła z nami zabaw. Matka nie pozwalała jej pospolitować się w naszem towarzystwie. Dbała o nią o wiele więcej, aniżeli o nas. I można powiedzieć, że o ile pozostawiona nam swoboda wyszła na naszą korzyść, o tyle zbytnia troskliwość nie przyniosła siostrze pożytku. Chciano jej edukację uczynić staranną, umieszczono ją na pensji żeńskiej w Kraslawiu, lecz stamtąd wkrótce ją zabrano; następnie zawiozła ją matka do głośnej wziętością pensji w Połocku, lecz i tam Kamila nie zostawała długo. Nie chciało się jej uczyć tęskniła do matki, do domu, a i matka tęskniła do córki. Kochały się wzajemnie, lecz i dręczyły się wzajemnie, nawet wówczas, kiedy Kamila sama matką została. Nas braci kochała. Szczególnym jej ulubieńcem był Sasza — tak nazywała Aleksandra, najstarszego brata. Po jego śmierci, ja odziedziczyłem jej szczególną miłość.

Nieszczęśliwym wypadkiem był też wybór jej nauczycielki, Emilji Knoch, młodej Niemki spolszczonej. Dziewczyna dosyć ładna lubo nieco zezowata. Brat Anicety smalił do niej cholewki ale Knochówna była zimnego temperamentu i miała silne postanowienie wydać się dobrze zamąż. Mówiła o tem otwarcie. Niech będzie mąż stary, byle bogaty. Właśnie w tym czasie przybył do Dyneburga dobrze podstarzały lekarz, który wzbogacił się długoletnią swą praktyką w Rosji. Zamierzał kupić posiadłość ziemską, ożenić się i ostatnie lata swego życia spędzić wśród swoich, w rodzinnym kraju. Emilja uprosiła więc ojca, który znał się z nim, aby ją wyswatał za niego. I ojciec jeździł w tym celu do Dyneburga, ale swatostwo nie osiągnęło skutku. Ów podstarzały lekarz chciał mieć żonę nie tylko młodą, ale też z zamożnej szlacheckiej rodziny. Knochówna była złośnicą i wciąż miała jakieś zajścia z Kamilą. Nie lubiliśmy jej, bo i nam czasem dostawało się od niej. Raz kazała służbie mnie przytrzymać i ukarała rózgą. To wprawiło mnie w taką wściekłość, że podarłem na niej suknię, za co srodze przez ojca ochłostany zostałem.

Ojciec jednak nie był wcale srogi względem nas dzieci. Dawał nam często łakocie; przywoził podarki, wracając z miasta; nie przeszkadzał nam się bawić, owszem zachęcał do zabaw, a

przed gośćmi chlubił się nami i przywoływał, byśmy się popisywali deklamacją wierszy polskich. Wcaleśmy się go nie bali, za to matka wzbudzała ogromny lęk. Surowa była dla nas. Rózeczka, którą „Duch Święty dziateczki bić radzi" — jak głosiła starodawna kolenda — bywała nieraz w robocie. Lękałem się matki, lecz pociągała mnie ku niej jej uroda.

Bracia Aleksander i Anicety chodzili do gimnazjum w Dyneburgu i przyjeżdżali do domu tylko na święta i na wakacje. Wnosiło to dużo ożywienia i wesołości. Zwłaszcza Aleksander pomagał nam się bawić, płatał rozmaite figle i urządzał strachy. Przypomina mi się z tego powodu pocieszna scena. W jednym z pokojów na górze obwiązał jakiś kadłub prześcieradłem, włożył nań kapelusz, dał mu kij do boku, i o zmierzchu wieczornym zaprowadził mnie tam, ukazując jakby całunem okrytą postać. Gdybym był sam, niezawodnie zdjęłaby mnie trwoga, lecz mając obok siebie brata starszego, odważnie posunąłem się ku straszydłu. W tem, czy to szczur z pod niego wyskoczył, czy też z innego powodu, poruszyło się ono, a mój braciszek wystraszony pierwszy rzucił się do ucieczki.

Aleksander był starszy ode mnie o lat dziesięć. Był pierwszem i ulubionem dzieckiem matki. Przyroda hojnie go obdarzyła i urodą i zdolnościami. Podobny do matki, także brunet, wziął jej urodę. Niestety, ta uroda, zapewniając mu wielkie powodzenie u kobiet, przeszkodziła mu wykształcić i należycie zużytkować swe zdolności. Miał bujną wyobraźnię i wielką łatwość wypisania się i wierszowania. Mógłby zajaśnieć w naszej literaturze. Wierszyki, w których bardzo trafnie ujął charakterystyczne rysy naszych sąsiadów, krążyły z rąk do rąk w odpisach, zyskując wziętość dla autora. Listy jego, które w późniejszym czasie zdarzyło mi się czytać, odznaczały się obrazowością i buchały płomienną namiętnością uczuć. Takiemi były jego listy do Filominowiczowej, w której się kochał, i z którą był po słowie, lecz która, dowiedziawszy się o jego miłostkach zerwała z nim stosunek i odesłała mu wszystko, co miała od niego. Czytałem też jego usprawiedliwienie się ze swego postępowania wobec powtórnego zamążpójścia matki — przed ukochaną ciotką Karoliną. Na kilkunastu arkusikach z wielkim talentem powieściopisarskim — mogę powiedzieć — bardzo trafnie odmalował

moralną postać drugiego męża matki, Kazimierza Sawickiego, który przez długi czas był nauczycielem obu braci, Aleksandra i Anicetego.

Ani jeden, ani drugi nie ukończył szkolnych nauk w gimnazjum. Aleksander wyjechał do Moskwy i wstąpił tam na uniwersytet na wydział prawny. Anicety, który był się przeziębił, wracając z jakiejś zabawy, zasłabł na piersi i został w domu. Aleksander i Józef byli podobni do matki, chociaż Józef nie miał już tej urody co tamten. Anicety zaś, Kamila, ja i Lucjan mieliśmy wiele podobieństwa do ojca. Anicety był powolny, i przeważało w nim usposobienie poważne. W gimnazjum podobno nie należał do pilnych uczniów, i zabawy go więcej nęciły, niż nauka. Osiadłszy jednak w domu, chętnie kształcił swój umysł, czytał dużo, wprawdzie przeważnie powieści, i zgromadził u siebie trochę książek. Chciał nawet coś samodzielnego stworzyć. Przypuszczając, że ze spostrzeżeń nad zachodzącem słońcem można dojść do pewnych ustalonych wniosków co do pogody, spisywał codziennie spostrzeżenia z wielką starannością. Znalazłem później w papierach spory dzienniczek tych spostrzeżeń. Pracując nad swem wykształceniem, uświadamiał też sobie zadania narodowo-obywatelskie. I powaga jego rosła w sąsiedztwie. Na sejmiku szlacheckim wybrano go na deputata, którego obowiązkiem było — o ile przypominam sobie — zwiedzać gorzelnie, śpichlerze gromadzkie i jeszcze inne jakieś składy, strzegąc pilnie, ażeby działo się tam wszystko w ustanowionym prawnie porządku. Na tą chęć Anicetego, by odznaczyć się i zająć w obywatelstwie wybitne stanowisko, wywarła wielki wpływ panna z odleglejszych okolic, którą był poznał, Katarzyna Manteuflówna. Pokochał ją i marzył o jej poślubieniu. Poznałem ją później na wygnaniu w mieście Pawłowsku w woroneżskiej guberni. Była żoną inżyniera Romualda Kułakowskiego i matką kilkorga dzieci. Oboje wielkiej zacności. W gościnnym domu tych wygnańców bywałem często, i nieraz Kułakowska wspominała Anicetego, dla którego życzliwe uczucie przechowała w swem sercu.

Anicetemu wiele zawdzięczam. Pod jego to wpływem wytworzyła się we mnie bardzo wcześnie chęć do nauki, chęć do czytania. Wziął mnie do siebie jako swego ucznia. Mieszkałem z nim razem w jego pokoiku. Wspólnie czytaliśmy wiele rzeczy, przy-

czem wyjaśniał mi to, czego nie rozumiałem. Obok naszego pokoju był drugi większy, w którym myśmy niegdyś z Rypką mieszkali. Anicety urządził w nim ptaszarnię. Ustawił tam kilka drzewek i ponapuszczał sporo rozmaitych ptasząt: były tam wróble, szczygły, gile, sikory, czyżyki i inne. Na podłodze stały misy z ziarnami i z wodą. W pokoju tym było zimno, ale w każdym razie w porze zimowej cieplej i przytulniej, niż na polu lub w lesie. Anicety całemi godzinami lubił tam przesiadywać i słuchać wesołego świergotu swobodnie hulających ptasząt. I ja nieraz tam z nim siedziałem. Swobodne życie ptasząt musiało jednak ustać. Szczury, których było pełno na strychu i na korytarzach pod belkami, dostały się do pokoju, niosąc mord i zniszczenie latającej rzeszy. Pozamykano więc ptaszki do klatek, a z początkiem wiosny wypuszczono na wolność.

Chęć do czytania przejawiła się u mnie — jak powiedziałem — wcześnie. Czytałem po polsku i po rosyjsku, oczywiście najwięcej po polsku. Czy to, co czytałem w języku rosyjskim, zawsze rozumiałem należycie, bardzo wątpię, gdyż nawet w pierwszym roku pobytu mego w Moskwie doznawałem wielu trudności w tej mowie. Wreszcie książek rosyjskich w domu prawie nie było. O ile sobie przypominam, znalazłem tylko w kupie rupieci na strychu poszarpane Listy Karamzina, pisane z Szwaicarji, Anicety dostawał od nauczyciela szkoły rządowej w Krasławiu miesięcznik rosyjski, „Bibljoteka dla cztienija“. Zdaje się, że wspólnie z bratem czytałem w tej bibljotece w przekładzie rosyjskim romans Dumas'a: „Hrabia Montechristo“. Wraził on mi się silnie w pamięć ucieczką bohatera z więzienia i późniejszą jego zemstą, dokonaną na tych, co względem niego ciężko zawinili. Oprócz bibljoteczki brata, była jeszcze spora szafka z książkami, własność Kazimierza Sawickiego. Anicety brał z niej rozmaite dzieła do czytania, więc i ja mogłem z nich korzystać. My chłopcy mieliśmy też u siebie trochę książek. Oprócz szkolnych, było kilka powiastek dla dzieci i były także: „Śpiewy Historyczne“ — Niemcewicza i „Pielgrzym w Dobromilu“. W rupieciach wraz z Listami Karamzina znalazłem powieść Walter-Scota, „Dugald Dalgety“ — w przekładzie polskim.

Rozumie się, że książki z obrazkami najwięcej mię zajmowały. Taką była mitologja grecka, i bodaj lepiej ją znałem od historji

własnego kościoła. Przypominam sobie jeszcze dwie książki z obrazkami: opis dzikich ludów i historję wojen napoleońskich. Przypuszczam, że to wrażenie, jakiego doznawałem w późniejszych latach, patrząc na wizerunki Indjan, jakbym miał coś z niemi pokrewnego, wspólnego, jakby dusza moja w swej wędrówce po świecie przebywała kiedyś w ciele jakiego Indjanina; że wrażenie to wynikło z wynurzających się z głębi wspomnień owych kolorowanych i ładnych, jakiemi mi się wydawały, obrazków w książce o dzikich ludach.

Skąd się wziął u nas patrjotyzm polski? Oto, o ile przypominam sobie, z książek. Okazuje się z tego, jak wielki wpływ może mieć bibuła. Tak pisałem w krakowskim „Przedświcie" (listopad, 1910 r.), kiedy redakcja zażądała, abym dał jej jaką kartkę ze swego życia. Zapewne, sama atmosfera rodzinna i społeczna, którą oddychaliśmy duchowo, czyniła nas Polakami. Nie o to jednak chodzi. Mówiąc o patrjotyźmie, mam na myśli nie bierny, lecz czynny patrjotyzm, tę rozżarzającą się coraz silniej chęć pomszczenia krzywd narodowych, wyrzucenia wrogów z granic swych ziem. Wpływ rodziców był żaden. Najprzód, mało się zajmowali nami; a powtóre, panowanie rosyjskie nie wzbudzało w nich uczucia buntu. Matka, będąc dziewczynką, kształciła się z córkami Jełaginów, mających w odleglejszem nieco sąsiedztwie od Jass ale w pskowskiej już guberni, posiadłość ziemską, i wyniosła z ich domu miłe wspomnienia. Nie żywiła ona żadnej niechęci ku Rosjanom, i dopiero wypadki, poprzedzające powstanie 1863 r., a jeszcze bardziej późniejsze dzikie prześladowanie moskiewskie, rozżarzyły jej uczucia narodowe. Ojciec — jak już mówiłem — służył w wojsku rosyjskiem, starał się mnie umieścić w korpusie kadeckim, i prawdopodobnie doprowadziłby swój zamiar do skutku, gdyby go śmierć nie zaskoczyła. Opowiadano, że w 1831 r. okazywał gotowość do wzięcia udziału w powstaniu, i że z tego powodu doznał pewnych przykrości od władz rosyjskich. Możnaby nawet napewno utrzymywać, że gdyby wówczas wybuchło powstanie na naszym prawym brzegu Dźwiny, to i on i wielu z okolicznej szlachty pochwyciłoby broń przeciwko najeźdcom. Skoro jednak tak się nie stało, pogodził się łatwo z losem. Knisztowt także chyba czynnie nie wpływał na rozniecenie uczuć patrjotycznych. Uczynili to dopiero starsi bracia, Alek-



Dwór w Podgórzu
Zdjęcie podczas ostatniego pobytu Bolesława Limanowskiego w sierpniu 1925 r.



Kościół w Indrycy
1925 r.

sander i Anicety. Szczególnie ten ostatni wywierał wielki wpływ na mnie, a przeze mnie i na Lucjana i Józefa. Aleksander, przyjechawszy na wakacje z Moskwy, zrana chodził z nami kąpać się w Dźwinie. Wracając z kąpieli, siadywaliśmy po drodze w uroczym wąwozie, o którym wspomnę dalej, pod cieniem drzew i słuchaliśmy opowiadań Lelewela, które brat nam czytał, o rozbiorach Polski, o powstaniu Kościuszkowskiem, o okrucieństwach Moskali. Brat wyjaśniał nam to, czegośmy dobrze nie rozumieli. Opowiadania Anicetego o powstaniu 1831 r. i pastwieniu się nad wszystkiemi, co usiłowali wyzwolić swój naród z niewoli, wrażały się silnie w moją pamięć. Pamiętam dobrze, jak z łzami w oczach słuchałem, kiedy czytał i opowiadał o strasznych męczarniach, zadawanych Konarskiemu w wileńskiem więzieniu. Wówczas w tajni mej duszy zaprzysiągłem zemstę Moskalom.

Siejba ta braci znajdowała już grunt dobrze przygotowany przez dwie książki, o których już wspominałem,, „Pielgrzym w Dobromilu" i „Śpiewy Historyczne" — Niemcewicza, oraz przez grę historyczną, Assarmot, i różne poezje patrjotyczne. „Pielgrzym w Dobromilu" — jak sądzę na podstawie własnego doświadczenia — napisany został z wielką znajomością serc prostych i umysłowości, wstępującej dopiero na pierwsze szczeble poznania świata nas otaczającego. Modlitewka, którą kończyła się ta książka, stała się najtrwalszą częścią moich modlitw, dopóki je odmawiałem. „Śpiewy Historyczne" dogadzały upodobaniu dzieci, jakie mają w uczeniu się wierszy na pamięć. Każdy z nas miał ulubiony swój śpiew. Mnie zachwycał „Zawisza Czarny", z gorącem też uczuciem deklamowałem wiersze Karpińskiego. Umiałem na pamięć „Alpuharę" Mickiewicza. Wogóle mściciele krzywd, a nadewszystko mściciele krzywd narodowych wzbudzali zachwyt, uwielbienie ku sobie. Zachwycałem się „Korsarzem" Byrona w tłumaczeniu Odyńca, a jeszcze potężniej owładnął dziecinną moją wyobraźnią bohater „Tajemnic Londynu", Irlandczyk, występujący — jeżeli mię pamięć nie myli — pod nazwą Santa Anna. Słynny pisarz francuzki Paweł Féral, pod pseudonimem Froloppa, w fantastycznej tej powieści przedstawia Irlandczyka z możnego rodu, który, mszcząc się za wyrządzone jego narodowi krzywdy, wchodzi w stosunki z wszelkiego rodzaju przestępcami i zbrodniarzami i organizuje wśród nich

spisek celem okradzenia i zupełnego zniszczenia Banku Londyńskiego, jednej z najważniejszych podstaw potęgi wielko-brytyjskiej.

W dni słotne i mroźne, kiedy trzeba było siedzieć w pokoju, chętnie bawiliśmy się w grę Assarmot, która uczyła dziejów polskich. Była to jakby mapa, złożona z szeregu obrazków i przedstawiająca podróż przez dzieje Polski. Do gry dołączona była książeczka z objaśnieniami, których rychło nauczyliśmy się na pamięć. Podróż odbywała się przy pomocy kostek sześciennych z oznaczoną liczbą kropek. Ile przy rzucaniu wypadło kropek o tyle miejsc się posuwano. Szereg obrazków, poczynających się od bajecznego Assarmota, zakreślał wciąż koncentrując się spiralnie, koło, w środku którego znajdujący się rysunek przedstawiał mapkę Królestwa polskiego, na kongresie Wiedeńskim utworzonego. Na każdym obrazku był unaoczniony ważniejszy fakt dziejowy. Jeżeli przynosił chlubę narodowi, to przybywający na jego miejsce posuwał się jeszcze dalej o pewną oznaczoną liczbę placówek, albo brał nagrodę z kasy. Jeżeli zaś obrazek przypominał jakiś czyn haniebny, np. zdradę Glińskiego, albo poniesioną klęskę, to płacono karę i cofano się wstecz. Jeżeli grający stanął nieszczęśliwie na obrazku, przedstawiającym ostateczny rozbiór Polski, płacił wielką karę, tracił wkładkę i zostawał usunięty z gry. Była to więc obrazowa nauka dziejów ojczystych.

Życie w Podgórzu upływało wesoło. Podczas całego tygodnia Świąt Wielkanocnych stoły suto zastawione były Święconem. Gromadzili się sąsiedzi, i nawzajem ich odwiedzano. Działo się to samo i podczas świąt Bożego Narodzenia i w czasie zapust. Goście często bywali. Przyjeżdżano i z dalszych okolic. Ciotki bawiły po kilka tygodni. Odbywały się bale, a któregoś roku bracia starsi urządzili teatr w wielkiej odrynie, znajdującej się poza chmielnikiem i rzeczpospolitą Lucjana, w dzień imienin mamy, t. j. 25-go listopada. Anicety występował w roli jakiegoś rycerza w płaszczu zielonym, gwiazdkami złotemi usianym, Aleksander zaś grał rolę niewieścią i tak się kręcił i wywijał, że mu się spódnica oberwała, i musiano ratować sytuację opuszczeniem kurtyny.

Sąsiedztwo było dość liczne. Najbliższym sąsiadem był pro-

boszcz indrycki, ksiądz Dominik Golmin. Kościół i probostwo w Indrycy znajdowały się nad Dźwiną, o dwa kilometry od Podgórza, a może nieco mniej. Letnią porą my chłopcy chodziliśmy często pieszo do kościoła. Jechało się drogą poza świrnem, a przy wjeździe do lasu spuszczało się dość stromo ku rzece Indrycy i, przejechawszy most, skręcało się na lewo ku Dźwinie. Raz, kiedy jechałem do kościoła z matką, Kamilą i Knochówną, przy spuszczaniu się zgóry konie nie wytrzymały i uniosły. Pędem strzały przeleciały łąkę, rzeczkę i, uderzywszy się o strome jak piec wzgórze z przeciwnej strony, zatrzymały się. Drążki,*) w których jechaliśmy, przechyliły się, i powypadaliśmy na ziemię. Było jednak więcej strachu, aniżeli szkody. Idąc pieszo, zwykle obieraliśmy inną drogę. Szliśmy ku Dźwinie, jak do kąpieli i następnie, zwróciwszy się na prawo, drogą wzdłuż rzeki. Była jeszcze inna krótsza droga piesza przez pola i las.

Kościół indrycki, otoczony dokoła modrzewiami, był drewniany. Oprócz wielkiego miał drugi ołtarz z obrazem Św. Jana, swego patrona. Uroczystość kościelna przypadała na dzień 24-go czerwca. W tym dniu odbywał się w pobliżu przy karczmie kiermasz z licznemi budami i wozami, w których sprzedawano rozmaite rzeczy, jak narzędzia rolnicze, odzież włościańską, świecidła, łakocie i t. p. Licznie więc też ściągała ludność z sąsiedzkich okolic. Jedną z takich uroczystości, połączoną z groźnym wypadkiem, zapamiętałem dobrze. Ołtarz Świętego Jana przyozdobiono drzewkami, kwiatami i opięciami z tkaniny tiulowej. Jarzyły się na nim wysokie świece woskowe. W kościele był taki tłok, że się przecisnąć było trudno. Podczas mszy opięcia tiulowe zajęły się płomieniem, który szybko ogarnął drzewka i wzbił się wysoko ku sufitowi. Powstał straszny popłoch, i wszyscy gwałtownie rzucili się ku wyjściu. Mogłoby nastąpić wielkie nieszczęście, gdyby nie przytomność umysłu młodego Józefa Zajkowskiego, który wskoczył na ołtarz, pozrywał napięcia, pozrzucał drzewka i podeptał je nogami. Niepodsycany ogień wkrótce przygasł. Pomimo to wiele osób ucierpiało. Matka moja, popchnięta gwałtownie, upadła, i złamano jej grzebień stąpnięciem

*) Powóz odkryty z podłużnym przedziałem na dwie części, po dwa siedzenia z jednej i drugiej strony, zamknięte fartuchami skórzanemi.

nogi na głowę. Na szczęście nie pociągnęło to za sobą niebezpiecznych następstw. Podobno, byli tacy, co oburzali się na Zajkowskiego za zniewagę świętości ołtarza, lecz większość była mu wdzięczna i pochwalała jego przytomność umysłu i odwagę.

Ks. Golmin, w młodym jeszcze wieku, lubiany był przez wszystkich parafjan. Lubiła go szlachta za jego wesołość, towarzyskość, a jeszcze bardziej lubili go chłopi, którzy często udawali się do niego po pomoc lekarską, po radę, a nawet i po pożyczkę pieniężną. Po mszy, okoliczne tak zwane obywatelstwo, t. j. szlacheccy właściciele większych posiadłości, szli do probostwa, jeżeli to było lato, zasiadali na gankach i zabawiali się rozmową. Ks. Golmin, ukończywszy czynności w kościele, kroczył szybko przez dziedziniec, witał się wesoło z wszystkiemi i zapraszał do pokojów. Szczególnie wykręcał się przed pannami z rozjaśnioną uśmiechem twarzą, zapraszając do mieszkania, przymawiał: fiut, fiut, fiut, panieneczki.

Chodziliśmy chętnie do kościoła nie tyle dla nabożeństwa, ile dla miłej przechadzki i towarzystwa. Tam spotykaliśmy się chętnie z Gizbertami, chłopakami, a jeszcze chętniej z dziewczynkami Zajkowskiemi. Pamiętam, jak w surducikach i spodenkach nankinowych kanarkowego koloru i wyszywanych paciorkami czapeczkach pyszniliśmy się swym strojem przed niemi.

W odległości może półkilometra od probostwa znajdował się dwór w Indrycy hr. Platera. Z drogi, prowadzącej do Krasławia, przedstawiał się ładnie: poza rozległą łąką na wzgórzu stał duży, biały, murowany, osłonięty dokoła drzewami, zwrócony czołem ku płynącej Dźwinie. W tym domu mieszkała podówczas rodzina Zajkowskich dzierżawiąca Indrycę. Z młodszych jej członków, oprócz wzmiankowanego już Józefa, rówieśnika mego brata Aleksandra, był jeszcze młodszy jego brat — ile przypominam — imieniem Jan — jeszcze młodsza Emilja ich siostra, wreszcie dziewczątka, do towarzystwa których tak chętnie się garnęliśmy. Emilja, ładna dziewczyna, wychodziła w tych latach za mąż za Koszkę, lekarza w Połocku. Ślub i wesele odbywały się w Indrycy. Gody weselne trwały trzy dni. I nam przez rodziców przysłano sporo łakoci z cukrowej wieczerzy. Biedna Emilja niedługo żyła z mężem. Miewał on warjackie napady i wówczas stawał się brutalem. Po kilku latach ciężkiego pożycia,

porzuciła go i zamieszkała z rodzeństwem. Mówiono o niej ze współczuciem i szacunkiem.

Po drugiej stronie Podgórza, poza Łuksztyniami, w pobliżu Wonóg, stał dworek mieszkalny Dziwiłowiczów, majora wojsk rosyjskich, — w Tołojowcach — uroczej miejscowości nad rzeką Indrą.

Bliskiemi też sąsiadami byli Gizbertowie ze Szterembergu, odległego o jakie pięć kilometrów od Podgórza. Ze starym Gizbertem ojciec procesował się i panowała zawzięta waśń pomiędzy obu domami, naszym i Gizbertów. Za mojej jednak pamięci należała ona już do przeszłości. Młodsze pokolenie pozostawało w przyjaznych stosunkach. Aleksander umizgał się do starszej Gizbertówny, panny Julji, a Michaś i ja, rówieśnicy, uważaliśmy się za przyjaciół. W naszym też wieku była Zosia, która później słynęła ze swej urody i w Dyneburgu pociągała tłumnie młodzież ku sobie. Michaś i dwaj starsi jego bracia wstąpili do wojska rosyjskiego, a Michaś nawet — ku zgorszeniu krewnych — został żandarmem. Jak słyszałem jednak — w burzliwych latach, poprzedzających powstanie 1863 r., odezwało się w nim sumienie i podał się do dymisji.

Do bliższego sąsiedztwa liczyły się: Dorotpol — własność Pestowa, Stanisławowo — Kibortowej i Paulinowo — Donata Gizberta, brata właściciela Szterembergu.

Pestow był Moskalem, nawpół spolszczonym przez swoją małżonkę. Młodzież chętnie koło niej się kręciła, a i ona lubiła towarzystwo młode.

Kibortowa rządna, gospodarna, poważna matrona, nie żyła z mężem, który chodził dzierżawami po innych dobrach, dzierżawił po śmierci ojca i nasz Podgórz. Kibortowie, chociaż nie żyli z sobą, pozostawali jednak w zgodzie i w przyjaznych stosunkach. Kiborta uważano za człowieka uczciwego, który dzierżawą nie doprowadzał majątków do ruiny. Miał on na nogach rany, które coraz boleśniej dawały mu się odczuwać i zmuszały go do coraz dłuższego zostawania w łóżku.

Donata Gizberta nie pamiętam. Żona jego, dobra kobieta, miała synka, Włodzia, który był wielkim jej pieszczochem.

Sąsiedztwo to, o którem piszę, było najbliższe, i z niem częste miewano stosunki. Lecz od czasu do czasu przyjeżdżały także

osoby z odleglejszych okolic, jak wzmiankowana już, Borysewiczowa. Rodziców także zapraszano na większe zjazdy i uroczystości. Wówczas wytaczano z wozowni kocz, dużą i ciężką landarę, do której zaprzęgano cztery konie, po dwie pary jedna przed drugą, a na jednym koniu z przedniej pary siedział foryś, młody jakiś wyrostek.

W Podgórzu zawsze było ludno, zwłaszcza latem, kiedy przyjeżdżały ciotki i starsi bracia przybywali na wakacje. Były to czasy, kiedy bawiono się w czułostkowe romanse. Na wszystkich drzewach grubszych w ogrodzie, zwłaszcza na lipach, wyrzynano nazwiska bohdanek serca z datą szczęśliwych chwil wspólnego pobytu. Często całe towarzystwo, do którego i my przyłączaliśmy się, szło na przechadzkę. Najmilsza była ku Dźwinie, zwłaszcza wiosenną porą. Szliśmy wzdłuż topolowej ściany ogrodu, a rozwijające się na drzewach pączki i listki roztaczały w powietrzu miły zapach balsamiczny. Minąwszy łazienkę, zbudowaną poza ogrodem, wchodziliśmy do dość głębokiego, zarosłego drzewami parowu, którego dwa zbocza rysowały się błękitnawo wśród wznoszącego się lasu ku górze. Zabarwienie to błękitnawo — fjoletowe pochodziło od przylaszczek*), które u nas pierwiosnkami też nazywano, i od fjołków. Nieco później wypełniały ten wąwóz swym zapachem gęsto w nim kwitnące czeremchy. Zaraz poza parowem otwierał się widok na rzekę. Wzdłuż brzegów Dźwiny gęsto rozrastała się łoza. W jej gęstwinie my dzieci lubiliśmy wałęsać się. Były tam jakby jeziorka, powstałe po deszczach spadłych, a jesienią masy ożyn. Po drugiej stronie drogi, biegnącej wzdłuż rzeki, na pewnej wysokości ciągnęły się lasy. Nad drogą stała karczma, w której siedział poddany podgórski, imieniem Jakób. W izbie karczemnej zwracał zawsze moją uwagę obrazek na ścianie, przedstawiający biblijnego Łazarza. Od karczmy droga prowadziła na prawo do Indrycy, a na lewo ku Indrze, która na granicy podgórskiej wlewała się do Dźwiny. Przed dojściem do Indry był las sosnowy, a wpobliżu brzegu wyspa na Dźwinie, której dałem w 1859 r. nazwę Solferino, upamiętniając zwycięstwo Francuzów, niosą-

*) Przylaszczka gajowa *(hepotica triloba)* — podług „Flory polskiej" Jakóba Wagi.

cych Włochom pomoc do odzyskania niepodległości narodowej. Wiosną szeroko rozlana rzeka zatapiała wyspę niemal w całości, i dlatego o stałem jakiemś osiedleniu się na niej niepodobna było myśleć. Nie użytkowano jej również , gdyż ziemi w Podgórzu było poddostatkiem, brakło zaś rąk roboczych.

Wysepka ta przytem była niewielka, prawie cała wikliną zarośnięta. Pełno było na niej ożyn i malin. W późniejszych latach, gdym gospodarował w Podgórzu, byłem na niej kilka razy, oglądałem ją i obmyśliwałem, jakiby można było mieć z niej pożytek. Ponieważ znajdowała się dość blisko od brzegu, a w pobliżu nie było siedzib ludzkich, więc i czółna nie było, Musiałem, ażeby dostać się do niej, albo płynąć, albo brnąć po wodzie. Trzeba było jednak pilnować się miejsca, które, jakby pomost wyniesiony, prowadziło od brzegu do wyspy, zboczywszy bowiem, wpadało się do odmętu, a groziło tu wielkie niebezpieczeństwo, gdyż zdarzało się — jak opowiadano — że nawet płynący czółnem ginęli w walce z wirem wody.

Z Indrą w mej pamięci z lat dziecinnych łączą się dwa wypadki. Raz ojciec ze służbą, z miednicą, z kocami jechał tam do kąpieli i nas zabrał ze sobą. Musiało to być już jesienią. Wylazłem z wody zsiniały, dygocący, z drganiem szczęk i dzwonieniem zębów. Zawinięto mnie w koc, i tak leżałem czas pewny, aż się ogrzałem. Drugi raz byłem tam z Anicetym. Kąpiąc się często w Dźwinie, wprawiłem się był do pływania, lecz nie odważyłem się puszczać na głębsze miejsca. Brat zachęcał mnie, ażebym płynął z nim razem do drugiego brzegu Indry. Na widok jednak dość szeroko rozlanych wód, ogarnął mię lęk, i wzbraniałem się tak odważnego kroku. Wziął mnie więc Anicety na plecy, a wypłynąwszy na środek rzeki, zrzucił do wody. Wybijając rękami i nogami, trzymałem się powierzchni i dostałem się do przeciwnego brzegu. Wróciłem już, płynąc obok brata. Był to mój egzamin z pływania, i odtąd coraz śmielej oddalałem się od brzegu.

Chętnie wybiegaliśmy patrzeć, kiedy bydło wracało wieczorem z pastwiska. Na czele szedł z podniesioną głową duży kozioł z potężnemi rogami. Drażniono go wołając: „Mikita, Mikita, bułdyg". Wówczas spuszczał on głowę, wysuwając rogi poziomo, i ruszał galopem do ataku. Jeżeli to była osoba dorosła,

musiała szybko uchodzić, gdyż inaczej poturbowałby ją dobrze. Dla nas dzieci był względny. Gdy podbiegł, właził który z nas na jego grzbiet, i Mikita galopem obiegał dziedziniec.

Zauważyłem, że u zwierząt przejawia się instynktownie uwzględnienie wieku dziecinnego, a szczególnie u psów. To, czegoby nie darowały starszym, znoszą dość cierpliwie od dzieci. Myśmy byli w przyjaznych stosunkach z psami, było ich kilka gończych.

Miałem też swego ulubieńca, małego pieska, Mirtela. Był on rudawo-żółtej maści, żwawy i nie pozwolił się krzywdzić. Jakkolwiek byliśmy w bardzo przyjaznych ze sobą stosunkach: — dzieliłem się z nim tem, co miałem do zjedzenia, sypiał w moim łóżku razem ze mną, — to jednak ilekroć nadużyłem jego cierpliwości, drażniąc go, nie tylko pokazywał zęby, ale nawet dawał uczuć, że są ostre i ból sprawiają.

W modlitewce, której się nauczyłem z „Pielgrzyma w Dobromilu", o przywróceniu nam Ojczyzny, bardzo wcześnie zacząłem dodawać także prośbę o zniesienie poddaństwa. Jak to przyszło, nie umiem sobie dobrze wytłumaczyć. Może słyszałem coś w tym względzie od Anicetego, może zdarzyło się, że coś czytałem o tem. Nie było to wyrozumowane, uświadomione przekonanie, — które zdobyłem także wcześnie, bo już w wyższych klasach gimnazjum, — lecz był to żywiołowy, uczuciowy przejaw buntu przeciwko srogiemu obchodzeniu się z poddanymi.

Wychowywani w pewnem oddaleniu od rodziców, a nawet jakby zaniedbaniu, nie nabyliśmy poczucia jakiejś wyższości szlacheckiej i chętnie przestawaliśmy z czeladzią i bawiliśmy się z jej dziećmi. Słyszałem więc nieraz skargi i żale na srogie kary. Przytem zauważyłem, iż dzieci żywiej od dorosłych odczuwają cierpienia innych. Płaczą i wrzeszczą, kiedy jedno z nich ulega karze cielesnej, albo doznaje jakiegoś cielesnego uszkodzenia. Co do mnie, to jęki i krzyki smaganych rózgami wywoływały zawsze silne wewnętrzne wzburzenie, które pochodziło nie tyle ze strachu, ile z oburzenia przeciwko dziejącemu się gwałtowi. Niestety, w Podgórzu nierzadko wydarzały się srogie kary. Ojciec, łagodny względem własnych dzieci, uprzejmy i gościnny dla równych sobie, był surowy w obejściu się z poddanymi. Prawdopodobnie służba w wojsku rosyjskiem wywarła swój

wpływ na niego, zauważyłem bowiem, że ci, co byli w wojsku rosyjskiem, prawie zawsze słynęli ze swej surowości względem włościan. Ojca przytem podniecał jego faworyt, stary wójt Gaspar. Pamiętam niską, pogarbioną figurę tego zausznika z twarzą pomarszczoną, pożółkłą. Chłopi nienawidzili go, i ja też go nienawidziłem.

Byt włościan nie był do pozazdroszczenia. Mieszkali w kurnych chatach z małemi okienkami. Stół i ławki — to było całe umeblowanie. Odbywali ciężką pańszczyznę. Żywili się nędznie: chleb czarny z mąki z plewami i bulby, t. j. ziemniaki, — ugotowane bez obierania ich i osolone, — oto najczęstsze było jadło. Na wiosnę i tego brakło. Wówczas gotowano trawę, tak zwaną śnitkę, dodając soli i nieco krup. Próbowałem ją, smakowała nie najgorzej. Pożywność jej nie musiała być jednak wielka. Zwłaszcza dwa ostatnie lata mego pobytu w Podgórzu były głodowe z powodu nieurodzaju, — o ile wnoszę — były to lata 1845 i 1846. Ludności wydawano z magazynów rządowych zapomogi w zbożu, ale, jak zwykle w zarządzie rosyjskim, dokonywano przy tem kradzieży na wielką skalę. Słyszałem, że później zjeżdżały komisje dla wyśledzenia nadużyć.

Na wiosnę 1847 r. przejawiło się silne poruszenie włościan w białoruskich powiatach witebskiej gubernji. Opuszczano chaty, zabierano ruchomości i wyruszano w drogę — jak mówiono — do białego cara. Działo się to i w Jassach. Pietraszewskiego nie było w tym czasie, gdzieś wyjeżdżał. Chłopi więc przyszli do ciotki, którą lubili z powodu jej wielkiej dobroci, i zapowiedzieli swoje wyjście z wioski. — „My ciebie lubimy — mówili — i nic ci złego nie zrobimy, ale pójdziemy, bo wszyscy idą". — Nie we wszystkich jednak dworach tak spokojnie się odbywało. Niektóre zniszczono, a w niektórych popełniono morderstwa. Jak mówiono, co najmniej 10.000 chłopów opuściło swoje zagrody i wyruszyło w pochód, kierując się ku Rydze. Niedaleko od Podgórza nad rzeką Indrą zastąpiło im drogę wojsko, wysłane z Dyneburga. Chłopi, otoczywszy się wozami, bronili się, lecz zostali rozproszeni lub pobrani do niewoli. O ile mogę wnosić, musiało to być już po śmierci ojca.

Łotewska ludność — jak się zdaje — nie brała udziału w tem poruszeniu. W Podgórzu było spokojnie. Indra jakby stanowiła

granicę pomiędzy Łotwą i Białorusią. W Łuksztyniach i Wonogach chłopi byli Łotysze, ale język białoruski już się był rozszerzył pomiędzy nimi. Za mego dzieciństwa, starzy gwarzyli jeszcze po łotewsku, lecz młodzież mówiła już po białorusku. W domach szlacheckich mówiono po polsku i służba z wielką łatwością przyzwyczaiła się do tego języka. Wogóle białorusini uważali język polski za kościelny, modlili się w nim, śpiewali polskie pieśni nabożne i z przejęciem słuchali kazania, które w białoruskich parafjach zawsze po polsku wygłaszano. Niektóre okolice — można powiedzieć — były prawie spolszczone. Taką była parafja Indrycka. W zabawach z chłopcami czeladzi mówiliśmy, jak było najłatwiej — z polska po białorusku. Podobno w pierwszych latach mego pobytu w Podgórzu, często odzywałem się po białorusku, był to nabytek przywieziony z powiatu siebieskiego. Opowiadano, że raz, kiedy dostałem za coś w skórę, Jesipowicz, mąż ciotki Karoliny, goszczący podówczas w Podgórzu, wziął mnie płaczącego na kolana i użalał się nademną, mówiąc: „biedny Boleś, Bolesia wybito.“ Na to miałem z całym rozmachem uderzyć go w twarz, wołając po białorusku: „czamuż ty mienia nie baraniu“.*)

Śmierć ojca nastąpiła 4-go kwietnia 1847 r. Był krzepki i mocny i gdyby nie przypadek, żyłby dłużej. Wracając z pogrzebu babki w Drui, wypadł z sanek do wody i po przyjeździe do domu zległ odrazu chory do łóżka. Leczył go doktór Eichler z Krasławia. Choroba nie trwała długo. Pamiętam, że to był dzień piękny, słoneczny, wiosenny, kiedy powiedziano mi o śmierci ojca. Wybuchłem rzewnym, gwałtownym płaczem. Służąca, która udzieliła mi tej wiadomości, widząc mój płacz, zapytała: „Bardzo żałujesz ojca?“ — „Bardzo“ — odrzekłem. — „Chciałbyś także umrzeć?“ — „O, nie“ — zawołałem wśród płaczu.

Żałobne nabożeństwo odbyło się w Indrycy, i licznie zgromadzeni sąsiedzi stamtąd odprowadzili zwłoki do Podgórza na cmentarz, położony za łazienką w niewielkiej odległości w lesie. Na tym cmentarzu pochowane były moje siostry, i Jaś tam leżał. Stała tam wymurowana mała kapliczka. W późniejszym czasie nad grobem ojca matka postawiła duży krzyż dębowy.

---

*) „iu“ wymawia się zbliżonem brzmieniem do ił.

Śmierć ojca sprowadziła ważne zmiany w naszym bycie. Interesy majątkowe okazały się mocno zawikłane. Pojawiło się sporo wierzycieli, których trzeba było spłacić odrazu, albo z którymi trzeba było wejść w układy. Podgórz wypuszczono w dzierżawę. Objęła ją Weryżyna i zamieszkała w drugiej, gościnnej połowie domu. Myśmy pozostali tylko do czasu, póki w Lajnikach nie zostanie wykończona budowa domku.

Weryżyna była wdową; miała jedną czy dwie córki — nie pamiętam — i jednego chłopca. Z tym chłopcem bawiliśmy się. Z Wereżyną spotkałem się kiedyś w późniejszych latach. Było to w 1867 r., kiedy mnie przenoszono z Archangielska do woroneżskiej gubernji. Po drodze zatrzymałem się z powodu choroby w Kargopolu ołonieckiej gubernji. Tam dowiedziałem się, iż w mieście tem pozostawała na wygnaniu Wereżyna z córką. I ona widocznie dowiedziała się o mnie. Kiedy bowiem wraz z etapem wyruszyłem w dalszy pochód, wyszła z córką za miasto, by się ze mną zobaczyć. Słynna rewolucjonistka rosyjska, znana pod nazwą babki rewolucji rosyjskiej, Breszkowska, była z domu Weryżanka. Może to córka tej Wereżyny?

Przenieśliśmy się do Lajnik prawdopodobnie w sierpniu tegoż roku, ponieważ wkrótce po tem nastąpił wyjazd Aleksandra do Moskwy. Domek był zbudowany w odległości może kilkudziesięciu kroków od jeziora. Z okien otwierał się widok na szeroką taflę wodną, okoloną w oddali lasami. Taflę tę przecinał biegnący pośrodku gościniec pocztowy, wysadzany drzewami; rozgraniczał on dwa jeziora: należne do Podgórza, Lajnickie i należne do Szterembergu. Od strony, zwróconej ku jezioru, znajdował się na lewo pagórek, na którym rosły obficie zioła pachnące, jak czombry i tymianki. Anicety projektował urządzić tu labirynt ogrodowy. Dalej szły osiedla dzierżawców. Z prawej strony w pewnem oddaleniu był gaik niewielki. Kąpiel w jeziorze była przyjemna. Dno piaszczyste nie utrudniało chodzenia jak w Dźwinie, gdzie dno kamieniste i ostry żwir zmuszały do ostrożnego stąpania. Posuwające się zwolna pogłębienie jeziora i woda stojąca spokojnie nie przedstawiały takiego niebezpieczeństwa topieli, jak w Dźwinie.

Domek był mały. Zanadto krótko w nim byłem — może miesiąc, może nieco dłużej — ażebym mógł zapamiętać jego rozkład.

W późniejszym czasie matka przeniosła ten budynek do Wonog, lecz — jak się zdaje — przybudowano do niego nieco, tak że już nie był on zupełnie podobny do dawnego. Pamiętam tylko mały pokoik, w którym mieszkaliśmy we czterech, ja, Lucjan, Józef i Knisztowt, i w którym zastępował drzwi dywan opuszczany ku dołowi. Z tego pokoiku wchodziło się wprost do dość obszernej salki, z dużem weneckiem oknem, ku jeziorowi zwróconem. W tej salce zgromadzaliśmy się przy stole na śniadanie, obiad i kolację, a była nas liczna gromada, bo oprócz całej rodziny w komplecie, bawiły w tym czasie w Lajnikach i dwie nasze ciocie: Felisia i Karolina.

Żadnych szczególnych wypadków z pobytu w Lajnikach sobie nie przypominam. Wiedziałem, że jadę z Aleksandrem do Moskwy i cieszyłem się, że ujrzę wielkie miasto, o którem brat tyle pięknych rzeczy opowiadał. Chodząc po ulicy wśród osiedla dzierżawców, wyobrażałem je sobie jako miasto, którego rozmiary rozszerzałem i które wspaniałemi gmachami przyozdabiałem.

Wyjazd nic mię nie zasmucał. Może byłoby inaczej, gdybym wyjeżdżał sam lub z kim obcym. Lecz jechałem pod opieką starszego brata, z którym miałem mieszkać. Nie mogłem przewidzieć, że upłynie osiem lat, zanim ujrzę znowu strony rodzinne, że nieraz da mi się uczuć to opuszczenie, w jakiem pozostawać będę.

I dziwna rzecz, jak lekkomyślnie wywożono dziecko polskie wgłąb Moskwy, ażeby je tam kształcić. Rozumiałbym to jeszcze gdyby Aleksander posiadał w Moskwie jakieś stanowisko, dające mu dochody, i zabezpieczające byt niezależny. W takim razie byłaby to ulga, reszcie rodziny zrobiona. Lecz Aleksander i na własne i na moje utrzymanie miał brać pieniądze z Podgórza, a z pewnością wydatki na moje utrzymanie byłyby mniejsze, gdyby mnie oddano do gimnazjum w Dyneburgu. Być może, że pod względem wykształcenia naukowego gimnazja w Moskwie stały wyżej od gimnazjum dyneburskiego, lecz w niem nie groziło wynarodowienie. Kolegami szkolnymi bowiem w przeważnej liczbie byliby Polacy, a miasto Dyneburg, mające mieszaną ludność polsko-łotewsko-białoruską było bardziej polskie niż moskiewskie, — z wyjątkiem samej twierdzy. Wszędzie, po sklepach, restauracjach, kawiarniach, mówiono po polsku. Ucząc się w Dy-

neburgu, spędzałbym co roku wakacje wśród rodziny, albo u matki albo u ciotek, nawiązałbym pożądane dla późniejszej pracy obywatelsko-narodowej stosunki wśród kolegów z powiatu i z pobliskich okolic. Nie zastanawiano się nad tem. A wszakże i Aleksander i Anicety byli patrjotami polskiemi. Jestem pewny, że gdyby było wybuchło zbrojne powstanie, Aleksander nie wahałby się i jeden z pierwszych stanąłby w szeregach bojowych. Zabierając mnie z sobą, lekkomyślnie brał na siebie wielką odpowiedzialność. Dlaczego jednak Anicety, rozważny i lepiej pojmujący obowiązki narodowe, nie oparł się temu? Z pewnością byłby to uczynił, gdyby przewidział, ile bolesnych upokorzeń wypadło mi znieść; jak dotkliwie, to nieraz odczuwałem w późniejszem życiu; jak niechętnie i wymijająco odpowiadałem, kiedy mnie pytano, gdziem chodził do szkół, jak gdyby to był z mojej strony występek, żem szkoły kończył w Moskwie wśród Moskali. I nie była ta niechęć, z jaką odpowiadałem na pytania o szkołach, zgoła niczem nieuzasadniona. Przecież tyle razy zdarzało mi się słyszeć, że głoszących postępowe, śmielsze myśli posądzano o sprzyjanie Moskwie, o służenie jej interesom. I nieraz we własnem sumieniu pojawiały się wątpliwości, czy te śmielsze myśli nie były obcą naleciałością, szkodliwą dla narodu wobec wywieranego ucisku ze strony jego wrogów?

ROZDZIAŁ II

GIMNAZJUM W MOSKWIE

(1847 — 1854)

Z Lajnik wyjechaliśmy we trzech. Oprócz Aleksandra, był jeszcze jego kolega uniwersytecki, który gdzieś po drodze od nas się odłączył. Może w Witebsku? Pamiętam tylko dwa miasta: Dryssę, gdzieśmy się chwilę zatrzymali, i Witebsk.

Dwa przykre wspomnienia utrwaliły w pamięci pobyt w Witebsku. Przebyliśmy w tem mieście cały dzień. Aleksander wyszedł zrana do naszego krewnego, Wiktora Ulanowskiego. Dlaczego mnie z sobą nie zabrał, nie wiem. Przed wyjściem z gospody, gdzieśmy się zatrzymali, kupił sporo gruszek. Nie mając co robić, wybiegłem na ulicę. W tem posłyszałem bębnienie i oczom moim przedstawił się niezwykły widok. Na wysokim wozie siedział jakiś człowiek z deską na piersiach, obok wozu jechali konno żołnierze, a za wozem ciągnął tłum, złożony przeważnie z Żydów. I ja pobiegłem za tłumem. Wóz zatrzymał się na placu, gdzie pośrodku wznosiło się rusztowanie, a na nim stała ława. Człowieka z deską wysadzono, postawiono na rusztowaniu, coś czytano głośno, następnie obnażono go, położono na ławie i przymocowano do niej. I rozpoczęło się knutowanie. Za każdym wymierzonym przez kata uderzeniem knuta, a czynił to powoli z wielkim rozmachem, — rozlegał się przeraźliwy krzyk knutowanego, wołającego, że jest niewinny.

Wróciłem do gospody całkiem wzburzony. Aleksandra nie było. Czując głód, jadłem gruszki i niemal wszystkie je zjadłem. Aleksander wrócił dość późno i zastał mnie w gorączce, jęczącego wśród strasznych bólów żołądkowych. Sprowadzony lekarz kazał dać na wymioty, i jakkolwiek odzyskałem przytomność, nie wróciłem zupełnie do zdrowia. W drodze raz po raz dręczyła mię

gorączka, a Aleksander musiał zbaczać do lekarza po poradę. Dopiero w Moskwie, po kilku dniach wypoczynku, choroba opuściła mię całkowicie.

Jadąc na wpół przytomny, niewiele spamiętać mogłem z tego, co widziałem po drodze. Przypominam sobie tylko, że przy przeprawie przez Dniepr w nocy, ledwie nas nie potopiono. Pod Borodinem Aleksander pokazywał mi rozległe pole, gdzie odbyła się wielka bitwa Napoleona z Rosjanami, w której to bitwie odznaczyli się Polacy pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego.

Wjechaliśmy do Moskwy nocną porą. Dwa długie rzędy równoległe świecących się latarń torowały drogę, przejechaliśmy most wiszący przez rzekę i nie rychło stanęliśmy w jakiejś gospodzie w środku miasta.

Przebyłem w Moskwie lat jedenaście: siedem lat w gimnazjum, a cztery na uniwersytecie. Poznałem ją dobrze, zżyłem się z nią. W ciągu tych jedenastu lat raz tylko, będąc już na uniwersytecie, odwiedziłem strony rodzinne. W późniejszych latach byłem w Moskwie jeszcze dwa razy, ale przelotnie, chwilowo: raz, kiedy mnie jako wygnańca przewożono z Archanielska do guberni woroneżskiej; drugi raz, kiedy uwolniony wracałem do kraju. Pierwszy raz jako aresztant nie miałem swobody ruchu, drugi raz w ciągu jednego dnia obiegłem wszystkie mi znane kąty tego miasta. Z latami obraz jego zacierał się w pamięci. Kiedy w 1906 roku gazety przynosiły do Paryża, gdzie przebywałem podówczas, wieści o zbrojnem powstaniu ludu w starodawnej stolicy carów, z radosnem uczuciem śledziłem jego przebieg, usiłując z niemałym trudem wskrzesić w pamięci rozkład ulic i placów tak znanego mi dobrze kiedyś miasta.

Moskwa swoim ogromem i wspaniałością gmachów zaimponowała dziecinnemu memu umysłowi. Przedtem znałem tylko Druję i Krasław, — przelotnie tylko widziałem Witebsk, a inne miasta przesunęły się w oczach po drodze, nie czyniąc żadnego wrażenia.

Józef Frank, słynny lekarz i profesor uniwersytetu wileńskiego, pisząc w późnym wieku pamiętniki z lat swych dojrzałych, miał do pomocy notatki, listy, drukowane sprawozdania, — a jednak — jak to wykazują, jego uczeń Homolicki i wydawca spolszczonych przez siebie tych pamiętników Zahorski — nieraz

myliła starca pamięć i co do lat i co do osób. Nic dziwnego, że pisząc o tem, co było prawie siedemdziesiąt lat temu, i niemając nic zgoła, coby mogło dopomóc pamięci, w zaległych mrokach nieraz nie mogę dopatrzeć się, co i jak się działo. Sprawozdania i nagrody szkolne, moje dawne książki, listy — poginęły lub spoczywają gdzieś w ukryciu. Przypuszczam, że mógłbym coś niecoś znaleźć w Podgórzu. Musiałem tam pozostawić tę trochę listów, które miałem, wracając w 1861 r. z Paryża. W okresie wygnania w Archangielskiej gubernji otrzymałem sporo listów, lecz, zamierzywszy uciekać, poniszczyłem je i tylko niektóre pozostawiłem na pamiątkę; zabrano mi je przy aresztowaniu, a chociaż potem zwrócono, to jednak nie wszystkie. Zaledwie kilka listów z tych czasów pozostało. Następnie w latach 1877 i 1878 robiono u mnie we Lwowie dwa razy rewizję policyjną, i wówczas też zaprzepaściła się znaczna część i listów i moich notat. W 1893 r., wyjeżdżając z Paryża, z zamiarem wyrobienia sobie prawa stałego pobytu w Galicji, poniszczyłem wszystkie listy i notaty, które mogłyby wzbudzać jakieś podejrzenia u władz galicyjskich. Wreszcie nieustanna zmiana miejsc zamieszkania spowodowała również zatratę.

Juljusz Słowacki, rozpocząwszy pisać pamiętniki, niebawem zapowiedział był zmianę w ich pisaniu. „Będzie to dziennik — pisał — niektórych dni mego życia, tak pisany, jakby wtenczas, kiedy się one przytrafiły, bo nie chodzi o wystawienie wypadków tak, jak mi się one przez pryzmat dalekich wspomnień okazują, ale chciałbym je opisać tak, jak wtenczas wzruszały moje uczucia.“ Wielki poeta tej chęci nie uskutecznił. I powiedziałbym, że jest to najtrudniej wyzwolić się w pamiętnikach z wyrobionych i ustalonych swych zapatrywań, a wskrzesić je takiemi, jakiemi były w odległej zamglonej przeszłości.

Pierwsze wspomnienia moskiewskie łączą się z naszem mieszkaniem w gospodzie: Europa (gastinnica: Jewropa) na jednej z najgłówniejszych ulic miasta, Twerskiej, niedaleko od pałacu generał-gubernatora i obszernego przed tym pałacem placu. Gospoda ta, czyli hotel, mieściła się w dużej, dwupiętrowej kamienicy. Była tam restauracja, i liczne pokoje większe i mniejsze. Te mniejsze pokoje ciągnęły się szeregiem z jednej i z drugiej strony długiego korytarza. Zajmowaliśmy dwa pokoje, po-



Podgórz. Altana lipowa
1925 r.



Brzegi Indry
1925 r.

łączone z sobą: jeden większy, drugi mniejszy, który służył za sypialnię. Mieszkaliśmy w trzech: Aleksander, ja i Malinowski — jak mi się zdaje — także z imienia Aleksander. Ten Malinowski powiedziałbym — był złym duchem mego brata. Obaj mieli to wspólne, że byli kobieciarzami, lecz też zachodziła w tym względzie pomiędzy niemi różnica. Brata unosił temperament, wrzała w nim chęć używania życia; Malinowski w zawiązywanych stosunkach szukał karjery. Obaj byli na wydziale prawa, na który zwykle wstępowali synowie, jeżeli nie bogatych, to w każdym razie zamożnych rodzin. Mój brat, wobec kolegów i znajomych, udawał zamożność rodzinną; co do Malinowskiego, to nie wiem, jakie były jego dochody, lecz przypuszczam, że nie były wielkie. Tymczasem mieszkanie w hotelu Europejskim, na głównej ulicy, złożone z dwóch dość obszernych pokojów, umeblowane, nie musiało należeć do tańszych. Na wiosnę tegoż roku przenieśliśmy się na ulicę Nikitską, jedną z ulic przez arystokrację zamieszkiwanych, do wystawnego nawet apartamentu. Takie mieszkanie — przypuszczam — było potrzebne Malinowskiemu. Cały tryb życia obu, uczęszczanie do cukierni, do teatru, na maskarady, pociągał za sobą znaczne wydatki. Tymczasem nieraz brakło na jedzenie. Przez czas pewien w gospodzie Europejskiej żywiliśmy się ziemniakami, które sami smażyliśmy u siebie w piecu na oleju, ponieważ dwa te spożywcze artykuły można było dostawać na kredyt w sąsiednim sklepiku.

Wiem, że Aleksander żywił uczucia patrjotyczne, ale tymczasem stosunki z Moskalami były liczniejsze i bliższe, aniżeli z Polakami. Ze studentów Polaków przypominam sobie jednego tylko Wilkańca, matematyka, a i to nie jestem pewny, czy nie z późniejszych nieco lat. Z pomiędzy Rosjan, kolegów Aleksandra i Malinowskiego, zapamiętałem Kożuchowa, w domu ojca którego czas pewny z Malinowskim, a następnie sam tylko mieszkałem; dwóch braci Nieczajewych, synów nieprawego łoża — Czajewa, bogatego właściciela dóbr ziemskich; oraz Kawelina. Ten ostatni może to późniejszy znany pisarz?

Oswoiłem się rychło z miastem. Wałęsałem się po ulicy i w dzień i wieczorem. Przyglądałem się wystawom sklepowym. Niedaleko była fabryka czekolady, i przez okno widać było potężną ma-

szynę i ludzi, pracujących. Na placu przed pałacem generał-gubernatora z przeciwległej strony był odwach, na którym raz po raz odzywała się pobudka, wybiegali żołnierze i oddawali honory przejeżdżającym generałom. Na tymże placu wśród licznych sklepów największą ciekawość wzbudzał sklep fryzjerski, w którego oknie popiersie kobiety z ufryzowanymi włosami zwolna się obracało. Puszczałem się i w odleglejsze ulice, zwłaszcza na Kuźnieckij Most, gdzie wśród magazynów ze wspaniałemi wystawami szczególnie odznaczał się sklep Darzanta, w którego oknach pełno było obrazów i obrazków, często w tygodniu zmienianych. Biegając po ulicach i widząc, jak chłopcy uliczni czepiali się z tyłu powozów, by nieco podjechać, i ja robiłem to samo. Kiedy jeden z kolegów brata spostrzegł to i zwrócił się do mnie ze słowami: — Jak się nie wstydzisz to robić! — A kogo mam się wstydzić — odrzekłem skoro mnie tu nikt nie zna. — Przyczynek do powstawania pojęć etycznych.

Brat mię umieścił w 3-ciem gimnazjum realnem. Dlaczego wybrał to gimnazjum, nie wiem, nie było ono bowiem najbliższe od naszego mieszkania. Przeciwnie znajdowało się w znacznej odległości, na ulicy Łubiance, niemal u wylotu Kuźnieckiego Mostu. Gmach gimnazjalny piętrowy, narożny, od ul. Łubianki był odgrodzony małym ogródkiem. Na obszernym dziedzińcu z obu stron bocznych były jeszcze dwa domy piętrowe. W głównym frontowym gmachu mieściły się klasy i różne gabinety; w jednym z bocznych, całe piętro zajmował dyrektor, a na parterze była sala, w której gromadzili się chłopcy, zanim otwarto klasy; w drugim gmachu mieszkali, inspektor i nadzorcy. W obszernych suterenach mieściła się służba, i jeden z pokojów przeznaczony był na karcer (więzienie).

Dyrektor Pogorelskij, autor elementarnych podręczników matematyki, był surowy i despotyczny. Zdaje się, że cierpiał na wątrobę, miał bowiem cerę pożółkłą. Trzymał rządy gimnazjalne w żelaznej dłoni: bali się go nauczyciele, drżeli przed nim uczniowie. Mnie okazywał od samego początku pewną życzliwość. Gdym pierwszy raz stanął przed nim i odpowiadał na jego pytania: skąd pochodzę, kto moi rodzice, co robiłem przedtem, co umiem, — pokręcił mnie łagodnie za ucho, mówiąc: „Czuchoniec".*) Prawdopodobnie ochrzcił mnie tą nazwą dlatego, żem niemiłosiernie kaleczył język rosyjski. Bez żadnych starań, wyznaczył zapomogę w umundurowaniu. Przez cały czas nie doznałem od niego żadnej przykrości. Przypuszczam, że ród jego pochodził od Pogorzelskich z Białej Rusi, a stąd i dla mnie, jako pod pewnym względem krajana, płynęła jego życzliwość. Po upływie paru lat mego pobytu w gimnazjum, choroba jego się wzmogła, rzadko przychodził do klas i wreszcie umarł, kiedy byłem w 6-ej klasie. Po nim został dyrektorem — jak mi się przypomina — Kapustin, późniejszy profesor w uniwersytecie moskiewskim. Dawniejsza groza, wisząca nad głowami uczniów, minęła. Szło się i poruszało swobodniej.

Inspektorem na początku, kiedy przybyłem, był Czermak, Czech z pochodzenia, podobno uczony przyrodnik, badacz mikroskopowy. Widywaliśmy go rzadko. Tak był pochłonięty badaniami — jak opowiadano — że na wiadomość udzieloną mu o śmierci żony, miał powiedzieć tylko: „ o, umarła," — i nie porzucił mikroskopu, pod którym coś pilnie badał. Po nim przybył jako inspektor — Pierewlewskij, autor podręczników gramatyki i stylistyki języka rosyjskiego. Był to młody jeszcze człowiek, przystojny, gładki, elegancki.

Czynność nadzorców**) pełnili dwaj bracia francuskiego pochodzenia: Franciszek i Albert Verdun'owie. Franciszek — ponury, milczący — nie wzbudzał obawy, uczniowie nie lubili go, był bowiem zwiastunem kary cielesnej. Podczas odbywającej się lekcji, otwierał drzwi i stanąwszy w nich, wybranemu uczniowi wskazywał gestem, że ma wyjść na korytarz. Wracającemu uczniowi rzucano pytanie: „dużo? mocno bolało?" Niektórzy wracali spłakani, niektórzy milczeli, lecz najczęściej obojętnie a nawet z uśmiechem odpowiadano: „nie, nie bardzo." Albert, młodszy brat Franciszka, wysokiego wzrostu, ładny mężczyzna, miał jedną nogę krótszą, więc chodził, kulejąc i opierając się na lasce. Pomimo to szybko się zwijał. Wszędzie zajrzał, podpatrzył, podsłuchał. Udawał przyjacielskiego, lecz mu ufać nie można było.

*) Czuchońcami nazywają Rosjanie ludność estońską, fińską, zamieszkałą dokoła Petersburga.

**) Nadziratiel — nadzorca.

Jeżeli uczniowie nie lubili Franciszka, to Alberta i bali się i nienawidzili. Kiedy już byłem w 6-ej klasie, pojawił się — jak się zdaje — na miejsce Franciszka jako nadzorca Wysocki, Polak, chociaż wstydził się, czy też lękał przyznać się do swej narodowości. Ograniczony umysłowo, nie umiał postawić się względem uczniów, lekceważyli go. Nie długo też pozostawał na posadzie.

W pierwszej klasie uczono języków rosyjskiego, niemieckiego i francuskiego, arytmetyki, kaligrafji i religji. To samo i w klasie drugiej. Dopiero w klasie trzeciej dodano geografję i rysunki. Nauczyciele w trzech tych klasach pozostawali ci sami.

Nauczycielem języka rosyjskiego był Smirnow, autor podręcznika w tym przedmiocie, dobry pedagog. Rozpoczynał naukę od analizy zdania, przyzwyczając w ten sposób do logicznego myślenia. U niego rozbiór zdania poprzedzał rozbiór słowny na rzeczowniki, przymiotniki itd. Cichy, nie napastujący, był dosyć lubiany przez uczniów.

Zupełnie inaczej się przedstawiał nauczyciel niemieckiego języka, Rengarten. Surowy, wymagający, sypał obficie jedynkami, — jedynka oznaczała zły stopień, najgorszym było zero. W swem nauczaniu dawał przewagę praktyce, którą wytwarzał w następujący sposób. Z książki wyznaczał pewien ustęp do nauczenia się w domu, a następnie w klasie uczniowie wydawali tę lekcję w formie rozmowy z sobą. Przytoczę tu mały przykład.

— Co zamierzasz pan robić po południu? — pyta uczeń A ucznia B.

— Zamierzam — odpowiada B. — pójść na przechadzkę do ogrodu.

Rengarten, zwracając się do ucznia C. pyta: — co powiedział B?

— B powiedział — mówi C — że zamierza po południu....

Tu przerywa Rengarten, wołając: „halt" i, zwróciwszy się do ucznia D: „weiter".

— ...pójść do ogrodu — kończy uczeń D.. .

W ten sposób Rengarten utrzymywał całą klasę w wielkim natężeniu uwagi. Każdą pomyłkę z nienauczenia się dobrego, lub z braku uwagi znaczył w dzienniku kropką, a kiedy uzbierała się pewna liczba tych kropek, stawiał groźną jedynkę.

Nauczyciel francuskiego języka, Stori, zużyty, trzęsący się, złośliwy starzec, uczył szablonowo: gramatyki, słówek, rozmówek. Często nie przychodził do gimnazjum, wówczas Albert Verdun zasiadał na katedrze i kazał uczniom po kolei czytać po francusku, przy czem poprawiał ich wymowę. Szczególnie ciężką ta wymowa mnie się stawała. Czy to z tego powodu, czy też innego, Stori od samego początku żywił ku mnie niechęć: wymyślał mnie i często skazywał na klęczenie. Czepiał się wszystkiego, ale najczęściej tego, że pomimo największych usiłowań, nie mogłem należycie wymawiać *u*. Nie mogąc sobie dać rady, zacząłem je wymawiać jak *i* i tą drogą doszedłem wreszcie do zadowalniającego wymawiania owej samogłoski.

Arytmetykę wykładał Lektorskij, młody, wysokiego wzrostu mężczyzna. Łagodny, zachowywał się przyzwoicie, i uczniowie okazywali mu życzliwość. Kładł wielką wagę na wykonywanie pierwszych działań w pamięci bez pisania. Przez pewien czas czułem urazę do Lektorskiego. A to z następującego powodu: miałem go o coś zapytać, ale nieobznajmiony z towarzyskiemi zwyczajami rosyjskiemi, zwróciłem się do niego, mówiąc: „gaspadin Lektorskij" (panie Lektorski). Albert Verdun, który był obecny przy tem, za ten zwrot do nauczyciela kazał mi klęczeć. Zdumiony, zapytałem: , za co?" — Na to krzyknął Verdun: „milczeć, na kolana." Dopiero później wytłumaczyli mi koledzy, że popełniłem niegrzeczność, nazywając nauczyciela po nazwisku, że należało powiedzieć imię i imię ojca: np.: Pawieł Pietrowicz, t. j. Paweł syn Piotra. Miałem urazę do Lektorskiego, że nie ujął się za mną i obojętnie patrzał na ukaranie mnie.

Nauczaniem kaligrafji zajmował się Klein — Niemiec, katolik, widywałem go bowiem często w kościele. Dobrze odżywiony, starannie ubrany, wysoko cenił swą osobę i swój zawód. Istotnie pisał bardzo ładnie. Ażeby przyzwyczaić nas do dobrego trzymania pióra, kazał nam odpowiednią opaską gumową pętać palce. Co do mnie, to pętanie to nie osiągnęło skutku. Zawsze pióro samo przez się kładło się na trzecim palcu. Podług Kleina, należałem do piszących brzydko. Wymyślał mnie często z tego powodu, ale kiedy raz powiedział, że tylko ostatnie osły tak piszą jak ja, odrzekłem, że to nieprawda, albowiem wszyscy znakomici ludzie brzydko pisali. Wyczytany przeze mnie, czy też usłyszany aforyzm ten silnym stał się ciosem dla jego próżności.

Odtąd jeszcze bardziej mi dokuczał. Odpłacałem mu pogardliwem spojrzeniem. A w trzeciej klasie, gdym się wyzwolił od jego nauczania, przestałem mu się kłaniać. I to ubodło jego próżność. Zatrzymał mnie i oświadczył, że jeżeli mu się kłaniać nie będę, to się poskarży inspektorowi.

Władza szkolna, uważając, że testament stary i nowy jest ten sam zarówno u prawosławnych jak i u katolików, zadecydowała, że dopóki pop nauczyciel je wykłada, mogę i powinienem u niego się uczyć. Dotyczyło to wszystkich katolików i ewangelików. I uczyłem się. Pop Bohdanow, w średnim wieku, z długimi blond włosami, z szeroką i starannie uczesaną brodą, w obszernej sutannie z szerokimi rękawami, zawsze uśmiechnięty, z dobrotliwym wyrazem twarzy, radośnie był witany przez uczniów, kiedy wchodził do klasy. Nie przypominam sobie, ażeby się kiedykolwiek gniewał, nigdy się nie skarżył na nikogo, złych stopni nie stawiał nikomu. Bodaj że był ze wszystkich nauczycieli w gimnazjum najbardziej lubiany przez uczniów. Prawosławni, którzy obowiązkowo musieli odbywać wielkanocną spowiedź u niego, chwalili jego bezinteresowność, łagodność, wyrozumiałość. Ja miałem u niego same piątki t.j. najlepsze stopnie. Nie przypominam sobie, ażeby kiedykolwiek coś mnie krzywdzącego powiedział. Od trzeciej klasy, kiedy Bohdanow rozpoczął wykład katechizmu, zwolniono mnie od nauki u niego. Miałem więc wolne godziny religji. Dopiero kiedy już byłem w ostatniej, siódmej klasie, pojawił się młody, ugrzeczniony ksiądz do nauczania katechizmu katolickiego. W tym celu zgromadzono katolików ze wszystkich klas: byli wśród nich Ormianie, Niemcy, Francuzi. Ksiądz był Polakiem, lecz oczywiście wykładał po rosyjsku.

Kiedy byłem w pierwszej klasie, miałem też jednego kolegę Polaka. Był nim Drzewiński, syn byłego profesora fizyki w uniwersytecie wileńskim. W następnych klasach już nie kolegowaliśmy. Zdaje się, że przeniesiono go do innego gimnazjum. Utrzymywałem z nim i nadal stosunki. Będąc nawet w wyższych klasach, zachodziłem do niego na szachy. Rodzina Drzewińskiego zajmowała w jednym z zaułków bardzo skromne mieszkanie. Widywałem ją tylko przelotnie, gdym przychodził do byłego kolegi. Mieszkał on w stancyjce na piąterku, do której szło się przez pokój parterowy. Widziałem więc jego ojca, matkę i dwie siostry,

dorosłe już panny. Nieraz, gdy gra przeciągnęła się dłużej, jedna z panien przynosiła nam herbatę. Później Drzewiński wyjechał do Petrsburga i wstąpił do Akademji Duchownej. Kiedyś, gdy byłem już na uniwersytecie, przyjechał do rodziców w Moskwie i w kościele katolickim celebrował mszę. Pamiętam, że bardzo młody wiek jego zwracał powszechną uwagę. Opowiadał mi, gdym się z nim widział, że w Akademji klerycy byli zorganizowani w tajne stowarzyszenie, mające pracować nad odbudowaniem Polski.

Wspomnienie o Drzewińskim wiąże się ze wspomnieniem o pierwszym moim wysiłku literackim. Tak! było to w pierwszej klasie. Widocznie, zachęcony przykładem Anicetego, jąłem się wcześnie pióra. Będąc jeszcze w Podgórzu, zacząłem spisywać wszystkich królów, poczynając od Pharamonda francuskiego i Lecha polskiego. Czytałem z upodobaniem powieści, i sam zapragnąłem zostać powieściopisarzem. Nie pamiętam już dzisiaj, jaka miała być, treść mojej powieści. Wiem tylko, że pierwsze cztery rozdziały miały być zatytułowane: Poranek, południe, wieczór, noc. Bodaj wszystko się skończyło na dwóch pierwszych rozdziałach. Przypominam sobie, że był tam opis jakiejś podróży, wschodzącego słońca i chłopca — białorusina goniącego z kijem za zającem. Każdy autor chce mieć słuchaczy, to też i mnie korciło odczytać komuś pierwociny twórczości. Najodpowiedniejszym do tego był kolega szkolny, tak samo jak i ja, Polak. Jemu też pierwszemu a zarazem — prawdopodobnie i ostatniemu czytałem swój utwór.

Nauka była już rozpoczęta, kiedy zacząłem chodzić do gimnazjum, wyznaczono mi więc miejsce na ostatniej ławce obok jakiegoś grubasa z Kaukazu. Kiedyś wkrótce po mojem przybyciu podczas lekcji zachował się wobec mnie ordynarnie. Wyrwałem mu się gwałtownie i z całym rozmachem palnąłem go w twarz. Echo uderzenia rozległo się po klasie, a nauczyciel, podniósłszy głowę z nad książki, zapytał groźnie: „co to takiego?“ Ponieważ jednak panowała cisza i nikt nic nie odpowiedział, zaniechał dochodzenia i cała sprawa na tem się skończyła. Wogóle w pierwszych miesiącach pobytu w gimnazjum, byłem nader skory do bicia w twarz... Raz w jakiejś kłótni jeden z kolegów użył pospolitej w języku rosyjskim połajanki, którą jeden z naszych roda-

ków dowcipnie spolszczył słowami: „jedwabna twoja matka". W odpowiedzi na to wymierzyłem mu na odlew policzek. — „Co to takiego?" — wrzasnął Verdun, wchodzący w tej chwili do klasy. — „On zhańbił moją matkę" — tłumaczyłem się. „Klęczeć" — wrzasnął jeszcze głośniej Verdun. — Następnie wyjaśniło się, że skazał mnie na klęczenie nie za uderzenie w twarz kolegi, ale za użycie polskiego wyrazu „matka", który w rosyjskim języku uważa się za nieprzyzwoity. Bicie w twarz kolegów miało ten dobry skutek, że hamowało napastnicze względem mnie postępowanie, byli ze mną ostrożniejsi. Nie powodowało to jednak wrogich stosunków, owszem rychło zyskałem u kolegów życzliwość.

Z tego, com już powiedział, widocznem jest, że kara klęczenia w wielkiem była użyciu. Zdarzało się, że połowa klasy bywała na nią skazana. Skazywano za złe stopnie w naukach i za drobne przewinienia. Klęczenie trwało krócej lub dłużej. W wyższych klasach, poczynając od piątej, nader rzadko skazywano na nie.

Drugim stopniem kary była chłosta rózgami. Karano i za złe stopnie w naukach i za większe przekroczenia. W trzech pierwszych klasach stosowano ją dość często, w czwartej już rzadko, a do piątej poczynając wyjątkowo tylko. Za mego pobytu raz tylko w szóstej klasie ukarano chłostą jednego z uczniów za zupełne opuszczenie się w naukach, i to za przyzwoleniem ojca i w jego obecności. Co do mnie, to szczęśliwie uniknąłem chłosty cielesnej. Raz wszakże było już bardzo krucho. Było to w trzeciej klasie. Nauczycielem języka rosyjskiego został świeżo mianowany jakiś młody i niezaradny człowiek. Uczniowie płatali mu figle, często bardzo przykre. I ja, zwinąwszy z papieru gałeczkę, tak celnie prztyknąłem ją palcem, że trafiła w sam koniec jego nosa. Poskarżył się inspektorowi, wywołano mnie z klasy i zaprowadzono do przedpokoju, gdzie zwykle odbywała się egzekucja. Tam już czekał Pierelewskij, stała ławka przygotowana, i stróż trzymał rózgi w ręku. Uważając chłostę cielesną za wielką hańbę, zdecydowany byłem na opór całą siłą i wszelkiemi sposobami, chociażby to miało jak najgorzej skończyć się dla mnie. Najprzód jednak zwróciłem się do inspektora z prośbą o przebaczenie, przyrzekając, że nadal nic podobnego robić nie będę. Widocznie Pierelewskij odczuł w moim głosie szczerość i stanowczość, wbrew bowiem swojemu zwyczajowi, wstrzymał się od ukarania mnie. W wyższych klasach zamiast chłosty cielesnej stosowano częściej krótsze lub dłuższe uwięzienie (karcer). I ja raz czy dwa razy odsiedziałem jedno czy dwugodzinne więzienie.

Wyższym stopniem kary były hańbiące kołpaki. Było ich dwa: jeden za lenistwo w naukach, przedstawiający ogromną głowę osła; drugi coś bardziej potwornego, za jakieś wielkie przewinienie. Na kary te skazywano rzadko. Skazany uczeń stał w kołpaku w swojej klasie przez godzinę lub dłużej, czasem dzień cały. Nie wiem, jak na kogo, ale na mnie widok taki za każdym razem sprawiał przygnębiające, upokarzające wrażenie. Gimnazjum stawało się wstrętne. W nocy nawet prześladowała zmora. Musiało minąć kilka dni, ażeby nastąpiło uspokojenie wewnętrzne. Pierwsze wstrząsające wrażenie widoku tej kary wraziło mi się silnie w pamięci. Było to jeszcze w pierwszej klasie. Podczas lekcji nagle otwarto obie połowy drzwi, prowadzących do klasy drugiej, i wszedł dyrektor, a za nim szedł dorosły już uczeń w kołpaku, w asystencji inspektora i obu nadzorców. Był to uczeń z szóstej czy też siódmej klasy, który w gniewie rzucił kałamarzem w nauczyciela.

Pod względem wychowawczym działanie strachem na dorastającą młodzież zgubnie oddziaływa na jej charaktery. Jedni obojętnieją na kary i zatracają poczucie swej godności, u drugich rozwija się trwożliwość, zalęknienie przed wszelkim objawem jakiegokolwiek oporu, cecha właściwa niewolnictwa. Doświadczałem tego sam w późniejszym czasie, i chociaż opanowywałem tę trwożliwość, to jednak powodowała upokarzające i bolesne uczucie. Jeszcze w XVIII-tym stuleciu światły wychowawca, Grzegorz Piramowicz wskazywał na zgubne działanie strachem w wychowywaniu, mówiąc: „Takie kary (jak chłosta i plagi) upodlają umysł, bo są niewolnicze." Ten strach, ta groza, które wiszą nad głowami uczniów ukazują im samą szkołę, w ponurem świetle i zasłaniają nawet to, co daje im dobrego: wiedzę i koleżeństwo. Zdaje się, że na koniec to zrozumiano.

Czy przytem napędzanie rózgami i kołpakiem do nauki osiągało swój cel? Jeżeli chodzi o zwierzęcą tresurę, to systemem kar można zmusić do wykuwania zadanej lekcji. Chociaż i to nie zawsze, ponieważ ludzka istota jest zmyślniejsza od zwierzęcej

i łatwiej znajduje sposoby oszukiwania i okłamywania. I tak jednym z takich sposobów było zamiast pójścia do szkoły wałęsanie się po odległych dzielnicach miasta. Samo w sobie nie byłoby to wielkiem złem, gdyby się nie łączyło z fałszerstwem, albowiem na drugi dzień trzeba było przynieść do szkoły poświadczenie od rodziców albo opiekunów, o chorobie lub jakiejś innej ważnej przyczynie pozostania w domu. Fabrykowano więc takie świadectwa i wprawiano się do fałszowania cudzych podpisów. I czy nie rozumniej i bardziej po ludzku postąpiłaby władza szkolna, gdyby przywoławszy ojca tego ucznia, co w szóstej klasie nie chciał się uczyć, poradziłaby mu zabrać syna z gimnazjum i oddać go do jakiegoś praktycznego zawodu, zamiast chłostą cielesną zmuszać do uczenia się i upokarzać jego kolegów, dając im do zrozumienia, że jakkolwiek są dorośli i w wyższej klasie, to jednak nie są wolni od smagania rózgami. Sądząc na podstawie tego, co wówczas odczuwałem, nie wiem, czy koledzy oćwiczonego nie cierpieli nawet więcej od niego?

Zapewne, nie podobna tolerować brzydkich czynów młodzieży. Lecz dlaczego roztaczać strach nad nią całą, jak gdyby była ona już usposobiona i gotowa do takich czynów? Dlaczego, hańbiąc w jej oczach kolegów, mącić jej uczucia koleżeńskie? Czy taki system kar, jaki istniał w gimnazjach rosyjskich, nie nadawał tym zakładom naukowym cech zakładów karnych, poprawczych?

Do przyjemności należał teatr. O ile przypominam sobie, pierwszy raz w teatrze — i to w krzesłach — byłem na balecie: P e r i. Zostałem olśniony dekoracją i cudownością maszynerji. Tańczyła słynna Senkowska czy też Sankowska. Tańce jednak i muzyka nie wywierały na mnie takiego wrażenia, jak sama scenerja.

Szereg lat pobytu w gimnazjum tak się splątał w pamięci, że dzisiaj nie potrafię już wydzielić, co zaszło w jednym a co w drugim roku. Nie mogę więc powiedzieć, jak często i na jakie przedstawienia chodziłem do teatru z Aleksandrem. Wnoszę tylko, że musiał on chodzić przeważnie na balety. Brat bowiem ze swymi kolegami brał żywy udział w walce, jaka się toczyła o tancerki pomiędzy studentami uniwersytetu i oficerami wojskowymi. Studenci popierali Senkowską a zwalczali Irkę Matijas, ulubienicę wojskowych. Walka była zawzięta i nabierała nawet nieco charakteru politycznego: po stronie studentów oświadczała się publiczność liberalna, wojskowi zaś mieli poparcie ze strony policji, wogóle władz rządowych. Sam Car Mikołaj wkraczał w tą sprawę. Niechęć ogromna, jaką okazywali studenci Irce Matijas nieraz w brzydki sposób — raz rzucono jej na scenę zdechłego kota, — pochodziła głównie z tego powodu, że despotyczny dyrektor teatru, Gedeonow, ją popierał, a Senkowską szykanował.

Miejscem, gdzie się schodzili studenci, była między innemi cukiernia na rogu ulicy Twerskiej i zaułku Uniwersyteckiego, utrzymywana przez jakiegoś Szwajcara. Kilka razy Aleksander mnie tam zaprowadził. Kiedy pierwszy raz stanąłem przed stołem, na którym rozłożone były wyroby cukrowe, i brat mi powiedział, ażebym sobie coś wybrał, rozbiegły się moje oczy na widok tylu cudowności. Były tam i gniazdka z jajeczkami i pisklętami, i małe ptaszęta i kocięta, i gałązki pełne jagód, i różyczki, i jeszcze wiele innych rzeczy. Nie wiedziałem sam, co mam wybrać, i wreszcie wybór mój padł na czekoladowe cygaro jakby jeszcze rozżarzone ze spopielałym już końcem.

Odwiedzaliśmy też znajomych. Większa ich część potonęła w mojej pamięci. Wspominałem już o braciach Nieczajewych. Byli gościnni i uprzejmi o ile sądzić mogę, należeli do wykształconej młodzieży. Mówiono u nich dużo o niemieckiej literaturze, i oni sami zachwycali się Szyllerem. Mieli sporo książek,

U Nieczajewych zbierało się dużo kolegów. Raczono się obficie i wódką i winem. Do wódki miałem wstręt, a i wina nie lubiałem, dopiero z latami zasmakowałem w alkoholu. Głównym przedmiotem rozmowy były kobiety i miłostki, nie krępowano się moją obecnością.

Musieliśmy bywać u Bazylego Mareckiego. Ponieważ jednak przez cały czas mego pobytu w Moskwie utrzymywałem z nim stosunki, więc w pamięci wytworzył się obraz, w którym szczegóły z lat różnych zlały się w pewną nierozdzieloną całość. Powiadam: musieliśmy bywać, Marecki bowiem był naszym krajanem i pod pewnym względem sąsiadem. Pochodził on z mieszczan miasteczka Drui, unitów, na prawosławie przymusowo nawróconych. Sądzę, że uważał się za Polaka, lecz mało dbał o

swoją narodowość. W domu mówił po polsku, podtrzymywał stosunki z Polakami, pomagał im i pamiętał o swojej rodzinie. Był kupcem, miał sklep z suknem i z herbatą. Tą ostatnią wysyłał na Litwę i zyskał tam licznych odbiorców, ponieważ sprzedaż połączył z pewnego rodzaju loterją. Na pewną liczbę funtów herbaty wkładał do jednej z funtowych paczek szpilkę z brylantem. Przemyślny, ruchliwy, sprytny — umiał korzystać z okoliczności i robił dobre interesy. Opowiadano, że na wielkim jarmarku w Niżnym Nowogrodzie kupił prawie za bezcen ogromne składy sera, który był zepsuty i z którym nie wiedziano co robić. Następnie kazał ten ser przetopić, i otrzymane produkty stokrotnie mu opłaciły poniesione wydatki. Sukno, sprzedawane przez niego, pochodziło z fabryk Królestwa Polskiego. Czy Marecki, czy Syrejszczykow — był inicjatorem sprowadzenia polskiego sukna do Moskwy, nie wiem. Obaj byli w zażyłych ze sobą stosunkach, obaj gościli Polaków, przybywających w sprawach handlowych do Moskwy. Marecki ożenił się następnie z córką Syrejszczykowa. Byłem już wówczas w czwartej klasie i byłem na jego weselu. Żona musiała mu przynieść posag, a nadto wprowadziła go do świata kupieckiego i to do świata arystokracji kupieckiej, ponieważ jej matka była z domu Czetwierykowych, „paczotnych grażdan“ (honorowych obywateli), w swych przywilejach do szlachty zbliżonych. Mieszkając u Syrejszczykowych, poznałem młodego Czetwierykowa. Był to młodzieniec, nie tylko z ubioru i z ułożenia do wyższej, europejskiej kultury należący, ale wykształcony, oczytany i wyznawca zasad liberalnych. W kilka lat po ożenieniu się, Marecki kupił wielką siedzibę pańską, która znajdowała się na krańcu miasta, niedaleko rzeki Jauzy. Były to „barskie charomy“ (komnaty magnackie). W sali środkowej z galerją dla muzyki łatwo mogło się pomieścić parę setek osób. Na ucztę, wydaną pierwszy raz w tym domu, wraz z Syrejszczykowymi i mnie zaproszono. Była to uczta wspaniała: gości pełno, grzmiała muzyka, lał się szampan obficie. Kiedy byłem już na wygnaniu, w kilka lat po powstaniu 1863 r., czytałem w dziennikach rosyjskich, że duma miejska w Moskwie wybrała Mareckiego na „głowę“ (gaławu) czyli burmistrza, prezydenta.

Jak powiedziałem, pomagał on swojej rodzinie i był nią otoczony, zanim się ożenił, w domu rządziła jego siostra — wdowa.

Chociaż wyznania prawosławnego, zachowywała ona zwyczaje polskie i katolickie. Urządzała wilję i co roku na niej bywałem, — po kolacji szliśmy gromadnie na pasterkę do kościoła katolickiego. Na stole ze święconem bywało pełno babek i mazurków. W sklepie pomagał Bazylemu młodszy jego brat, Konstanty, dobry lecz płochy chłopak. Później poróżnił się on z bratem i założył własny kramik z płótnem. Było to w tych czasach, kiedy za cara Aleksandra II-go życie polskie zaczęło drgać silniejszym tętnem. W Konstantym odezwało się uczucie patrjotyczne polskie, brata swego nazywał moskalem. Nie miał jednak zmysłu kupieckiego i, zlikwidowawszy swój kramik, wrócił w strony rodzinne. U Bazylego mieszkał też jego siostrzan, Konaszewicz, który przybył do Moskwy na studia lekarskie. Uważał się on za Polaka i żył z Polakami. Pozostawałem z nim w dobrych stosunkach. Marecki w stosunku ze mną zawsze okazywał przychylność, i on to polecił mnie Syrejszczykowowi na nauczyciela dwóch jego synów. Byłem wówczas już w szóstej klasie.

Do gimnazjum chodziłem w pierwszych dwóch latach dwa razy codziennie, i z rana i po południu. Kiedy byłem w trzeciej klasie zaprowadzono w tym względzie zmianę, lekcje trwały z krótką, półgodzinną przerwą do godziny trzeciej po południu. Zrobiono to dlatego, że wielu uczniów mieszkało w znacznej odległości od gimnazjum, dwurazowe więc chodzenie każdego dnia było uciążliwe, zwłaszcza podczas słotnych lub mroźnych dni. I ja sam tego doświadczyłem. Przykrą też przeszkodą bywały nieraz ciągnące się po ulicy Łubiance ku środkowi handlowemu miasta wozy towarowe. Zwykle do poprzedniego wozu był uwiązany koń następnego, a takich wozów było czasami kilkadziesiąt. Trzeba było czekać, aż wszystkie przejadą. Drugą wielką przykrość sprawiali uczniom gimnazjalnym na odległych lub mało uczęszczanych zaułkach ulicznicy lub uczniowie ze szkół miejskich. Przy spotkaniu się drażnili, wołając: „krasnaja gawiadina“ (czerwone mięso) z powodu czerwonego kołnierza u mundurka i czerwonej opaski na czapce. Jeżeli się szło w kilku lub na ulicy byli przechodnie, to wszystko kończyło się na słownem drażnieniu. Lecz jeżeli spotkałeś taką gromadkę uliczników, gdy szedłeś samotnie, a na ulicy nie było nikogo lub jaki przechodzień był widoczny tylko z daleka, to cię napastowali, zrzucali ci czap-

kę z głowy, wytrącali z rąk książki i kajety, a gdyś się stawił przeciwko nim, to jeszcze cię dobrze kułakiem poczęstowali.

Skończył się rok szkolny, odbyły się egzaminy, i wyszedłem z nich świetnie. O ile sobie przypominam, byłem w promocji drugim z kolei. Dostałem list pochwalny i książki w nagrodę. Książki te w pięknej oprawie, przestarzałe podręczniki języka łacińskiego, nie miały żadnej wartości. Drugą klasę skończyłem także z nagrodami, ale poczynając od trzeciej już ich nie miewałem. Trzymałem się środka, wszakże bardziej zbliżając się do celujących, niż do osłów.

Opowiadają, że słynny chemik Liebig, spotkawszy kiedyś dyrektora teatru w Berlinie, zwrócił się do niego, mówiąc: — Jak się to stało, że w szkole byliśmy obaj osłami, a teraz ze wszystkich naszych kolegów my tylko mamy jakiś rozgłos w świecie?

I istotnie, tak zwani prymusi, co z klasy do klasy przechodzili z nagrodami, w późniejszym życiu rzadko kiedy zdobywali wybitniejszy wpływ w społeczeństwie. Przyczyną tego było — jak mniemam, — że prymusi poświęcając cały swój czas na nauczenie się zadanych lekcyj, wydawali je dobrze, ale nie mieli już czasu zaglądać do innych książek. Wytwarzało to zanadto wielką ufność w powagę naukową nauczycieli, a skutkiem tego pewną bierność umysłową. Najskłonniejszymi do wypowiedzenia własnego zdania, a nie oglądania się chociażby i na ustaloną powagę, nie byli ci, co najlepiej się uczyli, lecz ci, co sami dużo czytali, co lubili rozprawiać i rozumować. Takimi byli z moich kolegów: Popow, Miedwiediew, po części Nikitin; o nich będę jeszcze mówił. Prymusami pozostali przez cały czas pobytu w gimnazjum: Kozakow i Muszatowskij. Z Kozakowym dopiero w ostatniej klasie wszedłem w nieco bliższe stosunki. Był on synem kupca i mieszkał w części miasta, zwanej Zamoskwareczjem (za rzeką Moskwą), siedlisku kupiectwa staromoskiewskiego, którego typy w rysach wyrazistych odtworzyli pisarze rosyjscy: Ostrowski, Pisiemski, Dostojewski. Przedstawiają oni ten typ jako despotę w rodzinie, samoluba twardego w stosunkach towarzyskich, ceniącego tylko pieniądz i bogactwo. W tym czasie, kiedym bywał u Kozakowa, ojciec jego już nie żył. Nie wiem

więc, jaki był jego stosunek do syna. Lecz i w synu przebijały się powyższe cechy, chociaż złagodzone, w większą układność towarzyską obwite. Kozakow wstąpił do uniwersytetu na wydział lekarski, lecz wkrótce umarł, w połowie pierwszego roku. Śmierć jego zrobiła ogromne na mnie wrażenie, może dlatego, że był to kolega z całego szeregu lat szkolnych. Drugim prymusem, który szedł wciąż obok Kozakowa, był Muszatowskij, bierna, zahukana istota. Opowiadano, że ojciec tyranizował go, że za notę, chociażby nie była zła a tylko mierna, ćwiczył go srogo rózgami. Jak się zdaje, był to podrzędny urzędniczyna mający bardzo mierne środki do życia. Tak wnosić można było z ubogiego ubrania jego syna, wreszcie i z wyglądu jego samego, jego konia i sanek, gdy przywoził chłopca do gimnazjum. Muszatowskij strasznie *zubrył* — wyrażenie uczniowskie, znaczące, że uczył się jak papuga na pamięć. Lękliwy, oględny, ostrożny — nie należał do żadnych spisków uczniowskich, lecz też nikomu nie chciał szkodzić, i koledzy nie żywili ku niemu niechęci, czego o Kozakowie nie można było powiedzieć. Co się z nim stało później, nie wiem. Przez czas pewien z tymi prymusami szedł równolegle Miedwiediew, lecz był to umysł szukający samodzielnie swej drogi, nie wytrwał więc na prymusowskiem stanowisku i od czwartej klasy zeszedł do pospolitego środka. Ze wszystkich kolegów z nim w najprzyjaźniejszych zostawałem stosunkach. Oprócz wymienionych odznaczali się największą względnie zdolnością uczniowie inno-plemiennego pochodzenia: Blum, syn Żyda lekarza; Schreder, Müller, Hampeln. Ten ostatni miał szczególne zdolności do matematyki, ale zato historja mu się nie nadawała, i nie lubił jej; pomimo więc swego uzdolnienia, nie należał do celujących.

Aleksander wiosną wyjechał do domu, a mnie zostawił z Malinowskim w domu Kożuchowa na tak zwanych Prudach Patryarszych. Następnie i Malinowski wyjechał. Zostałem sam pod opieką gospodyni domu, dawnej niańki Kożuchowa. Opieka to była iście macierzyńska. Pilnowała mnie jakby własnego syna. Troszczyła się, bym zawsze był syty i nie chodził obdarty. Szczególnie doświadczyłem jej dobroci i troskliwości podczas choroby.

Lato upływało wesoło. Dzień cały bawiłem się w alejach nad stawem w towarzystwie kilku uczniów z różnych gimnazjów w

pobliżu mieszkających. W tymże czasie poznałem ucznia z innego jakiegoś gimnazjum Bilibina, garbuska, który mieszkał w tej okolicy z swoją babką. Żyli ubogo. Bilibin lubił grę w szachy i mnie jej nauczył. Ogromnie ją sobie upodobałem, a nawet w późniejszych latach, kiedy mieszkałem daleko od stawów Patrvjarszych, chodziłem grać do niego, i nieraz, oczywiście w dnie świąteczne. wracałem już późno w nocy, głodny, wyrzekając się i obiadu i kolacji, które miałem w domu.

Na początku jesieni zachorowałem. Znać nieustanne przebywanie nad stawem sprowadziło zimnicę. Okrutne bóle głowy sprawiały niewymowne cierpienie. Opiekunka moja przesiadywała nademną po całych nocach, zmieniając okłady z lodem na głowę i uwiązany chrzan z octem do stóp. Nie pamiętam, czy równocześnie czy też nieco później przejawiła się odra. Odwieziono mnie do kliniki uniwersyteckiej, wzorowo utrzymanej. I tam znalazłem dobrą opiekunkę. Była to tak zwana *sidiełka* (infirmijerka, obsługująca chorych), kobieta z gminu, jeszcze nie stara, przyjemnej powierzchowności i wielkiej dobroci. Szczególnie lubiłem wieczorną herbatę, którą wspólnie ze mną pijała przy mojem łóżku. Gawędziliśmy wówczas długo, opowiadając sobie o swem życiu, o domu, o rodzinie i t. p. Z nakazu lekarza musiałem pić oliwę po łyżce stołowej parę razy dziennie. Było to torturą dla mnie: wstrząsały mną dreszcze, doznawałem niemal konwulsji, i tylko słodycz i cierpliwość mojej opiekunki przemagały mój wstręt i opór. Od tego czasu obrzydziłem sobie oliwę, i przez długi czas sam jej widok lub zapach był dla mnie nieznośny. Do dwóch jeszcze rzeczy w latach szkolnych nabrałem obrzydzenia: do kawonu i do jaj. Co się tyczy pierwszego, nie przypominam sobie przyczyny. Jaja obrzydziłem sobie od czasu choroby, która wynikła wskutek przejedzenia się niemi podczas świąt wielkanocnych.

Po wyjściu z kliniki wróciłem do mojej opiekunki w domu Kożuchowa. Daleko było biegać do gimnazjum, w porze więc obiedniej nie wracałem do domu. Gdym wychodził z rana, dobra opiekunka otulała mnie szczelnie i napełniała obficie jadłem moją torbę. Szczególnie smakowały mi pierożki z mięsem, które umyślnie dla mnie piekła.

W życiu szkolnem podczas pobytu w drugiej klasie nic szczególnego nie zaszło. Zato w życiu mojem domowem nastąpiła ogromna zmiana.

Do Moskwy przyjechała matka moja z mężem swoim, Kazimierzem Sawickim. Ucieszyłem się, i lęk mię ogarniał. Wyrządziłem bowiem Sawickiemu grubiańską awanturę, z poduszczenia brata, jeszcze przed jego wyjazdem. W srogim gniewie upomniała mnie o to matka w swoim liście. Ze strachem więc szedłem ją witać, ale o moim wybryku wcale nie wspominała.

Matka wyszła za Sawickiego z miłości. Miała bowiem ciężkie z tego powodu przejścia. Aleksander i Anicety silnie opierali się temu małżeństwu. Siostry jej, a nasze ciotki, odradzały jej. Sąsiedzi niechętnie o tem mówili. Matka pokochała Sawickiego, kiedy jeszcze był nauczycielem starszych moich braci. Ojca poślubiła, na żądanie swej matki, uważała atoli, że był dla niej za stary.

Czy Sawickim przy ożenieniu się powodowała miłość? Mniemam, że kochał matkę. Kiedy ją poznał, była w pełni urody, chociaż o kilka lat od niego starsza, a i w tym czasie, kiedy ją zaślubił, nie utraciła jeszcze świeżości swych wdzięków. Lecz i Podgórz mógł być silną przynętą w jego myślach. Sawicki pochodził z ubogiej rodziny, przebijał się własnymi siłami, a zostawszy nauczycielem moich braci, znał życie podgórskie ze świetniejszych jego czasów. Podług opowiadania matki, sama łąka, tak zwana Deksznia, przedstawiała złoty interes. Zbierano tam dużo siana i po drogich cenach sprzedawano wojsku rosyjskiemu, rozlokowanemu po całej okolicy. Później przyszły ciężkie czasy, spowodowane powstaniem 1831 r., lubo nie przekroczyło ono poza rzekę Dźwinę; następnie nieurodzaje i głodny rok 1846-ty; wreszcie życie wystawne, liczna rodzina; — wszystko to prowadziło do zaciągania długów, do zaległości podatkowych i bankowych. Dopóki żył ojciec, dawał sobie jakoś radę i zmiana na gorsze nie dawała się bardzo uczuwać. Atoli po jego śmierci kłopoty majątkowe stały się ogromne. Okazała się konieczność wypuścić Podgórz w dzierżawę.

Poślubiwszy Sawickiego, matka zażądała, aby jej wydzielono należną podług prawa siódmą część majątku. Wydzielona ta część objęła Wonogi, dokąd matka przeniosła domek z Lajnik i dała nowemu folwarkowi nazwę Katarzynowo. Był to folwark nie wielki, ale w dobrem położeniu i miał żyzne grunta gliniaste. Gdyby

w nim osiadł rolnik, któryby sam kierował gospodarstwem i pilnie go doglądał, toby miał dostateczny kawał chleba na skromne życie. Lecz Sawicki marzył o szerszem dla siebie polu i nie chciał porzucić studjów prawniczych, do których ukończenia miał jeszcze dwa lata.

Skoro wynajęto mieszkanie, zabrano i mnie do siebie. Mieszkaliśmy na ulicy Nikitskiej w dwóch pokojach bocznych, wynajmowanych od piekarni. Jeden pokój był ciemny i służył za sypialnię; drugi z dwoma oknami był jadalnią, pracownią, bawialnią, i w nim sypiałem na kanapie. W tych nowych warunkach nie było mi źle, a co do jedzenia, to stanowczo o wiele było lepiej, aniżeli za czasów wspólnego mieszkania z Aleksandrem. Matka, która dawniej wzbudzała we mnie uczucie lęku, teraz obchodziła się ze mną łagodnie, z czułością macierzyńską. Przykro jej było z początku, że Sawickiego nazywałem ojczymem, alem nie mógł się przemóc, by go nazwać ojcem, i tak pozostało aż do końca. Sawicki był dobry dla mnie i widocznie starał się o moją życzliwość.

Ponieważ wywarł on w tym czasie ogromny wpływ na mnie, należy się więc mu nieco obszerniejsza ocena, jaka się wytworzyła w moim umyśle o jego osobie.

Sawicki był mocno przywiązany do katolicyzmu. W jego przekonaniu, katolicyzm był główną ostoją polskości. Bardziej był katolikiem, niż Polakiem. Gdyby Moskwa wyrzekła się schizmy i przyjęła katolicyzm, łatwoby się pogodził z panowaniem moskiewskiem. Nie znaczy to wszelako, jakoby w takim razie gotów był wyrzec się mowy i obyczajów polskich. Jego zdaniem, Moskwa katolicka przestałaby prześladować narodowość polską; a natomiast Polacy, jako wyżsi cywilizacją, mogliby zająć naczelne stanowiska w państwie. Nie wiem, gdzie Sawicki otrzymał pierwotne wykształcenie, lecz wielce jest prawdopodobnem, że w szkołach jezuickich, albowiem w naszych okolicach miały one wielką wziętość; — taką słynną, w niedalekim od Podgórza sąsiedztwie, była szkoła w Wołyńcu. Słyszałem dużo o niej opowiadań, i o ile sobie przypominam — od Sawickiego. W każdym razie było coś jezuickiego i w jego charakterze i w jego postępowaniu.

Jego to wpływowi przypisuję tę gorącą religijność, jaka mną

owładnęła w tym roku. Stałem się nabożny, pilnie chodziłem do kościoła, żarliwie się modliłem. Kościół to był nowy, dopiero w 1848 r. poświęcony*), obszerny i piękny. Siadywałem zwykle przed ołtarzem z lewej strony, w którym był obraz wcale udatny — jeżeli się nie mylę — świętej Emilji o miłem i łagodnem obliczu. Proboszczem kościoła był Telesfor Grzegorzewski, eksbernardyn. Szanowna to była postać, u niego odbywałem pierwszą spowiedź, jego nauki i przestrogi były łagodne, ojcowskie. Wydał on książeczkę, w której był podany pacierz coś w dziesięciu językach, używanych w państwie rosyjskim. Patrząc na chłopaków, co służyli do mszy, zazdrościłem im i ucieszyłem się niezmiernie, kiedy podczas jakieś wielkiej uroczystości, syndyk kościelny i mnie zawołał do uczestniczenia w procesji. Ubrany w białą komeżkę z ponsowym odkładanym kołnierzem, szedłem poważnie z dzwonkiem w ręku i na dany znak dzwoniłem gorliwie. Nie pamiętam, czy w tym, czy też następnym roku przyjeżdżał biskup, celebrował mszę i odbywał akt bierzmowania. I ja przystąpiłem do tego aktu i wybrałem sobie imię Tadeusza przez cześć i umiłowanie Kościuszki.

W tym okresie religijności starałem się prowadzić życie przykładne. Religijność ta, pełna wiary w aniołów i djabłów, przejawiała się nawet w zmorach, które mię trapiły w tym czasie. Przyczyna ich była następująca: wróciwszy z gimnazjum, po obiedzie spałem z godzinę a czasem i dłużej, wieczorem zaś wypijałem dwie szklanki herbaty. To odbierało mi sen, a matka nie pozwalała siedzieć późno w nocy. Musiałem więc, zgasiwszy światło, kłaść się spać, nie będąc wcale sennym, męczyło mnie to, przewracałem się z boku na bok, lecz zasnąć nie mogłem. Nieraz uczuwałem stężenie w całem ciele, i djabełki sadowiły się na moich nogach, rękach, piersiach; urągały mi i straszyły. Zimny pot występował na czoło z przerażenia. Doszedłem jednak do doświadczenia, że, skoro poruszę palcami, zmora ustaje. Wytężałem więc całą siłę, by je poruszyć, lecz przychodziło to z wielką trudnością. Ażeby pozbyć się bezsenności, wstrzymywałem się od

*) Datę tę podaje Znicz, kalendarz informacyjny z działem literackim. Moskwa 1905

drzemki poobiedniej i zamiast dwóch szklanek herbaty pijałem tylko jedną. To poskutkowało, i zmory przestały mnie dręczyć.

Żarliwą moją religijność mimowiednie i mimowoli osłabił w wysokim stopniu ksiądz Zelwowicz. Spowodowała to moja spowiedź wielkanocna, do której przygotowałem się bardzo starannie. Na nieszczęście, czy szczęście — nie wiem — natrafiłem na spowiednika w osobie księdza Zelwowicza. Był to młody Żmudzin, brunet z żarzącemi się oczyma, fanatyk religijny. Snać zgorszony długą listą moich grzeszków, lubo żadnego ważniejszego grzechu w niej nie było, zaczął mnie wyklinać i grozić strasznemi karami w piekle: — będziesz lizał językiem rozżarzoną patelnię — mówił — za to, żem się przyznał do kłamstwa popełnionego, które nikomu żadnej szkody nie wyrządziło. — Będą cię smażyć djabli w smole i widłami za żebra podnosić do góry — prawił dlaej zawzięty spowiednik. — Idź precz, nie daję ci rozgrzeszenia — Zakończył. — Zapłakany, upokorzony, zrozpaczony odszedłem od konfesjonału. Czułem całą niesprawiedliwość księdza, bo przecież miałem już na tyle pojęcia, ażeby zrozumieć, że Bóg miłosierny nie będzie w tak okrutny sposób karać mnie za przewinienia, które nawet w oczach surowego sędziego nie mogły mieć większej wagi. Skutek tej spowiedzi był taki, że w późniejszym czasie nie byłem tak naiwnie szczery, ażebym do wszystkich grzechów się przyznawał.

Sawicki przyczynił się także do rozżarzenia mych uczuć patrjotycznych, które przygasać już były poczęły. Opowiadał wiele o prześladowaniach moskiewskich, które żywo odczuwał. Czytał wieczorem o męczeństwie młodzieży w trzeciej części Dziadów, I ja chciwie czytałem patrjotyczne utwory. Szczególnie przypominam sobie opowiadania Michała Czajkowskiego.

Miałem szczególny pociąg do uczenia się obcych języków. Nie wiem, gdzie wyczytałem, że najłatwiej można się nauczyć języka obcego przez czytanie dzieł w tym języku pisanych, chociażby z początku nie rozumiało się ich treści. Posługiwanie się słownikiem i gramatyką nie jest przy tem niezbędne, chociaż czasami nie zawadzi odwołać się do ich pomocy. Stosując się do tej rady, zacząłem czytać powieści francuskie. Miałem jakąś opowieść Ancillona, przeczytałem ją więc, zrzadka tylko zaglądając do słownika. I pamiętam, że na początku nic nie rozumiałem, później

uchwyciłem wątek treści i powieść wzbudzała coraz większe zainteresowanie. Uzyskałem pewne wyobrażenie o całości, wprawdzie niejasne i niedokładne. W późniejszych latach, kiedy już byłem w czwartej klasie, zapisałem się do czytelni francuskiej i przeczytałem sporo powieści, zwłaszcza Dumasa. Mogę powiedzieć, że czytałem je z wielkim zainteresowaniem, bo prawie wszystko rozumiałem. Nabyłem nawet większą znajomość języka francuskiego, aniżeli niemieckiego, lubo w tym ostatnim miałem dobre początki i z domu rodziców i z nauczania Rengartena. Mówić po francusku było trudniej, aniżeli po niemiecku. Doznawałem ważnej przeszkody — jak już wspominałem z powodu samogłosek: *u* i *e*.

Uczyłem się też języków: angielskiego i włoskiego. Sawicki wyrobił u lektora języka angielskiego w uniwersytecie, ażebym do niego przychodził w niedzielę na urządzane zbiorowe lekcje tego języka. Chodziłem w ciągu całego jednego roku szkolnego. Nabyłem niezłe początki. Nie mogłem tylko dać sobie rady z wymową, a zwłaszcza z *th*. Ażeby oswoić się z wymową angielską, chodziłem do kościoła anglikańskiego. Tam przed każdym siedzeniem w ławkach leżały biblja i psałterz, a na tablicy koło ambony wypisane były liczby tych stronic, które miały być w tym dniu czytane lub śpiewane. Otwierałem więc księgę i pilnie śledziłem, kiedy pastor czytał głośno, lub kiedy śpiewano. Było to w latach, kiedy byłem już w trzeciej i czwartej klasie. Uczenie się włoskiego języka szło łatwo, wielce w tem była pomocną pewna znajomość języków francuskiego i łacińskiego. Kiedy byłem już w szóstej klasie przejawiła się chęć uczenia się języka hebrajskiego. Kupiłem w tym celu gramatykę hebrajską po niemiecku, w dodatku do której były ustępy z biblji z odpowiednim małym słowniczkiem. Uczyłem się sam bez żadnej pomocy. W późniejszym czasie ta manja do obcych języków opuściła mnie: hebrajszczyznę swoją całkowicie zapomniałem, to samo niemal się stało i z greckim językiem, a jeżeli łacina nie zupełnie ulotniła się z głowy, to jedynie dlatego, że w późniejszych latach miałem z nią częściej do czynienia.

Po tej dygresji do języków obcych, wracam do przerwanego opowiadania. Po zdaniu egzaminów kursowych przez Sawickiego, matka wyjechała z nim razem na letnie wakacje do Katarzy-

nowa. Mnie zaś umieszczono na wsi Szabłówce pod opieką włościanina gospodarza, u którego w poprzednich latach mieszkali Aleksander i Sawicki. Wieś ta znajdowała się za rzeką Moskwą, za Dońskim Monasterem, w odległości 5-ciu lub 6-ciu kilometrów od miasta. Pamiętam, że, kiedyśmy wyjechali za miasto, żywo mi się przypominały lata dziecinne na wsi, i pobiegłem zrywać tak znane mi niegdyś smółki, dzwonki, groszki, kaszki i inne kwiaty polne. Gospodarz, któremu mnie polecono, nie mógł umieścić mnie w swoim domu, gdyż pokój tak zwany gościnny był już zajęty, lecz wynajął dla mnie mieszkanie u innego włościanina. Był to pokoik mały, lecz czysty, jasny, z oknami na ogrody. Oprócz łóżka i krzesełka, przywieziono i wstawiono tam mój fortepianik, który wygrałem na jakiejś loterji, urządzonej przez osoby prywatne, znane Sawickiemu. Grać nie umiałem, ale nieraz — jak przyszła fantazja — udawałem grającego, to jest przesuwałem dowolnie ręce, przebierając palcami klawisze. Huczało to i brzmiało, i sprawiało mi przyjemność. Miałem chęć uczenia się muzyki i w późniejszych latach nauczyłem się nut, a matka wyuczyła mnie grać jakiegoś walczyka, co wykonywałem dość biegle, lecz mechanicznie, bo — jak zauważono — nie miałem ucha muzykalnego.

Wieś Szabłówka leżała nad stawem, ale kąpać się biegałem do rzeczki — jeżeli się nie mylę — Jauzy, płynącej w niewielkiej odległości. Rzeczka ta miała pewne podobieństwo do naszej Indry, brzegi zarośnięte krzakami, dno piaszczyste, wodę przeźroczystą. Bardzo dobre miejsce do kąpieli było poza ogrodem jakiegoś szlacheckiego dworu. Zawsze roiło się tam od chłopaków wiejskich, z którymi prześcigałem się w pływaniu i we wzajemnem oblewaniu się wodą. Raz wydarzyła mi się tam przygoda. Przez parkan ogrodu przeskoczył pies, rzucił się na mnie i ugryzł mnie w nogę. Od tego czasu zacząłem się lękać psów, przedtem żadnej przed nimi nie miałem obawy.

Tego lata srożyła się cholera w całej Rosji, w Moskwie i w Szabłówce grasować też poczęła. Ofiarą jej padł właściciel domu, w którym mieszkałem. Patrzałem na jego męczarnie i śmierć. Podziałało to silnie na moją wyobraźnię. I przedtem nie bez lęku przepędzałem noc w moim pokoju. Nabiegawszy się atoli przez dzień cały, kładłem się znużony do łóżka, i sen szybko mię

ogarniał. Po śmierci mego najbliższego sąsiada, bo mieszkał on w drugiej połowie tego domu, taki strach mnie przejmował w nocy, że wciąż paliłem świecę i nie odważyłem się zmrużyć oczu. Dopiero kiedy świtać zaczynało, uspakajałem się i zasypiałem. Gdybym się przyznał do mych nocnych udręczeń, to przysłanoby jakiego chłopaka do nocowania ze mną, ale wstydziłem się wyznać, że się boję strachów. Bezsenne noce trapiły mię, męczyłem się ogromnie, lecz ani słowa nikomu nie powiedziałem o tem.

Lato wreszcie minęło, rozpoczynał się rok szkolny. Tymczasem z domu nie otrzymywałem ani listu, ani pieniędzy. Lękałem się, że jeżeli w oznaczonym terminie nie pojawię się w gimnazjum, to albo zupełnie zostanę wydalony, albo ukarany surowo. Trzeba więc sobie jakoś radzić. Poszedłem do miasta i znalazłem dla siebie mały pokoik wraz ze stołowaniem. Gospodyni, wynajmująca mieszkanie, podejrzliwie na mnie patrzała. Jakkolwiek bowiem miałem już rok piętnasty, wyglądałem młodziej i dziecinniej. Zgodziła się wynająć, ale żądała, by ktoś starszy, mój opiekun, przyszedł do niej i w tej sprawie się porozumiał. Wytłumaczyłem jej, że mój opiekun nie przyjechał jeszcze, a tymczasem rozpoczynają się nauki w gimnazjum. — No to dobrze — rzekła — lecz musisz mi z góry za miesiąc zapłacić. — Poszedłem do Mareckiego, ten pożyczył mi żądaną kwotę. Gdy przyrzekłem zapłacić komorne, zapytała mnie gospodyni: a czy masz pościel, bo ja daję tylko łóżko? — Mam pościel — odrzekłem — i przywiozę ją. — Lecz obietnicę tę nie łatwo było spełnić. Trzebaby poprzednio zapłacić gospodarzowi na wsi za mieszkanie i stołowanie. A pieniądze, pożyczone u Mareckiego, niemal wszystkie oddałem mojej nowej gospodyni. Nie pozostawało nic innego — przynajmniej tak mniemałem — jak wynieść potajemnie swoje rzeczy. Nie było to łatwe. Udało mi się wszakże. Związałem duży tobół z poduszką, kołdrą, prześcieradłem, bielizną, książkami; o świcie, kiedy wszyscy jeszcze spali, tyłami przez ogrody przekradłem się na gościniec. Odbyłem uciążliwą drogę, bo tobół był ciężki. Jakkolwiek umęczyłem się ogromnie, stanąłem wreszcie przed swojem mieszkaniem. Tu nowa nastręczała mi się trudność. Obawiałem się i wstydziłem wejść z tobołem na plecach. Coby pomyślała moja gospodyni, i czyby nie cofnęła umo-

wy ze mną? Próbowałem, czy nie uda się wnieść rzeczy pokryjomu do mieszkania. Pokoik mój był parterowy, okno wychodziło na ulicę. Zostawiłem więc tobół na trotuarze, a sam wszedłem do mieszkania. Na szczęście, nie zauważono mnie. Wszedłszy do pokoiku, otworzyłem okno, wyskoczyłem na ulicę i szybko wrzuciłem tobół do mieszkania. Kiedy gospodyni przyszła, było już wszystko w porządku. Nie skończyło się to atoli bez przykrych dla mnie następstw. Gospodarz, który mię żywił, przyszedł do gimnazjum upomnieć się o swoją należność. Władza gimnazjalna, gdy jej powiedziałem, że rodzice wkrótce przyjadą i spłacą należny dług, zadowoliła się tem i oddaliła gospodarza.

Dopiero po kilku tygodniach przyjechał Sawicki. Matka pozostała w domu. Wynająwszy mieszkanie w śródmieściu handlowem, dość blisko od gimnazjum, zabrał mnie do siebie. Którejś niedzieli pojechaliśmy razem do Szabłówki. Zapłacił, co się należało gospodarzowi, a ten odwiózł do miasta wraz z nami mój fortepianik i kuferek, w którym jeszcze trochę rzeczy i książek pozostało.

O ile w poprzednim roku powziąłem był dla Sawickiego życzliwe uczucie, o tyle w tym roku zniechęciłem się do niego. Podejrzliwy, drobiazgowy, jątrzył mię nieraz niesłusznem podejrzeniem i wyprawianiem scen o bagatelne sprawy. Dawniej widocznie obecność matki powstrzymywała jego opryskliwość. Co prawda, i w moim charakterze był to rok przełomowy, wychodziłem — że tak powiem — z okresu dzieciństwa i wchodziłem w nowy okres życia z mętnemi jeszcze pojęciami, niewyraźnemi zachceniami. Rok to bodaj najprzykrzejszy w moich wspomnieniach.

Była w nim atoli i świetlana chwila zachwytu. Zapałałem miłością ku cudnej Włoszce, skopjowanej z obrazu Gwido Reni'ego, jak powiadał znajdujący się u spodu napis. W Moskwie w gmachu Szkoły sztuk pięknych urządzano co roku wystawę obrazów. Chodziłem tam chętnie. I w tym roku, kiedy otwarto wystawę, poszedłem także. Przypatrując się obrazom, po różnych salach umieszczonych w jednej z nich stanąłem jakby czarem owiany przed obrazem średnich rozmiarów. Wysmukła, po wiejsku ubrana, z sierpem i snopem zboża, młoda żniwiarka wracała z pracy na polu do domu. Czyste włoskie niebo, powietrze przepojone skwarem, słońce chylące się ku zachodowi, w oddali kościółek i dzwonek rozkołysany. Na pięknej, ogorzałej, różowym odcieniem zachodzącego słońca zabarwionej twarzy, poruszały się na odgłos dzwonka, usta, szepcząc modlitwę: Ave Maria. Słodko-modlitewny wyraz rozlany po całem obliczu. Mogę się mylić w szczegółach, ale całość postaci tej cudnej żniwiarki stoi mi jeszcze dzisiaj żywo w pamięci. Zakochałem się w niej. Ile razy mogłem, przybiegałem na wystawę i najdłużej wpatrywałem się w ten obraz. W późniejszych latach, kiedy byłem w Paryżu, wyszukiwałem w Luwrze obrazy Gwido Reni'ego i znajdowałem w nich szczególny urok, może pod wpływem wspomnień o czarującej żniwiarce.

Zdawszy ostateczne egzaminy i otrzymawszy stopień rzeczywistego studenta, Sawicki wyjechał do Katarzynowa. Zostałem znowu pozostawiony sam sobie, z troską o życie, a nie było ono łatwe, bo z domu nadsyłano pieniądze nieregularnie i w niewielkich kwotach. Mieszkałem u Polki, wdowy Syciankowej, która wynajmowała pokoje i miała stałych stołowników. Syn jej studjował medycynę. Nazwisko Sycianki wpadło mi w oczy w późniejszych latach, kiedy po całej Rosji szerzył się ruch rewolucyjny. Było to w dziewiątym dziesiątku zeszłego stulecia. W jednym z procesów w liczbie oskarżonych stawali Syciankowie, brat i siostra, i jako świadek w ich sprawie, z bolesną rzewnością, przemawiał ich ojciec lekarz, zamieszkały, — o ile przypominam — w charkowskiej gubernji. Prawdopodobnie był to ten sam syn naszej chlebodawczyni. Syciankowa była dobrą kobietą, obiady dawała nam tanie, za trzy ruble miesięcznie. Można się było najeść. Zwłaszcza obficie dawała kaszy hreczanej, sosem od pieczeni omaszczonej. Syciankowa zażywała tabakę, i zdarzało się, że, gdy spieszyła się, a nie miała chustki w ręku, kapało jej z nosa. Żartowano więc, że kasza tatarczana nie tylko sosem od pieczeni, ale i tabaką była omaszczona. Nie przeszkadzało to jednak zmiatać ją na czysto. Przy obiedzie prowadzono często rozmowy polityczne. Od jednego z lokatorów pożyczyłem książki polskie do czytania. Był nim Żyd i wilnianin. — Jeżeli się nie mylę — nazywał się Załkind. Kończył w tym czasie studja lekarskie. Z gimnazjum wileńskiego wyniósł szczególną cześć dla nauczyciela historji, który w nim rozniecił patrjotyzm polski. Jedna z książek, u niego pożyczonych, utkwiła mi w pamięci. Była to „Noc let-

nia" — Krasińskiego, która mię zachwyciła swoją obrazowością. Mieszkając u Syciankowej, mieściłem się przez pewien czas w jednym sporym pokoju z dwoma studentami medycyny, Jacyną i Szymkiewiczem. Pamiętam, jak Jacyna raz ze wzruszeniem opowiadał, że idąc po ulicy, ujrzał wiezionego w kibitce przez żandarmów swego brata, i chociaż żandarmi wzbraniali, uściskał przecież brata: oddał mu wszystkie pieniądze, które miał przy sobie.

Sawicki sądził, że jako prawnik z patentem uniwersyteckim będzie mógł zrobić karjerę w służbie rządowej, nie opuszczając stron rodzinnych. Wstąpił więc do kancelarji gubernatora w Witebsku, zadawalniając się małą płacą. Przekonał się atoli, że jako Polak niebardzo może liczyć na otrzymanie wyższych posad. W Rosji łatwiej było dojść do czegoś. Wrócił więc do Moskwy, ażeby przy pomocy znajomych szukać w niej szczęścia. Matka przyjechała z nim razem. Przeniosłem się więc do ich mieszkania. Wkrótce Sawicki otrzymał posadę nadzorcy uczniów w drugiem gimnazjum, w którem był internat. Przypuszczam, że z tego powodu płaca nadzorcy była tam znacznie większa, wymagała bowiem dłuższej służby dziennej. Drugie gimnazjum, znajdujące się w znacznej odległości od trzeciego, mieściło się w dużym gmachu z dwoma skrzydłami, obejmującemi obszerny dziedziniec. W jednem ze skrzydeł, zwróconem ku ulicy, otrzymał Sawicki mieszkanie. Składało się ono z ciemnej przechodniej kuchni i czterech pokojów. W jednym z tych pokojów była sypialnia Sawickich, tam też jadaliśmy i przepędzaliśmy wieczory; drugi obszerny lecz nieforemny pokój, był gościnnym salonem, znajdował się tam duży wspaniały fortepian, i mój mały fortepianik stał tam także; trzeci był mały przechodni, wieszano tam płaszcze, i stały tam kufry; wreszcie czwarty pokój z oknem wychodzącem na ogród był mnie wyznaczony. W rozległym ogrodzie gimnazjalnym bawili się pensjonarjusze i ja często z nimi się bawiłem. Zimową porą urządzano tam górę dla saneczkowania i tego sportu używałem do syta.

Na ferje letnie matka z mężem wyjechała do Katarzynowa. Dla mnie wynajęto pokoik w pobliżu Wieży Sucharowa i znajdującego się poza nią Ogrodu Botanicznego. W tym ogrodzie — mogę powiedzieć — całe dni przepędzałem. Zgromadzało się tam sporo chłopców, bawiliśmy się ochoczo. Służba ogrodowa nie stawiała nam przeszkód, w liczbie bowiem bawiących się chłopców był także syn dyrektora ogrodu i profesora uniwersytetu Fischer von Waldheim. Profesor przychodził czasem do oranżerji i pokazywał nam pod mikroskopem różne owady i rośliny. Poza temi jednak zabawami miałem pełne trosk życie. Brak pieniędzy nieraz dotkliwie dawał się uczuwać. Przemyśliwałem o zarobku z korepetycji, i w tym to czasie Marecki przedstawił mnie Syrejszczykowym na korepetytora i nauczyciela ich synów.

W domu Syrejszczykowych przybyłem lat pięć: dwa ostatnie lata gimnazjalne i trzy lata uniwersyteckie. Pensji pieniężnej mi nie płacono, lecz miałem całkowite utrzymanie. Było mi tam dobrze, niemal tak jak we własnym domu. Zajęcie nie było uciążliwe, a miałem najzupełniejszą swobodę, z której nawet nadto korzystałem; naprzykład nieraz czy to z teatru, czy z jakiejś zabawy koleżeńskiej wracałem późno w nocy, kiedy już brama była zamknięta. Miałem osobny pokój i tylko w dni świąteczne i wakacje letnie dzieliłem to mieszkanie wespół z dwoma starszymi synami Syrejszczyków, internami szkoły handlowej. Byli to chłopcy miłego usposobienia, w tym samym prawie wieku co i ja, i nasze wspólne życie upływało zgodnie, przyjemnie, po koleżeńsku.

Miałem dwóch uczniów: Nikolę (Mikołajka) i Sierożę (spieszczone imię Siergieja), dobrych chłopców; pierwszy musiał mieć lat dziewięć, drugi nie więcej nad osiem. Obaj chłopcy przywiązali się do mnie i nieraz mnie z tego powodu udręczali. Zwłaszcza Sieroża, z usposobienia nader ruchliwy, niespokojny, wciąż skakał, chwytał mnie za szyję, za ręce, za nogi, ściskał mnie i całował. Ratowałem się od tego udręczenia w ten sposób, że kiedy prosił mnie o coś, obiecywałem to spełnić, lecz z warunkiem, że się zachowa przez godzinę spokojnie. I zazwyczaj chłopiec dotrzymywał tego warunku. Nikola był uczniem pierwszej klasy tego samego gimnazjum, do którego i ja chodziłem. Uczył się dobrze. Moim obowiązkiem było przesłuchać lekcyj, której miał się wyuczyć, i wytłumaczyć mu, czego zrozumieć nie mógł. Sierożę uczyłem pisać poprawnie, rachunków, nieco geografji; czytałem z nim razem łatwe do zrozumienia opowiadania historyczne i sam opowiadałem mu o postępach rozumu ludzkiego,

który usuwał dawne przesądy, okrucieństwa i barbarzyństwa. Z chłopcem tym zaczęły się dziać wkrótce dość dziwne rzeczy. Wstawał w nocy i wędrował po wszystkich pokojach. Ojciec, dość surowy dla synów, sądząc, że to pochodzi ze swawoli, ukarał go raz i drugi. Nic to nie pomogło, chłopiec tylko stał się trwożliwy. Okazało się, że to był lunatyzm. Odtąd pilnowano go po nocach, i lekarz zalecił mniej go obciążać nauką.

Jak już powiedziałem, było mi w domu Syrejszczykowych bardzo dobrze. Sam Syrejszczykow cały dzień przebywał w sklepie i wracał późno do domu; surowy dla synów i służby, był względny dla mnie, ale trzymał się z daleka. Żona jego, pochodząca z rodzin arystokracji kupieckiej Czetwierykowych, ujmującej postaci, nietyle piękna, co nader miła, była uprzejma, a szczególnie ją zdobiła wielka słodycz charakteru. Niezwykłej jej dobroci doświadczyłem podczas ciężkiej choroby, którą przebyłem w pierwszym roku mego pobytu w jej domu. Pomimo że był to tyfus połączony z różą, przesiadywała często przy mojem łóżku, sama dopilnowała dawania lekarstwa i w nocy przychodziła zajrzeć, czy nie potrzebowałem jakiejś obsługi. Sama była już wówczas cierpiąca, następnie zapadała coraz bardziej na zdrowiu, coraz częściej nie wychodziła w dzień ze swej sypialni, wreszcie choroba przybrała groźne rozmiary. Odbyło się konsyljum lekarskie, wezwano znakomitego profesora Owera (Overt), a pewnego dnia przywieziono słynący cudami obraz Matki Boskiej Iwerskiej. Wszystko daremnie: biedna Wiera Syrejszczykowa zgasła. Płakałem serdecznie, jakby po stracie najbliższej sobie osoby. Chciałem uczcić jej pamięć w dzienniku. Napisałem jej nekrolog i wysłałem do *Moskiewskich Wiadomości*, które w tym czasie, pod redakcją Korsza, były nie tylko własnością, lecz w pewnym względzie i organem uniwersytetu. Dziennik ten prenumerowano w domu Syrejszczykowa; czytałem go chętnie, zwłaszcza jego dodatek o zdobyczach naukowych i o nowych dziełach. Pod względem politycznym był wówczas bezbarwny. O napisaniu nekrologu nikomu nie mówiłem i wysłałem go bezimiennie. Redakcja nie ogłosiła go. Z jakiego powodu, nie wiem. Umieszczała ona przecież dość często nekrologi o osobach prywatnych, mało komu znanych. Może za nie płacono. Pod względem literackim, z pewnością mój nekrolog korzystnie się odznaczał od większości, ponieważ tchnął wielkiem i szczerem uczuciem. W tym czasie byłem już słuchaczem uniwersytetu.

Mieszkałem już w domu Syrejszczykowych, kiedy Sawiccy wrócili z Inflant. Razem z nimi przyjechali Kamila, Lucjan i Józef. W Podgórzu bowiem i w naszej rodzinie zaszły w tym czasie nader ważne wypadki. Pożar zniszczył dom mieszkalny w Podgórzu. Wybuchnął w nocy, i nie wiele można było uratować. Powszechnie utrzymywano, że przyczyną pożaru było niedopatrzenie ze strony służby, zmęczonej nieustannem podtrzymywaniem ognia w kuchni. Czyniono to z powodu okładów, przygotowanych dla Anicetego, obłożnie wówczas chorego. Pożar przyspieszył jego śmierć. Aleksander, zabrawszy młodszych braci, zamieszkał w Krasławiu. Lecz i on wkrótce umarł. Kamila pozostawała u ciotek.

Sawicki umieścił braci w drugiem gimnazjum. Dowiedziawszy się o przyjeździe matki z siostrą i z braćmi, pobiegłem ich powitać. I siostra i chłopcy uściskali mię serdecznie, ale z pewnem onieśmieleniem, byłem bowiem już w szóstej klasie, kiedy oni teraz rozpoczynali naukę w gimnazjum, a nawet co do wyglądu zewnętrznego miałem pozory mniej dziecinne od nich a bardziej dorosłego chłopca. Dosyć często, prawie co niedzielę, przychodziłem do matki. Bracia i Kamila zawsze się cieszyli z mego przybycia. Stałem się nawet wkrótce ulubieńcem siostry, która przelała na mnie swą dawną miłość dla Aleksandra.

Gdy nadeszły wakacje letnie, matka wyjechała wraz z dziećmi, a Sawicki pozostał w Moskwie. Podczas tych wakacji w Katarzynowie znalazł się pretendent do ręki mojej siostry. Był nim Michał Zaborowski, właściciel małego folwarczku pod nazwą Niemcy, niedaleko od miasteczka Rosicy w powiecie Drysieńskim. Był to niemłody już człowiek, prawdziwy hreczkosiej, małego wykształcenia, ale pracowity i poczciwy. Podobała mu się Kamila, a przytem w oczach jego miała pewną wyższość, jako należąca do warstwy ziemiańskiej i większego mienia i większego znaczenia. Matka, obawiając się, ażeby Kamila jako uboga i nie odznaczająca się ani urodą, ani wykształceniem, nie pozostała starą panną,—chętnie przyjmowała konkury Zaborowskiego. Siostra z początku o nim słuchać nie chciała. Serduszko jej było zajęte. Nie można jednak powiedzieć, by potem była nieszczęśliwą w za-

mężciu. W domu była zupełną gospodynią i miała dostatek w życiu. Oboje byli zbliżeni w swych upodobaniach. Wśród krewnych męża i bliższych jego znajomych doznawała szczególnych względów i poważania. Oboje kochali swe dzieci i szczycili się niemi. Istotnie, były to miłe dzieciaki, chłopczyk i dziewczynka. Niestety, gdy już dorośli lat ośmiu, krup gwałtownie pozbawił je życia. Rozpacz i zmartwienie rodziców były ogromne.

Wyjazd ostateczny matki, siostry i braci z Moskwy spowodował w mem życiu ważne następstwa. Zerwała się—rzec można — łączność moja z krajem, i przez lat cztery żyłem prawie wyłącznie w towarzystwie rosyjskiem. Odwiedzałem wprawdzie od czasu do czasu Sawickiego, ale zwykle zastawałem go tylko samego i niedługo bawiłem u niego. Polskich książek nie miewałem.

Wracam do wspomnień gimnazjalnych. Od czwartej klasy w naszem gimnazjum rozpoczynał się podział uczniów na klasycznych i realistów. Pierwsi uczyli się języków: łacińskiego i greckiego, z zamiarem dalszego kształcenia się na uniwersytecie; drudzy uczyli się nauk przyrodniczych (mineralogji, botaniki, zoologji i chemi,) ażeby mogli odrazu wejść w życie praktyczne. Ja należałem do klasyków. Łacińskiego języka uczył Padrin de Carnay. Wykładał swój przedmiot z przejęciem się i umiał nim zainteresować. Czytaliśmy Korneljusza Neposa, Cezara, Cycerona, Owidjusza, Horacego, Wirgiljusza, Tacyta. W szóstej klasie pisaliśmy już ćwiczenia łacińskie. Należałem do najlepszych w łacinie uczniów. Greckiego języka nauczał Ordyński. Po roku jednak skreślono z programu gimnazjalnego nauczanie greki. Ponieważ zamierzałem wstąpić na wydział historyczno-filologiczny w uniwersytecie, więc wraz z kilku innymi uczniami brałem u niego w dalszym ciągu prywatne lekcje. Wszystkie przedmioty od czwartej klasy wykładali nowi nauczyciele. Z pomiędzy nich szczególnie dwaj umieli wzbudzać zainteresowanie do wykładanych przez siebie nauk i byli lubiani przez uczniów: Sokołow, który wykładał fizykę, a dla realistów nauki przyrodnicze i chemję, oraz Grywcow, nauczyciel historji powszechnej.

Potoczysta wymowa i wielka jasność cechowały nauczanie Sokołowa. Przypominam sobie, że pierwsze jego wykłady z fizyki tak się wrażały w pamięci, że bez zaglądania do podręcznika mogłem je niemal dosłownie powtórzyć. Wykłady z fizyki sprawiały wielką przyjemność, tem bardziej że towarzyszyły im zajmujące doświadczenia. Sokołow wdawał się w gawędkę z uczniami, nie szczędząc uwag sarkastycznych o porządkach gimnazjalnych. Mniemam, że należał do liberałów ówczesnych. Kiedy byłem w piątej klasie, uczniowie chcąc mu okazać swą życzliwość, a znając jego upodobanie do kwiatów, zrobili pomiędzy sobą składkę i jako dar na jego imieniny kupili dla niego sporo roślin egzotycznych w wazonach, pomiędzy któremi odznaczała się pokaźna, chociaż jeszcze młoda i niewysoka palma.

Również piękną wymową odznaczał się Grywcow, wychowaniec petersburskiego instytutu pedagogicznego. Nie trzymał się on ściśle nakazanego podręcznika, „Historji Smaragdowa", lecz zamiast niektórych rozdziałów dawał pisane notatki, zwłaszcza w dziejach średniowiecza. Z pewną sympatją uwydatniał ważną rolę dziejową papieży. Smaragdow w swoim podręczniku, po opowiedzeniu ważniejszych wypadków, umieszczał drobnym drukiem tytuliki, wskazujące nauczycielom, coby mogli dodatkowo opowiedzieć uczniom. Były to po większej części anegdotyczne opowiadania. Czasami Grywcow pomijał niektóre, wówczas uczniowie prosili go o opowiedzenie i zawsze z wielkim zainteresowaniem słuchali. Zachęcał on do czytania dzieł historycznych, których dość sporą liczbę posiadała bibljoteka gimnazjalna. Korzystałem z niej i już wówczas czytałem w języku francuskim opowiadania Amadeusza Thierry o Merowingach, Guizot'a — Historję cywilizacji we Francji. Grywcow widocznie zwrócił na mnie uwagę. Kiedy bowiem minister oświaty — jeżeli się nie mylę — Norow, zwiedzał nasze gimnazjum i podczas lekcji historji wszedł do klasy piątej, Grywcow wyrwał mię do przesłuchania. Nie zrobiłem mu wstydu. Potoczyście, bez zająknienia, z należytem podkreśleniem tego, co stanowiło najważniejszą treść mego opowiadania, nakreśliłem obraz dziejowy Włoch w pierwszych wiekach średniowiecza. Minister słuchał z uwagą i zapytał o moje imię i nazwisko. Snać brzmienie jego polskie uderzyło go, bo zapytał mię skąd pochodzę. Grywcow był zachwycony i odtąd uważał mnie za najlepszego swego ucznia. Kiedy byłem już w siódmej klasie, mianowano go dyrektorem drugiego gimnazjum, a na jego miejsce przybył Nowikow,

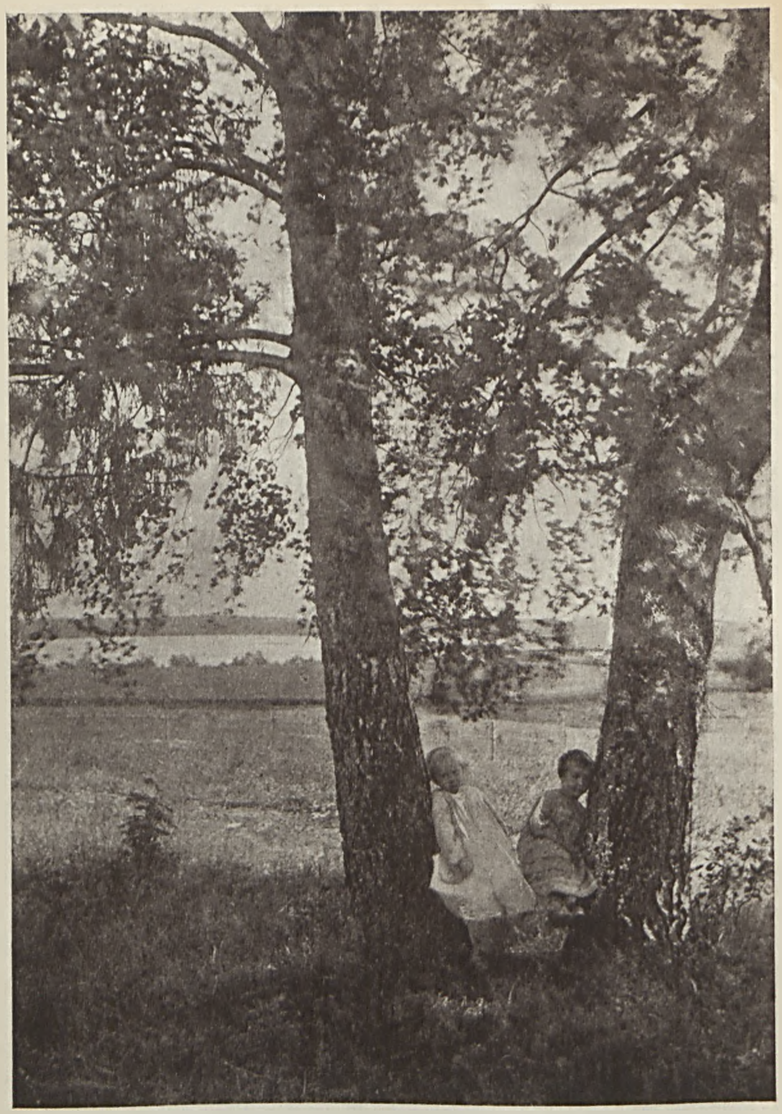
młody nauczyciel, wnet po ukończeniu uniwersytetu. Miał on dobre chęci, naśladował profesora uniwersyteckiego, lecz nie bardzo mu się to udawało. Opowiadając boje napoleońskie, najczęściej sypał zdaniami ogólnemi: „bili się dzielnie“, „odniósł walne zwycięstwo“, mnóstwo było zabitych“ i tp. Wydawało się to tak, jakby, nauczywszy się lekcji z podręcznika, recytował ją, nieraz w większem skróceniu, aniżeli to czynił podręcznik.

Do historji Rosji był osobny nauczyciel, Ilijaczew, Ilgin, czy coś w tym rodzaju. Nauczanie jego polegało na przestrzeganiu, aby wykuwano dosłownie krótką historję Ustrjałowa. Nie bawił się on w opowiadanie, ale zadając lekcję, odczytywał ją z podręcznika i wykreślał zbyteczne wyrazy, a nawet niektóre zdania. Uczniowie musieli to samo robić w swych książkach. Przy słuchaniu lekcyj, pilnie śledził, czy się zgadzało wszystko z podręcznikiem. Kto wykuwał lekcję, nie pomijając ani dodając żadnego słowa, ten otrzymywał celującą notę. Doprowadzając dzieje do najnowszych czasów, dawał on notatki pisane o Dybiczu, Paskiewiczu i jeszcze jakichś bohaterach, tyleż warte co i cała jego historja. Z Ustrjałowa zapamiętałem tylko, że najistotniejszą treścią całej rosyjskiej historji było prawosławje, samodzierżawje i jedinodierżawje, i że Kościuszko był *chrabryj Litwin* (waleczny Litwin). Uczniowie drwili i z nauczyciela i z jego historji.

Matematykę od czwartej klasy wykładał Piotrowski. Jakiej był narodowości, nie wiem. Nazwisko polskie, chociaż trzeba mieć na uwadze to, że synowie księży prawosławnych mają nieraz podobne do polskich, nazwiska. Wykładał jasno i zrozumiale. Od uczniów wymagał prędkiej i stanowczej odpowiedzi. Mawiał przytem, że powinni twierdzenia matematyczne tak umocnić w swej pamięci, by, zbudzeni nagle w nocy i zapytani o nie, mogli bez namysłu je wypowiedzieć. Z Piotrowskim łączy się u mnie przykre wspomnienie, w związku nie z jego osobą, lecz raczej z mojem usposobieniem. Kiedyś skradziono któremuś z uczniów scyzoryk. Poskarżył się on Piotrowskiemu; ten więc, stojąc u tablicy, zwrócił się do całej klasy z upomnieniem, przyczem wzrok utkwił we mnie. I ja uczułem z przerażeniem, że cała twarz moja oblała się pąsem. Zabolało mię silnie, że Piotrowski mógł to poczerwienienie moje uważać za mimowolne przyznanie się do występku niepopełnionego przeze mnie. Podobne



Katarzyna z Wysłouchów Limanowska
1880 r.



Jezioro w Jassach

wypadki i później w życiu wydarzyły mi się kilkakrotnie. Płoniła się pąsem twarz moja na myśl, że mogę być podejrzany i posądzony. Na miejsce Piotrowskiego, który po roku opuścił nasze gimnazjum, przybył zatabaczony, rozchlustany, ociężały, w ciemnych okularach matematyk. Hampeln, celujący w matematyce, mówił o nim z wielkimi pochwałami. Dla mnie, chociaż nie należałem do gorszych uczniów w tym przedmiocie, wykład jego był zagmatwany i nie odznaczał się jasnością. Nauczyciel ten widocznie był chorowity, często bowiem nie przychodził do klasy i po dwóch latach podał się do dymisji. Na egzaminie publicznym z jego przedmiotu, — była to trygonometrja, — pocieszna ze mną zaszła historja. Wyciągnąwszy bilet, odpowiadałem z taką pewnością siebie, że towarzyszący nauczycielowi świadek egzaminacyjny zaproponował postawienie mi stopnia celującego. Nauczyciel zgodził się, lecz po egzaminie powiedział mi, żem odpowiedzią swoją wcale nie zasłużył na postawiony mi stopień, i że nie sprzeciwiał się temu jedynie dla tego, ażeby nie kompromitować swego towarzysza. I mniemam, że miał słuszność. Po krótkiej przerwie, w której jeden z byłych uczniów powtarzał z nami algebrę i geometrję, objął katedrę matematyki Bolesław Trusow z Instytutu Pedagogicznego. Kiedy pierwszego dnia, czytając katalog, doszedł do mego nazwiska, zapytał mnie, czym polak. Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, przemówił do mnie kilka słów po polsku i następnie okazywał wiele życzliwości. Wykładał swój przedmiot z zamiłowaniem, zrozumiale.

Nauczycielem rosyjskiego języka był Smirnow, który poprzednio nauczał był w klasach niższych. Należałem u niego do lepszych uczniów, zwłaszcza pisane moje ćwiczenia mu się podobały. W czwartej jeszcze klasie uśmiał się szczerze, czytając moją opowieść o nadzorcach i nauczycielach naszych gimnazjalnych, oczywiście pod innemi nazwiskami i na innych stanowiskach umieszczonych. Ćwiczenie moje, pisane już w siódmej klasie, o poecie ludowym, Kolcowie, wprawiło go w zachwyt. Odczytał je głośno w klasie, a gdy nadszedł w tym czasie inspektor Pierewlewskij z wielkimi pochwałami mówił mu o mojej rozprawie. Pierewlewski wziął ją do ręki, przeglądnął pobieżnie i zapytał mię tylko, dla czego w środku wyrazu piszę wielką literę K? Właściwie nie była to wielka litera, lecz tylko mój sposób pisania.

Geografję, wykładał Batalin. Mieszały się w nim i kłóciły z sobą postęp i rutyna, liberalizm i dowolność despotyczna. Snać czytał nowsze rzeczy, opowiadał nam bowiem o pewnych nowych objaśnieniach, jak np. o powstawaniu wysp koralowych wedle Darwina, lecz równocześnie domagał się wykuwania całego szeregu nazw geograficznych, jak np. wszystkich dopływów Dunaju, Renu i innych rzek. Ułatwiając to sobie, wyśpiewywaliśmy je na wzór uczniów szkoły żydowskiej. Wygłaszał poglądy liberalne, a równocześnie korzystał ze swego prawa poniewierania uczniów. Raz i mnie sponiewierał. Zdarzyło się tak, że cała klasa nie nauczyła się lekcji. Umówiliśmy się więc, by uprzedzić Batalina o tem i prosić go, by nas nie pytał. Wybrano w tym celu dwóch: mnie i jeszcze kogoś. Nasza prośba rozłościła go. Wstąpiwszy na katedrę, odrazu mnie wyrwał, pytając o lekcję. Gdy odpowiedziałem, że się jej nie nauczyłem, postawił mi zero. Następnie zwrócił się do mego towarzysza w deputacji. Ten się usprawiedliwiał, jąkał, coś niby odpowiadał. Batalina to odstępstwo już zadowoliło, i postawił mu dwójkę. Innych też zmuszał do odpowiedzi, ale złych not nie stawiał. Całą złość na mnie wywarł. Nie dość, że mnie ukarał, zwracał się jeszcze raz po raz do mnie z szyderstwem.W siódmej klasie wykładał on statystykę państwa rosyjskiego. Dał nam w tym przedmiocie notaty pisane, rojące się od liczb i nazwisk. Wykuwaliśmy to, ale w głowie niedługo się to utrzymało.

Nauczycielem francuskiego języka od czwartej klasy był Francuz Gay. Był niemłody, miał — jak się zdaje — zęby wstawione, włosy poczernione, w okularach, poważny, lecz niezłośliwy. Okulary przeszkadzały mu widzieć z pewnej odległości. Wysuwał je więc szybko na czoło, kiedy słyszał wrzawę lub spostrzegał jakieś ruchy niezwykłe, i ujrzawszy winowajcę, wyciągał majestatycznie ku niemu rękę z wyprostowanym palcem. Na tym się kończyła milcząca przestroga. Nauczanie szło zwykłym trybem: gramatyka, tłumaczenie z francuskiego na rosyjski, a w szóstej klasie tłumaczyliśmy Listy Karamzina ze Szwajcarji na język francuski. Czasem wdawał się w gawędkę z uczniami. Raz w szóstej klasie zaczęto go wypytywać, jakie ma zdanie o każdym z nas. Wypowiadał sąd, nie obwijając w bawełnę i — trzeba przyznać — wcale trafny, chociaż najczęściej niepochlebny.

Milczałem, przysłuchując się gawędce; ale mój sąsiad, urażony ostrą oceną, rzucił mu pytanie: „et Limanowski, quelle opinion avez-vous de lui?“ Gay poprawił okulary na czole, utkwił wzrok we mnie i rzekł: „Limanowski? — Oh, celui-ci, il a du caractère“. Pamiętam, jak dziś, te słowa, które silnie połechtały moją dumę.

Caspari, nauczyciel niemieckiego języka od czwartej klasy, zadawał nam do wyuczenia się na pamięć sporo poezji Bürgera, Szyllera, Goethego. W późniejszych jeszcze latach mogłem powtórzyć w pamięci całą Lenorę i Erlkönig'a. Czytaliśmy ustępy sławnych pisarzy, a po każdem przeczytaniu, domagał się, by to powtórzyć z pamieci własnymi słowami.

Od nauczycieli, przechodzę do uczniów, z któremi się więcej zbliżyłem.

Wspólne przygotowanie się do egzaminów zbliżyło mnie z dwoma braćmi, Kryłowymi. Uczyliśmy się razem w domu ich rodziców. Byli to ludzie dostatni. Zatrzymywali mnie na cały dzień i na noc, a sama pani obchodziła się ze mną, jakbym był jej trzecim synem. I po skończonych egzaminach z trzeciej do czwartej klasy, często u nich bywałem i bawiłem się wesoło. I w następnym roku przygotowaliśmy się razem do egzaminu, ale chłopcy nie przeszli do piątej klasy, więc i stosunki moje z domem Kryłowych, aczkolwiek zawsze życzliwie mnie przyjmowano, stawały się coraz rzadsze i — że tak powiem — coraz dalsze.

W trzeciej klasie zawiązał się życzliwy stosunek pomiędzy mną i Popowem. Był to chłopak delikatny w obejściu się, dystyngowanych manier, myślący, lubiący czytać. Chętnie wdawaliśmy się z sobą w rozprawy o książkach przeczytanych, które braliśmy z bibljoteki gimnazjalnej lub które wzajemnie sobie pożyczaliśmy. Przez czas pewny, kiedy mieszkałem w drugiem gimnazjum, wracaliśmy z klasy do domu jedną drogą i wówczas to najwięcej rozprawialiśmy. Był to kandydat na liberała. Czytał nawet prelekcje paryskie Mickiewicza. Stosunki nasze z mojej winy urwały się. Nie godząc się z sobą w jakiejś kwestji, uraziłem go słowem, lubo bez złośliwego zamiaru. Odczuł on snać to silnie, bo nie przyjął podanej mu przezemnie ręki na pożegnaniu. Odtąd ustały nasze rozprawy, w klasie jednak zachowywaliśmy się wzajemnie z wielką grzecznością dla siebie. Po

ukończeniu roku w piątej klasie, znikł z gimnazjum. Co się z nim stało, nie wiem. Będąc na wygnaniu w Archangielsku, czytałem rozprawę jakiegoś Popowa o stosunkach Czartoryskiego z carem Aleksandrem. Napisana była z pewnym talentem, lecz dla nas nieżyczliwie. Może to był ten mój towarzysz z gimnazjum?

W wyższych klasach najbliższe stosunki zawiązały się pomiędzy mną, Miedwiediewym i Nikitinym. Byli to wolnomyśliciele, jakby poprzednicy późniejszych nihilistów. Szczególnie Nikitin był takim typem. Mniej on czytał i filozofował od nas, ale w namiętniejszy sposób przejawiał swą nienawiść do despotyzmu, do wszystkiego, co krępowało wolność człowieka. Wrogiem był wszelkiej władzy a nadewszystko carskiej; wydrwiwał prawosławie i popów; szydził ze swego ojca; potępiał małżeństwo; nie wierzył ani w miłość, ani w przyjaźń. Nie zdolny był do zdrady, można mu było we wszystkiem zaufać. Negacja jego wyrosła ze stosunków domowych. Syn pokątnego adwokata, który żył z oszustwa i naciągania ludzi; świętoszka, w domu którego często gościły tak zwane *b o g o m o ł k i*, tj. kobiety wyłącznie nabożeństwom i pielgrzymkom do miejsc cudownych poświęcające się; wdowca, a więc od lat dziecinnych pozbawiony opieki i miłości macierzyńskiej, a otrzymując od ojca często niezasłużone plagi. Skoro zaczął zastanawiać się nad życiem ludzkiem, uczuł pogardę nie tylko dla swego ojca, ale i dla obłudnie głoszonych przez niego zasad moralności i dla przykrywającego pożądliwość i brudy cielesne wybijania pokłonów przed obrazami świętych. Nie bywałem u niego, lecz on sam opowiadał o figlach, jakie płatał bogomołkom, a figle te nieraz były wstrętne.

Z Miedwiediewym łączyła mnie więcej niż tylko przyjazna koleżeńskość, łączyła pewna wspólnota pragnień i dążeń. Obaj chcieliśmy czegoś lepszego na świecie, aniżeli to, co znaliśmy, widzieliśmy i słyszeliśmy. Obaj nienawidziliśmy despotyzmu, i tyranów, gwałtu i brutalności. Wzajemnie udzielaliśmy sobie książek i wypowiadaliśmy swe zdania o przeczytanych. Obznajamiałem go z historją Polski, z jej literaturą, oczywiście o ile sam ją znałem. Szczególnie podczas wspólnego przygotowania się do egzaminów z piątej do szóstej klasy zacieśniły się nasze stosunki. W przeciwieństwie do Nikitina, czcił on swego ojca za prawość charakteru. Ojciec jego, wdowiec, wysłużony podoficer, był administratorem kamienicy, znajdującej się prawie naprzeciw gimnazjum. Miał mieszkanie z trzech pokojów. Poważny, małomówny, oprócz syna Pawła, mego kolegi, miał jeszcze córkę. Ta, dorosła już dziewczyna, wątła, nieładna, zawsze milcząca, cicha, prowadziła bez pomocy służącej, której nie trzymano, całe gospodarstwo domowe. Syn miał osobny dla siebie pokój. Ojciec był zadowolony, kiedy odwiedzano jego syna, i często tam bywałem, a prawie zawsze utraktowano mnie kawą albo herbatą. W dnie świąteczne do starego Miedwiediewa przychodził w gościnę jego kolega, młodszy wszakże wiekiem, także dymisjonowany podoficer. Lubił on wdawać się z nami w rozmowę, jako z ludźmi wyższego wykształcenia. Jeżeli była piękna pogoda, proponował nam wspólną przechadzkę po mieście i po drodze kupował bakalje, lub owoce, któremi nas traktował. Jakkolwiek wierny wyznawca kościoła prawosławnego i pełny czci dla majestatu carskiego, nie gorszył się zbytecznie naszemi buntowniczemi wycieczkami. Widocznie uważał, że ludziom wyższego wykształcenia wolno się nieco buntować. Quod licet Jovi, non licet bovi. Z Pawłem chodziłem razem do teatru na jaskółkę, czyli paradyz, do restauracyj na grę w bilard. Ukończywszy szóstą klasę, Miedwiediew opuścił gimnazjum, zdał wstępny egzamin do uniwersytetu i wstąpił na wydział literacki. Odtąd nasze stosunki rozluźniły się nieco. Później znowu zostaliśmy kolegami, ponieważ nie zdał egzaminu z pierwszego na drugi kurs.

W następnych latach przygotowywałem się do egzaminu ze Stupinym, i odtąd zawiązały się pomiędzy mną i nim bliższe stosunki. Rodzina jego była uboga, ale bardzo gościnna. Matka Stupina akuszerka, dość jeszcze młoda, chętnie otaczała się młodzieżą. Ojciec był ślepy i miał wygląd staruszka. W chwilach przerwy, kiedy przestawaliśmy uczyć się, przychodził do nas i grał nam na skrzypcach; lubił też przysłuchiwać się naszym rozmowom o literaturze i nauce. Stupin, mój kolega, nie wylatywał myślą daleko; oprócz przedmiotów szkolnych, nie wiele czem się interesował. Miał jednak zdrowy rozum i prawy charakter. We własnym przekonaniu uznawał moją wyższość, co otwarcie nie raz zaznaczał. Byłem w tym względzie niewyrozumiały, narzucałem nieraz dość wyniośle swoje mniemania. Nie zawsze jednak

z niemi się godził. Gdy odczuwałem, że miał słuszność, gniewało mnie to.

Razem z nami przygotowywał się także do egzaminów nowo przybyły uczeń Mołdowianin, mający nazwisko Czerkies. Mówił on biegle po polsku, był bowiem rodem z Podola, czy też z Bessarabji na pograniczu Podola. Z postaci odznaczał się niezwykle wielką tuszą. Miał fenomenalną pamięć. Powtarzał ze słyszenia niemal dosłownie całemi stronicami tłumaczenia mało przez siebie rozumianych pisarzy łacińskich. Dopomagał swej pamięci, stawiając w swej książce rozmaite znaczki, jak kropki, krzyżyki itp.

W siódmej klasie czuliśmy już przedsmak swobodniejszego życia, jakiem miało być uniwersyteckie. Niektórzy z naszych kolegów zostali już studentami uniwersytetu*). Nie poszedłem za ich przykładem dlatego, że zamierzałem zapisać się na wydział lekarski, na którym żadnego ograniczenia liczby studentów nie było. Tymczasem na wszystkich innych wydziałach był ogólny komplet ograniczony tylko do 300 słuchaczy. Utrudniało to w wysokim stopniu dostęp do uniwersytetu. Dawano pierwszeństwo tym, co przybywali z liceów (były takie trzy zakłady w Rosji, pośrednie pomiędzy gimnazjum i uniwersytetem), co ukończyli gimnazjum i nabyli prawo wstępowania do uniwersytetu bez egzaminu, a dopiero potem przychodziła kolej tych, co pozdawali wstępne egzaminy w uniwersytecie. Wskutek odejścia wielu kolegów, pozostała nas tylko mała garstka w siódmej klasie. Władze i nauczyciele obchodzili się z nami jak z dorosłymi już młodzieńcami.

Zanim skończę opowiadać o gimnazjum, nie od rzeczy będzie wspomnieć o dwóch wypadkach szerszego znaczenia, które zaszły podczas ostatnich lat mego pobytu w gimnazjum.

W państwie, tak militarnem jak rosyjskie, w którem odbywały się dotąd same tylko rewje wojskowe, po raz pierwszy urządzono w *1852* r. wielką rewję przemysłowo-rolniczą obejmującą całe państwo. I znamiennem było także to, że urządzono ją w tak zwanym Maneżu, olbrzymiej hali, przeznaczonej do rewji i ćwiczeń

*) W Rosji słuchaczy uniwersytetu nazywają studentami; tych zaś co się uczą w średnich szkołach, uczniami.

wojskowych. Opisanie tej wystawy wyznaczył nam nauczyciel języka rosyjskiego jako przedmiot ćwiczenia pisemnego. Z tego powodu badałem rewję dokładniej, a następnie dosyć szczegółowo ją opisałem. Zrobiła ona na mnie wielkie wrażenie, zetknąłem się tu pierwszy raz z kwestjami ekonomicznemi, które mię zainteresowały.

Drugim ważnym wypadkiem była wojna Rosji z Turcją. Jakkolwiek pozostawałem w środowisku rosyjskiem i zżyłem się z niem, to jednak wcale nie współczułem z Rosją. Lecz jeszcze mniej współczułem z Turcją. Za to wywierały na mnie silny wpływ artykuły pism rosyjskich, przemawiające za wyzwoleniem Słowian. A następnie uczucie moje przechyliło się stanowczo ku cesarzowi francuskiemu Napoleonowi III, kiedy ten stanął po stronie Turcji. Napoleona III-go wynosił u mnie w górę Napoleon I-szy. Odżyło uczucie z lat dziecinnych, wzmocnione dziejami cesarza, z któremi się obeznałem dość dobrze w ostatnim roku pobytu w gimnazjum. Wojny napoleońskie, których dzieje wykładano w siódmej klasie, żywo mię zajmowały. Czytałem o nich kilka dzieł historycznych francuskich. Nie współudział Polaków w wojnach tego olbrzyma dziejowego pociągał mnie ku niemu, gdyż o nich poza ks. Józefem Poniatowskim, mało wspominano w tych dziełach, które czytałem; lecz sama postać Napoleona, a szczególnie ta walka jego odporna, jaką po porażce w Rosji staczał ze sprzymierzonymi monarchami Europy, przejmowała mnie podziwem i uwielbieniem. Czytając w dziennikach o Napoleonie III-im, mimowoli, w myślach widziałem obraz wielkiego jego poprzednika.

Po zdaniu egzaminu ostatecznego i otrzymaniu patentu dającego prawo wstąpienia na uniwersytet, odczułem dość żywo wyzwolenie się z tego nieokreślonego jakiegoś lęku, jaki był się wytworzył podczas pobytu w gimnazjum. Idąc do klasy, nigdy się nie było pewnym, że cię nie spotka jakaś upokarzająca przykrość. Samo przebywanie w tym zakładzie, w którym dolatywały od czasu do czasu krzyki ćwiczonych rózgami chłopców, nie sprawiało przyjemności.

Z pewnem zadowoleniem zrzucał człowiek mundur uczniowski i przywdziewał ubiór cywilny. We własnych oczach stawał się dorosłym, samodzielnym człowiekiem. Późniejsze życie prze-

konywało nieraz, że samodzielność ta była złudzeniem, że konieczność życiowa zmuszała do uciążliwej zależności, z pozoru tylko dobrowolnej.

Podczas tych letnich miesięcy, rozgraniczających gimnazjum od uniwersytetu, zbliżyłem się z Kozakowym i z jego przyjacielem, Dumanowym, który także w tym czasie ukończył jakieś inne gimnazjum moskiewskie. Razem odbywaliśmy różne dość odległe wycieczki. Czółnem po rzece Moskwie jeździliśmy do gór Worobjewych, z których Napoleon przypatrywał się panoramie rozpościerającego się przed nim miasta; po drodze zwiedziliśmy pałac jakiejś wielkiej księżny, w którym ściany pokojowe okryte były draperjami z kosztownych materyj. Zrobiliśmy pieszą wycieczkę do Carycyna, w którym znajdował się niedokończony pałac carski z dachem mającym podobieństwo do trumny. Opowiadają, że to Potiomkin kazał budować ten pałac dla Katarzyny II-iej, lecz ta, zwiedziwszy wznoszoną budowę, niezadowolona z niej, rozkazała wstrzymać roboty. Chodziliśmy także parę razy w odleglejsze okolice na polowanie. Raz tłukliśmy się przez cały dzień po lasach i polach i okrutnie znużeni wieczorem już wracać poczęliśmy. Czarna noc zapadła, i ledwieśmy drogę mogli rozpoznać. Ze zmęczenia tchu nam brakło; usiedliśmy więc w rowie przydrożnym, by nieco wypocząć, a że było wietrzno i dość zimno, otuliliśmy się dobrze w swoje burki i paltoty. Sen nas zmorzył odrazu. Po pewnym czasie budzę się i widzę dokoła siebie jakieś zakapturzone postacie ze strzelbami. Strach mnie ogarnął. Czytane zbójeckie opowiadania żywo stanęły przed oczami. Lecz jeden z tych zbójów odezwał się, i wróciła pamięć, że siedzę w rowie z moimi towarzyszami.

Zrobiliśmy też wycieczkę do słynnego Troicko-Sergiejewskiego Klasztoru, odległego od Moskwy o jakie 60 wiorst. Z początku szliśmy pieszo i raźno, rozprawiając wesoło. Dalej zaczęła nużyć droga, nogi się obcierały i bolały, wieczorem już ledwie wlekliśmy się. Noc zapadła, kiedy przyszliśmy do wsi, znajdującej się prawie na pół drogi. Zrana wynajęliśmy furmankę i pojechaliśmy dalej. W drodze posprzeczaliśmy się — nie przypominam — o co. Towarzysze brutalnie rzucili się na mnie, aby mnie zrzucić z wozu. Później przeprosili mię i zachowywali się tak, jak gdyby nic nie zaszło. Lecz ten przejaw brutalności uraził

mię mocno, i dalszych przyjaznych stosunków z niemi nie podtrzymywałem.

Klasztor Troicko-Sergiejewskij słynął tradycją reakcyjną w historji Piotra Pierwszego i swojem bogactwem. Wnętrze cerkwi świeciło się od złota. Byliśmy na mszy. Pełno było ludzi, zwłaszcza strojnych kobiet. Zachowanie się mnichów dorodnych i opasłych było wprost wstrętne. Opowiadano, że bogate i podstarzałe panie, które przyjeżdżały z Moskwy, miały pomiędzy niemi kochanków, przywoziły im łakocie i hojnie nagradzały ich pieniędzmi. Dokoła klasztoru jakby dokoła jakiej warowni biegł mur ze strzelnicami. Chodząc po nim drogą wzniesioną dla ukrytych strzelców, wciąż napotykaliśmy sprośne napisy i pornograficzne rysunki węglem lub kredą. Była to zabawa wypasionych mnichów.

ROZDZIAŁ III

W MOSKIEWSKIM UNIWERSYTECIE

(1854 — 1858)

Wyobraźnia moja otaczała uniwersytet promienną aureolą. Nietylko był to przybytek wszystkich skarbów wiedzy, lecz otwierał też drogę do wyższej sfery życiowej. Łączyło się z nim uczucie wyzwolenia. Wstępowało się w jego progi dojrzałym młodzieńcem, którego prawo obywatelskie uznawano, a symbolem tego była szpada, obowiązkowo noszona u boku. W sferze ludzi roszczących sobie prawo do nazwy wykształconych, student uniwersytetu znajdował poważanie. Pociągało też wyobraźnię życie swobodne, wesołe, jakie się widziało wśród tej młodzieży.

Jak już mówiłem, pierwotnie miałem zamiar wstąpić na wydział historyczno-literacki. Pociągała mnie przedewszystkiem historja, następnie literatura i filologja. W gimnazjum — jak już wspominałem — sam z własnej ochoty uczyłem się języka angielskiego, włoskiego a nawet hebrajskiego. Chętnie czytałem co pisano o literaturze. Przetłumaczyłem był nawet cały ustęp o poetach perskich z Krasickiego na język rosyjski. Księgarz Smirdin, któremu zaniosłem rękopis mego tłumaczenia, żądał abym poprzednio uzyskał od cenzury pozwolenie do drukowania. Cenzor zaś, widząc mnie w mundurze gimnazjalnym, zwątpił zapewne, ażeby moja praca miała jakąś wartość, stawiał rozmaite trudności, i ostatecznie cała sprawa skończyła się na niczem.

Sawicki i matka namawiali mię, ażebym się zapisał na wydział prawny, jako dający większą rękojmię zabezpieczenia przyszłego losu. I ten wydział przedstawiał mi się także ponętnie. Wykłady historji były wspólne dla obu wydziałów: historyczno-literackiego i prawnego. Na wydziale prawnym od paru lat nowoprzybyły profesor Wernadzki wykładał ekonomję polityczną i ściągał licznych słuchaczy. Chwalono wykłady Kryłowa z prawa rzymskiego. Ale nadewszystko zachwycano się wykładami Riedkina, który prawo międzynarodowe oświetlał ze stanowiska literackiego. Sawicki dał mi do przeczytania prelekcje tego profesora spisywane przez słuchaczy. Podczas wakacji przeczytałem je, i sam przedmiot mocno mię zainteresował. Zdecydowałem się więc zapisać na wydział prawny, a to tembardziej, że nie potrzebowałem w takim razie zdawać egzaminu z greckiego języka.

Wakacje się kończyły, a moja kolej wejścia do kompletu była odległa, gdyż synowie zamożnych rodzin, ażeby dostać się łatwiej do kompletu, udawali się do liceum w Jarosławiu i jako studenci przybywali do Moskwy, mając pierwszeństwo przed wszystkimi innymi kandydatami. Rysowała się więc przedemną niemiła perspektywa. Mogłem czekać rok a może i dwa. Koledzy gimnazjalni, gdym się z nimi spotykał, namawiali mnie, bym szedł na medycynę. Piękny to zawód lekarza i chleb pewniejszy w przyszłości. Walczyłem z sobą dość długo. Do zawodu lekarskiego nie miałem pociągu, obawiałem się wielkiej jego odpowiedzialności, czułem wstręt do trupów, które krajać trzeba było; nie mogłem znosić widoku krwawych operacji. A przytem musiałem dokonać radykalnej zmiany w marzeniach o mojej przyszłej pracy naukowej. Przemogła jednak wszystko chęć rychlejszego wstąpienia do uniwersytetu. Zapisałem się na wydział lekarski i zostałem przyjęty jako student.

Nie mając pociągu do przedmiotów własnego wydziału, zaniedbywałem je, a natomiast przez cały pierwszy rok stale uczęszczałem na wykłady historji starożytnej i archeologji, czyli raczej historji rozwoju pojęć religijnych. Profesorem historji starożytnej był niedawno mianowany Kudriawcew, który zdobył sobie większą wziętość obszernem dziełem o pierwotnych dziejach Włoch, magisterską swą rozprawą. Miał suchotniczy wygląd i mówił słabym głosem. Wykłady odbywały się w obszernej sali, zawsze przepełnionej słuchaczami; nawet na stopniach katedry siedzieli studenci, zwłaszcza ci, którzy zapisywali jego słowa. Wykład jego był płynny, miękki, powagą i uczuciem nacechowany. Mówił obszernie o nowych odkryciach Bunsena

w Egipcie i przynosił wykonane przezeń rysunki. Wraziła mi się jeszcze w pamięć opowieść jego o walce Machabeuszów, z wielkiem współczuciem dla tych bojowników niepodległości narodowej przedstawiona. Profesorem archeologji był Leontjew. Zainteresowałem się przedmiotem jego wykładów przypadkowo. Zostawszy studentem, w pierwszym miesiącu chodziłem z ciekawości na wykłady wszystkich profesorów. Raz poszedłem na wykład archeologji. W małej salce wobec niewielkiej liczby słuchaczy profesor wielkiego wzrostu, trochę garbaty, cienkim, prawie piskliwym głosem, dość płynnie atoli, mówił o początku wierzeń religijnych. Wielce mię zainteresował ten przedmiot. Stałem się jednym z najbardziej pilnych jego słuchaczy. Właściwie Leontjew rozwijał pomysły filozoficzne Schelinga. Był to cudny mistyczny poemat. Robiłem notaty, przepisałem lekcje na czysto. I będąc ostatni raz w Podgórzu, widziałem jeszcze wśród różnych papierów i te moje zeszyty z wykładami Leontjewa.

Obok Kudriawcewa, słynął drugi profesor historji, Granowski, ze swobody słowa, obrazowego przedstawiania, podniosłości myśli i liberalnych przekonań. Był on w przyjaznych stosunkach z Hercenem. Czytałem już był z wielkiem upodobaniem drukowane jego wykłady publiczne. Ale publicznego jego przemawiania nie udało mi się już słyszeć. Chorował w tym czasie i wkrótce umarł. W kaplicy uniwersyteckiej wystawiono jego zwłoki, i studenci, czyli po krakowsku akademicy, z wydziału historycznego pełnili z pietyzmem straż przy trumnie. Pogrzeb był świetny i liczną ściągnął publiczność.

Na wykłady, które mnie obowiązywały, chodziłem po dyletancku; wyjątek stanowił tylko profesor Armfeldt, który z wielką swadą i żywo obrazował znaczenie i korzyści nauk lekarskich. Wykłady jego zaczęły mię zjednywać do zawodu lekarskiego. Oprócz tej encyklopedji, wykładano jeszcze w pierwszym półroczu: fizykę, nauki przyrodnicze, higjenę i anatomję ciała ludzkiego.

Nie przypominam sobie nazwiska profesora fizyki. Trzymał się on ściśle podręcznika Lenza. Wykład jego był oschły, nużący; gimnazjalne wykłady Sokołowa były o wiele więcej ciekawe i pouczające.

Jak mało interesowałem się własnym wydziałem, świadczy i to, że zgoła nie mogę przypomnieć sobie, czy mineralogja była dla nas przedmiotem obowiązującym. Wiem, że na wydziale przyrodniczym wykładał ją Polak Szczurowski i podobno doskonale znał swój przedmiot. Przypominam także, że razem z jednym z kolegów gimnazjalnych chodziłem kilka razy do muzeum przyrodniczego, i tam, odczytując notatki pisane, staraliśmy się zapamiętać właściwości oglądanych minerałów. Prawdopodobnie w ten sposób przygotowaliśmy się do egzaminu. Botanikę wykładał znany mi już dobrze staruszek, Fischer von Waldheim, dyrektor Ogrodu Botanicznego. Kiedy raz poszedłem na jego lekcję zastałem zaledwie kilku słuchaczy, co tem bardziej raziło, że wykłady odbywały się w wielkiej sali. Fischer, wszedłszy na katedrę, spojrzał na nas i, z dobrotliwym uśmiechem rzekłszy: „tres faciunt collegium“, rozpoczął swoją lekcję.

Zoologję wykładał Warneck. Przedmiot ten zainteresował mię był z innych powodów. Często w niedzielę chodziłem na plac pod Sucharową wieżę, gdzie pomiędzy innemi rozmaitemi rzeczami sprzedawano także używane książki. Oglądałem te książki i kupowałem niektóre. Tam też nabyłem dwutomową historję naturalną w języku francuskim. Była tam mineralogja, botanika i zoologja z licznemi rysunkami. Autora sobie nie przypominam. Książkę tę przeczytałem, raczej przestujowałem, i wiele mi ona dopomogła w późniejszym zdawaniu egzaminów. Najwięcej interesowała mnie zoologja. W tymże czasie czytałem z upodobaniem barwnie pisane opowiadania jakiegoś rosyjskiego pisarza, myśliwca, o życiu ptaków i leśnych zwierząt, osnute na własnych spostrzeżeniach. Zachęcało mnie to do poznawania tej nowej dla mnie dziedziny wiedzy, i zaprenumerowałem pisemko, które w tym roku zaczęło wychodzić w Moskwie w języku rosyjskim, a było poświęcone naukom przyrodniczym. Powodzenie, jakie uzyskałem na egzaminie z zoologji, otrzymałem bowiem najwyższy stopień (5), jeszcze bardziej skłoniło mnie ku tej nauce. Zamierzałem nawet specjalnie się jej poświęcić i wybrałem na początek opracowanie życia wróbli. Spisywałem więc swoje spostrzeżenia nad niemi i czytałem wszystko, co o nich pisano, robiąc z tego wyciągi. Zanotuję tu ciekawy szczegół, który się wydarzył przy egzaminie z zoologji. Odbywał się on w audyto-

rjum, i Warneckowi nikt nie asystował. Bilety leżały rozrzucone na stole. Warneck miał jedno oko wstawione ze szkła, więc ilekroć odwracał się ku tablicy widzącym swem okiem, ten i ów zbliżał się ukradkiem do stołu i zabierał bilety. Widocznie Warneck to spostrzegł i, zaczaiwszy się, pochwycił za rękę jednego z kradnących. Ten na swoje usprawiedliwienie tłumaczył się tem, że Polacy kradli.

— Tak, tak — odrzekł złośliwie Warneck. — Polacy kradli, a Rosjanina złapano. (Da, da, Polaki krali, a Ruskawo pojmali).

Najważniejszym przedmiotem naszego kursu była anatomja opisowa ciała ludzkiego. W latach poprzednich wykładał ją Polak z uniwersytetu wileńskiego, Siewruk. Podobno był to człowiek marny, lecz miał wykładać znakomicie. Wykładał anatomję po łacinie. Był bardzo wymagający, i uczniowie jego zwykle znali wyśmienicie ten przedmiot. Umarł on w roku poprzednim, i jego miejsce zajął profesor Sokołow. Od pierwszej chwili oburzyło mnie jego grubiańskie zachowanie się. Był to pierwszy, wstępny wykład. Do sali wniesiono trupa nagiej kobiety i położono na stole. Sala z ławkami wznoszącemi się amfiteatralnie, przepełniona była młodzieżą, i w tej ciżbie w jakimś zakątku odezwał się chichot, spowodowany zapewne widokiem nagości kobiety. Skarcić to można było, a nawet należało, ale nie w sposób brutalny i obrażający wszystkich. Tymczasem Sokołow, zwrócony ku wszystkim zgromadzonym studentom, wrzasnął groźnie: „Malczyszki!" (Błazny) i dodał jeszcze coś brutalnego. Jako profesor okazał bardzo mierne zdolności.

Higjenę uważano widocznie za przedmiot małej wagi, albowiem oddano jej wykład Klimenkowi, który godność profesora łączył z czynnością policyjną subinspektora. Odczytywał on monotonnie swoje lekcje spisane zapewne z jakiejś książki. Nikt na serjo nie brał jego wykładów. Studenci, żartując, mówili o nim, że z uderzeniem dzwonka przerywał w połowie słowa.

W drugim półroczu przybyła anatomja porównawcza. Wykładał ją Glebow. Przedmiot ten wcale mnie nie interesował, i na wykłady nie chodziłem.

Wojna, która odbywała się w tym czasie na półwyspie krymskim, miała przebieg dla rządu carskiego niepomyślny. Przyjmowano to z wielką obojętnością, a w tych kołach gdzie mnie

się zdarzało bywać, więcej mówiono o kradzieżach, jakie w wojsku popełniano, aniżeli okazywano współczucia z powodu klęsk.

Podczas tego roku szkolnego rozpoczął się rok 1855-ty, pamiętny dwoma ważnymi wypadkami. Pierwszym była setna rocznica istnienia uniwersytetu, drugim — śmierć Cara Mikołaja.

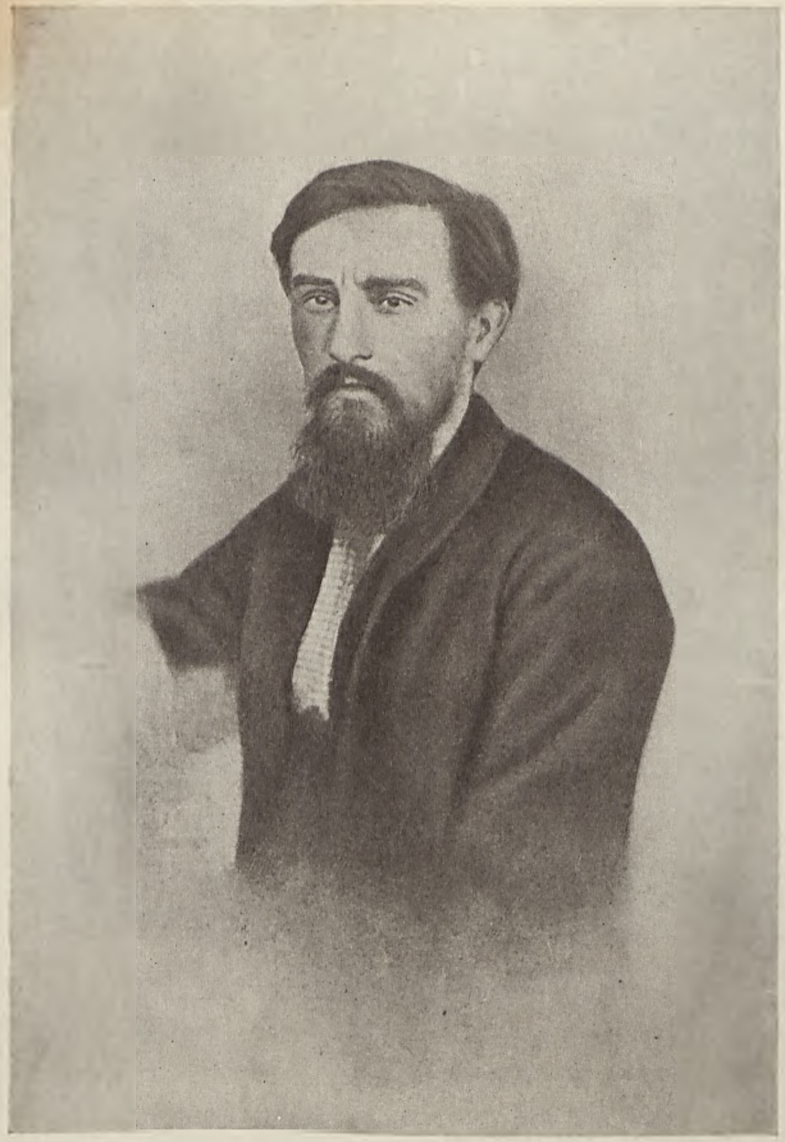
Z powodu stuletnego jubileuszu odbył się w uniwersytecie uroczyście obchód urzędowy. W kaplicy uniwersyteckiej odprawiono solenne nabożeństwo, a następnie w auli na publicznem posiedzeniu przemawiali liczni delegaci z rozmaitych uniwersytetów rosyjskich i zagranicznych. Był też urzędowy bankiet i dla gości przybyłych i dla profesorów i wreszcie dla wszystkich studentów. Rozmieszczono nas w salach wykładowych podług wydziałów i kursów. Nasz kurs jako najliczniejszy zajmował jedną z większych sal. Miejsce każdego studenta oznaczone było kartką, i obok niej stała butelka wina francuskiego. Studenci jednak tem się nie zadowolnili i wykradli sporą jeszcze ilość butelek z pokoju, w którym były one nagromadzone. To też gwar bankietowy ku końcowi zamienił się we wrzawę pijacką, a wielu chwiejnym krokiem przy pomocy kolegów wracało do domu.

Cara Mikołaja nie zdarzyło mi się widzieć. Znałem go tylko z portretu, lecz nienawidziłem z całego serca. Nienawidziłem go za wyrządzone krzywdy memu narodowi; za despotyzm, którym przytłaczał myśli i uczucia ludzkie. Śmierć jego niemal powszechnie w Moskwie odczuwano, jakby pozbycie się strasznej zmory, która uciskała piersi. Wśród młodzieży uniwersyteckiej wiadomość o śmierci cara rozbrzmiała radośnie. Opowiadano wówczas powszechnie, że Mikołaj, którego pycha została upokorzona klęskami wojennemi, kazał otruć siebie swemu lekarzowi.

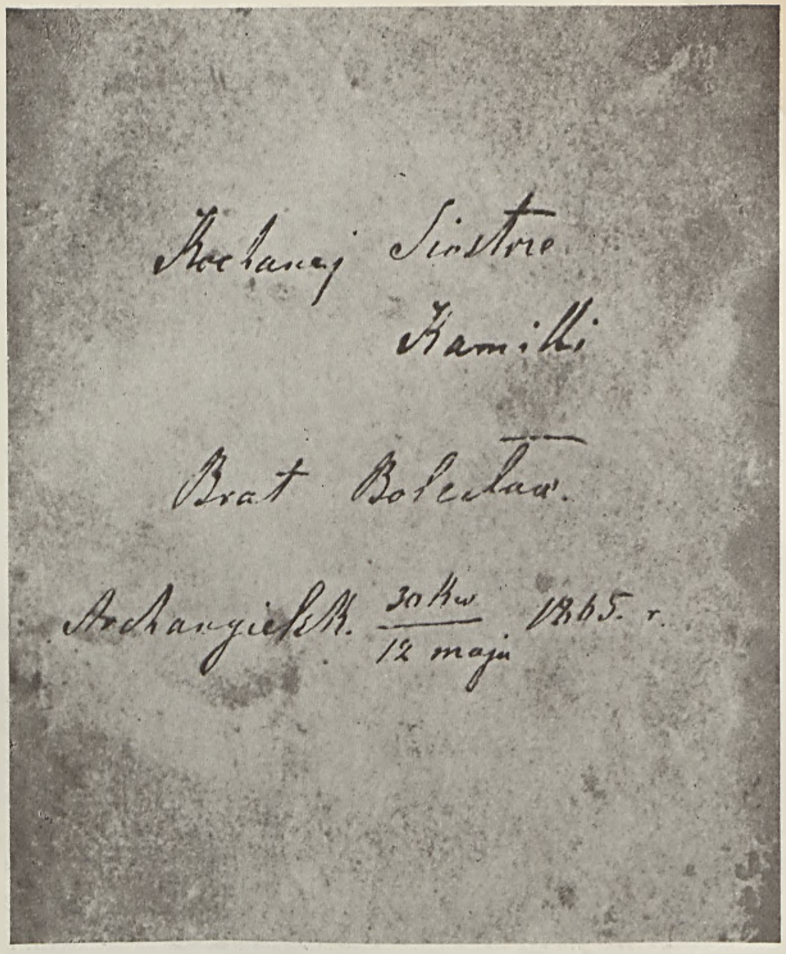
Do złożenia przysięgi nowemu carowi zawezwano wówczas wszystkich studentów. Kaplica uniwersytecka, w której zgromadziła się młodzież, huczała gwarem śmiechu, żartów, drwin. Jakiś student pochodzenia francuskiego wykrzykiwał głośno, że jego cesarzem jest Napoleon. Podług przepisu musieli wszyscy, przy odczytywaniu roty przysięgi popa, podnieść do góry prawą rękę z dwoma palcami. Wielu jednak nie podnosiło rąk, i ja w tej liczbie. Następnie na wyłożonych arkuszach na stole każdy musiał podpisać swoje nazwisko.

O nowym carze mówiono dobrze, chwalono jego liberalizm. Przybył on wkrótce i do Moskwy. Zwiedził także uniwersytet, i wówczas przypatrzyłem się mu dobrze, gdy po schodach schodził z piętra nadół. Wyglądał okazale, jako dobrze zbudowany i ładny mężczyzna. W Moskwie zyskał przychylność warstw inteligentnych. Podobało się jego proste, naturalne zachowanie się w towarzystwie. Podobało się i to, że parę razy objawił swą niechęć ciżbie ulicznej, która biegała za jego powozem i krzyczała: „hura". Kazawszy wstrzymać powóz, zawołał car do tłumu: „Byłoby lepiej, gdybyście poszli pracować, a nie biegali z wrzaskiem po ulicach". Podczas uczt publicznych nie ukrywał się z jedzeniem i piciem, jak to czynił jego ojciec, ale jadł i pił jak zwykły śmiertelnik. Moskale mówili z zadowoleniem, że nowy car pije tęgo wódkę.

Do egzaminu rocznego przystępowałem niemal z pewnością, że go nie zdam. Byłem zdecydowany przejść w takim razie na inny wydział, gdyż powszechnie mówiono o rychłem zniesieniu ustanowionego kompletu. Atoli egzaminy powiodły mi się nadspodziewanie dobrze; nawet z anatomji, najtrudniejszego a bardzo powierzchownie mi znanego przedmiotu, otrzymałem stopień dostateczny (3). Z fizyki tylko najniesłuszniej dostałem notę niedostateczną (2). Jedna dwójka wszakże nie stanowiła przeszkody do przejścia na wyższy kurs. Pozostawał jeszcze groźny egzamin z anatomji porównawczej. Glebow słynął z surowości. Kiedy dziekan wydziału lekarskiego, mając na względzie ogromną liczbę słuchaczy na naszym kursie, biadał nad problemem wyznaczenia sal wykładowych na rok przyszły, Glebow miał go uspokoić temi słowy: „Bądź pan spokojny, jak ich przepuszczę przez moje rzeszoto, wystarczą i mniejsze sale". Widząc prawdopodobieństwo przejścia na wyższy kurs, postanowiłem uzbroić się należycie do egzaminu, zająłem się więc gorliwie przestudjowaniem wykładów Glebowa i pracowałem nad niemi przez cały tydzień. Z żadnego przedmiotu nie byłem tak dobrze jak z tego przygotowany. Kiedy się rozpoczął egzamin, przebieg jego nie wróżył mi nic dobrego. Dziesięciu egzaminowanych przedemną zostało odpalonych z notą zupełnie niedostateczną (1). Wyciągnąłem bilet o trawieniu u mięczaków. Odpowiadałem dobrze i Glebow się zawahał. — Bierz pan drugi bilet — rzekł



Bolesław Limanowski
Archangielsk 1865 r.



Odwrotna strona fotografii Bolesława Limanowskiego

do mnie. Wyjąłem drugi bilet: O mózgu u ptaków. Glebow trzymając pióro w pogotowiu, ze wzrokiem ostro utkwionym we mnie, zadawał krótkie pytania: czy jest czy niema? Odpowiadałem szybko i stanowczo, próbując nawet uzasadnić swe odpowiedzi, lecz Glebow przerywał i nowe rzucał pytania. Wreszcie rzekł: „Wszystko tak, wszystko tak, ale wszystko na domysł (wsio tak, wsio tak, no wsio na abum) i nakreślił mi dwójkę. Bądź co bądź, przerwałem szereg jedynek, które znowu po mnie sypać się poczęły.

Miałem teraz dwie dwójki; służyło mi jednak prawo uzyskać po wakacjach poprawkę z jednego lub z drugiego przedmiotu. Wybrałem fizykę. Wyciągnąłem bilet o barometrze. Gdym opowiedział wszystko, co się należało, egzaminator zagadnął mnie pytaniem: dlaczego barometr zamykamy korkiem? — Zawahałem się nieco, lecz rychło odrzekłem: — ażeby kurz nie padał. — A dlaczegożby innego zdaniem pana? — odrzekł profesor i postawił mi trójkę. Przeszedłem więc na wyższy kurs.

Pierwszy to raz od wyjazdu z domu miałem spędzić wakacje w kraju, w stronach rodzinnych. Przysłano mi pieniądze na podróż. Jechałem wraz z Konaszewiczem, który już jako lekarz wracał do rodzinnej Drui.

Jechaliśmy pocztą. Upały czerwcowe dokuczały usilnie. Przejeżdżając koło pola pod Borodinem, wzajemnie sobie uprzytamnialiśmy przebieg wielkiej, zaszłej tam bitwy. Przed Smoleńskiem gościniec był świeżo wysypany szutrem, i szybka jazda na pierokładnoj (zwykłe kolasy) tak nas wytrzęsła, że przyjechaliśmy do miasta z zbolałemi wnętrznościami. Tam, gdzieśmy się zatrzymali na nocleg, przyniesiono nam samowar, naleliśmy sobie herbaty do szklanek, lecz zmęczenie było tak silne, że sen nas momentalnie ogarnął. Obudziłem się, kiedy już świtało: podniosłem głowę od stołu, przy którym siedziałem; świeca w lichtarzu dogorywała, przedemną i przed Konaszewiczem, który spał z głową leżącą na stole, stały szklanki z nienapoczętą herbatą. Następnie nocowaliśmy w Witebsku. W Połocku Konaszewicz spotkał się z kolegą Czusznickim, synem szlachcica i chłopki. Był to patrjota polski i ludoman białoruski. Opowiadał nam o przeszłości Połocka i pokazywał, co było w nim godnego widzenia. Dalej po drodze napotykaliśmy oddziały opołczeńców

(rodzaj pospolitaków) rosyjskich, zdążających do szeregów armji. Furmani nasi, Białorusini, mówili z pogardą o ich barbarzyństwie. Mniej się gorszyli tem, że Moskale kradli, cokolwiek ukraść było można, ile raczej tem, że strzelali do bocianów i jedli ich mięso. — Ależ to bocian: — mówili do nich Białorusini z oburzeniem. — Wsio rawno (wszystko jedno) — odpowiadali Moskale — botian czy nie botian, wsio gawiadina (wszystko mięso). — Na stacji w Balbinowie rozstałem się z Konaszewiczem; on pojechał do Drui, a ja, wynająwszy furmankę, udałem się do Niemiec, folwareczku Zaborowskich.

Dworek w Niemcach nie zalecał się ani swym zewnętrznym wyglądem, ani malowniczością otoczenia. Nie był to zwykły domek z obejściem szlachty zagrodowej, lecz już dworek folwarczny niezamożnego, ale praktycznego i pracowitego rolnika, szlachcica. Stał w pewnem oddaleniu od wioski włościańskiej, miał większe, aniżeli zaścianki, zabudowania gospodarskie, ogrody i sadek owocowy. Na dziedzińcu, przed gankiem z ławką tam stojącą, rosła wspaniała lipa, szeroko rozgałęziona. W kilka lat później praktyczny Zaborowski ściął tę lipę, ponieważ dawała ona przytułek licznemu rojowisku wróbli, które wyjadały wokół domu na polach ziarna pszenicy i innego zboża. Naprzeciwko ganku w pewnej oddali widać było niewielki lasek.

Michał Zaborowski, wysoki, barczysty, opalony od słońca, dobrze podeszły już w latach, ze zgrabiałemi od pracy rękami, przedstawiał typ szlachcica rolnika, co własną ciężką pracą dorabiał się majątku. Wciąż był w polu, albo kręcił się koło domowych zajęć, często własnemi rękami dopomagając. Napędzał służbę i włościan — miał kilku poddanych — wrzaskliwie, lecz w stosunkach z nimi zły nie był. Wykształcenia szkolnego nie miał prawie żadnego, lecz w życiu praktycznem nabył sporo mądrości. W listach, które w późniejszym czasie do mnie pisywał, nie trzymał się żadnych reguł gramatycznych, a wielkie i małe litery rozmieszczał, gdzie mu się podobało, często wśród wyrazu wyskakiwała nagle wielka litera. Po rosyjsku — zdaje się — umiał tylko podpisywać swoje nazwisko, a z literami jeszcze dowolniej postępował. Kiedy raz — było to już po powstaniu 1863 roku — występując w urzędzie jako nasz pełnomocnik, podpisał na dokumencie swoje nazwisko po swojemu, Moskal

urzędnik zażartował z niego: „dziwna rzecz, że panu dano pełnomocnictwo, kiedy pan pisać nie umiesz". — „Tak — odciął się Zaborowski — u was dają pełnomocnictwo tym, co pisać umieją, a u nas tym, co postępują uczciwie." Wpadłszy w dobry humor, stawał się zabawnym gawędziarzem. Znał mnóstwo pociesznych dykteryjek o szlachcie, księżach, żydach. Słuchałem ich z przyjemnością i śmiałem się serdecznie. Lecz brat mój, Józef, mający sporo złośliwego sarkazmu, zażartował kiedyś z niego boleśnie. Wysłuchawszy dykteryjkę, opowiedzianą przez Zaborowskiego, wywzajemnił się ze swojej strony pociesznem opowiadaniem. Była to ta sama co poprzednio dykteryjka, ale przenicowana w ten sposób, że stek niedorzeczności aż raził i uwydatniał głupotę opowiadającego. Biedny Michał chrząknął tylko i nic już nie mówił. Odtąd tylko ze mną chętnie rozmawiał i bez obawy powtarzał swoje dykteryjki.

Kamila rzuciła mi się na szyję, ściskając i całując serdecznie. Byłem jej najulubieńszym po nieboszczyku Aleksandrze bratem. Zachwycona była bransoletką ze sztucznych korali, którą jej przywiozłem w podarku. Macierzyństwo zniekształciło ją, a zaniedbany strój to uwydatniał. Oboje wszakże, Kamila i Michał zdawali się być zadowoleni ze swego związku. Kamila komenderowała, a Michał, chociaż krzywił się i burczał, posłusznie spełniał jej rozkazy. Oboje byli rozmiłowani w dzieciach, które, dorastając, przynosiły im coraz większą pociechę, bo i twarzyczką i miłem usposobieniem zjednywały sobie serca. Zgon ich, spowodowany krupem, wprawił rodziców w rozpacz, i później wciąż je z bolesnym żalem wspominali.

Pomimo, że Kamila czyniła wszystko, by mi dogodzić i jadłem i przysmakami, nie czułem się dobrze w Niemcach. Nie miałem co robić i nudziłem się ogromnie. Michał przebywał w polu, Kamila w kuchni albo zajęta dziećmi; w domu, oprócz książek do nabożeństwa, była tylko Kronika Bielskiego, którą Michał w święta, gdy nie miał pracy, odczytywał głośno i powoli, jakby niezbyt sobie w czytaniu ufając. Miejscowość nie wzbudzała zajęcia. Parę razy chodziłem z Michałem w pole, lecz gospodarstwo rolne mało mię wówczas interesowało. Błąkałem się więc samotnie koło domu i najczęściej przebywałem w nieogrodzonym ogródku, w którym rosło kilka drzew owocowych i trochę krze-

wów z jagodami, bawiąc się zjadaniem wisien, malin, agrestu i porzeczek. Miasteczko, Rosica (powiat drysieński), do którego jeździliśmy parę razy do kościoła, będącego jedyną prawdziwą jego ozdobą, składało się z kilkunastu lichych domków żydowskich z kilku kramikami najpotrzebniejszych artykułów spożywczych i innych dla potrzeb włościan. Była jeszcze oczywiście gospoda szynkowa i marna cerkiew, jakby jedynie dla popa i jego djaka zbudowana, bo zawsze świeciła pustką.

Przynaglałem Michała, by mi dał konie do Katarzynowa. Postanowił sam odwieść mnie do matki. Na wpół drogi zatrzymaliśmy się w Dąbrówce, gnieździe rodzinnem Zaborowskich. Dom, czyli raczej chałupa szlachcica zagrodowego, składał się z dwóch izb obszernych, podzielonych obszernemi też sieniami. Stał wpobliżu rozległego jeziora, miał ogródek kwiatowy i sad owocowy, starannie utrzymany. Mieszkał w nim starszy brat Michała, Marcin, podówczas wdowiec, z małemi dziećmi. Wypocząwszy nieco i zjadłszy obiad, ruszyliśmy dalej w drogę. Wieczorem zaskoczyła nas burza. Zrobiło się ciemno tak, że drogi widać nie było, a deszcz lał jak z wiadra. Michał kazał skierować konie ku światełku, wskazującemu wioskę. Schroniliśmy się wraz z końmi do najbliższej odryny. Pełno było tam ludzi, chłopców i dziewcząt, więc piski i chichoty. Ułożyliśmy się na sianie, lecz nie podobna było zasnąć. Takiej wściekłej burzy nie pamiętam drugi raz w życiu. Piorun po piorunie bił bez ustanku, a tak blisko, że zdawało się, iż uderza w samą odrynę. Ludzie mówili, że bił on w sąsiednie błoto i że to czartowska sprawa.

Kiedy się uspokoiło i deszcz przestał padać, wraz ze świtem wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przyjechaliśmy do Katarzynowa wcześnie, matka była jeszcze przy herbacie. Widząc moje znużenie, zaproponowała mi bym przespał się w pokoiku jej rezydentki, która wyjechała na dłuższy czas w jakimś interesie. Położyłem się tam na łóżku i odrazu zasnąłem mocno.

Wonogi, nazwane od imienia matki Katarzynowem, wcale niezły miały wygląd, a okolica sprawiała miłe wrażenie. Domek przeniesiono dawny z Lajnik — jak mniemam — bez zmiany. Postawiono go na wzgórzu, z którego drogą zjeżdżało się ku Łuksztyniom i Podgórzowi. Wewnątrz jasno i czyściuchno.

Z przedsionka, z małym pokoikiem, w którym mieszkała rezydentka, nasza daleka krewna, wchodziło się do dość obszernego pokoju, jakby salonu, z dużem weneckiem oknem, zwróconem na ogród warzywno-kwiatowy z kilku drzewami owocowemi, obok którego biegła wspomniana droga ku Podgórzowi. Na lewo z salonu wchodziło się do dwóch pokoików. W salonie pełno wazonów z kwiatami, fortepian, skromne ale gustowne mebelki. Ogromna różnica z tem, co widziałem w Niemcach. Kuchnia ze spiżarnią znajdowała się z drugiej strony przedsionka. Ganek z daszkiem i dwiema ławkami zwrócony był do dziedzińca, otoczonego dwoma domkami i zabudowaniami gospodarczemi. W jednym domku mieszkała szlachecka rodzina dzierżawcy, Wonogi bowiem były w dzierżawie: w drugim domku jedyny chłop poddany Dyłba z rodziną. Z dziedzińca na prawo prowadziła droga do rzeki Indry, płynącej wśród lasu, a na lewo inna droga zawracała do Lajnik.

Wspólnie z matką jeździłem do kościoła i do sąsiadów. Zwykłe psychiczne zjawisko, że rozmiary gmachów, widzianych w latach dziecinnych, drobnieją w oczach, gdy się je widzi ponownie po długiej przerwie w latach dojrzałych — powtórzyło się i ze mną. Kościół Indrycki wydał mi się strasznie mały i wszystko w nim drobne. Następnie wrażenie to minęło, i kościół przybrał zwykłe rozmiary. Jadąc do Indrycy, przejeżdżaliśmy koło Podgórza, który świecił ruiną i zgliszczem spalonego domu. Matka nie zapomniała o swej mentorskiej roli i nie raz wytykała niewłaściwość w tem lub owem. Przypominam sobie, że raz kiedy jechałem z matką do kościoła, wymawiała mi zachowanie się moje w towarzystwie.

— Wstyd mnie za ciebie — mówiła. — Kiedy inni młodzi są swobodni, rozmowni w towarzystwie,ty siedzisz jak mruk, od którego trudno wydobyć jakieś słowo. Brałbyś ot przykład z Włodzimierza Gizberta.

— Ależ mamo — zawołałem — przecież on milczy zawsze w towarzystwie.

— Co? miałby głupstwa gadać, to lepiej niech milczy — wykrzyknęła.

—No, to mama i o mnie może to samo powiedzieć.

Zaśmiała się, spostrzegłszy, jak niefortunny był dany przez nią przykład Włodzimierza.

Byliśmy w Dorotpolu, w Stanisławowie, w Paulinowie. W Dorotpolu Pestow biadał nad marzycielstwem patrjotycznem Polaków, a to z powodu, że bracia moi, Lucjan i Józef, zdawszy egzaminy w gimnazjum dyneburskiem, nie wrócili odrazu do domu, lecz puścili się w podróż pieszo do Wilna, by poznać to miasto. Pestow widział w tem przejaw patrjotyzmu polskiego i istotnie miał słuszność, jak się o tem przekonałem później z rozmowy z braćmi. W Paulinowie powitaliśmy się i patrzyliśmy na siebie milcząco, ja i Włodzimierz, który wyrósł na wysokiego i barczystego draba. Włodzimierz był uczniem wyższej szkoły rolniczej w Horehorkach (w gubernji mohylewskiej). W późniejszych latach byliśmy z sobą w przyjaznych stosunkach.

Najbliższym sąsiadem był Dziwiłowicz w Tołojowcach, od ległych od Katarzynowa o jaki kwadrans drogi pieszej. Była to przyjemna przechadzka. Szło się ku Indrze i z jej biegiem przechodziło się przez ładny gaik brzozowy i przez mostek dostawało się na drugi brzeg rzeczki do lasku, ponad którym na wzgórzu stał dworek tołojowiecki. Trzymano tam złe psy. Raz omal mnie nie poszarpały. Gdym przeszedł do lasu poza Indrą, jeden z psów spostrzegł mnie i rzucił się ku mnie... Postanowiłem wypróbować na nim sposobu, o którym gdzieś przedtem czytałem. Stanąłem i utkwiłem wzrok w oczy psa. To go jeszcze więcej rozzłościło i z gwałtownem szczekaniem posuwał się ku mnie. Stałem pod drzewem i miałem kij w ręku, więc aczkolwiek mój wzrok nie bardzo go przestraszał, to jednak trzymał się ode mnie w pewnej odległości. Lecz gwałtowne szczekanie zwabiło inne psy, które zaczęły ze wszystkich stron mnie obskakiwać, i mogłoby być ze mną bardzo źle; na szczęście nadbiegł parobek dworski i rozpędził psy.

Dworek tołojewiecki stał w uroczej miejscowości. Z okna sali otwierał się widok na płynącą wśród krzewów i drzew Indrę, a poza nią na piękny gaik brzozowy, należący już do Podgórza. Raz podczas mego pobytu w Tołojowcach urządzono w nocy na Indrze połów raków. Czółno z płonącem łuczywem posuwało się zwolna po wodzie. Był to jakby wyśniony z jakiejś bajki czarujący obrazek.

Zachodziłem kilkakrotnie do Dziwiłowicza. Zawsze mię serdecznie witał.

— Wiesz co — powiedział do mnie — przenoś się do mnie na mieszkanie.

Dziwiłowiczowi uśmiechało się, że będzie miał w domu kogoś, z kim można pogadać i w karty zagrać. Był to dziwny typ, niestety, dosyć częsty w ówczesnych stosunkach poddaństwa chłopskiego. Srogi, przeciążający pracą chłopów — chłopi tołojowieccy należeli do najbardziej zubożałych w okolicy — w stosunkach ze szlachtą folwarczną był życzliwy i uczynny. Wchodził już w lata podeszłe, lecz był jeszcze krzepki. Miał utrzymankę chłopkę, która z synkiem — niemowlęciem zajmowała osobny pokój i wcale nie pokazywała się jego znajomym. Czytając jaką rzewną powieść, np. Jana z Tęczyna — Niemcewicza, płakał jak bóbr, ale mógł bez litości patrzeć, jak chłopa lub chłopkę chłostano do krwi. Rozumny, w rzeczach religijnych wolterjanin, lubił opowiadać przeżyte historje, różne facecyjki, często drastyczne.

Matka, której powiedziałem o propozycji Dziwiłowicza, przyjęła to z zadowoleniem. Miałaby mniejszy kłopot o jednego syna, gdyż lada dzień oczekiwała przybycia moich braci, a bliskość Tołojowiec pozwalała mi często ją odwiedzać. Pochlebiała jej przytem ta uprzejmość ze strony sąsiada.

Pobyt w Tołojowcach nie krępował mnie w niczem. Byłem jak u siebie w domu. Czytałem, przechadzałem się, grałem z Dziwiłowiczem w preferansa (stawka była malutka), jeździłem do Drui, chodziłem do Katarzynowa, a wieczorem gawędziliśmy do późna, siedząc na ganku lub w ogrodzie. Szczególnie bardzo mile czas upływał, kiedy przyjechał z Wilna Feliks Korsak, ulubieniec Dziwiłowicza. Feliks Korsak wraz ze starszym bratem, Stanisławem, posiadali sporą ziemską majętność w powiecie siebieskim. Obaj bezżenni. Stanisław zajmował się gospodarstwem, Feliks zaś czuł pociąg do literatury, do życia publicznego. Corocznie własnemi końmi i własnym powozem jeździł do Wilna, gdzie z miejscowymi literatami pozostawał w przyjaznych stosunkach i gdzie zaopatrywał się w nowsze książki polskie. I teraz wiózł z sobą sporą ich liczbę. Przypominam sobie, że z przywiezionych książek przeczytałem historję rewolucji francuskiej,

napisaną przez Ponjoulet'a, a spolszczoną przez Kondratowicza (Syrokomlę). W historji tej były śpiewki, pięknym wierszem spolszczone. Wówczas to pierwszy raz zapoznałem się z tym poetą, którego utwory w późniejszych czasach z lubością czytałem. Ze wszystkich, co o nim pisali — podług mego przekonania — najlepiej go ocenił Aleksander Brückner w swych „Dziejach literatury polskiej."

Korsak dość długo bawił w Tołojowcach i były to najmilsze chwile gościny u Dziwiłowicza. Wielce sympatyczny, był gorącym patrjotą i miał postępowe przekonania. Przechadzając się lub siedząc wieczorami w ogrodzie, długie prowadziliśmy rozmowy o książkach czytanych i o sprawach publicznych. Żartował z moich sympatyj rosyjskich i mawiał, że w Moskwie zupełnie zmoskwiczeję. Wogóle muszę wyznać, że ten pobyt w kraju wpłynął na mnie dodatnio pod względem narodowym. Wprawdzie i później, po powrocie do Moskwy, nie odrazu nawiązałem stosunki z kolegami rodakami przez niewłaściwą ambicję, iż się narzucam ze swoją znajomością, — lecz, jeżeli przypadek zbliżył mnie z którym, to chętnie ten stosunek podtrzymywałem.

Do Drui jeździłem kilka razy. Miasteczko przypominało mi się wdzięcznie z lat dziecinnych. Szczególnie swojskie wrażenie sprawiała apteka, do której wstępowałem. Najczęściej zastawałem aptekarza, stojącego w drzwiach. Uśmiechnięty, witał przechodniów. Nie miał pomocnika, sam wszystko robił. I nie tylko czynności aptekarskie spełniał, lecz dawał i poradę lekarską. Przychodziły chłopki, chłopi — żydów nie widywałem — żaląc się na bóle, słabości, a on dawał im leki i tłumaczył, jak je zażywać należy.

Przyjeżdżając do Drui, odwiedzałem siostrę Dziwiłowicza, ciocię Różę, która mieszkała na głównej ulicy we własnym domu, jednym z najpiękniejszych w miasteczku. Młodsza była od brata. Miała dobre serce, lubiano ją więc powszechnie. Zawsze zatrzymywała mię na obiad. Była rozmowna i lubiła opowiadać o minionych czasach, o świetności swego rodu. Dziwny miała sposób chwalenia: niewiadomo było, czy mówi serjo, czy kpi. Pamiętam, że poszliśmy razem odwiedzić moją matkę chrzestną, kapitanową Nowicką, która w Drui miała też własny dom. W oczekiwaniu na przyjście gospodyni, staliśmy w salonie przed

oknem, które wychodziło na ogród. Ciocia Róża wychwalała wielką gospodarność Nowickiej: — „ot i krowa — ciągnęła dalej — chodzi po ogrodzie." Istotnie, krowa deptała kwiaty na klombach.

Wakacje upływały, a ja prawie ze wsi nie korzystałem. Z powodu silnego przeziębienia nie używałem kąpieli rzecznych ani nie robiłem dłuższych wycieczek. Sprzykrzyło mi się to, i postanowiłem żyć, jakby mi nic nie było. Zacząłem codziennie chodzić do kąpieli; wybrałem się z Lucjanem na polowanie, włóczyliśmy się dzień cały; wracając o zmroku, gdyśmy przebierali się przez rzeczkę Indrycę, która była się rozlała, wpadłem do wody i przemoczyłem nogi. Zmęczeni, zabłoceni, zgłodniali przyszliśmy do domu. Następnych dni chodziliśmy pieszo do Podgórza, którego dzierżawę trzymał Kibort, wzdłuż Dźwiny po jej wybrzeżu, w gościnę do księdza Golmina. I po tygodniu takiego życia byłem zupełnie zdrów: kaszel minął.

Bracia odjechali do Dyneburga, a ja z matką pojechałem do ciotek w siebieskiem. Na obiedzie byliśmy w Dąbrówce, a nocowaliśmy w Niemcach. Wyruszywszy z rana w dalszą drogę, popasaliśmy w jakiejś karczmie. Przypatrywałem się tam nauce zgromadzonej dziatwy żydowskiej. Uczyli się na pamięć — nie wiem, czy biblji, czy talmudu, wyśpiewując i kiwając się wraz z swoim nauczycielem, młodym, wychudzonym żydem, niemającym jeszcze 20 lat. Trzymał on w ręku linję, a jeżeli który z uczniów chwilowo zamilkł albo wyśpiewywał fałszywie, to tłukł go tą linją po głowie.

Wieczorem stanęliśmy w Krzywcówce u Jesipowiczów. Nie urocza to miejscowość; smętna, ponura. Folwark niewielki i dwór także, ale wnętrze domku ozdobnie i wygodnie urządzone. Było to dziełem cioci Karoliny, która posiadała poczucie estetyczne w dość wysokim stopniu i zmysł ładu, porządku. W domu ona panowała. Lecz w stajni gospodarzem był sam Jesipowicz. Miał piękne, ogniste ogiery. Ciotka obawiała się niemi jeździć bez męża, który umiał je powstrzymywać.

Bawiliśmy w Krzywcówce niedługo: dzień, może dwa. Chodziliśmy na przechadzkę do niedalekiego świerkowo-sosnowego lasu. Droga szła wśród pól, gęsto usianych kamieniami. Nigdzie podobnych nie zdarzyło mi się widzieć.

Do Jass wyruszyliśmy wszyscy. Ja jechałem z ciotką Karoliną w jej pojeździe. Przez całą drogę rozprawialiśmy o literaturze; przypominam sobie, że unosiłem się nad Byronem, zachwycał mnie buntowniczy, mściwy charakter jego bohaterów.

Gdyśmy się zbliżyli do Jass, zaświeciły one z oddali czerwonemi dachami, jakby jakie miasteczko. Były to budowle, rozpoczęte na większą skalę, lecz prawie wszystkie niewykończone. Korzeniowski w komedji: „Fabrykant" jakby żywcem ujął Pietraszewskiego. I ten lubił budować, lecz nie miał cierpliwości doprowadzić budowy do końca.

Ciocię Felisię, która nadstawiła mi twarz ucałowałem mocno. Matka zburczała mię za to: powinienem był ucałować ręce cioci, a nie sięgać jej twarzy. Ciocia Felisia śmiała się serdecznie, i ująwszy mię za szyję, ucałowała kilka razy w czoło. Pietraszewski uściskał mnie także z serdecznością. Rodzinne ciepło ogarnęło mnie. Dobrze mi było, zajmowały mię długie rozmowy o dawnych czasach, wspomnieniach rodzinnych, sprawach domowych, stosunkach z sąsiadami.

Dwór w Jassach był obszerny. Do dawnego dobudowano nowe skrzydło, lecz Pietraszewski po swojemu nie dokończył budowy. Właśnie nieukończona była duża sala, w której zgromadziliśmy się wszyscy na śniadanie, obiad, kolację. Były jeszcze boczne pokoje trzy czy cztery — nie pamiętam. Jeden mnie wyznaczono, w drugim mieściła się matka, w trzecim ciocia Karolina. Dwór jasski znajdował się w lesistej okolicy ponad brzegiem dużego jeziora, od którego odgradzał tylko ogród owocowy. Co rana chodziłem kąpać się do tego jeziora. W niewielkiej odległości widać było cerkiew i plebanję, lecz pomiędzy dworem i rodziną parocha żadnych nie było stosunków.

Chodziliśmy często wszyscy na przechadzkę do pobliskiego lasu, raczej puszczy, w której wysokie sosny i jodły o grubych pniach świeciły się wspaniale, roztaczając w powietrzu zapach balsamiczny. Parę razy chodziliśmy do Słobódki, odległej o kilka wiorst, a będącej złotonośną kurką posiadłości jasskiej. Był tam gościniec kamienny (szosa), prowadzący do Petersburga. Tym gościńcem przeciągały ustawicznie wozy z towarami, jadące razem nieraz w liczbie kilkudziesięciu. Pietraszewski wpadł na dobry pomysł i wybudował tam obszerną gospodę ze stajnią i wozownią dla wygody przeciągających z towarami furmanów. Zatrzymywano się tam w porze obiadowej i na nocleg. Obok gospody był kramik z niezbędnemi w podróży rzeczami, jak dziegieć, sznury, uprząż, obuwie, odzież. Gospodarzem tej całej siedziby był zaufany Pietraszewskiego włościanin z Jass. Przynosiła ona tyle dochodu, co reszta majętności jasskiej.

Gościniec kamienny odgraniczał Jassy od dóbr Ulanowskiego, generała w wojsku rosyjskiem. Był to nasz krewny. Po śmierci ojca, spotkawszy matkę czy ciotkę, oświadczył był swą gotowość wziąć nas chłopców w swą opiekę. — Doprowadzę ich do tego — miał mówić — że będą w karetach jeździć. — Ożeniony z Rosjanką, wyzbył się zupełnie polskości. Chociaż pozostał katolikiem, w dobrach swoich budował cerkwie prawosławne. Jedną taką cerkiew piorun spalił, co katolicy tameczni uważali za przestrogę, daną mu przez Pana Boga. Otóż, ten Ulanowski, widząc wielkie powodzenie gospody Pietraszewskiego, wybudował naprzeciw z drugiej strony gościńca podobną gospodę. To uszczupliło dochód Pietraszewskiego, lecz w każdym razie był jeszcze duży.

W tejże Słobódce znajdowała się murowana stacja pocztowa z pięknemi pokojami umeblowanemi dla przejezdnych. Pocztmistrzem był młody rosjanin spolszczony. Mówił dobrze po polsku, bywał w Jassach i oddawał Pietraszewskiemu rozmaite usługi. Kochał się on w mojej kuzynce, Paulinie, która mieszkała stale u cioci Felisi, lecz wyjechała do matki tuż przed moim przyjazdem.

Pietraszewski, wbrew swej ociężałości domatorskiej, woził mnie po okolicy, aby mnie z nią zapoznać. Byliśmy tu i ówdzie, lecz nazwiska zatarły się w pamięci. Przypominam sobie tylko Bobrowskich, rozrodzonych w całą osadę. Była to szlachta zagrodowa, dosyć zamożna, z nami po ojcu spokrewniona. Kiedy byłem w Archangielsku, jednego z tych młodych Bobrowskich przysłano na wygnanie do Szenkurska, lecz wśród współwygnańców nie zażywał on dobrej opinji.

Jakoś w tym czasie przypadły imieniny młodej Rutkowskiej, córki wdowy, posiadającej mająteczek w nieco dalszej odległości od Jass. — Pojedziemy do nich — powiedział do mnie Pietraszewski — poznasz śliczną panienkę. — Istotnie niezwykłej

była urody. Młodziutka, dopiero tego lata ukończyła swoje pensjonarskie wykształcenie. Zastaliśmy sporą liczbę gości, przeważnie młodzieży męskiej. Wszystko to się obracało koło młodej Rutkowskiej. I na mnie jej piękność silne zrobiła wrażenie. Spostrzegła to ona, a świadoma swej urody, rozbawiona, wesoła, rozmowna, odrazu zaczęła mię wyróżniać wśród młodzieży jako studenta uniwersytetu, a może i jako siostrzana jednej z większych właścicielek ziemskich, gdyż Jassy były własnością cioci Felisi.

Wakacje się kończyły, trzeba było wracać do Rosji, tembardziej że miałem przed sobą poprawkę egzaminową z fizyki. Miałem jechać na Petersburg. Pocztmistrz w Zarzeczu ułatwił mi znalezienie towarzysza podróży. Był to Polak, student Akademji Medycznej petersburskiej. Wracał jak i ja z wakacji. Obdarzony przez ciotki pieniędzmi, zaopatrzony hojnie w żywność, wyruszyłem w drogę. Żadnych szczególnych wrażeń sobie nie przypominam, aż do wjazdu do gubernji petersburskiej. Jej wygląd odmienny: kirki luterańskie z kogutami u szczytu, dziewczęta czuchońskie, oczyszczające gościniec od błota, a witające nas wesoło uśmiechem, okrągłolice, zaróżowione, — sprawiały dziwnie przyjemne wrażenie. Po drodze do Petersburga zwróciły jeszcze moją uwagę stojące po wzgórzach jakby młyny wietrzne — słupy telegraficzne z wielkiemi skrzydłami.

O ile sobie przypominam — z Gatczyny jechaliśmy do Petersburga koleją. Umacnia mnie w tem pewien szczegół z ówczesnych wspomnień. W wagonie opowiadał mi jakiś jegomość, że widział żandarmów, wiozących więźnia. Zapytywani przez niego, mieli mu powiedzieć, że wiozą generała polskiego, Bema. Wówczas uwierzyłem był temu, nie miałem jeszcze powodów stać się podejrzliwym.

Po przyjeździe do Petersburga, zatrzymałem się wraz z moim towarzyszem w jakimś wspólnem mieszkaniu studenckiem w części miasta poza Newą, zwanej Wyborską Stroną. Nocowałem tam, w dzień bowiem chodziłem po mieście, zwiedzając wszystko, gdzie się tylko dostać mogłem. Byłem w uniwersytecie, tam się przedstawiłem inspektorowi studentów, jak tego wymagał regulamin. Wykłady nie rozpoczęły się jeszcze. Chodząc po ulicach Petersburga, przypominałem sobie jego opisy przez Mic-

kiewicza. Zwiedziłem na Newskim Prospekcie kościół katolicki, sobór Isakijewski, cerkiew Kazańską, te ostatnie pełne przepychu, przed nimi posągi wodzów rosyjskich. Byłem w wielkiej Bibljotece Publicznej, do której wcielono bogate zbiory, zrabowane w Warszawie w Bibljotece Załuskich i w Towarzystwie Przyjaciół Nauk; byłem też w Ermitażu, gdzie oglądałem zrabowane w Reims ewangielje starożytne z ozdobnemi rysunkami, wykonanemi piórem. Lubowałem się roślinnością zwrotnikową i wysokiemi palmami w pysznych oranżerjach. Dostałem się nawet do Zimowego pałacu carów. W tym czasie nikogo z rodziny carskiej tam nie było, i dozorca pałacowy, któremu wsunąłem do ręki jakiś pieniądz, oprowadził mnie po wszystkich pokojach. Było tam sporo obrazów z Warszawy, o ile sobie przypominam, pędzla Bacciarellego. Wogóle pamiątki polskie wciąż się napotykało. Wspominałem już Bibljotekę Publiczną, której główną pierwotną podstawą była Bibljoteka Załuskich; w Ermitażu były też obrazy i inne pamiątki polskie; w cerkwiach sztandary; w parku posągi królów polskich zrabowane w Puławach.

Poszedłem też zobaczyć tę słynną ze swej grozy twierdzę Pietropawłowską, w której podziemnych lochach siedzieli Niemcewicz, Kiliński, Fiszer, Mostowski i wielu innych patryjotów polskich. Tam wydarzył mi się dziwaczny wypadek. Byłem w płaszczu i kapeluszu trójkątnym, jaki podówczas studenci uniwersytetów nosili. Kiedym wszedł na rozległy dziedziniec, żołnierz stojący na warcie przy przeciwległej kordegardzie, uderzył w dzwon, a na ten odgłos wyskoczyli żołnierze z oficerem, pochwycili za broń i salutowali. Rozglądnąłem się na wszystkie strony, komuby to honory oddawano. Nikogo jednak zgoła, prócz mnie, na całym placu nie było. Więc honory otrzymał mój kapelusz, który widocznie zmylił wartującego żołnierza, gdyż w podobnych kapeluszach chodzili wyżsi urzędnicy wojskowi.

Rodacy moi z Akademji Medycznej, u których w Petersburgu zatrzymałem się, przykre sprawili na mnie wrażenie. Widoczny był na nich wpływ moskiewski. I o sobie nie mogę powiedzieć, żem nie uległ temu wpływowi, lecz oni poszli w gorszym kierunku, podczas gdy ja zawsze skłaniałem się ku antycarskiemu, antyrządowemu, opozycyjnemu, a przedewszystkiem przeciw ko przemocy, gwałtom, brutalności. Natomiast na nich uwydat-

niał się wpływ oficerskiej sfery rosyjskiej, dla której wódka i kobiety stanowiły najmilszą zabawę, a ta zabawa pospolicie kończyły się orgją i brutalstwem. Nie miałem sposobności poznać w Petersburgu studentów uniwersytetu, lecz w Moskwie studenci Rosjanie wielce się różnili w tym względzie od oficerów rosyjskich. I oni upijali się i chętnie się zabawiali z kobietami wolnych obyczajów, lecz nie posuwali się do brutalności, do zwierzęcej swawoli. Tymczasem w Petersburgu ostatniego wieczora, przed wyjazdem widziałem ze wstrętem, jak sprowadzonym z ulicy przygodnym kochankom, odpłacano się obelgą i brutalnemi figlami.

Drogę z Petersburga do Moskwy odbyłem koleją, bez żadnych ważniejszych wrażeń, któreby się utrwaliły w pamięci. Chciałem zobaczyć Twer, słynną siedzibę liberalizmu rosyjskiego, lecz stacja była dość odległa od miasta.

Podczas pobytu w Jassach, trawiąc czas na jedzeniu, piciu, miłych pogadankach, wesołych przechadzkach, tak się rozleniwiłem, że nie przeczytałem żadnej książki, chociaż wybrałem był kilka i zaniosłem do swego pokoju. — Co to będzie ze mną — myślałem — gdy po powrocie trzeba będzie zabrać się do nauki? — Okazało się atoli, że całe lenistwo moje, gdym wrócił do zwykłych zajęć, znikło jak różdżką czarodziejską odegnane. Załatwiłem się z poprawką egzaminową i przeczytałem poważnych parę dzieł.

Wkrótce rozpoczęły się wykłady. Najważniejszym przedmiotem była fizjologja. Wykładał ją Glebow z wielką swadą. Bardzo mi się podobała metoda nauczania. Nazwał bym ją krytyczną. Mówiąc o jakimś organie i jego funkcji, przedstawiał przyjęte już przez uczonych fizjologów pewne twierdzenia i popierał je dowodami. Następnie zbijał te dowody i obalał samo twierdzenie, a przynajmniej wykazywał jego jednostronność. Czynił to nieraz z kilku twierdzeniami. Wreszcie stawiał nową hipotezę, albo już wygłoszoną przez jakiego uczonego, albo też własną. Byłem zachwycony jego wykładami, i zdawało mi się, że stał on na samym szczycie wiedzy. Gdy później przeniosłem się do Dorpatu i, mając zdawać egzamin z fizjologji, przestudjowałem skrypta wykładów tamecznego profesora, znanego dobrze w literaturze naukowej Biddera, przekonałem się, że wykłady Glebowa

nie stały na poziomie najnowszych badań, a nawet wcale nie wspominał on o nowych sposobach badania, jak np. o sposobie graficznym.

Fizjologja mocno mnie interesowała i postanowiłem specjalnie jej się poświęcić. Wykłady Glebowa wrażały się silnie w pamięć, tak że mogłem je niemal dosłownie powtarzać. Zachodziłem wówczas dość często do tego lekarza Polaka, który mnie kiedyś leczył, gdym chorował na gorączkę tyfusową. Obecnie kurował się on na jakąś chorobę i potrzebował pomocy, ażeby mu ktoś smarował grzbiet przepisaną maścią. Oddawałem mu tę przysługę i podczas smarowania powtarzałem mu nieraz całą lekcję Glebowa. Pamiętam, że gdym mu opowiadał o komórce, jako o pierwotnym i zasadniczym ustroju życia organicznego, był mocno tem zainteresowany i nie przypominał sobie, ażeby nauczano o tem w fizjologji za jego czasów. Zdaje się, że odbywał on studja lekarskie w uniwersytecie kijowskim. Był to człowiek podeszłego już wieku. Na Kaukazie, gdzie był przez wiele lat lekarzem, dorobił się znacznego majątku i nieraz oświadczał, że mnie go zapisze w testamencie. Dziękowałem mu za jego dobre chęci dla mnie, ale mówiłem, że byłoby więcej celowo i pożytecznie, gdyby zapisał ten swój fundusz na stypendjum dla ucznia medycyny w mającej powstać Akademji Medycznej w Warszawie. Wrócił on później do stron rodzinnych na Wołyń czy też na Podole. Słyszałam, że osiadł w jakimś klasztorze i tam zapewne zostawił swój fundusz.

Zajmowałem się fizjologją z zamiłowaniem. Czytałem dzieła francuskich fizjologów, Magendie i Flourens'a. Największe budziły we mnie zainteresowanie przejawy nerwowe i sam akt powstawania organizmów. Napisałem nawet małą rozprawkę o generatio alternans. Kiedy w późniejsyzm czasie miałem się przenieść do Dorpatu i niszczyłem swoje pisaniny rosyjskie, kolega Dogiel, widząc to, prosił, ażebym mu oddał tą rozprawkę, gdyż ją był czytał, i podobała mu się ona. Nic nie miałem przeciwko temu, by ją zabrał.

Słuchaczom fizjologji wyznaczono rozmaite zadania, które trzeba było ująć w pewne wnioski i objaśnić na podstawie doświadczeń i spostrzeżeń, wykonywanych na zwierzętach pod nadzorem prosektora. Mnie dano gołębia, któremu przekłuto

głowę grubą długą szpilką. Zabrałem tego gołębia do domu i przez kilka dni obserwowałem jego ruchy i inne przejawy życia. Spostrzeżenia te opisałem i na podstawie ich wywnioskowałem, jakie części mózgu zostały uszkodzone. Rozprawkę tę wraz z gołębiem oddałem prosektorowi. Ten, zrobiwszy sekcję, przyznał trafność moich wniosków. Nie przypominam sobie, o czem mówiłem na egzaminie z fizjologji, wiem tylko, że groźny i surowy egzaminator wystawił mi najwyższy stopień uznania: 5+ (pięć z krzyżykiem). Powodzenie to zachęciło mnie jeszcze bardziej do studjów fizjologicznych.

Wówczas to powziąłem także myśl nakreślenia pewnego rodzaju fizjologji, której przedmiotem jednak nie byłoby życie pojedyńczego człowieka, lecz społeczeństwa ludzkiego. Nie wiedziałem jeszcze wtenczas, że zarys już takiej nauki został nakreślony przez Augusta Comte'a. I co jest ciekawe, że już wówczas mniemałem, że w rozwoju życia społecznego rodzina ma to samo znaczenie co komórka w życiu osobnikowem, mniemanie wygłaszane przez socjologów, a szczególnie przez Schäfflego, uwydatnione i aż do szczegółów rozwinięte.

W teatrze anatomicznym, w którym odbywały się wykłady anatomji i fizjologji, zajmowaliśmy się praktycznie anatomją, pod kierunkiem prosektora, o którym wspominałem, a którego nazwiska przypomnieć sobie nie mogę. Robił on sekcje sądowo-policyjne trupów, przywożonych dla zbadania przyczyny śmierci do teatru anatomicznego, oraz przygotowywał dla użytku profesorów i dla gabinetów preparaty anatomiczne z prawdziwym artyzmem. Znał wyśmienicie anatomję topograficzną w najdrobniejszych jej szczegółach. Każdy z studentów drugiego kursu obowiązany był wyrobić, pod jego nadzorem i kierunkiem, dwa preparaty anatomiczne i ostatecznie, oddając mu, omówić szczegółowo wykonaną pracę, co stanowiło pewnego rodzaju egzamin. Grzeczny i uprzejmy w stosunkach z studentami, ważną oddawał pomoc w nabyciu wiedzy anatomicznej. Chcąc przestudjować całą anatomję, wzięliśmy też we czterech całego trupa do spreparowania. Ponieważ rozkład trupa, pomimo środków dezynfekcyjnych, odbywał się szybko, więc trzeba było spieszyć się z robotą. Siedzieliśmy przeto, preparując od poranku do późnego wieczora. Nie chodziłem nawet na obiad do domu, a zadawalałem

się, zjadając w znajdującej się obok teatru restauracji pierog z konfiturami, za dziesięć kopiejek. W takiejże cenie był i pierog z mięsem, ale do mięsa czułem wstręt. Po kilku dniach takiej wytężonej pracy zachorowałem. Ból głowy, silne dreszcze w całem ciele, osłabienie. Nie mogłem już dalej pracować i udałem się do kliniki, gdzie mnie ułożono do łóżka. Na drugi dzień, po wejściu do lecznicy, wysypały mi się około ust liczne pęcherzyki. Lekarze powiedzieli, żem się zatruł miazmatami trupiemi, i że dlatego nie powinienem przesiadywać nad trupem. Po kilku dniach wypoczynku, wróciłem do normalnego stanu zdrowia i opuściłem klinikę. Tymczasem moi koledzy ukończyli już w zupełności preparowanie trupa. Wraz z nimi przestudjowałem na preparacie całą anatomję i wszyscy zdaliśmy egzamin z powodzeniem. Wówczas nauczyłem się sporo anatomji.

Na tym samym dziedzińcu, gdzie był teatr anatomiczny, znajdował się drugi podobnejże budowy gmach, w którym mieściło się laboratorjum chemiczne. Wykładał chemję Giwartowski: w pierwszym półroczu — nieorganiczną, w drugim — organiczną. Był to Polak z Warszawy i katolik, widywałem go bowiem w kościele, lecz tchórzliwie ukrywał swoją narodowość. Chemję — przypuszczam — znał dobrze, lecz swoim wykładem nie porywał, nie wzniecał wielkiego zajęcia i ci, co się oddawali tej nauce z zamiłowaniem, mówili, że niepodobna go było porównywać z drugim profesorem, Laskowskim, który wykładał ten przedmiot na wydziale przyrodniczym i odznaczał się wielką swadą. Raz tylko zdarzyło mi się dłużej pozostawać z Giwartowskim. Miałem jakiś interes do niego. Kiedy więc skończył wykład i wychodził z audytorjum do swego gabinetu, zastąpiłem mu drogę i prosiłem o chwilkę rozmowy. Wskazał mi, abym szedł z nim razem do gabinetu. Załatwiwszy tam sprawę, zaproponował mi, abym został przy badaniu jakiejś materji, celem oznaczenia, czy to prawdziwa wełna, czy też jakiś surogat. Rozpatrywał ją pod mikroskopem i mnie dawał do patrzenia. pytając co widzę. Następnie badał tę materję chemicznie. Wówczas to rozmawiał ze mną po polsku, zapytawszy poprzednio, czy jestem Polakiem.

Oprócz tych profesorów wykładał jeszcze w drugiem półroczu Połunin anatomję patologiczną. Po raz pierwszy utworzono tę katedrę. Połunin, świeżo przybyły z zagranicy, gdzie studjował ten

przedmiot, wykładał z wielkim przejęciem, które udzielało się i słuchaczom. Zyskał on u studentów popularność także i z tego względu, że powołany jako rzeczoznawca w sprawie sądowej, ujął się odważnie za dziewczyną, którą uwiódł i skrzywdził jakiś potężny i wpływowy dygnitarz.

Egzaminy kursowe wypadły dla mnie bardzo dobrze. Przeszedłem więc na trzeci kurs. Wakacje spędzałem w Moskwie, robiąc małe wycieczki w okolice. W pokoju, w którym mieszkałem, umieścili się także starsi synowie Syrejszczykowa, którzy na wakacje przybyli do domu ojcowskiego. Żyliśmy ze sobą zgodnie, i czas nam upływał przyjemnie. Zwykle po kolacji wieczorem zasiadaliśmy do gry w karty. Stawki były bardzo małe, więc ani przegrana ani wygrana nie sprawiała wielkiego wrażenia. Właściwie była to rozrywka towarzyska, podczas której gawędziliśmy o rozmaitych rzeczach, a najchętniej o kobietach. Podobno w późniejszych latach wśród wykształceńszej młodzieży rosyjskiej okazał się zwrot zamiłowań pod tym względem, ale za moich czasów nawet młodzież uniwersytecka najczęściej i najchętniej bawiła się rozmową tego rodzaju, jaką my przy kartach zwykle prowadziliśmy.

Na trzecim kursie wykładane nauki wkroczyły już w dziedzinę sztuki lekarskiej. Były to terapja, chirurgja i farmakologia.

Terapję wykładał profesor Toporow, mający w mieście wziętość jako dobry lekarz. Jako teoretyk nie miał on znaczenia i mało śledził postępy nauki. Studenci niezbyt pilnie uczęszczali na jego wykłady, a on też przy egzaminach nie był zbyt wymagający.

Przeciwnie profesor chirurgji, Basow, był surowym egzaminatorem, zwłaszcza dla tych, których zanotował jako nieobecnych przy imiennym wywoływaniu studentów, co czynił parę razy do roku. Słynął on jako wielka powaga naukowa. Czy słusznie? — nie umiem powiedzieć. Wykłady jego były dwugodzinne bez przerwy i strasznie męczące. Ciężka wymowa biła jakby młotem po głowie. Z początku chodziłem pilnie na jego wykłady, ale wkrótce coraz rzadziej pokazywałem się, jedynie z obawy, ażeby nie czytał katalogu w mojej nieobecności. Stało się jednak to, czego się obawiałem. Basow zanotował mnie jako nieobecnego. Pamiętając o tem, przygotowałem się dobrze do egzaminu i szczęśliwie wyciągnąłem bilet na temat, który wcale nieźle umiałem. Odpowiadałem więc dobrze i, jakkolwiek raz się pomyliłem, to jednak natychmiast to spostrzegłem, poprawiłem się i wytłumaczyłem, dlaczego tak ma być a nie inaczej. Basow atoli nasrożony, jakby przeczuwając moją ogromną niechęć do chirurgji, zapisał mi dwójkę. Ponieważ z innych przedmiotów miałem dobre noty, więc ta dwójka nie przeszkodziła mi do przejścia na czwarty kurs.

Farmakologję wykładał profesor Anke, dobroduszny Niemiec i dziekan naszego wydziału. Wykładał ją po łacinie, po dawnemu, nie uwzględniając nowszych jej znawców, jak słynnego wówczas Esterleina. Miewał mało słuchaczy, ale wcale się o to nie troszczył. Jako dziekan był uczynny, egzaminatorem nie był srogim, więc studenci nie mieli do niego niechęci. Nadspodziewanie Anke urządził w tym roku przy egzaminach zasadzkę. Stało się to z następującego powodu. Jakaś grupa studentów weszła w konszachty z kancelarją uniwersytecką i za pomocą łapówki wydostała pewną ilość biletów. Anke, otrzymawszy przed rozpoczęciem egzaminów paczkę z biletami zauważył, że była za szczupła i wynotował wszystkie brakujące numery. Po ukończeniu egzaminu, ogłosił nazwiska wszystkich tych, co odpowiadali na zanotowane przezeń bilety i zapowiedział groźne następstwa. Sprawa wszakże nie tak strasznie się skończyła. Kazano tylko wszystkim wymienionym składać powtórnie egzaminy z farmakologji. Niewiem, czy Anke się domyślał, że i inni, a może nawet wszyscy, skorzystali pośrednio z owych kupionych biletów. Rzecz się odbywała w ten sposób. Przy stole egzaminacyjnym zawsze było dwóch studentów. Jeden odpowiadał, drugi zaś namyślał się nad treścią wyciągniętego biletu. Gdy pierwszy skończył, drugi stawał do odpowiedzi, a do przygotowania się wzywano innego z kolei. Wracający od stołu na swoje miejsce oddawał jednemu ze swoich kolegów bilet wyciągnięty, który był zamienił na przyniesiony z sobą. W ten sposób jeżeli nie wszyscy, to w każdym razie większa część studentów mogła, przed pójściem do egzaminu, przeczytać to, co miała odpowiadać. Ja należałem do tej większości i poszedłem do egzaminu z udzielonym mi poprzednio biletem. Odpowiadałem dobrze i otrzymałem dobrą notę.

W drugiem półroczu zaczęliśmy chodzić do kliniki. Tam Kor-

neljusz Młodziejowski obznajamiał nas z praktyką lekarską szczególnie nauczając djagnozy choroby. Był on uczniem uniwersytetu wileńskiego i właściwym kierownikiem kliniki terapeutycznej, ponieważ rzeczywisty jej kierownik, profesor Overt, rzadkim w niej bywał gościem. Sumienny lekarz, dobry nauczyciel, był także dobrym Polakiem. Znałem go dobrze, jako leczony kilkakrotnie w klinice. W następnym roku, kiedy ruch narodowy wśród studentów Polaków bardzo się ożywił, wziął on do siebie na mieszkanie kolegę z naszego kursu, Baranowicza i zawarł z nim umowę, że w rozmowach z sobą będą przestrzegali czystości języka polskiego i że za każdy błąd będą płacili karę pieniężną do kasy stowarzyszenia polskiego.

W tym roku szkolnym została podana na konkursową rozprawę naukową przez Glebowa teza o fizjologicznem znaczeniu nervi vagi. Postanowiłem i ja pisać rozprawę. W tym celu kupiłem dwa szczeniaki, którym w teatrze anatomicznym poprzecinałem wzmiankowany nerw. Przechowywano je w suterenach w tymże teatrze. Kupowałem dla nich żywność i codziennie przychodziłem je obserwować. Całe to doświadczenie sprawiało na mnie przykre wrażenie i odstręczało od robienia wiwisekcyjnych badań. Szczeniaki bowiem, którym często sam dawałem żywność, przywiązały się do mnie, okazywały radość, gdym przychodził, i żałośnie spoglądały na mnie w swych cierpieniach, których właściwym sprawcą ja byłem. Czułem żal i wyrzuty sumienia. Równocześnie ze mną zajmowało się jeszcze dwóch studentów doświadczeniem tego samego rodzaju: Tumanow — jeżeli się nie mylę — i Kamiński. Ten ostatni był Polakiem z piątego kursu medycyny. Jak się przekonałem później, nie utrzymywał on ściślejszych stosunków z rodakami, tak samo jak i ja, i przeważnie żył z Rosjanami. Musiał pochodzić z rodziny zamożnej, zawsze bowiem był elegancko i dostatnio ubrany, miał złotą dewizkę u zegarka też złotego, pierścienie na palcach. Widywałem go często w restauracji, gdzie grywał w bilard po mistrzowsku. Otrzymał on za rozprawę konkursową, medal złoty, mnie przyznano srebrny. Medalu tego jednak do rąk nie dostałem, zawiniła w tem głupia moja ambicja. Kiedym się upominał o medal w kancelarji uniwersyteckiej, urzędnik może dla wymuszenia łapówki, oświadczył, że zaszła omyłka w wydrukowanem sprawozdaniu

uniwersyteckiem, medal bowiem komu innemu został przyznany. Przypuszczając, że to może być prawdą, obawiałem się narazić na wstyd przy dalszem dochodzeniu, jak to powinienem był uczynić. Fakty bowiem późniejsze świadczyły, że urzędnik ten musiał skłamać. Zostałem, jako nagrodzony medalem, zaproszony przez inspektora studentów na obiad, jaki urządzał dla ministra oświaty. Po wyjeździe moim do Dorpatu, pytano moich kolegów, dlaczegom się nie zgłosił po przyznany mi medal, który się znajduje w kancelarji uniwersyteckiej.

Otrzymawszy zaproszenie od inspektora na obiad, wahałem się, czy pójść, czy nie. Ciekawość jednak przemogła. Byłem na obiedzie i siedziałem obok Kamińskiego. Rozmawialiśmy z sobą jak zwykle po polsku. Obiad był wspaniały. Pierwszy raz skosztowałem zamrożonego szampana.

W opowiadaniu mojem muszę wrócić wstecz, albowiem pominąłem dwa ważne wypadki. Stało się to głównie z tego powodu, że w pamięci rok zwykły i rok szkolny plączą z sobą i sprowadzają zamieszanie. Jednym z tych wypadków była koronacja cara, która — jak wiem z historji — odbyła się w 1857 r. Byłem i ja w Kremlu podczas uroczystości koronacyjnej i dostałem się pomiędzy widzów do przednich rzędów. Widziałem więc cały pochód z Soboru do pałacu. Poza carem i carową szli ambasadorowie rozmaitych państw, pomiędzy któremi austrjacki, Esterhazy, świecił brylantami na trzewikach. Najskromniej był ubrany poseł Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Poseł ten zyskał w Moskwie ogromną popularność z powodu bójki, jaką stoczył z policją. Chodząc i rozglądając się po Kremlu, stanął przed olbrzymią jak na owe czasy armatą, zwaną „carpuszka". Chcąc się przekonać, jak wielką jest jej pojemność, wlazł do niej. Policjant, widząc taki postępek jakiegoś cywila, poskoczył ku niemu, ażeby go aresztować i odprowadzić do cyrkułu. Ale nie łatwą okazała się sprawa z amerykaninem. Wylazłszy z działa, zakasał rękawy i boksując, odrzucił policjanta. Ten zaczął wołać o pomoc, nadbiegło z różnych stron sporo policjantów i zaledwie zdołali zmusić go do pójścia razem z nimi do cyrkułu. Jakież było przerażenie policji, kiedy ten zawzięty bokser wylegitymował się, jako ambasador amerykański. Ma się rozumieć, zwolniono go natychmiast, a oberpolicmajster, dowie-

dziawszy się o tej sprawie, wnet pojechał do niego z przeprosinami.

— Nic ważnego się nie stało — miał powiedzieć amerykanin — policja poturbowała mnie trochę, ależ i ja dogodziłem jej dobrze.

Wkrótce po rozpoczęciu się roku szkolnego na trzecim kursie, w miesiącu października, zaszedł drugi ważny wypadek, o wiele dla mnie ważniejszy, albowiem spowodował w pewnym względzie przełom w mojem życiu, nawrot z tej drogi, która dotąd przedemną się słała.

Wypadek, o którym mam mówić, był jednym z pierwszych przejawów rewolucyjnych wśród młodzieży uniwersyteckiej państwa rosyjskiego. Świeżo wydarzyła się podobna historja w Kijowie, spowodowana zajściem z generałem Brinkenem. W Moskwie powodem był napad policji na mieszkanie studentów. Przy jednej z uliczek koło Bulwaru Kwiatowego (Cwietnoj bulwar) zgromadziła się garstka studentów polaków w mieszkaniu kolegi — solenizanta. Bawiono się, śpiewano, a dla większej jeszcze uciechy, wysłano jednego z obecnych, by przyniósł parę flaszek wódki i nieco rozmaitych przekąsek. Zakupiwszy te wiktuały i trzymając je ukryte pod płaszczem, student przyśpieszonym krokiem zdążał z powrotem. Policjant, widząc pośpiesznie idącego studenta i ukrywającego coś pod płaszczem, zawołał na niego, by się zatrzymał. Wołanie to wywołało przeciwny skutek. Wracający z wiktuałami student przyśpieszył jeszcze bardziej kroku, policjant ze swojej strony także, wreszcie jeden i drugi zaczęli biec. Obaj prawie równocześnie wpadli do mieszkania. Tam pochwycono policjanta i wyrzucono na ulicę. Ten wezwał na pomoc innych policjantów i robotników zatrudnionych przy budowie w sąsiedztwie, rozpoczął się atak na mieszkanie, w którem zgromadzili się studenci. Wyłamano drzwi, wybito okno, i pomimo zawziętej obrony ze strony studentów przewagą liczby i broni złamano ich opór i pokaleczonych i okrwawionych skrępowano powrozami i zaprowadzono do cyrkułu. Tam policja zachowała się względem nich brutalnie i wrzuciła ich do więzienia. Opowiadano następnie, że policja mściła się na uwięzionych za utarczkę ze studentami, która się odbyła przed kilku dniami i w której policjanci zostali pobici.

Kiedy na drugi dzień młodzież uniwersytecka dowiedziała się

o tem zajściu, zawrzała strasznym gniewem. Oburzyli się także i profesorowie, a nawet zwolennicy legalizmu potępiali zachowanie się policji cyrkułowej. Oburzenie było tak powszechne, że oberpolicmajster kazał natychmiast uwolnić studentów, zgromił surowo policję cyrkułową i osobiście usprawiedliwił się przed władzami uniwersyteckiemi.

Wrzenie, które ogarnęło młodzież, wzmagało się jednak coraz bardziej. Władze uniwersyteckie sądziły, że uwolnienie studentów i groźne upomnienie policji cyrkułowej przez oberpolicmajstra dostatecznie załatwiły całą sprawę. Natomiast studenci tem się nie zadawalniali i domagali się ukarania urzędników policyjnych. Na rzucone hasło, zgromadzili się w największej sali uniwersyteckiej. Subinspektorowie usiłowali groźbą rozpędzić gromadzących się, ale, napotkawszy również groźny opór, złagodnieli i nawoływali proszącym już głosem do spokoju. Sala się wypełniła, wrzała gniewem, domagano się rektora. Przybył wreszcie i rektor w mundurze z gwiazdą i orderami. Butnie wstąpił na katedrę i groźnie zaczął przemawiać. Na to rozległo się gwizdanie. Rektor zbladł, spuścił z tonu, niemal błagał, by się uspokojono i przyrzekał, że policji nie ujdzie płazem popełnione przez nią nadużycie.

Rozpętany silny gniew nie dał się łatwo uspokoić. Wzburzenie pomiędzy studentami trwało conajmniej tydzień. Wywlekano rozmaite nadużycia władz, szczególnie ze strony subinspektorów. Niedawno mianowany inspektorem, Iljiński, ten sam, co wydał był obiad dla ministrów, zapewniał, że wymagać będzie od swoich pomocników, by z należytymi względami zachowywali się wobec studentów. I w samej rzeczy od czasu tej rewolucji obchodzenie się subinspektorów z młodzieżą uległo ogromnej odmianie. Stali się grzeczni i uprzejmi.

Przez cały rewolucyjny tydzień gromadzono się licznie albo w ogrodzie starego uniwersytetu, albo w salach wykładowych. Wytaczano rozmaite sprawy, omawiano ważniejsze potrzeby; rozważano czego domagać się należy od władz, a co uczynić można we własnym zakresie działania. Pomiędzy tymi, co na tych zgromadzeniach przemawiali i ja dosyć często występowałem.

Zawsze miałem usposobienie rewolucyjne, lecz w tym czasie wzmogło się ono znacznie, gdyż pozostawałem pod wpływem

pism Hercena i krytycznych artykułów Dobrolubowa. Pisma Hercena, który w Londynie dla wolnego słowa rosyjskiego otworzył drukarnię, przenikały do Rosji; tu je przepisywano, i w licznych rękopisach szerzyły się wśród młodzieży, zwłaszcza uniwersyteckiej i wojskowej. Krytyki Dobrolubowa pojawiały się w miesięczniku: „Sowremiennik" (Współcześnik). Syrejszczykow, który wcale nie był liberałem, — nie wiem, z jakich pobudek prenumerował to pismo. Jeden z jego synów przynosił ten miesięcznik na górę, i wówczas łapczywie rzucałem się do czytania. Pismo było bardzo dobrze redagowane, cała treść była zajmująca, lecz największą dla mnie ponętą były krytyczne oceny Dobrolubowa. Ten wielce utalentowany pisarz, który młodo umarł, miał właściwy sobie sposób oceniania wybitniejszych powieści, pojawiających się w tym czasie. Nie tyle obchodziła go estetyczna wartość utworu, jak raczej sposób myślenia i zachowania się bohatera lub bohaterki powieści; ich działalność obywatelska w społeczeństwie, pytanie czy pożyteczny czy ujemny wpływ ona wywierała, — to go zajmowało najwięcej, to krytycznie rozważał i oceniał. Krytyki Dobrolubowa, pisane pięknym językiem, pełne trafnych spostrzeżeń i głębokich myśli, roznieciały ducha obywatelskiego, wzbudzały pragnienie doskonalenia się i działalności obywatelskiej, prawdziwie pożytecznej.

Studenci, którzy stali się ofiarą napaści policyjnej, byli Polakami. Jednego z nich Hanusewicza — zdaje się — solenizanta, mocno pobitego, umieszczono w klinice. Z tego już powodu Polacy interesowali się silnie całą tą sprawą rewolucyjną wśród młodzieży uniwersyteckiej. Przemówienia moje zwróciły ich uwagę na mnie. Wiedząc, że jestem Polakiem, postanowili wciągnąć mnie do swego towarzystwa. W tym celu zbliżył się do mnie Kazimierz Antoszewski ze Żmudzi i, zaznajomiwszy mnie z innymi Polakami z mego kursu, zaproponował, abym wstąpił do organizacji polskiej. Chętnie się na to zgodziłem i odtąd zespoliłem się z życiem polskiem.

Studentów Polaków było w tym czasie na uniwersytecie moskiewskim przeszło 600. Przeważnie pochodzili z Litwy historycznej. Z bardzo małym wyjątkiem, cała polska młodzież uniwersytecka należała do jednej wspólnej organizacji, która miała na celu wzajemne zbliżenie się z sobą, wspieranie ubogich kolegów,

kształcenie się w duchu narodowym i przygotowanie się do późniejszej obywatelsko patrjotycznej działalności. Organizacja ta przedstawiała się jako związek ośmiu samodzielnych stowarzyszeń. Studenci trzech fakultetów: historyczno-filozoficznego, prawnego i przyrodniczego, tworzyli trzy stowarzyszenia, każdy fakultet jedno. Studenci wydziału lekarskiego, stosownie do pięciu kursów, mieli pięć stowarzyszeń. Każde z tych stowarzyszeń wybierało, — o ile przypominam sobie, — dwóch delegatów. Wybrana przez wszystkie stowarzyszenia delegacja stanowiła łącznik całej organizacji. Wybierała ona z pośród siebie dwóch bibljotekarzy: jeden zarządzał bibljoteką książek, które miały wizę cenzorów, a drugi przechowywał książki zakazane; wybierała także głównego kasjera, u którego znajdowała się kasa towarzystwa. Delegaci pośredniczyli w stosunkach wzajemnych pomiędzy stowarzyszeniami, gdy chodziło o sprawy ogólnego znaczenia. Każde stowarzyszenie miało własnego bibljotekarza i własnego kasjera. Bibljotekarz głównie się zajmował książkami zakazanemi. Co tydzień brał on od głównego bibljotekarza pewną ich liczbę i obdzielał niemi członków swego stowarzyszenia. Kasjer zbierał podatek, płacony przez członków i załatwiał wszystkie sprawy, które miały związek z kasą, jak pożyczki, zapomogi pieniężne. Porozumiewał się on w tym celu z głównym kasjerem. Wybory urzędników, rozstrzyganie spornych spraw, załatwianie spraw przedstawianych przez delegatów, odbywało się na sejmikach, czy też wiecach, które urządzano u kolegów, mających większe mieszkanie. W sejmikowaniu, w załatwianiu spraw widocznem było pewne nawyknienie, wyrobienie.

Z książek zakazanych, które dostałem do czytania, szczególnie dwie silne wywarły wrażenie. Były to dwa utwory poetyczne: Kordjan — Słowackiego i Irydjon — Krasińskiego. Zwłaszcza ten ostatni owładnął potężnie moją wyobraźnią. Język nierymowany ale w wysokim stopniu poetyczny, wiejący czarem mistycyzmu, równocześnie jednak obrazowy, jaśniejący pełnią realnego życia. Czytałem także z wielką ciekawością i upodobaniem powieści Zygmunta Kaczkowskiego, malującego życie szlachty, swobodne, butne, a pełne uczucia braterskości i gotowości do czynu.

Z kolegami Polakami wchodziłem w coraz bliższe związki, szczególnie parotygodniowy pobyt we wsi Podsołniecznoj wpły-

nął na wzmocnienie i rozszerzenie tych stosunków. Ku końcowi wakacji — o ile przypomnieć sobie mogę — w drugiej połowie miesiąca sierpnia, ponieważ wieczory i poranki stawały się już chłodne, powziąłem zamiar wyjechać na kilka dni na wieś na polowanie. Nie wiem, dla jakich powodów udałem się do drugiej stacji kolejowej w kierunku Petersburga, Podsołniecznoja, tam wysiadłem i podążyłem do najbliższej wsi. Zdaje się, że było to zupełnie przypadkowe, a może też słyszałem od kogoś o piękności tej okolicy. Istotnie miejscowość była ponętna i pobyt w niej sprawiał dużo przyjemności. Niedaleko od wsi rozlewało się dość duże jezioro z wysepkami, a poza niem w znacznej oddali czerniał szeroki pas lasu. Z drugiej strony wioski przez obszerną polanę wchodziło się do wąwozu, zarosłego lasem, u którego wylotu płynęła dość znaczna rzeczka — jak się zdaje — Jauza, wśród gęstwiny lesistych drzew. Była tam nawet zbudowana łazienka. Rozebrawszy się na drewnianym jej pokładzie, wskakiwało się wprost do rzeczki. Kąpiel była pyszna. Najczęściej jednak kąpaliśmy się w jeziorze, ponieważ było znacznie bliższe wsi.

Mówię: kąpaliśmy się, albowiem niespodzianie zastałem w tej wsi sporo studentów polaków, spędzających tam letnie wakacje. Odrazu wszedłem z nimi w koleżeńskie stosunki, i pobyt w Podsołniecznoj nie tylko upływał nader przyjemnie, lecz przyczynił się także do zacieśnienia stosunków z kołem polskiem. Zgromadzona we wsi młodzież była rodem z Litwy, i jakkolwiek poznałem później i młodzież z Królestwa i z Rusi, to jednak nigdy stosunki nie układały się z nią tak przyjemnie, tak serdecznie, tak przyjaźnie, jak z młodzieżą litewską. Może czułem się najbardziej swojsko wśród tej młodzieży, dlatego, że sam byłem z owych stron, że wzrosłem wśród podobnych warunków życiowych. Miała ona w swem obejściu się, cechę beztroski, która tak silnie ku niej pociągała.

Sporo młodzieży przesunęło się przez tę wieś. Była garstka, która stale tu mieszkała, ale wielu przybywało na kilkudniowy tylko pobyt. Czasem bywało nas dziesięciu, a zdarzało się i więcej. Nazwiska powypadały z pamięci, trzech tylko sobie przypominam, szczególnie pomiędzy jednym z nich a mną wytworzyły się stosunki serdeczne. Był to Judycki — zdaje się — z imienia Stefan. Po kąpieli, przechadzając się wzdłuż jeziora, długie

prowadziliśmy rozmowy. Gorący jego patrjotyzm i serdeczny ton podbiły mię całkowicie. Dowiedziałem się od niego bardzo wiele o stosunkach i nastroju na Litwie. Przez cały czas pobytu w Moskwie pozostawaliśmy z sobą w szczerej przyjaźni. Później straciłem go z oczu. Dopiero przed kilku laty dowiedziałem się z krótkiej wzmianki w warszawskim Tygodniu Ilustrowanym, że po stłumieniu powstania na Litwie, zdołał on na galarach wymknąć się do Królewca, na starość wrócił do kraju, ale stąd wysłano go na Syberję, gdzie w jakiemś mieście na posadzie mało płatnego funkcjonarjusza miejskiego zakończył życie. — Z młodzieży, bawiącej w Podsołniecznoj, przypominam sobie jeszcze Żeliszkiewicza z Grodzieńskiego. Miły, wesoły, powszechnie lubiany chłopak. Był wyznania prawosławnego i jako taki z obowiązku był słuchaczem teologji, którą pop Tiernowskij wykładał dla studentów prawosławnych wszystkich wydziałów pierwszego kursu. Na egzaminie, mówiąc o czemś, — wyraził się: „Rosjanie mniemają..." — — —

— Przecież i pan jesteś rosjaninem — zauważył Tiernowskij.

— Nie — odrzekł Żeliszkiewicz ku wielkiemu zdumieniu popa — jestem Polakiem.

Trzecie nazwisko, które pozostało mi w pamięci, było Kobryniec. Raz go tylko widziałem na wielkiem polowaniu, o którem dalej mówić będę. Był to dość wysokiego wzrostu mężczyzna, chłop z pochodzenia, z Grodzieńskiego. Przyszedł na polowanie w postołach, i słynął jako dobry myśliwy. Wydał mi się zagadkowym. Wśród gwarnych rozpraw młodzieży zachowywał milczenie. Kiedy zwracano się do niego, zbywał to albo uśmiechem, albo paru słowami. Miałem takie wrażenie, jakby się czuł obco, nieswojo w tem towarzystwie.

W czasie pobytu w Podsołniecznoj zaszły trzy ważniejsze wydarzenia, o których po kolei tu wspomnę.

Jednem z nich było wielkie polowanie. Pomiędzy kolejarzami na stacji byli polacy żołnierze, którzy mieli psy gończe i w czasie swobodnym od służby zajmowali się myślistwem. Umówiono się z nimi i pewnego dnia urządzono wielkie polowanie z psami gończymi. Wzięło w niem udział co najmniej dziesięć osób. I ja uczestniczyłem w tem polowaniu. Nic nie upolowałem, co prawie zawsze mi się zdarzało, ale omal nie zastrzeliłem, a przynajmniej

nie podstrzeliłem, jednego z kolejarzy. Widząc zająca, skaczącego w moją stronę, złożyłem się i strzeliłem, nie spostrzegłem, że ktoś stał z przeciwnej strony. Musiałem cierpliwie wysłuchać złorzeczeń i wyrzutów, na które gorączkową swoją zapalczywością zasłużyłem.

Drugiem wydarzeniem była wyprawa za jezioro, na przeciwległy jego brzeg, zaledwie widzialny. Dostaliśmy czółno, wzięliśmy nieco zapasów, chleba, sera, kartofli do pieczenia, i zamierzaliśmy tegoż jeszcze dnia wrócić na noc do swych chałup. Wyjechaliśmy zaraz po południu, mieliśmy więc sporo czasu; ale nie spieszyliśmy się, popłynęliśmy nasamprzód do wyspy, aby zabrać dwóch kolegów, którzy tam od rana czatowali na kaczki, i czas pewien zabawiliśmy na wyspie. Kiedy wyruszyliśmy dalej w drogę, dotychczas panująca pogoda szybko poczęła się zmieniać: gromadziły się chmury, wiatr się wzmagał, zanosiło się na burzę. Było jeszcze daleko do przeciwnego brzegu, kiedy stawało się coraz ciemniej. Jadąc pierwszy raz, nie wiedzieliśmy dobrze, dokąd się kierować. Zapadająca ciemność jeszcze bardziej to utrudniała, i błyskawice tylko od czasu do czasu oświecały oddalony brzeg jeziora. Kiedyśmy wreszcie do niego się zbliżyli, było ciemno choć oko wykol, i grube krople deszczu spadać poczęły. Wyciągnęliśmy czółno na brzeg, i schroniwszy się pod drzewo, czekaliśmy aż deszcz ustanie. Deszcz wprawdzie ustał, lecz noc była ciemna, i wiatr silny kołysał wodę i wzdymał fale na jeziorze. Trzeba było przenocować w lesie. Zajęliśmy się przedewszystkiem urządzeniem ogniska, ażeby się ogrzać i osuszyć, a przytem upiec kartofle, któreśmy z sobą przywieźli. Las był duży szpilkowy, znaleźliśmy więc sporo suchego chrustu, szyszek sosnowych i jodłowych, nałamaliśmy do tego kupę gałęzi, i wkrótce buchnął ogromny ogień, ochwytując i zapalając zwisające gałęzie otaczających drzew. W strachu, by nie spowodować pożaru lasu, rozrzuciliśmy gorejący stos i sprowadziliśmy go do mniejszych rozmiarów. Rozmieściwszy się koło ognia, upiekliśmy kartofle, pożywiliśmy się nieco, a gdy sen nas morzyć począł, zaczęliśmy się układać dokoła ogniska, ażeby się niem ogrzewać, powietrze bowiem było chłodne i surowe. Umówiliśmy się, że każdy z nas po kolei czuwać będzie nad ogniskiem, ażeby nie zgasło, tudzież nad tem, żeby czyjaś odzież od

lecących iskier nie zajęła się ogniem. Ustaliliśmy porządek, i czuwający z zegarkiem w ręku po upływie półgodziny miał budzić przeznaczonego z kolei do czuwania. Zasnąłem odrazu i było mi dobrze. Po godzinie — o ile sobie przypominam — zbudzono mnie, ale ja nie mogłem już obudzić tych, co w dalszej kolei mieli czuwać, i przesiedziałem, pilnując ogniska i odzieży kolegów, aż do dnia białego. Wycieczka ta swym awanturniczym nieco przebiegiem, ożywiona pieśniami i serdeczną wesołością, miłe pozostawiła po sobie wspomnienie.

Trzeci wypadek, o którym mam mówić, był tragiczny. Jeden z kolegów, młodziutki chłopak, przechwalał się, że celnie strzela. — A ja ci mówię — drażnił się drugi — że w moją czapkę nie trafisz o sto kroków. — Założmy się, że trafię. — Dobrze, założmy się. — Wybrano więc świadków, umieszczono na łące czapkę zawieszoną na kiju, odmierzono sto kroków, nabito strzelbę i dano ją temu, co się chwalił celnością swych strzałów. — A widzicie, czapka aż się zachwiała — krzyknął, wystrzeliwszy. Wszyscy w śmiech, strzelba bowiem tylko prochem była nabita. Jeden z kolegów tak się śmiał serdecznie, że aż upadł na ziemię. Rzuciliśmy się do niego, leżał bez czucia, jak nieżywy i istotnie już nie żył, miał wadę serca, i śmiech go zabił. Sporo kłopotów mieliśmy z tego powodu. Przybyła policja, przybył lekarz, badano nas, sprawdzano powody śmierci i dano wreszcie pozwolenie na pogrzebanie zwłok. Sprowadziliśmy więc księdza z Moskwy, pop z miejscowej cerkwi wypożyczył chorągwie, z sąsiedniego dworu udzielono życzliwie lichtarzy, świec, obrazu, serwet, ręcznika, potrzebnych dla urządzenia ołtarza i odprawienia mszy. Pogrzeb odbył się okazale wobec licznie zgromadzonego ludu. Przybyła i właścicielka dworu z córkami i innemi kobietami. Po pogrzebie zaprosiliśmy księdza na przygotowany posiłek. Był to ksiądz młody, mniej więcej w naszym wieku, gorący patrjota, więc w przyjacielskiej pogawędce spędziliśmy chwile pobytu jego u nas. Powoli liczba naszej dorywczej kolonji zmniejszała się, wracano już do miasta, ja wyjechałem bodaj ostatni.

Ponieważ bracia moi Lucjan i Józef, przybywali na studja uniwersyteckie do Moskwy, postanowiłem zamieszkać razem z nimi i w ten sposób usunąć się od stosunków rosyjskich i wejść

całkowicie w życie kolonji polskiej. Wynajęliśmy pokoik w pobliżu Bulwaru Kwiatowego u jakiegoś młodego rzemieślniczego małżeństwa, które z wielkiej miłości wciąż się z sobą kłóciło, podejrzewając się wzajemnie. Ma się rozumieć, że rozstanie się z domem Syrejszczykowa wypadło bardzo niekorzystnie dla mnie pod względem wygód życiowych a szczególnie odżywiania się. Początkowo stołowaliśmy się w zaułku Sobolowym u gospodyni braci Wrońskich, majętnych chłopców o nawyknieniach paniczykowatych. Po upływie prawie czterdziestu lat, kiedy już byłem na emigracji w Paryżu, jeden z tych Wrońskich zgłosił się listownie do mnie, jako dawny znajomy, i w ten sposób nawiązała się z nim korespondencja. U Wrońskich dawano obfite i smaczne obiady, ale na naszą kieszeń były za drogie, więc zaczęliśmy się stołować u tak zwanej Ryżej, z powodu rudych włosów jadłodawczyni. Żywiła się u niej większa część biedaków literackich. Obiad kosztował miesięcznie trzy ruble od osoby. Składał się z zupy, z mięsa, które zwykle było nie najlepsze, zwłaszcza słynęły siekane kotlety, wreszcie z jakieś jarzyny i leguminy. Dość często na trzecią potrawę pojawiała się na stole kasza gryczana z mlekiem i tę najchętniej jadałem. Stołownicy żartowali, że zawsze albo w zupie, albo w słynnych kotletach, albo w mleku można było znaleźć rude włosy. W późniejszym czasie nasza kolonja polska zorganizowała własne kuchnie, i w jednej z nich jadaliśmy i my. Zdaje się, że obiady kosztowały nieco drożej niż u Ryżej. Na dziesięć obiadów płatnych jeden był niepłatny, przeznaczano go dla kolegi zupełnie ubogiego. Obiady były niewątpliwie zdrowsze i pożywniejsze, ale co do obfitości i smaku, nie o wiele lepsze od tych, jakie dawała Ryża.

Spodziewałem się, że będę mógł zwiększyć swoje dochody przez dawanie lekcji. Tak się jednak nie stało. Małopłatnych nie brałem, gdy miałem zbyt mało swobodnego czasu. Raz tylko dostałem dobrze płatną lekcję. Były to wykłady z fizyki dla jakiejś panny z rodziny arystokratycznej. Wykład trwał godzinę. Nużył mnie i wymagał dobrego przygotowania się, a ponieważ brakowało demonstracji i doświadczeń — gdyż potrzebnych do tego przyrządów nie było — więc jak się zdaje — niewielką też korzyść przynosił i mojej słuchaczce. Była to młoda, lecz nieładna panna; siedziała nieruchomo jak mumja na lekcji. To

wpływało i na mnie zniechęcająco. Matka była zawsze obecną przy lekcji, zajęta jakąś ręczną robótką. Po kilku lekcjach — mniej więcej pięciu — odesłano mi pieniądze przez lokaja z zapowiedzią, ażebym więcej nie przychodził.

Zajęcia miałem dużo. A więc nasamprzód zajęcia zawodowe. Wszystkie wykłady czwartego kursu odbywały się w klinice, w pobliżu której było nasze mieszkanie. Klinika była urządzona wytwornie. Kamienica dwupiętrowa, jak pałac okazała, sale duże, wysokie, z posadzką parkietową. Na parterze ambulatorjum i sale wykładowe. Na piętrze — klinika chirurgiczna, a na drugim terapeutyczna.

Tę ostatnią klinikę znałem już dawniej. Leżałem w niej — jak to już opowiadałem — kilka razy chory. W poprzednim też roku chodziliśmy do niej na wykłady Młodziejowskiego. Zaraz po wejściu na drugie piętro po szerokich i pięknych schodach, znajdowała się obszerna izba przedpokojowa. Tam odbywały się wykłady Młodziejowskiego dla trzeciego kursu, tam zwykle stała kanapa ze stolikiem i krzesłem, przeznaczona dla nocujących dyżurnych studentów. Na lewo ciągnął się szereg sal dla chorych mężczyzn, a z prawej strony drugi szereg sal dla kobiet. Każdy chory i każda chora mieli stałego studenta — klinicystę, który prowadził dziennik choroby i codziennie dwa razy obowiązany był odwiedzić chorego, a zrana przed przyjściem profesora zbadać stan jego zdrowia, zapisując w dzienniczku, jaki był puls, język, stolec i td. Na oddziale kobiecym wyznaczono mi chorą na gruźlicę. Okazywałem jej więcej życzliwości, aniżeli innym chorym. Piękne jej oczy żarzyły się szczególnym blaskiem, pochodziło to od fosforu, którym wówczas próbowano leczyć gruźlicę. Oprócz tej kobiety, pozostały mi jeszcze w pamięci dwie inne. Jedna z nich, młodziutka dziewczyna, może 18 letnia przystojna i figlarna, chorowała na histerję. Leżała ona na sali z innemi kobietami, i napad histeryczny, który ją porywał, udzielał się także i niektórym innym kobietom, w tejże sali leżącym. Drugą była Angielka, widocznie protegowana, ponieważ umieszczono ją w osobnym pokoju i okazywano jej szczególne względy. Kobieta, mogąca mieć przeszło lat 30, nieładna, wysoka, chuda. Prawdziwym była utrapieniem dla

lekarzy: nie pozwalała się badać, uważając niemal wszystko za *shoking*.

Naczelnym lekarzem oddziału terapeutycznego był Overt Francuz. Wysoki, przystojny, jeszcze nie stary — imponował postacią. Miał rangę rzeczywistego radcy stanu, co się równało randze generalskiej. Kiedy podczas uroczystych obchodów pojawiał się w mundurze, miał całą pierś opasaną wstęgami i okrytą orderami, wśród których lśniło i złote słońce perskie. Słynął jako znakomity praktyk, i za wizytę mniej dwudziestu pięciu rubli nie płacono mu. W klinice — jak już wspominałem — pojawiał się rzadko. Zarozumiały, pełen pychy, traktował Młodziejowskiego zgóry, a z asystentami obchodził się wprost lekceważąco. Raz np. asystenta lekarza Żukowa, skromnego i porządnego człowieka, nazwał Paukowym (Pauk-pająk) — Wasza Ekscelencjo — zauważył ten — jestem Żukow a nie Paukow. Overt na to: — Żukow, Paukow — wsio nasiekomoje (Żukow, Paukow — takie samo robactwo). — Właściwie nasiekomoje znaczy po polsku owad, ale też używa się w pogardliwem znaczeniu, jako robactwo.

Wykłady Overt'a należały do ważnych wypadków. Kiedy przyjeżdżał, wszyscy klinicyści zbiegali się gromadnie i szli za nim tłumnie. Zwykle zatrzymywał się przy chorym, którego dopiero co przyjęto i którego choroby jeszcze dokładnie nie określono. Siadłszy na stoliku przy łóżku, mówił po łacinie. Podług jego metody badania, nie należało rozpoczynać od wypytywania chorego. Nasamprzód trzeba było obejrzeć ciało chorego i wpatrzeć cię w wyraz jego twarzy (facies). Następnie zmierzyć temperaturę, puls, oddech; oglądnąć język, urynę; zbadać piersi stukaniem i słuchaniem; obmacać, naciskając ciało, czy nie wywoła to bólu. I zrobiwszy to wszystko, można już było przystąpić do wypytywania chorego. Metoda ta zapewniała dwie korzyści: badający miał już pewne wskazówki, jakie należy stawiać pytania, a powtóre nie dawał się zmylić skargami chorego. Wykłady Overt'a były bardzo pouczające, lecz też i bardzo rzadkie. O ile sobie przypominam, za mego pobytu było ich nie więcej niż pięć.

Właściwym nauczycielem w klinice terapeutycznej był Młodziejowski. Dobry djagnosta i sumienny lekarz. Jedno miał

dziwactwo, nie tylko studentów, lecz i chorych uczył logiki, a nadewszystko ścisłości w odpowiedziach. Jako przykład:

— Ile pan razy chodził na stolec — pytał chorego.

— Ja, panie profesorze — mówi chory — wczoraj jadłem...

— Ja pana nie pytam — przerywa Młodziejowski — co pan jadł, lecz ile razy pan chodził na stolec?

Chory, nie przyzwyczajony do sposobu badania Młodziejowskiego, tracił się, zapominał języka w gębie — jak to mówią, — i wypadały z tego powodu nieraz pocieszne epizody.

Jako teoretyk, Młodziejowski był przeciwnikiem empirycznego leczenia. Uważał, że leczniczą czynność należy pozostawić przedewszystkiem samemu organizmowi. Lekarz powinien tylko ułatwiać, pomagać organizmowi w działaniu przez usuwanie przeszkód (np. wypróżnianie żołądka i kiszek), przez łagodzenie bólów, miarkowanie gorączki itd. Mogą być używane te tylko lekarstwa, których działanie daje się racjonalnie objaśnić.

W klinice chirurgicznej na piętrze naczelnym lekarzem był Inoziemcew, cieszący się wziętością jako operator i dobry człowiek. Lubił młodzież i protegował swych uczniów, posyłając ich w zastępstwie swojem do odnawiania bandażów, do mierzenia gorączki i tym podobnych czynności. Zdarzało się, że bogaci kupcy, którzy grubo płacili Inoziemcowi za wizyty, mówili do niego: „Ty, ojczulku, sam już przyjedź, a nie posyłaj swoich mołodców". Aczkolwiek zdolny operator, nie lubił krajać, i tylko w koniecznych wypadkach robił operację. Miał to przekonanie, że mleko w wielu razach skutecznie nóż zastępuje. Wszyscy jego chorzy używali obficie mleka. Podług jego teorji, każdy chorobliwy wypadek tkwił w organiźmie chorego w zarodzie niemal już od lat dziecinnych. Posuwał to do skrajności. Studenci więc, pisząc historję oddanej im na obserwację choroby, starali się zastosować do tego poglądu. Moja chora, której historję choroby pisałem, miała złamaną kość nogi. Opisując właściwości jej organizmu, doszedłem do wniosku, że jej kości prędzej czy później mogły łatwo ulec złamaniu przy najmniejszym odpowiednim wypadku. Oddając tę historję choroby, obawiałem się, że Inoziemcew może ją uważać za kpiny ze swojej teorji. Obawa była płonna. Wyraził wielkie zadowolenie i pochwalił moje wnioskowanie.

Miał on dwóch asystentów. Jeden z nich uczył nas robienia opasek, bandażowania na fantomach. Nazwiska jego sobie nie przypominam. Był gburowaty, często grubiański, co wywoływało nieraz sprzeczkę i wzajemną połajankę, lecz następnie, gdy się uspokoił, zapominał o wszystkiem. Innego rodzaju był drugi asystent i zarazem docent chorób oczu, Razcwietow. Słodki w mówie, popisujący się liberalizmem w stosunkach ze studentami, lubił, gdy mu pochlebiano i nadskakiwano, ale biada temu, kto mu się naraził, tego prześladował i szkodził mu, gdzie mógł. Właśnie tak było ze mną. Nie pamiętam, w jakiej sprawie robił nam w zjadliwy sposób wymówki, kiedy właściwie nie my, lecz on był winien. Oburzyło mię to, i wypowiedziałem mu słowa prawdy. Spojrzał na mnie wzrokiem jadowitym i rzekł:

— Tak pan sądzisz? — zobaczymy.

I odtąd nie pominął żadnej usterki z mojej strony i słodkawo — jadowicie mi ją wytykał. Szczególnie przykrą wyrządził mi scenę przy amputacji nogi u jednego z chorych. Z usposobienia nie nadawałem się do zawodu chirurga. Widok krwi, rzezi, działał na mnie przygnębiająco. Kiedy robiono operację, doznawałem takiego uczucia, jakbym za chwilę miał zemdleć. Usuwałem się więc, ile mogłem od uczestniczenia w jakiejkolwiek roli. Razcwietow, jakby odgadując to moje usposobienie, gdy mu wypadło robić operację, wezwał mnie do pomocy, dając mi do trzymania nogę, którą miano odjąć. Nadspodziewanie zachowałem się dość mężnie. Lecz kiedy następnie trzeba było przewiązać arterję i nie okazałem należytego pośpiechu, wyrwał mi brutalnie z rąk igłę i sycząc jadowicie, zrobił uwagę, że tu przecież chodzi o życie człowieka. Zniosłem to pokornie, bo czułem się istotnie winny. Razcwietowowi atoli nie wystarczyło to moje upokorzenie, i zemścił się nade mną przy egzaminie, o czem następnie mówić będę.

Na parterze mieściła się kancelarja, sale wykładowe dla położnictwa i ambulatorja. Z powodu że profesor Koch opuścił zajmowaną katedrę akuszerji, a innego jeszcze nie zamianowano, nie mieliśmy w tym roku wykładów z położnictwa, zostały one przełożone na rok następny na kursie piątym. W ambulatorjach dawano bezpłatną poradę lekarską, a nawet — zdaje się — i lekarstwo także bezpłatnie. Ambulatorja były ważnym przyczynkiem w nauczaniu praktyki lekarskiej.

Kończąc opowiadanie o klinice i nauczaniu leczniczem, wspomnę jeszcze o panującym wówczas przekonaniu, że apertury są bardzo korzystne dla zachowania zdrowia jako środek derywatywny. Wielu z moich kolegów nosiło apertury, i ja sobie także otworzyłem takową na lewem ramieniu. Może to i miało pewne dobre skutki, lecz były także i złe. Ręka traciła swą siłę; wszelkie uderzenie przypadkowe w miejsce zranione wywoływało silny ból; podczas kąpieli, w łaźni należało zachowywać ostrożność; oprócz tego zabierała sporo czasu, trzeba było bowiem codziennie ją obejrzeć i oczyścić. Nosiłem tę aperturę przez rok cały a może nawet i nieco dłużej.

Przechodzę teraz do szczegółów współżycia w naszej rzeczypospolitej polsko-litewskiej, jaką mieliśmy na uniwersytecie moskiewskim.

Z kolegów Polaków na moim kursie przypominam sobie dwóch braci Zdańskich, Bolesława i Józefa. Pierwszy był skarbnikiem w naszej sekcji, a drugi bibljotekarzem, roznoszącym książki zakazane. W pełnieniu swego obowiązku Bolesław był tak skrupulatny, że nie jadł obiadu, żywił się chlebem razowym, gdy mu chwilowo zabrakło własnych pieniędzy, a nie tknął grosza z kasy sekcyjnej, znajdującej się u niego, chociaż miał pewność rychłego zwrotu tej pożyczonej kwoty. Józef, słabowitego zdrowia, z powodu wady gardła mówiący przyciszonym głosem, był z usposobienia prawdziwym konspiratorem. Czynny, ruchliwy, zorganizował on pierwszy kółko konspiracyjne, o którem później powiem obszerniej; wydawał pisemko szerzone w przepisywanych egzemplarzach; a następnie założył tajną litografję. O późniejszych losach Bolesława nic nie słyszałem, Józef — jak mi opowiadał w Paryżu Nowicki, też kolega nasz z Moskwy — ocalał w pogromie litewskim i jako lekarz praktykował na Litwie.

Bardzo lubianym przez kolegów był Ignacy Trzaskowski, którego z powodu jego imienia nazywaliśmy żartobliwie jezuitą, chociaż nic zgoła jezuickiego w nim nie było. Zawsze uśmiechnięty, serdeczny ze wszystkimi, uczynny. Zostawszy lekarzem, osiadł w Szatach w powiecie wiłkomierskim. W 1861 r. brat mój,

Józef, ściągając ludzi do Wilna, był u niego. W kawalerskiem jego mieszkaniu zastał dużo młodzieży, która jakby u siebie w domu lokowała się. W czasie powstania 1863 r. był Trzaskowski w oddziale Sierakowskiego. Wysłany na Sybir, gdy mu przywrócono prawa lekarza, zamieszkał w 1870 r. w Irkucku zyskał taką miłość u tamtejszej ludności, że kiedy umarł 25 lutego 1874 r., całe miasto wzięło udział w jego pogrzebie, jak to czytałem w gazecie rosyjskiej „Nowoje Wremia."

W bardzo dobrych stosunkach byłem z Juljanem Dogielem i Ludwikiem Kuczyńskim, obu Witebszczanami. Dogielowi oddałem moją rosyjską rozprawkę p. t. generatio alternans. Będąc w Paryżu, czytałem w jednej francuskiej fizjologji o ważnem odkryciu fizjologicznem, dokonanem przez Dogiela, profesora uniwersytetu kazańskiego, i ucieszyłem się bardzo z tego powodu, lecz Nowicki mówił mi później, że to nie nasz kolega. Kuczyński był synem lekarza z Witebska. Dobry chłopak, gościnny, był też kochliwy, sam mówił o sobie, że podczas każdych wakacji w domu musiał się zakochać w jakiejś pannie. Podobno podczas powstania 1863 r. był rewolucyjnym naczelnikiem miasta Dyneburga.

Zachodziłem czasem do braci Glindziczów, Bolesława i Mieczysława. Pamiętam, że raz zastałem w ich pokoju garść kolegów. Było to wieczorem. Pojawił się samowar, była herbata i cukier, lecz na ciasto, lub co innego do zjedzenia, Glindzicze nie mieli pieniędzy. Urządzono więc składkę i jeden z kolegów, wysłany po zakupy, przyniósł spory bochen *brykały*, tak kolonja nasza — nie wiem z jakiego powodu — nazywała chleb razowy, tudzież sporą salaterkę oliwek. Pierwszy to raz zdarzyło mi się wówczas spotkać z tym owocem. Wziąłem jedną oliwkę, lecz wnet z obrzydzeniem ją odrzuciłem, Inni koledzy nie mieli takiego wstrętu, i salaterkę zmieciono do dna. Bolesław odznaczał się wesołem usposobieniem i śmiał się często i serdecznie, — śmiech jego — powiedziałbym — był też śmieszny, podobny do spadania drobnych kaskad wody. Obaj wzięli czynny udział w powstaniu 1863 r. O Bolesławie czytałem w jakiejś gazecie rosyjskiej pełne nienawiści opowiadanie, jakoby zatruwał studnie w tych miejscowościach, gdzie stało wojsko moskiewskie. Mieczysław po powstaniu udał się na emigrację do Paryża, potem

do Włoch. Tam praktykował jako lekarz. W ostatnich latach mego pobytu w Paryżu, czytałem w wychodzącem tam polskiem piśmie, „Wolne Słowo" że celem kształcenia dzieci przybył do Francji. Pomimo starań, nie mogłem uzyskać wiadomości o miejscu jego pobytu.

Lubiany był też ruchliwy Żmudzin, Teodor Wróblewski, którego nazywaliśmy Żwirblis. Był on synem włościanina — o ile sobie przypominam. Takich synów chłopskich ze Żmudzi w całym naszym Ogóle było przeszło dziesięciu. Mocno przywiązani i do swego języka i do swych tradycyj dziejowych, trzymali jednak z Polakami, należeli do towarzystwa i brali czynny udział w jego sprawach. Z powodu tych Żmudzinów opowiadano dwie pocieszne historje. Jeden z nich dowodził serjo, że Litwini byli zdobywcami Rzymu, ponieważ Alaryk był Litwinem. Jeszcze pocieszniejszą była druga historja o Andrzejewskim. Miał się on poznać z jakimś bogatym kupcem moskiewskim, który, mając wielkie wyobrażenie o jego wykształceniu, zaproponował mu, aby jego córkę uczył języka angielskiego. Andrzejewski przyjął tą propozycję i uczył ją zamiast angielskiego, którego nie znał, żmudzkiego języka. Kiedy zwierzył się z tem przed kolegami, i ci robili mu wyrzuty, że nieuczciwie postępuje, odrzekł z całym spokojem: „a czem język żmudzki jest gorszy od angielskiego?" Podobne powiedzenie Miniszewskiego czytałem w późniejszych latach o emigrancie Żmudzinie, który córkę pewnego arystokraty francuskiego zamiast po angielsku nauczył mówić po żmudzku. Może Miniszewski coś był usłyszał o naszym Andzejewskim.

Z innych kolegów polaków na moim kursie przypominam sobie jeszcze Jana Świdę, dwóch Oskierków, Mikuckiego, Kozłowskiego, lecz z nimi bliższych nie miałem stosunków. Świda należał do zamożniejszych kolegów i mieszkał w innej części miasta. Przemówienia jego na naszych zebraniach były treściwe i trafiały do przekonania. Podczas powstania 1863 r. był czynnym komisarzem w powiecie borysowskim gubernji mińskiej. Po powrocie z Syberji, osiadł w Wilnie i był jednym z najbardziej wziętych lekarzy. O jednym z Oskierków dowiedziałem się, będąc urzędnikiem paryskiego towarzystwa asekuracyjnego New-Jork, że jako lekarz w Mińskiem, ubezpieczony na życie w tem towarzystwie, umarł. Dzieciom jego wypłacono polisę. Mikucki

nie miał dobrej opinji jako patrjota polski. Będąc jeszcze studentem, ożenił się z Rosjanką. Kiedym przybył z wygnania do Warszawy, Mikucki, dowiedziawszy się o tem, pośpieszył mnie odwiedzić. Był on lekarzem w wojsku rosyjskiem i — jak opowiadał — opiekował się podług możności rannymi powstańcami i ułatwiał im później ucieczkę ze szpitali. Jeszcze z jednym kolegą z moskiewskiego uniwersytetu spotkałem się później. Był to lekarz Nowicki, który doszedł do pewnej fortuny w Turkiestanie, przeniósł się następnie do Królestwa Kongresowego i przyjechał do Paryża, gdzie umieścił córkę i syna w zakładach wychowawczych polskich.

Oczywiście, po tylu latach wszystko się plącze w pamięci, i nie mogę rozróżnić kolegów kursowych od innych mi znanych. Dotyczy to Pawła Majewskiego, który mieszkał z Judyckim i bardzo mi się podobał. W 1863 r. należał on do organizacji polskiej w Moskwie, która zajmowała się przygotowywaniem powstania nad Wołgą. Z innych kursów wydziału lekarskiego przypominam sobie Bolesława Dłuskiego, Saturnina i Ildefonsa, Jakubowskich i Jaworowskiego. Dłuskiego, który wsławił się w powstaniu 1863 r. pod przybranem nazwiskiem Jabłonowskiego, poznałem, odwiedzając Trzaskowskiego, który mieszkał na Patryjarszych Stawach (Patryjarszyje Prudy). Wysłany za patryjotyzm polski, kiedy był jeszcze młodym chłopakiem w szkołach, do szeregów wojskowych na Kaukazie, Dłuski dosłużył się tam stopnia kapitana. Uwolniony za Aleksandra II z wojska, wstąpił, mając zamiłowanie do malarstwa, do akademji sztuk pięknych w Petersburgu; wkrótce jednak przeniósł się do Moskwy i wstąpił na wydział lekarski. Mieszkał on także na Stawach Patryjarskich i raz, spotkawszy się z nim na tych Stawach, chodziliśmy conajmniej godzinę i żywą prowadziliśmy rozmowę o naszych planach przyszłości. Saturnina Jakubowskiego poznałem w klinice, kiedy leżał chory na tyfus. Wysłany w r. 1863 na Syberję, w drodze zachorował i umarł. O Ildefonsie Jakubowskim i o Jaworowskim wspomnę później.

Niezawodnie znałem kolegów i z innych wydziałów, lecz nie pozostały mi w pamięci ich nazwiska. Z rozgłosu, z pewnej sławy zapamiętałem tylko nazwiska: Dominika Bociarskiego, Tadeusza Korzona i Karłowicza. Osobiście ich jednak wówczas nie

poznałem. Niezawodnie musiałem ich widywać na zgromadzeniach urządzanych na przyjęcie wracających z Syberji wygnańców polskich i na koncertach, organizowanych dla zasilenia kasy naszego Ogółu. Karłowicz był jednym z najwybitniejszych koncertantów. Bociarski słynął w naszej Rzeczypospolitej w Moskwie jako najtęższa głowa. Poznałem go dopiero, po jego powrocie z Syberji, u Korzona w Warszawie. Właściwie widziałem go parę razy i nie wyrobiłem sobie o nim własnego zdania. Artykuł jego, drukowany w „Bibljotece Warszawskiej", nie sprawił większego wrażenia. Później słyszałem, że jako adwokat w Kownie miał ogromną wziętość. Korzona poznałem osobiście dopiero w 1861 r. w Kownie, wracając z Paryża. Kiedy byłem w Moskwie, mówiono o nim dużo z powodu napisanej przezeń odpowiedzi studentom Rosjanom, którzy proponowali Polakom połączenie się z ich towarzystwem, a także z powodu zajścia, jakie miał na egzaminie z profesorem Barszewym. Czując się skrzywdzonym, zażądał ponownego egzaminu wobec całego grona profesorów wydziału prawnego i wyszedł zwycięsko z tego egzaminu. Karłowicza poznałem, będąc w Genewie.

Jakkolwiek trzeba było bardzo oszczędzać się w wydatkach, życie nasze, to jest moje i braci, upływało spokojnie a nawet przyjemnie. Każdy miał swoje zajęcie, nie zawadzaliśmy sobie, a w chwilach wypoczynku, zwłaszcza kładąc się spać, gawędziliśmy z sobą, dysputowaliśmy, rozwijaliśmy plany na przyszłość. Przypominało się wspólne życie z lat dziecinnych w Podgórzu. Z Lucjanem prawie zawsze zgadzaliśmy się. W stosunkach życiowych był on z nas trzech najbardziej praktyczny. Z Józefem już było inaczej, miał on i w charakterze i w pomysłach sporo fantastyczności. Bywał uczynny aż do narażania się osobistego, a czasami spierał się o rzeczy nieważne, nie dające mu prawie żadnej korzyści. I w jego planach walki z najazdem panowała wielka fantastyczność. Byli tam czynni zamaskowani spiskowcy. Czytając w późniejszych latach powieść Rodziewiczówny z powstania 1863 r., przypominałem sobie fantazje Józefa.

Cały dzień miałem szczelnie wypełniony. Chodziłem do kliniki akuratnie, wykładów nie opuszczałem. Wszakże nie te zajęcia były dla mnie główne. Najwięcej czasu poświęcałem czy-

taniu książek polskich, przeważnie historycznych. Polszczyłem się zupełnie. Zarzuciłem nawet moje prace fizjologiczne.

Do czytania mieliśmy sporo rzeczy. Prenumerowaliśmy „Gazetę Warszawską“, w której odcinku drukowane były powieści. Pojawiła się w tym czasie zajmująca powieść Kraszewskiego: „Interesy Familijne“, ale nadewszystko podobała mi się: „Biała Róża“ — opowiadanie Żmichowskiej, z której utworami dopiero zaznajomiłem się. Jak już zauważyłem, najwięcej czytałem dzieł historycznych, a to tembardziej że to wchodziło w zakres moich zobowiązań, o czem zaraz mówić będę. Z dzieł historycznych — wówczas świeżo wydane: „Jadwiga i Jagiełło“ Karola Szajnochy olśniło i oczarowało mnie swym pięknym stylem poetycznym, obrazowością i żywością opowiadania, ciepłem uczuciem i szerokim poglądem. Wielkie też wrażenie sprawiła „Historja powstania 1830 i 1831 r.“ — Maurycego Mochnackiego. Czytałem też starannie Mierosławskiego dwa pierwsze tomy historji tegoż powstania. Wówczas też wyszedł pierwszy tom historji polskiej — Henryka Schmitta, który uważnie — mogę powiedzieć — przestudjowałem.

Powodem, obowiązującym do szczególnego zajmowania się historją polską, była następująca okoliczność. Staraniem Józefa Zdańskiego, utworzyło się kółko zakonspirowane nawet wobec Ogółu polskiego, które wytknęło sobie za zadanie: kształcenie się w rzeczach polskich, przygotowywanie się do czynności obywatelsko-patrjotycznych po powrocie do kraju, porozumiewanie się w sprawach publicznych naszego Ogółu, wreszcie odpowiednią propagandę w tym kierunku wśród kolegów. Było więc to kółko samokształcenia się, jakie tworzyły się licznie po powstaniu 1863 r., i zarazem kółko konspiracyjno-propagandystyczne. Czy było więcej takich kółek, nie wiem chociaż naszem zadaniem było je krzewić. Kto należał do kółka, dzisiaj nie przypominam tego. Wiem tylko, że należeli Dogiel i Zdański Józef, musiał należeć i brat jego, Bolesław. Dwa inne jeszcze nazwiska utkwiły w pamięci: Ildefonsa Jakubowskiego, i Jaworowskiego, może dlatego że dopiero w kółku ich poznałem, a może dlatego że więcej byli czynni od innych. Zwłaszcza Jakubowski często przemawiał z dużą swadą i gorącem uczuciem patryjotycznem. Co się z nim stało później, nie wiem. Jaworowski przygotowywał

sprawozdania z postępu nauk przyrodniczych i miał wykłady z mineralogji. Brał on udział w powstaniu 1863 r. i był zesłany na Syberję. List jego jest, dołączony do Pamiętników Jakóba Gieysztora, wydanych w Wilnie w 1913 r.

W tem to kółku zobowiązałem się do sprawozdań z nowych dzieł historycznych polskich i do wykładów historji polskiej. Ponieważ w tych wykładach nie wyszedłem z lat pierwotnych i skończyłem na Bolesławie Chrobrym, więc opierałem się głównie na historji Schmitta, uzupełniając ją czerpanemi wiadomościami z Lelewela, Naruszewicza, Niemcewicza, Morawskiego. Dużo mówiłem o walce pogaństwa z chrześcijaństwem, przyczem rozwijałem teorję Schelinga o akcji i reakcji, o której wspominałem, mówiąc o Leontijewie.

Kółko nasze wydawało pisemko. Zajmował się tem Józef Zdański. Zbierał on artykuły, dawał je do przepisywania i przepisywane egzemplarze puszczał w obieg wśród młodzieży. Do tego pisemka dawałem tłumaczenie z pisma niemieckiego, „Gegenwart,“ które przypadkowo kupiłem z pośród książek co niedziela wystawianych na sprzedaż pod Wieżą Sucharowa. Był to jeden z tomów, wydanych w początkowych latach szóstego dziesiątka zeszłego (19-go) stulecia. Znajdowala się w nim krótka historja usiłowań polskich narodowych wywalczenia niepodległości, poczynając od 1831 r. i kończąc 1849-tym rokiem. Artykuł, napisany z wielką życzliwością dla sprawy polskiej, zachęcił mnie do dokładniejszego poznania dziejów porozbiorowych. W temże pisemku naszego kółka umieszczony był także mój artykulik o duchowem rozdwojeniu człowieka zrodzonego w niewoli.

Życie naszego Ogółu silnem biło tętnem. Oddziaływało ono na tych, co wchodzili z nim w stosunki, pociągając ku sobie. Najbardziej objawił się ten wpływ na tak zwanych *futurach*, to jest, przybywających z zamiarem wstąpienia do uniwersytetu. Często mało uświadomieni pod względem narodowym, byli nazywani — nie bez słuszności — przez urzędy moskiewskie katolikami polskiego pochodzenia. Dopiero, po przybyciu do Moskwy, w towarzystwie kolegów z Ogółu nabywali świadomości narodowej i stawali się gorącemi patryjotami polskiemi. Szczególnie pociągający wpływ nietylko na nieuświadomionych Polaków, lecz i na kolegów obcego pochodzenia, wywierały te braterskie stosunki,

jakie panowały wśród młodzieży polskiej. Zdarzało się, że tacy koledzy, wszedłszy w bliższą znajomość z Polakami, stawali się sami Polakami. Tak było na naszym kursie z Müllerem, który urodził się w penzeńskiej gubernji i ukończył penzenskie gimnazjum. Zaznajomiwszy się z Polakami, tak się z niemi zespolił, że się nauczył mówić po polsku i wstąpił do Ogółu. Wszystkie sprawy polskie żywo go obchodziły. Umarł, będąc jeszcze studentem, i w pogrzebie jego wzięliśmy czynny udział. Był on katolikiem, więc go chowali księża Polacy.

Rok 1858-my był rokiem, w którym w całej Polsce budził się potężny duch narodowy. Oddziaływało to silnie na naszą młodzież w Moskwie. Zwłaszcza interesowano się przebiegiem sprawy włościańskiej. Rosnąca wziętość cesarza francuskiego, Napoleona III, wznowiła wspomnienia o Napoleonie I-ym. I sprawę włościan i wspomnienia napoleońskie serdecznem współczuciem otoczył nas lirnik wioskowy Syrokomla (Ludwik Kondratowicz), piosenki i gawędy jego, rozbrzmiewające tem uczuciem, stały się ulubioną lekturą młodzieży z Litwy, młodzież ta stanowiła ogromną większość w naszym Ogóle. Oprócz drukowanych, krążyły w odpisach wiersze Syrokomli wyrzucające szlachcie ziemskiej jej samolubną oporność w sprawie włościan, piękny jego wiersz z powodu śmierci Mickiewicza i wiersz piętnujący pychę, mściwość i prześladowczą zawziętość zmarłego cara Mikołaja. W tym też roku wracali przez Moskwę wygnańcy syberyjscy. Młodzież Ogółu witała przybywających i urządzała przyjęcia dla nich. Wybierano obszerniejszy lokal u któregoś z kolegów zamożniejszych i gromadzono się tam licznie. Było jadło i napoje, herbata, ciasto, owoce, a po przemowach powitalnych, śpiewano, grano, aż do późna po północy przeciągała się serdeczna pogadanka, z synowską czcią słuchano opowiadań wygnańców Syberyjskich.

Studenci Polacy w Moskwie mieli oddawna własną organizację, lecz nie miała ona charakteru politycznego, a przynajmniej był on bardzo nieznaczny. Dopiero z budzącem się życiem politycznem w kraju i w tej organizacji wzmogło się pragnienie czynnego udziału w dążeniu narodowem do wolności, niepodległości. Rewolucja studencka, o której mówiłem, stała się też ważnym czynnikiem. Na zgromadzeniach pojawiają się projekty odpowiedniej reorganizacji całego stowarzyszenia zawiązania stosunków z innemi uniwersytetami, z młodzieżą krajową, z emigracją demokratyczną. Dla propagandy tych zamierzeń krążą pisane rozprawy. Projekty te zostały w części zrealizowane, lecz już po wyjeździe moim z Moskwy.

Rewolucja studencka przyczyniła się też do pierwszego zbliżenia się pomiędzy Rosjanami i Polakami. I przedtem istniały pomiędzy nimi stosunki, lecz nie powszechne, a nawet względnie dosyć rzadkie, — były to stosunki znajomości osobistej, prywatne. Naogół biorąc, wzajemny stosunek był raczej wrogi, niż przyjazny. Dopiero rewolucja spowodowała znaczną zmianę. Rosjanie, którzy nie mieli żadnej organizacji, żyli w kółkach odosobnionych, nie łatwo mogli się porozumieć, gdy trzeba było wspólnym czynem poprzeć swoje żądania. Natomiast u Polaków widzieli wielką solidarność w działaniu, która ich zdumiewała i zachwycała. Dowiadując się, że Polacy mają organizację i że jej to zawdzięczają swoją solidarność, postanowili i u siebie ją zaprowadzić. Takim ośrodkiem organizacyjnym miała być kasa, udzielająca zapomóg i zasiłków ubogim kolegom. Ponieważ pomiędzy studentami Rosjanami było dużo z rodzin bogatych więc posypały się hojne datki, a nadto społeczeństwo rosyjskie, chętnie patrząc na ten przejaw życia samoistnego, ze swojej strony wniosło do kasy znaczną sumę pieniężną. Rosjanie, chcąc bardziej zbliżyć się z Polakami, zaproponowali, by obie kasy, rosyjską i polską, połączyć w jedną wspólną. Pod względem materjalnym byłoby to niewątpliwie bardzo korzystne dla Polaków, ale pod względem politycznym było by to dobrowolne uzależnienie się od Rosjan. Propozycję więc odrzucono, Rosjanie atoli nie dali za wygraną. Ponieważ najważniejszymi wśród nich organizatorami byli wyznawcy rewolucyjnych przekonań Hercena, więc od nich wyszła pisana odezwa do Polaków, stawiająca sprawę na podłożu politycznem wspólnego interesu w walce ze wspólnym wrogiem, samodzierżawiem carskiem. Do tej odezwy dołączono przepisane z „Polarnej Gwiazdy", wydawanej w Londynie, pośmiertne wspomnienia Hercena o Stanisławie Worcellu, pełne czci i umiłowania tego polskiego emigranta. Wspomnienie to, jak zaznaczyłem w przedmowie do dzieła o Worcellu, zrobiło na mnie wielkie wrażenie. W odpowiedzi na odezwę rosyjską

pojawiła się odezwa polska. Nie przypominam sobie jej treści, lecz ogólnie podobała się ona wszystkim, mówiono, że wyszła z pod pióra Korzona.

Na egzaminie przejściowym miałem wszystkie noty dobre, z wyjątkiem tej jedynki, którą Razcwietow zemścił się nademną. Przysługiwało mi prawo poprawki po wakacjach, i jestem pewny, że Razcwietow nie postawiłby mi ponownie złej noty, ponieważ sam czuł, że postąpił niesprawiedliwie, a przytem zemścił się już był dostatecznie. Będąc na piątym, ostatnim kursie medycyny otrzymałbym napewno stopień lekarza, i jakkolwiek w późniejszych przejściach życie toczyłoby się w ciężkich warunkach, to jednak uzyskany stopień mógłby nieraz mi być pomocny. I nieraz też później żałowałem, żem nie pozostał w Moskwie i nie ukończył tam medycyny.

Nie ambicja jednak, aczkolwiek silnie była podrażniona, ani też misja polityczna zawiązania stosunków z młodzieżą dorpacką, której się podjąłem w naszym kółku konspiracyjnem, istotnemi były powodami, żem postanowił przenieść się na dalsze studja do Dorpatu. Były to raczej preteksty przed samym sobą, lecz prawdziwym, istotnym powodem była chęć zerwania z przeszłością, która wiązała się z wpływami rosyjskiemi, chęć wydobycia się z tych wpływów — że tak powiem — odmoskalenia się zupełnego i rozpoczęcia na nowo życia polskiego w całej jego świadomości.

ROZDZIAŁ IV

UNIWERSYTET DORPACKI

(1858 — 1860)

Wraz z bratem Lucjanem, który przenosił się na studja do nowo założonej Akademji Medycznej w Warszawie, zabrawszy nasze dokumenty z uniwersytetu, wyjechaliśmy w końcu maja koleją żelazną do Petersburga. Nie zatrzymując się w tem mieście, odpłynęliśmy statkiem po Newie do Kronstadtu i wsiedliśmy tam na okręt, który odchodził do Rygi.

Na okręcie znalazło się około 30 Polaków studentów, wracających do kraju na wakacje. Przeważnie byli to studenci z uniwersytetu petersburskiego. Zapoznaliśmy się prędko wszyscy, a że każdy z nas zaopatrzył się był w prowizję, więc raczyliśmy się wzajemnie. Pod pretekstem zapobieżenia chorobie morskiej, spożyliśmy sporo alkoholu pod rozmaitemi postaciami. Wesoło mijały pierwsze chwile podróży, ożywione pogadanką i śpiewami chóralnemi. Śpiewano nasze pieśni patrjotyczne, a chór był złożony z dobrych głosów; gromadzili się więc dokoła naszych śpiewaków marynarze i wiele osób z jadącej publiczności przychodziło słuchać.

Tak upłynęło kilka godzin. Tymczasem wiatr, od samego Kronsztadtu już dosyć silny, wzmagał się coraz bardziej i burzył morze. Fale wznosiły się coraz wyżej i huśtanie się okrętu stawało się silne, że bez trzymania się sznurów nie można było chodzić po pokładzie. Wypity w większej ilości alkohol, zamiast powstrzymać, przyspieszył chorobę morską. Ulegliśmy jej wszyscy, ja srodze ją odczuwałem zdawało się że ze mnie wylażą wszystkie wnętrzności. Majtkowie raz po raz chlustali wiadrami

wodę, oczyszczając w ten sposób podłogę. I pasażerów przytem nieraz oblano wodą, mnie to się także zdarzyło.

Mieliśmy miejsca na pokładzie pod gołem niebem, jako najtańsze. Ze względu na chorobę to było dobre, ale ku wieczorowi i w nocy, kiedy powietrze się oziębiło, uczucie przejmującego na wskroś zimna powiększało cierpienie. Wyniszczony, zmęczony, zziębnięty, leżałem skulony na ławce, zasnąć jednak nie mogłem.

Wschód słońca był wspaniały. Wiatr ustał, morze się uspokoiło. Koło godziny 9-tej okręt się zatrzymał nieopodal Rewla. Wyglądało miasto od morza jak gniazdo rycerskie ze swym zamkiem i szczytami kościołów. Cały rój czółen podpłynął, by przewieźć pasażerów na ląd. Lucjan i ja zamierzaliśmy także udać się do Rewla. Lecz z czuchną najbliższego czółna nie mogliśmy się porozumieć ani po niemiecku ani po rosyjsku. Lucjan wreszcie, gniewnie wymachując rękami, zaczął mówić po polsku do czuchny, i ten jakby zrozumiał, o co chodziło, podpłynął do okrętu i dopomógł nam wsiąść do czółna. Widocznie gesty i ton głosu do niego przemówiły. Dziwnie przyjemnego doświadczyłem uczucia, gdym stanął nogami na lądzie. W pobliżu tuż nad brzegiem znajdowała się gospoda. Weszliśmy do niej i zażądaliśmy kawy. Podano ją w dużych filiżankach, i bardzo nam smakowała. Do właściwego miasta był kawał drogi; obawiając się, aby okręt tymczasem nam nie odpłynął, wróciliśmy i dobrze zrobiliśmy, gdyż istotnie wkrótce puścił się w dalszą drogę.

Płynęliśmy już wśród zupełnej ciszy, lecz wycieńczeni chorobą, nie mieliśmy ochoty do śpiewów a nawet pogadanki. Przed wieczorem byliśmy już w Rydze. Odrazu zawieźliśmy nasze rzeczy na stację pocztową i bawiliśmy w mieście niedłużej nad parę godzin. Miasto miało wygląd zupełnie odmienny od tych, które widywałem. Średniowieczne cechy w niem były wybitne. Na stacji pocztowej zastaliśmy garstkę studentów, jadących na wakacje. Poznajomiliśmy się, wszczęła się rozmowa o sprawach politycznych. Tu po raz pierwszy spotkałem się z socjalistami i z Litwinami, zaznaczającymi swą odrębność od Polaków. Byli to studenci z petersburskiego uniwersytetu. W Moskwie socjalistów wśród młodzieży polskiej nie było, i wogóle socjalizmem mało zajmowaliśmy się. Na Litwinów wpadliśmy z oburzeniem lecz oni złagodnieli, i rozstaliśmy się w zupełnej zgodzie. Później

pisał do mnie Lucjan z Warszawy, że w Akademji Medycznej litwini z Suwalskiego trzymali się odrębnie od Polaków, a nawet własne tworzyli towarzystwo.

Późno wieczorem wyjechaliśmy do Dyneburga. Lucjanowi przytem wydarzyła się przykra, zwłaszcza w swych następstwach, przygoda: zamienił walizkę z Jasińskim, jadącym na Żmudź. Lucjan, spostrzegł omyłkę, natychmiast po przybyciu do Podgórza, odesłał walizkę Jasińskiemu; ten zaś, pomimo kilkakrotnych upomnień zwrócił walizkę Lucjana dopiero ku końcowi wakacji i był na tyle niedelikatny, że używał odzieży nowej, którą brat sprawił był sobie przed wyjazdem z Moskwy. A Lucjan był bardzo czuły na dobry wygląd odzieży, wogóle na całe zewnętrzne urządzenie swoje, czem korzystnie się różnił i ode mnie i od Józefa.

Jechaliśmy nocną porą, nie widzieliśmy przeto ślicznych okolic naddźwińskich, i dopiero w Kryżborgu (Kreuzburg) odsłonił się przed naszemi oczyma urok tej pięknej krainy. Na stacji w Kryżborgu spotkaliśmy się z jakimś szlachcicem — właścicielem ziemskim. Mówił gładko i widocznie miał wyższe wykształcenie. Rozmowa zeszła na najważniejszą podówczas kwestję: zniesienia poddaństwa i pańszczyzny. Myśmy potępiali upór szlachecki, chęć ograniczenia się najmniejszemi ustępstwami; on zaś stanął w obronie szlachty, głównie ze stanowiska ekonomicznego. Argumenty jego wypowiadane ze znastwem i logiką, zachwiały mię nieco; na Lucjana nie podziałały, okazał więcej stałości w swych przekonaniach. Wogóle z pomiędzy nas trzech braci, ja może najmniej odchylałem się od szlacheckich poglądów, ma się rozumieć, jednak postępowych; największym zaś radykałem chłopskim był Józef. Tymczasem w późniejszej ewolucji ja poszedłem najdalej, bo zaszedłem aż do socjalizmu; Józef zaś cofnął się ku poglądom inteligencji szlacheckiej: Prusa (Głowackiego) i Henryka Sienkiewicza.

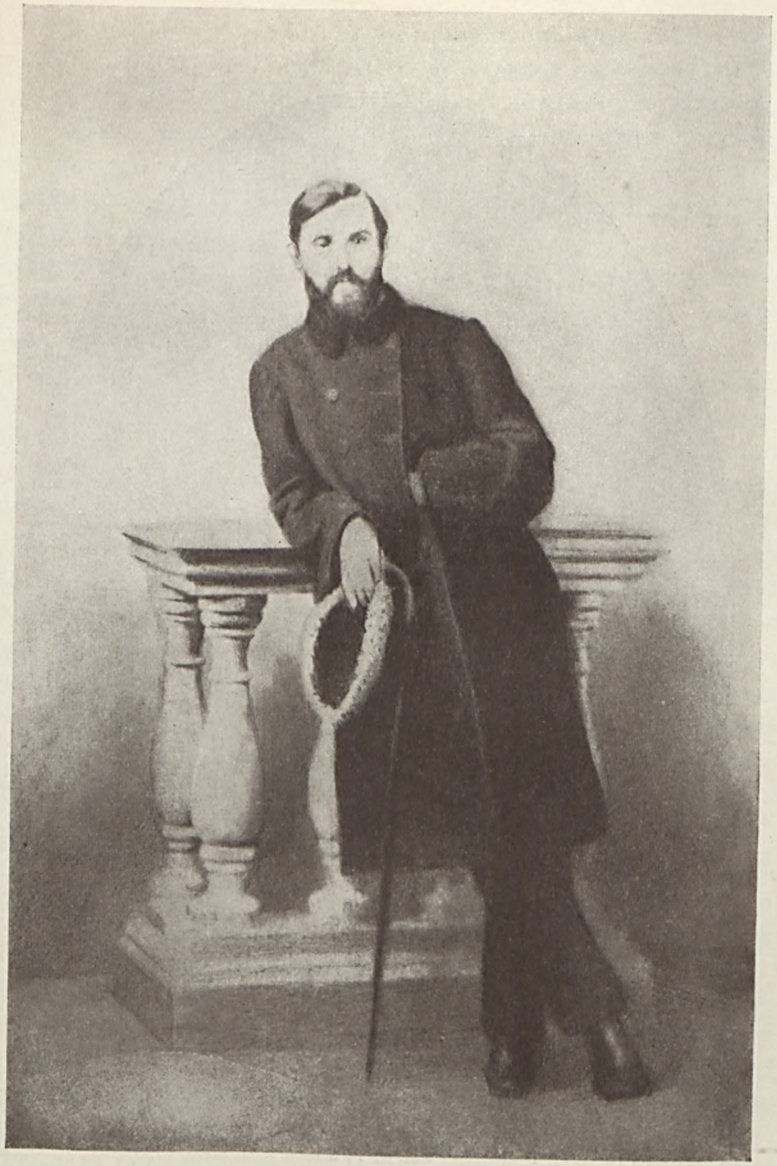
Niewywczasowani i zmęczeni w dobie poprzedniej, jadąc w ciemnościach nocy, zapadaliśmy raz po raz w stan senny i po drodze pogubiliśmy nasze czapki: Byłem tak znużony, że kiedy po przyjeździe do Dyneburga, udaliśmy się do fryzjera, i usiadłem w fotelu, by mi ostrzygł włosy, sen mnie zmorzył rap-

townie i przez cały czas dokonywanej operacji spałem jak zabity.

Z Dyneburga jechaliśmy pocztą z dwoma młodymi chłopakami, Szyrynami, zaliczającymi się poniekąd do arystokracji miejscowej, z powodu bliskiego pokrewieństwa z Platerami. Szyrynowa była już wdową, mieszkała w Krasławiu i miała w nim najładniejszy domek, po okazałym pałacu Platerów.

W tym roku Zaborowski, jako dzierżawca Podgórza, zamieszkał w nim stale z Kamilą. I nasza w nim była główna kwatera, od czasu do czasu tylko przebywaliśmy pojedynczo lub razem w Katarzynowie, czyli w Wonogach, u matki. Było nam dobrze, zwłaszcza w Podgórzu. Sypialiśmy w wielkiej odrynie, pomiędzy oborą i tokiem, w tej samej odrynie, w której urządzano niegdyś teatr na imieniny matki. Miałem łóżko obozowe z napiętem płótnem, bez siennika, i czułem się w niem bardzo wygodnie. Ku końcowi czerwca przybył i Józef.

Znalazł się on w Moskwie w bardzo przykrem położeniu z powodu swej uczynności. Mając w tem mieście pozostawać jeszcze czas pewny, wypożyczył pieniądze, przeznaczone na drogę jednemu z kolegów, który obiecał odesłać je natychmiast po przyjeździe do domu. Obietnicy jednak nie dotrzymał, a tymczasem Józef, wydawszy resztę pieniędzy, żywił się już tylko chlebem razowym, bo na co innego nie starczyło. Wreszcie, nie mogąc doczekać się zwrotu pieniędzy, napisał do nas o swem ciężkiem położeniu. Wysłaliśmy mu natychmiast pieniądze. Wracając do domu, Józef skierował swoją drogę na Krzywcówkę do cioci Karoliny, której stał się ulubieńcem od czasu śmierci Aleksandra, może dlatego, że z rysów był nieco podobny do nieko. W Krzywcówce nie zastał ani ciotki, ani jej męża, wyjechali oboje do Siebieża na uroczystość św. Antoniego. I Józef pojechał do Siebieża i poszedł do kościoła. Kiedy po skończonych modłach, ciocia wychodziła, zbliżył się do niej, by ją powitać. Ciocia, która była bardzo dbała o ubiór, i zewnętrzny wygląd, widząc go w wytartym i poplamionym surducie, uczuła się upokorzona wobec odświętnie ubranego obywatelstwa, że miała siostrzeńca takiego obszarpańca. Nie ukrywała swych uczuć i gdy przyszli do mieszkania, czyniła mu gorzkie wyrzuty. Józef, podniecony jej słowami, ujawnił cały swój radykalizm chłopski, an-



Lucjan Limanowski
Wołogda 1864 r.



Józef Limanowski
Zurych 1875 r.

tyszlachecki. Ciotka zapłonęła gniewem i rozstali się z zimnem dla siebie uczuciem.

Miało to pewnien skutek i ze względu na moją osobę. Ciocia Karolina od tego czasu zaczęła mi okazywać najwięcej przychylności, prawdopodobnie dla tego, że nie urażałem jej przekonań szlacheckich, a natomiast chętnie z nią rozmawiałem o literaturze i poetach, co było ulubionym tematem jej rozmów, gdyż czytała dużo i miała sporo wiadomości. Oprócz książek, które kupowała, prenumerowała jeszcze pisemko rosyjskie: „Syn Otieczestwa", pisemko tanie lecz starannie redagowane, mające obfitą i ciekawą treść. Czytelnik znajdował tu dwie powieści: jedną oryginalną rosyjską, drugą tłumaczoną z obcego języka, oraz liczne artykuły, popularyzujące wiedzę z rozmaitych jej działów. Z powodu tego pisemka zrobiłem cioci uwagę, że jako Polka powinna popierać i rozpowszechniać piśmiennictwo polskie, nie zaś rosyjskie. Ciocia usprawiedliwiała się tem, że nie napotykała w takim rodzaju i tak taniego pisemka polskiego. Istotnie w owych latach piśmiennictwo nasze w zaborze rosyjskim, podtrzymywane przez szlachtę zamożniejszą, stosowało się głównie do jej upodobań i nawyków, mało dbając o szerokie, bardziej demokratyczne koła. Dopiero po powstaniu 1863 r., Adam Wiślicki, wytrwale prowadził dzieło demokratyzacji piśmiennictwa polskiego. Wydawane przezeń pismo „Przegląd Tygodniowy", lubo nie dorównywało ani obfitością treści, ani starannością w redagowaniu owemu pisemku, dobrze się zasłużyło, wnosząc wiedzę i poglądy postępowe w szerokie i uboższe koła narodu.

Będąc w Krzywcówce w tym roku, podziwiałem zaprowadzony przez ciocię ład domowy. W stosunkach ze służbą była łagodna, żadnych krzyków, żadnych szturchańców, ale stanowcza i wymagająca, aby raz wydane rozkazy, jaki ma być porządek i co czynić należy, ściśle wykonywano i nie potrzebowano, by je powtarzać. Stanowcza ta wola odnosiła skutek. Całą służbę pokojową wykonywała młoda dziewczynka — co najwięcej lat piętnastu — automatycznie, milcząca jakby zegarek nakręcany. I wszystko załatwiała szybko i dobrze.

Podczas tego pobytu u cioci, poznałem moją siostrę stryjeczną, Anetę Parafjanowiczównę. Mogła mieć wówczas lat 17 — nie więcej; miły wygląd, delikatne rysy, jasna blondynka, włosy

płowe. Kiedym przyjechał, przebyła już była chorobę, wracała do zdrowia, lecz osłabiona nie opuszczała jeszcze łóżka. Przychodziłem kilka razy dziennie do jej pokoju i przesiadywałem tam godzinami. Opowiadałem jej różne rzeczy, przeżyte, słyszane, czytane, głównie o sprawach polskich, czytałem jej głośno Konrada Wallenroda, którym zdawała się być zachwyconą.

I drugą siostrę, nieco starszą od Anety, Paulinę poznałem w tym roku podczas mego pobytu w Jassach. Miała umysł rozwinięty i spory zasób wiadomości, zwłaszcza z literatury. Czytała dużo. Mówiła rozumnie i to, co mówiła, umiała uzasadnić. Beletrystykę rosyjską znała lepiej od polskiej. Na moją uwagę, że powinnoby być odwrotnie, tłumaczyła się tem, że książki rosyjskie otrzymywała z łatwością, nic za nie nie płacąc, a tymczasem w uzyskaniu książek polskich zachodziła wielka trudność. Istotnie, zawiadowca poczty w Zarzeczu, o którym już wspominałem, przynosił Paulinie i książki i pisma, które w jakikolwiek sposób dostawały się do jego rąk. Instynkt jej polski uczynił z niej zwolenniczkę tego ruchu wolnościowego, jaki w owych latach w piśmiennictwie rosyjskiem coraz bardziej się ujawniał. Z przyjemnością słuchałem, jak rozumnie i trafnie oceniała przeczytane książki. Swojem opowiadaniem zachęciła mnie do przeczytania powieści Turgieniewa: „*Na kanunie*" (W przeddzień). Było to pierwsze i ostatnie moje widzenie się z Pauliną. Wyszła ona — już po powstaniu 1863 r. — za mąż za właściciela restauracji w Siebieżu.

Nastał termin, kiedy musiałem wracać do Podgórza, by stamtąd już udać się do Dorpatu.

Jechałem do Dorpatu pocztą z Fiodrowiczem, synem zamożnego młynarza w Krasławiu. Ukończył on już studja lekarskie i miał tylko przed sobą ostateczne egzaminy. Po drodze wstąpiliśmy na obiad do znajomego Fiodrowicza, byłego dorpatczyka, Oskierki, właściciela dóbr ziemskich. Był on kawalerem, rozmownym i gościnnie nas podejmował. Wraził mi się w pamięć jeden szczegół z pobytu w jego domu. W jakimś interesie przyszedł do niego włościanin w długim szafirowym surducie, w butach, z kolczykiem w uchu. Po wyjściu jego. gospodarz widząc moje zaciekawienie, objaśnił, że był to włościanin z jego wioski, i że w niej jest więcej takich. Była to dawna szlachta pol-

ska zagonowa. Kiedy po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej spisywano ludność, władze rosyjskie zapytywały tę szlachtę po rosyjsku: „czy są krestjanie (włościanie)?" Sądząc, że ich pytają, „czy są chrześcijanie" — odpowiadali twierdząco. Zapisano ich więc jako chłopów. Później zaczęli dochodzić swych praw, lecz wobec wskazanego z góry systemu redukcji szlachty drobnej, wszystkie starania były daremne. Pamiętali wszakże, że byli szlachtą, czuli się Polakami i pomiędzy sobą mówili jeszcze po polsku.

Wieczorem wyjechaliśmy do kraju nadbałtyckiego, mającego własną odrębną organizację, i w pogranicznym mieście Werro, postanowiliśmy przenocować. W gospodzie panowała niemiecka czystość i niemiecki porządek. Gdym się położył do łóżka, doznałem wielkiej przyjemności: wszystko było świeże, czyste, miękkie. Lecz ta przyjemność rychło minęła. Piernat i pierzyna, tak mnie rozgrzały, że pomimo, iż kładłem się spać drzemiąc, wybiłem się ze snu zupełnie. Wyskoczyłem z łóżka, powyrzucałem pierzyny i piernat, i położywszy się na gołych niemal deskach, twardo zasnąłem.

Na drugi dzień wyruszyliśmy w dalszą drogę. Na polach zboże było już zebrane. W powietrzu snuł się zapach palących się tu i ówdzie torfowisk. Zapach ten tak mi się wraził w pamięć, że w następnych latach, gdziekolwiek go poczułem, wstawało przypomnienie Dorpatu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy woźnica uśmiechnięty zwrócił się ku nam i, wskazując biczem na błyszczące zdala krzyże kościołów, wesoło zawołał: „Tartulina" estońska nazwa Dorpatu.

Zatrzymaliśmy się u jednego z kolegów Fiodorowicza. Zebrała się tam gromadka studentów, a jeden z nich, bardzo sympatyczny z Litwy, Michniewicz, wziął mnie pod swoją opiekę: wskazał mi tanie mieszkanie, obeznał ze sposobem życia, ze zwyczajami i porządkiem powszechnie przyjętym.

Dorpat w owym czasie miał charakter zupełnie niemieckiego miasta. Język niemiecki panował wszędzie: w urzędach, na katedrach uniwersyteckich, w szkołach, sklepach, na ulicy. Częściej można było w mieście posłyszeć mowę polską, niż rosyjską. Okoliczna ludność estońska mówiła w swoim języku, ale osiedlając się w mieście, wyuczyła się języka niemieckiego i w

tym języku można było się z nią rozmówić. Zaludniała ona na lewym brzegu Embachu znaczną część miasta, zwaną Dreki (Drecke — gnojowiska, bagna), chociaż za moich czasów była ta dzielnica osuszona, uporządkowana i dobrze zabudowana. W każdym razie była to część miasta mniej czysta, bardziej upośledzona, mieszkała tam uboższa ludność. Właściwe miasto było z prawej strony Embachu. Miało ono piękny, staro niemiecki wygląd. Zwłaszcza główna ulica, Ritterstrasse, wspaniale się przedstawiała. Lecz największą ozdobą było wzgórze, piętrzące się nad miastem i porosłe bujnym lasem, tak zwane Domberg, od dawnej katedry katolickiej, w której kazał ongiś Piotr Skarga; w części odnowionej jej zwalisk była umieszczona bibljoteka uniwersytecka. Wzgórze to zamieniono na rozległy, piękny park. W jego obrębie znajdowały się kliniki. instytut położniczy, anatomicum i obserwatorjum astronomiczne.

Wynająłem mieszkanie na bocznej, prawie skrajnej ulicy, niebrukowanej, bez chodników, z wielkiemi tylko kamieniami po środku, dla przeskakiwania po nich, kiedy zalegało ulicę błoto. O ile sobie przypominam, nazywała się ona Gartenstrasse, ponieważ biegła wśród sadów i mało było na niej domów. Tam, gdzie zamieszkałem, był jeden dom zewnętrzny, wychodzący na ulicę, drugi wewnętrzny — w głębi dziedzińca. Zewnętrzny, był to mały domek piętrowy. Na parterze było większe mieszkanie, zajmowała je akuszerka — nazwiska jej nie pamiętam — jedyna moja prywatna znajomość poza obrębem stosunków z kolegami Polakami. Tam od czasu do czasu na herbatkach wieczornych w towarzystwie jej znajomych miałem jedyną sposobność wprawiania się w mowie niemieckiej. Na pięterku, do którego prowadziły z dziedzińca wąskie schody, były dwa przeciwległe sobie pokoje: mniejszy z jednem oknem, wynajęty przezemnie, i drugi większy z przedpokojem, w którym mieszkał Kochanowski z Wilna. Na drugiej, przeciwległej stronie dziedzińca stał ładny piętrowy dom z przyległym obszernym sadem. W domu tym mieszkali właściciel posiadłości i dzierżawca ogrodu owocowego, a także wynajmowano pokoje: na piętrze mieszkał Dauter, Polak-Wołyniak; na parterze przebywał czas pewien także Polak Kamieński, wydalony za jakąś polityczną sprawę z uniwersytetu kazańskiego; z początku dobrze był on przyjęty

przez rodaków, wkrótce jednak zachowaniem się swojem wzbudził ku sobie nieufność i Dorpat opuścił.

Pokoik mój był szczupły z niskim sufitem. Znajdujące się w nim mebelki były własnością gospodarza. Naprzeciw drzwi w pewnem zagłębieniu, jakby w niszy, stało łóżko, proste, drewniane. Naprzeciw okna, wychodzącego na dziedziniec, stała kanapka upleciona z łozy, przed nią niewielki stolik z dwoma krzesełkami z łozy. Pomiędzy oknem i łóżkiem stała mała komódka. Oto i całe umeblowanie. Dla prowadzenia gospodarstwa domowego kupiłem samowarek, statki do przynoszenia obiadu, lampkę i nieco innego niezbędnego naczynia.

Obsługiwania mnie podjęła się lefelina (Löffelin), która obsługiwała Dautera i Kochanowskiego. Była to stara Estonka, bardzo poczciwa kobieta. Chociaż następnie zmieniłem parę razy mieszkanie, nie opuszczała mnie. Była nietylko służącą, lecz często opiekunką. Kiedy zabrakło pieniędzy, otwierała swem pośrednictwem kredyt u piekarza, u obiadodawczyni.

Urządziwszy się z mieszkaniem i z gospodarstwem, załatwiłem swoje interesy z uniwersytetem. Immatrykulacja moja przechowała się w moich papierach. Podpisana ona została 11 sierpnia 1858 r. przez rektora, Dr. Frid. Biddera.

Zachowała się także w papierach książeczka z poświadczeniami wykładów, na które się uczęszczało, tak zwany Anmeldungsbogen. Zapisane są następujące wykłady w drugim semestrze 1858 r.: 1) sądowa medycyna — profesor Dr. Guido v. Samson Himmelstern — poświadczenie: uczęszczał (besucht) — kolokwjum: dobre (gut); 2) ćwiczenia położnicze na fantomie — Dr. Piers Walter — uczęszczał; 3) Historja nowszych systemów medycznych — Dr. Rudolf Buchheim — uczęszczał — zdał dobrze (gut bestanden); 4) poliklinika — zastępca profesora Weyrich — praktykował; 5) psychologja — Dr. Ludwig Strümpell — bardzo pilnie (sehr fleissig) — bardzo dobrze (sehr gut).

Ćwiczenia położnicze na fantomie kobiecym odbywaliśmy pod kierunkiem profesora położnictwa, Waltera. Był to starzec opryskliwy, podobno na egzaminach surowy, ale uczył dobrze. Wprawialiśmy się, jak odczuwać palcami położenie dziecka w miednicy kobiecej i stosownie do tego położenia wykonywać czynność pomocniczą przy rodzeniu.

Poliklinika była to bardzo pożyteczna pod względem praktyki lekarskiej instytucja. Pozwalała ona samoistnie kierować się w leczeniu, zawsze jednak pod kontrolą profesorską. Polegała ona na tem, że w klinice na tablicy był spis praktykantów, udzielających bezpłatnie porady i lekarstwa. Wezwany do chorego lub chorej praktykant, po zbadaniu choroby, zapisywał lekarstwo, które w aptece na rachunek uniwersytetu wydawano. Następnie w godzinach wyznaczonych referował profesorowi, do jakich wniosków doprowadziło go badanie chorego i jakie lekarstwo zapisał. Profesor albo potwierdzał, albo wskazywał, co się pominęło, a co uczynić należy. W wypadkach ważnych albo wątpliwych udawał się sam z praktykantem do chorego, i w jego obecności praktykant odbywał badanie i zapisywał receptę. Kierował polikliniką Dr. Weyrich, który zastępował profesora Erdmana, a następnie na miejsce tego mianowany był profesorem. Wymagał od praktykantów szczegółowego i dokładnego zbadania, szczególnie ścisłego oznaczenia zmian w organach wewnętrznych przy pomocy ostukiwania (perkusje).

Zapisałem się na psychologję głównie dlatego, że w wykazie przedmiotów, na które uczęszczałem w uniwersytecie moskiewskim, jej nie było, a tymczasem wymagano jej znajomości na tak zwanem examen philosophicum, który to egzamin poprzedzał egzamin ze ściśle lekarskich przedmiotów. Psychologję wykładał profesor Ludwik Strümpel, wyznawca Herberta i znany pisarz w dziedzinie filozoficznej. Wykłady jego odznaczały się pięknem i względnie jasnem wysłowieniem. Zainteresowały mię silnie, i stałem się pilnym ich słuchaczem. Na egzaminie był bardzo zadowolony z moich odpowiedzi i zachęcał mię do dalszych studjów filozoficznych, co też miało wpływ na mnie, jak to się okaże później.

Oprócz uczęszczania na wykłady i praktykę polikliniczną, zająłem się pilnie przygotowaniem się do examen philosophicum, obejmującym: fizykę, chemję, nauki przyrodnicze, anatomję i fizjologję ciała ludzkiego, oraz psychologję. Dostałem potrzebne książki i skrypta. Jak już wspominałem — wykłady fizjologiczne Biddera zaznajamiały z najnowszemi zdobyczami nauki, o których Glebow nic nie mówił. Dość ważną trudność w mojem przygotowaniu stanowił język niemiecki, niedostatecznie jeszcze

przeze mnie znany. Egzamin wszakże odbyłem z powodzeniem. Profesorowie byli wyrozumiali: chodziło im o znajomość przedmiotu, a nie o błędy językowe. Przy egzaminie z botaniki, gdy nie mogłem przypomnieć terminu niemieckiego i wymieniłem francuski, gdyż — jak już wspomniałem — miałem książkę francuską, którą przestudjowałem, — profesor oświadczył, że mogę odpowiadać po francusku jeżeli mi to łatwiej, — i do końca odpowiadałem już w tym języku.

W Dorpacie były dwie organizacje polskie: Ogół i Szczegół. Podział ten nastąpił mniejwięcej na dwa lata przed moim przyjazdem. Dawniej Polacy stanowili korporację, podobną do niemieckiej; następnie uniezależnili się zupełnie od prawa, obowiązującego korporacje, rozwiązali swoją korporację, a natomiast utworzyli odpowiadające narodowym potrzebom i dążeniom stowarzyszenie pod nazwą Ogół. Nastąpiło to wkrótce po powstaniu 1830 i 1831 r., i trwało tak aż do rozłamu. Przyczyną tego rozłamu były zajścia, jakie nastąpiły pomiędzy Rosjanami i korporacjami niemieckiemi. Ogół polski zastosował się do postanowień korporacyjnych. Większość Litwinów, członków Ogółu, nie pochwalała tej polityki, uważała roszczenia niemieckie za niesłuszne i żądała zaprzestania walki z Rosjanami. Lecz większość Ogółu odrzuciła to żądanie i pozostała w porozumieniu z Niemcami. Wówczas wszyscy prawie Litwini, z wyjątkiem tylko kilku, wystąpili z Ogółu i utworzyli odrębną polską organizację, nazwaną Szczegółem. Rosjanie, prześladowani przez korporacje niemieckie, opuścili Dorpat, nowi nie przyjeżdżali, i w czasie mego pobytu było ich zaledwie kilku. Z usunięciem się Rosjan, znikła główna przyczyna rozłamu, pozostała wszakże pewna wzajemna nieufność i niechęć. Ogółowicze nazywali członków Szczegółu Moskalami, chociaż nie mieli w tem żadnej racji; tamci zaś wywdzięczali się im nazwą Niemców, względnie z większą słusznością, ponieważ pomiędzy koroniarzami było wielu pochodzenia niemieckiego, prawie wszyscy teolodzy, Diehl, Zander Zimmer, Oppman, a i na innych wydziałach było ich sporo, jak Lohrer, Teich, Hindermith, Potz, Selej i inni.

Liczba studentów w Ogóle była znacznie większa, niż w Szczególe. Do Ogółu należeli wszyscy kongresowiacy, Ukraińcy, Wołyniacy, Podolacy; Litwinów należało zaledwie kilku, jak

Orzeszko, Władysław Landsberg, Klaczko. Do Ogółu też należał Michał Plater z Kombula, znajdującego się w pobliżu Krasławia. Szczegół składał się wyłącznie tylko z Litwinów. Była jeszcze garstka dzikich, która ani do jednej, ani do drugiej organizacji nie należała: paru Żydów bogatych, udających arystokrację; kilku abnegatów fizycznych i moralnych; wreszcie kilku albo nieprzyjętych albo wykluczonych. Wszystkich razem studentów Polaków było conajmniej ze stu.

Odrazu wszedłem w najlepsze stosunki z Litwinami. Z jednym z nich, który już kończył egzaminy lekarskie i wkrótce opuścił Dorpat, Mierzejewskim, najwięcej się zbliżyłem, i później korespondowaliśmy z sobą przez czas pewien listownie. Pomimo jednak moich dobrych stosunków z Litwinami, postanowiłem wstąpić do Ogółu z zasady, jako zwolennik solidarności narodowej i przeciwnik rozłamów, a następnie pracować nad tem, aby obie organizacje znowu ze sobą się połączyły. Złożyłem więc wizytę wszystkim członkom organizacji, jak wymagał tego od kandydatów zwyczaj, istniejący od dawnych lat, i zgłosiłem swoją kandydaturę.

Gospodarzem Ogółu — takim mianem oznaczano przewodniczącego w towarzystwie — był Franciszek Delarbre. Z nim i z jego bratem, Stanisławem, zostawałem w przyjaznych stosunkach. Zwłaszcza ze Stanisławem częste miewałem dysputy. Jakkolwiek w zasadzie obaj byliśmy ludowcami i republikanami, to jednak w szczegółach, a głównie w praktycznem zastosowaniu naszych zasad, mieliśmy odmienne zdanie: ja byłem bardziej umiarkowany, Stanisław zaś bardziej radykalny.

Historja Delarbrów była nieco podobna do mojej. Była to rodzina francuskiego pochodzenia, lecz zupełnie spolszczona. Ojciec Franciszka i Stanisława był zamożnym szlachcicem na Ukrainie. Oddano ich obu w dziecinnym jeszcze wieku do jednego z pensjonatów niemieckich w nadbałtyckich prowincjach. Znaleźli tam troskliwą opiekę i prawdziwie rodzicielskie przyjęcie, a na naukę chodzili do gimnazjum, które wówczas było całowicie niemieckie. Po ukończeniu kursu gimnazjalnego, czuli się więcej Niemcami, niż Polakami; o wiele łatwiej mówili i pisali po niemiecku, aniżeli po polsku. Wróciwszy na Ukrainę i znalazłszy się przez dłuższy czas w gronie rówieśników czuli swą niższość narodową i to ich bolało. W Dorpacie weszli odrazu do towarzystwa polskiego, a poczucie krzywdy narodowej, jaką im wyrządziło niemieckie wychowanie, wzmogło się, a u Stanisława przeszło niemal w nienawiść do Niemców. To był także jeden ze spornych naszych problemów, gdyż ja nie podzielałem jego niechęci do narodu niemieckiego.

Franciszek odznaczał się inteligencją, wyrobił się na dobrego mówcę; szlachetnego charakteru, łagodny, uprzejmy w stosunkach, był powszechnie szanowany i lubiany. Kiedym przyjechał, przebył on był już ciężką chorobę obłędu, zapewne wskutek wytężonej pracy przed egzaminami. Choroba minęła, ale pozostały pewne jej skutki: lękliwość i podejrzliwość, która przejawiała się nieraz w jego oczach, gdy w rozmowie ktoś coś komuś szepnął, albo potrącano o coś, co miało chociażby daleki stosunek z jego nieszczęściem. Stanisław miał więcej temperamentu, był wielce oczytany, — doskonale znał zwłaszcza piśmiennictwo niemieckie — w sporze był zapamiętały i wydawał stanowcze sądy. Obaj wzięli czynny udział w powstaniu 1863 r. i obaj znaleźli się następnie na emigracji w Szwajcarji. Franciszek wkrótce zapadł znowu w obłęd i umarł w zakładzie dla obłąkanych. Ze Stanisławem widziałem się w 1871 r., czy też w 1872 r. w Krakowie. Co się z nim stało później, nie wiem.

Pomimo pilnego przygotowywania się do egzaminów, brałem czynny udział w naszem życiu publicznem. Żadnego zgromadzenia nie opuściłem; dość często zabierałem głos w rozmaitych sprawach. Zjednany przez Franciszka Delarbra, byłem głównym mówcą na obchodzie powstania listopadowego, na który przybyli i szczegółowcy, tak że zgromadziła się prawie cała Polonia studencka. Mowa moja wywarła dobre wrażenie, uzyskała u wielu życzliwe uznanie, a szczególnie gorącym moim zwolennikiem oświadczył się jeden z członków Szczegółu, Leonard Staniewicz, szlachetnych uczuć młodzieniec, ale wyróżniający się pewną oryginalnością i w zwyczajach towarzyskich i w pisaniu nawet polskiem, gdyż je skracał przez opuszczanie liter i zastępowanie ich znaczkami u góry na wzór czeski. Zawiązałem tu kółko samokształcenia, podobne do tego, jakie istniało w Moskwie. Należeli do niego Staniewicz, teolog Zimmer, Klaczko —

bratanek znanego publicysty Juljana, Lohrer i nie pamiętam — kto jeszcze. Czytaliśmy wspólnie dzieła historyczne, dotyczące Polski, a przytem robiliśmy uwagi, z czego wywiązywała się czasem dłuższa dyskusja. Akcja odbywała się jednak bez zainteresowania, ospale i słabła po pewnym czasie. Wogóle w Dorpacie nie znalazłem tej gorącości uczucia patrjotycznego, jakim pałała młodzież uniwersytecka w Moskwie.

Wywiązując się z misji, którą przyjąłem w naszem kółku konspiracyjnem w Moskwie, napisałem obszerny list, w którym zdawałem sprawę ze stanu rzeczy w Dorpacie. List był pisany z wielką oględnością, ażeby nawet gdyby wpadł w niepowołane ręce, nie mógł wyrządzić szkody poszczególnym osobom lub sprawie ogólnej. Wysłałem go w drodze umówionej, konspiracyjnej. Atoli nie otrzymałem nań odpowiedzi. Wyczekawszy czas pewien, napisałem drugi list krótki, w którym donosiłem tylko o wysłaniu listu poprzedniego i prosiłem o odpowiedź, ażebym wiedział, że pomiędzy nami istnieje komunikacja. Ale i na ten nie otrzymałem odpowiedzi. W taki sposób urwał się z wielkim moim żalem wszelki stosunek z młodzieżą polską w Moskwie.

Łatwość przelotnych miłostek była wielka w Dorpacie. Nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć podobnej. W Paryżu i w Warszawie bujnie kwitnęła prostytucja, ale była ona sprzedajna, rzadko bezinteresowna. W Dorpacie dziewczęta brały i pieniądze i podarki, jeżeli im dawano, jednakże nie pieniądz decydował. Władze nie tolerowały tych miłostek. Ilekroć pedel uniwersytecki spostrzegł, że dziewczyna weszła do mieszkania studenta, wnet żądał w imieniu prawa (im Namen des Gesetzes), ażeby mu otworzono drzwi, zabierał dziewczynę i cytował studenta przed rektorem. Dziewczynę odprowadzano do ratusza, gdzie wymierzano jej chłostę; student zaś otrzymywał surowe upomnienie, albo co najwięcej kilku dniowy areszt. Jeżeli zaś student nie otworzył na wezwanie pedela drzwi, to groziła mu relegacja, to jest wydalenie na pewien czas z uniwersytetu za opór prawu. Niemcy zwykle otwierali posłusznie drzwi; przeciwnie, Polacy woleli zostać relegowanymi, aniżeli wydać dziewczynę.

Instytucja pedelów była prawdopodobnie zapożyczona z niemieckich uniwersytetów. Jak się zdaje — wybierano ich z pomiędzy zdymisjonowanych podoficerów i żołnierzy. W stosunku do studentów stali na niższym stopniu, ale pośrednio przedstawiali jakby pewnego rodzaju władzę. Wniesione przez nich oskarżenie rzadko uchodziło bez kary. Wszakże ze mną to się wydarzyło, o czem wnet opowiem. Stosunek pomiędzy studentami i pedelami był wrogi: studenci traktowali pedelów z pogardą, ci zaś ze złością patrzyli na studentów. Mieli oni swoją strażnicę na placu ratuszowym, gdzie zawsze w dnie pogodne stały gromady studentów z fajkami i cygarami w ustach, przypatrując się przechodzącym. Ilekroć pedel zauważył coś zdrożnego, przeciwnego obyczajom lub prawu w zachowaniu się jakiegoś studenta, zbliżał się do niego, na co student wołał: „Drei Schritte vor dem Leibe“ (trzy kroki od osoby — był to przepis prawny). Stanąwszy w tej przepisanej odległości od studenta, pedel wygłaszał: „Im Namen des Gesetzes, zietiere ich Sie (imię i nazwisko) um (wymienił datę i godzinę) vor den Herrn Rektor albo Prorektor. — W imieniu prawa wzywam Pana, by się stawił w takim to czasie przed panem rektorem lub prorektorem. — Nie wolno było nie usłuchać tego wezwania: groziło to surową karą, czasem nawet w ważniejszych wypadkach relegacją.

Mnie zacytował pedel z następującego powodu. Był koncert panien Neruda w gmachu uniwersyteckim. Po ukończeniu koncertu, w sieniach przed schodami stała gromadka studentów, przypatrując się wychodzącym osobom. Na żądanie pedela, wszyscy porozchodzili się, ja tylko jeden pozostałem na miejscu. Widząc to pedel, przystąpił do mnie i zacytował mnie do rektora. O wskazanym czasie udałem się do kancelarji uniwersyteckiej. Rektora zastępował prorektor von Oettingen. Po przedstawieniu się mojem, zwrócił się do mnie:

— Dlaczego pan nie usłuchał prawa, w imieniu którego pedel żądał rozejścia się?

— Nie widziałem nic zdrożnego w mojem postępowaniu — odrzekłem — stałem spokojnie i przypatrywałem się wychodzącej publiczności.

— A poco pan to robił?

— Z ciekawości — odrzekłem

Spostrzegłem jakby cień przelotnego uśmiechu na twarzy Oettingena.

— Nie bądź pan tak ciekawy na przyszłość — rzekł — i słuchaj rozkazów prawa, inaczej będzie źle, a teraz możesz pan sobie odejść.

Na tem się wszystko skończyło.

Gmach uniwersytecki nie należał do ozdób miasta. Zwykła ogromna kamienica, frontem zwrócona na małą uliczkę u jej wylotu na plac ratuszowy. Sale wykładowe i aula były obszerne, ta ostatnia z galerją. Na stołach drewnianych przed ławkami studenci na początku semestru wyrzynali scyzorykiem swoje nazwiska, zapewniając sobie w ten sposób miejsce na całe półrocze. Kiedy wchodził profesor, studenci nie podnosili się, by go powitać, lecz, siedząc na miejscu, szorowali tylko nogami. Z początku wydawało mi się to śmiesznem, lecz następnie i ja przyzwyczaiłem się objawiać nogami swoje powitanie.

Obok tego dużego gmachu był mniejszy, piętrowy, należący także do uniwersytetu. Mieściła się w nim tak zwana musa (Müsse — czas wolny od zatrudnień), instytucja bardzo pożyteczna. Była to resursa studencka. Pozostawała pod kontrolą władzy uniwersyteckiej, ale wybierała zarząd z pośród swych członków. Opłata była niewielka. Na parterze była jadłodajnia, kancelarja, szatnia, sala bilardowa. Na piętrze czytelnia w dwóch obszernych pokojach, kilka pokoi do gier, jeden specjalnie dla gry w szachy przeznaczony i duża ładna sala, w której odbywały się dość często wieczorki tańcujące i koncerty. Podałem się i ja na członka musy i zostałem przyjęty. Najczęściej przesiadywałem w czytelni. Gazet prenumerowano dużo, oczywiście najwięcej niemieckich, były jednak i polskie. Tygodniki i miesięczniki, belestrystyczne i naukowe, były liczne. Chodziłem i na wieczorki tańcujące, lubo jako nie umiejący tańczyć, stawałem w licznej zawsze gromadzie spektatorów.

Życie upływało pracowicie i dosyć przyjemnie. Kiedy przyjechałem do Dorpatu, było jeszcze ciepło. Piękne dni jesienne wabiły na przechadzkę do kąpieli. Wielka była obfitość owoców i owoce tanie. Do kąpieli chodziłem codziennie, często z kolegami, którzy w sąsiedztwie mieszkali. W mieście były dobrze urządzone łazienki rzeczne, ale w pierwszym roku z nich wcale

nie korzystałem. Miałem w pobliżu mieszkania inne miejsce do kąpieli: w polu, na otwartem powietrzu, a przytem — co bardzo ważne — bezpłatne. Były takie dwa miejsca, wyznaczone przez zarząd miejski, bliższe — dla mężczyzn i odleglejsze — dla kobiet. Rozbierano się na trawie pod gołem niebem. Wyznaczone na rzece miejsce było ogrodzone palami, a dno jego wzmocnione i wysypane piaskiem. Kto umiał pływać, ten wysuwał się za pale na rzekę. Embach (Omowża — dawna polska jego nazwa) nie był szeroki, ale był głęboki i rwący i miał dno błotniste. Kiedy pierwszy raz spróbowałem go przepłynąć, z trudnością wydostałem się na drugi brzeg i tak byłem zmęczony, że wypoczywałem z godzinę, grzejąc się na słońcu.

Najprzyjemniejszem miejscem przechadzek był Domberg. Widok, jaki się roztaczał z tego wzgórza na miasto, rzekę, poza nią leżące na rozległym widnokręgu domki, ogrody, gaiki, był prześliczny. Park był obszerny i w swym drzewostanie urozmaicony. Na jednym z kilku jego miejsc wyrównanych znajdowały się urządzenia gimnastyczne; znowu na innej polance często zgromadzały się korporacje niemieckie, wprawiające się do chóralnego śpiewu. Idąc do kliniki z Gartenstrasse, przechodziłem wzdłuż głębokiego i malowniczego wąwozu, zabudowanego gęsto domkami.

Z drugiej strony Dombergu, na jego zboczu znajdował się kościołek katolicki, a raczej była to kaplica, chodziłem do niej w niedziele i święta. Do nabożnych nie należałem, lecz wśród dorpatczyków mogłem uchodzić za takiego. Większość ich z małym wyjątkiem, zarówno katolicka jak i ewangielicka, oprócz teologów, mało się troszczyła o swoją religję. Proboszczem — o ile sobie przypominam — był ksiądz Leszczyński. Nie miał on żadnych stosunków z młodzieżą polską, wcale o to się nie starał: a młodzież mówiła o nim lekceważąco, nazywając go kutwą. Kapłanem — jak się zdaje — też nie był gorliwym. Kazania mówił, czyli raczej czytał monotonnie po kolei jednej niedzieli w polskim, drugiej w niemieckim języku. Działały one usypiająco. Raz — przypominam sobie — uśmiałem się serdecznie, kiedy jakaś drzemiąca w najlepsze podczas całego kazania, siedząca obok mnie niewiasta, równocześnie z księdzowskiem amen, nagle wstrząsnęła głową i obudziła się.

Stosunki towarzyskie wśród polskiej młodzieży były dość rozwinięte. Zamożniejsi, mając obszerniejsze mieszkanie, wyznaczali w tygodniu jeden z wieczorów, w którym przyjmowali u siebie kolegów. Zwykłem przyjęciem była herbata i ciasta. Ja nie miałem u siebie wieczoru wyznaczonego, bo i mieszkanie było ciasne i ograniczone środki na to nie pozwalały. Z tego powodu rzadko bywałem u zamożniejszych studentów, a to tem bardziej, że w ich towarzystwie nie znajdowałem wiele wspólności duchowej. Chętniej już bywałem u teologów, Diehla i Sanda. Mieli oni także wieczór wyznaczony i dawali do herbaty smaczny chleb razowy i masło. W towarzystwie ich było więcej prostoty i poważniejsza toczyła się rozmowa. Bywałem też dosyć często zwłaszcza na drugim roku, na wyznaczonych wieczorkach u Adama Majewskiego, który, jako witebszczanin, ciągnął mnie jako swego krajana do siebie, a przy tem spotykałem u niego Litwinów, z którymi w bliższych zostawałem stosunkach. Odwiedzałem też Delarbrów. Spotkałem się u nich parę razy i z Rusinami — było ich kilku w Dorpacie. Byli to narodowcy—Ukraińcy. My mówiliśmy po polsku, oni po ukraińsku i rozumieliśmy się ze sobą dobrze. Zachodziłem też często o różnej porze do Konrada Iwańskiego. Pochodząc z bogatej rodziny na Ukrainie, miał znaczne środki pieniężne i kupował dużo książek, z których i ja korzystałem. Czytał dużo, rozmyślał i palił się, gorączkowo szukając właściwej drogi, któraby prowadziła do lepszych warunków istnienia. Drogę tą widziałem w rewolucji, w zwycięstwie demokracji republikańskiej. Na to on nie chciał się godzić, bo gminność, pospolitość miała — podług niego — przeszkadzać polotowi ducha. Odbijał się na nim wpływ Krasińskiego. — Wrócić do dawnego porządku niepodobna, — ale jaki ma być ten nowy, dzieje jeszcze nie wyjaśniły, stąd nieustannie rewolucje. Całemi godzinami prowadziliśmy dyskusje. Wyniosły, porywczy, pokłócił się z wielu kolegami, pojedynkował się nawet; ze mną tylko, pomimo ostrego nieraz starcia się, zachowywał zawsze dobre stosunki. Później przybył do niego młodszy jego brat, Henryk, miły i dobry koleżka.

W Konradzie widziałem tą walkę duchową, jaka się odbywała w ówczesnej lepszej części bogatej, szlachetnej młodzieży polskiej. Czuła ona potrzebę zużycia swej energji duchowej.

Gdyby Rzeczypospolita miała niepodległość, służba publiczna przedstawiałaby rozległe do tego pole. Służyć wrogom ojczyzny nie pozwalała jej duma, a przed rewolucją czuła instynktowną trwogę. Większość więc zużywała swą energję w życiu hulaszczem, w szukaniu awantur. Przejawiało się to i u młodzieży innych narodów, ale było tylko czasowe, kiedy tymczasem u polskiej młodzieży trwało to za długo i sprowadzało całe życie na marne. Dwaj powieściopisarze dali trafny obraz tego usposobienia duchowego majętnej młodzieży polskiej: Edmund Chojecki w „Alkadarze“ i Aleksander Niewiarowski w „Życiu na żart“. Obie te powieści czytałem właśnie w Dorpacie, i silnie wraziły mi się w pamięć. Dziwię się przeto, że historycy naszej literatury nie zwracają na nie prawie uwagi. Ocenianie utworów literackich jedynie ze stanowiska estetycznego, ze względu na samo piękno, prowadzi do tego, że zwraca się większą uwagę na formę, na ukształtowanie zewnętrzne, aniżeli na myśl, na treść wewnętrzną. Wadliwość tej wyłączności spostrzegł już Edward Dembowski i nakreślił historję literatury polskiej, mając przeważnie na względzie treść wewnętrzną, myślową, jej rozwój postępowy. Aczkolwiek pobieżnie i niedostatecznie opracowana, dawała ona wszakże bardziej całkowity i bardziej prawdziwy obraz twórczości polskiej myśli. Niezawodnie i forma wiele znaczy, ale w każdym razie sama myśl jest najważniejsza. Nosiłem się i ja z zamiarem nakreślenia obrazu piśmiennictwa naszego w okresie czasu od 1830 do 1863 r., oceniając je ze stanowiska rozwoju myśli społeczno-demokratycznej. W tym obrazie obie wymienione powieści miały zająć należne im miejsce.

Od tych dorywczych uwag wracam do opowiadania o moich stosunkach towarzyskich z kolegami. Zachodziłem często do Gierłowicza i Staniewicza ,którzy mieszkali razem. Prawie zawsze można było tam zastać kogoś z Litwinów, zawsze było tam coś i do zjedzenia i do wypicia. Prostota i braterskość litewska przypominały mi stosunki młodzieży polskiej w uniwersytecie moskiewskim. Gościnność ta jednak niemal całodzienna miała i swą stronę ujemną: przyzwyczajała do lenistwa i marnowania czasu na błahe i puste pogadanki.

Z domowymi sąsiadami: Kochanowskim i Dauterem widywałem się prawie codziennie. Z Kochanowskim piliśmy wspól-

nie ranną herbatę. Przychodził do mnie ze swojemi bułeczkami. W opowiadaniach o Wilnie był niewyczerpany. Sprawy miłosne były najulubieńszym przedmiotem jego opowiadania. Rozgadawszy się, zjadał swoje bułeczki, a następnie z niepokojem oglądał się, pytając, gdzie się podziały. Z Dauterem grywałem w szachy i rozprawiałem o kwestji ruskiej. Nie podzielałem wówczas jego poglądów ukrainofilskich. Byłem tego zdania, że na Rusi odbywała się właściwie zawsze jeszcze walka pomiędzy Polską i Moskwą o hegemonję nad ludem ukraińskim jako bierną mocą. Dauter był już nieco podstarzały, ociężały, leniwy. Nie chciało mu się uczyć, zwlekał więc z egzaminami ,a że był na rachunku skarbowym, więc władze przynaglały go, a raz zamknięto go nawet w karcerze wraz z książkami i skryptami, ażeby tam uczył się do egzaminu. — Oprócz domowych, nawiedzali mię często sąsiedzi z najbliższych domów naszej okolicy: Kulesza, gorący patrjota polski, i Lancuś — tak nazywaliśmy Ludomiła Landsberga — serdeczny i miły chłopak.

Od samego przyjazdu, pragnąłem zaznajomić się bliżej z dwoma dorpatczykami, którzy po wysłuchaniu kursów, w tym czasie przygotowywali się do ostatecznych egzaminów. Obaj jednak nie mieszkali w mieście, ale na wsi w jego okolicy. Byli to Ulanowski i Michał Plater.

Ulanowski (imienia jego nie pamiętam, zdaje się — Władysław) był naszym krewnym, słyszałem to od matki i od ciotek. Rodzice jego posiadali duże dobra, Marjenhaus, w lucyńskim powiecie. Przedstawił się jako blisko spokrewniony z Limanowskimi. Był u mnie co najmniej pół godziny; o czem rozmawialiśmy, — dzisiaj już nie pamiętam. Więcej go już nie widziałem. Z Dorpatu bowiem wyjechałem na święta wielkanocne do Podgórza i tam zostałem na letnie wakacje, a tymczasem Ulanowski zdał egzamina i jako lekarz wrócił do stron rodzinnych. Czy Marjenhaus w tym czasie pozostawał jeszcze w posiadaniu Ulanowskich, nie wiem. Gustaw Manteuffel wymienia jako dziedzica tej majętności od r. 1859 do 1862 — Jana Lipskiego — w artykule: „Nieco z dziejów dawnego księstwa inflandzkiego", drukowanym w piśmie zbiorowym: „Z okolic Dźwiny — 1912 r."

Do bliższego poznania się z Michałem Platerem pociągały



Anna Sławińska
Wilno 1861 r.



Tadeusz Korzon
Kowno 1861 r.

mnie: urok patrjotyzmu, otaczający ich rodzinne nazwisko, szczególnie rozsławione przez bohaterkę Emilję Platerównę, oraz sąsiedztwo bliskie naszych gniazd rodzinnych. Kombul, majętność jego rodziców, znajdował się w pobliżu Krasławia. Od Fedorowicza i innych kolegów słyszałem o Platerze jak najlepszą opinję. Razem z Majewskim, który się uważał za jednego z najbliższych jego znajomych, poszedłem do wsi, gdzie mieszkał, ażeby go odwiedzić. Przyjął nas uprzejmie. O ile poznałem następnie Platera, powziąłem o nim opinję jako o dobrym patrjocie i postępowym obywatelu. Był on jednym z najlepszych szachistów w Dorpacie. Raz widziałem go grającego z Dauterem w mieszkaniu tego ostatniego. Leżał na łóżku ,odwrócony do ściany, i, nie patrząc na szachownicę, dyktował posunięcia. I partję wygrał. Kiedy po ukończonych egzaminach, opuszczał ostatecznie Dorpat, urządzono na pożegnanie go składkową ucztę w jednej z najlepszych i najdroższych gospod. Ponieważ cierpiałem wówczas na żołądek, a przytem musiałem bardzo się rachować ze swojemi wydatkami, więc się wymówiłem od uczestniczenia, podając za przyczynę swój stan chorobliwy. Lecz Majewski niemal gwałtem mnie pociągnął. Od picia jednak wymawiałem się, lecz Majewski i ten upór przełamał, fundując jako lekarstwo butelkę wyśmienitego porteru angielskiego, i muszę poświadczyć, że środek ten leczniczy znakomicie poskutkował. Choroba, która mię dręczyła przez dni kilka, po uczcie ustała całkowicie.

W drugiem półroczu, a w pierwszym semestrze 1859 roku zapisałem się na następujące przedmioty, jak to wykazuje mój Anmeldungsbogen: 1) Historja medycyny — Dr. Rudolfa Buchheima, 2) chirurgiczna i oftalmiczna klinika — Dr. Georg Adelman, 3) cywilno-medyczna policja — Dr. Samson Himmelstern, 4) Praktyka lekarska na mieście — ten sam profesor, 5) praktyczne ćwiczenia z chemji analitycznej — Dr. Karol Craus, 6) klinika terapeutyczna — Dr. Wiktor Weyrich, 7) anatomja patologiczna — Dr. Artur Böttcher, 8) epizotja — Dr. Artur Böttcher, 9) Logika — Dr. Carl Kupffer. W ten sposób wyczerpywałem cały kurs nauk lekarskich, który był potrzebny do egzaminów. Był to ostatni rok (10 semestrów czyli pięć lat), wymagany dla uczęszczania na wykłady kursowe; następnie

miałem tylko egzaminy przed sobą. Tymczasem nastąpiła nader ważna zmiana, o której później mówić będę.

Nie na wszystkie wymienione wykłady pilnie chodziłem. Zależało to od tego, czy mnie interesowały. Na kliniki uczęszczałem codziennie, miałem tam wyznaczonych chorych, których dziennik prowadzić musiałem. W klinice chirurgicznej nauczał profesor Adelman, który miał ogromną wziętość jako chirurg. W stosunkach z studentami był uprzejmy i lubiano go. Dosyć pilnie odbywałem ćwiczenia w pracowni chemji analitycznej. Wykłady policji cywilno-medycznej Samsona Himmelsterna były zajmujące. Na praktykę lekarską pod jego kierunkiem chodziliśmy do wielkiego szpitala wojskowego, w którym był naczelnym lekarzem. Tamże wprawialiśmy się w auskultacji. W tym celu Himmelstern utworzył specjalne nieliczne kółko, za osobną opłatą. I ja zapisałem się do tego kółka i wprawiałem się pilnie, ale szło to ciężko, widocznie i wówczas miałem słuch nieco przytępiony.

Jak już wspominałem — w studjach moich uniwersyteckich zaszła bardzo ważna zmiana. W końcu ubiegłego semestru już o niej myślałem. Spowodował to nader przykry dla mnie wypadek. Wezwany, w praktyce poliklinicznej do chorej kobiety, która nagle i niebezpiecznie zachorowała, zapisałem jej lekarstwo w silniejszej dozie, niż należało. Nie miało to złych następstw, gdyż w aptece to spostrzeżono, a obecny tamże poliklinicysta niemiec zmniejszył dozę. Profesor nie dowiedział się o tej mojej omyłce. Lecz moja ambicja została podrażniona, a to mnie zawsze srogo gnębiło. Znowu budziła się wątpliwość, czy zawód lekarski odpowiada memu usposobieniu i moim skłonnościom. Filozofja i historja bardziej mnie pociągały, aniżeli nauki lekarskie. Postanowiłem więc zapisać się na wydział filozoficzny. Przecież, gdybym następnie znowu się rozmyślił wrócić na medycynę, to nic nie stawało temu na przeszkodzie: wysłuchałem wszystkie przedmioty, objęte progamem wydziału lekarskiego, odbyłem praktykę kliniczną, zdałem examen philosophicum. Mogłem więc po roku lub dwu latach przystąpić do ostatecznych egzaminów, co najwięcej poświęciwszy jeszcze jeden semestr na praktykę w klinice położniczej.

W połowie więc marca zgłosiłem się do dziekana filozoficz-

nego wydziału, oświadczając swe postanowienie zapisania się na ten wydział. Dziekanem był Strümpel. I znowu podrażniono moją ambicję, co omal nie spowodowało powrotu do medycyny. Przed kilku miesiącami, gdym odbywał colloquium z psychologji, sam profesor zachęcał mnie do studjów filozoficznych, a teraz odradzał zmianę wydziału, albowiem do studjów filozoficznych — zdaniem jego — potrzebna była gruntowna znajomość języka niemieckiego, której nie posiadałem. Słowa jego podrażniły mnie silnie. Dość cierpko powiedziałem mu, że przecież cała filozofja nie zamyka się w samym tylko języku niemieckim. A i uwaga jego co do mojej znajomości tego języka nie zupełnie była słuszna. Mówiłem co prawda z trudnością, lecz czytałem dzieła filozoficzne z zupełną łatwością, rzadko zaglądając do słownika. A to przecież całkowicie wystarczało.

Zapisałem się na następujące przedmioty: 1) logikę, która zresztą znajdowała się już w spisie moim poprzednim, 2) metafizykę, na wykłady której chodziłem od samego początku, 3) Thucydides — Dr. Friedrich Neue, 4) Tibullus — ten sam profesor, 5) powszechną historję — Dr. Karol Rathlef i 6) analityczną geometrję wraz trygonometrją — Dr. Ferdinand Minding. Jeden tylko Strümpell poświadczył, żem pilnie (fleissig) uczęszczał na wykłady, inni zaświadczyli słowem: uczęszczał (besucht). Colloqium z tych przedmiotów nie odbywałem, albowiem musiałem wyjechać wcześniej z Dorpatu. Na wykłady Mindinga chodziłem z początku pilnie, lecz, mało z nich korzystając, zniechęciłem się i przestałem uczęszczać. Był on znakomitością matematyczną, lecz w nauczaniu nie należał do dobrych profesorów. W wykładach swoich często odwoływał to, co był powiedział; zmazywał z tablicy to, co był narysował; mylił się w rachunku. Ponieważ robiłem notatki, więc gdym układał je w domu na nowo, nieraz męczyłem się i nie mogłem wybrnąć z mazaniny, którą spisałem, pisząc w ślad za nim.

Wcześnie, przed samemi świętami wielkanocnemi, a więc conajmniej na jakiś miesiąc przed ukończeniem wykładów, wyjechałem z Dorpatu, albowiem dzierżawa Zaborowskiego skończyła się w kwietniu na świętego Jerzego i, stosownie do układu z braćmi, miałem objąć gospodarstwo w Podgórzu. Postanowi-

liśmy to zrobić dlatego, ażeby umożliwić sobie zamianę pańszczyzny na czynsze.

Wyjechałem statkiem, który wraz z Embachem wpłynął do jeziora Pejpus. Z początku rozglądałem się z ciekawością po tej rozległej płaszczyźnie wodnej, następnie jednak znużyła mnie monotonność. Z Pejpusu wpłynęliśmy do rzeki Wielkiej i wkrótce stanęliśmy w Pskowie. Kolega, z którym jechałem, zabrał mnie z sobą do koszar wojskowych, gdzie miał kolegę z gimnazjum, oficera. Do stołu, przy którym piliśmy herbatę, zbliżyło się jeszcze kilku oficerów polaków. Rozmowa była banalna, a stosunek, jaki spostrzegłem pomiędzy tymi oficerami, raził mię brakiem istotnej koleżeńskości i drobną rachunkowością. Pozostawiwszy więc swoją walizkę, pospieszyłem wyjść na miasto, by rozejrzeć się nieco i poczynić przygotowania do dalszej drogi.

Dwa miasta rosyjskie, Psków i Nowogród, zawsze budziły we mnie szczególne zainteresowanie. Przypominałem sobie ich dawny republikański ustrój, ich ciążenie ku wielkiemu Księstwu Litewskiemu. Miałem prawie ten sam pogląd, który wypowiada Juljusz Słowacki w liście do ks. Adama Czartoryskiego. „W pierwszych czasach słowianizmu — pisał on — Polska pokazuje się jako wielkie słoneczne wolności morze — a dwie odeń gwiazdy (niby tego samego koloru, a piękniejszej może jasności, bo ku ciemnym stronom idące), Nowogród i Psków, świecą na północy. Jako zaś w świecie materjalnym nic nie ginie, ale wszystko przemienia się, tak też podobnie i w świecie ducha. Nowogrodzkie przeto i Pskowskie pierwiastki jeszcze aż dotąd są w słowianiźmie do odkrycia, jeszcze gdzieś pod grobami i popiołami palą się niezgaszone.“ Dzisiaj (pisano w marcu 1918 r.), kiedy obawa panslawizmu znika zupełnie, dążenia słowiańskie — trzeba przypuszczać — wzmogą się wśród narodu polskiego w kierunku, wskazywanym przez Lelewela i Franciszka Smolkę, w kierunku łączącym federalnie słowian na podłożu gminowładztwa.

Kupiwszy bilet do Dyneburga, dzisiejszego Dźwińska, w kantorze dyliżansów, mając sporo jeszcze czasu do wyjazdu, obszedłem całe miasto, które wszakże w niczem nie przypominało dawnej swej przeszłości. Przynajmniej ja jej nie dostrzegłem.

Kiedy zbliżała się godzina wyjazdu — w kilka godzin po południu — udałem się do koszar, zabrałem walizę i o wiele wcześniej od naznaczonego terminu wyjazdu, stanąłem przed kantorem dyliżansów. Zdziwiło mię mocno, że drzwi, a nawet okna kantoru były zamknięte. Czekałem czas pewien, atoli nie widać było żadnego ruchu, a godzina wyjazdu nadeszła. Przejęła mię trwoga, zacząłem dobijać się do drzwi i wołać. Trwało to dość długo, wreszcie ktoś wyjrzał i powiedział mi, że dyliżans już odszedł i wszyscy powychodzili z kantoru. Ogarnęła mię rozpacz: co pocznę? Pieniędzy nie miałem na kupienie drugiego biletu. Tymczasem nadszedł ktoś z kantoru i zapewnił mnie, że za tym samym biletem będę mógł odjechać w jutrzejszym dyliżansie. Uspokoiło to mnie nieco, ale w każdym razie niewesoło przedstawiała się perspektywa. Nocleg w gospodzie i jedzenie wyczerpały mój zapas pieniędzy, a przecież muszę się jeszcze żywić w drodze. I jak się dostanę z Dźwińska do Podgórza?

Na drugi dzień poszedłem na mszę do kościoła katolickiego i, zjadłszy skromny obiadek, włóczyłem się po ulicach, wstępowałem do cerkwi, jeżeli były otwarte, zwiedziłem miejsca spacerowe i na jakie dwie godziny przed wyjazdem udałem się do kantoru. Wynudziłem się, lecz wreszcie z lżejszym sercem zasiadłem w dyliżansie i wyruszyłem w dalszą drogę. W Rzeżycy dyliżans zatrzymał się na dłuższy czas, ażeby podróżni mogli zjeść obiad. Moim obiadem był kawałek chleba, z którym poszedłem ku widniejącym w pobliżu zwaliskom dawnego zamku, ażeby je obejrzeć. Wracając, oglądnąłem miasto: niewielkie, ale dobrze zabudowane i czyste. Przyjechaliśmy do Dźwińska wczesnym porankiem. Obliczywszy pieniądze, widziałem, że nie starczyłyby na opłatę poczty do domu. Trzeba było zaciągnąć pożyczkę. Nie wątpiłem, że ostatecznie muszę znaleźć pieniądze. W najgorszym razie poszedłbym do którego z lekarzy i ten jako dorpatczykowi, uczniowi medycyny, a więc względnie swemu koledze i ziemianinowi z tegoż powiatu, nie odmówiłby pożyczki pięciu rubli, gdyż tyle potrzebowałem. Ponieważ godzina była jeszcze wczesna, udałem się do kościoła, na ganku spotkałem znajomego kolegę — nie przypominam sobie — czy z Moskwy, czy z Dorpatu. Opowiedziałem mu swoją przygodę i swoją biedę pieniężną. Kolega ów miał pieniądze przy sobie i odrazu mi

pożyczył potrzebne mi pięć rubli. Załatwiłem więc sprawę nadspodziewanie dobrze i szybko. Pospieszyłem do kantoru, gdziem zostawił walizkę, zaniosłem ją na stację pocztową, a tam czekał już na odjazd do Krasławia jakiś wojskowy Polak, który chętnie przyjął moją propozycję podziału kosztów jazdy. O ile sobie przypominam, nazywał się Dowgiałło, służył w artylerji. W rozmowie, prowadzonej podczas drogi, dał się poznać jako dobry patrjota polski. Do Krasławia przyjechaliśmy już o zmroku. Tam wynająłem furmankę i przybyłem do Podgórza, kiedy już zabierano się do spania.

Na drugi dzień byliśmy na mszy w Indrycy i, wróciwszy do Podgórza, zasiedliśmy do sporządzonego w obfitości przez Kamilę święconego. Razem z nami przyjechała mama z kościoła, a u Zaborowskich gościła młoda szlachcianeczka z Przydrujska. Dzień upłynął wesoło, przyjemnie. W drugi dzień Wielkanocny byliśmy u matki w Katarzynowie, a następnych dni wraz z mamą objeżdżałem sąsiedztwo. Byliśmy także na święconem u Marcina Zaborowskiego w Dąbrówce. Ożenił się on z młodą mieszczanką z Krasławia, bardzo uważającą na zachowanie form ceremonjalych, co wnosiło przymus i skrępowanie w rozmowie. Wpłynęło to i na mnie. Z początku rozmowy, zmrożony wiejącą chłodem ceremonialnością gospodyni, umilkłem, i jeden tylko Michał nie ustawał w opowiadaniu zabawnych swych historyjek.

Zaborowski, który — jak sam powiadał — dobrze zarobił na dzierżawie w Podgórzu, niechętnie ją opuszczał i zabierał z sobą zgoła wszystko, co do niego należało. Kamila chciała, by pozostawił mi niektóre rzeczy na pewien czas, lecz on pozostawał jakby głuchy na jej przedstawienia. Ja ze swej strony milczałem, o nic nie prosiłem. Kiedy więc Zaborowscy wyprowadzili się ostatecznie, wszędzie panowały u mnie pustki: w mieszkaniu, w spichrzu, w stajni, w wozowni. Nie wiem, co bym począł, by utrzymać jakkolwiek gospodarstwo, nie mając ani pieniędzy, ani niezbędnych rzeczy, gdyby mię matka nie poratowała. Pożyczyła mi trochę mebelków, trochę zboża, konia i karafaszkę.

Jak już wspominałem — dawny dom mieszkalny spalił się i miejsce jego wskazywało pozostałe po nim podmurowanie, obrosłe pokrzywą, łopuchami, piołunem itp. roślinnością. Posesorowie mieszkali w dawnej oficynie i ja tam zamieszkałem. Duża sień ze spiżarnią i schowkami w głębi przedzielała budynek na dwie połowy. Z lewej strony od wejścia przestronną izbę zajmowała czeladź. Obok tej izby, w małym pokoiku oddzielonym przepierzeniem, mieścił się ekonom Kwiatkowski. Druga połowa domu była mojem mieszkaniem, Z ciemnych sionek wchodziło się do większego pokoju, którego dwa okna wychodziły na dziedziniec, a jedno na staw i na rosnący za nim sad owocowy. Tam przyjmowałem interesantów i gości. Na początku przez dłuższy czas całe jego umeblowanie ograniczało się do stołków i małego stolika, przy którym pisałem. Następnie przybyło nieco więcej mebli domowej roboty, którą wykonał wynajęty prze mnie parobek, znający się na stolarstwie. Drugi pokój na lewo, mniejszy, z oknem zwróconem na ogrody warzywne, zrana słoneczny, był sypialnią, jadalnią i czytelnią. Stały tam: łóżko, długi stół, na którego jednej połowie mieściły się książki, a na drugiej połowie pijałem herbatę i jadałem obiady i kolacje; tudzież wygodniejsze do siedzenia krzesełko. Obok tego pokoju znajdował się jeszcze ciemny pokoik, w którym stały kuferki, zawieszona był odzież i gdzie przechowywano niektóre cenniejsze rzeczy gospodarcze. Później, kiedy przyjechał Lucjan z Warszawy, odstąpiłem mu swoje łóżko, a sam na nocny wypoczynek przeniosłem się do ciemnego pokoiku.

Jednem z najprzyjemniejszych miejsc w Podgórzu był sad, ogród owocowy. Tam przepędzałem większą część swobodnego czasu; zwłaszcza ulubionem przeze mnie miejscem pobytu była środkowa altana z czterema wylotami i z czterema darniowemi kanapkami, otoczona dokoła rozrosłemi lipami, których gęsto splatające się z sobą gałęzie tworzyły osłonę nietylko od słońca, ale nawet od zwykłego deszczu. Przynosiłem z sobą poduszkę i, leżąc na kanapce, czytałem, a po obiedzie drzemałem. W tej altanie odbywałem narady z włościanami; służyła ona też często jako bawialnia, zwłaszcza gdy się zebrało nieco liczniejsze towarzystwo. Nosiłem się nawet z myślą zbudowania z desek altany w tej części sadu, gdzie w zagłębieniu rosły świerki, chciałem założyć tam stałą rezydencję na czas letnich miesięcy, to jest sypiać tam i wszelką pracę piśmienną tam odrabiać.

Pierwsze tygodnie mego gospodarstwa były nader przykre.

Wciąż okazywały się jakieś niezbędne potrzeby, a tu brakowało i pieniędzy i zapasów i narzędzi pracy. I gdyby nie pomoc matki, nie wiem, czy podołałbym kłopotom. Wprawdzie żydzi nastręczali się z pożyczką, lecz postanowiłem skorzystać z tego tylko w ostateczności. Nie zgodziłem się też im oddać pachtu. Małych pożyczek pieniężnych udzielał mi najbliższy mój sąsiad ksiądz Golmin, z którym pozostawałem w bardzo dobrych stosunkach. Przytem miał on zapewnioną ewikcję, ponieważ dzierżawił łąkę nad rzeczką Indrycą — tam gdzie prowadziła droga z Podgórza do kościoła. Dzierżawił ją na bardzo korzystnych warunkach — jak powszechnie mówiono — ułożonych jeszcze za ojca.

Oprócz kłopotów gospodarczych, nudziłem się ogromnie, nie wiedziałem, co z czasem robić. Dzień nieskończenie się dłużył, zwłaszcza że przyzwyczajony byłem do wczesnego wstawania. Początkowo zajęcia gospodarcze niewiele zajmowały czasu. Zajrzawszy do obory i stajni, oglądnąwszy roboty, które wykonywano, wracałem do siebie i czytałem, co się tylko dało znaleźć. W owym czasie przeczytałem bodaj wszystkie książki z naszej parafialnej bibljoteczki, do założenia której sam przeważnie się przyczyniłem.

Powoli jednak wszystko układało się coraz lepiej. Kłopoty, aczkolwiek nieustannie się pojawiały, to jednak zwolna traciły swój gwałtowny, trapiący charakter. Do kasy zaczęły wpływać czynsze dzierżawne, tudzież pieniądze ze sprzedaży serów, masła, coraz liczniejsze zajęcia gospodarskie zabierały też i mego czasu coraz więcej. Obmyśliłem wreszcie i dla siebie praktyczne zajęcie w ogrodzie. Nadesłano książki z dziedziny gospodarstwa, które wypisałem z Warszawy, zabrałem się do ich studjowania. Zaczęła przychodzić zaprenumerowana przeze mnie „Gazeta Warszawska". Następnie przyjechał Lucjan z Warszawy, więc miałem towarzysza do kąpieli, przechadzek, pogadanek.

Zabierając się do gospodarstwa rolniczego, nie miałem o niem żadnego wyobrażenia. W celu obeznania się z niem, sprowadziłem kilka książek z Warszawy. Jedna z nich okazała się dla mnie wielce pomocną: było to dziełko o rolnictwie, napisane przez Gregorowicza, znanego pisarza powieści z życia ludu wiejskiego. Skorzystałem też dużo z dzieła Strumiłły o sadach litewskich. Ażeby mieć na przyszłość oparcie na zyskanem już doświadczeniu, postanowiłem prowadzić dziennik, do którego codziennie wpisywałem jakie roboty wykonano, oraz z niemi związane własne spostrzeżenia i uwagi. Zaprowadziłem też książkę rachunkową dochodu i rozchodu, zapisując najmniejsze wpływy i wydatki. Otworzyłem w niej osobny dział dla zaciąganych i udzielonych pożyczek. Te ostatnie były dość liczne, gdyż, zgłaszającym się z prośbą włościanom, pożyczałem drobne kwoty pieniężne, zboże, siano, słomę, W osobnej rubryce wpisywałem udzielane zezwolenia na wyrąb drzewa z lasu.

Mentorem i pomocnikiem moim w rolniczych zajęciach był ekonom Kwiatkowski, który sprawował ten zawód w Podgórzu od wielu lat. Była to wielce szanowna i szlachetna osobistość. Pochodził z drobnej zagonowej szlachty. W tym czasie miał około siedemdziesięciu lat, a może i nieco więcej. Krzepki i silny, wysokiego wzrostu, głos miał potężny i krzyczał ostro, kiedy była potrzeba. Myliłby się jednak, ktoby go ocenił z tego krzyku. Był to bowiem człowiek wielkiej dobroci i, prawdę mówiąc — jakto zauważyłem — krzyku jego nie lękano się. Ale zawsze go słuchano, bo go lubiano i szanowano. Był rzetelny i uczciwy; można było we wszystkiem mu zaufać. Starałem się, ażeby miał wygody, o ile to było w mojej możności i stosunkach moich z nim okazywałem należne mu uszanowanie. Znał mnie od dziecka i lubił mnie. Co do gospodarstwa rolniczego, miał praktyczną jego znajomość. Zwłaszcza gdy chodziło o Podgórze, z doświadczenia wiedział co i na jakich polach najlepiej się udaje i w jakiej porze co robić należy. Szedłem więc za jego wskazówkami; zdarzało się atoli, że powziąłem na podstawie książek odmienne zdanie. Wówczas musiałem toczyć z nim uporczywą walkę.

— Ależ to, paniczu (tak mię nazywał), jest to głupstwo, z tego nic nie będzie i tylko szkodę przyniesie, tak nikt nie robi.

— Kochany panie Kwiatkowski — mówiłem — ja inaczej myślę, wreszcie pisze to gospodarz z doświadczenia, zrób więc już pan tak, jak ja mówię, może się okaże, że nie jest to głupstwo.

Tak było z siewem lnu, który stanowił największą rubrykę dochodową gospodarstwa podgórskiego. Wyczytałem u Grego-

rowicza czy też u innego pisarza rolniczego, że gęste sianie lnu, zwykle praktykowane przez gospodarzy, mniejszy plon wydaje, aniżeli wysiewanie rzadsze. Nie dowierzając w tej sprawie Kwiatkowskiemu, sam chodziłem niemal po piętach siewcy i wciąż musiałem go wstrzymywać od gęstego siania. Plon przeszedł wszelkie oczekiwanie, oddawna nie pamiętano takiego w Podgórzu. Obchodząc z Kwiatkowskim pole i widząc ten świetny urodzaj, mówiłem żartobliwie do niego:

— A co, panie Kwiatkowski, przecie moje głupstwo nie okazało się tak złe.

Był on wdowcem. Pewnego razu, po ukończonej radzie w sprawach gospodarskich, nie odchodził i z widocznem zakłopotaniem zwrócił się do mnie:

— Mam wielką prośbę do panicza.

— O cóż chodzi, panie Kwiatkowski? Chętnie zrobię, co mogę.

— Żenię się, paniczu. Wielką mnie łaskę zrobi panicz, jeżeli się zgodzi drużbować przy mym ślubie.

Oczywiście nie odmówiłem jego prośbie, chociaż byłem wielce zdumiony, bo Kwiatkowski — jak już wspominałem — miał koło siedemdziesięciu lat.

Ożenił się ze znacznie młodszą od siebie, o jakie trzydzieści lat, włościanką, zwaną Ewką. Znałem ją od lat dziecinnych. Szczególnie wraziła mi się w pamięć, kiedy, będąc we dworze jako służąca, została za jakieś przewinienie srodze rózgami ochłostana. Jakiego rodzaju było jej przewinienie nie wiem, lecz wiem, że w całem jej późniejszem życiu znano ją powszechnie jako dobrą i poczciwą kobietę. Zaborowski, objąwszy dzierżawę w Podgórzu, oddał jej całe gospodarstwo kobiece w Niemcach. Zastępcą zaś swoim w tamecznem gospodarstwie rolnem uczynił Kwiatkowskiego. Żyjąc oboje pod jednym dachem, zbliżyli się do siebie.

Kwiatkowski miał trzech synów z pierwszego małżeństwa. Najstarszy był na służbie u Łepkowskiego w Warnowiczach. Najmłodszego Stanisława, mającego nie więcej nad lat 18, wziąłem na pokojowego i furmana. Dobry był chłopak i szczycił się swoją rolą woźnicy. Lucjan, objąwszy po mnie gospodarstwo w Podgórzu, zachował ten sam skład służby. Uśmiałem się

serdecznie, kiedy mając gdzieś jechać, klaskaniem w dłonie przywołał Stanisława i powiedział do niego:

— Każ, Stasiu, by założono konie.

— Komu ma kazać? — pytałem, śmiejąc się z Lucjana — przecież on sam zakłada konie.

Lucjan śmiał się także.

I trzeciego syna Kwiatkowskiego Lucjan umieścił w Podgórzu jako leśniczego. Następnie i ojca zrobił leśniczym, kiedy ekonomstwo stawało się mu ciężarem. Wybudował mu chatkę przy drożynie przez lasy od Indrycy prowadzącej. W 1868 r., wracając z wygnania, odwiedziłem Kwiatkowskiego. Mocno już się był zestarzał, Ewa trzymała się jeszcze krzepko, w przybytku tuliło się do niej kilkoro dorastającej dziatwy. W chacie było ciemno, lecz schludnie. W przybocznym ogródku warzywnym były i kwiatki. Oboje niezmiernie się ucieszyli z moich odwiedzin.

— Bieda, paniczu — mówił stary mój pomocnik — ginie ojcowizna, a paniczów powysyłano daleko. Lepiej nam było wszystkim z paniczami, a teraz bieda nas ciśnie mocno.

Obejmując gospodarstwo bez pieniędzy, robotników, koni, narzędzi, nie mogłem ani myśleć o zamianie pańszczyzny na czynsze. Co wpłynął jaki pieniądz, nie mówiąc o niezbędnych w gospodarstwie wydatkach, trzeba było posłać Lucjanowi i Józefowi. Robiłem więc, co mogłem. Skasowałem wszelkie daremszczyzny, z wyjątkiem furmanek, ale i z nich nader rzadko korzystałem. Pozostawiając po dawnemu pańszczyznę, czułem pewnego rodzaju wyrzut sumienia, nie przestrzegałem więc ścisłego jej wykonywania. Wieś była dość odległa, więc spóźniano się z rozpoczęciem pracy na polu; zezwalałem nieraz, zwłaszcza przed świętami, na wcześniejszy powrót do domów; wreszcie ograniczałem pańszczyznę do niezbędnych tylko potrzeb. Matka robiła mi z tego powodu wyrzuty. Mówiła, że sąsiedzi się gorszą takiem rozpuszczaniem chłopów. Długo milczałem i nic nie odpowiadałem mamie. Ale następnie widząc, że wszystkie prace w polu pokończone, a nawet wcześniej, niż u sąsiadów, kiedy mama znowu ganić mię poczęła, odrzekłem:

— Kochana mamo, u mnie pole zorane i zasiane, a u sąsiadów

jeszcze nie wszystko skończone. Cóż mi więc szkodzi, że chłopi spóźniają się nieco i że mają trochę więcej czasu dla siebie?

Nie wiedząc z początku jeszcze dobrze, jakie było usposobienie i zachowanie się Kwiatkowskiego względem chłopów, a słysząc jego krzyki przeraźliwe, zabroniłem jakiegokolwiek bądź ich bicia. Jak się przekonałem później, zakaz był zbyteczny. Co do chłosty, byłem stanowczym jej przeciwnikiem. Lecz nawet uniósłszy się strasznym gniewem, a zdarzało się to czasami, opanowywałem się i przez cały czas mego gospodarstwa nikogo nie uderzyłem. Najczęściej doprowadzały mnie do pasji szkody, wyrządzane w polu i na łąkach przez bydło i konie włościańskie. Kazałem je zabierać i odprowadzać do dworu, lecz przychodziły baby, lamentowały, płakały. Nasrożywszy się, nakrzyczawszy, ostatecznie oddawałem im zajęty dobytek. Rozwścieczony powtarzającemi się szkodami, zagroziłem, że będę strzelał bydło, jeżeli ujrzę je w zbożu i parę razy omal tego nie uczyniłem.

Rozpoczynałem gospodarstwo, nie mając parobków, potrzebnych do pracy koło domu. Wkrótce nastręczył mi się jeden. Był to Maciej (nazwiska jego nie przypominam sobie), który lat prawie trzydzieści temu, uciekł był ze wsi, wałęsał się gdzieś po świecie i właśnie w tym czasie z żoną i z dziećmi wrócił. Ponieważ był poddanym podgórskim, należało z nim coś zrobić. Włościanie nie przyjmowali go do wsi. — Nie chciałeś być z nami — mówili do niego — kiedy było nam źle, a teraz, kiedy nam lepiej, my ciebie nie chcemy. — Jako dziedzic, mógłbym narzucić chłopom jego przyjęcie, ale postanowiłem unikać z niemi wszelkiej samowoli. Wziąłem go więc do domu za parobka. Żona jego była katolickiego wyznania, tak samo jak i Maciej, i okazała się dobrą kobietą. Zrobiłem ją kucharką i gospodynią czeladną. Matka wymawiała mi przyjęcie Macieja do domu. — Tak jednak źle nie było. Maciej okazał się starannnym i sprytnym w robocie. Wywdzięczając się za danie mu chleba i jego rodzinie, zasypywał mnie złowioną rybą, na którą zastawiał więcierze w rzekach i jeziorach. W rzeczce Indrycy parę razy złowił węgorze. Puściliśmy je na dziedzińcu na trawę, kiedy była jeszcze na niej rosa, i patrzeliśmy jak się uwijały po niej niby węże. Nie byłem amatorem ryb, więc najczęściej odsyłałem je mamie. Obeznawszy się dokładniej z sytuacją posiadłości podgórskiej, upatrzyłem miejsce, gdzie można było utworzyć nową siedzibę gospodarczą i osadzić Macieja z całą jego rodziną. Był to spory kawał ziemi, pozostający bez żadnego użytku, zarosły krzakami i pasożytną roślinnością na gruncie piaszczystym, lecz tu i ówdzie także czarnoziemnym. Leżał w pobliżu drogi pocztowej — pomiędzy jeziorem Lajnickiem i jeziorem należącem do Sztermberga. Razem z Maciejem upatrzyłem miejsce, gdzieby najdogodniej mogła stanąć chałupa, dałem pozwolenie na wyrąb potrzebnego drzewa, pieniądze na kupno niezbędnych materjałów, on sam zajmował się budową, kiedy we dworze nie było pilnej roboty, a czasami posyłałem mu jednego lub dwóch parobków do pomocy. Ostatecznie osadził go na gospodarstwie Lucjan i zawarł z nim umowę urzędową. Kiedy następnie w czasie powstania 1863 r. władze rosyjskie, krzyżując zamiary powstańcze, same zajęły się uwłaszczeniem włościan, Maciej dla poparcia swego prawa do ziemi przedstawił komisji uwłaszczającej tę umowę, zawartą z Lucjanem. Lecz właśnie tem najwięcej sobie zaszkodził, gdyż tekst umowy był wyraźny i świadczył o oddaniu posiadłości na długoletni termin czynszowy. Wracając w r. 1868 z wygnania do kraju i bawiąc czas pewny w Podgórzu, odwiedziłem Macieja i oglądałem jego gospodarstwo. Przedstawiało się ono wcale nieźle, nie gorzej od innych siedzib włościańskich. Przy chałupie było zasadzonych kilka drzewek owocowych, spory ogródek warzywny, a dalej zamiast dawnych krzaków i pasożytnej roślinności pola z żytem, hreczką i kartoflami.

Oprócz Macieja. przyjąłem jeszcze dwóch parobków: jeden z nich był zarazem i szewcem, uszył mi więc długie myśliwskie buty, w których w dnie słotne chodziłem; drugi, który znał się na stolarstwie, przysporzył mi, a później Lucjanowi trochę mebelków.

Czeladź żywiona do syta, nie skarżyła się na głód. Dawniej był zwyczaj, że chleba wydzielano na każdego podług pewnej wagi. Za mego gospodarstwa, bochen chleba leżał na stole i każdy jadł tyle, ile mu się chciało. Ponieważ pachtu nie oddałem Żydom, jak to bywało dawniej i jak mi doradzono, więc była obfitość maślanki, a i mleka dawano do zabielenia krupniku i do kaszy, a czasami i mleko kwaśne. Gospodarstwo mleczne, które stanowiło ważną rubrykę dochodową, gdyż masło podgórskie

miało wziętość na rynku krasławskim, oddałem w ręce starej panny, Kibortówny, która zgłosiła się do mnie na służbę. W ten sposób liczba osób w naszym domku powiększała się, i coraz trudniejszem stawało się umieszczenie wszystkich. Nie dawało się to bardzo odczuwać latem, gdyż sypiano po odrynach i stodołach, lecz trzeba było myśleć o zimie i zacząłem planować, co i jak dałoby się jeszcze przybudować.

Ze swoim czasem tak się urządziłem, że dzień upływał niepostrzeżenie w ciągłem zajęciu. Wstawałem wcześnie, ze wschodem słońca i szedłem do Dźwiny się kąpać. Wróciwszy, naradzałem się z Kwiatkowskim, a tymczasem stawiano na stole samowar i przyrządzano wszystko do herbaty. Miałem chleb razowy, śmietankę i świeże masło, tak smacznego masła jak podgórskie nigdzie nie jadałem, było ono właściwością bujnych, kwiecistych łąk podgórskich. Zgodnie z przyzwyczajeniem, które pozostało mi na całe życie, podczas picia herbaty czytałem z podnieconą uwagą, a czytałem wówczas to, co najwięcej mnie interesowało, to jest, o rolnictwie, ogrodnictwie i sadownictwie. Później zapisywałem w dzienniku roboty, wykonane dnia poprzedniego, dodając swoje uwagi; sprawdzałem rubrykę dochodowo-rozchodową, czy wszystko zostało zapisane. Słowem, załatwiałem wszelkie czynności piśmienne, połączone z gospodarstwem. Skończywszy to, w płócienkowej bluzie szedłem obejrzeć gospodarstwo, zaglądając w domu niemal wszędzie, do stajni, obory i t.d., a następnie dalej na pola, gdzie pozostawałem przez dłuższy czas, rozpatrując co i jak robią i sam nieco uczestnicząc w robocie; próbowałem i orać i kosić, a gdy grabiono siano, to i dłużej pracowałem. Wróciwszy z pola, zwykle pomiędzy dziesiątą i jedenastą godziną, i wypiwszy szklankę mleka z kawałkiem chleba, szedłem na roboty do sadu. Tam okopywałem drzewa owocowe, obcinałem gałęzie, smarowałem jabłonie i grusze cieczą, sporządzoną podług przepisu z książki o sadownictwie, celem ochrony ich od gąsienic. I mogę się poszczycić, że w tym roku była obfitość owoców, i bardzo mały odsetek uszkodzonych przez robactwo. W robocie tej w sadzie mało kto mi pomagał, tak że największą jej część własnemi rękami wykonałem. Dziewczęta, gdy nie miały ważniejszej pracy w polu, przychodziły gracować dróżyny w sadzie, okładać w altanach kanapki

świeżą darniną, pleć grzędy, przeznaczone na truskawki i t. p. Przychodziły chętnie na tę robotę, bo obdarzałem je wstążkami a często i kolorowemi chusteczkami, których w tym celu zakupiłem większy zapas. Pracowałem w ogrodzie przez cały czas, dopóki mnie nie zawołano na obiad. Zajadałem z apetytem i smakiem, gdyż jakkolwiek pozostawiałem gospodyni dyspozycję obiadu, to wiedziała ona, czego nie lubię i co chętnie jadam. Po mięso trzeba było posyłać do Przydrujska, — ale nie ubiegałem się wcale o nie; przytem był drób a od czasu do czasu przynoszono ze wsi upolowaną dziczyznę i zające, za które — ma się rozumieć — płaciłem. Pod względem innych artykułów spożywczych, Podgórz był prawdziwem złotem jabłkiem. Oprócz mleczywa, o którem już mówiłem, obfitował w ryby, grzyby, jagody, owoce i orzechy. W lasach była mnogość i rozmaitość grzybów, a nawet w sadzie, gdzie rosła gromadka jodeł, niemal codziennie czerwieniły się młode rydze. Jagodami mnie zasypywano. W niedzielę i w dni świąteczne po południu dziewczęta szły do lasów zbierać je i przynosiły je w plecionych koszyczkach. Czyniły to dobrowolnie, z własnego popędu, płaciłem bowiem za jagody srebrną monetą. Dużo jagód odsyłałem matce. Po obiedzie brałem z sobą poduszkę i książkę albo gazetę i szedłem do środkowej altany w ogrodzie, ażeby się trochę zdrzemnąć, trochę poczytać, aż minie największy upał. Następnie znowu szedłem na pole popatrzeć co i jak robią. Wróciwszy, piłem herbatę, a po herbacie pracowałem w sadzie aż do zmierzchu. Jeżeli nie zatrzymał mnie jaki interes gospodarczy, szedłem kąpać się w Dźwinie. Następowała kolacja i dobrze zasłużony sen.

Z włościanami ze wsi starałem się pozostawać w zgodnych stosunkach. Jeżeli w jakiem gospodarstwie włościańskiem wypadło z konieczności zrobić ważną zmianę, potrzebną i dla innych gospodarzy ze względu na zespół roboty, należnej dworowi, to nie czyniłem tego dowolnie, jak to robiono wszędzie w sąsiedztwie, lecz starałem się uzyskać zgodne przyzwolenie wszystkich gospodarzy. Zapraszałem ich więc na naradę. Takich sejmików odbyło się parę w środkowej altanie sadu. W obu sprawach chodziło o naznaczenie nowego odpowiedzialnego za swe powinności gospodarza. Pierwsza sprawa dotyczyła włościanina, nazwiskiem Szulina, na którego uskarżali się wszyscy, że w ogól-

nem odrabianiu pańszczyzny nie bierze prawie żadnego udziału, że więc za niego odrabiać muszą. Chata jego znajdowała się wśród lasów w znacznem oddaleniu od wsi. Rodzina Szulinów składała się z trzech osób: z ojca, matki i córki. Nie lubiano tej rodziny. Sam Szulin — był stary, niedołężny, opieszały w robocie, a przytem często zapadał na zdrowiu; żona jego, również stara, słynęła jako czarownica; córki nieładnej, ubogiej, podejrzewanej też o wspólnictwo z matką w jej stosunkach z nieczystą siłą, nikt nie chciał brać za żonę. Na domiar złego wciąż jakieś nieszczęście ścigało tego włościanina: to mu konia skradziono, to mu wilki krowę zjadły. Miałem z nim dużo kłopotu i musiałem go wciąż wspierać. Taki stan rzeczy trwać nie mógł. Obmyśliłem więc taką zmianę. Był parobek żwawy i pracowity, który upatrzył już sobie żonę, ale jej wydać nie chcieli za parobka. Zgadzał się on objąć gospodarstwo po Szulinie, zostawiając go z żoną i z córką do pomocy mu w pracy na polu.

Zagaiwszy sejmik, zapytałem gospodarzy, w jaki sposób możnaby załatwić sprawę z Szulinami, ażeby i odbywała się należna z ich chaty pańszczyzna, i sami oni z głodu nie marli? Skrobali się w głowę, milczeli, wreszcie zaczęli wymyślać na Szulina, że jest leniwy, niedbały, nicpoń — taki i owaki. Widząc, że nie doczekam się od nich żadnej rady, przedstawiłem im swoją kombinację. Znowu drapali się w głowy i znowu wymyślali na Szulina.

— No, moi gospodarze — rzekłem — dajmy pokój Szulinowi, ale czy uważacie, że to co ze swojej strony radzę, byłoby dobre i słuszne?

— A jeśli pan każe — odrzekli — to niech tak będzie.

— Ależ, moi kochani — mówiłem — ja nie chcę kazać, lecz chcę, byście sami, podług własnego rozumienia, coś w tej sprawie postanowili.

Podrapawszy się znowu w głowę, odrzekli:

— No, niech tak będzie, jak pan chce.

— Lecz czy wy chcecie? — nastawałem dalej.

— No, niech tak będzie, — zadecydowali.

Tak się skończyła pierwsza moja narada z włościanami. W drugiej podobnej sprawie, dotyczącej gospodarza Truszela, objawiali nieco śmielej swe zdanie; sprawa przytem była mniej

drażliwa: chodziło o to, ażeby zamiast chorego ojca, opanowanego w zupełności przez drugą żonę, na czele gospodarstwa postawić jego starszego syna z pierwszej żony, skoro zostanie sam gospodarzem. Jakkolwiek włościanie śmielej wyjawiali swe myśli, to jednak ostatecznie zgodzono się na moją propozycję.

Oprócz zajęć rolniczych, spełniałem potrosze i zawód lekarski. Nietylko włościanie podgórscy udawali się do mnie po radę, lecz przychodzili i z innych sąsiedzkich wiosek, przysyłani przeważnie przez księdza Golmina, który udzielał także rad lekarskich, lecz, uważając mnie za bardziej kompetentnego w tym względzie, odsyłał do mnie tych, których cierpienia przedstawiały poważniejszy i bardziej skomplikowany charakter. Zgłaszała się do mnie po radę i sąsiednia szlachta zagrodowa. Pieniężnego wynagrodzenia nie brałem, ale świadczono mi z dobrej woli, bez mego żądania, drobne a nawet większe usługi gospodarcze. Zwracali się do mnie sąsiedzi i ze szlachty folwarcznej, lecz tych odsyłałem do lekarzy zawodowych, jako mających większe doświadczenie i większą wprawę. Zdarzyło się jednak tak, że razu pewnego przyjechała z nieco dalszej okolicy jakaś pani — nazwiska przypomnieć sobie nie mogę — i zaklinała mnie na wszystko, ażebym z nią jechał ratować jej męża. Posłała ona do najbliższego miasteczka, Drui, po lekarza, lecz on wyjechał na wieś do chorego. Wymówić się niepodobna było, więc pojechałem. Udzieliwszy choremu doraźnej pomocy, wskazałem mu dalszy tryb postępowania, w toku rozmowy opowiedział, że ma zbiorek pism emigracyjnych i dał mi je do przejrzenia. Kiedy następnie chciał mnie wynagrodzić za udzieloną pomoc, powiedziałem, że pieniędzy nie wezmę, ale chętnie pożyczyłbym u niego pisemka emigracyjne, dałbym je do oprawy i złożył do naszej bibljoteczki parafialnej w Indrycy, o której urządzeniu mu opowiedziałem. Zgodził się na to z zastrzeżeniem, że te pisma wpisane będą do katalogu, jako jego własność i na żądanie, zostaną mu wydane.

Mówiłem już o tem, że za pracę w ogrodzie obdarzałem dziewczęta wstążkami, a za przynoszone jagody drobną monetą srebrną. W stosunkach z niemi byłem grzeczny, uprzejmy, nieraz żartowałem, lecz nigdy żartów nie posuwałem do zalecania się.

Po dniach, spędzonych w pracy, odczuwałem całą przyjem-

ność wypoczynku i rozrywek świątecznych. Co niedziela byłem na mszy w kościele. Zostawałem czasami na obiedzie u księdza, albo jechałem wprost do matki lub w gościnę do kogoś z sąsiadów.

Do spotęgowania towarzyskiego życia szlachty folwarcznej przyczyniło się zaprowadzone w tych czasach po kościołach parafialnych czterdziestogodzinne nabożeństwo. Nie tylko z sąsiedzkich, lecz i z odleglejszych okolic przyjeżdżała szlachta. Mieściła się na cały ten czas u krewnych, znajomych, a nawet wynajmowano w gospodach mieszkanie. Ci, co mieli domy blisko kościoła, zapraszali znajomych na obiady, kolacje. I ja zaprosiłem raz do siebie na obiad. Matka dostarczyła potrzebną zastawę, a dawny kucharz podgórski, a w tym czasie gospodarz rolny, Andrzej, zajął się przyrządzeniem obiadu. Stół nakryto w środkowej altanie, a matka występowała jako gospodyni.

Na czterdziestogodzinne nabożeństwo w Rosicy pojechałem do Zaborowskich. Zjazd był bardzo liczny. Codziennie jeździliśmy do kościoła. Proboszcz, dziekan Szabłowski, miewał kazania, a wypowiadał je z niezwykłym darem wymowy. Księdza Szabłowskiego poznałem osobiście na obiedzie u Zaborowskich. Był to gorący patryjota, człowiek światły, oczytany. Dużo wierszy patryjotycznych umiał na pamięć i deklamował je wzorowo, z wielkim zapałem. Wówczas u Zaborowskich powtórzył całą dumę Niemcewicza o Michale Glińskim.

Z całego sąsiedztwa najwięcej mnie pociągały Warnowicze w Kurlandji, siedziba Łepkowskich. Dość rozległe te dobra należały do Seweryna Łepkowskiego, byłego oficera wojsk polskich, wdowca, dopiero poczynającego się starzeć. Patrjota, człowiek wykształcony, uprzejmy gospodarz, miły i rozmowny w towarzystwie, nie był wszakże tym magnesem, który ciągnął do jego domu. Tym magnesem były jego córki: Klaudyna i Teresa, obie bardzo miłe i uprzejme panienki. Starsza Klaudyna, poważna, rozumna, oczytana, patrjotka gorąca , chociaż nie odznaczała się urodą, zyskiwała sobie serca. Młodzież męska obawiała się jej nieco, bo surowo oceniała obowiązki młodzieży w sprawie polskiej. Więcej lgnięto do młodszej jej siostry, Teresy, ładnej, trzpiotowatej, figlarnej, lecz także patrjotki i dobrego serca. O bracie ich, Michale, słyszałem wiele dobrego od

moich braci, którzy kolegowali z nim w gimnazjum dyneburskiem. Należał on do tych niewielu uczniów, co rozniecali uczucia patrjotyczne wśród swych towarzyszy. Przyjazne stosunki z Michałem otworzyły moim braciom życzliwe, niemal rodzinne, przyjęcie w Warnowiczach, a przez Lucjana i ja zaznajomiłem się z tym domem. Michała, który odbywał studja w uniwersytecie petersburskim, poznałem dopiero w następnym roku, gdyż w tym roku nie przyjechał był na wakacje do domu. Była jeszcze w Warnowiczach babka Barszczewska, ale ta bardzo wiekowa, przeszło 90 lat mająca staruszka, całe dni spędzała na modlitwie i wcale nie udzielała się towarzystwu.

Jakkolwiek już sama obecność panien Łepkowskich pociągała mnie do Warnowicz, to ten pociąg wzmógł się jeszcze bardziej, gdym poznał ich siostrę stryjeczną, Helenę, córkę Feliksa, brata Seweryna. Bywała ona często w Warnowiczach. Helena rozniecila w sercu mem gorętsze uczucie i czułem, że ona także odpłaca mi się wzajemnością. W pięknej twarzyczce, w rozumnem i łagodnem spojrzeniu jej prześlicznych oczu malowała się wielka dobroć, a dobroć w kobiecie przemawiała potężnie do mego serca, może nawet silniej aniżeli uroda. Pierwsza nasza znajomość nastąpiła w Warnowiczach, kiedy tam z powodu jakiejś uroczystości zgromadziło się liczne towarzystwo. Tańczono wówczas, ale ani ja, ani Helena nie braliśmy udziału w tańcach. Ja nie tańczyłem, bo nie umiałem; Helena zaś nieco utykała na jedną nogę, podobno miała ją krótszą od drugiej. Przypatrując się tańczącym, siedzieliśmy obok siebie i rozmawialiśmy. Widocznie dobrze usposobiona dla mnie przez swe siostry stryjeczne, zwracała się do mnie z całem zaufaniem.

Skłonność moją do Helenki — tak nazywaliśmy ją pomiędzy sobą — zauważyły jej siostry stryjeczne, i one zapewne zwróciły na to uwagę Włodzimierza Gizberta, swego kuzyna, gdyż on sam nie odznaczał się wielką spostrzegawczością. Wśród szlachty folwarcznej był on jedynym rówieśnikiem, z którym łączyła mnie znajomość od lat dziecinnych. Z tego powodu stosunki moje z nim były zażyłe, przyjazne. Mieszkał z matką, wdową, z domu Łepkowską, kobietą rozumną, dobrego serca i bardzo gościnną. W Paulinowie, ich majątku, częściej bywałem niż gdzieindziej, a Włodzimierz również częściej od innych sąsia-

dów zaglądał do Podgórza. On to właśnie powiadamiał mnie, gdzie miała być Helenka w naszych stronach. Bywała to w Warnowiczach, to w Paulinowie, lub w Sterembergu. Do Warnowicz odbywałem podróż pieszo: z Indrycy w pobliżu kościoła było czółno, uwiązane do słupa; jeżeli zastałem przewoźnika, to on mnie przewoził przez Dźwinę, a jeżelim go nie zastał, to sam się przeprawiałem; po drugiej stronie Dźwiny, naprzeciw Indrycy, stała kaplica warnowicka, a w pobliżu niej znajdował się słupek, do którego przymocowywano czółno. Od kaplicy do dworu prowadziła droga, długości mniej więcej dwu kilometrów, w znacznej części ocieniona ,tak że odbywałem w ten sposób przyjemną przechadzkę. Najczęściej nocowałem w Warnowiczach, a na drugi dzień raniutko wracałem do domu.

W sąsiedztwie wszędzie najzwyklejszą i najmilszą dla mężczyzn zabawą była gra w karty. Co do mnie, zawsze wymawiałem się od gry: nie miałem na to pieniędzy, a przytem gorszyło mnie takie nieustanne marnowanie czasu przez młodzież. U siebie w Podgórzu kart nie trzymałem. To też rzadko miewałem gości. Najliczniej i najczęściej gromadziła się młodzież na grę w karty u Włodzimierza i u jego brata ciotecznego, Bronisława Hłuszanina w Skauście*). Raz tylko, jadąc z Włodzimierzem do Krasławia, wstąpiłem z nim razem do Skausty, gdzieśmy parę godzin przebyli. Do mnie stosunkowo najczęściej zachodzili: ksiądz Golmin i Feliks Korsak, jeżeli bawił w Tołojowcach Parę razy z księdzem Golminem przychodził Michał Plater, były nasz opiekun. Jak już mówiłem, zapraszałem gości do ogrodu. W środkowej altanie zastawiano śniadanie, albo podwieczorek. Rozmawialiśmy o polityce, gospodarstwie, literaturze; wreszcie popisywaliśmy się, kto trafniej strzela z pistoletu.

Miesiące, spędzone w gospodarstwie rolnem w Podgórzu, i wakacje letnie roku następnego, o których mówić będę, należą do najmilszych mych wspomnień. „Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki". Istniał pierwszy i najważniejszy warunek, a jakkolwiek dostatkiem chwalić się nie mogłem, to przecież i nie odczuwałem gniotącego niedostatku. W tym czasie Włochy wydobywały się z wielowiekowej niewoli. Cieszyliśmy się, jakby

*) Skausta po łotewsku: piękna.

to nas samych dotyczyło, ze zwycięstw francuskich pod Magenta i Solferino. Wszak Austrja była naszym wrogiem, a porażka jednego z wrogów, jednego z zaborców, osłabiała, musiała osłabić przemoc i dwóch innych zaborców. Myśl o zbrojnem powstaniu coraz bardziej się szerzyła. Młodzież szlachecko-folwarczna oświadczała się z gotowością wzięcia w niem udziału. Co prawda, więcej to było na języku, aniżeli w głowie i w sercu. W każdym razie nie tolerowano odmiennego zdania. Kiedy raz Hłuszanin odezwał się, że nie głupi, by się narazić na Sybir i konfiskatę majątku, Włodzimierz Gizbert swym tubalnym głosem zapowiedział mu:

— Jeżeli nie pójdziesz do powstania, to powiesimy cię.

Do podniecenia uczuć patrjotycznych wśród młodzieży męskiej przyczyniały się wielce młode panny. Niemal wszystkie, które poznałem, były gorącemi patrjotkami. Uczucia ich miały gruntowniejszą podstawę. Czytały wiele, znały historję polską, dzieła naszych poetów, ważniejsze utwory beletrystyczne, czego o młodzieży męskiej, z wyjątkiem niewielu, powiedzieć nie można było.

Szczerzej od młodzieży folwarcznej myślała o powstaniu szlachta zagrodowa, ale oglądała się na folwarczną jako lepiej — jej zdaniem — znającą się na sprawach politycznych, a przytem mającą większe środki materjalne, większą naukę i większe znaczenie społeczne. I do mnie przychodzono, by się dowiedzieć, czy pogłoski o powstaniu mają jaką podstawę. Wdawałem się i z włościanami w gawędkę o tem. Starsi gospodarze byli bardzo ostrożni z wypowiadaniem swych myśli; młodzi mniej się ukrywali z tem, co myślą. — To nie nasza sprawa — mówili — to pańska sprawa. — Wszakże w dłuższej pogadance, gdy im wykazywałem, jakie szkody cierpią od Moskali i w sprawie religji i w sprawie poboru wojskowego, zapalali się i oświadczali, że gdy rozpocznie się powstanie, to i oni będą pomagać.

Zajmując się rolnictwem, czytając dzieła rolnicze, nabrałem zamiłowania do tego zawodu. Cieszyłem się z plonów, a były dobre w tym roku, jako owoce mej czynności, mych starań i marzyłem o coraz szerszej działalności na tem polu i o połączonej z nią pracy obywatelskiej: Nosiłem się także z myślą założenia spółki dla handlu lnem z Rygą. Len z naszych okolic miał

wielką wziętość u kupców zagranicznych, ale z tego korzystali Żydzi jako pośrednicy handlowi. Mówiłem w tej sprawie z niektórymi właścicielami i zdawało mi się, że założenie spółki przez samych rolników napotka uznanie. Zdawało mi się, że zawód rolniczy najbardziej memu usposobieniu odpowiadał. Wprawdzie, przychodziły i inne myśli o szerszej, rozleglejszej, ważniejszej działalności, ale to się odkładało na później, kiedy wybije odpowiedniejsza godzina.

W marzeniach tych i planach nie zaszła zmiana, lecz nastąpiło przesunięcie ich na później. Zgodziłem się był na czasowe tylko objęcie gospodarstwa w Podgórzu, lecz z warunkiem powrotu do Dorpatu celem ukończenia studjów. Zamierzałem na czas nieobecności uczynić zastępcą Kwiatkowskiego, który w sprawach większej wagi miał zasięgać zdania mojej matki i powiadamiać mnie, albo za jej pośrednictwem albo sam listownie, co i jak się robiło w Podgórzu. Tymczasem zaszła ważna zmiana w stosunkach życiowych Lucjana. W liczbie młodzieży, która w walce z prezydentem warszawskiej akademji medycznej, Cycurynem, podała się do zwolnienia, był także i Lucjan. Opuszczał więc Warszawę, bez zamiaru, przynajmniej w tym roku, powrotu do niej. Ułożyliśmy się przeto z sobą, że on obejmie gospodarstwo w Podgórzu, a ja kończyć będę moje studja w Dorpacie.

Zamówiwszy furmankę u najbogatszego gospodarza w Łuksztyniach, wyruszyłem z synem jego krótszą drogą wprost do Rzeżycy. Po drodze rozmawialiśmy długo o stanie, w jakim znajdowali się włościanie, i o tem, czego mogli oczekiwać w razie zrzucenia jarzma moskiewskiego. Młody chłopiec, mający około lat dwudziestu, inteligentny, wypowiadał otwarcie i śmiało swe myśli: nie były one życzliwe dla szlachty folwarcznej, ale jeszcze mniej życzliwe dla Moskali.

Z Krasławia jechaliśmy na Kombul. Tam zatrzymałem się, aby odwiedzić Michała Platera, którego poznałem — jak już wspominałem — w Dorpacie. Kombul zakrawał już nieco na siedzibę magnacką. Dom murowany, okazały, piętrowy. Przyjęto mię gościnnie i zatrzymano na kolację i na nocleg. Wyniosłem z tego domu bardzo dobre wrażenie. Wieczorem w dużym salonie zebrała się rodzina: matka, pełna powagi kobieta, dwaj jej synowie: Michał i Leon i dwie jej córki, z których jednej tylko

Cecylji zapamiętałem imię, jako biorącej żywy udział w rozmowie. Do Platerów byłem przyjaźnie usposobiony. Naszym opiekunem był bowiem Michał Plater z Indrycy, który czynność tę spełniał uczciwie i sumiennie. Dobry gospodarz, objąwszy mocno nadwyrężone gospodarstwo, wyrównał w niem straty i doprowadził je do stanu należytego; ludzki w stosunkach z włościanami; człowiek rozumny i niepyszałkowaty, chociaż dumny ze swego pochodzenia. Miałem też i o Platerze kombulskim jaknajlepszą opinję. Gdym go poznał w Dorpacie, spodziewałem się, że rozwinie obywatelską działalność w kraju. Zawiódł jednak oczekiwania w tym względzie, a nawet wywołał zgorszenie u szlachty folwarcznej. Doprowadziwszy bowiem w dobrach swojej żony włościan do czynnego oporu i nie mogąc sobie z tem poradzić, odwołał się do władz rosyjskich o pomoc. Sprowadzono więc wojsko i odbyła się okrutna egzekucja. Działo się to w latach manifestacyjnych, na rok czy dwa przed powstaniem kiedy nastrój szlachty folwarcznej był w wysokim stopniu podniecony. Brat jego, Leon, rozstrzelany przez Moskwę za udział w powstaniu, nie zwrócił wówczas mojej uwagi. Siedział on w pewnem oddaleniu i nie brał udziału w rozmowie. Później słyszałem o nim, że w przeciwieństwie do swej rodziny okazywał popędy demokratyczne, chętnie przestawał z włościanami. Cecylja w późniejszych czasach, po powstaniu 1863 r., brała czynny udział w instytucjach dobroczynnych.

Pobyt w Kombulu nie minął bez pozostawienia swego wpływu. Michał, odprowadzając mnie do pokoju, przeznaczonego na nocleg, dał mi do przeczytania kilka numerów „Wiadomości Polskich“, wydawanych w Paryżu, i broszurkę Klaczki z powodu przemówienia Mierosławskiego na obchodzie listopadowym. Przeczytałem je z wielką ciekawością. „Wiadomości Polskie“ i pięknym swym stylem i treścią ujęły mnie, i po przyjeździe do Dorpatu, skłoniłem Ogół nasz do zaprenumerowania tego pisma przez pośrednictwo miejscowego księgarza, z którym rozmówiłem się w tej sprawie. W ten sposób weszliśmy w pewien kontakt z emigracją, zaczęły do nas dochodzić wieści, co się tam działo i co zamierzano robić. Broszura Klaczki, trafiająca w czułe struny, usposobiła mnie nieco krytycznie do Mierosławskiego, dla którego przedtem miałem cześć bezgraniczną.

Przyjechawszy do Rzeżycy, wziąłem pocztę do Pskowa, a stamtąd wyruszyłem dalej statkiem. Kiedy stanęliśmy, przebywszy granicę, na ziemi estońskiej, jadąca publiczność rzuciła się do gospody i raczyła się obficie wódką i piwem, które w prowincjach nadbałtyckich były pod względem jakości lepsze, a pod względem ceny tańsze, aniżeli produkowane w krajach rdzennie rosyjskich.

W Dorpacie zajechałem do tego samego domu, w którym ostatnio mieszkałem. Znalazłem tam pokój, o wiele lepszy od poprzednich: na piętrze, dość obszerny, o dwóch oknach z piecem hermetycznie zamykanym. Umeblowanie było też lepsze: wygodne biurko, spora kanapka, stół, para krzesełek. Kupiłem sobie, za przykładem innych kolegów, fotel wyplatany i lampę olejną z bocznym rezerwuarem, która w tym czasie zaczęła się upowszechniać wśród akademików, dawała więcej światła od spirytusowej i nie męczyła oczu swoją migotliwością jak tamta.

Anmeldungsbogen wymienia następujące przedmioty z drugiego półrocza 1859 r., na które się zapisałem: 1) Philosophische Rechtslehre — profesor — Ottomar Meykow — uczęszczał — sehr fleissig — colloquium — gut; 2) die ethischen Grundlagen der politischen Oekonomie — Strümpell — sehr fleissig — gut; 3) Livius — Neue — fleissig — gut; 4) Allgemeine Geschichte (Th. II — średniowiecze) — Rathlef — fleissig — gut. Chodziłem na wszystkie wykłady, ale istotnie bardzo pilnie tylko na wykłady Strümpla. Zalecały się one jasnością i wysokim polotem myśli, wywarły też największy wpływ na kształtowanie się moich naukowych przekonań. Te jego wykłady obejmowały w ogólnym zarysie całe życie społeczne niemal we wszystkich jego przejawach. Pod ich wpływem, dawna myśl o utworzeniu osobnej nauki o społeczeństwie od nowa snuła się w mojej głowie. Postanowiłem więc przeczytać uważnie wszystkich znakomitych pisarzy, którzy w tym przedmiocie wypowiadali swe poglądy. Zacząłem od Platona, a że nie znałem języka greckiego na tyle, ażebym mógł czytać go w oryginale, korzystałem przeto z niemieckiego przekładu Schleiermachera, który profesorowie chwalili jako doskonały. Inni profesorowie, jak Meykow i Rathlef nie pociągali swemi wykładami. Neue słynął jako gruntowny znawca języków klasycznych, lecz mnie to mało obchodziło.

Oprócz tych wykładów chodziłem stale na naukę języka łotewskiego i na wykłady profesora Schirrena o wojnach kozackich w Rzeczypospolitej Polskiej za Jana Kazimierza. Nauka języka łotewskiego nie należała do obowiązkowych przedmiotów; ci, co chcieli się go uczyć, płacili za to osobno lektorowi. W ciągu roku poduczyłem się był gramatyki, nabyłem już pewny słowozbiór i przy pomocy słownika czytałem pisemko tygodniowe, wychodzące w Rydze pod nazwą: „Majas Wijasis" (Gość Domowy), które w tym celu zapremenurowałem. Marzyłem bowiem jako ludowiec o wydawaniu podobnego pisemka w naszych stronach rodzinnych Inflant. I jakkolwiek w naszej okolicy przeważał, a nawet — powiedzieć można panował język białoruski, to jednak ja, ze względu na całość Inflant, w odbywającej się walce językowej stałem podówczas po stronie łotewskiej. I Lucjan także więcej protegował Łotyszów niż Białorusinów, a to ze względu na ich większą odrębność od Moskali.

Wykłady Schirrena o wojnach kozackich należały do tak zwanych pro publico. Ściągały one licznych słuchaczy, i nieraz o miejsce było trudno. Jakkolwiek nie ukrywał wad i nadużyć w Rzeczypospolitej Polskiej, to jednak zarysowywała się ona dodatnio z jego przedstawienia, a wśród ścierających się w walce osób bardzo dodatnio odznaczała się w tym obrazie postać króla Jana Kazimierza. Młody profesor był powszechnie lubiany z powodu świetnej i pełnej obrazowości wymowy, oraz za swe poglądy postępowe. Jako otwarty wróg moskwicyzmu, zwalczał jego żądzę zachłanną w pięknych i gruntownie pisanych artykułach w pismach niemieckich, wydawanych w Rydze i Dorpacie, a kiedy, po stłumieniu naszego powstania w 1863 r., w gwałtowny sposób zaczęto przeprowadzać moskwiczenie prowincji nadbałtyckich, przesiedlił się do Berlina i zawzięcie walczył z działaczami moskiewskimi, którzy, niszcząc kulturę niemiecką w tych prowincjach, nic wzamian nie przynosili prócz barbarzyńskiego despotyzmu.

W pierwszem półroczu 1860 r., a w drugiem akademickiego roku, mam wykaz następujących przedmiotów: 1) Geschichte der Philosophie — Strümpell — sehr fleissig — gut; 2) Aesthetik — Merchlin — besucht — ziemlich gut; 3) Allgemeine Länder und Völkerkunde — Schirren — besucht — gut; 4) Diffe-

rential und Integral Rechnung — Helming — fleissig besucht — Examen gut; 5) Plato's Phädo — Neue — besucht — gut. O Strümpellu i Schirrenie już dość mówiłem. Helming nie miał tej wziętości co Minding, lecz był dobrym nauczycielem i dużo od niego skorzystałem. Wykłady Merchlina były nudne i po kilku początkowych przestałem na nie chodzić.

Przy wyborach zarządu w naszym Ogóle, powołano mnie na bibljotekarza. Nasza bibljoteka nie miała własnego lokalu, lecz mieściła się w mieszkaniu wybranego bibljotekarza. Zająłem się gorliwie jej uporządkowaniem. Był poprzednio spis książek sumaryczny, do dawnych dopisywano nowe, a wszystkiego mogło być od 200 do 300 egzemplarzy wraz z pismami zbiorowemi, jak Bibljoteka Warszawska i tp. Ułożyłem katalog, podzielony stosownie do treści na działy, jak powieść, historja, nauki przyrodnicze i tp. i spisałem nietylko książki, wydane oddzielnie, ale też powieści i większe artykuły, zawarte w pismach zbiorowych. Okazało się przy takiem spisaniu kilkanaście duplikatów, które postanowiono sprzedać celem powiększenia kwoty, przeznaczonej na kupno nowych książek. Większą ich część zakupiłem dla naszej Indryckiej parafjalnej bibljoteczki.

W dziejach Ogółu ten rok akademicki rozpoczął się nadzieją lepszej, zgodnej przyszłości w życiu naszem polskiem, a skończył się wśród burzliwych niesnasek rozpadnięciem się towarzystwa. Od samego początku wstąpienia do Ogółu, przy każdej sposobności przemawiałem za połączeniem się ze Szczegółem. I w tym roku postawiłem odpowiedni formalny wniosek. Większość okazała się przychylną w tej sprawie. Rozpoczęły się więc układy, i jeden z tych, co poprzednio byli największymi przeciwnikami Szczegółu, Stanisław Orzeszko, nietylko nie stawiał przeszkód, lecz ułatwiał ich wymijanie i usuwanie, w czem okazał niezwykłą zdolność dyplomatyczną. Z zamożnej rodziny, przystojny, zawsze elegancko ubrany, odznaczał się wyższemi zdolnościami. Nie był mówcą, lecz ilekroć zabierał głos, mówił treściwie, logicznie. Zimny, egoistyczny, władał nad kółkiem swych zwolenników, prawie wszystkich — chłopców majętnych. Opowiadano o orgjach, urządzanych przez to kółko. Nie zdziwiłem się przeto, że Orzeszko, wpadłszy w 1863 r. w ręce siepaczy Murawjewa, wydawał swych towarzyszy w organizacji powstańczej. Dziwiłem się raczej temu, że mu powierzono tak ważne stanowisko jak rewolucyjnego naczelnika policji wileńskiej.

Połączenie się obu towarzystw polskich w jedno doszło do skutku, i w drugim semetrze wybrano mnie na gospodarza.

W stowarzyszeniu dbano niemal wyłącznie o podtrzymanie stosunków koleżeńskich i uprzyjemnienie sobie życia. O zadaniach narodowych i obywatelskich mało myślano. Prawie wszystko kończyło się na obchodzie rocznicy powstania 1830 r. i na śpiewaniu pieśni patrjotycznych, gdy się zgromadzono w większej liczbie osób. W sprawach życia publicznego przejawiała się obojętność. Na zgromadzenia przychodzono nielicznie, przemawiała mała tylko, zawsze ta sama, gromadka osób. Z potępieniem takiego stanu rzeczy wystąpili niektórzy, a w ich liczbie byłem i ja. Usiłowaliśmy sprowadzić zmianę ku lepszemu. Jednym z tych, co objawiali gorliwość w tej sprawie, był Majewski. Na herbatkach jego tygodniowych zgromadzało się kółko młodych Litwinów, którzy mu szczerze wtórowali. Zapraszany przez Majewskiego i ja przychodziłem na te herbatki. Nasze zapatrywanie zyskiwało coraz więcej zwolenników. Mniemając, że grunt jest dostatecznie przygotowany, zażądano zwołania w tym celu walnego zgromadzenia. Jako gospodarz, zwołałem je i przedstawiłem, co ma być przedmiotem rozważań. Wysłuchano mnie z uwagą i przychylnie. Obrady rozpoczęły się spokojnie, ale Majewski rzucanemi docinkami, aczkolwiek słusznemi, rozjątrzył tych członków, którzy i bez tego znosić go nie mogli. Wreszcie, kiedy jeden z nich przemawiał, powiedział Majewski coś takiego, co wywołało oburzenie, hałas i krzyki. Nie przypominam sobie, co powiedział, ale miałem takie wrażenie, że gdyby to padło z ust moich albo kogo innego, to nie spowodowałoby ani tego hałasu, ani tych krzyków o obrazę. Starałem się, ile mogłem, doprowadzić do spokoju i wyrozumiałości. Daremne wszakże były moje usiłowania. I mnie nie szczędzono wyrzutów, że nie skarciłem Majewskiego, jak należało. Istotnie wina jego była duża, nie w tem, co powiedział, lecz w całem zachowaniu się jego. Wiedząc, że jest nielubiany przez ogółow-

ców, powinien był dla dobra sprawy pozwolić innym mówić, a sam jak najmniej występować.

Następstwem zajść na zgromadzeniu było to, że prawie wszyscy ogółowcy wykreślili się z towarzystwa. Ja złożyłem urząd gospodarza. Faktycznie więc dawne towarzystwo, Ogół, przestało istnieć. Pieniądze w kwocie kilkuset rubli, które się znajdowały w kasie, za ogólną zgodą, oddano Lohrerowi jako stypendyście byłego towarzystwa. Bibljoteka i archiwum pozostały w rozporządzeniu tej garstki ,która stanowiła przeważnie dawny Szczegół. Ze wszystkiego wnioskując, musiało to nastąpić w pierwszym semetrze trzeciego roku akademickiego, to jest w drugiem półroczu 1862 r. Niewątpliwie przyczyniło się to także do tego, że opuściłem uniwersytet i wyjechałem zagranicę, o czem później opowiadać będę.

Wracając do drugiego roku mego pobytu w Dorpacie, muszę wspomnieć o konflikcie studentów z władzą uniwersytecką, który w życiu młodzieży akademickiej niemieckiej miał wielkie znaczenie. Nastąpiło to z powodu pojedynku, jaki się odbył wśród jej młodzieży. Powodem do pojedynku stała się pewna znana tancerka, która, przybywszy do Dorpatu, pozawracała głowy wielu młodzieńcom. Odbywały się więc częste pojedynki, lecz rozgrywając się walką na rapiery, nie doprowadzały do tragicznego zakończenia. Wszakże jeden, w wyjątkowych wypadkach przeprowadzony, zakończył się tragicznie. Ci bowiem, co wystąpili do krwawych z sobą zapasów, należeli do dwóch odmiennych kategorji: jeden był jeszcze akademikiem, a drugi ukończył już studja akademickie, więc podług ustaw korporacyjnych, pojedynek pomiędzy niemi musiał odbyć się na pistolety. Jeden z zapaśników dostał kulą w łeb, a chociaż nie naruszyła czapki — snać nabój był słaby — lecz spowodowała upadek uderzonego, silne wstrząśnienie mózgu i skutkiem tego śmierć gwałtowną. Przypuszczam, że przeciwnik i sekundanci umknęli, jak to zwykle bywało w takich wypadkach, gdyż „Swod zakonow rosyjskich“ zawierał oddzielny paragraf, ostro zakazujący studentom w Dorpacie pojedynków. Władza uniwersytecka, nie mogąc dosięgnąć głównych winowajców, a chcąc okazać rządowi służbową gorliwość, usiłowała odebrać pogrzebowi zabitego należną mu ostentacyjność korporacyjną.

Zakazała więc korporacjom studenckim udziału w pogrzebie jako korporacjom; za pośrednictwem policji wstrzymała sprzedaż pochodni i wieńców; wyjednała u duchowieństwa, że z wyjątkiem modłów w domu, nie będzie odprowadzało zwłok. Wywołało to wśród młodzieży korporacyjnej silne oburzenie i postanowiono właśnie nadać pogrzebowi jaknajbardziej demonstracyjny charakter. Przez umyślnie wysłanych sprowadzono z Rygi pochodnie, wieńce i wogóle wszystko, co uważano za potrzebne. Wszystkie korporacje wystąpiły in corpore. Zamiast duchowieństwa, koledzy teologowie mieli śpiewać pieśni nabożne. Zaproszeni do udziału w pogrzebie Polacy, okazali w tym wypadku jednomyślność i przybyli wszyscy jak jeden mąż — rzec można. Manifestacja udała się znakomicie. Za wozem, na którym stała trumna, okryta wieńcami i kwiatami, szła rodzina, następnie teologowie, śpiewający pieśni nabożne, dalej korporacje z pochodniami, poprzedzone przez swych szarżyterów (wybranych urzędników) w przepaskach, z godłami i sztandarami, a z długim łańcuchem korporacji postępował spory łańcuch zszeregowanych Polaków. Władza uniwersytecka relegowała szarżyterów za okazane nieposłuszeństwo. W odpowiedzi na to zwołane konwenty korporacyjne uchwaliły rozwiązanie korporacji, odniesiono rektorowi ustawy korporacyjne, godła i sztandary. Protest ten silnie dotknął władzę uniwersytecką, a przytem legalny ustrój korporacyjny zabezpieczał przed szerzeniem się nielegalnego ruchu rewolucyjnego wśród młodzieży akademickiej. Starano się więc ją przejednać. Rozpoczęły się układy, i ostatecznie władza uniwersytecka cofnęła relegację, a korporacje ze swojej strony cofnęły rozwiązanie się. Nastąpiło to już po moim wyjeździe z Dorpatu.

Przybywająca w tym roku z kraju na uniwersytet młodzież przywoziła z sobą żywe uczucia patrjotyczne. Nie ku samej nauce kierowały się jej myśli, pragnęła ona czynnego udziału w ogólnym ruchu narodowym. Przybył brat Konrada Iwańskiego, Henryk, mniej chciwy wiedzy od brata, lecz gorętszy uczuciem prędszego działania. Przybył młodszy brat Hermana Fudakowskiego, Bronisław, i gorszył się obojętnością patrjotyczną swego brata. Obaj byli bardzo sympatyczni chłopcy. Bronisława nazywaliśmy Fudaczkiem dla odróżnienia od starego Fudaka

Przybyli: Raczyński, Heinrich, Sulżyński; innych nazwisk nie przypominam sobie.

Ciekawą osobistością był Raczyński, — imienia jego nie przypominam sobie. Miał ogromną zdolność wierszowania; był niezmiernie zarozumiały, przepowiadał sobie wielką przyszłość, szczycił się swą odwagą, którą istotnie — jak nam dał tego przykład — posuwał do szaleństwa. Do pióra literackiego wziął się wcześnie. Pierwszą jego pracą była powiastka jakaś niemiecka, którą dla zarobku przetłómaczył, będąc jeszcze w Warszawie. Przybywszy do Dorpatu, mógł mieć lat około dwudziestu. Dla zarobku — jak mówił — jął się tłómaczenia poezji Lenaua, w których ten poeta życzliwe dla Polski wypowiadał uczucia. „To dla zarobku — mówił nam, czytając swój przekład — a dopiero w poematach oryginalnych objawi się mój genjusz i zaćmi on Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego". Przekonaliśmy się o fenomenalnej jego zdolności rymowania, zrobiwszy próbę w tym względzie. Daliśmy mu cztery tematy, i czterech nas zasiadło do pisania dyktowanych wierszy. Liczba zgłosek i rymowania miała być u każdego inna. U jednego pierwszy wiersz miał się rymować z drugim, u drugiego z trzecim, u następnego z czwartym i t. p. Raczyński chodził po pokoju i dyktował wiersze wszystkim naraz, wiersz po wierszu każdemu z kolei. Podyktowane wiersze były dobrze zbudowane i treścią swą odpowiadały wskazanym tematom. W późniejszych czasach zdarzyło mi się obserwować wielką zdolność rymowania u Władysława Bełzy, lecz w żaden sposób nie dawała się ona porównać ze zdolnością Raczyńskiego. Czy jednak ta łatwość pisania wierszy nie wywierała szkodliwego wpływu na wartość samych utworów? Genjalni poeci — ile wiemy z ich życiorysów — doznawali znacznej trudności w przelewaniu swych myśli w odpowiednią formę, musieli więc z tego powodu wysilać się, walczyć o to i w tej walce kształcili się i dochodzili do coraz większej doskonałości.

Przekonaliśmy się również i o szalonej odwadze Raczyńskiego. Kiedyś, przechadzając się gromadnie w parku na Dombergu, przyszliśmy na plac gimnastyczny, gdzie były odpowiednie urządzenia, a pomiędzy niemi dwa wysokie słupy z przymocowaną na nich belką, z której spuszczały się sznury ku ziemi. Wysokość, na której znajdowała się belka, dochodziła conajmniej do wysokości dachu dwupiętrowego domu. Zaczęliśmy próbować, kto wlezie po sznurze najwyżej. Jeden z kolegów dosięgnął belki, co uczciliśmy oklaskami. — Wielka sztuka, — powiedział Raczyński — ja wlezę na belkę, przejdę się po niej z jednego na drugi koniec i spuszczę się drugim sznurem na ziemię.

— No, pokaż nam tę sztukę — mówiliśmy, śmiejąc się do niego.

Raczyński zdjął surdut i zaczął się wspinać po sznurze. Gdy dosięgnął belki i zaczął na nią zakładać nogę, ogarnął nas przestrach, i zaczęliśmy wołać do niego: „Spuszczaj się, wierzymy ci, wierzymy." Raczyński nie posłuchał, wylazł na belkę i stanął na niej. Zmartwieliśmy i, zatajając oddech, w przestrachu czekaliśmy na katastrofę. Gdyby się pośliznął, lub doznał zawrotu głowy, toby, upadłszy, zabił się odrazu. Raczyński zwolna przeszedł po belce do drugiego jej końca, siadł na nią okrakiem, pochwycił za sznur i spuścił się na dół. — Co się stało z nim w późniejszem życiu, nie wiem. W 1862 r., kiedy już byłem na wygnaniu w Archangielsku, napotkałem w Warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym" wiersz jego datowany z Włoch, którego treścią była rozmowa dwóch patrjotów włoskich. Może należał do wyprawy Garibaldiego, może poległ gdzie na polu bitew śmiercią walecznych?

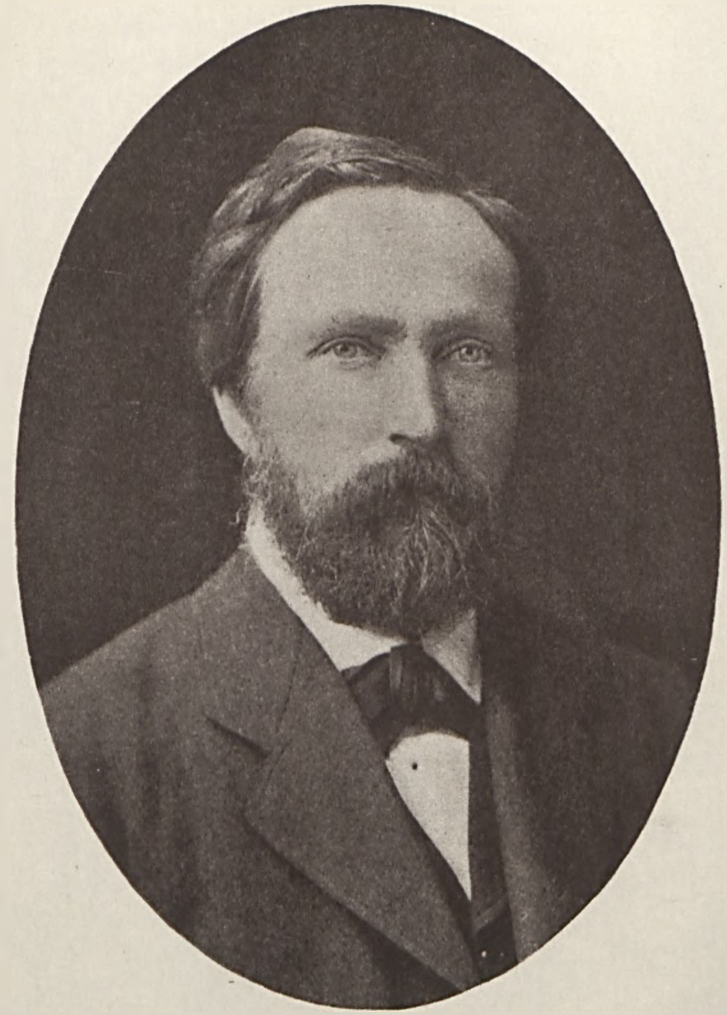
Nie mogę pominąć innego samochwała, chociaż w innym rodzaju. Był nim Bernatowicz, imienia nie przypominam, rodem z Ukrainy. Po ukończeniu studjów lekarskich, odbył on egzaminy z wielkiem powodzeniem. Wszystkim jednak opowiadał że właściwie szczęście i przebiegłość mu posłużyły, bo uczył się mało i wcale nie był przygotowany. Gadania te jego, głoszone nietylko przed Polakami, ale i przed Niemcami, doszły do uszu profesorów i rektora. Skorzystano więc z tego, że Bernatowicz dla uzyskania doktoratu nie przedstawił swej rozprawy na termin i zgodnie z przepisami prawnemi unieważniono jego egzaminy. Zwykle nie trzymano się ścisłości terminowej i Bernatowicz wiedząc o tem, nie spieszył zbytnio z ukończeniem swej rozprawy. Wypadło więc mu powtórnie składać egzaminy. Profesorowie badali go ostro, pomimo to wyszedł zwycięsko. W późniejszych czasach słyszałem, że był on lekarzem na Syberji.

Rok ten (1859 na 1860) w Dorpacie był rokiem rozbudzonych nadziei i pewnego wrzenia w umysłach młodzieży polskiej. Widoczniejszem to było u młodszych, aniżeli u starszych. Podniecały nas dochodzące wieści z kraju o wszczynającym się tam ruchu narodowym. „Wiadomości Polskie" rozpalały uczucia patrjotyczne i zaznajamiały dokładniej z tem, co się działo w kraju i na emigracji. „Słowo", które zaczęło wychodzić w Petersburgu, a które zaprenumerowaliśmy także, prześcignęło inne dzienniki polskie treścią podnoszonych zagadnień i obfitością korespondencji ze wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej. Z ciekawością je czytano. Zachęcony przykładem licznych korespondentów, i ja napisałem korespondencję z Dorpatu o życiu uczącej się młodzieży polskiej i wogóle o stosunkach polskich. Korespondencja jednak nie pojawiła się, albowiem prawie równocześnie z jej wysłaniem „Słowo" zostało zawieszone, skutkiem żądania władz rosyjskich w Warszawie.

I wśród młodzieży polskiej w Dorpacie, zaczęto wydawać pisemko, kopjowane w kilku egzemplarzach, do współpracowników którego i ja także należałem. Umieściłem tam obszerniejszy artykulik o konieczności dziejowej połączenia się Litwy z Polską, opierając się przeważnie na dziełach Szajnochy. Pojawiały się w tem pisemku artykuliki o naszem życiu publicznem i odbywały się w niem polemiczne utarczki. Przypominam sobie polemiczny artykulik, z wielkim dowcipem napisany przez teologa Zimmera.

Wychodziło też i inne pisemko, satyryczno-żartobliwe, a nadto ilustrowane. Ciągnął się tam przez kilka numerów pełen dowcipów artykuł o poetach polskich w rodzaju Rozbickiego. Ilustracje odznaczały się prawdziwym artyzmem i dowcipem.

Z żywszem zainteresowaniem się sprawą narodową łączyło się pragnienie zmiany stosunków koleżeńsko-towarzyskich w bardziej braterskie. Pojawił się projekt tworzenia hexuryj, to jest szóstek, złożonych z osób dobrowolnie połączonych z sobą w jedną całość rodzinną ze wspólnem mieszkaniem, wspólnym stołem i wspólną kasą. Propagatorem u nas i inicjatorem tego projektu był kolega Postnikow. Syn generała Rosjanina, urodzony i wychowany w Polsce, uważał się za Polaka i był gorącym patrjotą polskim.



Benedykt Dybowski
Warszawa



M. i A. Dubieccy
1862 r.

Nie przypominam sobie, czy w tym, czy też w poprzednim roku przyjechał do Dorpatu Obrąpalski z cierpiącą matką w celu porady u lekarzy. Odszukał on mnie i zaprezentował się jako mój krewny. Matka jego była z domu Limanowska. Powitała mnie uprzejmie i objaśniła, jakiego rodzaju skoligacenie pomiędzy nami zachodziło. Obrąpalski mógł mieć już około pięćdziesięciu lat. Zesłany na Syberję w czasach Konarszczyzny, wrócił dopiero parę lat temu z wygnania. Zamożny właściciel ziemski w powiecie Dziśnieńskim oddawał się z zamiłowaniem gospodarstwu rolnemu. Mówił, że szlachtę polską coś wrodzonego ciągnie do roli i że po burzliwych przeżyciach młodości chętnie osiada na swym zagonie ojczystym. Mówił dobrze po niemiecku i korzystał ze sposobności dokładnego obejrzenia folwarków niemieckich i prowadzonego w nich gospodarstwa. Chętnie mu towarzyszyłem w tych wycieczkach, gdyż niemal codziennie zachodził do mnie i zabierał mnie z sobą. Zwiedzaliśmy też często i cukiernie, bo lubił wypić, a miał pieniądze; oczywiście, on płacił za wszystko. W przepisach do pamiętników Gieysztora napotkałem notę, że naczelnikiem i komisarzem powiatu Dziśnieńskiego w powstaniu 1863 r. był Michał Obrąpalski. Może to on?

Heinrich przejawiał gorące uczucie patrjotyczne i raz, gdyśmy w kółku kilku osób żywo rozprawiali o tem, co się działo w kraju, podał myśl utworzenia spisku politycznego. Przystaliśmy na to i zaczęliśmy zjednywać członków. Z kolegów, którzy przybyli w poprzednich latach, oprócz Staniewicza, Lancusia i Baranowskiego, nikt nie dał się wciągnąć, ale nowo przybyli chętnie przyjmowali naszą propozycję. Spiskowi naszemu wyznaczyliśmy narazie bardzo skromne zadanie: zobowiązaliśmy się pozyskiwać w kraju członków i ustalić z nim korespondencję. Był to więc spisek — że tak nazwę — korespondencyjny. Zdaje się, że ja tylko jeden zyskałem członka — korespondenta, był nim brat Lucjan, a Lucjan ze swojej strony zyskał jako członka Bolesława Maternę, młodego właściciela ziemskiego w powiecie drysieńskim, z którym był się zaprzyjaźnił. Jakkolwiek byliśmy bardzo nieliczni, i działalność nasza znikoma, to jednak snuliśmy wielkie plany i, upatrując w naszym spisku coś w rodzaju uknutego sprzysiężenia w szwajcarskiem Grütli, w naszych przechadz-

kach do parku, w jednem z pobliskich dóbr magnackich, zbieraliśmy po drodze kamienie i zrzucaliśmy je w pewnem oznaczonem miejscu na kupę, ażeby upamiętnić w przyszłości zamierzone przez nas dzieło. Po wyjeździe z Dorpatu, nic nie słyszałem o naszych spiskowcach; a po pięćdziesięciu przeszło latach dowiedziałem się w Krakowie, że główny inicjator spisku, stał się — jak zwykle mówiono — „wiecznym" studentem i w czasie naszego powstania nie opuszczał swego uniwersyteckiego miasta.

Kiedy zbliżał się czas wyjazdu na letnie wakacje, Lucjan przysłał mi pieniądze w oznaczonej sumie z dodatkiem od siebie kilku rubli na buty, ażebym nie wracał — jak pisał to w liście — „swoim zwyczajem w dziurawem obuwiu". Miałem sporo długów, gdym je pospłacał, zostało tylko tyle pieniędzy, że starczyło zaledwie na drogę. Czułem się wszakże zobowiązany spełnić życzenie Lucjana. Poszedłem więc do najlepszego i mającego największą wziętość szewca w Dorpacie, Petersona.

— Panie Peterson — rzekłem — potrzebuję butów koniecznie.

— Ja wohl — odrzekł.

— Proszę więc pana, ażebyś je zrobił.

— Sehr schön.

— Muszę je mieć przed wyjazdem.

— Versteht's.

— Ale, panie Peterson, nie mam pieniędzy.

— Sehr schlecht.

— Skoro tylko wrócę, natychmiast oddam panu co się należy.

— So, ist es gewiss?

— Ależ najzupełniej, proszę mi wierzyć.

— Gut. Sie werden Ihre Stiefel haben.

Peterson zapisał mnie do księgi dłużników i stosownie do życzenia Lucjana, przyjechałem do Podgórza w nowych i elegancko uszytych butach.

Muszę zauważyć, że Petersona nie znałem przedtem, i on mnie wcale nie znał. Daje to przykład, jak łatwo było w Dorpacie o kredyt. Niektórzy studenci niemieccy żyli — rzec można — przez cały czas studjów kredytem i dopiero później, zostawszy pastorami, lekarzami, adwokatami i t. d. spłacali swoje długi

uniwersyteckie. Zdarzały się wprawdzie wypadki sprzeniewierzenia się, lecz były nader rzadkie.

Dla spraw o długi istniał na uniwersytecie osobny urzędnik, zwany syndykiem. Otrzymawszy skargę na jakiegoś akademika że nie spłacił długu, przywoływał go i pytał, czy istotnie uznaje się winnym. Pytanie to było czystą formalnością, gdyż nikt bezpodstawnie nie skarżył. Po otrzymanem zeznaniu, układał się o terminy wypłaty. I ja miałem raz sprawę z syndykiem z powodu skargi właściciela domu na ulicy Ogrodowej. Płaciłem mu akuratnie, lecz raz z braku pieniędzy nie mogłem na termin zapłacić. Nie chciał zaczekać i wymówił mi mieszkanie. Zły na niego, chcąc go ukarać, wcale nie spieszyłem się z wypłatą należności. Wezwany przed syndyka, potwierdziłem, żem winien za komorne.

— No, to trzeba zapłacić — powiedział syndyk.

— Zapłacę — odrzekłem — lecz obecnie nie mogę, bo nie mam pieniędzy.

— Kiedyż pan zapłaci?

— Nie wcześniej jak po semestrze.

— To niemożliwe.

Rozpoczęły się targi, i ostatecznie ułożyliśmy się, że zapłacę po dwóch miesiącach. Gdy nadszedł termin, zapłaciłem część długu i znowu otrzymałem zwłokę na dwa miesiące. W ten sposób spłacałem mój dług rok cały.

Im bardziej zbliżała się chwila wyjazdu do Podgórza, tem żywiej i ponętniej wynurzało się wspomnienie z lata ubiegłego. Ostatni egzamin miałem z greckiego. Trzymając przed sobą platońskiego Fedona i niemieckie jego tłumaczenie, odczytywałem każde zdanie po grecku i niemiecku. Ażeby utrzymać uwagę w czuwaniu, czytałem głośno. Po dwóch, trzech stronicach przeczytanych, dzwonek pocztowy coraz silniej dźwięczał w mych uszach. I oto widzę płynącą wspaniale Dźwinę, krzyż żelazny z figurą przy drodze, kościołek Indrycki, lasek podgórski, i wstrząśnięty spostrzegam, żem czytał nieprzytomnie kilka stronic.

Nadeszła wreszcie upragniona chwila wyjazdu. Wyruszyłem w drogę razem z Leonardem Staniewiczem, który jechał na wakacje do swego opiekuna w powiecie dziśnieńskim. Zaprosiłem go do Podgórza, by zabawił tam przez jakiś czas. Lucjan radoś-

nie nas powitał. Pogoda nam służyła, więc wypocząwszy po drodze przez dzień w ogrodzie i nagadawszy się z Lucjanem o rozmaitych sprawach, poprowadziłem Staniewicza, by pokazać mu naszą posiadłość. Szliśmy wybrzeżem Dźwiny, ku ujściu rzeki Indry, dalej prześlicznym wąwozem w górę tej rzeki, zboczyliśmy do Katarzynowa, gdzie matka zatrzymała nas na obiad. Stamtąd wróciliśmy na Łuksztynie do Podgórza. Na drugi dzień poprowadziłem mego gościa ponad jezioro Łuksztyńskie do Lajnik, gdzie dzierżawca Moskal-starowierca ugościł nas rybą wędzoną, która nam bardzo smakowała; stamtąd przez Deksznię wyszliśmy do Buciniszek ze wspaniałym dębem na wzgórzu i wreszcie pięknym wąwozem wróciliśmy do Podgórza. Staniewicz był zachwycony uroczą naszą miejscowością.

W kilka dni po przyjeździe, przypadły imieniny jednego z sąsiadów. Wyruszyliśmy do niego wszyscy trzej. Lucjan już miał parę ładnych koników i dobrą uprząż. Ja ze Staniewiczem jechaliśmy w karafaszce, Lucjan towarzyszył nam konno. Skierowaliśmy się naprzód do Szterenberga, jak to było umówione pomiędzy bratem i Gizbertami, a stamtąd pojechaliśmy wszyscy wspólnie. U solenizanta-wdowca zastaliśmy już sporo osób: byli tam Włodzimierz Gizbert, Bolesław Materna, Hłuszanin i wielu innych. Wesoło, krzykliwie, po kawalersku się bawiono. Nocowaliśmy pokotem na słomie rozesłanej w jednym z pokojów. Wyjeżdżając na drugi dzień od solenizanta, wyruszyliśmy gromadnie: my trzej, Włodzimierz Gizbert, Materna i Hłuszanin przez Rosicę do Kozłowa, gdzie mieszkała wdowa po Feliksie Łepkowskim z córką, trzymając ten folwark prawem zastawu od Łopacińskiego. Z Rosicy zabraliśmy z sobą księdza wikarego.

Było pogodnie, zacisznie i świeże powietrze. Kiedyśmy się ułożyli do spania, wywiązała się pomiędzy mymi towarzyszami podróży kłótnia o to i owo, ale nadewszystko o panny, lecz Morfeusz umorzył ją dość rychło; wyspawszy się, chłopcy zapomnieli o tem, że się kłócili ze sobą. Żartowano wprawdzie i nadal z siebie, ale bez zawziętości, dobrodusznie. Każdy otrzymał jakieś przezwisko. Włodzimierza Gizberta, który był gruby i ociężały, nazwano sowietnikiem (radcą); Lucjana obwołano porucznikiem, ponieważ komenderował naszą jazdą i wo-

góle odznaczał się swym tonem rozkazującym; Materna uzyskał miano wojskiego, bo przesiadywał wciąż przy kobietach; mnie nazwano Anglikiem, a to z dwóch powodów: najprzód dlatego że zachowywałem zupełne milczenie, kiedy wszyscy inni pomiędzy sobą wrzaskliwe prowadzili spory, — a powtóre, z powodu mego kapelusza z lufcikiem u góry, o którym powiedziałem, kiedy z niego żartować poczęto, że to Anglicy noszą takie, by się powietrze nad głową odświeżało. Jakkolwiek w stosunkach z młodzieżą zachowywałem się nieco sztywnie i stałem jakby na uboczu, to jednak — mogę powiedzieć — że okazywała mi wielką przychylność i już z góry zgłosiła mój wybór na sędziego pokoju, skoro zapowiedziany w tym przedmiocie projekt urzędowy dojdzie do skutku. — Z Kozłowa pojechaliśmy wszyscy hałaśliwie, wyprzedzając jeden drugiego, do Materny, a po drodze wstąpiliśmy do Benisławskich, gdzie dano nam podwieczorek. Siedziba Materny okazywała już znaczną zamożność: dom murowany, piękny ogród, zwłaszcza jedna cienista aleja podczas skwaru letniego dawała przyjemny przytułek. Matka Bolesława mieszkała w drugim sąsiednim majątku. Dowiedziawszy się o naszym przyjeździe do syna, wysłała umyślnego gońca, zapraszając nas na obiad. Nie zażywała ona dobrej opinji. Uchodziła za dumną i próżną, cisnącą się do arystokracji; mówiono też o jej bezwzględnem wyzyskiwaniu włościan. Niepodobna było, już ze względu na syna, nie przyjąć jej zaproszenia. Namawialiśmy Staniewicza, by jechał z nami, lecz on nader drażliwej ambicji — odmówił, albowiem nas tylko Limanowskich zapraszano. Maternina okazywała nam wielką uprzejmość. Bawiły u niej wówczas dwie panny, obie miłe, — jeżeli się nie mylę — z nazwiska Serafinowiczówny; jedna z nich późniejsza matka Władysława i Wacława Studnickich, Gizbertów. Od Materny hurmem zawsze zajechaliśmy do Sawicza, bogatego starego kawalera. Był wielce zadowolony z naszego przyjazdu. Ugościł nas wspaniale. Była to ostatnia nasza wspólna gościna. Rozjechaliśmy się w różne strony. Materna zabrał Staniewicza by zawieźć go do Drui. Ja z Lucjanem wstąpiliśmy jeszcze do Kompowskich. Raziła nas u nich pewna pretensjonalność, podobna do tej, jaką się spostrzegało w Dąbrówce u Marcina Zaborowskiego, cechująca często szlachtę uboższą,

zagrodową, skoro wchodziła do sfery szlachty, posiadającej folwarki z poddanymi, zwanej obywatelami.

Warnowicze w Kurlandji, gdzie tak miło się bawiłem zeszłego lata, zostały sprzedane, a Seweryn Łepkowski z rodziną zamieszkał w Krasławiu, gdzie kupił dom. Ilekroć zdarzało mi się być w tem mieście, zachodziłem do Łepkowskich. Poznałem też Michała, byłego kolegę moich braci, bardzo sympatycznego młodzieńca — jak już wspominałem — słuchacza uniwersytetu petersburskiego. Podczas naszego raz pobytu w Krasławiu wybrał się razem z nami do Podgórza. Miał jechać konno, ale to zmieniliśmy w ten sposób, że on z Lucjanem jechał w karafaszce, a ja konno. Przypominam ten szczegół z tego powodu, że po drodze, w przejeździe przez bramę jakiegoś domostwa, koń uląkł się czegoś, zaczął mię unosić i omal nie zrzucił. W Podgórzu Michał zabawił kilka dni. Jednego dnia, wykąpawszy się w Dźwinie, poprowadził nas brzegiem rzeki też nad wodę, przypatrując się skałom i kamieniom, jako studjujący geologję, a niektóre okazy zabierając ze sobą. W ten sposób doszliśmy aż do ujścia Indry. Idąc wąwozem ponad tą rzeką, posłyszeliśmy jakieś granie pod ziemią. Spuściliśmy się więc niżej i, widząc drzwi u jakiegoś otworu, weszliśmy przez nie do podziemia, w którem siedział starzec na ławie i grał na skrzypcach. Pomimo, że gospodarzyłem zeszłego lata w Podgórzu, nic nie wiedziałem o tem podziemnem mieszkaniu. Wygrzebał je sobie, nie pytając o pozwolenie, stary żebrak, znany dobrze w okolicy, dość często przychodzący do naszego domu po jałmużnę, poddany podgórski, lecz nie mający we wsi nikogo z rodziny. Zdziwieni, wypytywaliśmy się, jak mu się żyje w tem podziemiu, do którego tylko trochę światła przenikało.

— Dobrze — mówił — spokojnie, zimą ciepło, a latem niegorąco.

— Ależ tu sam jesteś, to musisz się nudzić?

— Nie siedzę wciąż tu, muszę chodzić po ludziach za chlebem a jak jestem u siebie, to modlę się, albo gram...

Wakacje letnie minęły wesoło i przyjemnie, lecz już nie tak przyjemnie jak zeszłego lata. Odpadło poprzednie zainteresowanie gospodarcze i coraz silniejszą stawała się rozterka w mojem duchowem usposobieniu. Większą część czasu wakacyjnego spędziłem w Podgórzu, odwiedzając często matkę, lecz bawiłem i w Niemcach, jeździłem do Krzywcówki i do Jass.

Wyjeżdżając do Dorpatu, skierowałem drogę na Kozłowo. Nie oświadczyłem się Helence, ale z gorących słów pożegnania odgadła i moje dla niej uczucia i powody mego wahania się. Jechałem smutny, niespokojny, niezadowolony z siebie. Wyjechałem późno wieczorem. Noc była księżycowa. Kiedy przejeżdżałem przez wieś Lanckoronę, przy drodze widziałem żnące zboże kobiety, które w ten sposób korzystały z chłodu nocnego. Ze świtem byłem w Lucynie: miasto przedstawiało się ubogo, domy przeważnie z drzewa.

Opowiedziałem już poprzednio o ważniejszych wypadkach, które zaszły podczas mego pobytu w tym semestrze w Dorpacie. Przykre zajścia w towarzystwie zniechęcały mnie do niego, nadchodzące wiadomości z Zachodu ciągnęły w tamtą stronę. Mówiliśmy o prawdopodobnem formowaniu się legjonów, aczkolwiek żadnej pewnej wiadomości nie było. Gorętsi zamyślali już o zaciąganiu się do nich. Podążył ku nim Kulesza, który — jak się dowiedziałem w kilka lat później — utonął w morzu wraz ze statkiem, wiozącym go z Królewca. Wreszcie i u mnie przemogła chęć czynnego udziału. Napisałem do Lucjana o swym zamiarze i prosiłem, by przysłał mi, o ile może, większą sumę pieniężną, by starczyła na drogę.

Mając już opuścić uniwersytet, zapuściłem wąsy i brodę, i brodaty wręczyłem sekretarzowi moje podanie. Rektor wszakże oświadczył mi, że nie przyjmie podania, dopóki nie zgolę brody. Jak niepyszny musiałem zastosować się do jego żądania.

Świadectwo uniwersyteckie nosi datę 1-go września 1860 r. Przypuszczam, że po otrzymaniu świadectwa, nie zwlekałem z wyjazdem.

Jakkolwiek kwota pieniężna, przysłana przez Lucjana, była niewielka i mogła starczyć na najkrótszą drogę do Paryża i co najwięcej na pierwszy miesiąc pobytu tamże, postanowiłem jednak zwiedzić — o ile się da — ziemie, niegdyś z naszą Rzeczypospolitą połączone w jedną całość. Pojechałem do Rygi, ponieważ tylko w mieście gubernjalnem mogłem uzyskać paszport zagraniczny, a tam było najłatwiej.

Do Rygi jechałem pocztą. W Kiesi (Wendenie), gdzie się

znajdowali koledzy z Dorpatu, bracia Zalewscy, przygotowujący się tam do ostatniego egzaminu, zatrzymałem się. Byli uradowani z mego przybycia, zasypywali mnie pytaniami o Dorpat, o kolegów; nakarmili, napoili, zatrzymali u siebie na nocleg i dopiero na drugi dzień po śniadaniu wyruszyłem w dalszą drogę.

W Rydze przemieszkałem przynajmniej dwa tygodnie. Sprawa paszportu mię zatrzymała. Wniosłem podanie do kancelarji general-gubernatora — był nim znany ze swego liberalizmu Suworow. — Przed wydaniem jednak paszportu, musiało się — stosownie do przepisów prawnych — pojawić w piśmie rządowem, „Wiadomościach gubernjalnych", wychodzących niecodziennie, ogłoszenie o zamierzonym przezemnie wyjeździe zagranicę.

ROZDZIAŁ V.

LEODJUM—PARYŻ

(Wrzesień 1860 — marzec 1861)

Chcąc odbyć — o ile można — jaknajdalszą podróż, oszczędzałem w wydatkach. Wynająłem więc sobie pokoik na Mitawskiem Przedmieściu, gdzie zamieszkiwała uboższa, robotnicza ludność. Chodziłem też jadać do taniej garkuchni, gdzie się żywili robotnicy.

W kilka dni po mnie przyjechał Majewski i, odszukawszy mnie, w codziennych był ze mną stosunkach. Zawdzięczam mu, że życie moje w Rydze popłynęło przyjemniej i pożyteczniej. Wydostał on pozwolenie od kilku fabrykantów na zwiedzanie ich fabryk. Trzeba wiedzieć, że uzyskać takie pozwolenie nie jest łatwo, ponieważ — jak to nam tłumaczył jeden z oprowadzających — niemal każdy fabrykant posiada jakiś zapewniający mu korzyść sekret i obawia się, ażeby przez współzawodniczących przedsiębiorców nie został poznany. Nam, jako nie przemysłowcom, a przytem, jako studentom uniwersytetu dorpackiego, będącego w wielkiem poszanowaniu u całej inteligencji w nadbałtyckich prowincjach, nie czyniono żadnych trudności. Dla mnie najciekawszą było rzeczą dowiedzieć się, jaki istniał w tych fabrykach stosunek do robotników. Na moje pytanie w tym względzie, zarządca jednej z fabryk chwalił Łotyszów, jako inteligentnych i sumiennych robotników, ale czynił zarzut, że są zuchwali i oporni władzy. Opinja ta jednak — podług mego widzenia rzeczy — była raczej uznaniem ich poczucia własnej godności. Wogóle moje spostrzeżenia nad ludnością łotewską wypadały dla niej korzystnie. Tak np. zauważyłem, jadąc porztą, że Łotysze nie bili koni, jeno nawoływaniem i poruszaniem lejc,

pobudzali je do szybszego biegu. Byłem też raz i w teatrze. Dawano operę: Wolnego Strzelca (Freischütz), znaną mi z moskiewskiego teatru. Pod względem dekoracji i mechanizmu, Ryga nie ustępowała Moskwie.

Otrzymawszy paszport zagraniczny, wyjechałem do Mitawy.

Wyjeżdżając z Dorpatu, wysłałem do Podgórza książki i zbyteczne rzeczy, a ze sobą zabrałem tylko walizkę z tem, co było niezbędne. Wszędzie więc sam ją dźwigałem. Spostrzegłem, że wiele osób, wyszedłszy na stacji dyliżansów, poszło pieszo z tłomokami, i ja puściłem się ich śladem. Po drodze zawiązałem z jednym z nich rozmowę i dowiedziałem się, że byli robotnikami i szli do znanej im gospody na nocleg. I ja zatrzymałem się w tej gospodzie. Była w niej wspólna sypialnia w dużej sali, gdzie się znajdowało około dziesiątka łóżek, porządnie zasłanych czystą bielizną.

Wstawszy wczesnym rankiem i napiwszy się kawy, zostawiłem walizkę w domu noclegowym, a sam wyszedłem na miasto, by je obejrzeć.

Wygląd miasta przyjemne sprawiał wrażenie: ulice czyste, gmachy piękne, liczne magazyny, ruch uliczny znaczny, — słowem, okazałe większe miasto.

Dalszą podróż odbywałem przeważnie furą żydowską, jako najtańszym sposobem jazdy. Z tego też powodu zatrzymywałem się po karczmach i gospodach żydowskich. Miałem więc sposobność przyjrzeć się bliżej życiu tego ludu. Nie wypadło to na jego korzyść. Szczególnie raziło niechlujstwo, oszukańcze sposoby powiększania swego zarobku i okrutne obchodzenie się z końmi. Nieraz usługująca żydóweczka miała ładną i świeżą twarzyczkę, ale we włosach jej było pełno pierza, a prawdopodobnie i robactwa, ręce miała brudne i niemiłą woń szerzące. Brudy, dające się wszędzie widzieć, odstręczały też od podawanego przez Żydów jedzenia. Żywiłem się więc tylko jajami i owocami, ponieważ obrane dawały pewność swej czystości. Niezawodnie była to przesadna obawa, lecz wytworzyła się ona mimowoli, a i w późniejszych nawet czasach ją odczuwałem. Chciwość grosza u Żydów tak silnie się przejawiała, że zdawało się, że zastępuje wszelkie inne uczucia. Za pieniądze do najpodlejszej czynności okazywali gotowość. Oczywiście, byłoby to wielkim błędem uogólniać, lecz często napotykane tego dowody bardzo niekorzystnie bądź co bądź wyróżniały ją od ludności chrześcijańskiej.

W Szawlach zatrzymałem się krótko, więc tylko przejazdem je widziałem. Wygląd zwykłego niewielkiego miasta. W dalszej drodze do Poniewieża widziałem rozścielające się równiny i liczne stada gęsi, pasące się na ścierniskach i na łąkach. Wszędzie pełno krzyżów. Wstępowałem do kościołów przydrożnych, i raziła mnie posuwająca się aż do bałwochwalstwa pobożność ludu, jakiej w naszych okolicach nie widywałem.

Bardzo przykra przygoda zmusiła mnie do zatrzymania się w Poniewieżu przez dłuższy czas. Jechałem pocztą. Dwa tęgie rumaki pędziły jak wiatr. Pocztyljon widocznie miał w czubku i nie tylko nie powstrzymywał ich biegu, ale — pomimo mych próśb — popędzał je; wózek trząsł i rzucał niemiłosiernie, a gdy raz koła wpadły na kamień czy też pień, podrzucony w górę spadłem na wytknięty kołek i uderzyłem się gwałtownie. Z bólu omal nie omdlałem; zdawało mi się, że wszystkie wnętrzności ze mnie wyłażą. Po pewnym jednak czasie ból ustał. W Poniewieżu zajechałem do gospody chrześcijańskiej, gdzie zjadłem uczciwą kolację i, mając przeznaczoną dla siebie stancyjkę z czystą pościelą, zasnąłem snem kamiennym. Przed świtem obudziłem się w gorączce, cierpiąc bóle nie do wytrzymania. Jęcząc, zlazłem z łóżka i zapukałem do gospodarza, prosząc o wodę. Gospodarz, przestraszony moją chorobą, gdy już dobrze rozedniało, odwiózł mnie do miejscowego szpitala. W przyjęciu nie doznałem żadnej trudności. Lekarz Polak był uprzejmy: kazał przystawić pijawki i zapisał napój uspakajający. Ból prędko minął, obrzęklizna spadła, lecz w obawie recydywy zatrzymano mię i kazano spokojnie leżeć w łóżku. Tak przeleżałem z tydzień a może nawet i nieco więcej.

Szpital utrzymywano na stopie wcale przyzwoitej, było czysto, dosyć powietrza, ciepło, pożywienie dostateczne i dobre, pomoc lekarska należyta. Pod względem więc materjalnym, nie było mi źle, ale dręczyła mnie ogromnie nuda, jedna z największych dolegliwości, odczuwanych przeze mnie; mając bowiem umysł ruchliwy, potrzebowałem koniecznie przypływu nowych wrażeń. Tymczasem nie miałem nic do czytania, ani też możności jakiejś

pogawędki. Wprawdzie, w tym samym pokoju znajdowało się jeszcze paru chorych, lecz z nimi rozmawiać nie mogłem, bo mówili tylko po żmudzku. Młoda dziewczynka usługująca, Żmudzinka, mało też co rozumiała po polsku. Jedynie w dłuższą rozmowę wdawał się ze mną felczer, młody inteligentny chłopak. Dowiedziawszy się, żem odbywał studja lekarskie, okazywał mi szczególne poważanie i nieraz z godzinę siedział przy mojem łóżku, wypytując mnie o rozmaite szczegóły, dotyczące chorób i ich leczenia. I ja dowiedziałem się od niego sporo rzeczy o życiu, zwyczajach, usposobieniu miejscowej ludności.

Wyszedłszy ze szpitala, udałem się do łaźni. Prymitywnie była urządzona. Razem ze mną znajdowało się w niej jeszcze kilku Żydów. Rozwiesili pod sufitem swoje koszule, by w gorącem powietrzu wygubić w nich robactwo. Zwiedziłem następnie kościół, zjadłem w restauracji smaczny obiad, zaszedłem do cukierni na czarną kawę, zrobiłem w sklepach parę drobnych zakupów, wreszcie włóczyłem się po ulicach, — wszędzie mówiono po polsku, lecz przy kościele i na ulicach częściej dawała się słyszeć żmudzka niż polska mowa. Żydzi mówili, oprócz własnego żargonu, i po polsku i po żmudzku.

Wynająwszy furę jeszcze tegoż dnia, puściłem się w dalszą drogę ku Wiłkomierzowi. Razem ze mną jechał jakiś Żyd, mający wysiąść po drodze w jednem z miasteczek. Jazda odbywała się nader powoli. Biedny koń, niemiłosiernie okładany batem, wysilał się, by ciągnąć wóz, lecz to przewyższało jego siły. Ażeby mu ulżyć, szliśmy często pieszo, a gdy wypadło jechać pod górę, pomagaliśmy mu, popychając furę z tyłu. Furman złościł się i złość swoją wybijał na nieszczęśliwym koniu. W miasteczku, gdzie wysiadł mój towarzysz jazdy, wykryła się przyczyna, dlaczego ciężar wozu stał się trudny do uciągnięcia. Był nią wór soli, potajemnie do wozu złożony i starannie ukryty przez mego towarzysza Żyda. Wykrywszy to, nasz woźnica nie posiadał się z gniewu i obsypywał swego współwiercę przekleństwami i najhaniebniejszemi obelgami. Uwieńczył na końcu te obelgi — ku ogromnemu mojemu zdziwieniu — okrzykiem:

— Du, Żyd paskudny, parch!

Kiedy już dzieliła nas od Wiłkomierza mniej niż godzina drogi, wszczęła się straszna niepogoda. Mroźny, przenikliwy wiatr

smagał, a z góry sypał się obficie śnieg z kroplami deszczu. Pomimo, że miałem na sobie gruby watowany paltot, wilgoć dotarła aż do ciała, a wszystkie członki stężały od zimna tak, że w Wiłkomierzu z trudnością mogłem się ruszać, kiedy wypadło wysiadać z wozu. Obawiałem się, aby w następstwie tego przeziębienia nie wywiązała się jakaś choroba. Ulokowawszy się w gospodzie w osobnym pokoiku, zamówiłem kolację, bo już miało się ku nocy, i zażądałem, by przyniesiono natychmiast kwaterkę wódki. Następnie, rozebrawszy się do naga i nalawszy wódki do szklanki, resztę jej użyłem do wytarcia ciała a szczególnie nóg, od zimna zmartwiałych. Zmieniwszy bieliznę, wypiłem całą szklankę wódki, a zjadłszy kolację, ułożyłem się do snu, okrywszy się dobrze. Kuracja tego rodzaju skutecznie podziałała, bo wszystko skończyło się tylko katarem.

Na drugi dzień, który był pochmurny i siejący drobnym deszczem, obszedłem całe miasto — dość duże i pokaźne. Wróciwszy do gospody, zastałem w sali ogólnej sporo włościan i włościanek, przybyłych na targ do miasta. Zasiadłem do wspólnego stołu i zawiązałem z nimi rozmowę. Częstowano się herbatą, bo — jak się dowiedziałem od nich — upowszechniły się pomiędzy nimi stowarzyszenia trzeźwości, gorliwie wówczas propagowane przez duchowieństwo.

Z Wiłkomierza znowu jechałem żydowską furą. Mniej więcej na pół drogi do Wilna zatrzymaliśmy się na popas w przydrożnej gospodzie. Wszedłszy do niej, doznałem przyjemnego uczucia, widząc schludność jaka tam we wszystkiem panowała. Okazało się, że była to osada żydowsko-karaimska. Gospodę utrzymywała wdowa, mająca córkę już dorosłą. Oprócz zajęć połączonych z utrzymywaniem gospody, uprawiały one ogrodnictwo, zwykłe zajęcie karaimów — jak mi mówiono. Właśnie zastaliśmy obie, matkę i córkę, zajęte przebieraniem jarzyn, nagromadzonych na długim stole. Obie mówiły z sobą po polsku, poprawnie, bez zatrąceń żydowszczyzną. W ubiorze swoim nie różniły się od ludności drobnoszlacheckiej. Jedzenie podano mi w naczyniu czystem, dobrze przyrządzone; to też wcale nie doznając, jak w zwykłych żydowskich gospodach, wstrętu, jadłem ze smakiem.

Rozmawiając następnie w drodze z moim woźnicą o karai-

mach, zrobiłem uwagę, że karaimi są przecież także Żydami, a jednak jest u nich czysto, porządnie, przyjemnie.

— Dlaczegożby i u was Żydów nie miało być tak samo? — mówiłem.

— Nu, jacy oni Żydzi, oni bękarci żydowscy — odparł pogardliwym tonem.

Do karaimów słuszniej stosuje się nazwa starozakonnych, ponieważ uznają tylko Biblję, z późniejszym zaś talmudem nic nie mają wspólnego. Wpływ talmudyzmu na starozakonnych porównałbym z wpływem jezuityzmu na katolików: obniża poczucie godności własnej i ogłupia.

W drodze napotykaliśmy Żydka, wracającego z Wilna. Wnet rozpoczęli szwargotać z sobą. Rozumiejąc żargon żydowski, posłyszałem, że wśród komunikowanych nowin Żydek opowiadał także o tem, jakoby Polacy przygotowywali się wyrznąć Żydów. Oburzyło mnie to w silnym stopniu.

— Co za głupie brednie! — zawołałem. — Jak wam do głowy takie dzikie myśli przychodzą? — Czy was Polacy uciskają i prześladują? — Kto was uciska i prześladuje? — Rząd moskiewski i jego urzędnicy. A właśnie Polacy chcą uwolnić się od tego rządu. Chcą wolności, a z tej wolności i wy korzystać będziecie.

Żydzi, milcząc, słuchali mojej przemowy, lecz z oczu ich wyglądała podejrzliwość. Zaprzestali szwargotać i każdy ruszył w swoją stronę.

Żyd, wiozący mnie nie jechał do samego Wilna. Na przedostatniej stacji przed miastem musiałem wysiąść. Dalej miałem już jechać pocztą. Na stacji, dokąd się udałem, by się umówić o konie, zastałem oficera huzara Polaka, który także miał jechać do Wilna. Zaproponowałem mu, abyśmy pojechali wspólnie, co zmniejszało o połowę koszta jazdy. Zgodził się chętnie i powiedział, ażebym odrazu wszystko, a więc i za niego, zapłacił, a on zwróci mi należność w Wilnie. W dobrej wierze uczyniłem to.

— Wie pan co — powiedział do mnie — przed wyjazdem pójdziemy na wesele żydowskie, które tu się odbywa; — można dobrze się najeść i napić.

Chętnie przyjąłem tę propozycję, ciekawy zobaczyć, jak się odbywa to wesele. Huzara, w świetnym mundurze przy pałaszu, przyjęto z wielkiemi ukłonami i oznakami zadowolenia. Mnie, niepokaźnie ubranego, zwykłego cywila, tolerowano tylko jako przybyłego z tak ważną osobą. Huzar rządził się z całą swobodą i poczuciem swej wyższości: żartował z Żydów, a przytem jadł i pił, co wlazło. Ja ze swojej strony zachowywałem się skromnie, milcząco, i chociaż huzar zachęcał mnie do jedzenia, dopiero gdy mnie poczęstowano, wypiłem kieliszek likieru i wziąłem jakiś przysmak, usmażony w miodzie.

Kiedyśmy, po powrocie z wesela, wsiadali do wózka pocztowego, huzar zapytał, czy mam paszport. Zaspokoiłem jego ciekawość, lecz ten przejaw policyjnego ducha wzbudził we mnie podejrzliwość i ostrożność w mowie. Podczas jazdy, huzar, który dobrze się napił na weselu, rozprawiał dużo o sobie, o bogactwie swej rodziny, o polityce, a nawet i o polskim swoim patrjotyzmie. Słuchałem milcząco, a gdy zwracał się do mnie z pytaniami, zbywałem je pokrótce i ogólnikowo. Nie pamiętam nazwiska tego huzara, ale pozostawił wspomnienie o sobie jako o szubrawcu, który, pomimo ponowionej obietnicy po przyjeździe do Wilna, że zwróci mi należność jeszcze tego samego dnia, nie dotrzymał słowa i wcale się nie pokazał, chociaż wiedział, gdzie się zatrzymałem.

Stosownie do mego życzenia, furman zawiózł mnie do najtańszej gospody, a był nią zajazd żydowski. Wynająłem tam pokoik, dosyć czysto utrzymany, właściwie potrzebny mi tylko na nocleg, bo dzień cały przepędzałem w mieście. Gospodarz zażądał ode mnie paszportu, a nadto musiałem w księdze dla przyjezdnych wypisać szczegółowo: kto jestem, skąd i dokąd jadę, oraz w jaki sposób odbywam jazdę: pocztą, wynajętemi czy też własnemi końmi? Na kawę poranną szedłem do cukierni, gdzie czytałem gazety; na obiad zaś do restauracji Jodki na Wielkiej ulicy. Słynęła ona z kołdunów litewskich, i obiad mój składał się z porcji tych kołdunów, które mi bardzo smakowały, oraz ze szklanki kawy, wyśmienicie przyrządzonej, z paru bułeczkami pszennemi.

Od zajazdu, w którym się zatrzymałem, wchodziło się do właściwego miasta, do najpiękniejszej jego części, przez Ostrą

Bramę. Kiedym pierwszy raz przeszedł tę bramę i widziałem tłum ludu klęczącego i modlącego się, a wzniósłszy oczy ku górze, ujrzałem nad bramą obraz Matki Boskiej wśród światła jarzących się świec, ogarnęło mnie silne wzruszenie. Ukląkłem i modliłem się gorliwie. Jakkolwiek chętnie zapuszczałem się w dysputy filozoficzno-religijne, żywą jeszcze podówczas miałem wiarę, odczuwając w niej łączący nas z ludem węzeł. Przytem wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej od dziecinnych lat wciąż stawał przed oczyma, jako bardzo upowszechniony w naszej okolicy w domach szlacheckich, i mieszczańskich i w chatach chłopskich. Sprawiało to, że czuło się coś rodzinnego, coś bardzo bliskiego w tym obrazie. Nie doznałem już tak silnego wzruszenia w Częstochowie, gdym pierwszy raz widział tam sławny obraz Matki Boskiej.

Przebyłem w Wilnie dni kilka. Miasto miało dla mnie wielkie znaczenie jako stolica Litwy, chociaż podówczas, jako wyrozumowany Inflantczyk, za swoją stolicę uważałem Rygę. Wyznanie to swoje polityczne wypowiedziałem w korespondencji z Inflant, którą w Paryżu oddałem Elżanowskiemu dla umieszczenia w „Przeglądzie rzeczy polskich". Elżanowski jednak nie wydrukował tego ustępu, w którym reklamowałem całe Inflanty jako naturalną składową część Rzeczypospolitej polskiej. Zabolało mnie to, uczułem się skrzywdzony, zwłaszcza że uczynił to bez mojej wiedzy, nie pytając mnie wcale. Straciłem do niego zaufanie.

Zamiar zwiedzenia ziem Rzeczypospolitej w kierunku mojej drogi do Belgji, powziąłem w ostatniej chwili w Rydze, po uzyskaniu paszportu, nie miałem więc żadnych do nikogo rekomendacyj. Inaczej postarałbym się w nie zaopatrzyć chociażby w samym Dorpacie u kolegów, którzy mieli krewnych albo bliskich znajomych na Litwie. Zwłaszcza odnosi się to do Wilna.

Drukowanego przewodnika po Wilnie też nie było. Posługując się więc wspomnieniami z tego, co czytałem o Wilnie, z dorywczo uzyskanych wiadomości na miejscu, starałem się obejrzeć wszystko, co na to zasługiwało i nie wymagało ani wielkich starań, ani znacznego kosztu. Oczywiście, zwiedziłem wszystkie kościoły, — podziwiałem kościołek Św. Anny, który miał tak



Antoni Wasilewski
Archangielsk



Elżbieta Pawłowa
Archangielsk 1865 r.

ując swą pięknością Napoleona, że oświadczył, iż gotówby był na własnych rękach przenieść go do Paryża. Oglądałem zabudowania byłego uniwersytetu. Wreszcie po wszystkich ulicach, rozglądając się, chodziłem. Byłem też w teatrze. Pierwszy to raz byłem na polskiem przedstawieniu. Grano komedyjkę: „Wujaszek całego świata“. Zespół aktorów był bardzo dobry, a wykonanie żywe, naturalne, wzbudzało powszechną uciechę. Na „jaskółce“, gdzie się umieściłem z powodu jej taniości, spotkałem się z kolegą z Moskwy, lecz obaj nie kwapiliśmy się do większego zbliżenia się, albowiem słusznie czy niesłusznie nie cieszył się dobrą opinją.

Z powodu pory jesiennej, październikowej, Wilno traciło wiele na swym zewnętrznym wyglądzie. Dopiero w roku następnym, będąc w niem wiosną, poznałem jego okolice. Poszedłem jednak na słynną górę Bekieszową, z której rozpościerał się szeroki widok na całe miasto, płynącą Wilję, ogrody, gaje, lasy, rozsiane dokoła osady ludzkie. Spuściłem się z góry na drugą stronę. Płynęła tu Wilenka, po brzegi wypełniona w tym czasie wodą. Ażeby iść dalej, trzeba było ją przebyć, a mostu nie było. Co począć: albo puścić się wbród przez rzekę, albo wyleźć napowrót na szczyt góry? Mając na sobie długie buty, jeszcze z czasów mego gospodarstwa w Podgórzu, zdecydowałem się na pierwsze. Udało mi się to dość szczęśliwie. Przebywszy rzekę, znalazłem się w ogrodzie, otoczonym żelaznemi sztachetami. Brama była zamknięta, a przy niej stał szyldwach. Zapytałem go o wyjście z ogrodu. Nic nie odpowiedział, wskazując tylko ręką ku rzeczce; znaczyło to prawdopodobnie, że trzeba ją przebrnąć z powrotem i tam dopiero szukać drogi. Nie miałem do tego chęci. Byłem zmęczony, głodny i ku wieczorowi już się chyliło. Poszedłem ku sztachetom, rozglądając się, czy niema gdzie furtki. Widząc przechodzącego poza niemi Żyda, zapytałem go, jak mogę wyjść z ogrodu. Wskazał ręką, że trzeba przeleźć przez sztachety. Nie namyślając się długo, szybko wspiąłem się na nie i przeskoczyłem na drugą stronę. Wykonałem to tak szybko, że zdumiony szyldwach nie miał czasu mi przeszkodzić.

Z Wilna do Kowna znowu jechałem furą żydowską, zatrzymaliśmy się w karczmie na nocleg. Jak we wszystkich, utrzy-

mywanych przez Żydów, niechlujstwo i zaduch były ogromne. Nie mogłem wytrzymać i, wyszedłszy na dziedziniec, gdzie stała fura, wlazłem do niej, zagrzebałem się w sianie i smacznie zasnąłem. Gdym się obudził ze świtem, ujrzałem, że leżę osypany śniegiem. W dalszej jeździe, gdyśmy się zbliżali do Niemna w okolicy Rumszyszek, furman wskazał na brzeg przeciwny, mówiąc: „tam Polska". Zapamiętałem ten fakt, doznałem bowiem silnego wówczas wzruszenia na samą myśl: że przecież istnieje kraj, któremu się przyznaje nazwę Polski.

W Kownie zabawiłem kilka dni. Zwiedzałem wszystko, dokąd tylko dostać się mogłem. Byłem także w teatrze. Mieścił się on w dawnej świątyni Perkuna, odnowionej z pozostawieniem jej starożytnej postaci. Dawano sztukę ludową Ernesta Raupacha: „Młynarz i jego córka", oczywiście po polsku. Grano z wielką werwą. Zwiedziłem też słynną dolinę Mickiewicza, lecz zbliżająca się ku schyłkowi pora październikowa pozbawiła ją uroku, a nadto zrujnowano ją i zawalono rozmaitym nagromadzonym materjałem dla budującej się tam kolei żelaznej.

Zapragnąłem też przebyć na ziemi polskiej chociażby parę godzin. Przeszedłszy most na Niemnie, poszedłem do pobliskiej Aleksoty. Tam wstąpiłem do gospody i, zamówiwszy coś z pożywienia, zasiadłem do stołu, przy którym siedział już jakiś włościanin i wdałem się z nim w rozmowę. Od samego początku spoglądał na mnie nieufnie, a gdym zaczął wypytywać o stosunki z dworem, podejrzliwość jego widocznie się wzmogła, bo urwał rozmowę i wnet wyszedł z gospody.

W Kownie zakupiłem miejsce na statku, płynącym do Królewca i dalszą drogę odbyłem Niemnem. Mijaliśmy miasteczka: Sapieżyszki, Wilki, porosłe drzewami doliny, dwory jak Wielona i Giełgudyszki. Na noc zatrzymał się statek nieopodal granicy z państwem pruskiem. Razem z innymi pasażerami udałem się do nadbrzeżnej gospody, by się posilić. Chciałem tam przenocować, lecz okazało się, że nie było już miejsca na nocleg i trzeba było iść do miasteczka Jurborga. Zawiniła moja nieprzezorność. Mało zwracałem uwagi na to, co robią towarzysze podróży: oni bowiem, dowiedziawszy się z góry o braku miejsca na nocleg, pośpiesznie wyszli z gospody. Nikogo już nie było, coby zamierzał iść do miasta. Sam zaś nie odważyłem się w ciemnościach nocy iść przez nieznaną okolicę do dość odległego miasteczka, niepewny czy tam co znajdę. Wróciłem więc na statek. W nocy było tak zimno, że jakkolwiek miałem na sobie grubo podwatowany paltot, zziąbłem straszliwie. Ilekroć, leżąc na ławie, oparłem się o ścianę żelazną okrętu, odczuwałem silne od zimna dreszcze. Ze świtem statek puścił się w dalszą drogę. Zatrzymaliśmy się na śniadanie w pobliżu Tylży. W przybrzeżnej gospodzie napiłem się z wielką przyjemnością gorącej kawy. Wyznaczony na śniadanie krótki czas nie pozwolił zajrzeć do miasta. W granicach panowania pruskiego — ile z parowca dało się widzieć — spostrzegłem większą zamożność ludu w ubraniu, w koniach, w uprzęży, w wozach, w zabudowaniach, w staranniejszej uprawie roli.

Z Niemna wpłynęliśmy do Zatoki Kurońskiej, a koło Labijawy przez kanał, utworzony z Dejmy, dostaliśmy się do Pregoły, i już dobrze ściemniało, gdyśmy zawitali do Królewca. Po drodze wypytywałem moich towarzyszy o stosunki miejscowe i z ich opowiadania dowiedziałem się, że w tych okolicach była jeszcze liczna ludność litewska i że dla niej odprawiano w kościołach ewangelickich nabożeństwo w języku litewskim.

Po przybyciu do Królewca, jeszcze tegoż wieczora poszedłem oglądać miasto. Piękne wystawy w oknach magazynów, rzęsiście oświetlonych, zwłaszcza na głównej ulicy, miały wygląd wielkomiejski. Cały dzień następny poświęciłem zwiedzaniu wszystkiego, co było dostępne. Pojechałem obejrzeć i słynny uniwersytet, w którym nauczał znakomity Kant. Z dorożkarzem, który mnie wiózł, nie mogłem się dobrze porozumieć. Zdawał się nie rozumieć mojej niemieckiej mowy. Może był bardziej wzwyczajony do gwary miejscowej, a może był to litwin?

Ażeby się nie spóźnić na kolej, na godzinę przed wyjazdem, zebrawszy rzeczy, udałem się na dworzec kolejowy. Tam w taniej gospodzie wyczekiwałem pociągu. Pełno było w niej Mazurów, którzy wracali do domu, po ukończeniu robót polnych w okolicy. Strasznie ubogo wyglądała i ich odzież i torby, które mieli z sobą. Całem pożywieniem ich w gospodzie był chleb razowy i gorzałka, którą z niemiecka nazywali: brandwinia. Wdałem się z nimi w pogawędkę. Mówili łamanym polskim językiem z dużą domieszką słów niemieckich, przerobionych na

polski wzorzec. Po niemiecku mówili jeszcze gorzej niż po polsku. Sami uważali się za Prusaków. Wszakże migotała w ich umysłach świadomość polskiego pochodzenia.

Minąwszy Brunsberg, Elbląg, Malborg, przybyliśmy już późnym wieczorem do Tczewa. Tam wysiadłem razem z robotnikami, z którymi jadąc poznajomiłem się i rozmawiałem i wraz z nimi poszedłem do domu noclegowego. Nie był tak wygodnie i schludnie urządzony jak w Mitawie, ale zato znacznie tańszy. W dużym pokoju leżała rozesłana na podłodze słoma, a każdemu dawano poduszkę i derkę do okrycia się. Postanowiłem odjechać po południu, a tymczasem skorzystać z pięknej pogody i zwiedzić miasto i okolicę. Doznałem wielkiej przyjemności, wszędzie bowiem wiejska ludność okoliczna mówiła po polsku.

Bardzo chciało mi się zajrzeć do Gdańska, lecz uszczuplone fundusze nie pozwoliły na to. Miałem do wyboru jechać albo do Gdańska albo do Poznania. Ma się rozumieć, szalę wyboru musiała przechylić stolica Wielkopolski. Na Starogard, Chojnice przybyłem do Piły, a stąd na Rogoźno i Oborniki do Poznania. Im więcej zbliżałem się do tego miasta, tem powszechniejszą wśród jadących stawała się mowa polska. Pomiędzy Piłą i Poznaniem byłem świadkiem, jak poważny, w podeszłym już wieku, chłop polski dał dobrą nauczkę młodemu rekrutowi, który zwrócił się do niego z jakiemś zapytaniem, traktując go z góry.

W Poznaniu przebyłem dni kilka. Stare to miasto polskie, pomimo naleciałości i pokostu germańskiego, sprawiło na mnie nader przyjemne wrażenie. Mowa polska rozbrzmiewała wszędzie, nawet w sklepach niemieckich były napisy polskie i odpowiadano w tymże języku. Lecz przedewszystkiem wśród ludu roboczego dawał się odczuwać silny nastrój patrjotyczny. Pamiętam, z jakiem uczuciem nienawiści do zaborcy dawała mi wyjaśnienia straganiarka, siedząca pod ratuszem, na szczycie wieży którego rozpościerał jeszcze wówczas swe skrzydła orzeł biały. Zwłaszcza w niedzielę wygląd miasta stawał się zupełnie polski, gdyż ulice i kościoły wypełniał lud z pobliskich wiosek, ubrany w ciemnogranatowe długie surduty, jakie w naszych litewskich miastach nosiło dostatnie mieszczaństwo. Byli to tak zwani holendrzy — jak mnie objaśniano — potomkowie przybyłych dawnemi czasy chłopów z Holandji i Flandrji. Starałem się wszystko widzieć i obejrzeć. Byłem w katedrze i w kaplicy, oglądałem pomnik Mieczysława I-go i Bolesława Chrobrego; oglądałem też pomnik Mickiewicza, wystawiony przed rokiem, to jest w 1859 r., w ogródku za sztachetami przy kościele Św. Marcina. Zwiedziłem bibljotekę, ufundowaną przez Raczyńskiego, i wogóle wszystko, co miało jakąś pamiątkową cechę.

Teatru nie było wówczas w Poznaniu. Wieczory więc spędzałem w kawiarni, znajdującej się w Bazarze. Były tam liczne pisma polskie, nawet wydawane w Paryżu. W owym czasie w zaborze pruskim istniała większa swoboda, aniżeli w innych zaborach. W Królewcu już widziałem na wystawach w księgarniach pisma i książki, zakazane w zaborze rosyjskim. Nęciły mnie one bardzo, ale uszczuplona już ogromnie suma pieniężna nie pozwalała na ich kupno. Z radością więc znalazłem je w kawiarni bazarowej i chciwie czytałem. Oprócz wieczorów zachodziłem tam i na kawę poobiednią. Widziałem tam wówczas sporo osób zgromadzonych i rozprawiających ze sobą, lecz, nieznany nikomu, nie odważałem się zbliżyć do nich. Zwrócił moją uwagę szczególnie jeden, koło którego skupiali się inni. Poznałem odrazu, że to poseł Władysław Niegolewski, gdyż widziałem jego portrety, wystawione w sklepach, miał on bowiem w tym czasie ogromną popularność, z powodu wystąpienia swego na sejmie berlińskim przeciwko prowokacyjnemu postępowaniu Baerensprunga, naczelnika policji w Poznańskiem. Chcąc się upewnić, że istotnie był to Niegolewski, zapytałem o to służącego.

— Tak, to pan Niegolewski — odrzekł — codziennie przychodzi do naszej kawiarni.

Raz tylko przypadkowo zetknąłem się bliżej z mieszkańcami Poznania. Znajdując się w Chwaliszewie, części miasta zupełnie polskiej, z prawej strony Warty leżącej, wstąpiłem w porze obiadowej do gospody, mającej skromny wygląd, w nadziei, że znajdę tam tani posiłek. Na zapytanie moje, czy mógłbym dostać obiad, gospodarz odpowiedział:

— Niech pan chwilkę zaczeka, a będzie table d'hôte.

Istotnie wkrótce zaczęli przychodzić rozmaici panowie — jak zauważyłem — przeważnie znajomi z sobą. Jeden z nich, widząc

mnie stojącego w oddali, podszedł do mnie i zapytał, co zacz jestem, skąd i po co przybyłem. Kiedy się dowiedziano, że pochodzę z Inflant polskich, obstąpiono mnie i zaczęto wypytywać. Przy stole okazywano mi wielką uprzejmość i wciąż dolewano wina do mego kieliszka. Obiad był obfity, jakieś pięć czy sześć dań. Rozmowa toczyła się żywo, zadawano mi liczne pytania. Chętnie odpowiadałem, jeno ogarniał mnie coraz większy lęk, że za tę doznaną przyjemność będę musiał grubo zapłacić jakąś sumę neapolitańską. Kiedy przyszło do rachunku, gospodarz wymienił bardzo małą kwotę. Nie wierząc, zdumiony własnym uszom, powtórzyłem zapytanie jeszcze raz. Wymienił tę samą kwotę. Przypuszczam, że za wino zapłacili moi współbiesiadnicy, ale miałżeby gospodarz obniżyć cenę obiadu, przejawiając swą gościnność polską? Jak powiedziałem, był to jedyny wypadek bliższego nieco zetknięcia się z miejscową ludnością, lecz obserwowałem ją na ulicach, w kościołach, w gospodach i korzystne o niej wyniosłem wrażenie, a szczególnie podobały mi się wielkopolanki nie tylko z urody, ale także ze sposobu mówienia, z zachowania się pełnego poczucia swej godności.

Mając wyjeżdżać, prosiłem gospodarza, by podał mi rachunek. Przyniósł napisany po niemiecku. Oburzyło mnie to, i jakkolwiek, słysząc go często mówiącego z gośćmi po niemiecku, uważałem go za Niemca, zażądałem pomimo to polskiego rachunku. Gniewny mój ton zmieszał go, a szczególnie dotknęło go, żem powiedział, iż, żyjąc z Polaków, nie powinien im narzucać obcej mowy. Zaczął się tłumaczyć, że i on jest Polakiem, chociaż ma nazwisko niemieckie i zaprosił mnie na wino. Przy kieliszku wynurzył się z patrjotyzmem polskim, bodaj tylko czy nie kieliszkowym.

Wyjeżdżałem z Poznania zakatarzony skutkiem przeziębienia się. Zajmowałem w gospodzie jedną z najtańszych stancyjek, której drzwi oszklone otwierały się wprost na dziedziniec. Nie było w niej ani okien, ani pieca. Zimno panowało lodowate. Mało na to zważałem, gdyż przychodziłem tylko na noc. Pościel była dobra, a do okrycia się prócz kołdry wełnianej była jeszcze dodana zwyczajem niemieckim pierzyna. Pierwszego więc dnia, ułożywszy się do spania, naciągnąłem ją także na siebie. Obudziłem się w nocy cały rozpalony nie do zniesienia, pozrzucałem z siebie i pierzynkę i kołdrę, i tak znowu zasnąłem. Zrana wstałem mocno ziębnięty. Po paru dniach przejawił się katar, lecz dopiero przed samym wyjazdem wzmógł się on silnie.

W Krzyżu, gdzie wypadło kilka godzin czekać na pociąg do Berlina, owładnęła mną silna gorączka. Leżąc wraz z innemi oczekującymi pasażerami na pryczach w dobrze ogrzanym pokoju dworca kolejowego, żaliłem się, jak Nieczuja w powieści „Bajronieta" Kaczkowskiego, nad smutnem zakończeniem swego żywota.

— Tak, kochany Bolesiu — mówiłem do siebie — wypadnie ci tu zemrzeć nieznanemu i nieżałowanemu przez nikogo. I kiedy dojdzie i czy dojdzie wiadomość o tem do Lucjana? A biedna Helenka chyba zapłacze nad zgonem tego, z którym gotowa byłaby połączyć swe losy.

Nie zmarłem jednak w Krzyżu. Pociąg nadszedł i puściłem się dalej w drogę ku Zachodowi.

Jadąc przez Niemcy, zatrzymałem się tylko w Berlinie na krótko, w Hanowerze, gdzie nocowałem, i w Kolonji, gdzie oglądałem słynną katedrę i z przyjemnością wypiłem kilka kufli młodego wina reńskiego.

Przybyszy do Leodjum (Liège) w Belgji, odszukałem brata Józefa, który odbywał tam studja na politechnice, i zamieszkałem u niego.

Politechnika w Leodjum zażywała w owym czasie wielkiej sławy w Europie. Uczęszczało do niej dużo Polaków, z jakie dwa dziesiątki, a może i nieco więcej. Józef zapoznał mnie z nimi; kilka wieczorów przepędziłem w ich gromadzie. Ma się rozumieć, niemal wyłącznie rozprawiano o polityce, a przedewszystkiem o nadziejach polskich. Nazwiska tej młodzieży studjującej nie zachowały się w pamięci. Jeden z nich, który już po powstaniu 1863 r. założył wzorową piekarnię w Warszawie, odwiedził mnie w Zurychu w latach ostatniego dziesiątka zeszłego stulecia. Dwóch tylko dobrze zapamiętałem: braci Wrzeszczów Teodora i Antoniego z Ukrainy. Z Teodorem spotykałem się następnie w Paryżu. Zapalonym był mierosławszczykiem. W powstaniu 1863 r. skłuto go bagnetami i zbito kolbami, tak że ledwie żywego zaniesiono do szpitala. Wyleczył się jednak i ocalał. Podczas mego pobytu w Warszawie w końcu siódmego dzie-

siątka lat zeszłego stulecia, widywałem się z nim. Po powrocie z wygnania, pracował jako rysownik w kancelarji Blocha. W stosunkach życiowych był serdeczny i uczynny. Brat jego, Antoni, podobno znany w ostatnich latach jako dobry malarz w Kijowie, w ówczesnych naszych rozprawach politycznych z największą nienawiścią mówił o Austrjakach, których z rusińska nazywał Awstrjakami.

W Leodjum dowiedziałem się, że nasze przeczucia w Dorpacie co do legjonu sprawdzały się. Garibaldi aktem z 19 października powołał generała Mierosławskiego do utworzenia legjonów, walczących o wolność narodów. Miały być sformowane cztery legjony: polski, węgierski, niemiecki i francuski. Wiktor Emanuel, przyjmując pod swą władzę zdobyty Neapol, zobowiązał się wykonać wszystkie dekrety, wydane przez zdobywcę. Generał Mierosławski udał się więc do Włoch, ażeby omówić z tamecznemi władzami całą sprawę legjonową. Nadeszła też ważna wiadomość, że 1 grudnia ma być otwarta w Paryżu Polska Szkoła Wojskowa.

To wszystko zdecydowało Józefa, że opuścił szkołę politechniczną i razem ze mną udał się do Paryża.

Przyjechaliśmy do Paryża, kiedy już dnieć zaczynało. Jakkolwiek jechaliśmy dorożką do kwartału Łacińskiego głównemi ulicami, to jednak mglista pogoda jesienna obwijała w szarzyznę wszystkie gmachy i pierwsze wrażenie było doznanego zawodu: stolica Francji nie wydała mi się tak piękną, jak to sobie wyobrażałem. Nie potrzebuję dodawać, że to pierwsze wrażenie zacierało się następnie, zmieniając się na wcale odmienne. Zatrzymaliśmy się u przyjaciela Józefa, Augusta Iwańskiego, stryjecznego brata Konrada. Iwański, artysta muzyk, mieszkał w hotelu w sąsiedztwie Ogrodu Luksemburskiego.

Józef, który mieszkał już poprzednio w Paryżu przez czas dłuższy, wynajął pokoik w dawnem swem mieszkaniu przy ulicy Royer-Collard — także w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego. Zostawał on w przyjaznych stosunkach z oddźwierną (konsjerżką), u której bywaliśmy od czasu do czasu z wizytą wieczorami w niedzielę. Ugaszczano nas pieczonemi kasztanami i winem. Pomiędzy osobami, które także przychodziły w gości-

nę, pamiętam tylko młodego księdza z sąsiedniego probostwa. Była to moja jedyna znajomość francuska w Paryżu.

Pozostawałem w Paryżu od połowy listopada do ostatnich dni marca 1861 r. Wspomnienia z ówczesnego mego w nim pobytu ogłaszałem kilka już razy. Pierwsze wspomnienie zawiera mój artykuł o Ludwiku Mierosławskim, napisany dla londyńskiego „Światła“ w 1900 r. Artykuł ten, znacznie rozszerzony wszedł w skład książki, wydanej w 1911 r. w Krakowie pod tytułem: „Szermierze wolności“. Drugi raz wspomnienie o ówczesnym pobycie w Paryżu umieściłem w artykule: „Jaką drogą doszedłem do socjalizmu?“ Artykuł ten znajduje się w książce p. t. „Socjalizm, Demokracja, Patrjotyzm“, wydanej w 1902 r. w Krakowie. Wreszcie, wezwany przez Bronisława Szwarcego, ażebym przysłał jakie wspomnienie z czasów 1861—1864 do pisma zbiorowego: „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, które wyszło we Lwowie w 1903 r., w artykule o pierwszej manifestacji w Wilnie w 1861 r. opowiedziałem, że pomysł jej urządzenia zrodził się w Paryżu.

Życie prowadziłem w stolicy Francji pracowite i mogę powiedzieć, że dużo skorzystałem z tego czteromiesięcznego w niej pobytu. Całodzienny czas upływał albo na wykładach w Sorbonie i Collège de France, albo w bibljotekach: Polskiej i Panteońskiej.

Wykłady w Sorbonie, Collège de France, Muzeum Przyrodniczem, Szkole sztuk i rzemiosł, otwarte dla wszystkich, gromadziły różnoraką publiczność: zamożną i ubogą, młodych i starych, mężczyzn i kobiety. Wykłady odbywały się w sali amfiteatralnej i nieraz zdarzało się widzieć osoby, które odrazu szły na samą górę, i tam oparłszy się o ścianę, drzemały spokojnie. Chodziło im o ciepło sali, a nie o wykłady. Prócz dorywczego słuchania lekcyj rozmaitych profesorów w tych zakładach, stale uczęszczałem na rachunek różniczkowy i całkowy w Sorbonie i na wykłady Adolfa Francka z historji prawa narodów i Baudrillart'a o etycznej stronie ekonomji politycznej. Wykłady Francka ściągały liczną publiczność, sporo kobiet, albowiem nie tylko swą treścią wzbudzały zainteresowanie, lecz także nęciły swą piękną formą. Wykłady Baudrillart'a, dotykające tego sa-

mego przedmiotu co i wykłady Strümpla w Dorpacie, nie dorównywały im jednak co do rozległości poglądu filozoficznego

Mając się poświęcić zawodowi wojskowemu, postanowiłem przerobić jeszcze raz matematykę, nauczoną w szkołach średnich. Dostawszy kurs polski, ułożony przez Libelta, w godzinach, niezajętych przez inne wykłady, szedłem do Bibljoteki Panteońskiej i tam się uczyłem. Postępowałem tak, jak i wielu innych, którzy przychodzili z własnemi do niej książkami i tam się uczyli. Żołnierze przychodzili do niej często jedynie tylko po to, aby list napisać.

W Bibljotece Polskiej na Quai d'Orléans bywałem też codziennie. Były tam liczne pisma polskie ze wszystkich trzech zaborów, które przeglądałem, lecz przeważnie czytałem książki, wydane zagranicą i niedopuszczane do kraju przez cenzurę rosyjską; gromadziłem również materjały do życiorysu Emilji Platerówny. Cały dzień tak rozkładałem, ażebym potrzebował już tylko na nocleg wracać do mieszkania, w którem panowało lodowate zimno.

Wieczory przesiadywałem w czytelni polskiej, która znajdowała się niedaleko od naszego hotelu, w pobliżu Szkoły Lekarskiej, ponad garkuchnią, utrzymywaną przez Polaka, którego młodzież nazywała Jankiem. Myśmy nie jadali u niego, ponieważ Józef, który bywał dawniej u niego, powiadał, że jadała tam zamożniejsza od nas młodzież, a więc gdybyśmy się stosowali do niej, to nasze środki nie starczyłyby na to, a znowu gdybyśmy oszczędzali, bylibyśmy przez Janka lekceważeni i sami odczuwalibyśmy pewnego rodzaju upokorzenie. Czytelnia posiadała pisma poznańskie i galicyjskie, które z ciekawością czytałem, zwłaszcza podobał mi się i kierunek i dobór artykułów w „Dzienniku Literackim", wydawanym we Lwowie.

W czytelni gromadziła się głównie młodzież, przychodzili wszakże i niektórzy emigranci. Stałym gościem bywał jakiś wychodźca jeszcze niestary, chociaż już szpakowaty — nazwiska jego nie pamiętam. Jadał on u Janka, a kawę czarną przynoszono mu na górę do czytelni. Siedząc u płonącego kominka i popijając kawę, rozprawiał głośno o bieżących wypadkach a szczególnie unosił się nad dzielnością młodzieży, która rządziła ulicą w Warszawie po dyktatorsku, wydając odezwy z podpisem:

„Młodzież". Z innych emigrantów przychodzili Małachowski, Seweryn Elżanowski i zrzadka jeszcze kilku innych.

Z pomiędzy młodzieży, stale przychodzącej do czytelni, przypominam sobie Makarego Drohomireckiego, Edwarda Miłowicza i Karola Podgórskiego. Ile razy Drohomirecki spotkał się z Podgórskim, tak dokuczliwie a nawet brutalnie go prześladował, że z wielką przykrością na to patrzyłem i dziwiłem się cierpliwości Podgórskiego. Dziwiłem się tem bardziej, ponieważ Drohomirecki był koleżeński, uczynny i powszechnie lubiany przez młodzież. Niezrozumiałą więc była jego zawziętość na Podgórskiego. Pochodził on z Ukrainy i — o ile sobie przypominam — studjował rolnictwo w Instytucie Marymonckim pod Warszawą. W Paryżu, kiedy otwarto szkołę wojskową, zapisał się do jazdy i był jednym z najlepszych w niej jeźdźców. W powstaniu zasłynął swą odwagą i poległ śmiercią bohaterską w jednej z pierwszych bitew 12-go lutego w powiecie sieradzkim. Podgórski wyglądał jak śledź wymoczony, wychudły, wyblakły. W spojrzeniu jego było coś trwożliwego. Ustępliwość, jaką okazywał, wzbudzała ku niemu pewnego rodzaju politowanie pogardliwe. Żal mi go jednak było i kiedy zachorował, poszedłem go odwiedzić, by okazać mu swe współczucie, W późniejszym czasie, po powrocie moim z wygnania, spotkałem się z nim w jednej z lepszych restauracji w Warszawie. Był subjektem w jakimś magazynie lamp. Z rozmowy, jaką z nim miałem, i z całego jego zachowania się nie wyniosłem dobrego wrażenia. Przypomniała mi się wówczas zawziętość Drohomireckiego i pomyślałem, że może go posądzał o nieuczciwość polityczną. Edward Milowicz odbywał studja w kijowskim uniwersytecie; pochodził z zamożnej rodziny na Rusi i cieszył się wielkiem poważaniem wśród młodzieży, która wieczorami schodziła się do niego. Byłem i ja u niego parę razy. Rozumny, w sądach umiarkowany, miał w sobie coś z dyplomaty. Spotykałem go później przez czas pewien we Lwowie w 1874 r.

Przychodził też często do czytelni Józef Fricz, poeta i publicysta czeski, młody jeszcze człowiek, bardzo sympatyczny. Był on — jak się zdaje — jedynym wówczas czeskim emigrantem politycznym. Żył z Polakami i sprzyjał sprawie polskiej. Znał

dobrze naszą literaturę i wielbił polskich poetów. Opowiadał, że przetłumaczył „Irydjona", ale cenzura w Pradze nie pozwoliła tego przekładu drukować, upatrując w Heliogobalu aluzję do cesarza. Rozmowny, dowcipny, nieraz bawił swem opowiadaniem zgromadzonych w czytelni. Tak naprzykład zdawał sprawę z odczytów Duchińskiego: w pierwszym odczycie — mówił Fricz — Duchiński dowodził, że Moskale nie są Słowianami; w drugim, że są pochodzenia fińskiego; w trzecim, że są właściwie Tatarami; w czwartym, że należy ich zaliczyć do Mongołów; w piątym upatrywał w nich Żydów; a w szóstym wreszcie zwątpił, czy istnieje naród moskiewski, czy nie jest to tylko mit.

W piątki wieczorami gromadzono się u Jana Kurzyny. W Warszawie odegrał on rolę przewodnika wśród młodzieży Akademji Medycznej, został z niej wydalony przez władze rosyjskie i internowany w Lublinie, lecz stamtąd, przy pomocy spiskowców, uciekł do Paryża i, wszedłszy, jako pełnomocnik młodzieży, w stosunki z generałem Mierosławskim, stał się jego prawą ręką. Miał mieszkanie na jednem z wyższych pięter w pobliskim od Szkoły Lekarskiej domu. Składało się ono z dwóch pokoi: dość obszernego saloniku i sypialni. W saloniku, oprócz kanapy ze stołem i dziesiątka krzesełek, znajdował się koło drzwi wchodowych duży stół, na którym stały szklanki i gotujący się samowar. Każdy przychodzący dostawał szklankę herbaty. Kurzyna pozostawał w stałej komunikacji z Warszawą, więc u niego dowiadywaliśmy się o tem, co się działo w Polsce, oraz czytaliśmy przysyłane z niej odezwy i pisma ulotne.

Wkrótce po naszem przybyciu do Paryża, odbyła się uroczystość listopadowa z powodu powstania 1830 r. Zrana odbyło się nabożeństwo w kościele polskim na ulicy St. Honorè, odpowiednie kazanie wygłosił ksiądz Jełowicki, a następnie w Bibljotece Polskiej miał mowę książę Czartoryski, sędziwy już starzec. Czytał ją napisaną dużemi literami — jak to spostrzegłem zdaleka. Ostrzegał on przed ruchem powstańczym. Były w niej ustępy, obrażające generała Mierosławskiego, które jednak w druku z niej usunięto.

Wieczorem odbyła się biesiada demokratyczna. W jakiejś restauracji w obszernej sali za kilku stołami zasiadło co najmniej trzysta osób. Byli starzy emigranci i młodzi przybysze. Prezydował, za głównym stołem siedzący, poseł Ledóchowski. Po dość krótkiem jego przemówieniu zagajającem, przemawiali: Franciszek Grzymała, stały podobno mówca na wszelkich zgromadzeniach, i Seweryn Elżanowski. Mowa tego ostatniego była rozumna, ale nie robiła wielkiego wrażenia. Zapał ogarnął wszystkich dopiero wtedy, kiedy zabrał głos Józef Fricz. Samo jego akcentowanie nieco z czeska języka polskiego, którym wszakże mówił płynnie i poprawnie, wznieciło już pewien nastrój oczekiwania czegoś niezwykłego. Zadrgały silnie w sercach jego słowa, wygłaszane w szacie pięknej i z polotem poetycznym.

— Trzydzieści lat — mówił — po waszem narodowem powstaniu, Czechów nie było więcej. Zasiedli na ich grobowcu Ferdynandowie austryjaccy, pląsali po nim Niemcy, a na każdej szczelinie dla światła i powietrza leżała pieczęć jezuitów.

Raz po raz hucznymi oklaskami wyrażano swój entuzjazm. Wprawdzie, Fricz nie szczędził pochlebstw narodowi polskiemu: „dumny ty narodzie", „dzielny narodzie" — były to zwroty, któremi rozpoczynał oddzielne ustępy.

— Cierpiący, święty narodzie, — mówił ku końcowi — którego ciało na trzy części rozszarpano, pamiętaj o narodzie, którego dwie trzecie części wycięto żelazem odwiecznych naszych i waszych wrogów, — ale on znów się obudził, ocalał i, zdumiały, w ciebie utkwił wzrok oczekujący.

Wzruszenie było tak wielkie, że pozrywawszy się z miejsc, otoczono Fricza, ściskano mu ręce, całowano go. Nierychło uspokoiła się sala. Na zakończenie obchodu odczytano wiersz Antoniego Goreckiego.

Mowa Fricza wraz innemi mowami została wydrukowana w „Przeglądzie rzeczy polskich", organie młodzieży rewolucyjnej, redagowanym przez Elżanowskiego.

Przegląd ten, wydawany w Paryżu, odznaczał się tem korzystnie, że zamieszczał liczne korespondencje, dostarczane mu przez młodzież przybywającą z Polski. Brat mój, Józef, umieścił tam artykuł p. t. „Stan polskiej narodowości w Inflantach", opracowany sumiennie i napisany bardzo dobrze. Znajduje się on wydrukowany w zeszycie z dnia 29 kwietnia 1860 r. Liczne

dzienniki z zaboru pruskiego i austrjackiego powtórzyły go w całości. Józef, jak świadczy ten artykuł i jego listy, posiadał wielką zdolność pisarską i pisał poprawnie i pięknym stylem. W tym względzie o wiele mnie przewyższał. Długoletni pobyt w Moskwie wywarł swój skutek i długo musiałem pracować, ażeby się pozbyć zwrotów moskiewskich i oswobodzić styl od pęt go krępujących.

I ja, wkrótce po przybyciu do Paryża, napisałem obszerną korespondencję z Inflant i oddałem ją Elżanowskiemu. Pojawiła się ona w „Przeglądzie rzeczy polskich" w zeszycie z 15 grudnia 1860 r. Była to moja pierwsza praca drukowana. Elżanowski nie umieścił jednak całej. Opuścił dwa znaczne ustępy: historyczny i niekorzystny dla bogatej szlachty. We wstępie historycznym jako Inflantczyk rozwijałem tę myśl, że w odrodzonej Rzeczypospolitej polsko-litewsko-ruskiej powinny się znaleźć także całe Inflanty łotewskie wraz z Rygą i Mitawą. Jako ludowiec sprzyjałem rozbudzaniu się ducha narodowego u Łotyszów, Litwinów, Mazurów-pruskich, Kaszubów, Ślązaków, Rusinów; nawet, będąc jeszcze w Dorpacie, pisałem o tem w pisemku, które tam, — jak opowiadałem — wydrukowano. W czasie mego pobytu w Rydze zgromadziłem sporo wiadomości o ruchu łotewskim i umieściłem to w rzeczonej korespondencji. Z tego bądź co bądź ciekawego ustępu Elżanowski pozostawił małą tylko część. Kurzyna, kiedym mu powiedział raz w rozmowie, jakie ustępy wyrzucił Elżanowski, był tem zgorszony, a że miał coś na pieńku przeciwko niemu, niepochlebnie wyraził się o nim. Elżanowski czuł, że zawinił względem mnie i, kiedyśmy się spotkali, tłumaczył się, że rozmiary jego pisma nie pozwalały na umieszczenie całej korespondencji. Powiedziałem mu, że uczułem żal do niego nie zato, że skrócił mój artykuł lecz zato, że uczynił to bez mojej wiedzy. Dodać należy, że nie chodziło tu o jakieś honorarjum, gdyż o niem i mowy nie było i ja i Józef pisaliśmy korespondencje z myślą, że spełniamy służbę należną sprawie ogólnej. Pomimo żalu do Elżanowskiego, umieściłem jeszcze w jego „Przeglądzie": „Parę uwag Litwina" (zeszyt z 20 lutego 1861 r.) z powodu korespondencji, drukowanej w „Czasie" krakowskim, która mnie wielce była zgorszyła.

Jak już mówiłem — zbierałem materjał do napisania biografji Emilji Platerówny. Wyczerpałem wszystko, co mi się udało znaleźć w Bibljotece Polskiej. Dla przekonania się, czy niema jeszcze innych nieznanych mi źródeł, udałem się do Jana Nepomucena Janowskiego i Leonarda Chodźki, którzy — zdaniem mojem — mogli być najlepiej obeznani z piśmiennictwem emigracyjnem.

Janowski nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Sztywny, jednostronny, nietolerancyjny, zbył krótko moje pytania. Nic zgoła nie dowiedziałem się od niego. Domyślając się we mnie zwolennika Mierosławskiego, niechętnie mię traktował. Zaproponował mi wszakże kupienie u niego broszur, wydanych przez siebie.

Zupełnie innego doznałem przyjęcia u Leonarda Chodźki. I od niego, co prawda, niewiele się dowiedziałem o Platerównie. Ale nie zbył mnie tak jak Janowski. Przeciwnie, wypytywał szczegółowo: kto jestem, skąd pochodzę, co robię w Paryżu, z kim przestaję. Dowiedziawszy się, że się obracam wśród zwolenników Mierosławskiego, jął mnie zniechęcać do niego, opowiadając rozmaite niekorzystne dlań sprawy. Na wyrażone przezemnie powątpiewania i zaprzeczenia, zawołał:

— Wierz mi, rodaku, przecież Oszmiana bliższa jest Dyneburga, niż Warszawy.

Napisawszy życiorys Emilji Platerówny, odesłałem go do „Dziennika Literackiego" we Lwowie, gdzie został wydrukowany w trzech numerach. Była to pierwsza moja większa praca. Chociaż wiedziałem o jej wydrukowaniu od Józefa, który później odemnie wyjechał z Paryża, lecz na własne oczy przekonałem się dopiero po ośmiu latach, kiedy w domu Goniewskich w Lubelskiem znalazłem wśród książek „Dziennik Literacki" z 1861 r. Miał on powodzenie. Ci, co pisali później o Platerównie, czerpali prawie wyłącznie treść z mojej pracy. Zamieszkawszy w Krakowie w pierwszym dziesiątku bieżącego stulecia, przerobiłem całkowicie ten mój artykuł o Platerównie, i był on drukowany w „Bibljotece Warszawskiej", a stamtąd przedrukował go „Kurjer Literacki". Następnie uzupełniłem jeszcze nieco ten życiorys w książce p. t. „Szermierze wolności", wydanej w Krakowie w 1911 r. Jeszcze raz został on wydrukowany

w 1913 r. we Lwowie w osobnej książeczce jako praca Kazimierza Żurawskiego, wprawdzie z małemi tu i ówdzie dodatkami. Wydawca popełnił właściwie plagjat, lecz snać nie uświadomił sobie tego należycie, ponieważ przysłał mi tę książeczkę z dopisaną dedykacją, „jako przygodne uzupełnienie jednej z jego prac".

Pierwszych dni grudnia rozpoczęło się nauczanie w Szkole Wojskowej. Wykłady teoretyczne odbywały się wieczorem w sali, gdzie ławki były urządzone w sposób amfiteatralny. Musiało więc to być w Szkole Lekarskiej. Regulamin piechoty objaśniał kapitan Rudzki, teorję jazdy major Czapski. Kreślenie planów i naukę fortyfikacji objął inżynier Birgiel. Był to przyjaciel Mickiewicza, podobno bardzo zacny człowiek, lecz zależał pole nauki, i na pierwszym już wykładzie młodzi uczniowie francuskiej Szkoły Sztabu przyłapali go na kilku ważnych błędach. Był to więc pierwszy i jedyny wykład Birgiela.

Ja i Józef zapisaliśmy się do piechoty. Ćwiczenia nasze bataljonowe odbywały się także wieczorem w wielkiej hali gimnastycznej, znajdującej się w pobliżu Panteonu. Kapitan Rudzki, wprawiający nas do musztry, surowy, szorstki, nie krępował się w wyrazach, gdy trzeba było skarcić. Nieraz potężnym głosem huknął: „Błazny", spostrzegłszy ukradkowe przekroczenie dyscypliny, jak np. palenie papierosów w szeregu. Nauka szła dobrze i po kilku miesiącach wykonywaliśmy już składnie zwroty, marsze, rozwijanie i łamanie szeregów. Każdego wieczora jeden z nas po kolei komenderował, t. j. stawał obok Rudzkiego i, pod jego kierunkiem, wydawał rozkazy. Przygotowywaliśmy się na instruktorów wojskowych.

Rudzkiemu pomagał kapitan Celiński, a nadto uczył on nas robienia bronią. Uprzejmy, serdeczny, stał się naszym ulubieńcem. Po ukończeniu musztry, gromadziliśmy się koło niego, i opowiadał nam rozmaite szczegóły ciekawe z bojów 1831 r.

W bataljonie było kilkudziesięciu młodzieży. Nazwisk nie pamiętam. Przypominam sobie tylko Gostkowskiego — zdaje się — Romana. Niskiego wzrostu, żwawy, zwinny, wprawił się znakomicie do boju na bagnety. Sprawiało wielką przyjemność patrzeć na niego, jak szybko i zwinnie skakał, wywijał bagnetem, odbijał ciosy i pokonywał przeciwników, nawet starych wiarusów, wprawionych dobrze do tej broni.

Zapowiedziane były także wykłady generała Mierosławskiego, lecz rozpoczął je dopiero w styczniu i to — prawdopodobnie — w drugiej jego połowie, po powrocie swoim z Włoch. Rozpoczął był od historji kampanji rewolucyjnej 1794 r., lecz następnie, gdy doszła wiadomość o ruchu manifestacyjnym w Warszawie, przeszedł do geografji strategicznej ziem Rzeczypospolitej Polskiej. Mierosławski jako profesor odznaczał się znakomicie. Piękne, obrazowe i jasne przedstawienie rzeczy łączył z ujęciem w proste i przystępne dla każdego prawie umysłu zasadnicze zdania. Z przyjemnością i wielką korzyścią słuchaliśmy dwugodzinnego jego wykładu.

Młodzież polska zgromadziła się była już licznie w Paryżu. Niezawodnie było jej niemało i w obozie Czartoryskiego. Tej jednak nie znałem i nic o niej powiedzieć nie mogę, chociaż prawdopodobnie spotykałem się z nią w „Bibljotece Polskiej". Ogromna większość chyliła się ku Mierosławskiemu. Można powiedzieć, że wszyscy, co powstanie zbrojne uważali za nieuniknione, w mniejszym lub większym stopniu byli mierosławszczykami. Jedni, jak Adam Asnyk, który w Warszawie był członkiem, a może nawet założycielem stowarzyszenia terorystycznego pod nazwą „Piekło", uważali, że generał był za umiarkowany; drudzy, jak Marjan Sokołowski, Ludwik Kleczyński nie godzili się z jego „demagogją" — jak mówili, lecz ceniąc wysoko zdolności wojskowe Mierosławskiego, widzieli w nim najodpowiedniejszego wodza w przyszłem powstaniu. Oprócz wymienionych, z ówczesnej młodzieży w Paryżu przypominam sobie: Zygmunta Sarneckiego, Koszuckiego, braci Szaniawskich, Rościszewskiego, Rulikowskiego, Kalinowskiego, Piątkowskiego.

Zygmunt Sarnecki, znany następnie jako komedjopisarz i redaktor pism literackich, pochodził z bogatej rodziny na Rusi. Ujmującej postaci, wymowny, uprzejmy, uczynny nawet, umiał się podobać i podobał się też wszystkim. Chciał być popularnym i był nim. W Paryżu uchodził za gorącego rewolucjonistę i Mierosławszczyka. Takim go znałem. W późniejszym czasie, po powrocie moim z wygnania, okoliczności tak się zło-

żyły, że się znalazłem wśród najbliższych jego sąsiadów. Był właścicielem dużego majątku w Lubelskiem, Bychawa. Pałac jego, duży, murowany, piękny z rozległym parkiem, stanowił ozdobę przytykającego do niego miasteczka. Tamże w tym czasie jako rządca majątku mieszkał mój dobry znajomy z wygnania a nawet przyjaciel, Stefan Kowerski, który właśnie ściągnął mnie z Warszawy w Lubelskie. W nieodległem sąsiedztwie Bychawy od Goniewskich posłyszałem wcale niepochlebną opinję o Sarneckim. W czasach demonstracyj bywał u nich często i występował jako czerwony demokrata. Kiedy się wszczęło powstanie, znikł i nic o nim słychać nie było. Po rozbiciu powstańców, znów się pojawił, lecz u dawnych swych sąsiadów nie bywał, natomiast utrzymywał przyjazne stosunki z dygnitarzami rosyjskimi. Żonaty był z Niesiołowską — jeżeli mię pamięć nie myli co do nazwiska — która z ogromnym posagiem przyniosła jeszcze większe pańskości. Kowerski opowiadał o śmiesznych wybrykach pychy, jaką była nadęta. Sarnecki podobno żartował z jej pychy, ale i ona zdołała okiełznać jego gonienie za popularnością. Kowerski, którego Sarnecki wielce poważał i któremu okazywał dużo życzliwości, sądził że w gruncie nie był to zły człowiek, ale słabego charakteru i mało ugrutowanych przekonań. Po śmierci żony, odzyskał swobodę uganiania się za popularnością, pisał komedje, które podobno ogromnie go dużo kosztowały, gdyż potrzebne aktorkom suknie balowe sprawiał własnym kosztem. Majątek wysuwał się z jego rąk. Później wydawał pismo, które też miało go dużo kosztować. Ku końcowi podobno gonił już ostatkami. Byłem w Lubelskiem za czasów jeszcze świetności pałacowej Sarneckiego. Razu pewnego przyjechał on w jakimś interesie do Koźmianowej, w której domu byłem nauczycielem jej syna. Nie chcąc narzucać się mu z dawną znajomością, wyszedłem do ogrodu. Ale on sam, wiedząc od Kowerskiego o moim pobycie u Koźmianowej, zapytał ją o mnie i wyraził chęć zobaczenia się ze mną. Przywitaliśmy się jako dawni znajomi i przypominaliśmy sobie nasze paryskie stosunki.

Rościszewskiego spotkałem na ulicy w Warszawie, kiedym wracał z Paryża. Przystąpił do mnie i zaczął mówić, że nie demokracjami trzeba walczyć z Moskwą, lecz jąć się na serjo pracy

spiskowej i przygotować się należycie do orężnych zapasów. Przyznam się, ścierpła na mnie skóra. Znajomość moja bowiem z Rościszewskim była — że tak powiedzieć — czapkowa. Spotykaliśmy się tu i ówdzie, witaliśmy się, — i tyle tylko. Niewątpliwie mówił, co myślał. Wziął udział w powstaniu i stracił w niem rękę. W następnych latach spotykaliśmy się czasem we Lwowie, — gdzie on był zamieszkał, — na zgromadzeniu Towarzystwa Przyrodniczego imienia Kopernika.

W ostatnim miesiącu mego pobytu w Paryżu wywiązały się bliższe stosunki pomiędzy mną i Rulikowskim — imienia jego sobie nie przypominam. Wracając ze zgromadzeń, rozprawialiśmy o naszych sprawach krajowych i pod wielu względami byliśmy zgodni z sobą. Raz wracając z Batignolles, zaprosił mnie na obiad do restauracji w Palais Royal a następnie do Teatru Francuskiego, znajdującego się w tymże Palais Royal. Pochodził z majętnej rodziny w Królestwie i nie odmawiał sobie stołecznych przyjemności. Zaproszenie jego przyjąłem.

Mówiąc o znajomych, wspomnę też o poznanych wychodźcach ze starszego pokolenia.

Zapewne w sprawie szkoły wojskowej byłem u generała Wysockiego. Słabował on wówczas i przyjął mnie, leżąc w łóżku. Wyniosłem bardzo miłe wrażenie, ujęła mnie jego dobroć, która była pięknym rysem jego charakteru. Podobne wrażenie wywarł na mnie i Żeligowski, autor „Jordana"; miał on szczególnie miły i dźwięczny głos.

W Bibljotece Polskiej poznałem kilku wychodźców, najwięcej się jednak zbliżyłem z młodym naczelnikiem ruchu rewolucyjnego z 1846 czy też 1848 r., Wiśniowskim, który był pomocnikiem bibljotekarza. Często wychodziliśmy razem z bibljoteki i znaczną część drogi odbywaliśmy wspólnie. Ja szedłem do Bibljoteki Panteońskiej, a on mieszkał na ulicy Cardinal Lemoine. Raz zaprosił mnie do siebie na obiadek emigrancki. Po drodze wstąpił do sąsiedniej mleczarni i zabrał pozostawioną w niej flaszkę, napełnioną już mlekiem; w sąsiedniej rzeźni wziął kawał mięsa a w sklepiku miarkę gotowanych ziemiaków. Przyszedłszy do domu, przyrządził kluseczki z mąki, którą miał u siebie w schowku, i ugotował w mleku na maszynce. Szybko też usmażył na maszynce dwa befsztyki, zupełnie już

przyrządzone u rzeźnika, z cebulką i kartoflami. Wszystko to odbyło się w krótkim przeciągu czasu i mieliśmy obiadek wcale smaczny i pożywny, a wcale niedrogi — jak dodawał Wiśniowski. W r. 1889, kiedym z Szwajcarji przeniósł się na mieszkanie do Paryża, zastałem go na tem samem stanowisku w Bibljotece Polskiej. Zawdzięczam mu wiele, bo pozwalał mi swobodnie grzebać się w katalogach i w książkach i wydobywać rozmaite, często ukryte i niewymieniane, ważne źródła do historji emigracji. Ożenił się był z Francuską i miał córkę, z zawodu nauczycielkę, lecz w rodzinie — jak opowiadał Bartkowski — nie zaznawał szczęścia; pomiatano nim jako cudzoziemcem, a nadto nie umiejącym zabiegać o swoje korzyści. Umarł — o ile sobie przypominam w 1893 r. — pochowano go w Montmorency na uprzywilejowanym polskim cmentarzu.

Na początku 1861 r. przyjechał do Paryża Konrad Iwański. Ucieszył się niezmiernie, znajdując mnie w tem mieście, służyłem mu bowiem w pewnym względzie za przewodnika, obznajomionego już z niem dostatecznie. Zamieszkał w jednym z pensjonatów i tam obiadował. Raz zjadłem tam obiad. Obiad skromny, lecz dostateczny, kosztował franka, to jest prawie dwa razy tyle, co mnie kosztował w upatrzonej przez Józefa gargotce, wprawdzie smaczniejszy i pożywniejszy.

Zwiedziwszy rozmaite instytucje, zakłady, muzea, najbardziej zasługujące na uwagę, umówiliśmy się z Iwańskim, aby poświęcić jeden dzień Batignollom, poznać tam szkołę i złożyć swój hołd i szacunek mieszkającym tam poetom, Bohdanowi Zaleskiemu i Sewerynowi Goszczyńskiemu.

Szkoła polska, subsydjowana hojnie przez rząd cesarski Napoleona III-go, mieściła się w dużym własnym gmachu na bulwarze Batignollskim. Kiedy po wojnie francusko-niemieckiej w 1870 i 1871 r. subsydja znacznie zmniejszono, musiano ten dom sprzedać a kupić o wiele mniejszy na ulicy Lamande.

Szkoła polska w owym czasie, kiedyśmy ją zwiedzali, stała u szczytu swego rozwoju. Co najmniej liczono w niej stu uczniów. Wśród synów, zrodzonych na emigracji, znajdowała się też pewna liczba przysłanych z kraju, przeważnie z Poznańskiego. Opiekunem i orędownikiem szkoły był Seweryn Gałęzowski, wychodźca 1831 r., który praktyką lekarską w Stanach

Zjednoczonych północnej Ameryki dorobił się ogromnego majątku. Przyjął nas bardzo uprzejmie i polecił pokazać nam we wszystkich szczegółach zaprowadzone gospodarstwo w szkole, gdyż była ona równocześnie i internatem. Następnie, gdyśmy przyszli pożegnać go, wypytywał o usposobienie, panujące w krajach polskich. Gdym chwalił gorliwość patrjotyczną duchowieństwa naszego, spostrzegłem, że nie podzielał mego zapału, chociaż bardzo delikatnie dawał to poznać. Wyszliśmy ze szkoły pod wpływem bardzo dobrego wrażenia, jakie na nas sprawiła. Później spotkałem się z Gałęzowskim jeszcze raz we Lwowie i doznałem nawet pewnej przykrości z powodu niego. Było to po wojnie francusko-niemieckiej w 1871 r. Należałem podówczas do redakcji „Dziennika Polskiego", Gałęzowski, który przyjechał do Lwowa, starać się o fundusze dla szkoły Batignollskiej, przyszedł do redakcji mego dziennika i zastał tylko mnie samego. Dając mu żądane wyjaśnienia, powiedziałem, że i w administracji naszego dziennika znajdowały się składki na szkołę, jak to czytałem w ogłoszonych pokwitowaniach. Ówczesnemu jednak administratorowi wielce to się nie podobało i wymawiał mi, że się mieszam nie do swoich spraw. Ostro odrzekłem mu na to, że się nie spodziewałem, ażeby się dopuszczano szachrajstw ze składkami.

Goszczyński i Zaleski okazali zadowolenie z naszego przybycia. Zaleski wdał się w dłuższą rozmowę o stosunkach w kraju i na uchodźtwie. Podczas rozmowy wpadł do pokoju mały jego synek i, mówiąc do ojca, do swej polszczyzny wtrącił parę słów francuskich.

— To już nasze takie nieszczęście — zauważył Zaleski — że, pomimo naszych starań, dzieci ulegają francuszczyźnie i zanieczyszcza im ona mowę ojczystą.

Dowiedziawszy się, że Mierosławski wrócił z Włoch i ma być w piątek wieczorem u Kurzyny, namówiłem Konrada, by razem ze mną tam poszedł. Spodziewałem się, że pod wpływem słów Mierosławskiego, ustanie jego wahanie się i że przechyli się ostatecznie do obozu powstańczego. Młodzież zbiegła się licznie i zapełniła salonik Kurzyny do takiego stopnia, że w ścisku poruszać się było trudno. Wchodzącego generała witaliśmy z entuzjazmem. Podziękował nam w kilku słowach, opowie-

dział pokrótce o swojej misji we Włoszech i, zasiadłszy na kanapie, rozpoczął z jakimś starym emigrantem pogawędkę żartobliwą o miłostkach generała Milbitza. Byłem zgorszony tą rozmową wobec młodzieży, która oczekiwała czego innego, a Konrad utwierdził się w swem niechętnem dla Mierosławskiego mniemaniu, jakie o nim był powziął z opowiadania młodych czartoryszczaków.

A jednak Mierosławski, gdy chciał, elektryzował słuchaczy. Przekonałem się o tem innego piątku u Kurzyny. Przyprowadził on wówczas z sobą posła poznańskiego, Aleksandra Guttrego. Wszedł blady, ze ściągniętemi brwiami, z podniesionem czołem, widocznie czemś mocno dotknięty. Powitawszy licznie zgromadzoną młodzież i przedstawiwszy jej Guttrego, oparł się o stół i, uderzywszy całą siłą pięści, zaczął mówić, W ogólnym zarysie przemówienie jego brzmiało mniejwięcej w następujących słowach:

— Była u mnie dzisiaj deputacja z Królestwa Polskiego od tych panów, których nazwiska gęsto się roją w księgach bankierów wszystkich stolic Europy, ale daremnie ich szukać w wielkiej księdze ofiar i poświęceń dla sprawy wydobycia ojczyzny z jarzma niewoli. Śmiała ona wystąpić z potępieniem naszych przygotowań powstańczych. Miała odwagę czynić mnie wyrzuty, że gotuję klęskę nową dla kraju, podburzając was, młodzi towarzysze broni, przeciwko ciemiężcom; że podżegam was do nienawiści, następstwem czego będzie rzeź waszych matek i sióstr, przelew krwi waszych ojców, zniszczenie ich mienia i dorobku. Dałem tym posłom niewolnictwa odprawę, na jaką zasługiwali. Nie pokażą się u mnie więcej ci tchórze, co śmią mówić o nas jako o podpalaczach i mordercach.

W całej postaci Mierosławskiego zaszła zmiana, a gdy zabrzmiał głos jego, doznaliśmy wszyscy silnego wstrząśnięcia, jakby przebiegł po ciałach naszych prąd elektryczny. Widziałem, jak błysnęły oczy u wszystkich, jak się zaciskały pięści. Zapał nasz rósł, bo wstawał przed nami prawdziwy wódz, o jakim marzyliśmy. Potęga jego mowy sprawiała silne wrażenie. Zrozumiałem wówczas, że podczas jego publicznego przemówienia w 1889 r. na sądzie w Berlinie, Niemki mogły rzewnie płakać, chociaż przemawiał obcym dla nich językiem; sam wy-

raz jego twarzy, gesty, brzmienie głosu oddziaływały już dostatecznie na serca.

Odwiedziliśmy też Karola Różyckiego. Pojechaliśmy w tym celu pewnej niedzieli we trzech, Iwański, Józef i ja. Różycki mieszkał na Batignollach. Kiedy weszliśmy do jego mieszkania, zastaliśmy pełno osób w dość obszernej sali. Było to przed południem. W kilku rzędach krzeseł siedziały przeważnie kobiety, mężczyźni po większej części stali za krzesłami. Oprócz Polaków, byli też Francuzi, Włosi, Rumuni. Na podniesieniu przed krzesłami stał Różycki, jakby mistrz, kapłan, i przemawiał po francusku. Gdy skończył, niełatwo było dostać się do niego, tak otoczony był ze wszystkich stron. Zaledwieśmy mogli się przedstawić; rozrywany, co najwięcej kilka słów zamienił z nami. Lecz i nas otoczono jako nieznanych przybyszów. Zadawano pytania, a następnie każdego ktoś ujął pod ramię i rozpoczął propagandę towianizmu. Mną zajął się jakiś szlachcic z Litwy w średnim wieku i z dobrym brzuszkiem. Dowiedziawszy się, że chodzę do szkoły wojskowej, i że bywam u Kurzyny, zaczął wymyślać na Mierosławskiego, na demokratów, na wszelkie przejawy dążeń do powstania. Rozgniewał mnie swojem gadaniem i musiałem, wbrew swemu nawyknieniu, coś niegrzecznego mu powiedzieć, ponieważ urwał swoją propagandę i oddalił się odemnie. Do Józefa przylgnął jakiś blady i wychudzony młodzieniec. Nie widząc skutku swej propagandy, prosił o specjalną w tym celu schadzkę. Józef poszedł w naznaczonym czasie i wrócił późno i zły.

— Takiego fanatyka nie spotkałem jeszcze — mówi — rozstaliśmy się jak najgorzej, przeklął mnie na odchodnem.

Różyckiemu przypatrywałem się tylko z daleka· Sprawiał miłe wrażenie: piękny mężczyzna, wysokiego wzrostu, dość młodo jeszcze wyglądający, miał postawę żołnierską i ruchy poważne.

Jednego z towiańczyków, bardzo sympatycznego, poznałem później przypadkowo. Kiedy razu pewnego, podczas obiadu, siedzieliśmy w kilku w naszej zwykłej gargotce, ja, Józef, Teodor Wrzeszcz i jeszcze ktoś inny i głośno rozprawialiśmy o polityce, zbliżył się do nas człowiek już niemłody, dość ubogo ubrany, ostrzegając, że jako Polak mimowolnym jest słuchaczem

tego, co mówimy. Dowiedziawszy się od niego, że był wychodźcą z 1831 r., wymieniliśmy mu swoje nazwiska i prosiliśmy, by przyłączył się do naszej biesiady. Był to Ignacy Klukowski z uniwersytetu wileńskiego, brał czynny udział w powstaniu powiatu oszmiańskiego i następnie opisał je w książce zbiorowej, wydanej przez Feliksa Wrotnowskiego p. t. „Powstanie na Litwie i Rusi". Uwielbiając Mickiewicza, za jego przykładem zaciągnął się do szeregu wyznawców nauki Towiańskiego. Kiedy jednak, po wstąpieniu Aleksandra II-go na tron carski, ogłosili ci wyznawcy w liście do cara, że nie są jego wrogami, albowiem niewola Polski nastąpiła z woli Boga, a w nim widzą wybrańca Bożego, odłączył się od nich. Mając jego adres, odwiedziłem go pewnej niedzieli przed południem. Mieszkał skromnie, zarabiał na chleb jako robotnik. Z dłuższej z nim rozmowy wyniosłem o towianiźmie lepsze wyobrażenie, aniżeli miałem poprzednio. Towianizm rozniecał w swych wyznawcach uczucie braterstwa w wysokim stopniu i to stanowiło jego szczytną i piękną stronę.

Byłem też z Józefem u znanego bajkopisarza, Antoniego Góreckiego. Znajdował się on w domu zdrowia na przedmieściu Saint-Denis. Jakkolwiek chory nie leżał w łóżku i był całkowicie ubrany. Zastaliśmy go w towarzystwie jakiegoś emigranta. Rzeźki i rozmowny przyjął nas bardzo uprzejmie, wypytywał o Litwę, Inflanty; sam opowiadał nam rozmaite szczegóły z powstania 1831 r. i odczytał niektóre ze swoich utworów. Okazywał wielkie zadowolenie, żeśmy go odwiedzili.

Mówiąc o poznanych osobach w Paryżu, wypada mi jeszcze wspomnieć o Januarym Filipowiczu, od którego doznałem wielkiej i nieusprawiedliwionej przykrości. Pochodził on z Wilna, brał czynny udział w życiu literackiem, ułożył jeden z największych podówczas elementarzy polskich i razem z innymi układał słownik polski, tak zwany wileński. Przybył do Paryża prawie w tym samym czasie, co i my, czy w charakterze wychodźcy politycznego, czy też dla kuracji, był bowiem obłożnie chory, nie wiem. Odwiedzali go młodzi przybysze z kraju i w tym celu był wyznaczony jeden z wieczorów w tygodniu. Wprowadzony do niego, zachodziłem tam od czasu do czasu. Żona jego, cicha istota, ugaszczała przybyłych herbatą,

a ponieważ zawsze tam kogoś można było zastać i dowiedzieć się czegoś o kraju, wieczór upływał w przyjemnej pogawędce. Raz zeszła rozmowa na Klaczkę. Wypowiadano niekorzystne o nim zdania. Stanąłem w jego obronie, przypominając, że przecież niektóre jego artykuły miały dobrą dążność, i w liczbie tych artykułów wymieniłem ostrą krytykę głośnego wówczas Albumu Wileńskiego, złożonego przez literatów w hołdzie Aleksandrowi Drugiemu. Filipowicz w tonie rozdrażnionym odezwał się do mnie:

— To nie jest artykuł Klaczki.

— Wprawdzie, czytałem ten artykuł w odpisie, bez wymienienia nazwiska autora, lecz mówiono, że wyszedł z pod pióra Klaczki.

— Powiadam panu, że nie jest to artykuł Klaczki.

— Być może — odrzekłem.

— Nie być może, lecz tak jest, — zawołał gniewnie — i wypraszam sobie bywanie u mnie.

Zmieszany tym niespodziewanym i dotkliwym dla mnie wybuchem gniewu, nie rzekłem ani słowa, bo i cóżbym miał obłożnie choremu powiedzieć. W milczeniu wstałem, ukłoniłem mu się, ucałowałem rękę jego żony i wyszedłem. Dowiedziałem się dopiero po tej scenie, że autorem odpowiedzi literatów wileńskich na Album hołdowniczy był właśnie sam Filipowicz.

Miłowicz, obecny przy tym gniewnym wybuchu ze zgorszeniem o tem mówił, gdym go widział później; a żona Filipowicza, którą spotkałem na ulicy w kilka dni po owej scenie, zatrzymała mnie i przepraszała za swego męża, tłumacząc go chorobliwem rozdrażnieniem nerwów.

Jak już mówiłem — dni powszednie miałem całkowicie zajęte i nie potrzebowałem przesiadywać w domu. W niedzielę i w święta, wobec pozamykanych bibljotek i sal wykładowych, trzeba było inaczej się urządzić. Postanowiłem więc w te dni świąteczne zwiedzać kościoły, muzea, wystawy, wreszcie odbywać wędrówkę w coraz inne części miasta. Wychodziłem z mieszkania jak zawsze na cały dzień. Rozpoczynałem od któregokolwiek kościoła. Nietylko ciekawość mię tam prowadziła, lecz i uczucie religijne, Zostawałem na mszy i na kazaniu. Zwłaszcza z przyjemnością słuchałem kazań, wygłaszanych wy-

mownie i rozumnie przez młodego księdza w Panteonie. Po mszy, szedłem na śniadanie, czyli obiad po naszemu, a po obiedzie do Luwru. Tam zostawałem, dopóki nie zaczęto wydalać publiczności, co następowało z zapadaniem zmroku. Zwiedziłem wszystkie sale, lecz szczególnie rozpatrywałem się pilnie w obrazach. Chciałem koniecznie podnieść swoje wykształcenie estetyczne, którego brak odczuwałem bardzo. Lubiłem patrzeć na obrazy, ale w ich ocenie szedłem li tylko za uczuciem. To, co się podobało, było dla mnie pięknem. Dlaczego? Tego sobie wytłumaczyć nie mogłem. Nieraz te obrazy, które krytyka estetyczna wysoko ceniła, mnie się nie podobały. Z licznych mistrzów malarstwa w Luwrze dwaj najwięcej przemawiali do mego uczucia: Murillo i Guido Reni. Pilne i długie rozpatrywanie się w obrazach wywierało swój skutek, zacząłem w nich wyróżniać pewne dodatnie strony, które poprzednio nie zwracały wcale mojej uwagi. Wyszedłszy z Luwru, skierowywałem się w nieznaną mi jeszcze stronę Paryża i, umęczywszy się dobrze w błąkaniu się i rozpatrywaniu po ulicach, wstępowałem do jakiejś taniej restauracji, by się posilić jadłem, wypić czarną kawę lub szklankę wina. Wreszcie wieczory najczęściej przepędzałem w Czytelni Polskiej, czasami w kościele, kilka razy byłem w gościnie u naszej konsjerżki, a kilka też razy w teatrach. Byłem dwa razy w Odeonie na komedjach Moljera. „Jaskółka“ tego teatru, na której miałem miejsce, nie zalecała się ani czystością, ani powietrzem i „jaskółka“ lwowska, na której często przesiadywałem później, o wiele była lepsza. Na przedstawieniu komedji: „Malade imaginaire“, w jednej ze scen pojawił się długi łańcuch niosących lewatywy: na czele szedł wysoki mężczyzna, następnie aktorzy coraz niższego wzrostu, a na samym końcu mały chłopaczek. Procesja ta ze sceny wpadła na parter, przesuwała się pomiędzy krzesła, nawiedzała loże. Ucieszona publiczność śmiała się do rozpuku. Podobno takie pojawienie się lewatyw na scenie i przesuwanie się ich wśród widzów pozostało tradycyjnem od czasu Moljera. Nie mając zajęcia podczas świąt Bożego Narodzenia i nie mając pieniędzy na zabawy, włócząc się po ulicach tej tłumnej, gwarnej, rozbawionej stolicy, odczuwałem silnie swoje osamotnienie. Rwało się serce ku stronom ojczystym, ku jakiejś pracy czynnej dla

dobra swego społeczeństwa. Wstawały urocze w pamięci dni mego gospodarowania w Podgórzu.

Od czasu uroczystości listopadowej, kiedy młoda inteligencja nawiązała stosunki z ludnością rzemieślniczą, ulica w Warszawie nabierała coraz większego znaczenia w ruchu narodowym. Przejawiało się to w obchodach kościelnych, w napastowaniu złośliwych policjantów i szpiegów, w pojawianiu się odezw ulotnych. Mieliśmy o tem szczegółowe wiadomości, a odezwy uliczne nadsyłano także do Kurzyny. Wytworzyło to oczekiwanie czegoś niezwykłego. Wreszcie dzienniki krajowe, „Czas“ krakowski i „Dziennik Poznański“, zapowiadały jakąś ważną manifestację w rocznicę bitwy Grochowskiej — 25-go lutego.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy, co też ten dzień przyniesie. Zanim gazety nadeszły, telegraf już obwieścił o krwawych zajściach. Zakotłowało wśród młodzieży. Zbiegliśmy się gromadnie do maneżu, w którym odbywaliśmy ćwiczenia bataljonowe, i uchwaliliśmy wracać do kraju sformowani w oddział wojskowy. Dowództwo nad nami miał objąć ukochany nasz instruktor, kapitan Celiński. Zamiar ten, powzięty pod wpływem pierwszego wrażenia, okazał się niemożliwym do uskutecznienia, a przytem nadchodzące wiadomości wyjaśniły, że ta manifestacja spowodowała przelew krwi, lecz nie był to wcale — jak sądziliśmy — wybuch zbrojnego powstania.

Krwawe zajścia w Warszawie wywołały wielkie wrażenie w Paryżu. Dzienniki paryskie — rzec można wszystkie potępiały gwałty, dokonywane przez władze moskiewskie i uznawały słuszność naszych żądań narodowych. Cała Francja oświadczyła się za nami. Rządy cesarskie okazywały wielką życzliwość dla Polaków, przyznając im nieraz przysługujące tylko krajowcom prawa. Generała Chrzanowskiego, zmarłego w marcu, chowano z honorami wojskowemi; na pogrzeb przybyli wyżsi generałowie i dygnitarze francuscy. Duchowieństwo francuskie przemawiało głośno z ambon za Polską. Na żałobnem nabożeństwie za ofiary zabite w Warszawie, które odbyło się w kościele Ś-tej Magdaleny, wśród przepełniającej kościół publiczności znajdowała się liczna arystokracja francuska, narodowa i wojskowa. Słynny w tym czasie kaznodzieja, ks. Deguerry, miał piękne i rozczulające kazanie. Jak opowiadano —

na tacę zbiórki dla rodzin krwawych ofiar sypały się hojne dary. Na ulicach odczuwaliśmy współczucie ludu, który nas poznawał po srebrnych orzełkach u czapek i kapeluszy. Kilka razy doświadczyłem tego na sobie. Włosi przejawiali nam także wielką życzliwość. Raz, przechodząc ulicą Cardinal Lemoine, wstąpiłem do estaminetu, aby coś wypić, — sprzedająca tam Włoszka, poznawszy po orzełku, żem Polak, nie wzięła zapłaty i ugościła mnie dobrem winem, przepijając do mnie za pomyślność sprawy polskiej.

Gorąco uczuwaliśmy chęć wzięcia osobistego udziału w ruchu narodowym. Wszyscy podpisywaliśmy adres, który Towarzystwo Rolnicze w Warszawie miało przedstawić rządowi carskiemu w Petersburgu. Wieści, nadchodzące z kraju, zachęcały nas do powrotu. W drugiej połowie marca garstka młodzieży, pochodzącej z Litwy, zgromadziwszy się, uchwaliła wrócić do kraju, pościągać zewsząd jaknajliczniej młodzież do Wilna na dzień Św. Jerzego, zorganizować liczny zjazd w tem mieście i urządzić tam wielką manifestację. Z pomiędzy Litwinów, co powzięli tę uchwałę, przypominam sobie tylko dwóch: Kalinowskiego, dobrego chłopaczka, syna dyrektora gimnazjum czy też instytutu w Wilnie i Piątkowskiego. Kalinowskiego widziałem po przybyciu do Wilna, lecz nie należał on do bardzo czynnych. Piątkowski wcale nie przybył. Podobno przed przejazdem granicy stchórzył i zniszczył wszystkie kartki, które był się zobowiązał doręczyć wskazanym osobom.

Przed samym wyjazdem z Paryża, ja i Józef wyjednaliśmy audjencję u generała Mierosławskiego. Nie zbudowała mnie ona. Pozbawiło ją charakteru poważnego gawędziarstwo, właściwa generałowi wada. Obecny przytem Kurzyna pilnował go, by się nie wygadał z tem, o czem milczeć należało. Wskazówki, jakie nam dawał Mierosławski, streszczały się przeważnie w tem, ażeby łudzić i straszyć szlachtę. O wojnie ludowej, o której głosił z mównic, w rozmowie z nami niemal zapomniał, i myśmy musieli mu ją przypominać. Wreszcie dano nam sporo litografowanych programów agitacyjnych, które — mojem zdaniem — nie miały żadnego ważniejszego znaczenia.

Zanim opuszczę Paryż, dodam kilka słów o jego zewnętrznym wyglądzie. W tym czasie odbywała się wielka przebudo-

wa miasta. Po prawej stronie Sekwany było ona już w znacznej części ukończona i miasto do dalszych granic posunięte, po lewej stronie roboty w pełnym toku: wytykano i przebudowywano dzisiejszy bulwar St. Germain, co się uwidaczniało w ogromnych płachtach płóciennych, rozpostartych na tych miejscach, gdzie miały stanąć nowe kamienice. Na płachtach zapowiadano olbrzymiemi literami przyszłe magazyny, mające być otwarte. Łaciński kwartał pozostawał jeszcze prawie nietknięty i pełno było tam wąskich uliczek, w których można było rozmawiać, stojąc, z mieszkańcami przeciwległych domów.

Czytając powieści francuskie, jak np. „Tajemnice Paryża“ Eugenjusza Sue, miałem wyobrażenie o wielkiem niebezpieczeństwie chodzenia nocną porą po ulicach tego miasta. Przekonałem się jednak, że była to przesadna obawa. Dość często wracałem, kiedy bramy domów były już pozamykane, i jeżeli zdarzały się zaczepki, to od spóźnionych prostytutek. Raz poszedłem ku rogatkom za Bramą Tryumfalną na balik, o którym śpiewka powiada:

Les messieurs étudiants s'en vont aux barrières,
Pour danser le cancan avec les cuisinières.

Z zapałem na nim tańczono, a wśród grup tańczących stał żandarm w kapeluszu trójgraniastym i poskramiał tancerki, gdy która z nich za wysoko wyrzucała nogi do góry. Otóż, wracając z tego baliku dobrze już po północy, przechodziłem sam po wybrzeżu Sekwany zupełnie bezludnem i nic mi się złego nie wydarzyło.

Po nieszczęśliwej wojnie 1870 r., po klęsce Sedańskiej, przedstawiano w powieściach czasy cesarstwa w czarnych kolorach. I znowu wielka przesada. Podczas mego pobytu w Paryżu, cesarstwo — rzec można — było u szczytu swej potęgi. Wojna o wolność narodu włoskiego zdobyła mu wielką popularność, a przytem cesarz zdawał się poddawać prądowi liberalnemu, który się wzmagał w całej Francji. Policja w tych czasach była mniej brutalna, więcej ludzka, aniżeli później w republice. Byłem świadkiem kilku zajść z policją, w których okazywała znaczną wyrozumiałość, co przyzwyczajeni do brutalności moskiewskiej mogliśmy tem bardziej ocenić. Tak patrzyłem kiedyś w ogro-

dzie Tuileryjskim na walkę policji z chłopcami ulicznymi. Spadł śnieg i chłopcy bawili się, obrzucając się wzajemnie śnieżkami. Kiedy przechodził oddział policyjny, zaczęto nań ciskać śniegiem. Zamiast gonić pojedyńczo za chłopcami, policja rozwinąwszy się półkolem, wyciskała ich z ogrodu. Pocieszny był to widok. Chłopcy rozbiegali się i nie przestawali ciskać śnieżkami, które nieraz temu i owemu z policjantów trafiały w twarz, zalepiając oczy i usta. I nie widziałem, by gniewnie się rzucali z tego powodu, lecz spokojnie, krokiem miarowym, zdążali ku bramie zacieśniając półkole i wyciskając w ten sposób chłopców z ogrodu.

Co prawda, mając wówczas kult dla Francji i Francuzów, patrzyliśmy na wszystko w świetle różowem. Zwłaszcza Józef, który przebywał znacznie dłużej ode mnie w Paryżu, wiele trafnych spostrzeżeń porobił co do życia i usposobienia ludu paryskiego. Wszakże i to, co widziałem, pokazywało wysoki poziom cywilizacji tego narodu. Zachowanie się Francuzów względem kobiet i dzieci o wiele było przykładniejsze, aniżeli u nas, jak o tem rychło przekonałem się. Nawet uliczne połajanki miały formę łagodniejszą, bardziej wygładzoną. U furmanów, gdy sobie w czem zawadzili na ulicy, zwykłym był okrzyk: „méchant que tu es“, a już najgorzej, jeżeli jeden na drugiego krzyknął „imbécile“.

ROZDZIAŁ VI

POWRÓT DO KRAJU

(Kwiecień 1861)

Wyjechałem z Paryża w ostatnich dniach marca. Józef pozostał jeszcze na kilka dni celem załatwienia interesów. Wracałem tą samą drogą, którą poprzednio jechałem do Paryża i nigdzie nie zatrzymywałem się. Z drogi wysłałem dwie krótkie korespondencje: jedną do „Dziennika Poznańskiego“, a drugą do „Czasu“ w Krakowie, przygotowując umysły do zamierzonej manifestacji w Wilnie. Z wrażeń po drodze przypominam sobie tylko, że jakiś Niemiec, jadący w tym samym przedziale co i ja, dowiedziawszy się, żem Polak, wyśpiewywał piosenki na cześć naszego narodu i przejawiał dla nas życzliwość.

W Berlinie, z powodu połączeń kolejowych musiałem jechać z jednego końca miasta na drugi i czekać z jakie pięć czy sześć godzin na odejście pociągu. Zjadłem nieszczególny obiad, za który kazano mi dobrze zapłacić, piłem po raz pierwszy owsiane piwo, które mi wcale nie smakowało, a gdy dodam jeszcze gburowatość pruską, która tak się różniła od ugrzecznienia francuskiego — to wszystko to usposobiło mnie niechętnie względem Berlina.

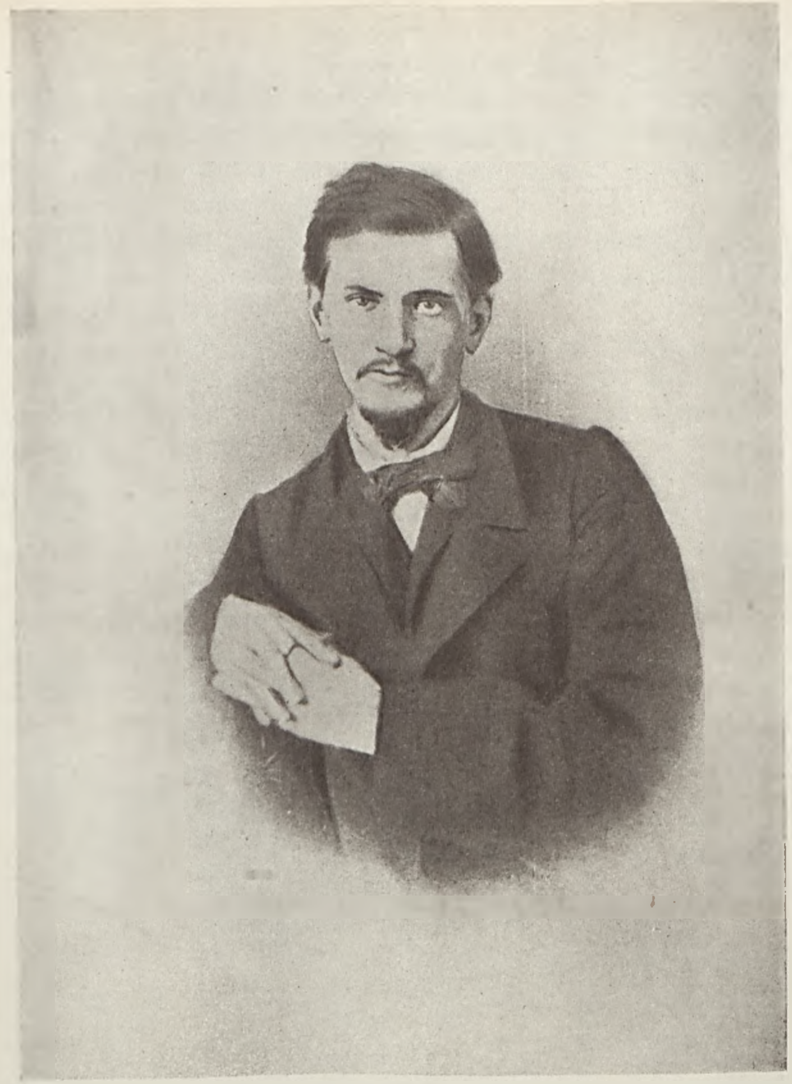
Mając być w Warszawie, nie pojechałem krótszą drogą, lecz skierowałem się na Wrocław, chcąc w ten sposób poznać większy szmat ojczystego kraju.

Jadąc przez Śląsk, siedziałem wciąż przy okienku i przypatrywałem się krajobrazowi, wskrzeszając w pamięci dawne dzieje tego kraju. Przejeżdżając koło Lignicy, uprzytomniłem sobie olbrzymią zasługę, jaką w trzynastym stuleciu (1241 r.) oddało Europie polsko-śląskie rycerstwo, wstrzymując groźną nawalę Mongołów. Wszędzie usiłowałem dopatrzyć się śladów istnienia prawowitej od wieków ludności tego kraju.

We Wrocławiu zabawiłem parę dni. Znalazłem tam dwóch Dorpatczyków: Seliga i Jodkę, słynnego później okulistę w Warszawie. Tego ostatniego nie znałem. Umknął on był z Dorpatu — jak opowiadałem — jeszcze przed moim przyjazdem do tego miasta, z powodu pojedynku. Obaj przyjęli mnie prawdziwie po koleżeńsku. Dopomagali do poznania Wrocławia, zwiedziłem więc wszystko, co szczególnie było ważnego. Pozostawali w stosunku konspiracyjnym z Warszawą i z Paryżem. Radzili mi więc, abym skrzyneczkę z książkami i broszurami, zakazanemi w zaborze rosyjskim, zostawił u nich, a oni wyślą ją drogą konspiracyjną podług danego przezemnie adresu. Zrobiłem tak, jak radzili; zabrałem z sobą tylko kilka potrzebnych mi książek. Pozostawiona skrzyneczka z książkami nie doszła do Podgórza. Dowiedziałem się o tem prawie po dziesięciu latach. Dlaczego się tak stało, nic powiedzieć nie mogę, gdyż w maju zostałem już uwięziony, a następnie zesłany na północ Rosji.

We Wrocławiu dowiedziałem się, że bez wizy rosyjskiej na paszporcie nie wpuszczą mnie do państwa austrjackiego. W ambasadzie paryskiej wystawiono mi wizę przez państwo pruskie. Ażeby uzyskać wizę do Austrji, trzebaby było wysłać paszport do poselstwa rosyjskiego w Berlinie i czekać na nią jaki tydzień albo więcej. Mnie zaś spieszyło się, a przytem finanse moje nie pozwalały na długie pozostawanie w drodze. Postanowiłem więc spróbować szczęścia.

Przyjechawszy do nadgranicznego miasteczka, Mysłowic, późno wieczorem, zanocowałem w jednym z tańszych lokalów. Na drugi dzień zrana, wychodząc po kawie z sali jadalnej, spotkałem gospodarza i prosiłem go, by wstąpił do mego numeru dla uregulowania rachunku. Zapłaciwszy mu należność, zapyta-



Karol Minakowski
Archangielsk 1866 r.



Stefan Kowerski
1863 r.

łem go obcesowo, czy nie mógłby mi ułatwić przejścia granicy austrjackiej.

— Widzisz, pan — mówiłem, pokazując mu paszport — że jadę legalnie, lecz nie wiedziałem o tem, że dla wjazdu do państwa austrjackiego potrzebna jest osobna wiza, tymczasem nie mogę bez szkody dla moich interesów, czekać aż taka wiza zostanie mi przesłana z Berlina.

— Dla czego mi pan wczoraj o tem nie powiedział? Teraz nie wiem, czy zastanę tego, któryby mógł pana przeprowadzić. Zaraz idę do niego.

Istotnie, może w godzinę po tej rozmowie, przyszedł gospodarz razem z przewodnikiem. Umówiliśmy się, ile mam zapłacić przewodnikowi i jak mam się tłumaczyć na wypadek spotkania ze strażą graniczną.

— Mów pan — powiedziano mnie — że jesteś kupcem, żeś wysłał towary do Krakowa, żeś zaspał pociąg poranny, a na późniejszy czekać nie możesz, ze względu na ważne interesy.

Wyruszyliśmy w drogę. Przewodnik wziął mój tłómoczek, ja zaś miałem na sobie torbę, w której było nieco bielizny, a na samym wierzchu położyłem „Złoty ołtarzyk do nabożeństwa", ażeby, w razie spotkania strażnika, wiedział, żem dobry katolik. Dzień był prześliczny, wiosenny. Szliśmy torem kolejowym, mając z obu stron rozpościerające się daleko piękne okolice. Po niejakim czasie, przewodnik rzekł:

— Zejdźmy teraz z toru, bośmy za bardzo na widoku.

Zeszliśmy z toru na dół i weszliśmy szybko do lasu. Szliśmy wśród gęsto porosłych drzew, naraz przewodnik powiedział:

— Idźmy na drogę, bo strażnik nas dostrzegł:

Istotnie na drodze stał zwrócony w naszą stronę strażnik ze strzelbą na ramieniu. Widocznie znał się z przewodnikiem. Stosownie do danej mi rady, wyrecytowałem, com miał powiedzieć. Strażnik zapytał, co niosę w torbie. Otworzyłem ją i ku mojemu zdumieniu i przestrachowi wyciągnął od razy „Kurs sztuki wojskowej" generała Wysockiego. Obejrzał książkę, nic nie powiedział i włożył ją napowrót do torby. Przewodnik mój coś przebąknął, a wtedy strażnik, pozostawiwszy nas na drodze, poszedł dalej. Myśmy znowu szybko zapuścili się w gęstwinę drzew i krzaków i w krótkim czasie przyszliśmy do ja-

kiejś osady, znajdującej się już w państwie austryjackiem. Przewodnik zaprowadził mnie do żyda szynkarza i oddał mnie pod jego opiekę. Żyd nieco się drożył.

— Nu, to rzecz niebezpieczna — mówił — mnie mają już w podejrzeniu. Przed kilku dniami robiono u mnie rewizję, połamano nawet podłogę, szukając gweru (broni).

Zapewniłem go, że nie mam nic wspólnego ani z gwerem, ani z żadną polityką, że jestem zwykłym kupcem. Napiliśmy się wódki wszyscy trzej i żyd się uspokoił.

— Nu, — rzekł do mnie — w każdym razie niech pan nie wsiada tu na kolej, financwachy mogą zażądać pasu. Lepiej niech pan wynajmie furę do Chrzanowa, a tam wsiądzie na kolej.

Przystałem na to i poszliśmy razem do włościanina, z którym miałem się umówić co do dalszej jazdy. Włościanin się zgodził i poszedł zaprzęgać konia. Wygłodzony przez drogę, a było już po południu, zapytałem gospodyni, czy nie miałaby czegoś do zjedzenia. Przyniosła miskę mleka kwaśnego i ziemiaki do tego. Pierwszy to raz wówczas jadłem mleko kwaśne z ziemiakami. Samo mleko kwaśne jadałem często z upodobaniem i poprzednio, ale z chlebem. Kamila wprawdzie zwykle dawała na wieczerzę: mleko i kartofle, ale oddzielnie. Naprzód mleko z chlebem, a później smażone na maśle kartofle.

Po drodze do Chrzanowa rozmawiałem z chłopem o rozmaitych sprawach, lecz byłem ostrożny i raczej słuchałem, niż wypytywałem. Mówiąc o przyjezdnych, opowiedział mi, że pojawił się był szpieg, ale dostał się w ręce policji.

— No to i dobrze się stało — rzekłem.

— Ale to był szpieg od cesarza francuskiego — zauważył włościanin.

— Szkoda więc, żeście go wydali policji.

— Myśmy go też nie wydawali, to strażnicy sami go zabrali.

Zauważyłem, że o cesarzu francuskim zaczęło się już gadanie w Polsce. Przekonałem się o tem w Krakowie i Królestwie Kongresowem.

Do Krakowa przyjechałem późno wieczorem. Zatrzymałem się w hotelu na Kleparzu, ponieważ — jak mi mówiono — najtańsze tam były hotele. Istotnie, ceny były bardzo umiarkowane, hotel nie był żydowski, więc miałem dobrą kolację i czystą pościel. Właścicielka hotelu głośno się oświadczała z uczuciami polskiemi i wymyślała na księdza — coś mi się plącze w głowie, że nazywał się Kogutkiewicz — wzywał bowiem z ambony parafian, by nie brali udziału w buntowniczych manifestacjach.

Na drugi dzień poszedłem z rana do Demidowicza, do którego mnie z Paryża czy też z Wrocławia skierowano. Zaprosił on mnie do siebie na wieczór, a tymczasem dał mi bilet do jakiegoś pana, nazwisko którego, niestety ulotniło się z mojej pamięci, a od którego doznałem serdecznego i gościnnego przyjęcia. Był to kawaler nie pierwszej młodości, niskiego wzrostu, żywego temperamentu. Przyjął mnie bardzo przyjaźnie. Zaprowadził do restauracji, ugościł smacznym obiadem, a następnie przekazał jakiemuś akademikowi, aby oprowadził mnie po Krakowie i pokazał w nim, co było godnego widzenia. Wieczorem byłem u Demidowicza. Zastałem oprócz gospodarzy jeszcze kilka osób na herbacie. Wypytywano się mnie o Paryż, o emigrację, o zamiary Napoleona. Sama pani odnosiła się z uwielbieniem do młodzieży warszawskiej z powodu ostatnich wypadków, jakie zaszły w Warszawie.

Następnego dnia chodziłem wraz z poznanym akademikiem na kopiec Kościuszki. Dzień był piękny, słoneczny. Akademik opowiadał o młodzieży krakowskiej, o manifestacjach, jakie się odbyły w Krakowie. Na Kopcu Kościuszkowskim, z którego się otworzył śliczny widok na całą okolicę, przewodnik wskazywał mi rozmaite miejscowości, wymieniając ich nazwy, oraz rysujące się w dali szczyty Tatr. Po powrocie do miasta, szliśmy obaj, jak to było umówiono do naszego gościnnego patrona,a on zabrał nas ze sobą na obiad do restauracji, w której zwykle jadał.

Jakkolwiek ówczesne rządy austrjackie były nienawistne, to wszakże w Krakowie większa stosunkowo istniała swoboda, aniżeli w zaborze rosyjskim. Cenzura była łagodniejsza. Zakupiłem więc nieco broszur o sprawie polskiej, z zamiarem przewiezienia ich przez granicę. Ażeby to uczynić, odprułem w moim paltocie podszewskę i ponad watą przymocowałem je wraz z gazetami, opisującemi szczegółowo ostatnie wypadki w Warszawie. Uczyniłem to przy pomocy igły i nitek, a następnie pod-

szewkę przyszyłem na nowo. W Krakowie noszono w tym czasie dość powszechnie konfederatki, i ja kupiłem jedną z tańszych z futerkiem z psa — „sobaczem" — jak się wyraził pułkownik Moskal w Kownie. Nosiłem ją w Krakowie, lecz wyjeżdżając do Kongresówki, schowałem i dopiero ponownie chodzić w niej począłem w Warszawie.

Podczas pobytu w Wrocławiu część złota francuskiego, które miałem przy sobie, zamieniłem na banknoty austrjackie, podówczas nader niską mające wartość. Zamiana ta okazała się dla mnie wielce korzystna i pobyt w Krakowie o wiele mniej mię kosztował, aniżeli to przewidywałem.

Wogóle z Krakowa wywiozłem miłe wspomnienie. Piękna pogoda, doznana gościnność, pamiątki narodowe, hoże krakowianki, na ulicach i Plantach napotykane, — wszystko to ułożyło się w obraz, mający w sobie coś rodzimego i pełen wdzięku.

Na granicy austrjacko-rosyjskiej pociąg się zatrzymał. Żandarmi poodbierali paszporty i zaprowadzili do sali, gdzie się odbywała rewizja rzeczy. Wyjeżdżając z Krakowa, chcąc zachować listy, otrzymane od matki i Lucjana, obwinąłem je silnie ręcznikiem i wsunąłem do brudnej bielizny. Nie zawierały zresztą nic takiego, coby mogło kompromitować przed rządem. Odbywający rewizję celnik, wyciągnął ten wałek i szybko rozwijać go począł, lecz ku mojemu wielkiemu zdumieniu równie szybko zwinął go z powrotem i wetknął do bielizny. Wydało mi się, że uczynił to na mrugnięcie urzędnika, nadzorującego rewidujących celników. I w samej rzeczy mogło tak być, ponieważ — jak się dowiedziałem później — pomiędzy urzędnikami na granicy byli i tacy, którzy należeli do związku konspiracyjnego. W walizce były jeszcze dwie książki, które zabrano. Wiedziałem, że są cenzuralne i jedną z nich niemiecką, „Historja Inflant — Ruttenberga", — kupiłem był jeszcze w Dorpacie. Drugą książką była rozprawa Thiersa o własności. Po rewizji, zatrzymano nas jeszcze w sali, aż do wydania paszportów. Oddając paszport, żandarm wezwał mnie do kancelarji. Poszedłem pełen lęku, że ulegnę rewizji osobistej, a miałem powód do tej obawy. Podczas jazdy bowiem niektóre broszury i gazety oberwały się i, opadłszy ku dołowi paltota, utworzyły

w nim dość widoczny wałek, który nadomiar złego szeleścił nieco przy chodzeniu. Nie o rewizję wszakże chodziło, zażądano jedynie, ażebym złożył kwotę pieniężną, potrzebną na odesłanie zebranych u mnie książek do cenzury w Warszawie. Odmówiłem stanowczo.

— Mam tyle tylko pieniędzy — tłumaczyłem — ile wystarczyć może na przyjazd do domu. Nadto cenzura tych książek jest zbyteczna. Dzieło Ruttenberga dotyczy dawnych dziejów, a przytem kupiłem ją w Dorpacie, więc przeszła już cenzurę. Co do Thiersa, to przecież napisał on tę rozprawę w obronie własności przeciwko zwolennikom rewolucji.

Czyniono mi przedstawienia, że mogę mieć słuszność, lecz oni muszą stosować się do formalnego nakazu w tych sprawach. Pozostałem głuchy na wszystko i wychodziłem już z kancelarji, kiedy dopędził mię jeden z urzędników i, oddając książki, powiedział:

— Schowaj je pan, chcemy uniknąć i dla siebie i dla pana kłopotów z cenzurą.

Podziękowałem dość ozięble i poszliśmy razem do restauracji. Nie jestem zbyt pewny swej pamięci, lecz coś majaczy w mej głowie, że był to Kamieński z Dorpatu, o którym już wspominałem, albo też jakiś jego krewny. Wypytywał mię bowiem o Dorpat, o Paryż, a następnie, jako patrjota polski, wspomniał o nadziejach, jakie powszechnie pokładano w cesarzu Napoleonie. Zajście z książkami i wypytywania jego wzbudziły we mnie podejrzliwość. Truchlałem przy tem, że może usłyszeć szelest papierów, ukrytych w paltocie, chociaż starałem się tak stawiać kroki, by jak najmniej się poruszać. Gdyśmy przyszli do sali restauracyjnej, towarzyszący mi urzędnik zaproponował by wypić z nim wódkę. Zbliżywszy się do bufetu, poprosiłem o wódkę. Sprzedająca postawiła dwa kieliszki i, nalawszy do jednego chciała nalewać i do drugiego, Powstrzymałem ją, mówiąc, że nie piję. Zachowanie się moje dotknęło urzędnika; oddalił się, nie pożegnawszy się ze mną. Później trapiły mnie wyrzuty. Może niesłusznie skrzywdziłem człowieka? Myśl, że mnie szpiegował, nie opuszczała mnie jednak, i zdawało mi się, że widziałem go podczas dalszej podróży wysiadającego na jednej ze stacyj.

Jechałem do Częstochowy koleją w czwartej klasie. Nie miała ona ani dachu, ani ścian, były tylko ławki do siedzenia. Dzień był pogodny i ciepły, więc taka jazda sprawiała nawet przyjemność. Tylko dym i iskry lecące z komina dokuczały nieco; ucierpiał nawet mój paltot, gdyż jedna z iskier wypaliła w nim sporą dziurę. Siedziałem na ławce obok jakiegoś Czecha; on mówił do mnie po czesku, a ja do niego po polsku, ale rozumieliśmy się dobrze.

Mając zamiar zwiedzić klasztor Jasnogórski, wsławiony obroną Kordeckiego od Szwedów, zatrzymałem się w Częstochowie. Mogło być wówczas koło 3-ej godziny po południu. Posiliwszy się nieco w zajeździe, gdziem zamówił sobie stancję, udałem się pieszo do klasztoru, który się znajdował w pewnej odległości od miasta. Wzdłuż drogi liczne stały budki ze szkaplerzami, krzyżykami, medaljonikami, obrazkami, książeczkami itd. Kupiłem też nieco krzyżyków i medaljoników na podarki, gdy wrócę do domu. W kościele nagromadziło się sporo ludu i wkrótce rozpoczęły się nieszpory. Odkryto obraz Matki Boskiej, ale nie uczułem tego wzruszenia, jakiegom doznał w Wilnie. Starałem się jednak wzbudzić w sobie nastrój religijny wspomnieniami przeszłości i gorliwą modlitwą.

Gdym wrócił do zajazdu, noc już zapadła. Jadłem kolację w ogólnej sali. gdzie przy stołach siedziało sporo młodych szlachciców z okolicy, jak tego łatwo domyśleć się można było z ich rozmowy. Stała przed nimi dość długa falanga flaszek z winem, gwarnie i wesoło przechwalali się swem powodzeniem w polowaniu na zwierzynę leśną i dziewczęcą. Zjadłszy kolację, poszedłem spać. Ocknąwszy się w nocy, słyszałem jeszcze śmiechy i gwarne głosy w sali restauracyjnej, tym razem towarzyszyły im także głosy kobiece. A więc Częstochowa — pomyślałem sobie — nie jest tylko miejscem modłów i nabożeństwa.

Do Warszawy przyjechałem jeszcze za dnia. Obawa moja co do rewizji okazała się płonną. Na dworcu było pełno żandarmów, ale widocznie ostatnie wypadki i na nich oddziałały. W całem mieście przejawiało się radosne wyczekiwanie czegoś niezwykłego. Głośno rozprawiano o wypadkach politycznych. Po drodze już słyszałem opowiadania o ucieczce Muchanowa

z Warszawy i o kociej muzyce, jaką mu wyprawiano na wszystkich stacjach kolejowych.

Zajechałem do hotelu na Dziekance. Jak mi mówiono, były tam tanie zajazdy, chociaż przekonałem się, że skoro mi policzono oddzielnie za wszystko: za pościel, świece i td., to wyszło niemal tyle, co kosztował tani numer w Hotelu Europejskim, gdzie opłata była ryczałtowa. Wówczas Dziekankę oddzielał jeszcze cały szereg domów od Krakowskiego Przedmieścia, obecnie w skwer zamieniony. Bawiłem w Warszawie przeszło półtora tygodnia, oczekując przyjazdu Józefa.

Na drugi dzień — o ile sobie przypominam, była to sobota przed niedzielą Wielkanocną — poszedłem na Chmielną ulicę do Karola Majewskiego, mając do niego polecenie i z Paryża i z Wrocławia. Byłem u niego dwukrotnie. Z rozmowy, jaką z nim odbyłem, sprawił na mnie dobre wrażenie. Miał on w tym czasie dużo zajęcia. Pierwszego bowiem dnia świąt Wielkanocnych arystokracja i bogata burżuazja urządzała u siebie święcone dla rzemieślników, lecz właściwymi gospodarzami mieli być akademicy, a właśnie Majewski był organizatorem głównym w ich wyborze i w ich rozmieszczeniu. Prosił mnie, więc, bym po szczegółowsze wiadomości przyszedł do niego po świętach. Zostawiłem u niego swój adres dla Józefa, który miał także zgłosić się do niego. Przy drugiem widzeniu się z Majewskim, opowiadał on o patrjotycznem usposobieniu rzemieślników, o przemówieniach świadomością narodową nacechowanych, jakie wygłaszali podczas przyjęć na święconem, oraz o zmianie, zachodzącej w poglądach szlachty folwarcznej.

— Dawniej — powiadał — szlachta nie pozwalała sobie mówić o zbrojnem powstaniu, teraz słucha i nie gorszy się nawet.

Niewesoło minął dla mnie pierwszy dzień świąt Wielkanocnych Jadłodajnie i restauracje były zamknięte i zaledwie zdołałem w jednej dostać befsztyk. Kawiarnie i cukiernie były także wszędzie zamknięte. Gwar na ulicach, po których się włóczyłem, jeszcze dotkliwiej dawał mi odczuć samotność. Wróciłem więc do zajazdu i ułożyłem się spać.

Nie mając w mieście znajomych, czas mój dzieliłem pomiędzy zwiedzanie kościołów i przesiadywanie w kawiarni, gdzie czytałem wszystkie gazety. Wieczorem szedłem do Resury Kupiec-

kiej, gdzie Wydział Miejski odbywał swe posiedzenia. Tam był wstęp wolny dla wszystkich, tam można było się dowiedzieć o najnowszych wypadkach. Zgromadzało się więc w resursie dużo ludzi i odbywał się — rzec by można — ustawiczny wiec publiczny.

Zamierzając nadsyłać korespondencje, oczywiście bezpłatne, bo o honorarjum wówczas wcale nie myślałem, poszedłem pewnego poranku z wizytą do Kraszewskigo, jako redaktora „Gazety Polskiej", która w tym czasie przyjęła nazwę zamiast dawnej: „*Gązeta Codzienna*". Było to także ustępstwo, zrobione przez rząd narodowi. Dla Kraszewskiego miałem wielką cześć. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że przez matkę zachodziły z nim pewne związki rodzinne. Wypytując się o jego adres, dowiedziałem się, że ma kamienicę na placu S-go Aleksandra. Przybywszy na ten plac, wstąpiłem do najbliższego sklepu i poprosiłem, aby mi wskazano, gdzie mieszka powieściopisarz Kraszewski.

— Nie wiemy — odpowiedziano.

— Jakto? — zawołałem — przecież on ma swój dom na tym placu.

— Ach, to ten Kraszewski — odezwał się jeden ze sklepowych i wskazał mi poszukiwaną kamienicę.

Kraszewski przyjął mnie bardzo uprzejmie. Rozmawialiśmy dość długo, może z jakie pół godziny. Chętnie przyjął moją propozycję.

— Niech pan głównie pisze — mówił — o przebiegu kwestji włościańskiej w jego stronach. Jest to dla nas dzisiaj najważniejsza sprawa.

Jedną tylko wysłałem korespondencję, a i to nie wiem, czy była drukowana, albowiem po jej wysłaniu rychło mię uwięziono a następnie zesłano na północ Rosji. W korespondencji tej zdawałem sprawę z jakiejś broszury niemieckiej, którą prawdopodobnie kupiłem w Dorpacie, i która dotyczyła kwestji łotewskiej Kiedym przyjechał do Warszawy, w mieście panował spokój. Policja usunęła się z widoku. Salcesoni — nie wiem, dlaczego ludność wzgardliwie tak nazywała policjantów — pokazywali się rzadko. Porządek w mieście utrzymywała straż narodowa, złożona z młodzieży szkolnej. W tym czasie, kiedy byłem w Warszawie, czyniono pewne ustępstwa narodowi i Wielopolski został powołany do rządów. Polityka jego autorytatywna odrazu wzbudziła niepokój i znowu rozpoczęły się przejawy manifestacyjne. Młodzież napędzała publiczność do noszenia żałoby, nawoływała do brania udziału w urządzanych manifestacjach. Gdym szedł kiedyś Krakowskiem Przedmieściem, jakiś młodzieniec obwiązał mi ramię czarną krepą, chociaż miałem już klapy tużurka obszyte białą tasiemką. O ile przypominam sobie, w przewodnią niedzielę odbył się wielotysięczny pochód na grób pięciu poległych. Szli wszyscy szeregami, porządek utrzymywała młodzież szkolna, odznaczona przepaskami. Policji wcale nie było.

Drobnych manifestacji, które od poniedziałku przewodniego się rozpoczęły, oczywista nie pamiętam, ani ich daty, ani nawet ich miejsca. Spis ich można znaleźć w dzienniczku Radomińskiego, wydanym w Szwajcarji. Z tych manifestacyj dwie tylko zapamiętałem: na Krakowskiem Przedmieściu przed statuą Matki Boskiej i pod Kościołem księży Reformatów na ulicy Senatorskiej. Ta ostatnia szczególnie utkwiła w pamięci. Na modły nieszporne zgromadziło się dużo ludu, i cała znaczna przestrzeń od sztachet do kościoła wypełniła się klęczącymi. Ku końcowi nabożeństwa poczęto śpiewać: „Boże coś Polskę". Wtem rozległ się krzyk, że wojsko nadchodzi. Powstał popłoch, ogarnięci panicznym strachem wszyscy rzucili się ku bramie, cisnąć się, potrącając wywracając wzajemnie; szczególnie małym dzieciom, których było sporo, groziło to wielkiem niebezpieczeństwem. Wówczas wstąpił we mnie animusz, co później nawet mnie samego dziwiło, i głosem rozkazującym, wraz z kilku innemi osobami, krzyknąłem z całej mocy: „klękać i modlić się". Podziałało to, tłum ukląkł ponownie. Trwoga okazała się fałszywa. Była to albo fałszywa prowokacja, albo swawolny wybryk jakiegoś głupca, który mógł dużo nieszczęścia spowodować.

Po przyjeździe Józefa, wynająwszy furę żydowską dnia 7 kwietnia ruszyliśmy w dalszą drogę. Kiedyśmy po południu przejeżdżali Krakowskiem Przedmieściem, widzieliśmy tam liczne tłumy zgromadzonego ludu. Była to manifestacja, która poprzedziła inną, krwawą w dniu 8 kwietnia, i z tego powodu zapamiętałem tę datę.

Po drodze zdarzyła się katastrofa. Wśród krzyku ocknąłem się

na ziemi w zupełnej ciemności. Okazało się, że fura się wywróciła i wszycy wylecieliśmy do rowu. Widocznie, pospaliśmy się wszyscy i furman nasz także zasnął. Na szczęście nic nikomu się nie stało. Rów był płytki i tylko trochę wilgotny.

Przenocowaliśmy w Ostrołęce, jechaliśmy już tylko we dwóch. Nie dojeżdżając do Augustowa, posłyszeliśmy śpiewy i wkrótce spostrzegliśmy manewrujące wojsko. Furman przezornie odjechał dość daleko od drogi i wrócił na nią dopiero wtedy, gdy żołnierze już przeszli. Moskwa sprowadzała wojsko do Warszawy.

Przez Niemien przeprawiliśmy się czółnem do Kowna, gdzie nadspodziewanie na brzegu zatrzymali nas celnicy i odbyli rewizję. Józef stawiał się hardo i wymyślał na celników. Ja milcząco na żądanie otworzyłem swój tłumok, a rewidującemu wsunąłem monetę do ręki. Józef to spostrzegł i oburzyło go to. Gdyśmy poszli dalej, zwymyślał mię srodze, nazwał tchórzem, dokuczył boleśnie. Przy całej swej zacności, w gniewie miał złośliwą zjadliwość.

— Wiesz co — odezwałem się wzburzony — gdybyś nie był moim bratem, tobym...

— Nie uważaj mnie za brata — odrzekł — i cobyś?

Zamilkłem i obaj zachmurzeni szliśmy jednak razem w poszukiwaniu taniej gospody. We mnie wszystko wrzało. Nie pierwszy to raz powstawał pomiędzy nami naprężony stosunek. Lecz dotąd Józef uważał się za obrażonego, chociaż z mojej strony żadnej nie bywało chęci wyrządzenia mu jakiejś obrazy, i dziwiłem się, że jakiś błahy dowcip, żart doprowadzał go do wybuchu gniewu. Teraz rozmyślnie uderzał w to, co wiedział, że mnie boli. Kipiałem z gniewu i kto wie, czy nie doszłoby do ponownych zajść i niepożądanych następstw, gdyby nie interwencja moskiewska. Jakiś generał czy pułkownik moskiewski, widząc nas idących w konfederatkach, co stało się już zwykłą sprawą w Kongresówce, lecz w Kownie było jeszcze nowością, obrzucił moją konfederatkę nazwą psiej (sobaczaja), i przywoławszy policjanta, kazał mu wyśledzić: kto jesteśmy, co robimy — i spisać nasze nazwiska. Tylko co rozłożyliśmy się w wynajętej stancyjce, kiedy pojawił się policjant wraz z gospodarzem. Policjant był Polakiem i z widoczną dla nas życzliwością radził, celem uniknięcia przykrości, co prędzej wyjechać z miasta. Najwięcej jednak wystraszył się gospodarz hoteliku Żyd. Błagał nas, abyśmy natychmiast opuścili jego gospodę. Józef, który nie miał żadnego interesu w Kownie, wyjechał tegoż dnia na Żmudź do Ignacego Trzaskowskiego. Ja zaś miałem polecenie do Bulikowskiego i do Korzona. Obaj byli z uniwersytetu moskiewskiego. Bulikowskiego znałem już w Moskwie, Korzona miałem dopiero teraz poznać osobiście. Bulikowski walczył następnie w powstaniu 1863 r. i został — jak mi opowiadano — strasznie pokaleczony. Korzon był nauczycielem w gimnazjum kowieńskiem. Parę razy byłem u niego, a nawet pożyczyłem u niego 10 rubli, gdyż tak się wyczerpałem z pieniędzy, że nie starczyło na dalszą drogę. Dług ten uregulowałem dopiero po dziesięciu latach w Warszawie.

Gdym przyjechał do Grywki, przedmieścia Dyneburga, kra na Dźwinie płynęła tak gęsto, że przewoźnicy nie odważali się przewozić. Kilku podróżnych, którym było bardzo spieszno, uprosiło jednego z nich, że się zgodził na przewóz. I ja przyłączyłem się do nich. Nasz przewodnik, tęgi chłop, parę razy ledwie uniknął wywrotu, naciskany przez ogromne bryły kry lodowej. Przeprawa trwała długo. Z jednej i z drugiej strony rzeki stały tłumy ludzi, przypatrujące się ciekawie naszej przeprawie. Dopomagano przewodnikowi ostrzegającemi krzykami, a gdy się zbliżał do brzegu, rzucono mu do czółna koniec długiego sznura.

Z Dyneburga do Krasławia jechałem pocztą z oficerem artylerji, Dowgiałło. Człowiek poważny, rozumny i dobry Polak, o ile wyrozumieć mogłem z rozmowy. W 1863 r. należał do organizacji powstańczej — jak mi to opowiadał na wygnaniu jeden z jego podkomendnych szeregowców.

W Podgórzu zastałem Lucjana w złym humorze. Zostawał w domu, chociaż przypadły w tym czasie święta Wielkanocne. Ogołocony przez nas z pieniędzy, nie zapraszał nikogo do siebie i sam też nigdzie nie wyjeżdżał. Święconego nie urządzał. Przyniesiono nam jednak prosię upieczone, jakąś babkę, wędlinę, ser, chleb, masło, samowar, i przy żywej pogawędce sprzątnęliśmy wszystko z wielkim apetytem. Na drugi dzień pojechaliśmy do matki na święcone. Zastaliśmy tam lekarza, wezwanego z Drui do dziecka dzierżawczyni, przypadkowo oparzonego wrzącą wodą. Lekarz staruszek — z wileńskiego jeszcze uniwersytetu — o-

powiadał z lubością o dawnych uniwersyteckich swych czasach. Słuchaliśmy go ciekawie. Robili oni swoje, lecz i my przygotowywaliśmy się do roboty.

ROZDZIAŁ VII

MANIFESTACJA W WILNIE

(Maj — sierpień 1861)

Po kilku dniach pobytu w Podgórzu, pojechałem do Dorpatu, by ściągnąć stamtąd młodzież do Wilna na umówiony w Paryżu termin. Do Dyneburga jechałem czółnem, do Pskowa dyliżansem, dalej wynajętym od chłopa wozem przez Izborsk do granicy Inflant; tam zanocowałem u zamożnego chłopa Estończyka, który się zajmował furmaństwem i ten zawiózł mnie do Dorpatu. Bawiłem tam kilka dni. Odbyło się kilka zgromadzeń. Były nader burzliwe. Najbardziej popierali mię Litwini, chociaż — jak się pokazało później — oprócz dwóch, Benedykta Dybowskiego i Orzeski, — nie przybyli na zapowiedziany zjazd. Najzawziętszymi przeciwnikami okazali się teolodzy z Królestwa. Niektórzy wprost z nienawistną zawziętością występowali przeciwko. Najgorliwiej popierali projekt wileński Majewski i Dybowski. Ten ostatni wrócił już po moim przyjeździe z Wrocławia, gdzie uzyskał był stopień doktora nauk lekarskich, do Dorpatu, ażeby ten stopień uprawomocnić w państwie rosyjskiem. Po zdaniu egzaminów, przygotowywał wymaganą dysertację. Poznałem go dopiero podczas tego pobytu w Dorpacie. Zbliżeni w przekonaniach politycznych, weszliśmy w przyjazny stosunek ze sobą i gdym odjeżdżał, odprowadził mnie aż do pierwszej stacji pocztowej za Dorpatem. Zdziwiło więc mnie niezmiernie, że w cytowanej książeczce swych wspomnień — nie mam jej i tytułu dokładnie sobie nie przypominam — opowiada, że myśl zjazdu w Wilnie przywiózł do Dorpatu Pawiński, znany historyk późniejszy z Petersburga; o mnie zaś wcale nie wspomina. Czyżby to wynikło z osłabienia pamięci?

Wróciwszy do Podgórza, zastałem tam Józefa i Bolesława

Maternę. Wyruszyliśmy w czwórkę do Wilna. Na jednej ze stacyj pocztowych spotkaliśmy Balzera, ucznia szkoły sztuk pięknych w Warszawie, wiezionego przez żandarmów na wygnanie. W Wilnie zatrzymaliśmy się na ulicy Wielkiej w domu Müllera. Dano nam duży pokój z oknami wychodzącemi na okolicę.

Zaraz na drugi dzień weszliśmy w stosunek z osobami, poleconemi nam, za ich pośrednictwem i z innemi, na które można było liczyć. Mając już pewną liczbę przychylnych naszemu zamiarowi osób, zaprosiliśmy je na zgromadzenie, by ostatecznie porozumieć się w tym przedmiocie. Zgromadziło się ze trzydzieści osób. Jak już wspominałem, byli obecni Dybowski i Orzeszko, było także kilku z uniwersytetów: petersburskiego, moskiewskiego i kijowskiego, a prócz tego przyszły i inne osoby, wprowadzone przez znanych nam uczestników. Jakób Gieysztor w swoich „Pamiętnikach" pisze, że był także na tem zgromadzeniu. Być może, chociaż mam w tym względzie wątpliwość, którą powoduje to, co autor „Pamiętników" o tem zgromadzeniu opowiada. Ja i Józef przedstawiliśmy zgromadzonym zamiar manifestacji, powzięty w Paryżu przez młodzież litewską. Wykazywaliśmy konieczność jawnego okazania, że Litwa chce solidarnie podzielić wspólne z Polską losy i że wspólnie z nią walczyć będzie o wolność. Dybowski gorąco nas popierał. Odezwały się i głosy przeciwne. — Jesteśmy — mówiono — także za wspólnością z Polską, ale przez ujawnienie tego dzisiaj zaszkodzilibyśmy wielce rozpoczętej pracy nad polepszeniem warunków naszego bytu, a zwłaszcza pożądanemu, a z naszym interesem zgodnemu ukończeniu sprawy włościańskiej. — Przytem wyszło na jaw, że istniały już na Litwie tajne związki, mające na celu oswobodzenie z pod jarzma moskiewskiego.

Zbijając poglądy i argumenty naszych przeciwników, dowodziliśmy, że ujawnienie prawdziwych uczuć nietylko nie zaszkodzi podjętym pracom, lecz stanie się podniecającym i przyspieszającym je środkom. Nasze rozumowanie przemogło i, z wyjątkiem kilku osób, wszyscy obecni oświadczyli się za urządzeniem manifestacji. Wówczas Konrad Chmielewski, który najbardziej się opierał projektowi manifestacji, powstał i podając nam rękę, rzekł:

— Opierałem się, ile mogłem, lecz skoro większość oświadczyła się za manifestacją i ona ma się odbyć, możecie liczyć i na mnie, pójdę z wami:

Postanowiono, że manifestacja odbędzie się w katedrze w dniu 8-go (20-go podług nowego kalendarza) maja, t. j. w dniu patrona katedry i zarazem patrona Polski, Ś-go Stanisława. Tego dnia zwykle nader licznie zjeżdżano się z całej okolicy. Wybrano komitet, który miał się zająć przygotowaniem manifestacji i doprowadzeniem jej do skutku. Mnie wybrano niemal jednogłośnie, weszli także do komitetu — o ile przypominam sobie — brat mój Józef i Dybowski.

Nie chwaląc się, ze wszystkich komitetowych rozwinąłem największą czynność. Nadspodziewanie odkryłem w sobie zdolność agitacji i organizowania. Ażeby zebrać potrzebną na wydatki manifestacyjne kwotę pieniężną i zapewnić sobie pomoc w mieście, upatrywałem wśród młodzieży organizatorów i polecałem im tworzyć kółka dziesiątkowe. Robota poszła żwawo. Do organizacji chętnie wstępowała młodzież kancelaryjna i szkolna. Ważną pomoc w tym względzie okazywało kilku młodych ludzi, którzy już przedtem należeli do różnych tajnych związków i zapoznali się nawet z więzieniem w cytadeli. Po tygodniu było już jakieś dziesięć kółek dziesiętkowych, co rano przychodzili dziesiętnicy dla zdania sprawy ze swej czynności i otrzymania poleceń. Wnoszono też drobne sumy pieniężne.

Niejaki A. Bielecki ogłosił zbiór dokumentów, które dotyczyły zaszłych na Litwie wypadków od 1856 do 1861 r. Książki tej nie mogłem dostać, lecz Wanda Dalecka umieściła sprawozdaniem w lwowskiem piśmie: „Na ziemi naszej" w 1910 r. (NN. 13 i 15). Jest tam taki ustęp: „Znajdują się kilkakrotne donosy o Bolesławie Limanowskim, byłym akademiku dorpackiego uniwersytetu, który świeżo przed wypadkami 1861 roku przybywa do Wilna z bratem Józefem. W mieszkaniu ich schodzą się akademicy i inna młodzież, rozprawiając o biedach ostatnich dni. W ich kółku powstaje pierwsza myśl odśpiewania buntowniczego hymnu w kościele katedralnym. W donosie tym znajdujemy całe grono młodzieży uniwersyteckiej; wśród niej spotykamy imię Benedykta Dybowskiego, kończącego właśnie studja w Dorpacie i gotującego się do dysertacji na stopień doktora". Nic tu jednak nie wspomina się o zawiązaniu w mieście organizacji i jej

rozszerzeniu. I w samej rzeczy w komisji śledczej, która nas badała, bardzo skąpe posiadano wiadomości o naszej agitacji.

Manifestacja, którą przygotowaliśmy, miała polegać na odśpiewaniu hymnu: „Boże coś Polskę“ w kościele katedralnym. W tym celu trzeba było zapewnić sobie kogoś, coby ten hymn zagrał na organach. Podjął się tego Adolf Hryniewiecki. Dybowski w swoich wspomnieniach wymienia Zelwerowicza, jakoby to on grał na organach. Tymczasem jestem pewny, że był to Hryniewiecki. Słyszałem to od mego brata, Lucjana, który odkomenderowany na organy, dopilnowywał tam należytego przebiegu manifestacji. Pozatem z Hryniewieckim, którego zesłano na wygnanie do Penzy, pozostawałem w korespondencji listowej. W zbiorowem wydaniu pt. „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego,“ które pojawiło się we Lwowie w 1903 r., znajduje się także mój artykuł o manifestacji wileńskiej 8-go maja. Dybowski pisał swoje wspomnienia w kilka lat później. Czyżby nie czytał mego artykułu i nicby o nim nie wiedział?

Należało także zorganizować kółko śpiewaków. Znalazło się ochotników około dwudziestu, byłem i ja z braćmi w tej liczbie. Wyuczywszy się na pamięć tego hymnu, ażeby wprawić się do poprawnego śpiewania, chodziliśmy za miasto do Żelaznej chatki, słynnej z doskonałego mleka i z tradycji o Promienistych, którzy tam odbywali swoje zgromadzenia. Ukryci w zaroślach, zaśpiewywaliśmy się. A że dni były piękne, wiosenne, więc te wycieczki do Żelaznej chatki sprawiały prawdziwą przyjemność.

Uprosiliśmy też znane w mieście panie, ażeby zasiadały przy stolikach do kwestowania na sprawę narodową. Daliśmy im cynowe białe talerzyki, pokryte czerwonem suknem, z wyciętym w środku orłem, tak że na czerwonem dnie talerzyka widniał biały orzeł. Dowiedziawszy się o księdzu, który ma wygłosić kazanie, powiadomiliśmy go o przygotowującej się manifestacji. Nie wiem, czy wiedział co o niej biskup Krasiński, który celebrował mszę.

Dni, poprzedzające manifestację, upływały niepostrzeżenie wśród nieustannych zajęć. Poznajomiłem się z Jerzym Brynkiem, sybirakiem z czasów konarszczyzny. Przyjął nas po ojcowsku. Poznałem też rodzinę Antoniego Jeleńskiego, — wprowadzony wraz z braćmi do jego domu przez Dybowskiego. Znano go z



F. i J. Bielińscy
Archangielsk



A. Nieronowa
1866 r.

postępowych przekonań w sprawie włościańskiej i wielce poważano w kołach patrjotycznych. W późniejszych latach, będąc w Krakowie i we Lwowie, pozostawałem z nim w stosunkach i wyrobiłem sobie o nim bardzo przychylne zdanie. Z przykrością więc czytałem to, co napisał o nim Jakób Gieysztor w swoich wspomnieniach.

W przeddzień 8-go maja, kiedyśmy pod wieczór wrócili z miasta do domu, stróż przy bramie powiedział do nas:

— Przychodziła tu policja i dopytywała się o panów.

Obawiając się, ażeby nas nie aresztowano i nie przeszkodzono w ten sposób odbyciu się manifestacji, postanowiliśmy nie nocować w domu. Ja i Józef nocowaliśmy we Zborze Kalwińskim u księdza Kadera, kolegi z Dorpatu.

Zrana, przed udaniem się do kościoła, poszliśmy do mieszkania, by uprzątnąć wszystko, coby nas mogło, na wypadek rewizji, kompromitować. Nie przypuszczając, ażeby nas aresztowano na ulicy, rozmaite kompromitujące notatki włożyłem do bocznej kieszeni surduta. Jeszcze poprzednio umówiliśmy się ze sobą, że w razie uwięzienia nie będziemy się zapierać, żeśmy śpiewali, lecz stanowczo przeczyć będziemy, ażeby była jaka zmowa w tej sprawie.

Dzień 8-go maja był prawdziwie wiosenny, jasny, słoneczny. W mieście panował ożywiony ruch świąteczny. Na obszernym placu przed katedrą pełno było ludu, wózków, wozów, ekwipaży z piękną uprzężą. Kościół przepełniony. Przecisnęliśmy się do środka, gdzie z liczby umówionych śpiewaków zebrała się co najwięcej połowa. Ksiądz, który miał kazanie w pięknych i podniosłych słowach przedstawiał ofiarę poświęcania się dla sprawy dobrej i słusznej — nietylko jako zasługę przed Bogiem, lecz także jako czyn wielkiego znaczenia i wpływu na życie społeczne, narodowe. Dodało to nam otuchy. Gdy nastąpiło podniesienie, czekaliśmy na hasło. Tymczasem nie było go i nie wiedzieliśmy, co począć. I kto wie, czy cała nasza manifestacja nie spełzłaby na niczem, gdyby nie energiczne wystąpienie Lucjana. Widząc, że obecność komisarza policyjnego zatrwożyła organistę i że nie ustępuje miejsca stojącemu obok Hryniewieckiemu — jak to było umówione — Lucjan zbliżył się do niego i rzekł stanowczym głosem:

— Pan skończył swoje, a teraz ten pan grać będzie — i wziąwszy za rękę Hryniewieckiego, posadził go przy organach.

Wreszcie ozwało się z organów oczekiwane hasło, a nasza gromadka nie tyle umiejętnie i składnie, ile z całych sił swego gardła i piersi wzniosła błagalną pieśń: „Boże coś Polskę“ Wszyscy zwrócili ku nam oczy, a stojący tuż pod kratami szef żandarmów, Adamowicz, zwrócił się całą twarzą ku nam i uporczywie w nas się wpatrywał.

Nasze wystąpienie było niespodzianką niemal dla wszystkich, bo niewiele tylko osób wiedziało o przygotowującej się manifestacji. Widoczne było zalęknienie, zdumienie, rozrzewnienie. Wiele kobiet płakało. Przed ukończeniem jeszcze mszy, rozproszyliśmy się po kościele, ażeby nie wychodzić razem. Z Dybowskim tylko we dwóch pozostaliśmy na miejscu. Gdyśmy wychodzili, policjanci szli tuż za nami. Lecz publiczność z widocznym rozmysłem pomagała nam do wymknięcia się, skupiając się i utrudniając im przejście. Dzięki temu, przecisnęliśmy się szczęśliwie przez tłumy nagromadzone na placu i weszliśmy na ulicę Wielką. Wtem dogonił nas, biegnąc niemal, jakiś młodzieniec i powiedział:

— Spieszcie się, panowie, policja goni za wami.

Ponieważ z przeciwnej strony ulicy była restauracja Jodki, rzekłem więc do Dybowskiego:

— Idźmy na obiad do Jodki.

Zaledwie zeszliśmy z trotuaru, stanęła przed nami dorożka, i wysiadło z niej dwóch komisarzy policyjnych, którzy zastąpili nam drogę, mówiąc:

— Panowie raczą wsiąść do dorożki, mamy polecenie zawieźć ich do policmajstra.

— Obejdziemy się bez dorożki — powiedziałem pójdziemy pieszo.

Komisarze nie przynaglali nas do jazdy i poszli za nami także pieszo w pewnej odległości. Idąc, wytłumaczyłem Dybowskiemu, że uczyniłem tak, by zyskać na czasie i uchwycić sposobność do pozbycia się notatek i papierów, które miałem przy sobie. Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, lecz niepodobna było coś zrobić. Najwięcej chodziło mi o notesik, gdzie były zapisane adresy i niektóre nazwiska. Wyjąłem go z kieszeni i trzymałem w ręku. Wyrzucić go jednak po drodze bez zwrócenia uwagi komisarzy nie można było. Przybywszy do gmachu policyjnego, gdyśmy wchodzili do przedpokoju kancelarji policmajstra, spostrzegłem przy samych drzwiach drewnianą kanapkę, opartą o ścianę, a na tej kanapce siedziała jakaś kobieta. Szybkim ruchem wsunąłem mój notesik pomiędzy tą kanapkę i ścianę. Zaprowadzono nas do sali kancelaryjnej, a że dzień był świąteczny, więc nikogo nie było. Pozostawiono nas samych. Skorzystałem z tego i papiery, które zabrałem z domu, jak odezwy, pieśni, linjowane arkusiki, przeznaczone do odczytywania listów konspiracyjnych itp., wsunąłem pod zielone sukno, pokrywające stoły kancelaryjne. Notesik jednak nie dawał mi spokoju. Słyszałem, jak policjant w przedpokoju powiedział: „nie ruszać“, i wydało mi się, że to musi dotyczyć tego notesika. Wyszedłem więc do przedpokoju i zapytałem policjanta, gdzie jest wychodek. Wskazał mi przez okno drugą stronę dziedzińca. Wychodząc, szybko wyciągnąłem notesik i, wszedłszy do wychodka, wrzuciłem do kloaki. Z ulgą w sercu wróciłem napowrót. Dość długo jeszcze czekaliśmy na przybycie policmajstra. Był nim Wasiljew. Powiedział nam odrazu, że jesteśmy aresztowani i że odeśle nas do cytadeli. O ile sobie przypominam, mówił po polsku, a z pewnością cała policja mówiła w tym języku. Gdy nas wprowadzono do cytadeli, stał tam na dziedzińcu jakiś wojskowy w płaszczu. Był to komendant cytadeli, pułkownik Wiatkin — jak się dowiedzieliśmy później. Ponieważ nie zdjęliśmy czapek, zawołał: „dałoj szapki“. Oczywiście, musieliśmy to uczynić, nie chąc się narazić na jaką gorszą zniewagę. Dybowski w swojem opowiadaniu, które ogłosił w „Bibljotece Warszawskiej“ pisze, że Wiatkin kazał żołnierzowi zrzucić czapkę z mojej głowy. Aczkolwiek w wielu szczegółach nie dopisuje mi pamięć, to jednak dobrze pamiętam, że nie uczyniono tego.

Wogóle całe opowiadanie Dybowskiego jest mylne. Wydał on książeczkę, w której wykazuje fantastyczność opowiadania Świętorzeckiego w jego pamiętnikach. Tamże umieścił również swoją opowieść o manifestacji 8-go maja. Czy jest to powtórzenie tego, co pisał w „Bibljotece Warszawskiej“, nie umiem powiedzieć. Czytałem tę książeczkę jesienią 1913 r., podczas mojej

bytności w Dąbrowie u Tadeusza Dybowskiego, brata Benedykta. Wykazując w niej zestawieniem faktów, że Świętorzecki nie mógł dostać się do Ohryzki, ani też że wymienione przezeń panie nie mogły zwiedzać powstańczego oddziału, w którym autor „Pamiętników" przebywał, Benedykt za każdym razem dodaje, że krytykowany przezeń pamiętnikarz napisał romans, lecz nie wspomnienie historyczne. Przeczytawszy wówczas opowiadanie o manifestacji Wileńskiej, powiedziałem do Tadeusza:

— Napisz do brata, że on napisał trzeci romans.

Wracam do dalszego opowiadania o naszem uwięzieniu.

Na zapytanie Wiatkina o nasze nazwiska i zajęcia, Dybowski powiedział, że jest doktorem medycyny uniwersytetu wrocławskiego, ja zaś, że byłem studentem uniwersytetu w Dorpacie.

— Wsio inostrancy! — (wszystko cudzoziemcy) — wykrzyknął Wiatkin.

Odprowadzono nas do gmachu więziennego i rozlokowano po celach. Moja była na piętrze; od schodów na prawo, niemal pośrodku. Pokoik — długości z dziesięć kroków, szerokości od 5 do 6-ciu z okienkiem wysoko umieszczonem. Na prawo stało łóżko z siennikiem i poduszką wypchaną sianem, na lewo stolik z krzesełkiem, tamże przymocowana do ściany lampka olejna najprostszej konstrukcji. Paliła się ona przez całą noc, ażeby stojący na warcie żołnierz mógł widzieć, co robi więzień. Służyło do tego malutkie okienko we drzwiach, zwane judaszem zasłonięte od strony korytarza blaszką, którą odsuwano, chcąc zajrzeć do celi. Dodatnią stroną więzienia wileńskiego był brak słynnego kubła, zatruwającego w więzieniu austrjackiem powietrze. Jeżeli zachodziła tego potrzeba, pukano, i żandarm odprowadzał pukającego do wychodka. Z tego powodu jakiemś ostrzem wydłubałem na drzwiach napis:

Pukajcie, a będzie wam otworzone.

Kiedy wprowadzono mnie do celi i zamknięto ją na klucz, byłem w stanie strasznego przygnębienia. Przyszłość rysowała się okropnie, a nadto gnębiło przeświadczenie, że nasza manifestacja nie udała się i spodziewanego skutku nie osiągnęła. Rozpoczynając śpiewać, byliśmy pewni, że odezwą się inne głosy — zapewniano nas o tem — tymczasem wszystko się ograniczyło do naszej drobnej garstki. Jeżeli cierpieć, to trzeba przynajmniej, żeby było za co. Ale cierpieć i mieć przekonanie, że się cierpi daremnie, to rzecz straszna. Przygnębienie było tak silne, że nie czułem nawet głodu, chociaż od wczesnego rana nic nie miałem w ustach.

Zamknięto mnie w celi, kiedy dzień już chylił się ku wieczorowi. Chodziłem wciąż po pokoju aż do znużenia. Wreszcie ściemniało zupełnie, zapalono lampę. Czułem się zmęczony i usiadłem na łóżku. Siennik i poduszka swym wyglądem budziły we mnie odrazę. Zmęczenie jednak przemogło; zdjąłem surdut i, obwinąwszy nim głowę, położyłem się. Ogarnął mnie jakiś gorączkowy stan, w którym wizje i rzeczywistość splatały się z sobą. Wydawało mi się, że cała moja cela napełniła się młodzieżą spiskową, która gwarnie rozprawiała o tem, co i jak należy robić. — Co za nieostrożność — myślałem — rozprawiać tak głośno, kiedy żandarm u drzwi może wszystko słyszeć. — A kiedy istotnie żandarm wszedł do celi, by zdjąć nagorzały knot w lampie, zerwałem się struchlały z łóżka i starałem się surdutem zasłonić zgromadzoną młodzież. — Powarjowali — myślałem — zbierać się w takim miejscu.

Świtający dzień rozpędził mary. Odurzony, zmęczony leżałem i bezmyślnie patrzałem w sufit. Otworzono drzwi i wniesiono stołek i misę do umycia się. Posługaczem, który wnosił tę misę, a później jedzenie, był poczciwy Białorusin, który sprzyjał nam więźniom i cichaczem komunikował nam to i owo, a czasem i coś doręczył, chociaż to nie było łatwo, ponieważ razem z nim przychodził i żandarm i miał nad nim czujne oko. Gdym o coś zapytał, ani jeden ani drugi nic mi nie odpowiedzieli. Regulamin zakazywał im rozmawiać z więźniami. Jeżeli Białorusin miał coś powiedzieć lub doręczyć, to wchodząc dawał znak mrugnięciem i, korzystając z chwilowego zagapienia się żandarma, szybko spełniał dane mu polecenie. Żandarm był służbistą, lecz nie był złośliwy; ani dokuczał, ani był brutalem. W późniejszym czasie, kiedy śledztwo się skończyło, na wiele rzeczy patrzył przez palce.

Po umyciu się, zacząłem znowu biegać gorączkowo po celi. Po pewnym czasie znowu otworzono drzwi i wniesiono imbryk z herbatą, filiżankę, na spodku kilka kawałków cukru i bułkę. Chciwie rzuciłem się na jadło. Rozłamawszy bułkę, znalazłem

w niej kartkę od Dybowskiego, on to przysłał mi herbatę. Z kartki dowiedziałem się, że jest moim sąsiadem z lewej strony, oraz jak mam z nim porozumiewać się przez pukanie. Alfabet podzielony na kratki po cztery litery. Pierwsze uderzenia miały oznaczyć cyfrę kratki, dalej następowała pauza, następnie uderzenia wskazywały miejsce, zajmowane przez literę w kratce.

Herbata i kartka orzeźwiły mię i dodały ducha. Zacząłem chodzić spokojniej po celi i bacznie oglądałem ściany. Znalazłem kilka napisów w miejscach bardziej ukrytych. Każdy znaleziony napis sprawiał wielką przyjemność. Nazwisk odczytanych nie pamiętam. Jeden pod swoim nazwiskiem podpisał: „zbrodzień stanu". Odczuwałem, że napisał to z dumą i pewną chlubą.

W południe przyniesiono obiad. Był rosół z makaronem, smakował mi bardzo, żarłocznie go jadłem. Wnet porwały mnie torsje, i wszystko wyrzuciłem. Przez głowę przesunęła się myśl, że jadło było zatrute. Ma się rozumieć, nic podobnego być nie mogło. Prawdopodobnie, żołądek przy ogólnem podnieceniu nerwów, nie zniósł raptownego spożycia gorącego płynu. Owszem, żywiono nas dobrze: potrawy były smaczne i porcje dostateczne. Przyrządzaniem jedzenia zajmowała się żona dozorującego nas żandarma, Polka, głośno objawiająca swe uczucia patrjotyczne. Kilka razy słyszałem, jak wracając z miasta, gdy długo nie otwierano jej furtki do więzienia, idąc po dziedzińcu krzykliwie wymyślała po polsku: „psie juchy moskiewskie, nie słyszycie, czy co? — wam tylko ludzi dręczyć". Podobno, męża swego krótko trzymała i może temu przypisać należy, że zachowywał się względem nas cicho i niedokuczliwie.

W więzieniu wzmaga się w wysokim stopniu spostrzegawczość. Najmniejsza rzecz: patyczek, skrawek papieru — zwraca uwagę. Idąc pod wieczór do wychodka, u samego progu spostrzegłem coś drobnego, podniosłem to i schowałem. Wróciwszy do celi, zbadałem to, co znalazłem: była to mocno zwinięta kartka, w której nowy więzień, Ksawery Korewa, donosił o sobie. Zakomunikowałem to Dybowskiemu. Udzielaliśmy sobie wszelkich wiadomości, najczęściej odbywało się to o zmierzchu, jako najdogodniejszej pod względem nadzoru porze. Z początku pukanie szło dość ciężko, lecz później nabyliśmy takiej wprawy, że już z pierwszych pukań domyślaliśmy się, jaki ma być wyraz, więc umówionem puknięciem przerywaliśmy całkowite jego wypukiwanie.

Po kilku już dniach wiedzieliśmy prawie o wszystkich, których aresztowano z powodu manifestacji. Uwięziono jeszcze Hryniewieckiego Adolfa, Zelwerowicza Aleksandra, Tyszkiewicza i jeszcze kogoś, przez pomyłkę podobno zabranego, bo go wypuszczono wkrótce. Braci moich, Lucjana i Józefa, aresztowano najpóźniej. Na drugi dzień po mojem uwięzieniu, byli oni jeszcze w Wilnie i brali udział w manifestacji ulicznej, jaka się odbyła przed pałacem generał-gubernatora Nazimowa. Zgromadziło się tam dużo ludzi, domagano się naszego uwolnienia. Tegoż dnia, po manifestacji, wyjechali oni wraz z poetą Jerzym Laskarysem do Syrokomli (L. Kondratowicza), mieszkającego na wsi w pobliżu. Gdyby nie wrócili do Wilna i pojechali wprost do domu, to, wnosząc ze wszystkiego, nie dostaliby się do więzienia. Kiedy bowiem wrócili do Wilna, wówczas wezwano ich do ober-policmajstra. Tam zastali cały szereg komisarzy policyjnych. Wasiljew zwrócił się do tych komisarzy z zapytaniem: „Czy ci panowie śpiewali?" Komisarze spoglądali na braci i milczeli. Wówczas Wasiljew, zwróciwszy się do braci, zapytał: „Panowie — śpiewaliście?" — „Oczywiście, śpiewaliśmy" — odrzekł Lucjan. — Na to Wasiljew: „Dziękuję panu za szczerą odpowiedź, pojedziecie więc do cytadeli". Tyszkiewicza niedługo trzymali w więzieniu. Przyborowski w swojej historji o ruchu przedpowstańczym opowiada, że tak go wystraszyło więzienie, iż przyrzekł nie brać nadal w żadnych manifestacjach udziału, uwolniono więc go bez dalszego badania.

Pukaniem zostałem powiadomiony, że nasza manifestacja wywarła wielki wpływ i odtąd śpiewanie hymnu: „Boże coś Polskę" stało się powszechnem podczas majowych nabożeństw. Wzmocniło to ogromnie ducha. Jeżeli cierpimy i cierpieć będziemy, to przecież jest za co.

Więzienie ogromnie mnie męczyło. Umysł i charakter miałem ruchliwy, potrzebujący wrażeń, czynności, wciąż jakichś dążeń, celów. Nuda gorszą była dla mnie od bólu, męczarń. Wolałem jechać na wygnanie, nawet na katorgę, byle nie siedzieć zam-

knięty, sam, pozbawiony wszelkiego zajęcia. Gdyby postawiono mi do wyboru albo długoletnie więzienie, bez żadnego towarzystwa, bez żadnego zajęcia — lub natychmiastową śmierć, to kto wie, czy nie wybrałbym tej ostatniej. Więzienie, które odbywałem później, nawet i przy możności otrzymywania książek, było męczarnią dla mnie, a cóż mówić o tem, gdy sam z własnemi myślami tylko pozostawałem. Widziałem takich, co w dzień i w nocy mogli spać, ci nie odczuwali silnie ciężaru więziennego. Ja przeciwnie, w więzieniu traciłem sen i nie pozwalałem sobie nawet w dzień drzemać, ponieważ w przeciwnym razie dręczyła mnie noc bezsenna. Ażeby skrócić ciągnący się bez końca czas więzienny, odbywałem w pamięci działania arytmetyczne o wielu liczbach, co — jak to słyszałem dawniej — czynił jeden z byłych więźniów. Najczęściej jednak rozmaite myśli same opanowywały głowę, podniecały do coraz to szybszego chodzenia po celi, rozsadzały boleśnie głowę, aż znużony, zmęczony, kładłem się na łóżko. W tym czasie byłem jeszcze religijny, stale zrana i wieczorem odmawiałem pacierze, a więzienie powiększyło jeszcze tę pobożność. Jakoś doręczono mi książkę do nabożeństwa, która była w moich rzeczach. Odczytywałem ją wciąż i — można powiedzieć — nauczyłem się wiele modlitw na pamięć.

Zachowywałem się w celi spokojnie, i mój wygląd — z brodą, z długiemi włosami, w kożuszku — miał cechę starczości. Słyszałem jak raz odchodzący szyldwach objaśniał nowo postawionego: staryczok smiren (staruszek spokojny). Czasem jednak przychodziły mi figle do głowy. Stawałem w jednym z kątów, tak że z okienka judaszowego nie można było mnie dojrzeć. Tak stałem bez ruchu godzinę i więcej. Szyldwach, słysząc zupełną ciszę w celi, zaglądał, wreszcie zaczął nawoływac żandarma. Wówczas wychodziłem z kryjówki i zaczynałem chodzić po celi. Przypominam, że raz wszedł żandarm, podejrzliwie oglądał wszystkie ściany, lecz nic nie powiedział i wyszedł. Od czasu do czasu przychodził oficer żandarmski i pytał, czy czego nie potrzebuję? Odpowiadałem: opuszczenia więzienia, a wreszcie niczego. Kiedyś wszakże — przypominam sobie — sporządzono nam wanny na dole i po kolei, pojedyńczo, sprowadzano nas do kąpieli.

Zdaje się, że parę razy odwiedził nas po celach komendant Wiatkin. Raz, pamiętam, posłyszałem na korytarzu wielki tumult i brzęk szabel. Drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Nazimow, za którym stał zastęp wojskowych. Wypytywał mnie o to i o owo. Odpowiadałem bez tytułowania go i po polsku. Rozdrażniło go to, i zapytał mnie ostro, dlaczego nie mówię po rosyjsku, wszak byłem w uniwersytecie w Moskwie? Odpowiedziałem, że po polsku łatwiej mi się wypowiedzieć. Wyszedł mocno niezadowolony i we drzwiach machnął ręką, mówiąc: „propaszczyj czełowiek“. (człowiek stracony).

Po tygodniu uwięzienia, a może więcej, wszedł żandarm, i wezwał, abym się ubrał i szedł z nim. Poszliśmy do drugiego sąsiedniego budynku, w którym się mieściła kancelarja. Tam w sali za stołem siedział pułkownik Haller, z boku też jakiś wojskowy — audytor, który spisywał protokuł; zawsze też był obecny Adamowicz, szef żandarmów, który najczęściej stał i słuchał, ale rzadko kiedy sam o co pytał. Można powiedzieć, że jedynie Haller prowadził śledztwo. W badaniu był grzeczny, uprzejmy, nie straszył i nie podchwytywał słów.

Odpowiadałem po polsku. Zażądał, żebym mówił po rosyjsku. Ale tak kaleczyłem język rosyjski i tak go szpikowałem polskiemi wyrazami, że dał za wygraną, i ostatecznie dalej już po polsku mówiłem. Audytor spisywał po rosyjsku zadane pytania i moje odpowiedzi. Następnie dawano mi je do przeczytania i podpisywania. Protokuł był wiernie spisywany, i niekiedy tylko czyniłem małe poprawki.

W odpowiedziach moich trzymałem się tego, do czegośmy się zobowiązali. Nie zapierałem się, żem śpiewał, żem czynił to z całą świadomością wszystkich następstw, ponieważ to wypływało z mych pragnień i przekonań, alem to robił sam, bez żadnej pomocy, bez żadnego porozumienia się z kimkolwiek. Wymieniane mi osoby częściowo znam, innych nie. Znam te, z któremi kolegowałem w uniwersytecie.

Haller widocznie podsuwał mi pewien sposób tłumaczenia się, któryby można było przyjąć jako okoliczność łagodzącą.

— Podczas swego pobytu w Paryżu musiałeś pan czytać pisma Hercena?

— Prawdopodobnie czytałem — odrzekłem — ale przeważnie czytałem dzieła polskie i francuskie.

— W każdym razie czytałeś pan pisma Hercena, a ono mogły wpłynąć na młodocianą wyobraźnię pana i pobudzić do karygodnych wystąpień.

— Co do wpływu na moje przekonania patrjotyczne — mówiłem — nie potrzebowałem Hercena, byłem patrjotą od lat dziecinnych.

— Czy to rodzice na to wpłynęli?

— Nie rodzice, ale starsi bracia, którzy już nie żyją, opowiadali o nieszczęściu narodu polskiego.

— Co oznacza ten pierścień z żelazem oprawnym w złoto?

— To pierścień z kajdan Konarskiego.

— A skąd go pan ma?

— Darował mi go brat starszy, Aleksander, już nieżyjący.

Adamowicz — jak mówiłem — rzadko się wtrącał do badań. Raz wszakże zwrócił się do mnie z dłuższem przemówieniem, którego treść mniej więcej była taka.

— Wyznaj pan wszystko szczerze, to wiele panu pomoże, cesarz nasz jest dobry i przebaczy. Wszak i ja jestem Polakiem i Polakom dobrze życzę.

— Com miał powiedzieć — odrzekłem mu — to już wszystko powiedziałem.

W duchu zaś pomyślałem: jakiś ty Polak, skoro jesteś żandarmem. Później jednak dowiedziałem się, że nie był to zły człowiek. Kiedy matka nasza przyjechała do Wilna i była u niego, by wyjednać pozwolenie na widzenie się z nami, sam przypomniał, że znał ją w latach dziecinnych. Chodził on do szkół bazyljańskich, które znajdowały się w niewielkiej odległości od Jass. Babka nasza zabierała go na święta do swego domu, gdzie wesoło spędzał czas w towarzystwie jej córeczek. Kiedy matka wracała z Wilna, wyrobił dla niej pozwolenie jazdy koleją żelazną, która nie była jeszcze otwarta, i z której tylko wyżsi urzędnicy korzystali. Murawjew, przybywszy do Wilna, natychmiast zażądał, ażeby przeniesiono Adamowicza gdzieindziej, jako sprzyjającego Polakom. Przeniesiono go do Wiatki z całą rodziną. Haller był gubernatorem grodzieńskim, kiedy przybył

Murawjew, i wkrótce po jego przybyciu podał się do dymisji, nie chcąc spełniać jego okrutnych rozporządzeń.

W książce Bieleckiego, o której wspomniałem, podobno są wydrukowane protokuły naszego śledztwa. Wanda Dalecka tak o nich pisze: „Ze streszczonych zeznań, badanej wówczas młodzieży, uderzają wprost zeznania Limanowskiego i Dybowskiego, tak są ostrożne względem drugich, a tak pełne godności i prostoty. General-gubernator, przesyłając tę sprawę szefowi żandarmów, podaje winnych do kary: Bol. Limanowskiemu wyznacza zsyłkę do rot aresztanckich w Orenburgu, jako prostego żołnierza, z pozbawieniem prawa awansu". O tej zemście Nazimowa dowiedziałem się dopiero po przybyciu do Krakowa w 1910 r. z artykułu Wandy Daleckiej. Okrutny ten wyrok złagodzono. Kto się do tego przyczynił: czy Adamowicz, czy ktoś w Petersburgu, zostanie chyba dla mnie na zawsze tajemnicą.

Dybowski w swojem wspomnieniu, drukowanem w „Bibljotece Warszawskiej", pisze, że Wiatkin mnie nienawidził, ale złagodziła jego usposobienie nasza opiekunka więzienna, Sławińska, krewna Dybowskiego i Jeleńskich. Zacoby jednak Wiatkin miał mnie nienawidzieć, nie wiem. Oprócz wspomnianej sprawy niezdjęcia czapki, nie miałem żadnego z nim zajścia. Kiedy zajrzał do celi, o nic go nie prosiłem. Gdy później pozwolono nam na przechadzki po dziedzińcu, unikałem spotkania z nim. Właśnie, gdy raz spostrzegłem wchodzącego go przez furtkę na dziedziniec, tak manewrowałem, ażeby się z nim nie spotkać, on zboczył do mnie umyślnie i, przywitawszy mię, pierwszy mi zwiastował, że mam jechać na wygnanie do Archangielska.

— Nie martw się pan — mówił — życie wygnańców w Rosji nie jest przykre. Kiedy byłem z wojskiem w Nowogrodzie, był tam na wygnaniu Polak (zapomniałem jego nazwiska), przyjmowany i ugaszczany w najlepszych domach. Archangielsk to duże miasto, tam wielka obfitość ryb.

Po ukończeniu śledztwa i odesłaniu papierów do Petersburga, złagodzono warunki naszego więzienia. Pozwolono nam otrzymywać książki z jednej z wypożyczalni. Książki te podwójną nam przyjemność sprawiały. Oprócz bowiem zajęcia umysłu treścią swoją, służyły nam jako gazeta więzienna. Pisać w nich nie można było, gdyż podlegały przeglądowi żandar-

mów. Pisanie jednak zastępowano innym sposobem. Na jednej z pierwszych stronic nieznacznemi punkcikami odznaczano znajdujące się tam cyfry, wskazując, na jakiej stronicy rozpoczyna się korespondencja. Trzeba było notować podznaczone, punkcikami litery. W ten sposób komunikowano sobie wzajemnie o wszystkiem, o czem zdołano się dowiedzieć. Pamiętam wielkie wrażenie, jakie na mnie sprawiła pierwsza otrzymana książka. Był to jakiś zeszyt francuskiego miesięcznika „Revue des deux mondes", a w nim artykuł o rewolucjonistach irlandzkich. Wkrótce też ulokowano mnie razem z bratem Józefem. Czytanie książek, długie dyskusje z Józefem, przechadzka godzinna, wreszcie pukanie, skracały czas więzienny, i życie nie było już tak strasznie gnębiące, jak poprzednio.

Prowadziliśmy z Józefem długie dyskusje. Był on wówczas w wielu punktach bardziej radykalny odemnie. Oczywista przedmiotu naszych rozpraw nie pamiętam. Wiem tylko, że byłem w moich poglądach bardziej umiarkowany, względny i większym idealistą. Przypomina mi się tylko jeden spór, który powtarzał się kilkakrotnie. Wbrew jego twierdzeniu, że okoliczności są silniejsze od człowieka, ja utrzymywałem, że człowiek, jeżeli z woli i z charakteru swego ma zdziałać coś odznaczającego się pożytecznością dla swego narodu, to nawet w najgorszych warunkach to uczyni. Z tego powodu Józef nazywał mnie fatalistą. Później i Lucjana przeniesiono do naszej celi, tak że byliśmy razem czas pewien, chociaż krótki.

Przechadzki odbywały się parami. Wówczas z okienek ciskano kulki z karteczek pisanych, a w oknie drugiego gmachu, gdzie była kancelarja, stawali Dybowski i Zelwerowicz, których umieszczono razem w pokoju, nie mającym cech kaźni więziennej, i pomimo wzbronienia warty, komunikowali to i owo z bieżących wypadków.

W tym też czasie, po ukończeniu śledztwa, odwiedziły nas matka i Anna Sławińska.

Możeby mama i nie przyjechała do Wilna, gdyby nie skłoniła jej do tego Helenka, która z Korniówną przyjechała do Wonóg i prosiła matkę, by pojechała wstawić się za nami.*) Dopomogła jej nawet pieniężnie. Matka po przyjeździe udała się do Adamowicza, ażeby pozwolił z nami się widzieć. Nie robił trudności, a nawet sam jej się przypomniał z lat dziecinnych. Po widzeniu się z nami, matka udała się do Nazimowa z prośbą, by nas uwolnił. Nazimow powiedział, że to nie jest w jego mocy, że to zależy od decyzji w Petersburgu. Kiedy matka się rozpłakała, zwrócił się do niej z temi słowami:

— Czego Pani płaczesz, cieszyć się Pani powinna, że ich wyślą do Rosji. Przynajmniej żyć będą. Gdyby tu zostali, kto wie, czy nie spotkałby ich los gorszy.

Matka przed wyjazdem złożyła u komendanta dla nas pewną kwotę pieniędzy.

Anna Sławińska, która opiekowała się wszystkimi więźniami, jak później się dowiedziałem, była gorącą patrjotką i wielce religijna. Wyszła ona zamąż za bogatego właściciela ziemskiego w mohylewskiem niedaleko Orszy, lecz nie była z nim szczęśliwa. Opuściła go i mieszkała u matki w Wilnie. Przy widzeniu się obdarzyła nas medalikami, wybitemi na upamiętnienie pierwszych pięciu ofiar zabitych w Warszawie 27 lutego 1861 r. Złożyła też dla nas pewną kwotę pieniędzy na ręce komendanta. Zawiązał się z nią serdeczny stosunek, który trwał przez cały czas wygnania. Pisywała do nas listy — pozostały u mnie jeszcze dwa: z Wilna 1-go maja 1862 r. i z Mińska — 4-go listopada 1866 r. W pierwszym liście pisała, że przebyła ciężką chorobę, że straciła matkę. „Matka — pisze — była mi wszystkiem na tej ziemi, — pojmiesz więc łatwo, co się dzieje w mojej duszy, straciwszy ostatni najmilszy węzeł łączący mię z tem życiem. Za jej stratą idą wślad inne nieprzyjemności i ciężkie do przebycia bóle — już tu mieszkać w mieście sama jedna nie mogę, muszę wracać do domu na wieś". Po powrocie z wygnania, widziałem ją w Warszawie już jako Bohuszewiczową, lecz już była silnie się zasklepiła w religijności. W pamięci mojej jednak trwa dla niej żywa wdzięczność.

W kilka dni po przeniesieniu Lucjana do innej celi, wszedł

*) Znajduję list Helenki, pisany do matki 14 czerwca 1861 r. Odsyła list jakiś do matki i posyła adres Adolfa Gizberta, który ma ułatwić jazdę koleją. Matka jednak przyjechała pocztą. List Helenki przysyła mi matka do Mezenia.

żandarm i powiedział, ażebym zabrał wszystkie swoje rzeczy i szedł za nim. Pożegnałem się z braćmi i wyszedłem. Żandarm odprowadził mnie do innej celi i zamknął. Nie wiedziałem, co to znaczy. Wychodząc bowiem z celi poprzedniej, sądziłem, że wyruszam już na wygnanie. Zaniepokojony więc silnie, krążyłem nieustannie po nowej celi. Tymczasem zmierzch zapadł, stawało się ciemno. I znowu posłyszałem u drzwi łoskot broni, drzwi otworzono, wszedł żandarm i wezwał, ażebym zabrawszy swoje rzeczy, szedł za nim. Ja szedłem za żandarmem, a za mną szedł żołnierz z bronią. Przeszliśmy dziedziniec, otworzono nam furtkę, weszliśmy do drugiego dziedzińca i do stojącego tam gmachu. Wprowadzono mnie do kancelarji komendanta. Za stołem pokrytym suknem zielonym, na którym stały zapalone świece, siedział komendant, z boku stał jakiś urzędnik, a przy drzwiach żandarm z torbą na piersiach i z dwoma pistoletami za pasem. Urzędnik odczytał mi wyrok, głoszący wygnanie do archangielskiej gubernji. Kazano mi podpisać się pod tym wyrokiem. Następnie komendat przywołał żandarma i oddał mu pieniądze dla mnie złożone. Kazano mi podpisać kwit, żem je otrzymał. Komendant kazał żandarmowi nabić broń, a ten nabił oba pistolety. Kiedy już skończyła się ta cała ceremonja, komendant powstał i, podając mi rękę, życzył szczęśliwej drogi i rychłego powrotu.

Wyszedłem z żandarmem na dziedziniec. Przed gankiem stała kibitka. Wsiedliśmy i wyjechaliśmy z Wilna w ciemności i po pustych prawie ulicach.

ROZDZIAŁ VIII

ETAPEM DO ARCHANGIELSKA — MEZEŃ

(Sierpień 1861 — maj 1862)

O archangielskiej gubernji pisałem kilka razy. Pierwszy raz pisałem z następującego powodu. Władze moskiewskie kazały wydawcom pism polskich umieszczać artykuły o Rosji. Wydawcy więc zwrócili się do byłych wygnańców, znajdujących się wówczas w Warszawie, ażeby spisali swoje wspomnienia o miejscach wygnania. I ja otrzymałem tego rodzaju zaproszenie. Napisałem więc dość duży artykuł o archangielskiej gubernji, który był drukowany w „Kłosach" i upamiętnił się dla mnie tem, że w warunkach, kiedy bardzo potrzebowałem grosza, otrzymałem od wydawcy Lewenthala wcale dobre wynagrodzenie. Drugi raz napisałem artykuł o Samojedach, który był drukowany w trzech numerach „Bluszczu" w 1870 r. Otrzymałem to także wynagrodzenie od wydawcy Orgelbranda. W „Bluszczu" też drukowano mój opis podróży z Mezenia do Archangielska. Następnie, kiedy przybyłem do Lwowa, drukowałem w całym szeregu feljetonów w „Dzienniku Lwowskim" 1871 r.: „Ze wspomnień wygnańca." Wreszcie z powodu mego jubileuszu w 1900 r.; żądano, abym napisał, jaką drogą doszedłem do socjalizmu. Wydrukowano to w książce p. t. „Socjalizm. Demokracja. Patrjotyzm" (Kraków, 1902 r.)

Wracam do pisania pamiętnika.

Żandarm, który mi towarzyszył z Wilna do Archangielska, był Polakiem. Przestrzegał ściśle przepisanych prawideł, póki jechaliśmy przez Litwę. W Rosji często od nich odstępował, co wreszcie — jak w dalszem opowiadaniu się okaże — połączone było z jego korzyścią. Co do żywienia się mego, był troskliwy i zawsze pytał, czy nie życzę sobie czego. Oprócz bowiem moich pieniędzy, miał od rządu wyznaczoną także kwotę pieniędzy na

moje wyżywienie. Byłem jednak niewymyślny i zadawalałem się skromnem pożywieniem. Jadąc, rozmawialiśmy ze sobą. Nie krępowałem się, mówiąc o prześladowaniach narodu polskiego, o niewoli moskiewskiej. I on wyjawiał swe uczucia patrjotyczne. Zapytałem więc go, dlaczego został żandarmem?

Kiedyś powiedział: „Gdyby było więcej pieniędzy, tobyśmy uciekli za granicę". Nic na to nie powiedziałem, lecz zastanowiłem się, czy nie jest to prowokacja z jego strony. Być może jednak, że mówił to szczerze, ponieważ później od kogoś słyszałem, że w 1863 r. zaciągnął się do szeregów powstańczych. Nazwiska tego żandarma nie przypominam sobie.

Gdyśmy jechali do Dyneburga, napotykałem wszędzie objawy współczucia. To mię podnosiło na duchu, bo urastałem w swem własnem poczuciu, jako ofiara przemocy. Przejeżdżając przez Dyneburg, spostrzegłem idącego Mujżela z uniwersytetu petersburskiego, jednego z członków naszej wileńskiej organizacji. I on mnie spostrzegł i podążył za nami. Pojechaliśmy na stację kolei żelaznej, ponieważ żandarm zaproponował mi ten sposób podróży, jako mniej męczącą i szybszą jazdę. Później po drodze wygadał się, że zrobił to wbrew rozkazowi, albowiem miał rozkaz jechać pocztą i odpowiednią kwotę pieniędzy na to otrzymał. Jazda koleją zapewniła mu znaczną oszczędność. Na stację kolei żelaznej przybył i Mujżel, i, pomimo zakazu żandarma, zakomunikowaliśmy sobie kilka potrzebnych wiadomości.

Petersburg nakazano omijać, więc nie dojeżdżając do stolicy, pojechaliśmy pocztą przez Carskie Sioło do Schlüsselburga. Tu zatrzymaliśmy się w jakiejś gospodzie, ponieważ chętnie przystałem na propozycję żandarma, aby zamiast pocztą jechać dalej kanałem Ładożskim. Trzeba było więc zaczekać do godziny, o której statek zwykle odpływał. Dzień był piękny, pogodny, ciepły. Zaproponowałem żandarmowi, aby w oczekiwaniu zamówionego obiadu, pójść i wykąpać się w Newie. Z początku opierał się, ale wreszcie uległ moim przedstawieniom. Wykąpaliśmy się i powoli wracaliśmy do gospody. Po drodze napotykaliśmy młode Czuchonki niosące do miasta jagody, masło i tp. co mi przypomniało pierwszą moją podróż do Petersburga. Po obiedzie, niedługo czekaliśmy na odpłynięcie statku. Ciągniono go po części końmi, a po części także i ludzie ciągnęli. Na statku z jednej jego strony skupiona była znaczna ilość włościan. których zdaleka, tak z ubrania jak i z twarzy poznałem, że muszą to być Białorusini. Zbliżywszy się więc do nich i słysząc, że mówią po białorusku, zapytałem ich: dokąd i skąd jadą? — jedziemy kopać ziemię — wymienionej miejscowości nie pamiętam — a jedziemy z Polski. — Nie pierwszy to raz zauważyłem, że u ludu wiejskiego przechowała się pamięć o dawnej granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Cesarstwem Rosyjskiem. Nie pamiętam, czy to byli chłopi z mohylewskiej, czy też z witebskiej gubernji. Lecz przypominam sobie, że kiedyś podczas mego pobytu w woroneżskiej gubernji, w rozmowie z zamieszkałym tam dymisjonowanym żołnierzem, dowiedziałem się, że i on także pochodzi z Polski.

— A skąd jesteście? — zapytałem.

I ku mojemu wielkiemu zdumieniu odrzekł:

— Ze smoleńskiej guberni.

O ile przypominam sobie, był to także Białorusin.

Dalej jechaliśmy kanałem Oneżskim. Z Wytiegry pocztą na Kargopol. Jeden tylko szczegół z tej jazdy pozostał mi w pamięci. Na którejś stacji ołoneżskiej gubernji prosiliśmy pocztmistrza o herbatę. Rychło wniesiono samowar z czajnikiem z zaparzoną herbatą, cukier i dużą tacę, napełnioną różnorakiem mięsiwem, jajami, serem, ciastami. Najedliśmy się i napiliśmy się, co się zowie. Na zapytanie, co się należy za to wszystko, pocztmistrz oświadczył, że nic nie weźmie od człowieka, w nieszczęściu pozostającego. I pomimo naszych przedstawień, stanowczo odmówił wszelkiego wynagrodzenia. Uścisnąłem mu serdecznie rękę na podziękowanie.

Kiedyśmy się zbliżyli do Chołmogór, ukazała się szeroko rozlana Dźwina. Doznałem dziwnego wzruszenia. Zrodzony nad jedną Dźwiną przybywam nad drugą. I skąd to podobieństwo nazw? Czy słowiańskie: Dźwina, czy po niemiecku Düna — wcześniejsze? To podobieństwo nazw wydawało mi się jakąś tajemniczą nicią w osnowie mego życia. Dźwina północna nabywała dla mnie wartości niezwykłej dla samego tylko podobieństwa nazwy do mojej rodzinnej inflanckiej Dźwiny.

W Chołmogórach żandarm wypytał u żołnierzy o guberna-

tora. Jadąc opowiadał mi o tem, co słyszał. Gubernator miał być groźny, surowy, krzykliwy, nieszczędzący obelg brutalnych. Jechałem więc z trwogą, że na samym wstępie może mię spotkać przykre zajście.

Archangielsk był miastem rozległem, dość okazałem. Pojechaliśmy wprost do gubernatorskiego domu, który się znajdował w środku miasta.

Kiedy weszliśmy do obszernej sali, gdzie petentów przyjmują, wyszedł urzędnik, i zapytał o coś żandarma. Po niejakim czasie wyszedł sam gubernator, człowiek średniego wieku, wziął papiery od żandarma, zadał mi parę pytań i odesłał żandarma wraz ze mną do swojej kancelarji, która znajdowała się po drugiej stronie ulicy. W kancelarji w tym czasie nie było nikogo, godziny urzędowe już się skończyły. — Usługujący w żołnierskiem ubraniu, dowiedziawszy się, że przywieziono Polaka, podszedł do mnie i polszczyzną łamaną — z mazurska — powiedział:

— Szkoda, że naszego pana (naczelnika kancelarji) niema, to Polak i dobry pan, wziął na parę tygodni urlop i pojechał na polowanie w lasy oneżskie. Pan nasz to zawołany myśliwy.

Wkrótce przybył policmajster, wysoki, chudy, w wojskowem ubraniu.

— Pan pojedzie dalej — zwrócił się do mnie — do jednego z miast powiatowych, ale gubernator pozwala panu wypocząć w mieście parę dni. Ja zawiozę pana do hotelu, tam pan pozostanie do swego wyjazdu.

Wyszedłem z policmajstrem, zabrał mnie do swojej dorożki. Wkrótce stanęliśmy przed piętrowym murowanym domem, jedynym w mieście hotelu, jak się dowiedziałem później. Dano mi obszerny umeblowany pokój.

— Jeżeli pan chce jeść, niech pan żąda, tu jest restauracja. Rachunek zapłacimy. Ja zostawię tu policjanta, ale — dodał z uśmiechem — nie dlatego, ażeby pana pilnował, przeciwnie, może panu się czemś przysłużyć. Zresztą jest pan swobodny, może pan przejść się po mieście, rozpatrzeć się.

I skorzystałem z tego, błąkałem się nieco po mieście, chodziłem trochę ponad rzeką — szeroką tak, że zaledwie drugi brzeg się rysował. Na rynku, który się znajdował przed hotelem, było dosyć tłumnie. Zauważyłem dużo twarzy z cechą azjatycką: z wybitnemi skroniami i małemi oczami. W jednem miejscu spostrzegłem rozłożone na stoliczku książki. Podszedłem i, przeglądając je, znalazłem parę niemieckich, wydanych jeszcze — o ile przypominam sobie — w końcu 18 stulecia. Jedna z nich zawierała opis jakiejś podróży, druga zaś wspomnienia z czasów rewolucyjnych dyrektorjatu. Kupiłem je prawie za bezcen, kupiłem też znajdujący się tam nowy testament w angielskim języku, oprawny w skórę, w małem wydaniu.

Gdym wrócił do hotelu, po pewnym czasie nadjechał policmajster, mający mi coś zakomunikować, lecz nie przypominam sobie, co to było takiego. W toku rozmowy wziął książki, leżące na stole i przeglądał je. Był to Niemiec, o którym później obszerniej mówić będę. Widząc z tytułu, że jedna z książek zawierała: wspomnienia z czasów rewolucyjnych, zapytał, skąd ją mam. — Kupiłem tu na rynku — odrzekłem. — Zauważyłem, jakby wahanie się, czy ma zabrać książkę, czy nie. Wreszcie, uśmiechając się, położył ją na stole, radząc, abym mniej się zajmował rzeczami rewolucyjnemi.

Wieczorem przyszedł do mnie żandarm, ażeby się pożegnać. Na drugi dzień miał odjechać. Pieniądze, które mu oddano jako moje, o ile pozostały jeszcze, doręczył mi już poprzednio i wziął pokwitowanie. Teraz przyznał się, że z pieniędzy skarbowych zaoszczędził znaczną sumkę i chciał mi z niej część oddać. Oczywista rzecz, że jej nie przyjąłem.

Na drugi dzień zrana zgłosił się do mnie Janowicz (imienia sobie nie przypominam), którego też niedawno przywieziono do archangielskiej gubernji na wygnanie, i zaprowadził mnie do lekarza Chodźki (też imienia sobie nie przypominam). W mieszkaniu, wyglądającem bardzo po kawalersku, na stole stała karafka z wódką i leżały zakąski, kiełbasa, ser, chleb itp. Chodźko sam, szczupły, wysokiego wzrostu, chociaż jeszcze młody, miał już nos nieco zaczerwieniony. Znajomość zaczęła się od potraktowania wódką, przyczem Chodźko tłumaczył, że sam klimat wymaga obfitego jej używania. I używał też jej obficie. Janowicz z tego powodu strawestował bardzo dowcipnie wiersz Karpińskiego. Zapamiętałem tylko początek:

Kiedy ranne wstają zorze,
Chodźko pić zaczyna,
I z karafki, i z butelki
Pije trunek wszelki.

Sam Janowicz, w wieku trzydziestu kilku lat, średniego wzrostu, dobrej tuszy, ruchliwy, gładkiej twarzy. Był wygadany i miał język złośliwy. Miał i zdolności pisarskie, przynajmniej pisał listy długie, dobrą polszczyzną, stylem gładkim i bardzo dowcipnie. Korespondowałem z nim czas pewien. W jednym z listów — przypominam sobie — bardzo dowcipnie opisał swój wyjazd z Archangielska do Chołmogór. W innym liście rozwijał pogląd, że z Moskalami trzeba walczyć wallenrodyzmem. Ja mu też odpisałem obszernie, zbijając skuteczność wallenrodyzmu, który — jak dowodziłem — zwykle kończy się moralnym upadkiem samego Wallenroda. Wywróżyłem mu wówczas niechcący własny jego los, bo o jego zamiarach jeszcze nic nie wiedziałem.

Janowicz był na emigracji, przebywał w Turcji i podczas wojny Krymskiej, agitował przeciwko Moskwie. Kiedy po pokoju Paryskim pozwolono emigrantom wracać do kraju, Janowicz przyjechał do Kijowa i tam zamieszkał. Tymczasem przez poselstwo dowiedziano się, że był wrogim Moskwie agitatorem podczas krymskiej wojny. Wysłano go więc do archangielskiej gubernji na dwa lata na ispytanije, to jest na wypróbowanie. O ile poznałem go w Archangielsku, miał wprawdzie polskie uczucia, ale lubił życie swobodne, hulaszcze, lubił dobrze zjeść, tęgo wypić, romansować na prawo i na lewo, a przytem żartować sobie ze wszystkiego. W Archangielsku — jak się dowiedziałem później — naraził był sobie polską kolonję, a szczególnie kobiety, swoim ostrym językiem. W Chołmogórach, małej mieścinie, musiało mu się bardzo przykrzyć, a szczupły żołd rządowy mógł starczyć tylko na najniezbędniejsze pożywienie. Naraz po pewnym czasie nadeszła wiadomość, że Janowicz przyjął prawosławie i wstąpił do klasztoru. Jak mi później opowiadano, po wstąpieniu do klasztoru ujął sobie rychło archimandrytę pozorami pobożności i skromności, a przytem jako człowiek wykształcony i zdolny wyręczał go w administracji i korespondencji. Nie wytrwał jednak w swojej roli. Był jeszcze braciszkiem, nie zakonnikiem, a tymczasem traktował ich lekceważąco i jątrzył swym ostrym dowcipem. Zdobył więc sobie wrogów, którzy szpiegowali go i donosili o wszystkiem archimandrycie. Dowiedzieli się, że Janowicz sprowadzał sobie wódkę do klasztoru, upijał się i w mieście miał stosunki z kobietami. Możeby mu to wszystko uszło, gdyby po pijanemu wobec mnichów nie zażartował był sobie z archimandryty. Wyrzucono go z klasztoru. Przybył do Archangielska, zamieszkał w części miasta, w Sołombale, na wyspie położonej, ale nie pokazywał się w towarzystwie polskiem. Byłem w tym czasie znów w Archangielsku. Chciał się ze mną widzieć, lecz odmówiłem temu jego życzeniu. Opowiadano, że obdarty przesiadywał po całych dniach w szynkach. Później przestano całkiem o nim mówić i co się z nim ostatecznie stało, nie wiem.

Kiedy przyjechałem powtórnie do Archangielska, Chodźki już nie było, przewieziono go do jakiejś innej miejscowości, i nic następnie o nim nie słyszałem.

W rozmowie, jaka się toczyła między nami, Chodźko i Janowicz radzili mi, abym poprosił gubernatora o wysłanie mnie do Kiemi, ponieważ stamtąd najłatwiej udałoby się uciec do Norwegji. Na drugi dzień po tej rozmowie, przed południem przyjechał policmajster i zabrał mnie do gubernatora Arandarenki. Po wejściu do sali, wkrótce wyszedł Arandarenko i zawiadomił mnie, że stosownie do wyroku zsyłającego mnie do jednego z odleglejszych miast powiatowych, wyznaczył mi Mezeń i że tegoż jeszcze dnia mam wyjechać.

— Jeżeli łaska waszej Ekscelencji — powiedziałem — czy nie byłby tak dobry, zamiast Mezenia, wysłać mnie do Kiemi? Dowiedziałem się, że jest to miasto zasobniejsze i że warunki życia są w nim łatwiejsze.

— Wyznaczyłem już panu Mezeń — odrzekł — i tam pojedziesz. Kiem jest siedzibą staroobrzędowców. Gdybyś pan wszedł z nimi w jakie stosunki, byłby o tem donos, i to mogłoby wielce pogorszyć jego los. Tymczasem w Mezeniu bezpośrednim naczelnikiem pana będzie mój człowiek, i jeżeli zachowasz się pan spokojnie, to da dobrą opinję o panu,

a ja będę mógł postarać się o przeniesienie go do Archangielska.

Widocznie wyczytał na mojej twarzy pewne powątpiewanie, ponieważ dodał:

— Niech pan mi wierzy, że biorę szczery udział w jego położeniu. Gdyby memu synowi wydarzyło się takie nieszczęście, to byłbym bardzo wdzięczny gubernatorowi za wszelką okazaną mu pomoc.

I gubernator dotrzymał obietnicy. Na jego przedstawienie pozwolono mi przenieść się do Archangielska. A nawet później, kiedy nie był już gubernatorem, a został przydzielony do Rady Ministrów w Petersburgu i kiedy ja próbą ucieczki byłem już powtórnie skompromitowany przed rządem, pamiętał jeszcze o mnie. Byłem już w Archangielsku, stół stał przy oknie, i tam coś pisałem. Wtem widzę przyjechał policmajster i zatrzymał się przy mojem mieszkaniu. Byłem już w najgorszych z nim stosunkach, więc się spodziewałem, że coś znowu obmyślił, aby mi dokuczyć. Wszedłszy i przywitawszy się ze mną, usiadł i chytrze uśmiechając się zapytał:

— A wiesz pan, po co przyjechałem?

— Ażeby mi coś przykrego zakomunikować

— Przeciwnie. Zażądano telegraficznie z Petersburga, ażeby przysłać pański artykuł o chowie koni, który był drukowany w „Wiadomościach Archangielskich". Przyjechałem więc zapytać pana, w którym roku i — jeżeli pan sobie przypomina — w jakim miesiącu był on drukowany.

Później dowiedziałem się od zarządcy kancelarji gubernatora, że to Arandarenko w Radzie Ministrów powołał się na ten artykuł.

Aranderenko był Rusinem z połtawskiej gubernji. Czy miał poczucie swej narodowości, nie wiem: Rusinów wszakże protegował. Był groźny dla urzędników: ścigał łapówki, lenistwo, krzywdzenie ubogiego ludu. W obejściu się z urzędnikami, był nieraz brutalem, i nawet z wyższymi zadzierał, co też podobno spowodowało odwołanie go do Petersburga. Dla wygnańców był względny i — można powiedzieć — łagodny. Do Polaków nie żywił nienawiści, czego najlepszym dowodem było to, że rządcą jego kancelarji był Polak Władysław Goryniewski.

Do Archangielska przyjechałem z jednym żandarmem, wyjechałem do Mezenia w towarzystwie dwóch. Nic szczególnego nie przypominam sobie z tej jazdy. Na jednej stacji tylko przypominam sobie, że rozespany, zmorzony snem, wziąłem swoją poduszkę, wysiadając, i wszedłszy do izby, położyłem się na ławie pod oknem. W jednej chwili jednak zeskoczyłem przerażony, całą moją rękę obsiadły pluskwy. Straszna to plaga na północy! Jak mi tłumaczono, gnieździły się one w mchu, którym przetykano spojenia drzewa przy budowaniu domów. Ściany we wnętrzu nawet większej części domów w Mezeniu nie były otynkowane. Przejechawszy Pinegę, wjechaliśmy do tajboły, to jest puszczy leśnej, na setki wiorst wszerz i wzdłuż rozległej. Na całej tej przestrzeni niema siedlisk ludzkich i tylko po drodze były małe izby jako stacje pocztowe ze stajnią dla kilku koni. Zauważyłem, że gdyśmy jechali ptactwo zrywało się do odlotu tylko kiedyśmy się bardzo zbliżyli. Na stacjach w tajbole nic do zjedzenia znaleźć nie można było. Na jednej tylko stacji kupiłem głuszca za jakiś drobny pieniądz. Żandarmi rozłożyli ognisko, dostali kociołek i, oskubawszy głuszca, ugotowali go w wodzie. Nie bardzo smakował, bo nie było chleba, ani żadnej przyprawy. Plagą tajboły w ciepłych miesiącach są komary. Trzeba wciąż się opędzać ich natarczywości, bo przenikają nawet pod ubranie. Miejscowi włościanie, którzy znajdują się w tajbole na stacjach pocztowych, albo którzy przychodzą na polowanie lub obrabianie drzewa, noszą komarniki, to jest worek z gęstej siatki, wkładany na głowę i mają też odpowiednie rękawice. Ci, co siedzą na stacjach, bronią się od komarów także dymem, w tym celu niedaleko od domu są rozpalone i wciąż podtrzymywane ogniska.

Opisywać kraju i ludności nie będę. Opisywałem je — jak już wspomniałem — w „Kłosach", w „Bluszczu", w „Dzienniku Lwowskim", kiedy wspomnienia były jeszcze świeże. Dzisiaj mam je już zamglone mocno, pozapominałem nazwiska, nie jestem pewien co do przebiegu wielu faktów, muszę nadrabiać prawdopodobieństwem, a na sobie przekonywam się, jak ostrożnie trzeba opierać się na świadectwie pamiętników, pisanych w późnym wieku.

Wjechaliśmy do Mezenia. Wygląda raczej jak duża wioska,

aniżeli miasto. Zatrzymaliśmy się przed zarządem miasta — niedaleko od wjazdu. Dom drewniany, piętrowy, ale bardzo skromnego wyglądu. Weszliśmy na piętro, do zarządu miejskiego, zawróciliśmy na lewo. Tam w pierwszym pokoju siedział przy stole jakiś chłopiec w kubraku rosyjskim, — zdaje się bez butów — i pisał coś. Drugi pokój był dość obszerny ze stołem na środku, okrytym zielonym suknem i krzesłami dokoła. Usiadłem w tym pokoju na krzesełku koło okna. Po pewnym, dość krótkim czasie oczekiwania, wszedł już niemłody, szpakowaty, ale krzepki wojskowy i groźnie mnie zapytał, jak śmiałem usiąść w kancelarji, gdzie stało zwierciadło (ukaz cara Piotra I-go oprawiony odpowiednio). Odpowiedziałem, że nie wiedziałem, ażeby to było wzbronione, — i stanąwszy u progu, oświadczyłem, że się do ukazu zastosuję. Zdetonowało to horodniczego, był to bowiem horodniczy Liamin, pułkownik wojskowy. Zaczął tłumaczyć, że nie jest złym człowiekiem, ale ja trwałem przy swojem, stojąc u progu i trzymając ręce — jak moskale mówią — „po szwam", t. j. spuszczone i wyciągnięte w kierunku szwów spodni, zwykła postawa żołnierska.

Dowiedziawszy się o przywiezieniu Polaka Limanowskiego, przyszli dwaj bracia Kompowscy, tameczni urzędnicy i znajomi Liamina i zaprosili mnie do swego mieszkania. O Kompowskich wspominałem, mówiąc o pobycie w Podgórzu. Wówczas poznałem ich, a przynajmniej jednego z nich. Musieli już wówczas służyć w kancelarjach swego powiatowego miasta, Dryssy. Ponieważ urzędnikom jadącym do gubernji archangielskiej, przyznawano pewne przywileje i większą płacę, więc się zgłosili do wyjazdu do tej gubernji.

Było ich dwóch braci, starszy Antoni, młodszy Romuald. Antoni buńczuczny trochę, ale prostszy w stosunkach; Romuald zaś, udający dowcipnisia, mającego dobrą głowę, był więcej przebiegły i samochwał. Zresztą w stosunkach z urzędnikami, nie poniżali się, umieli zachowywać się z godnością i byli uprzejmi. Mnie, jako swemu krajanowi i z wyższego — podług ówczesnych poglądów — towarzystwa okazywali wielką życzliwość. Mieli mieszkanie, złożone z dwóch pokoi i — jak na Mezeń — nieźle umeblowane.

Zaledwiem z nimi pomówił, przyszedł jakiś chłopak, wołając mnie do sądu ziemskiego, gdzie na mnie czeka sprawnik. Wiedziałem już od horodniczego, że jest osobny pakiet od gubernatora do sprawnika i że powinienem mu się przedstawić. Udałem się więc natychmiast do sądu ziemskiego i pamiętny groźnego wystąpienia horodniczego, wszedłem do sali i stanąłem w postawie żołnierskiej u progu. Przy stole siedział wysoki mężczyzna z surową twarzą. Podszedł do mnie i, ująwszy za ramię, podprowadził do stołu i posadził w fotelu obok siebie. Dziwny kraj — pomyślałem w duchu — jeden łaje, że siadłem przed zwierciadłem, a drugi przed takimże zwierciadłem sam mnie sadza.

— Gubernator — mówił sprawnik — przysłał pana na służbę rządową pod moim zwierzchnictwem do sądu ziemskiego. Zajmie pan wakującą posadę wolno-najemnego kopisty. Płaca niewielka, ale spodziewam się, że pan rychło posunie się wyżej. Pracą pana nie zamęczymy i spodziewam się, że będziemy z sobą w dobrych stosunkach. Niech pan sobie teraz wypocznie przez parę dni, a później obmyślimy pracę dla pana.

Wróciłem do Kompowskich uspokojony już co do swojej przyszłości. Zjedliśmy obiad, piliśmy herbatę, kiedy pojawił się znowu chłopak, z powiadomieniem, że sprawnik prosi mię do siebie, do swego mieszkania.

Ubrawszy się w lepsze odzienie, poszedłem do sprawnika. Mieszkanie jego znajdowało się w jednym z piękniejszych domów, chociaż drewnianym. Zajmował całe pierwsze piętro, cztery pokoje. Przyjął mnie bardzo uprzejmie i zaprowadził do swojej żony, która również bardzo uprzejmie mnie powitała.

— Pani gubernatorowa — mówiła — poleca pana moim względom, jako wykształconego i miłego młodego człowieka.

— Bardzo jestem wdzięczny — odrzekłem — tak łaskawej o mnie opinji pani gubernatorowej, lecz nie mogłem na nie zasłużyć, gdyż miałem szczęście widzieć panią gubernatorową, przechodzącą tylko przez salę.

Nie zmniejszyło to jednak uprzejmości sprawnikowej, prosiła mnie, ażebym uważał ich rodzinę jakby pokrewną sobie, że zawsze im sprawię przyjemność, przychodząc do jej domu.

Szwecow — nie pamiętam jego imienia — był, tak samo jak Arandarenko, Rusinem z połtawskiej gubernji. Żona jego była

razem z żoną Arandarenki w jakimś pensjonacie i Szweców przez Arandarenkę został powołany na sprawnika w mezeńskim powiecie. Sprawnik tyle co naczelnik powiatu. Należał on do typu tych urzędników, którzy w tych czasach pojawiać się poczęli, a których typową postać nakreślił Pisiemski w jednej ze swoich powieści. Za największą cnotę w służbie uważali niebranie łapówek, ale jako służbiści surowi byli w przestrzeganiu praw, chociażby to ludności sprawiało krzywdę. W stosunku do podwładnych, a zwłaszcza niższych, był despotyczny. Sam byłem kiedyś świadkiem, jak powtórzył niemal dosłownie scenę, opisaną w jakiemś satyrycznem piśmie rosyjskiem. Kiedy wezwany kopista, tak zwany „wolnonajomnyj pisiec", przyszedł, sprawnik wydał mu jakiś rozkaz.

— Charaszo (dobrze) — odrzekł kopista.

Na to huknął groźnie sprawnik:

— Durniu, ja nie potrzebuję twego zdania, czy dobrze, czy źle.

Zalękniony kopista wymówił:

— Słuszajus. („słucham", co oznacza, że zastosuję się ściśle do rozkazu).

Na to sprawnik:

— Jabym ci pokazał, gdybyś nie usłuchał.

Sprawnik — jak powiedziałem — był Rusinem i protegował Rusinów. W sądzie ziemskim było ich dwóch braci Pokotyłłów.

W stosunkach domowych, z żoną i z dziećmi, był też despotyczny i czasem nie powstrzymywał się nawet w mojej obecności. Względem mnie jednak był bardzo grzeczny. Chciał uchodzić za człowieka wykształconego i postępowego.

Żona jego, pulchna blondynka, dosyć jeszcze młoda, ograniczona, przesądna, nabożna, była dobra i gościnna. Uważała się za należącą do wyższego towarzystwa i mnie jako młodego człowieka z wykształceniem uniwersyteckiem, i tego, co już był w Paryżu, zaliczała do tych, co mogli w tem towarzystwie bywać. Kompowscy przytem, chcąc i sobie dodać większego znaczenia, rozpowszechnili po mieście, że pochodzę z rodziny szlacheckiej, posiadającej dobra ziemskie.

Szwecowowie mieli dwoje dzieci; Olinkę (Olga), ładną dzieweczkę, może osiem lat, cichą, potulną i syna, ładnego blon-

dynka, podobnego nieco do matki, swawolnego i hałaśliwego, ale tylko wówczas, kiedy ojca nie było. Matki się nie obawiał i wyrabiał z nią, co mu się podobało. Był o parę lat młodszy od siostry.

Przyszły mi na myśl słowa Arandarenki, że byłby wdzięczny gubernatorowi, gdyby okazał się względny dla jego syna w tem położeniu, w jakiem ja byłem, — gdym w późniejszych latach dowiedział się o losie tych dzieci. Byłem w Genewie, kiedy do tego miasta przyjechał Aleksander Zawadzki, który był na wygnaniu w Syberji. Przywiózł on listę wygnańców rosyjskich. Czytając ją, napotkałem nazwisko Szwecowych.

— Jak im na imię? — zapytałem Zawadzkiego.

— Siostra nazywa się Olga, brat Siergiej — odrzekł.

— Czy nie były to dzieci sprawnika mezeńskiego?

— Tak, byli oni w Mezeniu.

Później Romuald Kompowski, który przybył także niby prześladowany do Genewy, opowiadał mi o stosunkach Aleksandra Żardeckiego, o którym następnie wspomnę, z rodziną Szwecowych i o wpływie jego na Olgę. Opowiadanie to zamgliło się wielce w mej pamięci, lecz — zdaje mi się — że mówił o wzajemnej ich do siebie miłości.

Nie miałem zamiaru korzystać ze względów Szwecowych i stać się częstym ich gościem. Przeciwnie, zamierzałem, o ile można, rzadziej bywać i trzymać się zdaleka. Lecz to okazało się poprostu niemożliwem. I jeżeli kilka dni z rzędu nie byłem u Szwecowych, przysyłali do mnie z zaproszeniem i wymawiali mi, jakobym miał pewną niechęć ku nim. Oprócz uczucia gościnności, a może uwzględniając życzenia gubernatora, była też i inna osobista dla nich przyczyna. Sprawnik tak się postawił wysoko i daleko w stosunkach z innymi urzędnikami, że Szwecowowie nie mieli — można powiedzieć — żadnego towarzystwa. W długich wieczorach, nie mając żadnej w mieście rozrywki, nudzili się poprostu. Towarzystwo więc moje urozmaicało nieco monotonność ich życia. Szwecow i Szwecowa lubili przytem grać w karty, a nie mieli z kim. Grywałem więc z nimi wieczorami w preferansa. Oczywista rzecz, że działo się to dla zabawy, a nie dla korzyści, a więc stawki były bardzo małe, i ostatecznie w wygranych i przegranych zachodziła równowaga. Kiedy przy-

byłem do Mezenia, — było to w końcu sierpnia, albo na początku września — piękne dni słoneczne zachęcały do przechadzek, i Szwecowowie, w kilka dni po moim przyjeździe, zaprosili mnie do wspólnej wycieczki za miasto. Pojechaliśmy więc nad rzekę Mezeń i tam na dużej łące, przy gęstwinie rosnącej łozy, nastawiano samowar i wydobyto sutą ilość rozmaitych przekąsek. Dzieci biegały po łące, a my, siedząc, żywą prowadziliśmy z sobą rozmowę. Wogóle nie mogę powiedzieć, ażeby mi się sprzykrzył mój stosunek do Szwecowów. Zachowałem o nich dobrą pamięć, a szczególnie o samej pani Szwecowowej.

Przez czas, dość krótki zresztą, mieszkałem razem z Kompowskimi, lecz nie czułem się dość swobodny w swych zajęciach, więc wynająłem był pokój w pobliżu; nie długo jednak byłem tam i wynająłem mieszkanie, z dwóch pokoi złożone, w domu po drugiej stronie ulicy naprzeciw mieszkania Kompowskich. Stołowałem się u nich, tylko zrana pijałem herbatę prawdopodobnie u siebie, chociaż szczegółu tego nie pamiętam. Kompowscy, którzy wyjechali z kraju, kiedy jeszcze istniało poddaństwo, przywieźli z sobą ze wsi swojej poddanego, Białorusina Adamka. Był to dziwnego rodzaju chłopak. Mógł mieć około lat 16-tu, ale wydawał się znacznie młodszy. Spełniał on u Kompowskich czynność lokaja, po części kucharza, a nawet po części i furmana, ponieważ Romuald kupił konia i codziennie zrana chodził go opatrywać — jak się chwalił sam z tego powodu. Adamkowi nie było źle u Kompowskich, chociaż krzyczeli czasem na niego niepotrzebnie, w czem ich mitygowałem. Do mnie miał wielkie zaufanie. Był dziecinnie naiwny i śmiał się wciąż głupkowato. Czy z dziecinnady, czy też z pociągu jakiego, wciąż gdzie mógł, węglem rysował jakieś karykatury. Besztano go za to, ale on śmiał się głupkowato i robił swoje. Później, kiedy poddaństwo zniesiono, a Kompowscy przenieśli się do Archangielska, nie wiem już w jaki sposób dostał się on na służbę do archimandryty w klasztorze Sołowieckim. Archimandryta ten był rodem z Białej Rusi, więc odezwało się w nim uczucie rodzinne i był dla Adamki, jako dla Białorusina dobry, lecz Adamkowi nudziło się tam, przytem był katolik, więc wrócił do Archangielska, gdzie był kościół. Było to przed samym moim wyjazdem. Zachodził do nas, nakarmiliśmy go, czasem w czemś usłużył i za to dostał trochę pieniędzy. W tym czasie poszukiwał służby. Co się z nim następnie stało, nie wiem.

W mieszkaniu, wynajętem ostatnio przeze mnie, przebywałem aż do końca pobytu w Mezeniu. Od zimna nie cierpiałem, ponieważ opału nie żałowano, gdyż drzewo tam w bardzo małej było cenie. Umeblowanie było więcej niż skromne. Jeden stolik na którym leżały moje książki i na którym pisałem, i dwa, a może conajwięcej trzy, drewniane krzesełka najprostszej roboty. Przez czas pewien nawet sypiałem na podłodze. Wówczas zrobiłem spostrzeżenie nad pewnym objawem zmyślności pluskiew. Ażeby się do mnie dostać, nie tylko przyłaziły ku mnie po podłodze, lecz nawet, wylazłszy na sufit, spadały na to miejsce, gdzie się znajdowałem. Broniłem się od nich, jak mogłem. W każdym razie mniej ich było u mnie, aniżeli u Kompowskich. Raz, widząc Romualda, rzucającego się i tarzającego się na łóżku, chociaż snem twardym ogarniętego, zbliżyłem się do niego i z przerażeniem ujrzałem całą gromadę pluskiew, które go obsiadły i gryzły. Od lekarzy słyszałem, że pluskwy dla tamecznej północnej ludności są w pewnym względzie zapobiegawczym środkiem przeciwko szkorbutowi. Zwłaszcza odnosi się to do tej ludności, która w lutym wyrusza ku brzegom oceanu dla połowu fok. Są tam pobudowane małe izdebki, w których członkowie wyprawy się mieszczą. Pracują ci ludzie tylko podczas krótkiego dnia, a przez resztę czasu, śpią ciągle, pozostając bez ruchu, co nader szkodliwie wpływa na zdrowie. Pluskwy, zmuszają ich do ciągłego ruchu: tarzanie się i oganianie się rękami, przyczynia się do żywszego obiegu krwi w całym organizmie.

W kancelarji ziemskiego sądu sekretarzem był Piotr Pokotyłło, otwarta głowa, rezolutny; był prawą ręką Szwecowa, chociaż niedopuszczony do domowej poufałości. Naczelnikiem stołu był Antoni Kompowski. Romuald był także w sądzie ziemskim, czy też gdzie indziej służył, nie mogę przypomnieć sobie. Registratorem był Andrzej Pokotyłło, ordynarny, prosty, lubiący opowiadać o sprawach seksualnych, — zresztą do tego wszyscy mieli pociąg. Do pomocy sprawnikowi byli dodani dwaj zasiedatiele, wybrani z pomiędzy włościan kraju pieczorskiego (nad rzeką Pieczorą). Mieli oni — podług prawa — w rozstrzy-

ganiu spraw zabierać głos decydujący na równi ze sprawnikami. W rzeczywistości jednak nie pytano ich o zdanie, lecz kazano tylko podpisywać decyzję. W sądzie nie zasiadali, ale spełniali służbę u sprawnika, rąbiąc drzewo, czyszcząc pokoje i odzienie, chodząc z posyłką itp. Sami oni uważali to za swoją powinność i nie byli z tego niezadowoleni. Przykrzyło im się tylko siedzieć w Mezeniu, a nie w swoich wioskach.

Mnie przez czas pewien nie dawano żadnej roboty. Ta nieokreślona rola sprawiała mi przykrość. Dopominałem się więc o robotę. Wreszcie sprawnik wynalazł ją. Na strychu było archiwum sądu, w którem pozostały jeszcze jakieś stare papiery. Szczególną ciekawość budziła gruba księga, oprawna w skórę, pisana kirylicą ze skróceniami, tak że w sądzie nikt nie mógł ani jej czytać, ani zrozumieć. Sprawnik dał mi tę księgę, abym ją przeczytał i przygotował o niej sprawozdanie na piśmie. Z początku myślałem, że nie podołam tej pracy. Największą trudność przedstawiały skrócenia. Ale powoli doszedłem do ich zrozumienia. Księga ta miała tytuł: „Kabackije knigi" (kabak po rosyjsku znaczy szynk), ale właściwie była to księga cłowa, w której spisywano przywożone i wywożone towary w stosunku handlowym z Norwegją, wogóle z zagranicą. Sprawozdanie z tej księgi, które złożyłem sprawnikowi, odesłał on gubernatorowi do Archangielska i tam je wydrukowano w „Wiadomościach Gubernjalnych Archangielskich" p. t. „O handlu nad Morzem Białem za panowania Anny Iwanówny". Sprawnik, zachęcony tą moją pracą, doręczył mi jeszcze wiązkę okólników i sprawozdań, które streściłem w artykuliku p. t. „O środkach administracyjnych ku polepszeniu rasy bydła i koni za Katarzyny II". Artykulik ten był także drukowany w „Wiadomościach Gubernjalnych" i on to przypomniał się Arandarence podczas jego pobytu w Radzie Ministrów, jak o tem już wspominałem. Co do mnie, to bardzo mało mię obchodziły te prace tak, że zgoła nie przypominam sobie, abym je czytał w druku. I może nawet pamięć o nich zupełnieby się ulotniła, gdyby nie przypomnienie Arandarenki o nich, a następnie moje zdumienie, kiedy później w Warszawie w bibljotece uniwersyteckiej, poszukując źródeł do poznania Białej Rusi, w której spodziewałem się osiąść, w jakimś dziele, wydanem przez Petersburskie Towarzystwo Geograficzne, w sprawie rozmaitych artykułów źródłowych, znalazłem i te obie prace moje. Artykułów tych prawdopodobnie dlatego nie czytałem, że były drukowane podczas mego wyjazdu z Mezenia.

Po ukończeniu tych prac, znowu nie miałem co robić w kancelarji. Upominałem się więc o pracę. Dano mi ją wreszcie — jak się zdaje niedługo przed moim wyjazdem. Awansowano mnie na registratora na miejsce Andrzeja Pokotyłły, który też prawdopodobnie musiał jakoś awansować. Praca registratora polegała na tem, ażeby wchodzące i wychodzące papiery wpisywać do księgi z oznaczeniem numeru, treści i adresu, oraz wychodzące papiery ekspedjować, t. j. wkładać do kopert, nadpisywać adres i pieczętować. Ta ostatnia czynność przez dość długi czas nie udawała mi się, z czego koledzy czynili sobie żarty. Z awansem na registratora, pensja moja miesięczna znacznie się powiększyła, i nadano mi pierwszą rangę urzędniczą: koleżskiego registratora. To ostatnie przyprawiało mnie o kłopot. Trzeba było złożyć przysięgę na wierność, a tego wcale sobie nie życzyłem. Kompowscy jednak załatwili tę sprawę. Przy pomocy kilku rubli srebrnych wmówili oni miejscowemu popowi, że skrupuły moje religijne nie pozwalają przed nim składać przysięgi, i on uwierzył czy też udał, że wierzy i napisał świadectwo, żem złożył przysięgę. Z kilku słów sprawnika uważałem, że on domyślał się czegoś o krętactwie mojej przysięgi.

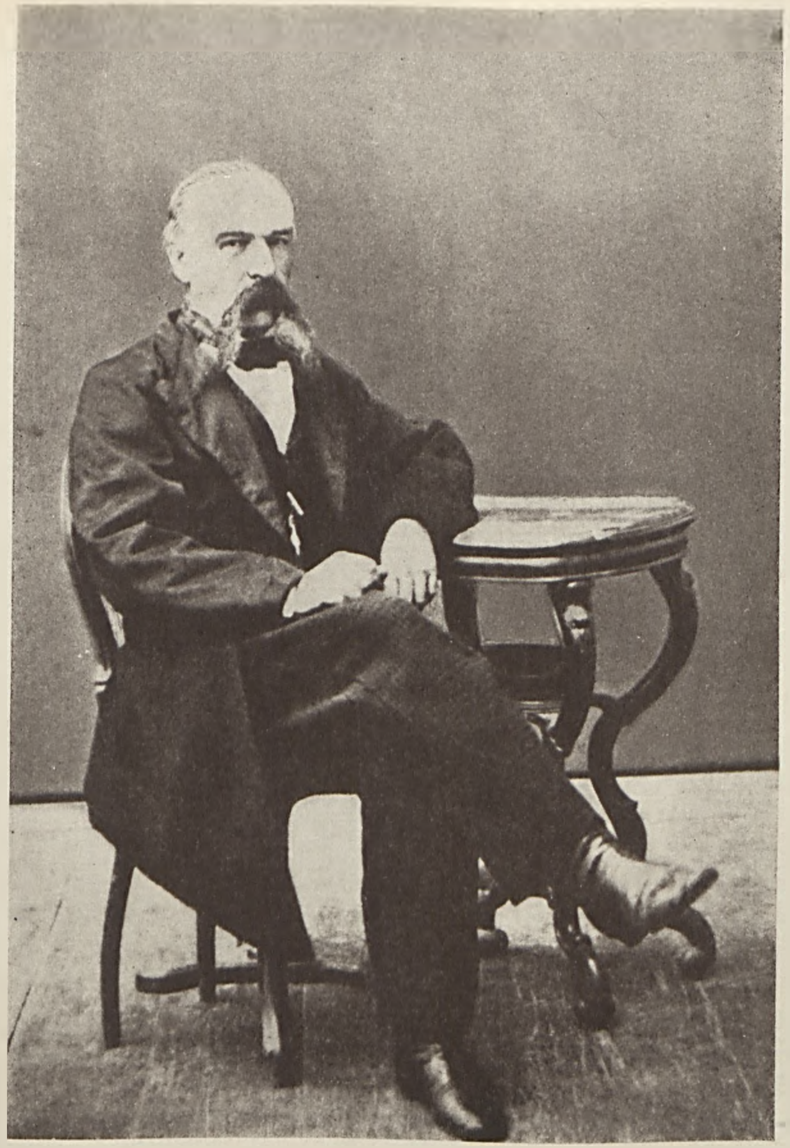
Jak już wzmiankowałem, przybyłem do Mezenia w końcu sierpnia, a może na początku września. Pogoda była piękna, dni jeszcze ciepłe. Lubiłem rzeczną kąpiel, lecz do rzeki Mezeni trudny, prawie niemożliwy dostęp. Codziennie odbywał się w niej znaczny przypływ i odpływ. Nie to jednak stanowiło najważniejszą przeszkodę, lecz bagniste jej brzegi. Trudno było znaleźć miejsce, gdzieby można było wejść do wody, nie grzęznąc w błocie. Poszedłem więc za przykładem Kompowskich i chodziłem z nimi urządzać sobie szczególnego rodzaju kąpiel. Braliśmy z sobą konewki i szliśmy za miasto, gdzie w pewnej odległości sączył się strumień niemal źródlanej czystości. Strumień ten sięgał może po kostki a w każdym razie nie dochodził kolan. Rozebrawszy się, wchodziliśmy do tego strumienia i oblewaliśmy się całkowicie jego wodą. Była to przyjemna, orzeź-

wiająca kąpiel ,a zarazem i przechadzka, ponieważ od miasta do strumienia była dość znaczna odległość. Dopóki służyła pogoda, odbywałem codziennie te przechadzki, podczas których — jak to zauważyłem — w czasie mojej młodości, a nawet i później — zwykle bywałem bardziej ożywiony i rozmowny. Oprócz Kompowskich, towarzyszył mi dość często w tych przechadzkach urzędnik — o ile sobie przypominam — z kancelarji horodniczego — Hejdenrejch. Wydał mi się sympatyczny, i zjednywałem go ku zasadom rewolucyjnym. Przypominam sobie, że raz opowiadałem mu treść 3-ciej części Dziadów Mickiewicza, a szczególnie improwizację Konrada. Później, nie przypominam sobie, posądzono tego Hejdenrejcha o coś brzydkiego i moje z nim stosunki się urwały. Chodziłem też kilka razy i w przeciwną stronę za miasto. Tam w dość znacznej odległości były zarośla, wśród których znajdowały się czernice. Raz przypominam — w niedzielę w tych zaroślach napotkałem sporo kobiet, zbierających jagody.

Rozpoczęła się wreszcie zima. Największą przykrość sprawiała długo trwająca ciemność. Dzień bardzo krótki, jakiemś szarem tylko światłem przyświecał. Pomimo trzaskających mrozów, zimno niebardzo dokuczało. Nie żałowano drzewa, które sposobem kradzionym sprowadzano z lasów rządowych i palono w piecach dwa razy: zrana i wieczorem. W izbie było ciepło. A gdym szedł na przechadzkę, tom się ubierał po samojedzku. Raz, gdym tak ubrany, spotkał horodniczego i powitał go, ten przystanął, rozglądał się i wreszcie zawołał:

— Nie poznałem pana, zupełnie jak zbójca wyglądasz.

Wypocząwszy z udręczeń moralnych w więzieniu, oswoiwszy się z warunkami wygnania, postanowiłem zużytkować — o ile można — korzystniej tę przymusową bezczynność moją na polu usiłowań naukowych. Czasu swobodnego od zajęć kancelaryjnych miałem dużo. Oprócz Szwecowych mało gdzie jeszcze bywałem, więc i wieczory często przepędzałem w domu. Już w uniwersytecie przyzwyczaiłem się wcześnie wstawać i po wypiciu paru szklanek herbaty, czułem się najlepiej usposobiony do pracy umysłowej. Weszło to u mnie w nawyknienie, w drugą naturę, i tylko zrana do południa praca poważna, a jeszcze bar-



Władysław Dmochowski
Woroneż 1867 r.



Romual Kułakowski
Pawłowsk

dziej twórcza, szła lekko i pewnie. Po południu, po obiedzie, przyzwyczaiłem się sypiać, czytałem powieści, gazety, a wieczorem, po wypiciu herbaty, pisałem listy, robiłem wyciągi z książek lub przygotowywałem materjał do tego, co miałem opracowywać na drugi dzień zrana.

Już dawniej w Moskwie i w Dorpacie, marzyłem o utworzeniu nowej nauki o życiu społecznem na wzór tego, co dawała fizjologja i psychologja o życiu pojedyńczego człowieka. W Dorpacie zacząłem był nawet systematycznie przygotowywać się do tego. W Mezeniu, czytając jakiś miesięcznik rosyjski, zdaje się „Sowremiennik", dowiedziałem się z żalem, że nie będę odkrywcą, czyli raczej założycielem nowej nauki, ponieważ nauka ta została już ukształtowana, i fundamenty dla niej położył August Comte, o którego filozoficznej działalności także dopiero w tej głuchej mieścinie dowiedziałem się. Tembardziej teraz postanowiłem stanąć w szeregu pracowników nowej nauki, przez Comte'a socjologją nazwanej, i moje już dawniejsze pomysły ułożyć systematycznie i poddać ściślejszej rozwadze i krytyce. Nie spieszyłem z wykonaniem tej mojej pracy; odbywała się ona bardzo powoli, tembardziej że brak był prawie zupełny dzieł, z którychbym mógł czerpać potrzebne mnie fakty dla sprawdzenia logicznych moich wywodów. Chcąc jednak, by nie zachodziła przerwa w tej mojej pracy, postanowiłem codziennie chociażby tylko kilku wierszami powiększać mój dorobek piśmienny. Wyjeżdżając z Mezenia miałem już około 10 arkuszy zapisanych. W Archangielsku nie pisałem dalej, przytem rękopis ten — jak o tem dalej opowiem — zabrano mi, i zdawał się on być stracony. Zwrócono mi go wprawdzie — zdaje się jednak — nie w całości. Dzisiaj pozostało tylko parę kartek. Praca ta mezeńska pod względem naukowym nie miała wartości, ale bardzo dobroczynnie oddziałała na mnie samego. Dzięki jej urobiły się i ugruntowały moje poglądy społeczne, wytknęła się do ich rozwoju dalsza droga a przytem nauczyłem się systematycznej pracy w wytkniętym przez siebie kierunku. Czytając „Wyznania" Rousseau, widzę, że i ja miałem niektóre te same trudności w myśleniu, co i on. Przeczytawszy pewną dla mnie ważną książkę, zapominałem o wielu faktach, mających silną łączność z tym przedmiotem, nad którym pracowałem. Ażeby uniknąć

tego i dopomagać uważnemu czytaniu, zacząłem odbywać te ostatnie w ten sposób, że przeczytawszy ustęp, w kilku słowach notowałem liczbę stronicy i jego treść ołówkiem na skrawku papieru. Wielce ułatwiało mi to czynność sprawozdawczą. Stałem się w ten sposób sumienniejszy od wielu sprawozdawców, którzy często przypisywali autorowi to, co się wytworzyło w ich własnych głowach.

Oprócz zajęcia się socjologją postanowiłem napisać sprawozdanie z „Historji Inflant" Ruttenberga, którą mnie matka w paczce z innemi przywiezionemi z Paryża i pozostawionemi w Podgórzu rzeczami przysłała. Był to pierwszy tom dzieła Ruttenberga, ale dla mnie był on najważniejszy, bo zawierał historję Inflant aż do połączenia ich z Polską i Litwą. Przeczytałem tę książkę uważnie i streściłem ją obszernie. Dopiero w Archangielsku na podstawie tego obszernego sprawozdania i zapoznania się z Volumina Legum, gdzie była mowa o przyłączeniu Inflant, napisałem sprawozdawczą ocenę i wysłałem do świeżo założonego w Warszawie przez Kraszewskiego miesięcznika p. t. „Przegląd Europejski". Ocena ta była wydrukowana i oznaczona inicjałami B. L. a może i wcale nieoznaczona — nie przypominam sobie tego, ale wiem z pewnością, że wymienione było w końcu: Archangielsk, albowiem gdym zapytał Wasilewskiego, o którym później mówić będę, czy otrzymał on nowy numer „Przeglądu Europejskiego", ten odpowiedział: „Otrzymałem już i jest tam pański artykuł", chociaż o wysłaniu tego artykułu nikomu nie mówiłem.

I jeszcze w Mezeniu napisałem kilka korespondencji do „Gazety Polskiej", której redaktorem był Kraszewski. Zaraz po przyjeździe do Mezenia, zaprenumerowałem ją. Zdaje się, że jedna tylko z moich korespondencji była drukowana, — podpisana: Exul. Napisałem ją — o ile przypominam sobie — dowiedziawszy się o pięknem postępku szlachty podolskiej, która z wykupów włościańskich za ziemię potrąciła pewien procent, przyczem, jako o wzorze dla szlachty, rozpisałem się szeroko o „Sejsachtei" Solona, o czem świeżo czytałem. Dwie zaś moje korespondencje nie były wydrukowane. Pierwsza była oddźwiękiem oburzenia na wstępny artykuł „Gazety Polskiej", opisujący tryumfalny objazd Irlandji przez królową angielską, z czego wnioskowano, że Irlandczycy pogodzili się ze swoim losem. Nie dziwiłem się poniekąd, że tego artykułu nie drukowano, tembardziej że i cenzura rządowa mogłaby go nie dopuścić. Drugi, niedrukowany również artykuł był spowodowany notatką w tejże gazecie, donoszącą w sposób wydrwiwający o wyborze kobiety na prezydenta, czy też na inny urząd w stanie Jowa w Ameryce. Napisałem dość obszernie, że dążenie kobiet do równouprawnienia zasługuje raczej na poparcie, aniżeli na drwiny. Redakcja dała mi na łamach pisma krótką odpowiedź mniej więcej w tych słowach: artykułu nie drukujemy nie dlatego, by pod literackim względem nie zasługiwał na to, lecz dlatego, że niesłusznie posądza redakcję o niesprzyjanie emancypacji kobiet; owszem, jest ona za emancypacją, ale rozsądną.

Nigdzie nie pisałem tak dużo listów, jak w Mezeniu. Wynikało to z dwóch powodów. To, co przynosiła poczta, było dla mnie największą rozrywką i przyjemnością. Przysłane listy z rozkoszą odczytywałem. A rozumiałem dobrze, że chcąc je otrzymywać, muszę sam dużo pisać. I pisałem też niemal do wszystkich znajomych osób. Nie ośmielałem się tylko pisać ani do panien Łepkowskich, ani do Helenki. Drugim powodem było to, że sercem i myślą żyłem w kraju ojczystym, chciałem podzielać wszystkie jego troski i nadzieje, a nawet podług możności być mu użytecznym. I w listach moich, oprócz tych do matki, braci i Zaborowskich, nie tyle pisałem o sobie i o mieście, ile o rozmaitych potrzebach i zadaniach w związku z poparciem usiłowań narodowych.

Poczta przychodziła do Mezenia raz na tydzień. Przychodziła po południu ku wieczorowi i dopiero w niedzielę zrana ją roznoszono. Siedząc przy stoliku i pisząc przy lampie — ciemno było bowiem jeszcze — drgnąłem, gdym usłyszał na chodniku skrzypienie śniegu. Kroki się zbliżały i oto słyszę, jak ktoś idzie po schodach na piętro, a więc do mego mieszkania. Wchodzi listonosz i przynosi paczkę gazet, zaprenumerowałem bowiem „Gazetę Polską", przynosi listy a czasem i awizację na posyłki. Była to uczta duchowa prawie na cały tydzień. Nie było poczty, ażeby nie było listu, a czasem bywało ich kilka. Odczytywałem je kilkakrotnie, czego już później nigdy nie robiłem. Większość tych listów zniszczyłem przed ucieczką z Archangielska.

Zachowałem tylko niektóre, i te albo ugrzęzły w Petersburgu, dokąd wszystkie znalezione przy mnie podczas ucieczki papiery odesłano, albo też poginęły w mojej tułaczce po świecie. Z tych listów znalazłem w moich papierach 3 stronniczki z listu Dubieckich, list Sławińskiej i list włościan podgórskich, wszystkie pisane już w następnym roku 1862-im do Archangielska.

Nie przypominam sobie, w jaki sposób zawiązała się korespondencja moja z Marjanem Dubieckim. Była to jedna z tych, do których najwięcej interesu przywiązywałem. Dubiecki pisał obszernie o naszych stosunkach krajowych i dawał wiele pożytecznych i rozumnych wskazówek. Brat jego, Aleksander, krótko i to niezawsze, dopisywał się na liście.

Na Wielkanoc przysłano mi z Wołogdy, gdzie przebywali moi bracia, zbiorowe pozdrowienie od wszystkich wygnańców. Oddałem je przed kilku laty wraz z kilku listami osób, mającemi już historyczne znaczenie, do działu rękopisów Bibljoteki Jagiellońskiej.

Jak już wspominałem — było i kilka posyłek. O jednej z nich od matki już mówiłem. Bracia też mi coś przysłali. Zacna Sławińska przysłała trochę książek polskich których zupełny brak silnie odczuwałem. Ze sobą przywiozłem tylko dwie książki: książkę do nabożeństwa i Statut Litewski, który przestudjowałem w Mezeniu. Kompowscy nie bawili się w literaturę, chociaż Romuald chwalił się swojem oczytaniem. W każdym razie książek polskich nie mieli. „Gazeta Polska", jakkolwiek czułem jej wielką cenę dla mnie, nie starczyła za książki. Benedykt Dybowski przysyłał mi parę książek niemieckich, z których jedną „Wojnę Trzydziestoletnią" Szyllera uważnie przeczytałem. Dybowski nie tyle dla potrzeby wysłał mi książki, jak raczej dla korespondencji, na wzór tej, jaką w więzieniu prowadziliśmy. Zaraz to spostrzegłem, ponieważ w jednej z tych książek ujrzałem kropki pod cyframi roku wydania. Otworzyłem wskazaną stronicę i przekonałem się, że jest wykropkowany list. Odczytałem go. Zajęło mi to sporo czasu. Byłem jednak z tego bardzo zadowolony. Dybowski udzielał mi wiadomości o współwięźniach wileńskich, o swoim pobycie w Dorpacie, dokąd pozwolono mu pojechać, dla ostatecznego uzyskania stopnia doktora medycyny, wreszcie donosił nieco o sprawach publicznych. Wiele z tych

rzeczy mógł w liście zwykłym napisać, lecz widocznie i jemu konspiracyjny sposób udzielenia wiadomości sprawiał pewną przyjemność.

Nie mogę powiedzieć, ażebym nie miał co czytać. Miałem dosyć książek, ale wszystkie w języku rosyjskim. Dostawałem je, jeżeli nie wyłącznie, to w każdym razie przeważnie, od młodego nauczyciela szkoły powiatowej, Aleksiejewa. Był to miły w stosunkach, chciwy wiedzy, zwolennik „Sowremiennika", pisma wówczas najpostępowszego, którego był prenumeratorem. Dostarczał mi książek z bibljoteczki szkoły, ale prócz miesięczników z lat ostatnich było tam niewiele książek, mających większą wartość. Były w rosyjskiem tłumaczeniu „Historja Powszechna" Webera którą przestudjowałem, „Historja Grecji" — Grotte'a, wreszcie pismo rosyjskie: „Propileje", bardzo starannie redagowane przez Leontjewa, z tłumaczeniami i oryginalnemi artykułami o życiu starożytnych ludów, z pomiędzy których najwięcej mi się wraziła w pamięć opowieść samego redaktora o kobietach, czyli raczej cesarzowych rzymskich, podług Tacyta. Oprócz tego, otrzymywałem „Petersburskije Wiedomosti", gazetę codzienną, i „Syn Otieczestwa", tygodniowe pisemko popularne.

O tem pisemku już wspominałem, mówiąc o mojej cioci Karolinie. Wówczas nie interesowałem się niem i nawet nie wiem, czy zdarzało mi się je czytać. W Mezeniu mocno mnie zajęło. Było tanie, popularne i bardzo dobrze redagowane. Były tam powieści oryginalne i tłumaczone, a przytem dużo wiadomości pożytecznych, ciekawych i aktualnych. Wzbudziło to we mnie chęć założenia podobnego pisemka w polskim języku, skoro wrócę do kraju. O ile przypominam sobie, pisałem o tym projekcie do Marjana Dubieckiego. W późniejszym czasie, po powstaniu, założył w Warszawie Adam Wiślicki coś w rodzaju tego pisemka, chociaż w znacznie skromniejszych rozmiarach.

W zawieraniu znajomości nie byłem łatwy. Oprócz Szwecowych i Aleksiejewa, bywałem jeszcze u horodniczego i Prugawina dyrektora szkoły powiatowej, ale bardzo rzadko i prawie zawsze tylko wtedy, gdy zostałem zaproszony. Horodniczy, chcąc zatrzeć przykre wrażenie, jakie sprawił na samym wstępie, złożył mi wizytę i usilnie mnie zapraszał do siebie. Lubił on przyjmować gości, dobrze z nimi zjeść i wypić i w gruncie był

nawet dobrym człowiekiem. Przez dłuższy czas stał on z pułkiem w Mińsku i zachował miłe wspomnienia o Polakach, a szczególnie o Polkach. Żona jego, otyła, niemłoda i herodowego wyglądu kobieta, szczyciła się tem, że była córką szlachcica-dziedzica (pamieszczyka) w nowogrodzkiej gubernji, i mnie też okazywała wielkie względy jako szlachcicowi-dziedzicowi. W jaki sposób poznałem się z Prugawinym, nie przypominam sobie, prawdopodobnie przez Aleksiejewa. Znajomość ta ułatwiała mi korzystanie z bibljoteki szkolnej. Prugawin, człowiek rozumny, oczytany, miał w sobie i w sposobie swego życia coś starorosyjskiego. Jak się zdaje, pochodził on z niższych warstw ludu. Interesował się głównie życiem starowierców; może to jego nazwisko rozbrzmiewało później w literaturze rosyjskiej jako znawcy ich życia. Żony swojej nie prezentował i nie przypominam sobie, czy zdarzyło mi się kiedyś ją widzieć. Byłem zaproszony na jego imieniny. Towarzystwo było tylko męskie. Uczta obfita i złożona z samych potraw rosyjskich: pierogi, kulebiaki itp.

Jakkolwiek Kompowscy, którzy bywali w wielu domach urzędniczych, uprzedzili dla mnie bardzo korzystnie opinję, nie uczyniłem żadnego kroku dla rozszerzenia kręgu mych znajomości. To, co słyszałem o tych ludziach, wcale mnie nie pociągało. Opowiadano o nich takie sceny, jakie czytałem w „Gubernskich Oczerkach“ słynnego rosyjskiego satyryka, Szczedryna. Wówczas sądziłem, że sporo było w tem prawdy. W Mezeniu przekonałem się, że to były żywe typy. Od znajomienia się z innymi urzędnikami wstrzymywało mnie po części i stanowisko Szwecowych, jakie wobec nich zajmowali.

Jako znajomego wypada mi jeszcze wymienić miejscowego lekarza powiatowego. W mieście przezywano go Szarykiem. Zaznajomiłem się z nim w ten sposób, że raz, kiedy siedziałem w sądzie ziemskim, zbliżył się do mnie jakiś szpakowaty mężczyzna, uderzył mnie dłonią w kolano tak, że od bólu aż podskoczyłem i zawołał przytem: „Herr Kolega.“ Słynął on z tego, że był zawsze pijany. Raz w jakimś interesie potrzebowałem jego poświadczenia. Poradzono mi, ażebym poszedł do niego przed godziną ósmą zrana, gdyż tylko o tej porze zastanę go trzeźwego. Istotnie tylko co był się obudził i leżał jeszcze w łóżku. Załatwiłem z nim sprawę i miałem już wychodzić, kiedy mię zatrzymał na dłuższą pogawędkę. Wstawszy i umywszy się, przedewszystkiem zwrócił się do karafki z wódką. Chciał mnie potraktować, lecz powiedziałem, że zrana nigdy nie pijam. Nalał więc sobie szklankę i odrazu ją połknął. W ciągu godziny naszej rozmowy wypił z jakie trzy szklanki i mogłem obserwować, jak coraz bardziej warjackie brednie zaczęły mącić rozsądne i zajmujące opowiadanie o czasach jego studjów lekarskich. Nazywano go Szarykiem z powodu pieska, z którym chodził i który tak się nazywał. Skoro tylko pojawił się na ulicy, chłopcy zaczynali wołać na niego: Szaryk, Szaryk, a on uganiał się za nimi. Sprawiało mu to widocznie miłą rozrywkę. Raz bowiem, posłyszawszy okrzyk: „Szaryk“ — wyjrzałem z okna: chłopców nie było, a ukryty za węgłem lekarz sam w ten sposób nawoływał. W rezultacie chłopcy powyskakiwali zewsząd i rozpoczęła się gonitwa.

Do Kompowskich i do mnie zachodził często żołnierz z miejscowej załogi, Mazur Andrzej Sulima. Lubiliśmy go i on nas lubił i nieraz w tem i w owem był nam pomocny. W całem mieście cieszył się sympatją, był bowiem golibrodą i fryzjerem, naprawiał zegarki, od biedy sprawował czynności krawieckie, a przedewszystkiem był muzykiem, bez którego żadna zabawa, żadne wesele obejść się nie mogło. Był wesoły, żartobliwy, coś w rodzaju Figara *Beaumarchais*'go. Nazywaliśmy go szachrajem: „Sulima szachraj“ i on sam szczerze śmiał się i powtarzał: „Sulima szachraj“. Z powodu swej użyteczności, był dosyć śmiały w stosunkach z urzędnikami. Raz na jakiejś uczcie u horodniczego, wszyscy mocno podochoceni wołali do Sulimy: „zagraj nam coś dobrego i wesołego“. On też był już wypił kilka kieliszków, więc nie namyślając się, wyrżnął im na skrzypcach: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na to przyskoczył do niego jeden z urzędników i groźnie zawołał: „Jak ty śmiesz, łajdaku, grać taką pieśń buntowniczą?“ Posłyszawszy to, horodniczy, cały czerwony od gniewu, zaciskając pięści, krzyknął: „Ja tu jestem gospodarzem, ja rozkazuję. Nie lękaj się, Sulima i graj dalej“. I nasz szachraj z całym zapałem rżnął dalej na skrzypcach.

Nasza kolonijka polska, złożona ze mnie, z Kompowskich, Sulimy i Adamka, obchodziła świątecznie listopadówkę we własnem zamkniętem kółku. Wieczór odbył się w mieszkaniu Kom-

powskich. Gospodyni ich ugotowała nam małą beczułkę piwa, które nie miało mocy alkoholu, ale bardzo nam smakowało. Była i wieczerza. Ponieważ pomysł tego obchodu wyszedł odemnie, więc przypuszczam, żem ją poprzedził przemową o samem powstaniu. Śpiewaliśmy pieśni patrjotyczne. I przypominam sobie, że wszyscy byli zadowoleni z tego wieczoru. Coś dowiedział się o tem i sprawnik, bo mię zapytywał o to zebranie. Nie pamiętam, com mu odpowiedział.

Kolonję tę naszą powiększyło dwóch nowo przybyłych: Henryk Sykłowski i Lukis. O ile przypominam sobie, było to już ku końcowi zimy.

Sykłowski, młody chłopak, co najwięcej lat osiemnastu, był przysłany w drodze administracyjnej pod dozór policyjny za udział w manifestacjach patrjotycznych w Lublinie. Dobry chłopak, przytem i łobuz ogromny. Umiał sporo dykteryjek i piosenek bardzo nieskromnej treści. Zamieszkał razem ze mną. Znalazłszy gdzieś kotka małego, pozostawionego na ulicy, przyniósł, odżywił go i całemi godzinami z nim się droczył. Kotek go bardzo lubił, i skoro posłyszał na schodkach jego kroki, siadał już u drzwi na progu. Kotek ten lubił się bawić. Nieraz, gdy chodziłem po pokoju, rozmyślając o czemś, on siadał na krzesełku i gdym się zbliżał, łapką mnie zaczepiał. Mieliśmy i psa, który w jakiś sposób przyplątał się do nas i pozostał naszym współmieszkańcem. Pamiętam raz pocieszną z nim scenę. Włościanin, sprzedawszy mi zastrzelonego zająca, położył go na podłodze. Pies zaczął go oglądać i obwąchiwać. Nieznacznie posunąłem zająca, jakby podchodził do psa. Pies cofnął się wylękniony, najeżyła mu się sierść, wyszczerzył zęby. Ja posuwałem coraz bardziej zająca, wreszcie pies umknął.

Już nie przypominam sobie, z jakiego powodu przybył Lukis do Mezenia. Prawdopodobnie przeniesiono go na jakiś urząd w tem mieście. Sprowadził go do archangielskiej gubernji Aleksandrowicz, Polak, który był sprawnikiem w powiecie mezeńskim przed Szwecowym. O tym Aleksandrowiczu dużo opowiadali Kompowscy. Był to birbant i ze swoją kochanką niemal publicznie urządzał w mieście sceny birbanckie. Lukis był prawie w tym samym wieku, co Sykłowski. Przystojny, układny, zainteresował mię od początku, tem bardziej, że pochodził z po-

wiatu połockiego, a więc względnie z sąsiednich okolic. Wkrótce wszakże zachowaniem się swojem odstręczył mnie od siebie. Widocznie Aleksandrowicz przyczynił się do zdemoralizowania go.

Ponieważ Sykłowski był prawie w tym samym wieku, co i Lukis, a przytem obaj mieli chętkę do życia łobuzerskiego, więc się zbliżyli do siebie i wspólnie zabawiali, włócząc się po nocach. Czyniłem z tego powodu wyrzuty Sykłowskiemu, a że i z innych względów nie mogliśmy się często pogodzić, więc wyprowadził się odemnie do Lukisa i z nim zamieszkał. Wkrótce jednak ich przyjazne stosunki urwały się. Obaj mieli bardzo niewiele pieniędzy, a chęć wydatkowania ogromną. Z wielkim swojem przerażeniem spostrzegł Sykłowski pewnego poranka, że znikły pieniądze, które nosił w swojem ubraniu. Skierował odrazu podejrzenie na Lukisa. Nic mu jednak nie mówił, lecz dopiero, kiedy położyli się spać i kiedy Lukis zasnął, wówczas wstawszy po cichu, przeszukał jego odzienie i zabrał pieniądze, które tam znalazł. Kiedy mi to opowiedział, nie pochwaliłem jego postępku, lecz widocznie Lukis czuł się winnym, bo nietylko nic nie wspomniał o zniknięciu pieniędzy, ale unikał nawet spotkania się z nami. Sykłowski, zerwawszy z Lukisem, znowu przeprowadził się do mnie.

Łobuzerstwo przyprawiło Sykłowskiego o bardzo przykrą awanturę. Nastąpiło to jednak już po moim wyjeździe z Mezenia. Na miejscu Liamina, który prawdopodobnie został spensjonowany, został horodniczym dosyć jeszcze młody wojskowy — Polak, — nazwiska jego nie pamiętam. Widziałem go w Archangielsku, gdy jechał na posadę i omal nie miałem z nim awantury. Na wieczorze u kogoś z urzędników podszedł do mnie i zaprezentował się jako Polak. Rozpoczęła się pogawędka a przy niej było jeszcze kilka osób. Mówił wciąż o sobie, chwalił się nieustannie, i jako czyn bohaterski podawał, że się zemścił na jakimś szlachcicu na Litwie, znieważając go przy pomocy żołnierzy pozostających pod jego władzą. Oburzyło mnie to, powiedziałem mu więc, że taki brutalny i moskiewski postępek wcale mu chwały nie przynosi. Zerwał się z miejsca, gwałtownie zapytując, com powiedział? Lecz obecni przytrzymali go, ja odszedłem, a w tej chwili podszedł do mnie Goryniewski, naczel-

nik kancelarji gubernatora, i ująwszy pod ramię, odprowadził, by mi coś zakomunikować. Ponieważ powszechnie było wiadomo, że Goryniewski był prawą ręką gubernatora, więc widocznie ochłodziło to gorączkę nowomianowanego horodniczego i powstrzymało go od wszczęcia awantury. O ile sobie przypominam, uprzedziłem Sykłowskiego, by się miał na ostrożności z nowym horodniczym. Nie poskutkowało to jednak, horodniczy, który był także łobuzem, lecz gorszego gatunku, przyciągnął Sykłowskiego jako kompana do siebie. Razem więc hulali. Po pijanemu pogniewali się, i Sykłowski coś mu powiedział obraźliwego. Horodniczy przywołał policjantów i kazał go wsadzić do ciemnicy, gdzie sadzano pijaków i złodziejów. Opowiedziałem o tej awanturze Goryniewskiemu, Goryniewski opowiedział gubernatorowi i — korzystając z nowej jakiejś awantury horodniczego — kazano mu podać się do dymisji.

Po wyjeździe moim z wygnania do Warszawy, Sykłowski odwiedził mnie parę razy, ofiarując swoje usługi, był wówczas kelnerem w jakiejś restauracji. Później wyjechał do Moskwy, mając tam przyrzeczone jakieś zyskowniejsze zajęcie. Od tego czasu już nic o nim nie słyszałem.

Kobiety mezeńskie nie były trudne w udzielaniu swych względów, ale muszę na ich pochwałę powiedzieć, że bodźcem ku temu było upodobanie, na możność zysku były obojętne. Dziewczyna łatwo oddawała się chłopcu, który jej się podobał. Jeżeli została matką nieślubnego dziecka, nic jej to w opinji nie szkodziło. Żony lękały się mężów, którzy wogóle byli zazdrośni i nie ufali swym połowicom, lecz gdy nadarzyła się sposobność, a ubiegający się o względy był dosyć przystojny i natarczywy, to niebardzo się wzbraniały przed obdarzeniem go swą łaską. Mówię tu o chłopskiej ludności Mezenia. O ile w swej sferze, kobiety dawały się łatwo pozyskać, o tyle nie tak łatwo wchodziły w bliższe stosunki z młodzieżą urzędniczą.

Miałem parę utarczek w mieście: jedną z powodu żałoby, drugą z powodu adresowania listów po polsku.

Będąc jeszcze w Warszawie, kazałem klapy tużurka obszyć białą tasiemką na znak żałoby, którą powszechnie nosić zaczęto. W tym tużurku mnie aresztowano w Wilnie i w tym tużurku przywieziono do Archangielska i do Mezenia. Chodziłem

więc wszędzie z oznaką żałobną i nikt mi z tego powodu uwag nie robił. Kompowscy postanowili także ujawnić żałobą, swoje uczucia patrjotyczne i przyszli w tużurkach, obszytych białemi tasiemkami do Aleksiejewa. Zdaje się — były to jego imieniny. Zgromadziło się sporo ludzi i ja też tam byłem. Przeciwko noszeniu żałoby przez Kompowskich zaprotestowali niektórzy urzędnicy, grożąc czynnem wystąpieniem. Wywiązał się ostry spór i ja się w to wmieszałem. Nie przypominam sobie, jak się wszystko skończyło. W każdym razie ważniejszych następstw nie było.

Listy adresowałem po polsku, z podaniem miejscowości po rosyjsku, jeżeli były one przeznaczona do naszych prowincji. Z początku nie czyniono z tego powodu żadnej przeszkody. Raz jednak, gdy przyszedłem na pocztę, naczelnik powiedział, że listów, adresowanych po polsku, przyjmować nie będzie. Protestowałem przeciwko temu, chciałem położyć list na stole, on przeszkodził i list upadł na podłogę. Nie podniosłem go i wyszedłem z poczty. Wychodząc zagroziłem, że wyślę skargę do gubernjalnego dyrektora poczt. Skargę wysłałem, ale oczywiście odpowiedziano, że skarga moja była bezpodstawna. W chwili oddawania przezemnie listu Stasiuk, Rusin z pochodzenia, był widocznie czemś podrażniony, bo nie był złym człowiekiem. Upuszczony mój list odesłał podług adresu i następnie nie czynił już trudności z powodu polskiego adresowania.

Kiedyś też otrzymałem poważną przestrogę od sprawnika. Przyczyną była żartobliwa propozycja, jaką uczyniłem Sitnikowi przybyłemu do Mezeni w celach misjonarstwa prawosławnego.

Sitnikow, pochodzenia i zawodu kupieckiego, przyjechał w celach nawracania pogan Samojedów na prawosławie. Już sam wygląd zewnętrzny wskazywał marną osobę. Głupkowaty, zbliżający się do typu czczonych przez pospólstwo rosyjskie tak zwanych „jurodiwych", właściwie idjotów, a przytem chytry, udawał wielkiego nabożnisia, ale przytem był do cna rozpustny. Cynicznie też wychwalał się, że w swych pielgrzymkach do miejsc świętych upatrywał ładne bogomołki. O skuteczności jego propagandy misjonarskiej świadczy fakt, jaki ze śmiechem sam opowiadał: Ażeby kiedyś przekonać Samojeda o konieczności

ności prawosławia, pokazał mu tani druk obrazkowy, przedstawiający piekło, w którem ludzie smażyli się w kotłach ze smołą, a rogaci djabli widłami podtrzymywali ogień pod kotłami.

— Widzisz — mówił Sitnikow do Samojeda — to są Samojedzi poganie. I ty tak będziesz siedział w kotle ze smołą, jeżeli nie zostaniesz prawosławnym.

Samojed wpatrywał się w obrazek i wreszcie ucieszony zawołał:

— Wriosz (łżesz) — to nie Samojedzi siedzą, to Moskale. Samojed niema takiej wielkiej brody.

Na obrazku byli ludzie z dużemi brodami, a Samojedzi mają mały zarost.

Pomimo że urzędnicy żartowali sobie z Sitnikowa, obawiano się go i uwzględniano jego żądania. Miał on bowiem w Petersburgu silną protekcję w wysokich sferach, zwłaszcza u arystokratek, mniej lub więcej szczerze wierzących w nadziemską jego misję. W Mezeniu miał też klijentkę w żonie Szwecowa. Karmiła go, poiła i w ręce całowała. Szwecow jako rozumny człowiek wyrzuciłby go za próg, lecz obawiał się jego wpływów w Petersburgu. Sitnikow więc nieraz był wprost zuchwały. Kiedy mu raz Szwecowa odmówiła czegoś, on się rozgniewał i narysował na bramie ich domu jakieś krzyże jako oznakę potępienia. Opowiadano, że Szwecowa na kolanach go błagała, aby pozmazywał te krzyże.

Otóż raz u Kompowskich opowiadał on, że będzie propagował w Rosji, ażeby dano pomoc chrześcijanom prawosławnym w Bośni i Hercegowinie, wówczas bowiem wybuchło tam powstanie przeciwko Turkom. Pochwaliłem ten piękny jego zamiar i przy tem powiedziałem, śmiejąc się:

— Wiesz pan co? Niech pan urządzi tu wyprawę morską i zabierze nas, mnie i Sykłowskiego. Pójdziemy tam chętnie bić się z Turkami.

Sitnikow opowiedział to Szwecowi, Kiedy ten zwrócił mi uwagę, zawołałem:

— Ależ to był żart, wszyscyśmy się śmiali.

— Panowie żartowali, ale gdyby był donos, to mogłyby wyniknąć dla pana bardzo przykre następstwa. Lepiej więc mieć się

na ostrożności i w takich sprawach nie żartować — powiedział surowym głosem Szwecow.

W czasie mego pobytu, przejeżdżała przez Mezeń wyprawa naukowa, złożona z kilku osób i udająca się do kraju zapieczorskiego t. j. znajdującego się za rzeką Pieczorą. Kierownik tej wyprawy Kruzenstern, były dorpatczyk, okazał mi życzliwość i zaproponował udział w wyprawie. Ponieważ potrzebne było na to przyzwolenie sprawnika, więc Kruzenstern zwrócił się w tej sprawie do niego. Sprawnik jednak odpowiedział, że bez zgody gubernatora, on sam tego uczynić nie może. Spełzło więc wszystko na niczem, chociaż wycieczka za Pieczorę nęciła mię bardzo.

Wogóle, prócz spacerów w pobliżu miasta, tylko kilka razy zdarzyło mi się robić nieco odleglejsze wycieczki. Raz z Kompowskimi i z chłopami wziąłem udział w polowaniu na kuropatwy. Było to jakoś na początku zimy. Śniegu było dużo, ale nie okrzepł on jeszcze mocno. Wyruszyliśmy na nartach do lasów odległych o kilka godzin drogi. W jednym miejscu, osunąwszy się z nart, wpadłem w śnieg tak głęboki, że z trudem z niego się wygrzebałem. Po wejściu do lasu, kazano nie oddalać się nazbyt, ażeby nie zbłądzić. I tak jednak, gdy już się ściemniło, nie wiedziałem, w którą stronę mam się skierować i dopiero strzałami wskazano mi drogę.

Drugi raz pojechałem z Kompowskimi w odwiedziny do znanego im architekta, czy też mierniczego, który mieszkał, w wiosce, o kilka godzin drogi odległej. Zajechaliśmy, gdy już noc zapadła. Mróz był tęgi. Niebo roziskrzone gwiazdami. Ale ubrani w malice i pimy, nie odczuwaliśmy zimna; owszem z pewną przyjemnością odbywałem tę jazdę.

Trzeci raz udałem się na sankach samojedzkich — zdaje się — wspólnie z Sykłowskim do tundry, celem zwiedzenia szumów samojedzkich. Tę moją wycieczkę opisałem szczegółowo w „Bluszczu“ warszawskim w artykule p. t. „Samojedzi.“

Smutno, często przygnębiająco płynęły godziny zimowe. A jednak o ileż to było znośniejsze od więzienia? Boleśnie się odczuwało oderwanie od osób, z któremi uczucia i dążenia zespalały, i pobyt wśród obcego, a często wrogiego otoczenia. Rwał się człek do kraju, do pracy narodowej, tymczasem ani wieści

dokładnych stamtąd mieć nie mógł, ani też swemi myślami w całej otwartości nie miał z kim się podzielić.

Z kraju przychodziły często bardzo smutne wieści. Silnie odczułem wiadomość o śmierci Helenki. W marzeniach jej przyszłość splatała się z moją. Kochałem ją. Widziałem w niej towarzyszkę, przyjaciółkę, współpracowniczkę.

Wieści, nadchodzące z kraju o prześladowaniach moskiewskich, o karach pieniężnych za śpiewy patrjotyczne w kościołach, o stanie wojennym, ogłoszonym na Litwie, oburzyły i wzmagały chęć zemsty. Myśl o ucieczce wciąż kiełkowała. Z upodobaniem czytałem opowiadania o usiłowaniach odzyskania swobody. Wówczas wpadły mi w ręce opowiadania Casanowy, jak starał wydobyć się z więzień weneckich, opowiadania o Garibaldim, powieść Wiktora Hugo, której bohater Marjusz ratował się ucieczką przez kanały ściekowe w Paryżu.

Powieść „Nędznicy" upamiętniła się w mem życiu. Drukowana w „Gazecie Polskiej" wprost z rękopisu autora wywarła — jak o tem już gdzieindziej pisałem — silne wrażenie na mój umysł. Przy równoczesnem rozważaniu kwestji społecznych, ku czemu pisanie socjologji mnie skłaniało, powieść ta żywem przedstawieniem niesprawiedliwości społecznej, dziejącej się w dzisiejszym układzie stosunków ludzkich, wprowadziła mnie na tę drogę, która zmierzała do socjalizmu. Następnie w Archangielsku jeszcze raz przeczytałem ją z żywem zajęciem w oryginale francuskim, wydanym w Brukseli. Spostrzegłem, że w tłumaczeniu polskiem, niezawodnie z powodów cenzuralnych, oprócz drobnych opuszczeń, został pominięty jeden z najpiękniejszych rozdziałów: o spiskowcach stowarzyszenia ABC (po francusku abaissés — poniżeni).

Krótkie, szare, posępne dni zimowe przypominały jednostajnością życie więzienne. Brak wrażeń przytłaczał gnębiącą nudę. Jedyne — można powiedzieć — bezpośrednie wrażenie sprawiały wspaniałe zjawiska zorzy północnej. Pomimo silnych mrozów całemi godzinami nie schodziłem z ulicy, przypatrując się rozmaitym cudnym kształtom, w jakie ona nieustannie się przeobrażała. Zamierzałem nawet zająć się naukowem ich opisaniem i zbadaniem, gdyby z konieczności wypadło mi w tem mieście i następną zimę przebywać.

Słońce, które przez długi czas wcale się nie ukazywało, wreszcie poczęło wyglądać. Dni stawały się coraz dłuższe, jaśniejsze, noc przestawała niemal istnieć. Śniegi topniały, poruszyły się wody, ustała komunikacja pocztowa. Wciąż wychodziliśmy na drogę, oczekując niecierpliwie przybycia pożądanych wieści. Minął prawie miesiąc tego napiętego oczekiwania. Wreszcie jednego pięknego, słonecznego dnia doczekaliśmy się poczty. Niemal całe miasto wyszło na ulicę i cieszyło się radośnie. Nie schodziłem z ulicy, wyczekując aż się pojawi listonosz. Wtem zbliża się do mnie chłopiec kancelaryjny i powiada, że sprawnik mnie woła, ażebym natychmiast przyszedł. Poszedłem więc spiesznie. Skoro sprawnik mię spostrzegł wchodzącego, powitał mnie radośnie:

— Winszuję panu, nadeszło od gubernatora rozporządzenie, że zostaje pan przeniesiony na służbę do Archangielska. Wydam odpowiednie rozporządzenia. Termin wyjazdu od pana samego zależy.

A więc po ośmiu miesiącach pobytu w Mezeniu miałem opuścić to miasto i o 500 wiorst zbliżyć się do stron rodzinnych.

ROZDZIAŁ IX

ARCHANGIELSK

(1862 — 1866)

Podróż moją z Mezenia do Archangielska opisałem .:o lat temu. Dzisiaj cały obraz tak się zamglił, że kilka tylko wydatniejszych punktów spostrzegam. Nawet nie pamiętam, czy z Mezenia, czy też z dalszej stacji pocztowej wsiedliśmy do czółna i dalej płynęliśmy rzeką. O ile przypominam sobie, towarzyszyło mi dwóch policjantów, którzy mieli mnie pilnować i posługiwać mi. Noce były jasne, bo wyjazd mój z Mezenia musiał przypadać już na koniec maja. Rzeka Mezeń już puściła i tylko drobna kra jeszcze płynęła. Policjanci z rozmaitych kożuchów urządzili łoże, spałem smacznie ukołysany pluskiem wioseł, trzeszczeniem toczącej się kry i szmerem płynącej wody. Jechaliśmy przeciwko wodzie. Płynęliśmy też w piękny, słoneczny dzień; czółno ciągniono a przytem także wiosłowano. Prawdopodobnie tak jechaliśmy do miejsca, gdzie rzeka Mezeń w najmniejszej jest odległości od rzeki Pinegi, dopływu prawobocznego rzeki Dźwiny. W miejscu tem znajduje się nad rzeką Pinegą miasto powiatowe tejże nazwy. Od rzeki Mezeni do miasta Pinegi odbywaliśmy karkołomną podróż wozem, wózkiem, jednokółką. W Pinedze zatrzymałem się. Parę dni przesiedziałem w szpitalu, wcale dobrze utrzymanym. Jak przez sen wydaje mi się, że lekarzem był Chodźko. Prawdopodobnie dręczył mnie katar. Przytem niemiłosierny świerzb zmuszał do należytego oczyszczenia ciała. Z kożuchów, wśród których smacznie spałem, robactwo przewędrowało do moich włosów i do mojej odzieży. Kiedy zdjąłem koszulkę flanelową, przeraziłem się jego mnogością. W szpitalu ostrzyżono mię, wyczesano, gruntownie w łaźni obmyto. Włożyłem czystą bieliznę i odzież oczyszczoną. Tak odświeżony wyruszyłem w dalszą podróż. Rzeką



Katarzyna z Manteufflów Kułakowska
Pawlowsk



Adolf i Izabella z Falkowskich Kuncewiczowie
Pawlowsk

Pinegą płynęliśmy szybciej, bo z wodą. Wspaniały był widok, gdyśmy wpływali w szeroką przestrzeń wodną rzeki Dźwiny. Chociaż była bardzo wczesna godzina, słońce świeciło już na jasnem, bezchmurnem niebie. Kiedy wszedłem do izby przewoźnika, cała rodzina dość liczna spała pokotem na podłodze. Od Chołmogorów, leżących na lewym brzegu, oddzielała nas prawie tylko szerokość rzeki. Z Chołmogorów jechaliśmy już tylko pocztą.

Pobyt mój w Archangielsku można podzielić na dwa okresy: przed ucieczką i po ucieczce. Miały one bardzo odmienny charakter. Pierwszy okres trwał rok tylko. Był on pełen nadziei, życie towarzyskie pociągało mnie w swój wir, byłem zapraszany, witany niemal wszędzie z uprzedzającą uprzejmością. W drugim okresie, który trwał prawie pięć lat, było wiele ciężkich, bolesnych, niemal rozpaczliwych chwil, stosunek towarzyski wielce się zmienił. W pierwszym okresie w domach mających panny na wydaniu, widziano we mnie raczej młodego urzędnika, przed którym otwierała się szeroka karjera, aniżeli wygnańca bez przyszłości. W drugim okresie przestałem być urzędnikiem, zostałem tylko wygnańcem bez żadnych środków do życia.

Przybywszy do Archangielska, oczywiście przedstawiłem się natychmiast władzom. Z pieniędzy rządowych, które sprawnik doręczył mi na podróż, pozostała dość znaczna sumka. Zrobiłem więc rachunek wydatków i, włączywszy tę sumę, oddałem wszystko Goryniewskiemu, jako naczelnikowi kancelarji gubernatora.

— Co pan wymyśliłeś? — oświadczył Goryniewski, zwracając mi i rachunek i pieniądze, — nikt tego nie robi i rząd wcale tego nie wymaga. Oszczędzanie to już była rzecz pańska. Zwrot przez pana pieniędzy sprawiłby nam tylko kłopoty. Bierz je pan, jako rzecz własną.

Od Goryniewskiego też dowiedziałem się, że przeniesienie moje do Archangielska zawdzięczam Arandarence. Z powodu wydanego rozporządzenia, ażeby po miastach gubernjalnych organizować komitety statystyczne, przedstawił on w Petersburgu, że uważa mnie za jedynego urzędnika, odpowiedniego do pracy statystycznej i powołał się na moje artykuły mezeńskie.

W Petersburgu więc zezwolono na mój pobyt w mieście gubernjalnem.

Zanim jednak sprawa komitetu statystycznego ostatecznie została uregulowana, zostałem przydzielony do kancelarji gubernatora. Goryniewski umieścił mnie w biurze, naczelnikiem którego był Mejn (jeżeli mnie pamięć nie myli), brat jego żony. Właściwie było nas tam tylko dwóch, a wogóle pracy było mało, Mejn zaś nie dawał mi zgoła żadnej. Kiedym jej żądał, Goryniewski mówił:

— Co panu tak pilno do pracy? Niech pan tymczasem weźmie „Swod Zakonów" i studjuje go. Później to się bardzo przyda.

Chodziłem więc może z jakie parę tygodni do kancelarji i studjowałem „Swod Zakonów". Ale to mi się przykrzyło, przytem czułem się skrępowany wobec kolegów, — więc prosiłem znowu o wyznaczenie mi pracy. Ponieważ Mejna przeniesiono gdzieindziej, więc Goryniewski oddał mi zarząd wszystkiemi sprawami, które przychodziły do tego biura. I stała się rzecz dziwna. Wygnańcowi powierzono, pomiędzy innemi mniej ważnemi aktami, rozporządzenia poufne, dotyczące spraw politycznych i stosunków pomiędzy starowiercami. W tym czasie, kiedy tam byłem, nadsyłano dosyć często okólniki, nakazujące aresztować wskazane osoby, gdyby się one pojawiły na granicy. Większa część tych okólników dotyczyła Polaków. Wymienione były nazwiska i zewnętrzne oznaki, po których możnaby było poznać wskazane osoby. Kancelarja gubernatora miała ze swojej strony wysyłać skopjowane z nadesłanego okólniki do sprawników w pogranicznych powiatach: kiemskim, oneżskim i mezeńskim. Wywiązywałem się po wallenrodowsku z tego zadania. Skoro tylko widziałem możność, chowałem okólnik do aktów i tam czekał on swej kolei odesłania do archiwum. Jeżeli jednak tego uczynić nie można było, to w wysyłanych okólnikach przekręcałem nazwisko i oznaki, ażeby utrudnić rozpoznawanie tych osób, które chciano pochwycić. Co prawda, nie było słychać, ażeby kto próbował przebywać tę granicę.

Korzystając z tego, że mogłem żądać z archiwum przysyłania spraw dawniej załatwionych, wydobyłem wszystkie dokumenty, dotyczące Romualda *Podbereskiego*, który jako wygnaniec mieszkał i umarł w Archangielsku. Na podstawie zaczerpniętych wiadomości z tych dokumentów oraz na podstawie usłyszanych opowiadań, — ponieważ były jeszcze osoby, które go znały i miały z nim stosunki — napisałem podczas mego pobytu we Lwowie cały ustęp o Podbereskim we „Wspomnieniach wygnańca", drukowanych w „Dzienniku Lwowskim". Oprócz tego umieściłem także w „Przyjacielu Domowym" Stupnickiego — jego życiorys wraz z wizerunkiem pomnika, znajdującego się na cmentarzu w Archangielsku.

Raz tylko w tej kancelarji znalazłem się w kłopotliwem położeniu. Gubernatorowa zamierzała przesłać jakiemuś stowarzyszeniu dobroczynnemu podziękowanie w języku francuskim. Ułożono ten list w języku rosyjskim i dano mi do przetłumaczenia. Lękliwie przystąpiłem do tłumaczenia, tembardziej, że nie było słownika francuskiego. Poszło to jednak łatwiej, anizelim się spodziewał, i przypuszczam, że rażących błędów nie było. Najtwardszym orzechem do zgryzienia był podpis. W oryginale rosyjskim napisano: sługa. Dzisiaj, gdybym miał tłumaczyć ten list, nie wahałbym się użyć zwykłego zakończenia listów francuskich: „Agréez" i t.d. Wówczas jednak silny w tym względzie odczuwałem skrupuł. Po pewnym wahaniu się, machnąłem: servitrice. I zdaje się, wszystko uszło dobrze, albowiem o żadnych poprawkach i zmianach nie słyszałem.

Posada w komitecie statystycznym ominęła mnie. Dowiedziawszy się od Goryniewskiego, że gubernator pragnie statystyka zrobić równocześnie i urzędnikiem do szczególnych zleceń, przyznałem się mu, że wcale mi się nie uśmiecha konieczność częstego stykania się z wysoką władzą. Istotnie przez cały przeciąg mego życia czułem pewną lękliwość w stosunkach z tymi, od których byłem zależny. Może było to następstwem wpływu gimnazjum moskiewskiego, a może częściowo poczuciem ambicji, ażeby nie doznać jakiegoś upokorzenia. Wolałem zawsze być dalej od wszelkich swoich szefów. Kiedy więc pojawił się nowy konkurent — czyli raczej istotny konkurent, bo ja nim nie byłem, — w osobie Czubińskiego, Goryniewski mógł przyczynić się do decyzji gubernatora, tem bardziej, że Czubiński był to Rusin z połtawskiej gubernji i znawca prawa jako mający stopień kandydata (wyższy stopień) praw z uniwersy-

tetu petersburskiego. Mnie zaś awansowano na „naczelnika stołu“ w zarządzie gubernjalnym. W kancelarji gubernatora sprawiałem zarząd pierwszego „stołu“ de facto, lecz nie de jure. W zarządzie gubernjalnym stałem się „naczelnikiem stołu“ (stołonaczalnik) de jure i z wyższą pensją. Skrzywdzony więc nie byłem.

Położenie moje w zarządzie gubernjalnym nie było przykre. Musiałem pilnować się godzin urzędowych, — chociaż jeżeli się zdarzyło, żem się spóźnił lub nieco wcześniej wyszedł, patrzano na to pobłażliwie. Do stołu, którego naczelnikiem zostałem, wpływały sprawy, niewymagające długiego badania i rozważania. Wszystko się kończyło dość prędko, i spraw zaległych nie było. Miałem dwóch pomocników, którzy robili potrzebne wyciągi i kopjowali. W stosunku z nimi byłem grzeczny, pobłażliwy nawet, ale do poufałości z sobą nie dopuszczałem. Obaj byli młodymi kancelistami o bardzo małem wykształceniu, kierowali się jedynie własnym interesem. O młodszym, niemającym jeszcze lat 20, opowiadano, że się ożenił jedynie dlatego, bo na weselu mógł do syta pohulać, najeść się przysmaków, a napić się nawet ponad miarę. Mój stół należał do oddziału, którym kierował radca Chacewicz, Polak. Ze mną jako z rodakiem był nawet w osobistej znajomości. Nie był to ani zły, ani przykry człowiek. Więcej się troszczył o własne zdrowie, aniżeli o bieg spraw urzędowych. Pierwszą jego czynnością, kiedy przychodził na posiedzenie, było spojrzeć na swój język w dużem lustrze, które się znajdowało naprzeciw mego stołu po drugiej stronie sali. Dopiero później odpowiadał na ukłony urzędników. Z prawa przewodniczącym w zarządzie gubernjalnym był gubernator, lecz nader rzadko się pojawiał. Jego miejsce zastępował wice-gubernator. Był jeszcze dość młody, układny, chcący uchodzić za liberalnego, lecz niewykraczający ponad miernotę. Miał żonę urodziwą i wykształconą. Czubiński kochał się w niej, stał się jej cavaliere servante i w domu wice-gubernatora częstym bywał gościem. Sprawy mego stołu — jak już wzmiankowałem — nie wymagały wytężenia umysłu. Raz tylko — jak sobie przypominam — była sprawa więcej skomplikowana z powodu rozbicia się statku norweskiego koło brzegu powiatu kiemskiego. Studjowanie „Swodu Zakonów“, które

mi zalecał Goryniewski, przydało się wówczas, jak się przydawało i później w innych wypadkach. Przekonałem się bowiem, że w olbrzymiej liczbie paragrafów niemal zawsze można znaleźć taki którytby się stosował do danej sprawy. Mój referat w sprawie statku norweskiego, poparty paragrafami Swodu Zakonów, uzyskał podobno dobrą notę, co mogłoby posłużyć mi w dalszej karjerze. Lecz właśnie o tej karjerze wcale nie myślałem. Zupełnie co innego snuło mi się w głowie.

Niewątpliwie Archangielsk wygląda dzisiaj inaczej, niż za czasów mego pobytu. Na kilka lat przed ostatecznym moim wyjazdem z Paryża, ktoś — podejrzewam, że to była Wojciechowska, bardzo miła i sympatyczna osoba — przysłała mi co najmniej ze 20 widoków Archangielska. Z początku przypatrywałem się im, wcale nie poznając miejscowości niegdyś tak dobrze mi znanych. Później zacząłem zwolna przypominać sobie, ale nowe gmachy, zmiany w obrazie utrudniały to przypominanie. A przecież mieszkałem tam cztery przeszło lata, wydeptałem wszystkie ulice, a niektóremi codziennie po kilka razy przechodziłem.

Wynająłem mieszkanie na ulicy Luterańskiej, niemal w środku siedziby ludności niemieckiej. Na jednym końcu tej ulicy był kościół luterański. Dom, w którym mieszkałem, należał do Moskala i był jednym z nowszych domów. Obok był piękny drewniany dom Fontejnesa, największego potentata wśród kupiectwa niemieckiego, naprzeciw był domek wdowy Rinig, która tam mieszkała z dwiema córkami, siostrami żony Goryniewskiego.

Dom, w którym mieszkałem, był piętrowy. Ja zamieszkiwałem na piętrze. Były tam dwie odrębne części. Apartament do wynajęcia i lokal samego gospodarza. Łączyły się one z sobą, apartament wszakże miał osobne frontowe wejście. Składał się ten apartament z trzech pokoi i z kuchni. Dwa pokoje, jeden duży, drugi trochę mniejszy, łączyły się z sobą i miały okna zwrócone na ulicę. Trzeci pokój mały był wyodrębniony. Z mniejszym frontowym pokojem łączyła się przez drzwi obszerna jasna kuchnia. Dlaczego opisuję te szczegóły, uwydatni się to w dalszem opowiadaniu.

Wynająłem mniejszy frontowy pokój z kuchnią. Ta ostatnia

nie była mi wcale potrzebna, ale ponieważ większy pokój mógł być wynajęty, więc tylko przez kuchnię miałem wejście i wyjście. Meble, jak łóżko, stół i parę krzeseł, miał dać gospodarz. Pochodził on z włościan. Podejrzewam, że skłaniał się to starowierstwa. Wysokiego wzrostu, miał brodę niemal do pępka, ale zwykle ukrywał ją poza kaftan. Mógł mieć około lat 50-ciu, był milczący, niechętny do pogadanki, czem się zajmował, nie wiem. Przez czas dwuletniego mieszkania w jego domu nie doznałem od niego żadnej przykrości. Żona jego, mogąca mieć 40 lat, była łagodną, pracowitą i bierną istotą. dzieci nie było. Podług umowy zapewniłem sobie nietylko mieszkanie, ale i stołowanie. Rano i wieczorem przynoszono mi samowar i pieczywo. Obiad gotowała gospodyni, ona też kupowała potrzebną żywność. Wymówiłem sobie codziennie dwa dania: jednego dnia — kapuśniak, najczęściej z grochem i ze słoniną, i naleśniki albo bliny; drugiego dnia: pieczeń i kaszę hreczaną z mlekiem, ulubioną moją potrawę. Czasem, chociaż bardzo rzadko, było jakieś urozmaicenie. W dni postne — a wówczas obserwowałem posty, — mięso zastępowały ryby, — najczęściej treska (flondra) jako najtańsza i powszechnie używana na północy, do której przyzwyczaiłem się w Mezeniu, przezwyciężywszy odrażający jej zapach.

Dość rychło apartament począł się zapełniać. Kompowscy przenieśli się do Archangielska i zajęli większy pokój. Mały pokój wynajął Biernacki, którego przysłano na wygnanie pod dozór policyjny. Z powodu tego Biernackiego miałem wyrzuty sumienia, ale o tem — potem. Wreszcie w późniejszym czasie zamieszkał z nami wygnaniec ks. Koziorowski. O nim też powiem obszerniej w dalszym ciągu. Gospodarstwo było wspólne. Od czasów przybycia Kompowskich, oni zajmowali się wszelką dyspozycją gospodarczą. Piliśmy herbatę i jedliśmy obiad razem w kuchni. Czubiński, mówiąc raz o współce naszej, nazwał ją: kolonja katorżno-zsylnych, i ta nazwa podobała się innym i upowszechniła się tak, że na zapytanie: dokąd idziesz? — odpowiadano zwykle: do kolonji katorżno-zsylnych.

Pierwsza noc, przepędzona w tem mieszkaniu, pozostała mi w pamięci. Nie było jeszcze łóżka, a w kuchni był długi stół. Urządziłem więc sobie na nim posłanie i już zasypiałem, kiedy

zbudził mię jakiś niezwykły szum. W tym czasie — t. j. w ostatnich dniach maja albo pierwszych czerwca — w Archangielsku nie bywa wcale ciemności nocnych, tak że siedząc przy oknie, można nawet czytać. Było więc widno. Otworzywszy oczy, ujrzałem całą gromadę snujących się stworzeń, niemal tak wielkich jak myszy. Były to karaluchy. Wspominam o tem, bo ani przedtem, ani potem tak wielkich nie widziałem.

Przyzwyczaiłem się był już dawniej wstawać rano, I praca moja umysłowa, zwłaszcza twórcza, zrana tylko była rzetelnie wydajna. Wstawszy rano, mogłem przed wyjściem do biura, pracować w domu parę godzin. Po obiedzie czułem się ociężałym, przyzwyczaiłem się sypiać, a później czytałem gazety, powieści, wogóle to wszystko, co nie wymagało większego napięcia uwagi. Wieczorem albo szedłem dokądś, albo ktoś do mnie przychodził. Starałem się wszakże nieraz i wieczorami pracować, ale to szło trudniej niż z rana, szczególnie jeżeli miałem coś własnego do pisania. Wogóle w Archangielsku mniej pisałem, a więcej czytałem i uczyłem się. O książki było łatwiej. Listów już nie pisałem tak dużo jak w Mezeniu. Pisanie mojej socjologji w Archangielsku prawie nic się nie posunęło, ale zato na marginesach pojawił się ogrom notat, zaczerpniętych z książek czytanych. Ustaliło się to u mnie jakby jaka metoda. W późniejszym czasie coraz większe robiłem marginesy, a wreszcie doszedłem do tego, że przepoławiałem stronę, zostawiając połowę dla późniejszych notat i liczba ich tak rosła, że musiałem rozmaitemi znakami wskazywać ich przynależność, ażeby nie pogubić się w tym lesie.

Dalszemu pisaniu socjologji i to przeszkadzało, że cała niemal uwaga zwróciła się ku politycznym wypadkom w ojczystym kraju. Wrzenie tam wzmagało się i wszystko zapowiadało, że zbrojne powstanie rychło wybuchnąć może. Mając silną chęć i nadzieję wziąć w niem udział, postanowiłem — o ile się da — przygotować się do tego. Uczyłem się więc geografji ziem polsko-litewskich, ażeby się zapoznać dobrze z terenem przyszłej walki, a nadto sprowadziłem trzytomowe dzieło Roquencourt'a, w którem podane były główne zasady taktyki i stategji i zastosowanie ich w wojnach napoleońskich, oraz dzieło traktujące o fortyfikacjach. Oba te dzieła mające w swym czasie wielką wzię-

tość, przestudjowałem, a z Roquencourt'a zrobiłem nawet skrót, który parę lat temu jeszcze znalazłem w mych papierach.

Wreszcie, o czem już wspomniałem, opracowałem ostatecznie moje sprawozdanie z dzieła Ruttenberga.

Przytem przyznać się muszę, że życie towarzyskie nęciło mnie silnie i zabierało dużo czasu. Życie towarzyskie w domach kolonji polskiej, gdzie prawie wyłącznie tylko bywałem, silne miało tętno. Kolonja ta składała się z urzędników dobrze płatnych, a życie, to jest mieszkanie i żywność, było tanie. Wobec braku publicznych rozrywek, gromadzono się często u siebie. Prawie co wieczora było gdzieś zebranie. Kiedy pozostawałem w domu, to zawsze sam tylko, gdyż towarzysze moi szli gdzieś w gościnę.

Poznajomiłem się z całą kolonją polską, z wyjątkiem kilku osób, które już wcale nie poczuwały się do polskości, albo bardzo mało. W układzie społecznym Archangielska kolonja polska przedstawiała pewnego rodzaju arystokrację. Ustępowała ona kolonji niemieckiej pod względem tradycji miejscowej, jako tubylczej, i pod względem majątkowym, ale górowała inteligencją i polorem towarzyskim. Kolonja niemiecka składała się przeważnie z kupców; do kolonji polskiej należało sporo ludzi z wyższych zawodów.

Oczywiście najpierwsza moja znajomość była z Goryniewskim. Zaprosił on mnie zaraz przy poznaniu się do siebie na obiad w najbliższą niedzielę. Miał mieszkanie obszerne, życie prowadził dostatnie, lecz w stosunku do innych urzędników nawet skromne. Żona jego Niemka archangielska, wyznania luterańskiego, nieco od niego młodsza, wysokiego wzrostu, zwykłej urody, ale pełna dobrotliwej słodyczy, nie brała żywszego udziału w rozmowie, ale była uprzejma i dbała troskliwie o ugoszczenie gości. Zostawałem z Goryniewskim w przyjaznych stosunkach. Trzymałem nawet wspólnie z Mejnową jedno dziecko do chrztu. Goryniewski też dość wysokiego wzrostu, barczysty, o twarzy nieco ospą poznaczonej, ale otwartej i inteligentnej, w ruchach swych i w zachowaniu się z urzędnikami, nie wyłączając gubernatora, odznaczał się rezolutnością i stanowczością. Polskości swej nie ukrywał, szczycił się nią nawet i starał się zachować ją w swym domu. Żona nauczyła się po

polsku i wcale dobrze mówiła. Goryniewski z powodu już swego stanowiska znał się z kolonją polską, ale mało gdzie bywał i to tylko podczas wyjątkowych przyjęć. U siebie też nie dawał ani wystawnych obiadów, ani spraszał na wieczory osoby, których przyjęcie wymagałoby znacznego powiększenia wydatków. Nie był wszakże wcale skąpy. I sam w karty nie grał, i u niego wieczorami nie bawiono się w karty. Co niedzielę wieczorem zbierała się u Goryniewskich gromadka gości, złożona z krewnych jego żony i bardziej mu znanej młodzieży. Za moich czasów prawie wszyscy wygnańcy u niego bywali. Bawiono się rozmową, muzyką, śpiewami. Najwięcej ubawiał całe towarzystwo Czubiński. Miał on twarz ruchliwą, o wyrazistych rysach; głos donośny i łatwy do modulacji, od basu mógł przejść do dyszkantu; posiadał wielkie uzdolnienie aktorskie; a przytem znał olbrzymią liczbę komicznych opowiadań. Tak naprzykład przedstawiał cały szereg popów, czytających głośno ewangelję. Zwykle dwóch gości trzymało świece po obu stronach twarzy Czubińskiego dla uwydatnienia szybkich i znacznych zmian w jego twarzy. Wszyscy uśmieli się szczerze. Czubiński także przodował w śpiewach, ludowych rusińskich i rewolucyjnych rosyjskich. Brał udział i w śpiewach polskich, bo w Archangielsku nauczył się po polsku i dobrze mówił, chociaż z pewnym akcentem.

Drugą z kolei była znajomość moja z Antonim Wasilewskim. W kościołku miejscowym po skończonej mszy zbliżył się on do mnie, wymienił swoje nazwisko i zaprosił, ażebym go odwiedził w jego domu. Krok ten ujął mnie ogromnie. Wasilewski był w pewnym względzie potentatem w Archangielsku. Dom jego zaliczano w mieście do pierwszorzędnych. Wyłączając gubernatora, ustępował on tylko angielskiej rodzinie Clairców (Klerków) i Fonteinesowi. Z Claircami był spokrewniony, ponieważ żona jego, która już nie żyła, była z domu Claircówna. Miał własny dom drewniany, jak większość domów w Archangielsku w owe czasy, obszerny, z małem pięterkiem. Miał własne konie, pojazd. Dom był utrzymany na stopie więcej niż dostatniej. Sam on był inżynierem dróg i komunikacji. Mówiono, że miał nieprawne dochody ze swego urzędu, że kazał kupcom, przewożącym towary po Dźwinie grubo się opłacać.

Czy to prawda, nie wiem. Ale wiem z pewnością, że był uczynnym dla Polaków, że dla wygnańców Polaków otwierał swój dom, i że kiedy przybyła wielka liczba wygnańców, przeważnie z klasy rzemieślniczej, nie szczędził wsparcia, a wielu z nich dawał u siebie pracę zarobkową. Jego staraniem i zabiegami powstał kościołek, czyli raczej kaplica, w Archangielsku. Ponieważ bytność księdza w Archangielsku była czasowa, więc dawniej w czasie jego pobytu urządzano kaplice w koszarach wojskowych i tam odprawiano mszę. Wasilewski w drodze składek zebrał fundusz, kupił domek drewniany przy głównej ulicy — różnił się od innych tylko tem, że miał krzyż na dachu — przerobił odpowiednio całe wnętrze, zakupił małe organy i potrzebne aparaty kościelne, i w ten sposób powstał kościołek. Wasilewski został przez parafian wybrany na syndyka i jako syndyk gorliwie zajmował się kościołem i z pewnością sporo dokładał z własnych funduszów.

Rozrosły przez dobrobyt w cielsko, z twarzą pełną, z obfitemi bokobrodami, w mundurze wojskowym, zapiętym, miał wyraz twarzy otwarty, dobroduszny. Katolik, mało wszakże troszczący się o dogmatykę kościelną, zachował w dość wysokim stopniu i miłość dla swego narodu i dla swego kraju ojczystego. Opowiadał, że kiedy przysłany na wygnanie kapucyn ksiądz Juwenalis, odprawiając mszę, zaśpiewał Gloria, łzy mu ciurkiem popłynęły z oczu, bo żywo mu się przypomniała Warszawa. Miejscowy kapelan pochodził z Litwy i sposób jego śpiewania był litewski, odmienny od koronnego.

Wasilewski prenumerował pisma polskie i sprowadzał książki polskie i chętnie mi je udzielał. Miał troje dzieci: chłopaka już kilkunastoletniego, miłą dziewczynkę młodszą nieco, Zosię, i małego jeszcze chłopaczka. Opiekowała się nimi siostra jego, Markowiczowa, wdowa po pułkowniku serbskim. Wysokiego wzrostu, majestatyczna, była dumna, i chociaż grzeczna, niełatwo dopuszczała do bliższej ze sobą znajomości. Miała swoje pokoje, rzadko dla kogo przystępne. Dla mnie odrazu uczyniła ten wyjątek i wypożyczyła nawet książki ze swojej bibljoteki, obfitującej w powieści francuskie. Wówczas to przeczytałem niemal całego Balzaca, ulubionego jej pisarza. Wypadki, odbywające się w kraju, przybywanie wygnańców Polaków

potęgowały nastrój patrjotyczny w całej kolonji polskiej, ale najsilniej objawiało się to w domu Wasilewskiego. Pod tym wpływem, sprowadził on dla młodszych dzieci nauczycielkę Polkę z Litwy.

Trzecią osobą, która uczyniła pierwszy krok do zaznajomienia się, był Bieliński, nauczyciel nauk przyrodniczych w gimnazjum archangielskiem. Rodzice jego dzierżawili Indrycę i bywali w Podgórzu. Byliśmy z Bielińskim krajanami i miał dla mnie przyjazne usposobienie. Człowiek dobry, uczuć polskich, przekonań postępowych, lecz biernego usposobienia. Ożenił się z Rosjanką, wychowanicą Instytutu Smolnego w Petersburgu, z czego była bardzo dumna. Młodziutka, podobna nieco do chłopca, przebranego za dziewczynę, lubiła zabawić się, gromadziła więc w swoim domu liczne towarzystwo, a szczególnie garnęła ku sobie młodzież liberalną, uznając i siebie za wyznawczynię zasad wolnościowych, wygnańcom politycznym dawała nawet pierwszeństwo. Wśród młodzieży wesołość jej wchodziła nieraz w granicę swawolności. Szczególne względy ja uzyskałem. Posiadam fotografię Bielińskich: ona siedzi na krześle, on stoi po za nią. Z drugiej strony własnoręczne napisy po polsku:

„Kochanemu Bratu Bolesławowi
Siostra Julja"
„W autentyczności tego
potwierdzam F. Bieliński".

W pierwszym roku mego pobytu w Archangielsku najczęściej bywałem u Bielińskich. Na wieczorach, gdy przyjmowano większą liczbę gości, mężczyźni prawie wszyscy zasiadali do gry w karty. Ja, mając małe fundusze, pozostawałem w towarzystwie kobiet, ale ponieważ i kobiety lubiły grać w karty, więc i mnie zapraszano do gry. Jednakże w grze z kobietami stawki były niewielkie, więc chętnie się zgadzałem. Szczęście służyło mi, a przytem grałem ostrożnie, więc prawie zawsze wygrywałem. Cierpliwie znosiłem, że zaglądano mi w karty, że jedna drugiej podpowiadała, jaką kartę ma zrzucić i t. p. Pomimo wszystko, prawie zawsze wygrywałem. Żartowały więc panie, że widocznie nie mam powodzenia w miłości.

Kolonja polska wcale się nie odznaczała łącznością w życiu towarzyskiem. Jedynym istotnym łącznikiem był kościół, znali się więc prawie wszyscy, ale zdaleka. Domy zamożniejsze wyodrębniały się od mniej zamożnych i wogóle niełatwo się otwierały dla wszystkich. Ale i pomiędzy sobą nie utrzymywały bliższego stosunku. Oprócz wymienionych do dostatniejszych należał dom Łyków. Sam Łyko, gubernjalny leśniczy, poczciwy Litwin, był uprzejmy i gościnny w swym domu, również uprzejmością i gościnnością odznaczała się jego żona, nieśmiała i milcząca, ale miłego wyrazu twarzy.

Do mniej zamożnych domów należały: dom Żardeckich i Baranowskiego.

Żardecki skromny, cichy, miał posadę w komorze celnej. Żona jego była również cicha, lecz gdy bywali goście, ona jakby głowę domu stanowiła. Mieli dorodną córkę i dwóch synów. Córka Stefanja była dosyć ładna, wysokiego wzrostu, ale ogromnie rozrosła. Była to dobra dziewczyna, z szlachetnemi popędami, ale dosyć lekkomyślna i zmienna, co pomiędzy innemi przejawiało się w coraz innem grupowaniu osób w jej albumie. Ukarałem ją raz za tę zmienność. Kościuszko, który się znajdował na pierwszych kartach w albumie, znalazł się na ostatniej. Przypuszczam, że nie uczyniła tego z jakiejś niechęci do Kościuszki, ale widocznie potrzebne było dla kogoś miejsce na pierwszej karcie. Aby ją ukarać, skonfiskowałem fotografję i pomimo gniewów i fochów nie oddałem.

Dwaj młodzi Żardeccy, Aleksander i Napoleon, byli urzędnikami. Starszy Aleksander był to ładny młodzieniec, rozmowny, towarzyski i zdawało się wielki patryjota. Młodszy, podobny do ojca, tylko bardziej ponury, chorowity, nie wzbudzał sympatji ku sobie. Tymczasem później się przekonałem, że grunt jego charakteru był mocniejszy i stalszy, aniżeli u jego starszego brata. Na Aleksandrze mocno się zawiodłem. Wyjechał on wprawdzie na Litwę, ażeby wziąć tam czynny udział w przygotowaniach spiskowych. Wydawało mu się, że będą się ubiegać o niego, tymczasem okazało się, że dostęp do tajnych kół czynnych wcale nie był łatwy. Dostał on na Litwie posadę urzędnika w akcyzie wódczanej. W 1862 r. nieusuwano Polaków od posad urzędniczych. Kiedy jednak rozpoczęło się

powstanie i Murawjew przybył jako wielkorządca, Aleksander wrócił pospiesznie do Archangielska jako do miejsca bardziej bezpiecznego. Wspominałem już o nim, mówiąc o dzieciach Szwecowa.

W podobny mniej więcej sposób zachował się i Antoni Kompowski, chociaż do niego mniej niż do Aleksandra Żardeckiego przywiązywałem nadziei. I on pojechał do Witebska, ażeby w razie powstania wstąpić do zbrojnych szeregów. Tymczasem ugrzązł pomiędzy urzędnikami — jak o tem dowiedziałem się od braci jego.

Oprócz wymienionych domów, były jeszcze i rodziny i jednostki polskie. Miejscowy ksiądz, który miał bardzo rozległą parafię, gubernję: archangielską, ołoniecką i wołogodzką, czasowo tylko przebywał w mieście, ale miał tu stałą kwaterę, którą zajmowała jego siostra i jej córka. Jeżeli się nie mylę, ksiądz nazywał się Szuganowicz. Byłem u nich z wizytą raz. Wkrótce jednak wyjechali. Następnie jako proboszcz całej parafji przybył ksiądz Józef Kowalewski.

Wspomnę także dom Baranowskich. Baranowski był jakimś radcą, wdowcem i miał dwie dorosłe córki. Starsza nieładna, z kartoflami — jak to mówią — w gębie, wyglądała na dobrą i gospodarną dziewczynę. Wyszła zamąż za urzędnika Kozłowskiego i oboje — jak się zdaje — byli szczęśliwi. Młodsza Karolina była ładniejsza i więcej zalotna. Co się z nią później stało, nie wiem. Baranowskiego spotkałem w Petersburgu w kościele Św. Katarzyny, kiedy uwolniony jechałem z Pawłowska do Warszawy.

Do kolonji polskiej należy się jeszcze zaliczyć Grosa, naczelnego lekarza w szpitalu wojskowym. Był uczniem uniwersytetu wileńskiego. Stary już człowiek miał też żonę starą. Nie bywałem u nich, lecz kilka razy spotkałem się z nimi u Wasilewskiego. Pamiętam byliśmy raz na obiedzie i żywo mi się przypomniał stosunek cioci Karoliny do swego męża. Gros był widocznie smakoszem, lubił dobrze zjeść, ale żona, troszcząc się o jego zdrowie, zmuszała go do wstrzemięźliwości. Skoro więc spostrzegł, że żona jest zajęta rozmową, nabierał sobie obficie na talerz. Żona jednak czuwała i, zwracając się ku niemu mówiła:

— Olesiu, tobie to szkodzi.

— A prawda, prawda — mówił żałośnie — szkodzi — i z żalem odsuwał talerz.

Był jeszcze Wincenty Supiński (jeżeli pamięć mnie nie myli) powstaniec z 1831 r. Mieszkał ubogo na wyspie Sołombul z rodzeństwem (zdaje się z córką i jej dziećmi). Pisałem o nim obszernie w 1871 r. w moich „Wspomnieniach wygnańca," drukowanych w „Dzienniku Lwowskim".

O Felicjanie Tustanowskim także w tych wspomnieniach pisałem, a mówię o nim także i w życiorysie Stanisława Worcella. Mieszkał on stale w Szenkursku, gdzie miał własny dom i folwark w pobliżu miasta — był bowiem jedynym wielkim właścicielem ziemskim, obok cara, w archangielskiej gubernji. Przyjeżdżał jednak do Archangielska i przebywał tam czas dłuższy, mieszkając u brata nieboszczki swej żony, należącego do kupieckiej kolonji niemieckiej.

Jako demokrata, ludowiec z przekonania, znajomiłem się ze wszystkimi, którzy się poczuwali do polskości. Było kilku żołnierzy Polaków w garnizonie miejscowym, byli żołnierze dymisjonowani, którzy pozostali na służbie w pewnych instytucjach publicznych. Spotykałem się z nimi w kościele, znałem ich nazwiska, rozmawiałem z nimi, gdy się nadarzała ku temu sposobność. Bliższe stosunki łączyły mnie z Bazylim Bakszą, rodem z Litwy. Miał żonę Marjannę i córkę, którą uczyłem czytać i pisać po polsku. W 1865 r. trzymałem do chrztu wraz z Wiktorją Stecką, drugą ich córkę, której dano na imię Wiktorja.

Był jeszcze urzędnik pocztowy, Fedorowicz, który się uważał za Polaka, chociaż po polsku nie mówił. Ojciec jego — jak się zdaje — był zesłany do Archangielska, a on urodził się już w tem mieście. Był gorliwym katolikiem. Z Polakami prawie nie utrzymywał stosunków towarzyskich. Urzędnik podrzędny, żyjący z małej pensji, skromny, nieśmiały, pędził samotnie żywot. Niezmiernie się cieszył, ilekroć do niego zaszedłem. Starał się okazywać mi wszelkie możliwe usługi.

Wymieniając Polaków, zapomniałem Minejkę, nauczyciela historji w gimnazjum archangielskiem. Był on niby patrjotą polskim i postępowcem. Ożenił się z Rosjanką, córką pułkownika Iwanowa. W późniejszej rozmowie ze mną, już za czasów Murawjewa, wyjawił to przekonanie, że polskość nie utrzyma się na Litwie. Co do jego postępowych przekonań, to widziałem tego próbkę. Raz przyszedłszy do mnie, zastał żołnierza Polaka. Żachnął się, jakby uczuł poniżenie swej godności, chociaż objaśniłem go, że był to skazaniec za sprawę polską. O Chacewiczu już wspominałem.

Było jeszcze kilku Polaków, z którymi się nie znałem, bo i oni sami stronili od Polaków. Takim był sędzia śledczy, o którym wypadnie mi później mówić. Wiem, że prezes Izby dóbr państwa, Lubowidzki był katolikiem, lecz czy czuł w sobie coś polskości, wątpię. Córkę swoją wydał za szefa żandarmów, Hornowskiego, który — zdaje się — zachował tylko nazwisko polskie.

Kiedy przyjechałem z Mezenia do Archangielska, byłem jeszcze jedynym wygnańcem politycznym w tem mieście. Wkrótce jednak liczba ich zaczęła się powiększać. Dzisiaj niepodobna już oznaczyć kolejności, w jakiej przybywali. Pamiętam to tylko, że pierwszym był Piotr Efimenko, student uniwersytetu charkowskiego. Wyznawał on skrajne zasady rewolucyjne, które mu zjednały przydomek Caredawenki (dusiciel carów) w kółkach konspiracyjnych, ale w gruncie rzeczy był dobroduszny, spokojny i, ożeniwszy się w Chołomogórach, dokąd go wysłano, więcej się zajmował pracą ludoznawczą, aniżeli rewolucyjną. Wraz z żoną zdobyli sobie w literaturze rosyjskiej zaszczytną wziętość. Jako urzędnik państwowy, wykonywał swe obowiązki sprawiedliwie, zgodnie z wymaganiami ludzkości. Szanowano go powszechnie.

Jak powiedziałem, nie pamiętam dokładnie kolejności przybycia wygnańców, ale zdaje się, że drugim z kolei był Józef Biernacki z którejś gubernji litewskiej, student uniwersytetu petersburskiego. Zaraz po przyjeździe przyszedł do mnie. Osoba jego, a jeszcze bardziej opowiadanie o tem, za co został wysłany, niekorzystne sprawiły na mnie wrażenie. Nie przypominam sobie dokładniej jego opowiadania, pamiętam tylko, że był tam także wstrętny szczegół denuncjacji z jego strony w stosunku do jakiegoś studenta Rosjanina. Kiedy nie taiłem swego oburzenia na ten postępek, usprawiedliwiał się, że chciał uczy-

nić tego studenta nieszkodliwym, albowiem działalność jego była nieprzyjazna dla Polaków. Lękałem się być surowym sędzią. Może istotnie lekkomyślność przeważyła w tym wypadku, a denuncjacja nie wypłynęła z brzydkich pobudek. Radziłem mu, żeby tego opowiadania nie powtarzał, bo wyrobi o sobie niekorzystną opinję. I sam nikomu o tem nie mówiłem. Z tego powodu w późniejszym czasie, jak to się dalej okaże, miałem wyrzuty sumienia. Biernacki zamieszkał w małym pokoju w tym samym apartamencie, w którym i ja mieszkałem. Nie podobało mi się i późniejsze jego zachowanie się. Był ciekawski, wścibski, narzucający się. Kilka razy wyrwałem mu niecierpliwie z rąk list, który pomimo widocznego adresu do mnie, obracał on na wszystkie strony. Do wszystkich towarzystw się wkręcał i nie tylko pomiędzy Polakami, ale i pomiędzy Rosjanami, porobił liczne znajomości. Szczególnie nie podobały mi się częste jego wizyty u Hornowskiego. Kiedy dziwiliśmy się tej jego zażyłości z szefem żandarmów, mówił, że to jest wcale porządny człowiek, a że pociąga go do domu sama pani domu, bardzo miła i uprzejma osoba.

Później przywieziono w rozmaitym czasie do Archangielska: Mikołaja Pokrowskiego, księdza Juwenalisa, ks. Koziorowskiego, Norejkę, Pawła Czubińskiego.

Pokrowski, student petersburskiego uniwersytetu, był niepospolicie rozwinięty umysłowo, przystojny, młody, miły w obejściu. Wyznawał zasady skrajne, ale spokojny w dyskusji, nie narzucał swych poglądów gwałtownie, nie usiłował względem swego przeciwnika zająć wyższego stanowiska. Tem się bardzo różnił od innych Rosjan, którzy i w dziedzinie umysłowej przejawiali nawyknienie do narzucania przymusu. W Archangielsku był niedługo, wyznaczono mu bowiem miasto Onegę jako miejsce pobytu. W ostatnich czasach jakiś Pokrowski i także Mikołaj — zdaje się — wybitnie się zaznaczył wśród stronnictwa socjalistycznego w Dumie petersburskiej. Może to syn tego dawnego wygnańca?

Ksiądz Juwenalis, zakonnik, kapucyn, był mniej więcej w tym samym wieku co i ja. Młody, przystojny, układny, wesoły, przyjacielski, byłby jednym z najmilszych uczestników życia towarzyskiego, salonowego, gdyby nie jego habit. W stanie świeckim musiał być dobrym tancerzem i obytym w życiu salonowem. W Archangielsku nieraz, zapomniawszy o swym charakterze zakonnika, prawił dusery kobietom, a, rozweseliwszy się, podpinał swój habit i puszczał się w mazura. Mnie to nawet gorszyło i będąc z nim w bardzo przyjaznych stosunkach, powstrzymywałem go od tego. Nie wiem, z jakich powodów wstąpił do zakonu, ale wiem to, że był gorącym patrjotą polskim, że ducha zakonnego wcale nie posiadał. Był w zażyłości z wygnańcami rosyjskiemi, bo ci nam sprzyjali; chętnie obcując z młodzieżą, był wyrozumiały na jej przelotne miłostki. Przez długi czas pozostawałem z nim w listownej korespondencji, dopiero po wyjeździe moim zagranicę kontakt się urwał. Będąc w Paryżu, napotkałem jednego z jego uczniów z gimnazjum w Pietrozawodzku (ołoniecka gubernja). Nie miał dla księdza Juwenalisa dość słów uwielbienia. Jako nauczyciel religji, wpajał w swych uczniów przedewszystkiem uczucia polskie. Przed kilku laty w „Tygodniku Ilustrowanym“ warszawskim był umieszczony jego portret i opisany obchód jubileuszowy jego kapłaństwa. Był już w Warszawie. Oczywiście, w starcu tym, sportretowanym w „Tygodniku“, nie mogłem poznać dawnego przystojnego i pełnego życia towarzysza wygnania.

Norejko zbyt krótko bawił w Archangielsku, ażebym mógł powziąć o nim dokładniejsze wyobrażenie. Był młody i dosyć jurny. Pogniewawszy się o coś na Goryniewskiego, w rozmowie ze mną nazwał go szlachcicem jerozolimskim. Uśmiałem się szczerze, bo pierwszy raz wydarzyło mi się słyszeć nadawanie takiego tytułu ludziom, których posądzano o krew żydowską. Wysłano go do Kiemi, gdzie się zajmował myślistwem i — jak pisał — żywił się z tego.

Najdłuższe i najlepsze stosunki zachowywałem z Pawłem Czubińskim. Byliśmy mniej więcej jednego wieku, on o kilka lat młodszy odemnie (ur. 1839—1884 r.) obaj posiadający wykształcenie uniwersyteckie, pracujący umysłowo na zbliżonych ze sobą polach, w poglądach politycznych i społecznych zbliżeni ze sobą. W pierwszej rozmowie z nim, gdym go zagadnął, jak rozumie przyszłość narodu ruskiego, odrzekł:

— Ma się rozumieć, jako rzeczpospolitą niepodległą.

Nie miał on nienawiści ani do narodu rosyjskiego, ani do

narodu polskiego. Wierzył w rewolucję rosyjską, we wspólną walkę wszystkich trzech narodów o wolność dla siebie. Wpływ Hercena i Szewczenki silnie był oddziałał na niego. Marzyła mu się w przyszłości nieco kozacka wolna Ukraina. Był autorem pieśni: „Szcze ne wmerła Ukraina, szcze nam sońce zaświetit", która się stała hymnem narodowym dla narodu ruskiego, jak nasza pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła".

Pod względem przekonań społecznych, byliśmy obaj ludowcami, ciążącemi ku socjalizmowi. Chociaż głosił się socjalistą, był w gruncie rzeczy ludowcem. Ja, pomimo że zwalczałem socjalizm, coraz silniej się chyliłem ku niemu. Jak dla mnie polskość zlewała się z wolnością, tak dla niego rusinizm panował nadewszystkiem. W Archangielsku wyszukiwał Rusinów i często przekonywał ich, że są Rusinami a nie Rosjanami. Przez niego to zapoznałem się dokładnie z dążnościami ukraińskiemi. Pożyczałem od niego „Osnowę", pismo rosyjsko-ukraińskie i utwory ukraińskie, tak zapoznałem się z opowiadaniami Marka Wowczaka. Mogę powiedzieć, że skutek znajomości z Czubińskim zacząłem innemi oczami patrzeć na ukrainizm.

I on miał dla mnie szczerą życzliwość, w późniejszych czasach dopomagał mi nawet materjalnie. Nieraz w sporach powoływał się na moją powagę, a raz, gdy mówiono o obywatelskości uczuć naszego koła wyznawców wolności, Czubiński taki sąd wypowiedział:

— Prawdziwym obywatelem jest Limanowski, a drugim obywatelem jest Efimenko, my zaś wszyscy więcej mówimy o obywatelskości, aniżeli ją w życiu przejawiamy.

I to wypowiedział wówczas, kiedy poprzednia moja wziętość w kołach towarzyskich w Archangielsku była już się znacznie obniżyła.

Wypadnie mi jeszcze nieraz mówić o Czubińskim, tu jednak przytoczę to, co znalazłem w rosyjskim „Słowniku Encyklopedycznym", o dalszych jego losach już po moim wyjeździe z Archangielska. Jako sekretarz statystycznego komitetu, rozpoczął on badanie gubernji archangielskiej pod względem ekonomicznym i etnograficznym. Lecz dopiero po moim wyjeździe, gdy pracował jako członek naukowych ekskursji, badania jego przybrały bardzo poważne rozmiary i zwróciły na niego uwagę Geograficznego Towarzystwa w Petersburgu, w którem naukowy interes przeważał nad tendencją polityczną. Takim także duchem, może w mniejszym stopniu, było ożywione drugie naukowe stowarzyszenie w Petersburgu: Wolne Ekonomiczne Towarzystwo. Wspólnemi siłami oba te towarzystwa urządziły w 1869 r. ekspedycję naukową dla badań prawobrzeżnych od Dniepru ruskich krajów, pod realnem kierownictwem Czubińskiego. Przypuszczam, że za jego to staraniem, Geograficzne Towarzystwo otworzyło w Kijowie w 1872 r. miejscowy oddział. Czubiński został tego oddziału sekretarzem, i skupił — jak powiada Leon Wasilewski (Ukraina i sprawa ukraińska, Kraków 1911 r.) — dokoła siebie zastęp poważnych pracowników. Materjał etnograficzny, wydany przez niego w 7-miu tomach „ze względu na bogactwo i wartość materjałów naukowych — powiada „Słownik Rosyjski" — jest jednym z najznakomitszych tworów literatury etnograficznej, nie samej tylko rosyjskiej." Na zjeździe międzynarodowym etnograficznym w Paryżu w 1875 r. przyznano mu medal złoty. Zygmunt Miłkowski, zdając sprawę z tych badań we lwowskim „Tygodniku", zaznaczył, że cechuje je bezstronność polityczna. W 1871 r. zamknięto kijowski oddział, widząc w nim dążenia separatystyczne. To co słyszałem — nie przypominam sobie czy od Drogomanowa, czy od kogo innego — że był wicegubernatorem, nie potwierdza się w „Słowniku Encyklopedycznym".

Przyjazd dwóch księży do Archangielska dał powód do pewnego rodzaju kościelnej manifestacji. Zdaje się, że to było podczas Zielonych Świąt. Podczas mszy dwóch księży asystowało celebrującemu. Do mszy służyliśmy: ja i Biernacki w komeżkach. Kościołek był przepełniony. W pierwszej ławce siedział Hornowski z żoną. Nie przypominam sobie, ażeby później bywał w kościele. Widocznie, dowiedziawszy się od Biernackiego, że się przygotuje bardziej solenna uroczystość, przybył jako żandarm, ażeby przebiegu jej dopilnować. Następstw jednak żadnych nie było, oprócz tego, że księży porozsyłano do powiatów im przeznaczonych.

Ks. Kozierowskiego wysłano do Pinegi. Po upływie kilku miesięcy przywieziono go znowu do Archangielska. Z Pinegi bowiem wydalił się i zatrzymano go na drugi czy trzeci dzień

w pewnej odległości od miasta pędzącego czy rozpędzającego — jak opowiadano — krowy na przydrożnej łące. Uwięziono go, badano, przyczem stwierdzono u niego pomieszanie umysłowe. Kazano więc przywieźć go do miasta gubernjalnego, ażeby poddać ścisłej kontroli lekarskiej, czy jest to pomieszanie rzeczywiste, czy też udane.

Lekarze orzekli, że było ono rzeczywiste, ale przejawy jego nie groziły bezpieczeństwu osób. I istotnie Kozierowski nie był zdrów umysłowo. Był on bernardynem w Lubelskiem. Podczas ruchu manifestacyjnego wypadło mu mówić kazanie na odpuście w Radecznicy. Jak sam opowiadał, uczuł na ambonie, że wstąpił w niego Duch Święty. Malując wobec tysięcznych tłumów grozę gniewu boskiego, spadającego na ludzi pod postacią klęsk rozmaitych, wołał, że „słusznie was Bóg karze, bo cierpliwie znosicie rządy schyzmatyków, wrogów kościoła i ulituje się nad wami Bóg tylko wtedy, kiedy weźmiecie kosy i wypędzicie Moskali z kraju polskiego". Wystąpienie Kozierowskiego było niespodzianką dla zwierzchności duchownej. Ukryto go w jakimś klasztorze, ale żandarmi wyśledzili go i porwali, Było to zimą w okresie silnych mrozów. Kozierowskiego w habicie i z nieokrytą głową przywieziono nawpół zmarzłego do Grodna. To napewno wpłynęło także na stan jego umysłu. Może przyczyniło się też nieco i zachowanie się Aleksandrowicza wobec biednego wygnańca. Podobno drażnił go kpinkami.

W Archangielsku umieszczono księdza jako więźnia w szpitalu. Wyrobiłem to, że pozwolono mi zabierać go z sobą na parę godzin do miasta z warunkiem, że na oznaczoną godzinę odprowadzę go napowrót. Czas był ciepły, więc przechadzaliśmy się po ulicach. Rozmowa szła ciężko, bo albo wcale nie odpowiadał na pytania, albo plątał się i przerywał swoje opowiadanie. Naraz zatrzymywał się na ulicy, nadsłuchiwał i szeptał:

— A już radzą synody, szpiegi i szatani.

Po kilku dniach takiej włóczęgi po ulicach, zaprowadziłem go do swego mieszkania, by się napił razem z nami herbaty. I miałem też straszny kłopot. Ksiądz oświadczył stanowczo, że zostanie u mnie i nie pójdzie do szpitala. Moje przedstawienia, że tem zaszkodzi sam sobie, nie skutkowały. Musiałem użyć podstępu, ażeby go wyprowadzić i w późniejszym czasie do domu go nie przyprowadzałem.

Po upływie pewnego czasu, pozwolono mu zamieszkać razem ze mną pod pewną moją odpowiedzialnością. Zachowywał się spokojnie. Krępy, dobrze zbudowany, z twarzą okrągławą, otwartą, chodził zawsze uśmiechnięty po wszystkich pokojach i coś mruczał, niby to się modlił, czasem niby coś czytał i wciąż coś o synodach wspominał. Raz zostaliśmy tylko we dwóch w mieszkaniu, ja pracowałem w jednym pokoju, ksiądz był w drugim. Potrzebując czegoś wszedłem do tego pokoju i widzę księdza ze świecą w ręku, jak coś pali na ścianie — Księże, co robisz? — zawołałem — spalisz dom.

— A — odrzekł — palę szatana, bo mnie drażni.

Miał dobry apetyt. Posiłek nasz poranny składał się z herbaty, chleba, masła, śmietanki. Każdy jadł, ile chciał. Obiad był obfity. Wieczorem to samo co zrana. Salą naszą jadalną była kuchnia, i tam na półkach, obok szklanek i naczyń, zawsze znajdował się chleb, masło musztarda i tp. Otóż często, przed obiadem i przed wieczorną herbatą, ksiądz ukroił sobie dobrą porcję chleba, zamiast masła grubo smarował musztardą i zjadał z wielkim smakiem.

Wreszcie wezwano go do urzędu gubernjalnego, gdzie miało się odbyć badanie stanu jego umysłowego. Ponieważ nie było zgodności w zdaniach, więc wyznaczono drugie posiedzenie. Kozierowski się uskarżał, że na pierwszem posiedzeniu dręczył go bardzo swemi pytaniami jakiś radca. Kiedy więc wybierał się na drugie posiedzenie, powiedziałem żartem:

— Jeżeli ten radca znowu będzie dręczył księdza pytaniami, to daj mu dobrze na odlew w twarz.

— Jakże można? — zawołał — pomyśleliby, żem warjat.

Nie przypominam sobie, jak się to wszystko skończyło. Zdaje się, że księdza Kozierowskiego wysłano znowu do powiatu.

Gdyby nie dręcząca świadomość, że człowiek został oderwany od narodu, kiedy ten potrzebował zgromadzić i zorganizować wszystkie siły do gotującej się rozprawy zbrojnej o swoją niepodległość, pobyt w Archangielsku byłby raczej przyjemny niż przykry.

Wieści, nadchodzące z kraju, zapowiadały, że gotuje się tam dość rychło ruch zbrojny. Listy wygnańców nie ulegały jeszcze na poczcie kontroli, przynajmniej jawnej, porozumiewałem się więc z braćmi co do naszych planów. Jak się zdaje, korzystaliśmy i z przejazdów prywatnych osób. Wiem tylko to, że pierwszy wskazałem na potrzebę zabezpieczenia Podgórza od możliwej konfiskaty, gdyby nasze Inflanty pozostały i nadal pod rządem moskiewskim. Kto rządził wówczas w Podgórzu, nie wiem; znalazłem tylko w moich papierach list zbiorowy włościan, datowany z 19-tego października 1862 r., w którym skarżą się na uciemiężające rozporządzenia i proszą, aby było tak jak obiecaliśmy uczynić i jak po części było dawniej. List ten zabrano mi podczas rewizji, ale następnie wraz z innymi papierami zwrócono. Nie wiem, cośmy odpowiedzieli na ten list. Przypuszczam, że musiał coś uczynić Lucjan, jako ostatni zarządca spraw podgórskich.

Z listu, pisanego przez Marjana Dubieckiego — sądząc ze wszystkiego — w sierpniu, widzę, żem się spodziewał powrotu do kraju. Musiała być podstawa do tego. Przypominam sobie bowiem, że, będąc już w Pawłowsku, czytałem w jakimś piśmie rosyjskiem potępienie rządów Nazimowa w Wilnie. Był tam ustęp o manifestacji wileńskiej, w którym autor z oburzeniem pisał, że głównego zaczynszczyka ukarano jedynie wysłaniem na służbę rządową do gubernji archangielskiej, i miano mu już nawet pozwolić na powrót, czemu jednak przeszkodził wybuch powstania.

W styczniu 1863 r., prawdopodobnie w dniach ostatnich miesiąca, otrzymałem z poczty list, którego koperta miała zamiast pieczęci wciśnięte kółeczko metalowe. Wszelkie próby zdjęcia kółeczka, bez podarcia lub rozcięcia koperty, okazały się bezskuteczne. Musiałem ją rozciąć. Wewnątrz znajdowała się zapowiedź powstania. W późniejszym czasie daremnie poszukiwałem podobnej koperty w Paryżu. W Archangielsku — ile wiem — nikt oprócz mnie nie otrzymał podobnego listu. Treść jego zakomunikowałem zaufanym osobom. Kto wysłał ten list, na zawsze pozostało dla mnie tajemnicą.

Wkrótce potem nadeszła wiadomość o powstaniu w Polsce. Postępowe dzienniki rosyjskie pisały o niem raczej życzliwie,

niż wrogo. Zwłaszcza dwa młode dzienniki: „Sowremiennoje Słowo" i „Oczerki" uznawały słuszność polskich żądań. Pismo miesięczne: „Sowremiennik" przedstawiało całą sprawę przyjaźnie. Mówiono, że tajna organizacja rosyjska: Ziemla i Wola, była w porozumieniu z Komitetem Centralnym polskim, a w kołach młodzieży liberalnej objawiano życzliwość dla naszego powstania. W kolonji polskiej podnieconej już przez przybywających wygnańców poczucie narodowe jeszcze silniej się rozżarzyło. Przejawiała się tylko wątpliwość, czy Polska o własnych swych siłach zdoła wywalczyć sobie wolność. Pamiętam, że Goryniewski, napotkawszy mnie, chodził długo ze mną po ulicy nadbrzeżnej — jedna z najmilszych w mieście przechadzek, zwłaszcza w porze wiosennej — i rozważał szanse powstania, jakby się sam wahał i nie wiedział, co począć. Opinja towarzyska w mieście była niezdecydowana i oburzano się niemal powszechnie, gdy na jakimś obiedzie galowym jeden z wyższych urzędników poruszył sprawę w swojem przemówieniu. Jak opowiadano, rozpoczął on od słów: „sarwałsia lew z cepi" (zerwał się lew z uwięzi), więc od słów nawet nie nienawistnych dla nas. Ponieważ na obiedzie byli i Polacy, więc zaległo głębokie milczenie. Tustanowski, który był także na obiedzie, cały czerwony od gniewu, zerwał się i, wskazując na Czubińskiego i Pokrowskiego, zawołał: „Trzeba, ażeby ci rezunie nauczyli was rozumu". Na tym obiedzie był także i Hornowski. Wystąpienie Tustanowskiego zmroziło wszystkich i co rychlej postarano się rozejść. Tustanowski odczuwał silnie polskość, chociaż wierzył w możność drogi pojednawczej. Wiara ta znacznie osłabła od czasu okrucieństw Murawjewa. Lecz w 1862 r. była ona silna. Tustanowski jeździł w tym roku na Litwę. Tam spotkał swego dawnego kolegę uniwersyteckiego, doktora Guta, który przybył z Francji także celem odwiedzenia swych krewnych na Litwie. Gut był gorącym towiańczykiem i usiłował zjednać Tustanowskiego. Napotkawszy silny opór, powiedział mu, że zatracił już w sobie poczucie polskie. To ubodło tak mocno Tustanowskiego, że popędził za Gutem, który był już odjechał, i dopędziwszy go w jakiemś mieście, oświadczył mu stanowczo, że jest i czuje się Polakiem. W Wilnie, kiedy Nazimow zapytał go, dlaczego nie zamieszka na Litwie, odpowie-

dział mu, że uczyni to natychmiast, skoro w Wilnie będzie polski uniwersytet.

W lutym czy też w marcu przywieziono do Archangielska Simonowskiego (jeżeli się nie mylę co do nazwiska). Wyznaczono mu na mieszkanie Pinegę. Przez krótki czas pobytu w Archangielsku pozwolono mu zamieszkać u nas, jak to weszło w zwyczaj z przywożonymi wygnańcami. Był to młody chłopak, lat 18 lub 19. Miał należeć do organizacji: Ziemla i Wola. Przywiózł ze sobą jakąś drukowaną odezwę tej organizacji, wydaną już po wybuchu naszego powstania i wielce dla powstania przychylną.

Na drugi czy też trzeci dzień po jego przyjeździe, posłyszałem, że jacyś ludzie wchodzą do naszego mieszkania — drzwi nie zamykano na klucz. Było bardzo wcześnie, wszyscy jeszcze spali, tylko ja już pracowałem. Wyskoczyłem więc ze swego pokoju i ujrzałem Hornowskiego z żandarmem i z urzędnikiem policyjnym. Oświadczył mi, że przyszedł zrobić rewizję i zapytał, gdzie jest Simonowski? Spał on właśnie w tym samym pokoju na kanapie i obudził się, usłyszawszy gwar rozmowy. Hornowski kazał mu się ubrać, przyczem zrewidował jego ubranie i znalazł w niem przywiezioną odezwę. Dalszych poszukiwań nie czynił. Zanim Simonowski się ubrał. Hornowski usiadł i wdał się ze mną w gawędkę. Wówczas to powiedział mi, że komisja śledcza wileńska uznała mnie za głównego sprawcę manifestacji.

Widocznem było, że Hornowski wiedział, że Simonowski przywiózł z sobą odezwę. Od kogo jednak mógł się dowiedzieć? Podejrzenie odrazu padło na Biernackiego. Przypomniano sobie, że wziął on tę odezwę i nosił się z nią po mieście, pokazując ją swoim znajomym. Biernacki patrzył tak, jakby się poczuwał do winy. Ja, wiedząc o jego przeszłości, żałowałem, żem zamilczał o tem w swoim czasie. Sprawa ta wielce mu zaszkodziła w opinji. Już poprzednio natrętność jego wielu ludziom się nie podobała, teraz wyraźnie zaczęto mu okazywać niechęć i chłód. Co do Simonowskiego, to wywieziono go do Pinegi i dalszych następstw, przynajmniej doraźnych, nie było.

Od samego już wybuchu powstania obmyśliwałem wciąż sposoby ucieczki. Porozumiewałem się w tym względzie z braćmi. Najważniejszą przeszkodą był brak pieniędzy. Ażeby złożyć coś, zacząłem oszczędzać, ale pensja moja była niewielka, starczyło ledwie na same potrzeby życia. Trzeba było coś wydobyć z Podgórza. Dla braci miało to jeszcze ważniejsze znaczenie. Wskutek denuncjacji na gubernatora Chomińskiego, że gromadził Polaków wygnańców u siebie w domu, nadszedł rozkaz z Petersburga, ażeby wszystkich z miasta gubernjalnego, Wołogdy, powysyłać do powiatów. Braci moich wysłano do Ustsysolska. Żyli z własnych funduszów i nie mieli pensji rządowych, jaką ja miałem.

Za wypadkami z kraju śledziłem pilnie, to ciesząc się, to smucąc. Oprócz gazet rosyjskich, dostawałem od Wasilewskiego francuską „Le Temps" i angielską „Times", które on brał od księdza, a zarazem i konsula angielskiego. Cieszyłem się ze zwycięstw Langiewicza; rozpaczałem, gdym się dowiedział o jego upadku. Wierzyłem jednak silnie, że nastąpi wielka i korzystna zmiana, tem bardziej że za Polską ujęły się i rządy francuski i angielski. Zdawało się przy tem, że i w samej Rosji znajdziemy silną pomoc. Wolnomyślna młodzież otwarcie głosiła przychylność dla sprawy polskiej.

Postanowiłem uciekać drogą morską, korzystając z tego, że do Archangielska przybywały okręty zagraniczne. Uzbierałem już pewną sumkę pieniężną. Musiałem mieć przynajmniej ze 100 rubli. Nikogo nie wtajemniczałem w moje zamysły. Z wygnańców polskich nie było podówczas w mieście nikogo, prócz Biernackiego. Z Czubińskim zbliżyłem się dopiero później, a przytem, pomimo zalet charakteru, nie umiał on trzymać języka za zębami. Jakkolwiek byłem w dobrych stosunkach z Goryniewskim i Wasilewskim, to lepiej ich poznałem dopiero w późniejszym czasie. Ten brak osoby, u której mógłbym zasięgnąć dokładniejszych wiadomości, ogromnie zaważył na całej mojej sprawie.

Skoro więc okręty zaczęły przychodzić, raz po raz chodziłem do Sołombały, gdyż przy jej wybrzeżu stawały okręty. Starałem się dowiedzieć, które okręty były angielskie, gdyż miałem zupełne zaufanie tylko do kapitanów angielskich. Trzeba było przytem się dowiedzieć, czy kapitan mówi po niemiecku lub francusku, gdyż w angielskim języku nie mógłbym się rozmó-

wić. Zaczepiałem więc majtków angielskich, ale z wielką trudnością tylko udawało się porozumieć się wzajemnie. Musiałem przytem starać się, by nie wzbudzić podejrzenia, nie zwracać na siebie uwagi, chociaż — jak się później dowiedziałem — mimo wszystko zwrócono już uwagę na częste moje przechadzki na wybrzeżu.

Dowiedziawszy się, że jeden z okrętów angielskich odpłynie za parę dni, postanowiłem bądź co bądź rozmówić się z jego kapitanem. Dwukrotnie go nie zastałem. Gdy poszedłem po raz trzeci, był na okręcie. Zapytałem go, czy mówi po niemiecku. Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, prosiłem o chwilę rozmowy. Zaprowadził mnie do swojej kajuty. Tam otwarcie mu powiedziałem, że jestem Polakiem, wygnańcem, i że chcę uciekać, ażeby wziąć udział w walce narodowej. Okazał zupełną gotowość dopomóc mi do ucieczki.

— Tu jednak — mówił — zabrać i ukryć pana bez zwrócenia uwagi dozorujących niepodobna. Przytem przy wejściu okrętu do zatoki odbywa się rewizja statku i w razie wykrycia grozi wielka kara pieniężna. Można to jednak tak zrobić. Okręt, po odbyciu rewizji, zatrzyma się kilka godzin w zatoce. — Rozwinął mapę morską i pokazał mi, gdzie okręt się zatrzyma. — Na brzegu jest wieś (nie pamiętam jej nazwy) — mówił dalej — niech pan się tam uda i wynajmie czółno, a ja, widząc, że ktoś podpływa, każę spuścić czółno i zabrać pana. Tam już jestem swobodny, nikt nie ma prawa mnie zatrzymać.

Miałem więc oznaczone miejsce i oznaczony dzień — poranek prawie do południa. Jakkolwiek kapitan nazwał wieś i pokazywał jej położenie na mapie morskiej, nie mogłem należycie uprzytomnić sobie tego miejsca. Mapy morskie inaczej niż zwykłe wyglądają. Pozostawał tylko jeden dzień, by się coś dowiedzieć o tej wsi. Poszedłem do publicznej bibljoteki i poprosiłem o mapę gubernji archangielskiej. Dano mi ją, ale była to jakaś stara, niedokładnie zrobiona, i nic prawie z niej się nie dowiedziałem. Zapytałem bibljotekarza o tę wieś, ale był to zestarzały jakiś biurokrata z bardzo ciasnym widnokręgiem wiadomości. Tu i ówdzie, kołującą drogą próbowałem coś się dowiedzieć, ale tyle tylko się dowiedziałem, że istnieje taka wieś i że leży nad brzegiem morskim.

Byłem już przygotowany do ucieczki. Zrobiłem porządek w papierach, popaliłem listy, zniszczyłem mniej potrzebną pisaninę. Już dawniej, przemyśliwując o ucieczce, nabyłem strzelbę i zamówiłem był buty myśliwskie. Zawsze starałem się dawać zarobek swoim rodakom, więc i zrobienie butów myśliwskich oddałem Żmudzinowi, żołnierzowi miejscowego bataljonu. Wziął odemnie zgóry pieniądze na kupienie skóry, ale ze zrobieniem butów, pomimo kilkokrotnego mego upomnienia, zwlóczył, i w chwili ucieczki ich nie miałem.

Wstawszy wcześnie, ubrałem się w czystą bieliznę i odzież lepszą — z papierów pozostawiłem tylko moją pisaninę socjologiczną i kilka listów, zrobiłem z tego mały zwitek, obwinąłem w arkusz papieru, i wsunąłem ten zwitek do kieszeni w spodniach. Prócz strzelby nic więcej nie brałem. Postanowiłem udawać kupca miejskiego, który wybrał się na polowanie na wieś. Wyszedłem z domu niespostrzeżony i udałem się wprost nad rzekę, gdzie odszukawszy przewoźnika, umówiłem się o przewiezienie mnie na drugi brzeg do stacji pocztowej.

Było to w ostatnich dniach maja. Śliczna, wiosenna pogoda roztaczała wszędzie swój urok i budziła we mnie ufność w powodzenie. Stanąwszy na drugim brzegu, pospieszyłem na stację i stanowczym głosem zażądałem koni do wsi, nazwę której wymieniłem. Zdumiony pocztmistrz objaśnił mnie, że wieś ta znajduje się na prawym brzegu ujścia Dźwiny, i że końmi dostać się do niej nie można. Było to więc pierwsze niepowodzenie, wynikłe z niedokładnych wiadomości. Musiałem być w tej wsi na drugi dzień z rana. Zafrasowany, pytałem, jak prędzej można byłoby dostać się do niej. Powiedziano, że mogę wynająć czółno i umówić się z przewoźnikiem. Tak też uczyniłem, oczywiście musiałem za to dobrze zapłacić.

Ta podróż czółnem należałaby do najmilszych przejażdżek, gdyby nie zaczęły mię dręczyć niepokój i trwoga, że nie zdołam przybyć na czas umówiony. Zwłaszcza niezwykły urok miała przejażdżka przez deltę. Płynęliśmy małemi rzeczkami jakby kanałami wąskiemi wśród gąszczy, krzaków, okrytych zielenią i kwieciem i wśród świergotania ptactwa. Wydostaliśmy się już ku wieczorowi na szeroką rzekę. Do miejsca umówionego z przewoźnikami przybyliśmy, kiedy już spożywano kolację i za-

bierano się do spania. Była to osada nad brzegiem rzeki i dość oddalona od wsi, do której dążyłem. Zażądałem więc od włościanina, aby mi wynajął konie. Już nie pamiętam, z jakiego powodu okazała się trudność co do koni. Radził wynająć czólno i skorzystać z odpływu, który wkrótce miał się rozpocząć. Trzeba więc było się zgodzić na to, i znowu musiałem zapłacić, ile żądali.

Płynęliśmy w nocy, ale w tym okresie noc jest tak jasna, że właściwie trudno nazywać ją nocą, był to raczej zmierzch wieczorny. Położywszy się na czólnie, drzemałem, lecz sen się nie imał mnie, odganiały go myśli i troski. Przewoźnicy, sądząc, że śpię, zaczęli półgłosem rozmawiać. Nastawiłem ucha.

— To coś nie darmo — mówił jeden — że on się tak spieszy. Musi być w tem coś. Możeby o tem donieść strażnikom?

— Jak uważacie — odrzekł drugi — możeby donieść.

Drzemka się rozproszyła. Wciąż już nadsłuchiwałem. Nie dopłynęliśmy do samej wsi. Nie pamiętam już dzisiaj, co stanęło temu na przeszkodzie. Zdaje się rozpoczynający się przypływ. Słońce już było wzeszło. Do wsi jeszcze było z parę kilometrów. Widać ją było. Zapłaciłem przewoźnikom i poszedłem dalej pieszo. Byłem nawet z tego zadowolony, bo ta ich chęć powiadomienia strażników niepokoiła mię mocno.

Niebo było modre bez żadnej chmurki. Od morza ciągnęła chłodnawa świeżość. Pięknie i wesoło dokoła. I we mnie wstąpił duch rzeźwy. Zdawało mi się, żem przezwyciężył przeszkody i zdążam już do celu. Szedłem ostro i hardo. Parę razy strzeliłem do ptactwa. Wieś stawała w oczach coraz wyraźniej, a na morzu w oddali stał okręt na kotwicy. — Niezawodnie — myślałem — to ten okręt, którego kapitan czeka na mnie.

Już wieś zupełnie blisko się rysowała, kiedym spostrzegł dwóch po wojskowemu ubranych, idących przeciwko mnie. Stropiło to mnie nieco, ale szedłem śmiało. Zatrzymali się, zaczepili mnie, ale w tonie przyjaznym.

— Strzelba dobrze bierze? — zapytał jeden i sięgnął po strzelbę. Usunąłem się, ale drugi pochwycił mnie za ręce i strzelbę mi odebrano,

I ton ich się zmienił. Byli to strażnicy z komory celnej, znajdującej się w tej wsi. O tem zgoła nie wiedziałem. Nie przypuszczałem nawet, ażeby w takiej oddali ku północy potrzebne były komory celne. Była to dla mnie zupełna niespodzianka. Przypuszczałem spotkanie się ze służbą policyjną, lecz ani mi w myśli postali strażnicy celni.

Tłumaczenie się moje, że jestem myśliwy, że przyjechałem na polowanie, nie poskutkowało.

— Pójdziemy do kapitana — mówili — a jak on rozsądzi, tak będzie.

Kapitanowi to samo powiedziałem, co i strażnikom, że nazywam się Szulc, że jestem kupcem z Archangielska i że przyjechałem na polowanie.

— A ma pan jaki dokument, stwierdzający jego tożsamość? — zapytał.

— Wyjechałem tylko na jeden dzień, nie sądziłem więc aby był potrzebny — odrzekłem.

— Wybaczy pan — powiedział — lecz muszę zrobić rewizję osobistą.

W pugilaresie prócz pieniędzy nic nie było. Kwota pieniężna, jak na kupca archangielskiego, była skromna, nie wzbudzała podejrzenia. Lecz potem wyciągnął z kieszeni w spodniach zwitek papierów, rozwiązał go i przeglądając, rzekł do mnie po polsku:

— Dziwna rzecz Niemiec archangielski, a pisze po polsku?

Udawać dalej na nic się nie zdało. Przyznałem się więc, że jestem istotnie Polakiem i wygnańcem, lecz rzeczywiście przyjechałem na polowanie, a niespodziewanie spotkawszy strażników, żeby się uwolnić od nich, powiedziałem zmyślone nazwisko.

— Uwolnić pana nie mogę. Napiszę to, co mi pan powiedziałeś i odeślę pana pod strażą do Archangielska, a tymczasem zanim to wszystko przygotuję, niech pan posiedzi u mnie w pokoju.

I z swojej kancelarji zaprowadził mnie do salonika. Po niejakim czasie weszła wiekowa już kobieta, przyniosła mi spory kubek kawy i dobrą kromkę jakiegoś ciasta, zapraszając mię po polsku, ażebym się posilił.

Rozmawiałem z nią o tem i o owem, nadszedł następnie ka-

pitan i powiedział, że już wygotował wszystko i że za godzinę będę mógł odjechać.

Kapitan był już wiekowy. Umiał po polsku, bo przez czas dłuższy służył w Królestwie Polskiem i tam się ożenił z Polką. Lubił Polaków i wcale nie pragnął im szkodzić. Ponieważ doniesienie urzędowe już napisał i napisał je tak, jak mu powiedziałem, więc jedynie dla własnej ciekawości chciałby się dowiedzieć, czy w samej rzeczy tylko na polowanie przyjechałem.

Uprzejme i życzliwe jego zachowanie się rozwiązało mi język. Powiedziałem mu szczerze, że chciałem uciekać, a on po judaszowsku całą tę rozmowę spisał następnie.

W rozmowie powiedział mi, że gdybym miał buty myśliwskie, to bez rewizji uwolniłby mnie, nakazując tylko strażnikom mieć baczne oko nademną. Lecz cienkie moje buty wzbudziły w nim podejrzenie, czy istotnie tylko w celu polowania przybyłem.

Jak niepyszny więc wracałem do Archangielska w towarzystwie dwóch zbrojnych strażników. Uspokoiwszy się z rezygnacją, że przecież nic strasznego mnie nie spotkało, położyłem się w czółnie i mocno zasnąłem, gdyż poprzedniej nocy wcale nie spałem. Przypłynęliśmy do Archangielska przed południem, i strażnicy odprowadzili mnie do kancelarji gubernatora.

Goryniewski okazał mi wiele współczucia. Umieścił mnie w swoim gabinecie, póki nie nastąpi decyzja gubernatora, posłał do sąsiedniej cukierni po czekoladę i ciasto, a byłem istotnie wygłodzony i poszedł sam z przysłanem doniesieniem do naczelnika komory celnej. Aranderenki już nie było. Miał on ostry zatarg z Lubowidzkim i z tego powodu został powołany do Petersburga, a tam pod formą awansu przydzielono go do Rady Ministrów. Czasowo zastępował go wice-gubernator, o którym już wspominałem. Po kilku godzinach przybył policmajster i zawiózł mnie do cyrkułu, najbliższego mego byłego mieszkania. Tam zaprowadził mnie do pokoju, gdzie miałem być czasowo uwięziony. Spostrzegłszy, że miałem tabakierkę, zażywałem bowiem tabakę, — już nie pamiętam, gdzie zacząłem ją zażywać, bodaj że w Mezeniu — z uśmiechem poprosił, bym

pokazał mu ją, a gdym to uczynił, wysypał z niej tabakę, zabrał złotą monetę, którą tam schowałem i oddał mi próżną tabakierkę. Postępek ten podstępny dotknął mnie ogromnie. I gniew i rozpacz tak mną owładnęły, że zaledwie łzy powstrzymać mogłem. Uczułem znowu swoją bezsilność wobec przemocy.

Widocznie jednak zalecono policmajstrowi obchodzić się ze mną z większemi względami. Na drugi dzień zawiózł mnie do innego cyrkułu, prawie ponad rzeką położonego. Tam dano mi duży pokój o dwóch oknach, pomiędzy kancelarją komisarza, a jego prywatnem mieszkaniem. Był stolik i krzesła, łóżka nie było. Przyniesiono z mieszkania mego siennik, poduszkę, prześcieradło, kołdrę. Położyłem to na podłodze i tam sypiałem, czyli raczej leżałem, gdyż prawie przez dwa tygodnie cierpiałem na bezsenność. Główną tego przyczyną — jak się zdaje — było to, że piłem nadmierne ilości herbaty. A że noce były jasne i miewałem książki, więc siedząc na oknie, czytałem je aż do wschodu słońca. Z początku nie odczuwałem z tego powodu cierpienia, lecz po dwóch tygodniach uczułem się mocno umęczony, zaczęły mię boleć oczy i piersi. Prawdopodobnie przyczyniło się do tego i to także, że herbatę piłem z cytryną, którą po każdej szklance zjadałem.

Wszelkie więzienie było dla mnie uciążliwe, ale stosunkowo warunki tego więzienia były dla mnie najłagodniejsze. Komisarz był cichy, poczciwy, wcale się nie wtrącał do mych zajęć, pozwalał nawet mnie odwiedzać, byle to nie trwało długo i nie odbywało się często. Zdaje się, że to jego służąca sporządzała mi obiad i podawała samowar, oczywiście opłacana z moich pieniędzy. Sprowadziłem niektóre swoje książki, a za pośrednictwem Kompowskich, którzy okazywali mi wielką pomoc, dostawałem inne książki do czytania. Rozplanowałem czas w ten sposób, że do południa uczyłem się, t. j. zajmowałem się tem, co wymagało większego skupienia uwagi i myśli, a po południu czytałem rozmaite powieści, opowiadania, podróże. Zajmowałem się militarnemi naukami, a przeważnie geografją ziem polskich. Czas więc upływał dosyć znośnie, przytem miałem z okien widok rozległy na rzekę i na liczne statki, stojące u brzegu, przy których zwykle ruch bywał znaczny.

Do mojego pokoju wchodziło się przez kancelarję komisarza,

a naprzeciw drzwi wejściowych z drugiej strony były drzwi prowadzące do jego mieszkania i zawsze zamknięte. Raz — było to po paru a może i więcej tygodniach — po południu — może o 4-ej lub 5-ej godzinie, otworzyły się te drzwi i na progu stanęła młoda jeszcze kobieta, zapraszając mnie do wnętrza. Wszedłem, była tam jeszcze i druga kobieta, siedząca przy stoliku, na którym stały imbryk i wszystkie przybory do kawy. Ta, która mię zaprosiła, była to żona komisarza. Zasiedliśmy więc przy stoliku i, popijając kawę, wesoło rozmawialiśmy. Żona komisarza uprzejma, miła, mówiła po polsku i powiedziała, że sama się uważa naogół za Polkę. Ojciec jej był popem, kapelanem w jakimś pułku rosyjskim, który stał w Królestwie Polskiem. Tam się urodziła, spędziła lata dziecinne i pierwszej młodości. Wspomnienie o Polsce i Polakach zostało w niej miłe. I później kiedy przychodziła owa przyjaciółka, którą pierwszy raz zastałem, zapraszała mnie do siebie na kawę, a po kawie grywaliśmy w karty. Działo się to bez wiadomości, przynajmniej jawnej, szanownego komisarza. Niedługo jednak korzystałem z tego towarzystwa.

Policmajster, który za każdym pobytem coś przykrego mi wyrządzał, czyhał tylko na sposobność, ażeby ograniczyć tę względną moją swobodę. Przybywszy kiedyś zrana, zastał mnie rysującego mapkę, na której dla dokładniejszego spamiętania odległości poprzeciągałem linje pomiędzy rozmaitemi ważniejszemi punktami. Zabrał tą mapkę, znalazł jeszcze parę podobnych i — jak się dowiedziałem później — przedstawił wyższej władzy jakoby plany dla powstania polskiego kreślone. Zdaje się, że już w tym czasie przybył nowy gubernator, Harting który zaraz na początku miał oświadczyć rozmaitym osobom z towarzystwa archangielskiego, że w Petersburgu minęła już moda życzliwego obchodzenia się z Polakami. Podziałało to i archangielskie towarzystwo zaczęło się stosować do tej odmiennej mody petersburskiej.

Przetranslokowano mnie do więzienia policyjnego, które się mieściło w domu głównego zarządu policji. Sam dom był starą ruderą, a więzienie policyjne było wprost wstrętne. Dwie izdebki, oddzielone od siebie cienką drewnianą ścianą. Przed temi izdebkami był przedpokój, w którym stała warta, i w któ-



Cezaryna Falkowska
Warszawa

rym schodziło się dużo policjantów. Gęsty dym bakunu, t. j. najgorszego gatunku tytoniu, był jeszcze najmniej przykrym smrodem, który tam panował i do izdebek łatwo przenikał. Do więzienia policyjnego przyprowadzano z ulicy pijaków, którzy nieraz wymiotowali. Krzyki, wrzaski, przekleństwa, płacz zakłócały nocami spokój snu.

Mnie wyznaczono jedną z tych izdebek, uprzywilejowaną, tak zwaną oficerską. Była to mała izdebka o małem zakratowanem okienku, którego szybki wskutek starości i zanieczyszczenia straciły przezroczystość zwykłego szkła. Podłoga była brudna, robactwo dokuczało. Był stolik, krzesełka i łóżko przy ścianie. Dostarczanie książek przerwano i byłbym skazany na samotne przetrawianie własnych myśli, gdyby nie potajemna przysługa policjantów, którzy okazywali mi życzliwość i gdyby nie uprzejmość żony policmajstra, która mi przysyłała od siebie czasopismo, „Gartenlaube“ i ułatwiała przysyłkę gazet.

Policmajster obrzydł mi swem małostkowem dręczeniem mnie. Skoro więc posłyszałem, że jest w przedpokoju, starannie chowałem wszystko, sam kładłem się na łóżko, odwracałem się do ściany, i udawałem, że śpię. Na pytania jego nie odpowiadałem. Oglądał i grzebał wszędzie. Jeżeli spostrzegł coś zapomnianego, ołówek, kawałek papieru, gazetę, zabierał z sobą.

Wszyscy go nie lubili, policjanci cierpieć go nie mogli, a u ludności słynął jako zdzierca i łapownik. Mówiono o nim: zwykły sztucer bierze od rogatki do rogatki, a nasz Sztucer bierze podwójnie w jedną stronę od rogatki do rogatki i napowrót. Dręczył ludzi, ale i sam był męczennikiem. Nieraz — jak opowiadali policjanci — przesiadywał całą noc, drzemiąc w sali głównego zarządu, ponieważ rozgniewana żona zamykała drzwi mieszkania i nie wpuszczała go.

Sztucer — jak sam kiedyś w przystępie humoru powiedział o sobie — był z pochodzenia „kołbaśnik“, tak od kiełbasy lud nazywał Niemców. Służył w policji jeszcze za czasów gubernatora Ogarewa, ojca pisarza rewolucyjnego i współredaktora „Kołokoła“, wydawanego w Londynie przez Hercena. Stary Ogarew przywiózł z Polski, gdzie był poprzednio na służbie, kochankę. Ażeby zabezpieczyć jej los, wydał ją za Sztucera któ-

ry był komisarzem policyjnym i zrobił go policmajstrem. Chciwy na grosz, był pozbawiony wszelkiej ambicji. Jeszcze przed moim przyjazdem, przy wyjściu z jakiegoś koncertu czy też teatru amatorskiego miał zatarg z jakimś wojskowym wyższej rangi i ten uderzył go w twarz. Drugiego dnia zrana, kiedy przybył ze zwykłem sprawozdaniem do gubernatora, ten go zapytał, co się dzieje w mieście? Na to Sztucer dał sakramentalną odpowiedź:

— Wsio błahopołuczno, (wszystko dobrze).

— Bydle — zawołał rozgniewany Aranderenko — ciebie biją w mordę, a ty mówisz: wsio błahopołuczno.

Żony Sztucera nie miałem sposobności poznać. Czy jej uczynność dla mnie pochodziła ze współczucia ku rodakowi, czy też robiła to naprzekór swemu mężowi, nie wiem; przypuszczam jednak to pierwsze.

W tem wstrętnem więzieniu przebyłem przeszło dwa miesiące. Wymogłem jednak, że pozwolono mi przesiadywać na niezabudowanym kawałku ziemi, przyległym do domu policyjnego i odgrodzonym od ulicy murem. Była tam trawka mizerna, sporo chwastów, trochę kwiatuszków, ale powietrze czyste. Przesiadywałem więc z książką na kamieniach po kilka godzin, wreszcie piekące słońce zmuszało mnie schronić się do izdebki. Mogłem jednak wchodzić tam tylko wówczas, kiedy policjant nie był dokądś wysłany.

Podczas mego pobytu w więzieniu wdawałem się czasem w pogawędkę, najczęściej z tymi, co mię pilnowali. Szczególnie wraziły mi się w pamięć dwie pogawędki. Do izdebki wsadzono jakiegoś chłopa za jakieś drobne przewinienie policyjne. Znalazłszy w ścianie przyległej dość znaczny otwór, jakby małe okienko, przylgnął tam twarzą i zaczął mnie wypytywać: kto jestem i za co siedzę? Zaspokoiłem jego ciekawość. — A dlaczego Polacy się buntują? — pytał dalej. — Bo nie chcą być w niewoli, chcą mieć swoje prawa — i dalej opowiadałem mu, jakie krzywdy wyrządzano Polakom. Chłop był myślący i niebardzo sprzyjał caratowi, ponieważ, jak większość włościan, nominalnie należał do kościoła urzędowego prawosławnego, ale w głębi swego ducha skłaniał się ku starej wierze. Chłop słuchał uważnie i wreszcie zgodził się ze mną, że Polacy mają

słuszność, nie chcąc znosić takiej krzywdy i niesprawiedliwości.

Drugą pamiętną rozmowę miałem z żołnierzem, stojącym na warcie. Sam mnie zaczepił i wezwał do rozmowy. Był to Łotysz z Inflant szwedzkich, wyznania luterańskiego. Zadziwił mnie rewolucyjnością swoich poglądów. Prócz swego ojczystego języka mówił po rosyjsku i trochę po niemiecku, umiał czytać i pisać. Najchętniej rozczytywał się w Biblji i z niej to wysnuwał, jakby Tomasz Münzer, swoje rewolucyjne poglądy.

Obiad przysyłali mi Kompowscy. Gdy pierwszy raz przyniesiono obiad, rozłamując chleb, znalazłem w nim ukrytą, zwiniętą kartkę. W ten sposób dowiadywałem się o przebiegu mej sprawy. Oddano ją sędziemu śledczemu, Klicy. Poznałem go był osobiście, kiedy przybył do Archangielska na kilka miesięcy przed moją ucieczką. Był to młody prawnik z uniwersytetu petersburskiego i liberał. O powstaniu polskiem mówił życzliwie. Sprawa moja wprawiła go w wielki kłopot. Miał on przeważnie stosunki z kółkiem, które mi sprzyjało, nie chciał więc narażać swej opinji liberalnej. Ale chodziło mu również o karjerę. A wśród dygnitarzy nie brakowało chęci by odznaczyć się także przykładnem ukaraniem chociażby jednego buntowniczego Polaka. Szczególnie parł w tym kierunku gubernjalny prokurator Naguła, który nienawidził wszystkich Polaków. Klica więc nie mógł się zdecydować, na którą przechylić się stronę i nic nie robił. Mnie jednak strasznie dokuczało więzienie i wolałbym już jakikolwiek wyrok, chociażby katorgę, byle tylko nie siedzieć pod kluczem.

Jakkolwiek nowa moda petersburska wpływała na zwrot opinji w kierunku antypolskim, to jednak osobiście w mojej sprawie była ona raczej dla mnie przyjazna, niż wroga. Wypowiedział ją w prostych słowach sekretarz rządu gubernjalnego, dowiedziawszy się o mojej ucieczce i mojem uwięzieniu: —

— Nie chciał jeść chleba carskiego, to i Bóg z nim, poco go więzić i karać.

Ale — jak powiedziałem — inaczej myśleli wyżsi przedstawiciele biurokracji. Do czego oni dążyli, dowiedziałem się od tak zwanego striapczego gubernjalnego.

Był to młody człowiek, uchodzący za liberała, którego spotykałem w znanych mi kółkach. W więzieniu nie przyszedł do

mnie ani razu, chociaż prawo obowiązywało go do tego. Był parę razy w policyjnem więzieniu, lecz do mnie nie zaszedł. Raz jednak przypilnowałem go i zażądałem, by też i do mojej celi wstąpił.

— Nie rozumiem zgoła — mówiłem — mego uwięzienia. Wszak przewinienie moje nie jest tego rodzaju, ażeby pociągało jakąś większą karę.

— Mylisz się pan — odrzekł. — Mogą sądzić pana, podług takiego to (wymienił liczbę) paragrafu „Swodu Zakonów," który powiada: „Jeżeli kto ucieknie lub wyjedzie zagranicę i przyjmie obce poddaństwo, to wrazie powrotu zostaje pozbawiony praw stanu i skazany na 5 lat ciężkich robót".

— Ależ — zawołałem, śmiejąc się — pozwólcie mi uciec i przyjąć obce poddaństwo, a wówczas czekajcie, aż wrócę.

Na to striapczy z obleśnym uśmiechem rzekł:

— W „Swodzie Zakonów" jest także paragraf, który mówi, że sam zamiar starczy za czyn.

— Przypuśćmy — powiedziałem — że można udowodnić zamiar ucieczki, lecz w jaki sposób da się wnioskować chęć przyjęcia obcego poddaństwa?

— Śledztwo to wykaże — odrzekł.

Zniecierpliwiony ociąganiem się Klicy, postanowiłem zużytkować swoje prawnicze wiadomości i rozpocząć walkę o swoje prawa. Zażądałem od policmajstra papieru, pióra i atramentu, ponieważ chcę pisać skargę, a to prawo mi przysługuje. Chociaż papier dawano numerowany, lecz można było nieco urwać. Następnie nawet pisanie skargi było pewnego rodzaju rozrywką wśród nudów więziennych. Wreszcie mógł być z tego jakiś skutek, co i istotnie nastąpiło. W skardze pisałem, że siedzę w więzieniu przeszło miesiąc, i o nic mnie jeszcze nie pytano, że takie lekceważenie swego obowiązku ze strony sędziego śledczego nie wzbudza we mnie ku niemu zaufania i dlatego żądam wyznaczenia innego sędziego śledczego.

Skarga odniosła skutek. Klica uczuł się nią mocno dotknięty i sam zażądał, by śledztwo w mojej sprawie zostało oddane komu innemu. Przekazano je więc sędziemu śledczemu Polakowi, o którym już wspominałem, że się trzymał zdaleka od kolonji polskiej. Rozpoczął on przesłuchanie, z którego tylko zapamiętałem zapytanie co do wiersza: „Szcze ne wmierła Ukraina". Wiersz ten trafił do mego zwitka przypadkowo. Zapisałem go był na dużym arkuszu papieru, pod dyktando Czubińskiego. Potrzebując papieru do obwinięcia mego zwitku socjologji, wziąłem ten arkusz. Na zadane mi pytanie, odpowiedziałem, że ten wiersz zapisałem, będąc jeszcze w kraju, jako pieśń ludową, którą zdarzyło mi się słyszeć. Po pewnym czasie, ten sędzia śledczy zachorował czy też udał chorobę i prosił o wyznaczenie kogo innego do dalszego prowadzenia śledztwa. Wyznaczono Łotyszewa. No — pomyślałem — dostałem się w dobre ręce. — Łotyszew bowiem miał w tych kółkach, wśród których się obracałem, wcale nieszczególną opinję. Mówiono, że jest łapownikiem, pijakiem, rozpustnikiem. Nie wiem, o ile uzasadnioną była ta opinja, ale w mojej sprawie okazał odwagę, bezinteresowność i życzliwość. Przedewszystkiem nie ociągał się długo. Po otrzymaniu sprawy, przybył do zarządu policyjnego w celu przesłuchania mnie. Powiedział mi, o co mnie oskarżają, jakie mają na to dowody i radził — byliśmy tylko sami — abym nie zaprzeczał świadectwom, co pociągnęłoby za sobą konieczność konfrontacji, a więc przedłużenie sprawy i jej komplikację, — lecz abym starał się te świadectwa wytłumaczyć i w ten sposób osłabić ich znaczenie. Zastosowałem się do tej metody. Najważniejszem było świadectwo naczelnika komory celnej, który przytaczał moją z nim rozmowę. Nie zaprzeczałem temu, że istotnie coś podobnego mówiłem, ale nie mówiłem tego na serjo. Była to tylko przechwałka i dziwi mnie, że kapitan wziął to na serjo, wiedząc, że wykonanie mego zamiaru wobec komory celnej i strażników było prostem niepodobieństwem, Łotyszew, odebrawszy te odpowiedzi, przedstawił wniosek o uwolnienie mnie z więzienia — o ile sobie przypomnieć mogę — we wrześniu.

Łotyszew wezwał mnie jeszcze raz do siebie celem równoczesnego w obecności mojej przesłuchania świadka, którego podałem, aby dowieść, że w celu polowania wyjechałem nad morze. Mając na widoku polowanie — twierdziłem — zamówiłem był buty myśliwskie i tylko dlatego w zwykłych butach wyjechałem, ponieważ myśliwskie nie były jeszcze gotowe. Na świadka podałem Żmudzina, o którym już wspominałem, że istotnie miał

mi je zrobić. Przyszedłem nieco wcześniej przed świadkiem. Łotyszew wskazał mi kanapę i stolik przed nią z książkami, proponując, bym w oczekiwaniu świadka zajął się lekturą, a sam zabrał się do pisania. Wspominam o tem szczególe dlatego, że wśród książek spostrzegłem otwarte czasopismo rosyjskie — jeżeli się nie mylę — „Otieczestwiennyja Zapiski" właśnie w tem miejscu, gdzie się znajdował „Pan Tadeusz" Mickiewicza w przekładzie Mikołaja Berga. Zacząłem czytać ten przekład z wielkiem upodobaniem, bo istotnie był doskonały. Tymczasem przyszedł wezwany Żmudzin. Na zapytanie Łotyszewa, czy istotnie zamówiłem u niego buty, zaczął opowiadać, że gdy przyszedł do mnie, przebierałem w papierach i niektóre wrzucałem w ogień do pieca. Widoczna była w tem zła wola Żmudzina, chociaż fakt był prawdziwy. Ale Łotyszew huknął na niego groźnie:

— Odpowiadaj na pytanie, a nie gadaj o paleniu papierów, o co cię nikt nie pyta.

Stropiony Żmudzin przyznał, że buty były zamówione i że wziął zgóry pieniądze na skórę.

— Patrzajno — powiedział Łotyszew — ażeby buty były gotowe za dwa tygodnie, bo inaczej czeka cię kara.

W ten sposób odzyskałem i buty, gdyż Żmudzin po dwóch tygodniach przyniósł mi je.

Podobno Izba Kryminalna okazywała gotowość sądzić mnie i to sądzić podług paragrafu, wskazywanego przez prokuratora. Lecz prezes Izby, Rusin, znany ze swej dobroci — w sprawach kryminalnych zawsze się skłaniał do kar najłagodniejszych — oparł się temu i, opierając się na jakimś paragrafie, który nakazywał sprawy, pociągające za sobą pozbawienie praw szlachectwa, odsyłać poprzednio do Petersburga, zastosował się do niego.

Tego prezesa — żałuję, że nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska — widziałem raz w towarzystwie. Był to typowy „chachoł" i z twarzy i z mowy. Podobno w domu wielce gościnny, „chlebosoł", prócz swoich zajęć prawnych mało się czem interesował. Opowiadano o nim, że raz wspominając pisarza rosyjskiego Sołtykowa (Szczedryna), mówił:

— Ja go, gdy byłem w Wiatce, tak ugaszczałem w domu, a on mnie tak źle opisał:

— A cóż on pisał o panu?

— A jakże... jakobym nie wiedział, nad jaką rzeką znajduje się Londyn.

— A nad jaką rzeką? — ktoś zagadnął.

— No, jakże, przecież wiadomo: nad Sekwaną.

Upodobał on sobie bardzo Czubińskiego, jako że był także „chachoł", i być może, że ten mu podszepnął, ażeby moją sprawę odesłać do Petersburga.

Od Łotyszewa też dowiedziałem się, że z gminy nadesłano świadectwo o śmierci tego przewoźnika, który mnie ostatnio wiózł i zamierzał donieść o mnie policji. Podobno jego zeznania w mniemaniu sędziów były dla mnie bardzo obciążające.

Z Petersburga nadesłano wyrok albo w końcu 1865 albo też na początku 1866 r. Brzmiał on mniej więcej w ten sposób: Śledztwo nie dostarczyło dowodów, ażeby oskarżony zamierzał uciekać zagranicę; ze wszystkiego jednak wnioskować można, że gotów byłby skorzystać z nadarzającej się ku temu sposobności. Należy więc wysłać go do powiatu, który najmniej sprzyja ucieczce. Za posiadanie zaś wiersza: „Szcze ne wmerła Ukraina", skazuje się oskarżonego na 6-tygodniowe więzienie.

Odzyskałem wolność, ale zostałem zupełnie bez środków do życia. Ta sumka, którą byłem zgromadził, wyczerpała się. Starać się o służbę rządową nie chciałem, a przytem prawdopodobnie byłoby to bezskuteczne. Rządowej zapomogi, wyznaczonej wygnańcom, nieposiadającym żadnego majątku, mnie nie dawano i nie upominałem się o nią. Pozostawała więc jedna nadzieja, że zanim coś obmyślę, jak sobie radzić, uzyskam jakąś pomoc z Podgórza. I istotnie otrzymałem, jak wnosić mogę z listu matki, pisanego 29 maja (prawdopodobnie 1864 r.). Zapytuje mię bowiem w tym liście, czy otrzymałem wysłane przez nią 50 rubli.

Z tego też listu widzę, że nadal na Podgórz rachować nie można było. Podgórz zabrano w sekwestr rządowy, na podstawie ukazu co do osób, zamieszanych w powstanie polskie. Ukaz ten rozciągnięto na wszystkie osoby, skazane na wygnanie, poczynając od 1861 r., a nadto te majątki ziemskie miały ulec przy-

musowej sprzedaży. Wnoszę z tego, że list był pisany w 1864 r., ponieważ matka nic nie wiedziała jeszcze, co się stało z braćmi moimi. — Mogło to jednak być i w 1865 r., ponieważ z listu Witolda Oskierki, pisanego do mnie w tym roku 13/25 września, widzę, że dopiero w tym roku musiałem się dowiedzieć o losie moich braci. Powiadamia mię też o tem Benedykt Dybowski z Irkucka w liście, pisanym po niemiecku, lecz niema na nim oznaczonej daty. W liście tym wspomina, że razem z nim odbywał podróż Marjan Dubiecki i że w Tomsku znalazł Stanisława Orzeszkę chorego.

Jak już wspominałem, wiedziałem, że bracia moi postanowili także drogą ucieczki wrócić na pole walki. Ksiądz Kowalewski, przybyły z partji na Litwie, mówił mi, że jakiś Limanowski został zabity w potyczce jego partji z Moskalami. Dopiero później dowiedziałem się szczegółowo o losie, jaki spotkał braci. Uciekli prawie w tym samym czasie co i ja. Dotarli szczęśliwie do granicy pskowskiej gubernji z witebską, niedaleko od Jass. Na granicy zatrzymała ich straż chłopska. Bracia usiłowali uciec, lecz chłopi dognali ich, zbili, związali i odstawili naczelnikowi wojennemu. Odesłano ich do Pskowa, gdzie był ustanowiony sąd wojenny. Sąd skazał ich na katorgę, lecz nawet Murawjew, któremu ten wyrok przysłano do zatwierdzenia, uważał go za zbyt surowy i zmienił katorgę na pozbawienie praw stanu i osiedlenie w Syberji. Na mocy tego wyroku, wysłano ich do Irkucka, a tam przeznaczono im gminę Ojok na osiedlenie.

Jak widzę z listu matki, wysłałem był na jej imię plenipotencję na moją część Podgórza, lecz pułkownik Nozdrowski, który zarządzał Podgórzem, powiedział, że on nie ma żadnego rozporządzenia na wydanie tej części z pod sekwestru. Na Podgórze więc nie było co rachować. W tem trudnem położeniu doznałem wiele życzliwości od osób, z któremi byłem w bliższych stosunkach. Czubiński zaproponował, bym go uczył języka francuskiego; następnie dawałem lekcje jego siostrze, którą sprowadził do siebie. Wszedłem też wówczas w bliższe stosunki z oficerami leśnymi Polakami, i jeden z nich Niedźwiecki, zaręczony z panną Rining, brał u mnie także lekcje francuskiego języka. Lecz największej doznawałem pomocy od Wasilewskiego. Dał mi u siebie w kancelarji jakieś zajęcie, korepetycję z synem Jasiem,

który chodził do gimnazjum i wreszcie przez niego dostałem u Clairców nieźle płatną lekcję. Co do tej ostatniej lekcji wypada kilka słów powiedzieć. Uczniem moim był chłopiec, liczący mniej więcej 12 lat. Ojciec jego Rosjanin, wojskowy, otrzymał jakąś posadę w Wilnie, gdzie Murawjew prowadził swoją gruntowną niwelacyjno-moskiewską działalność. Ja znowu ze swej strony siałem do umysłu jego syna ziarnka rewolucyjne. Dziwny to był chłopiec. Polubił mnie ogromnie, ale objawiał to krzykliwie, hałaśliwie, rzucając mi się na szyję. To samo robił i ze swoją matką. Raz miałem z nim dużo przykrości. Objawił chęć odwiedzenia mnie. Matka zgodziła się z warunkiem, że odprowadzę go na pewną godzinę. Malec zburzył u mnie wszystko, wszystko przeglądał, rozrzucał. Ale mniejsza o to. Kiedy przyszła naznaczona godzina, uparł się, że zostanie u mnie na obiedzie. Daremnie tłumaczyłem mu, że matka gniewać się będzie. Pogniewa się i przestanie — odpowiedział. I zdaje się, że ostatecznie na swojem postawił.

Oprócz dawania lekcji, dostałem jeszcze pracę kancelaryjną u konsula norweskiego, wice-admirała Fleischera. Płaca była niewielka, ale i zajęcie niewielkie. Przychodziłem tylko wówczas, gdy mię listownie przywoływał. Zadaniem mojem była korespondencja rosyjska z władzami rosyjskiemi. Jeżeli ta korespondencja wymagała całego czasu przedpołudniowego, to zatrzymywał mnie na obiad i wdawaliśmy się wówczas w rozmowy polityczne.

Dawałem jeszcze przez pewien czas lekcje języka polskiego Niemcowi, nauczycielowi języka niemieckiego w gimnazjum. Przypadkowo się dowiedziałem, w jakim celu uczył się tego języka. Raz mię zapytał: co to znaczy „wronki". — Małe wrony, kleine Krähen — odrzekłem.

— Nie, to nie może być — mówił.

— Innego znaczenia niema — powiedziałem.

— Nie to musi być coś innego. Brzmi to tak: „jeżeli wronki pozwolą."

Wówczas przypomniałem sobie, że list do matki, który przed paru dniami oddałem policmajstrowi, rozpoczynał się słowami: „jeżeli warunki pozwolą".

Zarabiałem tyle, że starczyło mi na moje życie, oczywiście bardzo skromne.

Stosunki moje towarzyskie nieco się zmieniły, chociaż niewiele. Rzadziej bywałem w towarzystwach, więc przesiadywałem w domu. Stosunek z rodzinami polskiemi pozostał prawie ten sam co i poprzednio. Z Goryniewskim i z Wasilewskim jeszcze bardziej się zbliżyłem.

Po zwolnieniu z więzienia przebyłem dzień albo dwa u Kompowskich, póki nie znalazłem mieszkania. Wybrałem je w dawnym naszym lokalu i zająłem ten sam pokój, w którym mieszkałem po przyjeździe z Mezenia. Przebyłem w nim — o ile sobie przypominam — aż do ciepłych dni 1864 r. W tym czasie wygnańców Polaków, oprócz Biernackiego i mnie, w samym Archangielsku nie było. Wszystkich zaś wygnańców politycznych było cztery osoby: ja, Czubiński, Biernacki i Elżbieta Pawłowa. Ta ostatnia była nauczycielką i została wysłana z Petersburga do klasztoru żeńskiego w Chołmogórach. Za staraniem jednak Goryniewskiego i Czubińskiego Arandarenko wyjednał, że jej pozwolono zamieszkać swobodnie w Archangielsku. Była to osoba niemłoda i nieładna, raczej nawet brzydka, ale mimo to ujmująca swoją dobrocią, delikatnością w stosunkach, wielką inteligencją i dużem wykształceniem. Prześlicznie grała na fortepianie, śpiewała i była nieco poetką. Ulubionym jej twórcą muzycznym był Chopin, wkładała w jego utwory wiele uczucia. Utwory Chopina, wydane w Petersburgu czy też w Moskwie — zapewne przedruk zagranicznych — na karcie tytułowej miały napis: „Bratijam Polakam“ (Braciom Polakom) i dalej następował jakiś wiersz romantyczny, nie wiem przez kogo ułożony, ale niewielkiej wartości. Zamiast tego wiersza, Pawłowa napisała własny, wcale silny, pełny uczuć patrjotycznych i śpiewała nam z takim zapałem, jakby sama była Polką. Z Czubińskim i z jego siostrą była w bardzo dobrych stosunkach. Spotykaliśmy się więc często i o rozmaitych kwestjach z całą otwartością rozmawialiśmy. Posiadam jej fotografję z nadpisem: „Wsiegda priznatielna Wam za otradnyja minuty, kotoryja wy mnie dostawlali w mojej tiażkoj ssyłkie. E. Pawłowa (15 jula 1865).

Z Czubińskim — już jak mówiłem — zawiązały się bliższe stosunki. U Czubińskiego poznałem się z całem kółkiem, z którem żył on w ściślejszych stosunkach. Byli to radykali i socjaliści. Właściwie kółko to składało się, oprócz Czubińskiego i Pawłowej, z lekarza Lipnickiego, Rusina, nauczyciela szkoły ludowej, Chiżniakowa i nauczyciela historji w gimnazjum, Maka. Czy należeli oni do jakiego związku politycznego, nie wiem, chociaż z tego, co mówił Chiżniakow, gdym go później odwiedził w Petersburgu, można było wywnioskować, że istniała i w Archangielsku jakaś organizacja. Stosunki w tem kółku były przyjemne, braterskie. Kiedy Lipnicki zachorował na tyfus, opiekowaliśmy się nim i po kolei odbywaliśmy dyżur przy nim. Byli to bardzo mili ludzie; Lipnicki, łagodny, cichy, trochę melancholijny; Chiżniakow, uczynny, facecjonista, nie znał francuskiego języka, ale wziąwszy książkę, tłumaczył po swojemu komicznie, z podobieństwa dźwięków, np. ‚Reuvue des deux mondes“ — rewu pa modie (wrzeszczą podług mody); Mak filozofujący, muzyk, z uczuciem grał Chopina i śpiewał ładnie. Szczególnie podobała mi się śpiewana przezeń piosenka „Matuszka, gałubuszka, sołnyszko moje.“ Mak jeszcze za mojego pobytu wyjechał jako nauczyciel do gimnazjum w Witebsku. Słyszałem, że tam rychło doznał na sobie skutków szpiegowsko-policyjnego charakteru szkolnictwa najezdniczego. Koledze swemu, patrząc na portret cara Mikołaja I-go w całej postaci, przypomniał dwuwiersz Puszkina: „Z gaławy do noh dietina, z noh do gaławy — skatina“. Ten nie miał nic pilniejszego, jak zakomunikować to dyrektorowi, a ten znowu zaproponował Makowi, by podał się do dymisji, jeżeli nie chce się narazić na gorsze skutki dalszego biegu donosu.

Czubiński, Lipnicki i Chiżniakow zajmowali wspólne mieszkanie. U nich też zamieszkał chwilowo Stronin, któremu wyznaczono na miejsce wygnania Mezeń. Był on nauczycielem w gimnazjum niemirowskiem na Podolu. Człowiek światły i miły w stosunkach towarzyskich. Był znękany długiem więzieniem i raz, kiedy coś opowiadał, nagle przechylił się, wykrzywił usta i upadł. Z początku sądziłem, że miał to być gest jakiś naśladowczy, ale następnie, gdy upadł, doznałem tak silnego wstrząśnienia, żem omal nie zemdlał. Położyłem się i przynajmniej z pół godziny mocowałem się z sobą, aby się uspokoić i przyjść do równowagi. W późniejszym czasie Stronin zasłynął był jako

socjolog, który usiłował wszystkie ważniejsze zjawiska społeczne wytłumaczyć na podstawie twierdzeń geometrycznych.

Kółko Czubińskiego pozostawało w zażyłych stosunkach z przybyłym koło tego czasu głównym naczelnikiem akcyzy, Nieronowym, który przejawiał przekonania jako skrajny niemal radykał. Mając ogromne dochody, często zapraszał do siebie i suto ugaszczał. Mnie się więcej podobała jego żona. Prosta i miła w obejściu, w przekonaniach swych była jakby poprzedniczką późniejszych rewolucjonistek i socjalistek rosyjskich. Posiadam jej fotografję przysłaną z Czernihowa i datowaną z 21 stycznia 1866 r. z dopiskiem: „Bolesławu Wikentjewiczu Limanowskomu w znak głuboczajszago uważenja ot A. Nieronowoj".

Miałem bardzo przykry wypadek w ich domu. Nieronow zaprosił nas wszystkich swych bliższych znajomych, ażeby wspólnie powitać nastanie nowego roku. Libacja była obfita, ja też piłem, lecz nie przekroczyłem zwykłej miary. Z uderzeniem 12-tej godziny nalano w kielichy szampana. Witając nowy rok, wychyliliśmy je do dna. Naraz uczułem brak powietrza, dławienie w gardle, porwał mnie płacz i śmiech histeryczny. Trwało to prawie do świtu. Mieli też ze mną nie mało kłopotu. Zauważyłem i później, że szampan zawsze silnie oddziaływał na mnie.

Będąc już w Szwajcarji, czytałem w dzienniku rosyjskim, że Nieronow kupił dobra w Finlandji i rozpoczął kampanję przeciwko autonomji finlandzkiej, którą Rosja uważała za obcokrajowców i zmuszała ich stosować się do praw miejscowych. Z radykała więc dawnego, który uznawał należne wszystkim narodom ich własne prawa, wyłonił się ostatecznie zachłanny zaborca moskiewski.

Wspomniałem już o księdzu Kowalewskim, którego przysłano na proboszcza do Archangielska. Był on kapelanem w jednej z partji powstańczych na Litwie. Kiedy rozbito tę partję, przybył do Wilna, a ponieważ policja zaczęła już o nim się dowiadywać i równocześnie zażądano z Petersburga przedstawienia kandydata do objęcia parafji północnych gubernji, więc władza duchowna wskazała go. W ten sposób umknął od wywiadów policyjnych. Czuł się duchowo powstańcem i jako taki chętnie przestawał z wygnańcami. Zdaje się, że był Litwinem z pochodzenia, a w każdym razie umiał dużo pieśni litewskich i nieraz je śpiewał. Wesołego usposobienia, lubił towarzystwo, a wśród młodzieży stawał się zwykłym kolegą, który nietylko pobłażliwie patrzał na miłostki, ale i sam nieraz opowiadał dość swobodne epizody.

W tym czasie wszedłem w bliższe stosunki z oficerami leśnymi Polakami. Było ich — jak się zdaje — 5-ciu w tym czasie. Z wyjątkiem jednego, który i ciałem i duchem cały był pogrążony w miłostkach, i pozatem nie miał innych pragnień, ani celów, byli to sympatyczni młodzi chłopcy. Szczególnie z dwoma żyłem blisko: z Aleksandrem Hryniewieckim i ze Stanisławem Żołądkowskim (nazwiska jednak nie jestem pewien). Stanisław Ż., przystojny chłopiec, ale z surowym żołnierskim wejrzeniem, zaproponował mi wspólną ucieczkę. Zgodziłem się na nią. Jako leśny oficer, mający swobodę ruchów, miał wszystko potrzebne przygotować. Ucieczka miała się odbyć zimą. Omawialiśmy ją szczegółowo kilka razy. Projektowaliśmy dostać się do Norwegji przez Laponję. Trzeba więc było kupić parę renów z saneczkami, odpowiednie ubiory i zgromadzić zapasy żywności. W tym celu zbieraliśmy pieniądze. Stanisław Ż. szczerze się tem zajmował. Projekt jednak nie doszedł do skutku. Nie przypominam sobie już dobrze, z jakiego powodu. Sądzę, że zapewne upadek powstania odjął nam chęć porwania się na niepewne losy tułaczki.

Powstanie — jak już powiedziałem — widocznie chyliło się do upadku. Murawjew i Berg prześcigali się w okrucieństwach. Wiara w pomoc Europy zawiodła. Ci, co uczestniczyli w powstaniu, stracili już wiarę w jego powodzenie. Czajczyński, który był jednym z czynniejszych członków organizacji powstańczej, na moje pytanie: jak stoi sprawa? — zapewniał mnie, że rychło wszystko się skończy. Na wyrażoną przezemnie wątpliwość, czy da się wszystko uspokoić, odrzekł stanowczo: „uspokoją nas". Na miejsce wiary w powstanie zaczęła rodzić się we mnie wiara w rewolucję rosyjską. Całe kółko Czubińskiego w nią wierzyło.

W usposobieniu jednak towarzystwa rosyjskiego zachodziła widoczna zmiana. Towarzystwo to składało się — można powiedzieć — prawie wyłącznie z osób, pozostających na urzędach

państwowych. Wygłaszało ono — jakkolwiek wyjątki były liczne — opinje liberalne i dla Polaków życzliwe. Teraz ci, którzy dawniej żywili odmienne przekonania, lecz wstydzili się je głośno wygłaszać, zaczęli występować otwarcie. I dawni liberalni odmieniali swą barwę. Wpłynął na to silnie nowy gubernator Harting. Po przyjeździe swoim, wszak oświadczył, że moda na liberalizm już minęła w Petersburgu, zalecał prenumerować czytać: „Moskiewskie Wiadomości" — Katkowa.

Harting był to karjerowicz czystej wody. Do jakiej należał narodowości, trudno powiedzieć. Ojciec jego był właścicielem ziemskim w gubernji mińskiej i siedział nawet w więzieniu, podejrzany o popieranie ruchu polskiego. Gubernatorstwo swoje zawdzięczał małżeństwu swemu z córką generała Trynatnego. Suworow, który miał potężny wpływ w Petersburgu, uważał za swój obowiązek wynagrodzić córce stratę, jaką wyrządził był jej ojcu. Trynatny podczas wojny krymskiej okradł skarb na wojskowych dostawach. Wyznaczone śledztwo sądowe to udowodniło, a naczelnym sędzią śledczym był Suworow. Skutkiem tego, Trynatnego zdegradowano i odebrano mu majątek.

Żona gubernatora nie była szczęśliwa. Młoda i przystojna, kochała podobno swego męża, lecz bez wzajemności. Przeciwnie pozostawał on otwarcie w stosunku miłosnym z żoną jednego z urzędników, który za jego protekcją przybył z nim razem i do Archangielska. Sam Harting dbał o swoją karjerę, lecz czynnej prześladowczej polityki nie prowadził, a pozostając pod wpływem Czubińskiego, nie jedno nawet złagodził, co inni gorliwie postanawiali byli już zrobić. Pawłowa, która pozyskała zaufanie jego żony, następnie i na niego korzystny wpływ wywarła.

W zajęciach moich umysłowych pozostawałem jeszcze na rozdrożu. Kontynuowałem studja militarne, lecz i ku socjologji zwracać się znowu zacząłem. Ucząc innych francuskiego języka, sam też starałem się wprawić w jego używanie. Uczyłem się na pamięć całych ustępów z „Notre Dame de Paris" — Wiktora Hugo. Czytałem dużo po francusku. Książki w tym języku pożyczałem od Markowiczowej. Chodziłem też codziennie do bibljoteki publicznej, aby czytać dzienniki. Bibljoteka mieściła się w pięknym gmachu miejskim, gdzie się znajdował zarząd miejski, budowniczy i in. Na użytek jej przeznaczone były dwa duże pokoje parterowe. W jednym była czytelnia, na stole leżały dzienniki; w drugim siedział bibljotekarz i znajdowały się szafy z książkami. Bibljotekarzem był wysuszony, obojętny na wszystko biurokrata. Odsiadywał swoje godziny, ale wcale się nie interesował bibljoteką. Wykształcenia nie posiadał prawie żadnego. Co do dzienników, to było ich niewiele, były „Moskiewskie i Petersburskie Wiadomości". Książki w szafach były przestarzałe. Harting czy z własnej inicjatywy, czy też może pod wpływem Czubińskiego, zaproponował sprowadzenie warszawskiego wydawnictwa dzieł Mickiewicza, ponieważ w mieście jest sporo Polaków. Do bibljoteki mało kto przychodził. Najczęściej samotnym byłem czytelnikiem.

Wiosną 1864 r. zmieniłem mieszkanie. Z jakich powodów, już nie pamiętam. Przeniosłem się do Kuźmiczychy, przedmieścia zamieszkałego przez wyrobników i rzemieślników. Przypuszczam, że uczyniłem to dla taniości. Miałem dwa pokoiki: jeden mały, drugi większy o dwóch oknach. Mebelki bardzo ubogie. Przemyśliwałem wówczas także, by otworzyć sobie jakieś inne źródło zarobkowe, niż dawanie lekcji, zwłaszcza, że podług nowych obostrzonych przepisów o nadzorze policyjnym nad wygnańcami, nauczanie zostało wzbronione i mogło odbywać się tylko potajemnie. Myślałem o założeniu małego sklepiku, myślałem też o nauce stolarstwa i założeniu warsztatu stolarskiego. Połączone to było z wielkiemi trudnościami, przytem ani usposobienie ani nawyknienia nie dawały się łatwo pogodzić z gruntowną zmianą trybu życia, którаby musiała z konieczności nastąpić. Musiałbym wyrzec się pracy umysłowej, a przynajmniej zamknąć ją w ciasnem kole.

A właśnie w tym czasie znowu wracałem do socjologji. Rozpoczynałem ją pisać nanowo. Zakres moich wiadomości znacznie się rozszerzył. Przeczytałem w tym czasie kilka ważnych dzieł w tym przedmiocie, który mię zajmował. Zawdzięczam to głównie Czubińskiemu, który je sprowadził dla Statystycznego Komitetu. Były to dzieła Quételt'a, statystyka Wappensa, „Polityczna Ekonomja" Jana Stuarta Milla w tłumaczeniu francuskiem przez Courcel de Seneuil. Później nieco dostałem tę ekonomję polityczną w polskiem tłumaczeniu, darował mi ją

wygnaniec Uszyński. Sprowadziłem polski przekład „Historji cywilizacji w Anglji" — Buckle'a, wówczas był wyszedł tylko tom pierwszy.

Dzieło to przestudjowałem gruntownie, mogę powiedzieć. Nie mogąc się zgodzić z autorem, aby moralność jako czynnik postępowy miała małe znaczenie, ponieważ ewolucja jej była prawie żadna, postanowiłem zbadać dokładniej ten przedmiot i w następstwie tego napisałem dość obszerny artykuł o stosunku wiedzy i moralności w postępowym rozwoju społeczeństw. Artykuł ten następnie, gdym był w Lubelskiem, ogładziłem i, będąc w Warszawie, oddałem ówczesnemu profesorowi w Szkole Głównej, Adolfowi Pawińskiemu, od którego to zależało, z prośbą o wydrukowanie w „Bibljotece Warszawskiej". Okazał się on jednak wielkim konserwatystą i artykułu nie przyjął, — nie pamiętam już czem motywując odrzucenie. Mówiłem, że okazał się wielkim konserwatystą, albowiem nie przyjął także i tłumaczenia polskiego jakiegoś dramatu Szyllera, dokonanego przez Goniewskiego, dla tej przyczyny, że tam był ustęp nieprzyjazny dla duchowieństwa katolickiego, co byłoby wodą na młyn prześladowców moskiewskich — jak powiadał.

Napisałem też mniej więcej w tym czasie spory artykuł o stosunkach ludnościowych w mieście Archangielsku, na podstawie spisu ludnościowego, wykonanego jednego dnia w całem mieście. Czubiński doręczył mi arkusze tego spisu i prosił o wywody ogólne. Mając na uwadze dzieła Quetelet'a i Wappensa podług ich wskazań napisałem żądany artykul po polsku. Przetłumaczono go na język rosyjski i Czubiński umieścił tą moją rozprawę, w „Pamiętniku Statystycznego Komitetu archangielskiej gubernji".

Wkrótce, po miesiącu, może po dwóch, dostałem współlokatora. Był nim Karol Minakowski, tancerz z baletu warszawskiego. Został uwięziony jako poborca narodowy. Znaleziono przy nim kwity, lecz w żaden sposób komisja nie mogła go zmusić do zeznań. Odpowiadał, że kwity znalazł przypadkowo, a na wszystkie podstępne pytania i groźby odpowiadał upartem milczeniem. Nie mogąc nic się od niego dowiedzieć, wysłano go tylko na wygnanie. Ze względu na jego zawód tancerski, gubernator zatrzymał go w Archangielsku, prawdopodobnie na



Emilja z Umińskich Korniłowiczowa
Warszawa

życzenie swej żony, po pewnym bowiem czasie powołała go ona na nauczyciela tańców w szkole żeńskiej, której była protektorką. Z tego powodu pocieszny zdarzył się wypadek. Wypadało, ażeby Minakowski udał się osobiście do gubernatorowej i podziękował jej za okazaną mu łaskę. Lecz w jakim języku miałby wypowiedzieć swoje podziękowanie? Umiał mówić tylko po polsku. Napisaliśmy więc mu po rosyjsku, co miał powiedzieć. Zaczynało się to tak: „Czest imieju predstawitsia Waszemu Wysokoprewoschoditielstwu, ja Karł Minakowskij, artist tieatra warszawskawo itd.“ Minakowski nauczył się tego na pamięć i wyrecytował to przed nami parę razy poprawnie. Na audjencji jednak u gubernatorowej, zmieszał się i wyrecytował: Ja, Karł Minakowskij, tieatr warszawskij itd. — Gubernatorowa uśmiała się i opowiadała o tem swoim znajomym.

Minakowski był dobrym i starannym nauczycielem tańców. Ażeby mieć większy zarobek, wynajął salę i zorganizował wspólną naukę. Dla zachęcenia innych, niemal wszyscy jego znajomi zapisali się na uczniów, ja też zapisałem się i chodziłem stale. Nie trwało to jednak długo. Ponieważ zesłanym zostało wzbronione wszelkie nauczanie, więc gubernator, niepewny, czy dotyczy to tańców, zwrócił się z zapytaniem w tej sprawie do ministerstwa. Odpowiedź nadeszła, że nie wolno uczyć i tańców, ponieważ chodzi oto, ażeby zesłani jak najmniej mieli stosunków z mieszkańcami. Wskutek tego i lekcje w szkole żeńskiej odpadły. Minakowski jednak i nadal w domach prywatnych zajmował się nauczaniem tańców. Patrzano na to przez palce zapewne z polecenia gubernatora.

Aż do końca pobytu mego w Archangielsku mieszkaliśmy razem. Dobry człowiek, dobry tancerz, pod względem umysłowym był bardzo ograniczony. Łaknął jednak wiedzy, uczył się pilnie, lecz ciężko mu wszystko przychodziło. Z początku zamęczał mnie swoją muzyką, grał bowiem na skrzypcach i wprawiał się w tej grze codziennie. Następnie jednak uregulował swe godziny, ażeby z mojemi godzinami pracy nie wchodziły w kolizję.

Pozwolono też pozostać w Archangielsku dwom wygnankom: Steckiej i Olszewskiej. Obie przybyły z Warszawy, średnich lat i zamężne. Co do Olszewskiej, nie jestem pewien, czy była zamężna, czy też wdowa. Obie pochodziły z klasy rze-

mieślniczej. Olszewska nieładna, ale dobra kobieta i bez pretensji. Stecka dosyć gładka, chciała uchodzić za coś lepszego. Zamieszkały niedaleko od nas i dość często przepędzaliśmy razem wieczory, wspólnym kosztem urządzając kolację. Im przypadała rola gospodyń, najczęściej robiły bitki z mięsa, a my przynosiliśmy nalewkę — były bardzo dobre nalewki z wiatskiej gubernji. Wreszcie była herbata i ciastka. Zwłaszcza Minakowski był w swej sferze, dowcipkował jako warszawiak z warszawiankami. Odwiedziłem Stecką kiedyś w Warszawie i poznałem jej męża. Olszewska przeniosła się do Sołombały i zamieszkała u Supińskich. Zachodziłem do niej nieraz i często spotykałem u niej powstańców, wziętych do niewoli.

W tymże czasie, tj. podczas pobytu w Kuźnieczychie, zaznajomił się z nami Cieński, oficer miejscowego garnizonu. Mieszkaliśmy niedaleko od siebie i zawiązały się między nami bliższe stosunki. Był uczynny, w razie potrzeby pożyczał nam pieniędzy i odwiedzaliśmy się często wzajemnie. W swem mieszkaniu urządził gimnastykę. Z pewnością przyczyniło się to znacznie do utrzymania organizmu w dobrym stanie zdrowia.

Drugim środkiem, który wpływał też korzystnie na stan zdrowia, było stałe używanie rzecznej kąpieli. Zapobiegło to cierpieniom reumatycznym. Wstawaliśmy z Minakowskim wcześnie i szliśmy do kąpieli codziennie, chyba że słotna pogoda przeszkadzała. Czyniliśmy to nawet wówczas, kiedy przymrozki zaczęły formować u brzegu słabą kręę. Minakowski właściwie szedł za moim przykładem i wyszło mu to także na korzyść. Moskale, widząc nas kąpiących się późną jesienią, podziwiali polską wytrwałość. Do kąpieli miałem upodobanie, nabyte od lat dziecinnych.

Wracam do Cieńskiego. Był to dziwny, pełny sprzeczności człowiek. Ukończył uniwersytet marymoncki, lubił naukę, miał sporo wiedzy i wstąpił dla chleba do wojska rosyjskiego. Był uczciwy, obowiązkowy, lecz nie był zdolny do zyskiwania względów u władzy i nie posuwał się w awansach. Był dobrym i szczerym Polakiem, sprzyjał nam wygnańcom, podzielał wolnościowe przekonania, a jednak nie okazał gotowości uczestniczenia w powstaniu. Był kawalerem, wprawdzie już dobrze dojrzałym i przez naturę topornie zrobionym, pragnął się ożenić

wszakże tylko z Polką, ale kiedy pewna panna, która mu się podobała, sama mu się oświadczyła, nie odważył się na zawarcie ślubów. Uważał się za purystę języka polskiego, przestrzegał pilnie jego czystości i nam, a szczególnie mnie, dość często wytykał błędy. Kiedy nawet wykazywałem, że ten błąd popełniali i znakomici nasi pisarze, on uparcie trwał przy swojem.

W tym okresie czasu poznałem się ze Stefanem Kowerskim, zamożnym właścicielem ziemskim na Litwie. Znany powszechnie jako człowiek uczciwy i sprawiedliwy, został wybrany przez współobywateli na mirowego pośrednika, mającego załatwiać sporne sprawy pomiędzy włościanami i byłymi ich panami, właścicielami ziemskiemi. Kiedy po złamaniu powstania Murawjew zażądał, ażeby szlachta złożyła rządowi adres wiernopoddańczy, Kowerski należał do tej niewielkiej liczby, która odmówiła swego podpisu. Za to skazano go na wygnanie, a majątek wpisano na listę podlegających przymusowej sprzedaży. Wyznaczono mu w Archangielskiej gubernji na mieszkanie miasto Pinegę. Podczas krótkiego jego pobytu w Archangielsku, zaprzyjaźniliśmy się ze sobą i te przyjazne stosunki przetrwały aż do końca, chociaż nasze polityczno-społeczne poglądy w rozbieżnym poszły kierunku.

Stosunki towarzyskie pozostawały mniej więcej te same, co i poprzednio. Bywałem u Bielińskich, ale rzadziej, a wówczas najchętniej rozmawiałem z matką Bielińskiego, miłą staruszką, która w tym czasie przyjechała z kraju do syna. Zajęła się ona gorliwie wnukami, którzy mocno się do niej przywiązali. Mówiła z niemi wciąż po polsku i nauczyła ich modlitw polskich.

Ks. Kowalewski, o którym już mówiłem, często przychodził do nas i zabierał nas ze sobą na obiad. Był smakoszem lubił zjeść, ale jedzenie smakowało mu najlepiej w towarzystwie. Sam kucharzył i obmyślał rozmaitego rodzaju smaczne potrawy. Pamiętam, że przyrządzał chłodnik litewski, do którego oprócz ogórków i raków, wchodziły jeszcze pomarańcze i figi. Jeżeli coś szczególnie smacznego przygotował, wykrzykiwał: „gdybym nawet miał umrzeć, to będę jadł". Był gościnny i w niedzielę po mszy zawsze schodziło się do niego sporo osób na śniadanie. Swoim zwyczajem politykowano, to jest rozprawiano o aktualnych sprawach politycznych. Pocieszną rolę w tych

dyskusjach odgrywał świeżo przybyły budowniczy Dąbrowski. Kiedy dyskusja stawała się gorącą, ustawiały się najczęściej dwie strony zwalczające się naprzeciw siebie. Kiedy mówca jednej strony przemawiał, Dąbrowski stawał po jego stronie i wymachiwał rękami, pokrzykując: „a tak, prawda, słusznie, ma się rozumieć, czy nie mówiłem?“ A kiedy z przeciwnej strony zabrano głos i zbijano wywody mówcy poprzedniego, Dąbrowski przechodził na drugą stronę i, wymachując rękami, powtarzał te same wykrzykniki.

Ten Dąbrowski był pod pewnym względem mojem utrapieniem. Murawjew oczyszczał Litwę i wielu Polaków urzędników poprzenosił do Rosji na te same urzędy. Kilku takich urzędników przysłano do Archangielska. Do ich liczby należał Dąbrowski, który był budowniczym w Mińsku. Nie mając rodziny, nie wiedział, co robić wieczorami, więc łaził po ludziach. Miał do mnie większą śmiałość, niż do innych, może dlatego, że byłem cierpliwszy. Moi współlokatorowie rzadko pozostawali w domu wieczorem, prawie zawsze gdzieś zgromadzano się. Ja częściej zostawałem w domu, mając do wykonania jakąś pracę. Zaledwie zabierałem się do niej, słyszę pukanie do drzwi. Wchodzi Dąbrowski. Cóż mam począć? Przygotowuję herbatę, traktuję go. W ciągu pierwszych kilku wieczorów opowiadał o swoich stosunkach w Mińsku, o swojej biedzie, ale to się wyczerpało, więc później i on milczał i ja milczałem, myśląc: masz tobie, gdybym poszedł razem z moimi współlokatorami, tobym wesoło wieczór przepędził, a teraz i nic robić nie mogę i nudzę się.

Jak już powiedziałem — ksiądz Kowalewski uważał się za powstańca i podzielał powstańcze pragnienia wolności. Mówiliśmy nieraz o roli wygnańców polskich wśród społeczeństwa rosyjskiego. Kiedy więc miał wyruszyć w objazd swej parafji, zaproponował mi, ażebym spisał swe poglądy na ten temat, a on zakomunikuje to pismo w kolonjach polskich.

Napisałem list obszerny. Carat moskiewski — pisałem — dąży do zmoskwiczenia Polaków. Musimy więc walczyć zawzięcie o zachowanie swej narodowości. W walce tej musimy się kierować temi zasadami, które strategja kreśli dla wojny. Powiada ona, że działanie oporu jest mniej skuteczne, mniej zapewnia zwycięstwo, aniżeli działanie zaczepne, uprzedzające Carat chce nas zmoskwiczyć, usiłujmy więc spolszczyć Rosję. Występujmy wszędzie otwarcie jako Polacy, dawajmy przykład, jakimi powinni być ludzie uczciwi i wolni. Trzeba, ażeby Rosjanie uczuwali cześć dla Polaków. Nietylko mamy się troszczyć o zachowanie swej mowy, ale nawet o jej szerzenie. A nadewszystko rozniecanie pragnień wolności, a uczuć nienawiści ku despotyzmowi powinno stać się naszem zadaniem. Zachęcajmy i popierajmy rewolucjonistów rosyjskich.

Podobno w Wołogdzie dobrze przyjęto moje pismo. Zdaje się, że ks. Kowalewski pozostawił je w Wołogdzie, ażeby tameczni wygnańcy szerzyli je dalej.

Od czasu sprawy Simonowskiego, trzymałem się zdaleka od Biernackiego. Pomimo, że zapraszał mnie, nie zachodziłem do niego. Dotykało go to silnie, tem bardziej że starał się o Stefanję Żardecką, a ta bardzo zważała na moją opinję. Prosił więc Wacława Kompowskiego, ażeby wpłynął na mnie i usposobił mnie przychylniej dla niego. Pretekstem miał być barszcz litewski, ugotowany z buraków, na który nas zaprosił. Minakowski i Kompowski mieli iść, ja zaś powiedziałem, że mam pracę i zostanę w domu. Wówczas Kompowski zaczął przedstawiać że krzywdzę Biernackiego, że w sprawie Simonowskiego można go oskarżać o lekkomyślność, lecz nie o złą wolę, że Biernackiego mocno boli moje zachowanie się względem niego. Dałem się przekonać i poszedłem także na barszcz litewski.

O późniejszych dziejach Biernackiego opowiadał mi w Genewie Romuald Kompowski. Od tego czasu upłynęło ze 30 lat, więc pamięć nie przechowała dokładnego obrazu, ale w każdym razie pozostał zarys ogólny. Biernacki dostał jakąś urzędową posadę — zdaje się w powiecie meżeńskim. Licho jednak jakieś pchało go do denuncjacji. Tym razem wysłał denuncjację na swego zwierzchnika, czy też na jakiegoś innego dygnitarza. Skutek był fatalny: dano mu dymisję, i z żoną i z dziećmi pozostał w strasznej nędzy.

Już na początku lata 1864 r. nakazano porobić przygotowania dla jeńców, których znaczną liczbę miano przysłać do Archangielska. W tym celu restaurowano duże murowane koszary które były w Sołombale wybudowane dla jeńców z 1831 r. W

końcu lata ku jesieni zaczęły co piątek przybywać partje powstańców. Tymczasem okazało się, że nic dla nich nie przygotowano. Restauracja koszarów nie była ukończona, nie przygotowano ani odzieży, ani bielizny, ani obuwia, przez parę pierwszych dni nie dostarczono nawet żywności. Dzięki temu, że była pogoda i ciepło, na obszernym dziedzińcu przed więzieniem rozbito namioty i tam przez kilka tygodni przebywali jeńcy. Gwałtowna była potrzeba bielizny, a w pierwszych dniach i żywności. Agitowałem więc silnie w kolonji polskiej, która — trzeba przyznać — znaczną niosła pomoc, a szczególnie odznaczał się w tym względzie Wasilewski, który nietylko sam dawał hojnie, lecz pobudził do ofiarności i znanych mu Anglików i Niemców, czyli raczej kupców niemieckiego pochodzenia.

Ogromne koszary w Sołombale wypełniały się jeńcami, których liczono do tysiąca. Utrzymywano ich surowo, były to roty karne (aresztanckie roty). O surowem i dzikiem postępowaniu władz pisałem w moich „Wspomnieniach Wygnańca", kiedy miałem jeszcze świeżo w pamięci wypadki. Przed kilkoma laty zdarzyło się mnie czytać w „Bibljotece Warszawskiej" wspomnienia jednego z jeńców, który przebywał w rotach karnych. Z opowiadania jego można było wnioskować, że tak źle więźniom tam nie było. Można to po części przypisać temu, że czas łagodzi przykre wspomnienia.

Z rotami karnemi pozostawałem w możliwie bliskim stosunku. W koszarach nie byłem, bo ściśle je strzeżono, a gdybym nawet w jaki sposób mógł się tam dostać, to raczej mogłoby to zaszkodzić więźniom, aniżeli im w czem dopomóc. Miałem z niemi kontakt przez księdza Krasuckiego, którego przysłano do nich na kapelana. Był to zupełnie młodziutki ksiądz, który świeżo ukończył seminarjum w Mińsku. Gorący patrjota. Obowiązki swoje względem więźniów wypełniał sumiennie. Zmarłych — było kilka pogrzebów — odprowadzał pieszo, nie zważając na stan pogody. Cmentarz znajdował się dość daleko. Ja i Minakowski zawsze asystowaliśmy mu.

Największą część jeńców stanowili rzemieślnicy i robotnicy. Byli pomiędzy nimi zdolni rzemieślnicy, z których pracy chętnie korzystała zamożniejsza ludność miasta. Szczególne

powodzenie mieli szewcy obuwia żeńskiego. Pozwalano więc dla wykonania pracy, albo dla umówienia się o nią wychodzić na miasto pod konwojem jednego lub dwóch żołnierzy. Więźniowie korzystali z tego i zjednawszy sobie żołnierzy, wstępowali albo do nas, albo do Olszewskiej i Steckiej, gdzie częstowaliśmy ich śniadankiem i gawędziliśmy chwilkę z sobą. W ten sposób poznawałem wielu więźniów, nazwisk ich jednak nie pamiętam, oprócz tych, z którymi później się spotkałem. — Mittiga, Łechotyckiego, Szuby. Z Mittigiem spotykałem się we Lwowie i był mi wielce pomocny. Łechotyckiego fotografję w ubraniu aresztanckiem miałem, lecz zapewne podczas podróży etapem zabrano mi ją przy rewizji w Moskwie. Wkrótce, po moim przyjeździe do Warszawy, umarł on i byłem na jego pogrzebie. Szuba otworzył w Warszawie jadłodajnię i parę razy wstąpiłem do niego, ugościł mnie, nie przyjmując zapłaty.

Uważałem, że jedną z najważniejszych potrzeb dla więźniów były książki. I oni sami prosili o nie. Zająłem się więc pilnie zebraniem na to składki pieniężnej. Nie pamiętam, ile zebrałem, ale wiem, że była to dość pokaźna kwota. Ułożyłem spis książek, które — zdaniem mojem — były najodpowiedniejsze dla poziomu przeciętnej umysłowości więźniów. Były to prawie wyłącznie dzieła popularne, pisane dla ludu przez uzdolnionych pisarzy w latach 1861 i 1862, albo z dziedziny historji polskiej, albo z dziedziny nauk przyrodniczych. Było i kilka poważniejszych książek jak np. „Geografja" — Żmichowskiej, którą sam z wielkim pożytkiem przeczytałem. Książki te sprowadzono z Warszawy, prawdopodobnie przez pośrednictwo Wasilewskiego. Ważną też było rzeczą legalne ich wprowadzenie do koszar więziennych. W tej sprawie wiele dopomógł Czubiński, który zdobył był pewien wpływ na gubernatora. Wogóle Czubiński oddziaływał korzystnie na bardziej ludzkie obchodzenie się z jeńcami. Kiedy zarząd więzienia wywołał protest kradzieżą żywności, prawem przepisanej, i kiedy z tego powodu ćwiczono więźniów rózgami, gubernator, na przedstawienie Czubińskiego, nie dopuścił, ażeby te egzekucje przybrały takie rozmiary, jakie chciano im nadać. Sprawę tą opisałem w moich „Wspomnieniach Wygnańca".

Ułatwiałem też więźniom sprzedawanie ich wyrobów. Prze-

ważnie były to ładne pudełka, z różnokolorowego papieru zrobione. Najczęściej w jakiemś licznem zgromadzeniu puszczałem takie pudełka na loterję. Los zwykle kosztował 10 kopiejek. Całe pudełko oszacowywano na 3 lub 4 ruble. Bilety zawsze odrazu wykupywano i ciągnienie odbywało się natychmiast. Zapewniało to zgromadzonym przyjemną zabawę. Czasami na loterję szły i zegarki. Jeden z takich zegarków wygrała siostra Czubińskiego i następnie zupełnie wyreperowany mnie podarowała. Historja tego zegarka była ciekawa. Służył mi dość długo. Ulegał wypadkom, naprawiałem go; przez czas pewien regulowałem go w ten sposób, że pół dnia nosiłem go— wówczas śpieszył, pół dnia zostawiałem go na stole — wówczas późnił się; wreszcie gdym jechał z Galicji na wygnanie, w dyskusji z Lucjanem w Krakowie, machnąłem ręką z całej siły, zapominając, że trzymałem w niej zegarek. Stłukł się na miazgę.

W listach pozostałych z czasów archangielskich, znajduję list Władysława Kleczkowskiego, datowany z Pinegi 23 kwietnia 1865 r. W tym liście prosił mnie o informacje i o pośrednictwo w swoim handlowym interesie. Nie znałem go osobiście, a i później nie nadarzyła mi się sposobność poznania go. Prowadził on już interes handlowy w Wilnie. Jeszcze przed powstaniem zawarł umowę z bogatym właścicielem ziemskim. Brochockim o dostarczanie mu rozmaitych wytworów żywnościowych, jak mięsa solonego (pekflejszu), ozorów, sera itp. Tymczasem zesłano go z Wilna do Pinegi. Brochocki pomimo to nie zgodził się na rozwiązanie zawartej umowy. W Pinedze nie można było prowadzić handlu, musiał więc Kleczkowski starać się o czyjeś pośrednictwo w Archangielsku. I to nie było łatwo, ponieważ jemu samemu nie wolno było nigdzie wydalać się z Pinegi. Nie pamiętam, co odpisałem Kleczkowskiemu. Wiem tylko, że Wasilewski powiadomił mię naraz, że na moje imię przybył transport drogą wodną. Były to wysłane Kleczkowskiemu towary. Nie mało miałem z nimi kłopotów. Były to dwa duże kufry z mięsem solonem, które trzeba było gdzieś umieścić. Na szczęście okazało się, że w tym samym domu, gdzie mieszkałem była niezajęta stajnia. w której za pewną opłatą pozwolono umieścić przysłane towary. Następnie trzeba je było sprzedać. Nie znając stosunków handlowych, nie wiedziałem, jak i co

począć, gdyby nie pomoc Tustanowskiego. Przez swego szwagra, ułatwił on sprzedaż Hellermanowi, który nie okazywał wielkiej ochoty kupna, ponieważ pora już była nieco spóźniona, i nabywcy zagraniczni pozałatwiali swoje interesy. Nie pamiętam, jaką sumę otrzymałem od Hellermana, ale wiem, że to były tysiące, i takiej olbrzymiej sumy nigdy przedtem nie miałem. Dopókim jej nie odesłał, byłem w ciągłym strachu, ażeby coś się z nią nie stało. Sprzedaż innych towarów nie sprawiała wielkiej trudności, Świece parafinowe, przeświecające, szybko rozkupiono, jako nowość nieznaną. Sery litewskie, bardzo smaczne, — takich smacznych jak Brochockiego nie zdarzyło mi się jeść, aż dopiero w Krakowie w 1908 r. napotkałem podobne, — otóż te sery chętnie kupowano, a sam ksiądz Kowalewski zabrał sporą ich liczbę. I inne sery kupowano, zresztą i my braliśmy na rachunek, zwłaszcza kiedy gotówki zabrakło. Raz Minakowski, który zajmował się głównie gospodarstwem, ugotował barszcz na niedźwiedzinie. Barszcz był wyśmienity. Dopiero później Minakowski powiedział mi, że był ugotowany na niedźwiedzinie, gdyż ja do jej jedzenia nie mogłem się przezwyciężyć. Prosiłem go, by nadal podobnej próby nie robił. Mówił, że i sam się spostrzegł dopiero później, że zamiast wędzonki wydał był kucharce niedźwiedzinę do ugotowania.

Było to — jak przypominam sobie — w innem już mieszkaniu, do którego przenieśliśmy się razem z naszą wynajemczynią. Była nią Stasiukowa, o której już wspominałem, pisząc o pobycie w Mezeniu. Mąż jej pod zarzutem jakiegoś sprzeniewierzenia, siedział w więzieniu archangielskim, spadł więc na nią znaczny ciężar i pomagania mężowi i własnego przebijania się przez życie. Byliśmy wzajemnie z siebie zadowoleni. Skoro więc zmuszona została zmienić mieszkanie, rachowała na nas jako na swych pewnych lokatorów. Ale najmocniej, szalenie nawet przywiązał się do mnie pies Stasiuków. Duży, gruby, miał wygląd straszny, groźny. Z początku nieufny, zawsze warczący, zaprzyjaźnił się wreszcie z nami. Bardzo często siadał przy stole, gdyśmy obiadowali. Dobrze odżywiany, nie znał głodu, nie gardził jednak kąskiem mięsa lub kością. Jeżeli mu dano chleb lub kość, nawet kiedy był dobrze najedzony, szedł do odleglejszego kąta, kładł je tam i drapał łapami podłogę,

jakby je zagrzebywał. Później, wbiegłszy do pokoju, obchodził kąty i znalazłszy pozostawiony chleb lub co innego, zjadał to. Zrana, kiedy służąca przychodziła palić w piecu, lub przynosiła wodę do mycia, wbiegał wraz z nią do naszych pokojów, wbiegał do sypialnego i wskakiwał do mojego łóżka. Jeżeli miałem stopy obnażone, to oblizywał i wylizywał palce, jakgdyby chciał je odgryźć. Kiedy w późniejszym czasie, skończyłem odsiadywanie sześciotygodniowego więzienia i Minakowski wraz z psem przyszedł do bramy więziennej, by mi dopomóc w przeniesieniu rzeczy, pies — sądziłem — oszaleje z radości, że mnie znowu ujrzał. Skomlał, szczekał, rzucił mi się na ramiona, oblizywał ręce, drapał za odzież.

Jakoś w końcu lata przybyła do Archangielska fregata szwedzka. Na uczczenie przybyłych Szwedów Fleischer wydał wspaniały dyplomatyczny obiad i mnie także zaprosił. Zaproszeni byli prawie wyłącznie konsulowie rozmaitych państw. Przedstawiając ich przybyłym Szwedom, wymieniał Fleischer, narodowość każdego konsula. Kiedy przyszła na mnie kolej, powiedział: „Monsieur Limanowski — polonais". Wyszło tak, jakobym był konsulem polskim. Podczas obiadu, siedziałem obok lekarza fregaty. Rozmawialiśmy po niemiecku. Gdy się dowiedział, że byłem wygnańcem, ofiarował się, że ułatwi mi ukrycie się na statku szwedzkim i wyjazd z Archangielska. Podziękowałem mu za jego dobrą chęć, lecz przedstawiłem mu, że ucieczką zagrodziłbym sobie powrót do kraju, co prędzej lub później nastąpić musi. Na czarną kawę poszliśmy do oranżerji, gdzie Fleischer częstował winogronami własnej hodowli.

Ze swojej strony Wasilewski urządził dla Szwedów przejażdżkę po Dźwinie. Zaprosił mnie także. Odbywaliśmy ją na statku parowym, pozostającym pod władzą Wasilewskiego. Ugoszczenie było sute. Byliśmy i na okręcie szwedzkim, gdzie Szwedzi ugaszczali dżynem z plackami owsianemi.

Mniejwięcej w tym czasie przyjechał do Archangielska poseł francuski Talleyrand. Jechał on do powiatu onezskiego, ażeby obejrzeć tartaki drzewne, które wniosła mu w posagu jego żona, córka słynnego bogacza, Bernadzkiego. Gubernator, oprócz innych przyjęć, urządził wówczas na wyspie przed Archangielskiem piknik z zabawą ludową. I ja pojechałem na tę

zabawę. Istotnie, warto było widzieć. Odbywały się korowody dziewcząt w strojach dawnych nowgorodzkich. Wysokie, urodziwe, przedstawiały piękny typ słowiański. Miały na głowach nader kosztowne kokoszniki, wartości do tysiąca rubli i przechowywane od czasu prababek. Talleyrand był podobno zachwycony.

Wypada też wspomnieć o obchodzie z powodu setnej rocznicy śmierci Łomonosowa. Obchód odbył się w początku kwietnia. Przed pomnikiem Łomonosowa, postawionym w 1825 r., przemawiał Czubiński. Prawdopodobnie, były nabożeństwa, przypominam sobie, że były pozapalane w dzień latarnie, co czyniło niezwykłe wrażenie, zwłaszcza że wówczas pierwszy raz to widziałem.

Michał Łomonosow urodził się na wsi w pobliżu Chołmogór. Był synem zamożnego chłopa i córki djakona. Podobno matka rozniecila w nim zamiłowanie do ksiąg. Własną ciężką pracą doszedł do wielkiego znaczenia. Stał się twórcą literackiego języka rosyjskiego. Dla oświaty zrobił bardzo dużo, jemu w znacznej mierze zawdzięcza uniwersytet moskiewski swoje istnienie.

Koło tego czasu przybyli z wygnańców Polak Uszyński i Rosjanin Woskresieński. Uszyński udawał panicza i z hołotą polską się nie zbliżał. Ładnie śpiewał i z tego powodu bywał na wieczorkach urządzanych przez gubernatorową. Spotykałem się z nim u Wasilewskiego i mnie okazywał pewne względy, a nawet wyświadczył, może dobrze nie wiedząc o tem, ważną usługę, darował mi bowiem polskie tłumaczenie „Ekonomji Politycznej" Johna Stuarta Milla.

Polityczna ta ekonomja w moim umysłowym rozwoju ważne odegrała znaczenie. Spostrzegłszy w polskiem tłumaczeniu wykropkowane i poopuszczane pewne rozdziały, porównałem z francuskiem tłumaczeniu Courcel'a de Seuneuil. Dotyczyły one socjalizmu. Przepisałem je zatem. Krytyczna ocena Milla zachwiała moje uprzedzenia, a program robotniczy Ferdynanda Lassalle'a, który też w tym czasie przeczytałem w tłumaczeniu rosyjskiem w „Sowremienniku", silnie mię ku socjalizmowi pociągnął. Opowiedziałem zresztą o tem w dziełku, wydanem

w Krakowie w 1902 r. p. t. „Socjalizm, Demokracja, Patrjotyzm".

Woskresieński nie podobał mi się. Chociaż socjalista, przejawiał moskiewskie zaborcze chęci. Krótko bawił w Archangielsku i wyjechał do Szenkurska. Przypuszczam, że to o nim pisze ksiądz Juwenalis: „Apolinary stał się typem Chlestakowa Gogolewskiego: zbrzydł w oczach moich okropnie, tak żem nie mógł go pożegnać, kiedy przejeżdżał przez Szenkursk".

Przyjeżdżał też na kilka dni do Archangielska Józef Leja z Chołmogór, gdzie był internowany. Przypominam sobie, że gdy przyszedł do nas, było to dobrze po obiedzie, raczyliśmy go więc herbatą.

— Co za dziwny u was zwyczaj w Archangielsku, dokąd nie przyjdę, traktują herbatą, a jeść nie dają.

— Poczekaj, damy, co mamy.

I wydobyliśmy ze śpiżarni, gdzie się przechowywały wiktuały Kleczkowskiego, rozmaite rzeczy jadalne. Leja walczył już w sprawie wolnościowej w legjonach polskich na Węgrzech. Podejrzany o należenie do organizacji powstańczej, został zesłany na wygnanie. Przyjazne zawiązałem z nim stosunki, a później w Warszawie bywałem u niego.

W tym też czasie dużo urzędników Polaków przeniesiono do Rosji. I do Archangielska przysłano ich nieco. Nie znałem ich. Jednym z nich był Poźniak, którego córka ładnie grała na fortepianie i w której kochał się Hryniewiecki. Mówił mi też wiele o niej dobrego i prawdopodobnie on to dał mi jej fotografję, którą mam swym zbiorze, nie bywałem bowiem u jej rodziców. Pomimo to odwiedziła mnie ona, gdym odsiadywał więzienie.

Przysłano z naszych Inflant młodego urzędnika Mioduszewskiego, który czas pewien z nami mieszkał. Należał do organizacji powstańczej, lecz to nie wyszło na jaw. Przeniesiono go na urząd do Archangielska jedynie z tytułu, że był Polakiem i otwarcie do polskości się przyznawał. Młody, przystojny, żywy, dowcipny, miłym był towarzyszem. Kobieciarzem był wielkim i w tym względzie nie miewał wielkich skrupułów. Jako urzędnik z Ministerstwa Sprawiedliwości, musiał przedstawić

się jako podwładny prokuratorowi Nagule. Ten przyjął go bardzo nieżyczliwie jako Polaka.

— Wy polacy służycie rządowi tylko dla pieniędzy.

— Sądzę — odparł Mioduszewski — że wszyscy służą dla pieniędzy.

— Przepraszam — odrzekł Naguła — ja służę dla honoru (czesti).

— Cóż robić - - na to Mioduszewski — każdy służy dla tego, czego nie ma.

Wysłano go do Szenkurska na striapczego, a pierwszą jego czynnością było urzędowe doniesienie do prokuratora, że protegowani przezeń urzędnicy moskalofilscy nie przyszli do cerkwi w dzień galowy. Podobno Naguła wściekał się ze złości.

Przybył też na naczelnego lekarza Polak Horodyski. Rozwijał on tę myśl, że urzędnicy Polacy powinni otwarcie i śmiało manifestować swą narodowość. Podobał mi się jego pogląd. Z początku przejawiał w kolonji polskiej ruchliwość. Pierwsze jednak groźniejsze wystąpienie rządu, ostudziło jego zapał; przycichł zupełnie. Nastąpiło to z powodu pogrzebu jakiegoś urzędnika Polaka, przeniesionego z Litwy na służbę do Archangielska. Urzędnik ten, zajmujący wysoką posadę, od samego przybycia stronił od kolonji polskiej, nie znałem go wcale i nie widziałem powodu do manifestacji na jego pogrzebie. Horodyski jednak przez księży zaagitował dość znaczną ilość ludzi. Byłbym i ja z Minakowskim poszedł na ten pogrzeb. Ale w tym samym czasie odjeżdżał statkiem parowym Stefan Kowerski, którego przeniesiono do gubernji niżegorodzkiej, poszliśmy go więc pożegnać. Idąc jednak, spotkaliśmy pochód pogrzebowy. Na czele szli obaj księża, Kowalewski i Krasucki, w szatach kapłańskich, za nimi szła garstka ludu, niosąc chorągwie, wreszcie wóz z trumną i dość znaczna liczba osób z kolonji polskiej. Był to widok dość imponujący. W tym właśnie czasie, kiedy ten pochód przeciągał przed gubernatorskim domem, wyszedł z niego gubernator Harting. Wyląkł się mocno, a to głównie z powodu, że pozostawał w nieprzyjaznym stosunku ze swym nowym szefem żandarmów, pułkownikiem Laksem, który przybył na miejsce Hornowskiego. Wezwał więc Goryniewskiego, ażeby rozpoczął z powodu pogrzebu śledztwo, kto w tej spra-

wie agitował. Goryniewski przedstawił mu, że niema właściwie prawnej podstawy do jakiegoś prześladowania, ponieważ „Swod Zakonów" zupełnie uprawnia religję katolicką. Czubiński także wpłynął na uspokojenie gubernatora. Laks też nie uważał za potrzebne nadawać tej sprawie ważniejszego znaczenia. Skończyło się więc wszystko na ostrzeżeniu księży i na prywatnych pogróżkach udzielonych Horodyskiemu. Wystarczyło to jednak, by zgnębić całą jego zuchowatość.

Z Laksem raz spotkałem się — zdaje się — u Kozłowskiego, oficera ze sztabu generalnego, który bawił krótki czas w Archangielsku. Może był wówczas i Czubiński. Laks był bardzo rozmowny. Udawał człowieka liberalnego. Mówił, że w swoim zawodzie nie chodzi mu o nadzorowanie osób pod względem politycznym, lecz głównie o niesprawiedliwe i nieprawne postępowanie władz rządowych z ludnością. Potępiał system posługiwania się szpiegostwem płatnem. Ja — mówił z uśmiechem — wiem bardzo wiele o rzeczach nawet starannie ukrywanych — przez dziewczęta, z któremi miewam miłosne stosunki.

Jednym z nowo przybyłych urzędników był lekarz powiatowy, dr. Karsten z dorpackiego uniwersytetu, austrjacki Niemiec. Gdyśmy się spotykali, traktował mnie jako swego kolegę. Kiedyś zagadnął mnie:

— Po co kolega tu siedzisz? Wystawię ci świadectwo lekarskie, że zdrowie twoje wymaga bardziej łagodnego klimatu.

Rzekło się i zrobiło. Nie miałem nadziei, ażeby był jakiś skutek, ponieważ zwykle nie uwzględniano w Petersburgu takich podań. Jednakże moja sprawa zakończyła się pomyślnie. Dopomogła do tego następująca okoliczność.

Podanie moje odesłano do gubernjalnego zarządu lekarskiego. Wezwano mnie celem zbadania stanu mego zdrowia. Badało trzech lekarzy: Horodyski, Zatwarnicki i Sztern. Wszyscy się zgodzili na objawy wskazane przez Karstena, ale co do szkodliwego działania klimatu archangielskiego różnili się w zdaniu. Horodyski orzekł stanowczo, że klimat szkodzi, dwaj inni, którzy w jakiejś poprzedniej sprawie pokłócili się silnie z Horodyskim, zaprzeczyli jego opinji. Z powodu różnicy zdań, odesłano sprawę do naczelnego urzędu lekarskiego w Petersburgu. Tam zadecydowano, że skoro badanie wykazuje wymienione objawy chorobowe, to zmiana klimatu na bardziej łagodny jest konieczną. I tę decyzję podpisał minister spraw wewnętrznych, jako prezydujący w urzędzie lekarskim. Następnie podanie moje, opatrzone powyższą decyzją, skierowano do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jakże miał minister sam sobie zaprzeczać? Wyznaczono mi więc na dalszy pobyt gubernję woroneżską.

Przed nadejściem jednak pozwolenia na przeniesienie się do gubernji woroneżskiej, przybył z Petersburga wyrok w mojej sprawie o ucieczkę. Jak już wzmiankowałem, na mocy tego wyroku miałem odsiedzieć w więzieniu 6 tygodni i wyjechać z Archangielska do miasta powiatowego, któreby czyniło ucieczkę bardziej trudną. Za takie miasto uznano Szenkursk. Niezawodnie Goryniewski i Czubiński przyczynili się do tego. W tem mieście była siedziba Tustanowskiego; przytem miałem tam już dwóch dobrych znajomych: księdza Juwenalisa i Mioduszewskiego. Nie naglono ani z wyjazdem, ani z odsiadywaniem więzienia. Pozwolono mi samemu oznaczyć termin, oczywiście w granicach pewnego czasu, może miesiąca, może mniej, już sobie nie przypominam tego.

Chciałem te trzy tygodnie osamotnienia poświęcić na ostateczne wykończenie mojej pracy o znaczeniu czynnika moralnego w rozwoju społecznym. Zabrałem więc sporo książek ze sobą do więzienia. Było to w marcu 1866 r. Ktoś powiedział kiedyś, że w Rosji najwspanialszemi gmachami w miastach są więzienia. A jeżeli nawet nie najwspanialszemi, to w każdym razie wielkiemi i bardziej odznaczającemi się gmachami, bez wątpienia wspanialszemi od gmachów szkolnych. Więzienie Archangielskie był to duży gmach murowany, piętrowy. Umieszczono mię na parterze w dużej sali dla osób uprzywilejowanych. Było tam już — jak mi się zdaje — trzech lokatorów, w każdym razie dwóch pamiętam, obu Polaków: jednym z nich był wygnaniec, Feliks Krzyżewicz, sądzony za obrazę religji prawosławnej w wybryku swawolnym, urządzonym w Onedze, drugim zaś urzędnik skarbowy, Rutkowski, czekający na wyrok w sprawie sprzeniewierzenia kasowego. Względem tego ostatniego zachowywałem się obojętnie, lecz z Krzyżewiczem, który w gruncie rzeczy był dobrym i wykształconym młodzień-

cem, częste i długie miewałem rozmowy. Napisałem mu nawet obronę w jego sprawie. Zasądzono go wszakże do ciężkich robót na Syberji, lecz w drodze udało się mu uciec, i następnie widziałem jego nazwisko wśród najbardziej gorliwych zwolenników Mierosławskiego.

Dyrektor więzienia, człowiek cichy, dobry, zachowywał się względem wszystkich więźniów w sposób łagodny, niedokuczliwy. Do naszej sali prawie nie zaglądał i nie wtrącał się do trybu życia. Drzwi od sali na korytarz zamykano tylko na noc, przez dzień cały były otwarte. Odwiedzającym nie stawiano trudności. I mnie też wciąż odwiedzano. Odwiedziły mnie nawet panny, w domu których nie bywałem, jak np. Późniakówna i jedna z rodzin niemieckich. Przynoszono mi i przysyłano rozmaite dary żywnościowe. Przysyłały nawet panie z niemieckich rodzin, bardzo mało mi znajome. Jedna z pań, przysłała cały słój zmielonej kawy, otrzymałem też cukier, ciasta, konfitury i t.d. Ktoś doniósł o tem nowemu gubernatorowi, Kaznaczejewowi, a ten objawił niezadowolenie, mówiąc, że to wygląda na manifestację antyrządową. W tym bowiem czasie Harting wyjechał na gubernatora do Tambowa, a na jego miejsce przyjechał Kaznaczejew z pod zarządu murawjewskiego. Z obfitości tych darów korzystał i Krzyżewicz, z którym wspólnie jadaliśmy.

Trzy więc tygodnie przeminęły niemal niepostrzeżenie, praca moja prawie nic się nie posunęła i większa część zabranych książek pozostała nieprzeczytana.

W czasie pobytu w więzieniu otrzymałem z Petersburga ministerjalne pozwolenie na przesiedlenie się do woroneżskiej gubernji. Zachodziła jednak wielka trudność. Mogłem odbyć podróż pocztą, ale w takim razie nietylko na koszta podróży musiałbym łożyć z własnej kieszeni, ale nadto wziąć ze sobą jeszcze dwóch żandarmów i opłacić im drogę tam i napowrót. Był to wydatek dla mnie zgoła niemożliwy. Pozostawał jedyny środek przesiedlenia się, który dawało państwo, droga etapowa. Był to jednak środek, połączony z wielu przykrościami. Wynikało pytanie: czy warto się narażać na przykrości, ażeby z jednego obcego miejsca wygnania przenieść się na inne także obce miejsce wygnania? Co innego, gdyby to był powrót do kraju. Nie

wiedziałem, co mię czeka w woroneżskiej gubernji, tymczasem pobyt w archangielskiej gubernji zapewniał mi towarzystwo sprzyjających rodaków a nawet większą pewność zdobycia środków do życia. Pomimo to zdecydowałem się na wyjazd etapem.

W Archangielsku — jak to widać z całego opowiadania — nie było mi źle; gdyby nie tęsknota do czynnej działalności w kraju ojczystym, możnaby nawet powiedzieć, że było dość dobrze. Przytem w owym czasie kiełkowała w mojej głowie myśl organizowania kolonji polskich w państwie rosyjskim. Mówiłem już o moim liście, propagującym polszczenie Rosji. Organizowanie kolonji miało z tem także związek. Na propozycję Suworyna w „Gołosie" petersburskim, ażeby emigranci polscy skupili się na jakiejś wyspie na Wielkim Oceanie i zorganizowali tam swoje państwo, napisałem list po rosyjsku do „Gołosu", oczywiście nie podpisując go. Radziłem w nim Suworynowi, ażeby zamiast nieziszczalnej propozycji, jaką czyni, zaproponował swemu rządowi, by na jakimś obszarze kraju kaukaskiego skupił wszystkich wygnańców polskich, rozsianych po Rosji i pozwolił im urządzić się po swojemu. Suworyn jednak nawet nie wspomniał w swoim dzienniku o moim liście. Trafił mi również do przekonania projekt rządowy, nadesłany władzom archangielskim do rozważenia; podług tego projektu, miał być wyznaczony niezajęty jeszcze obszar ziemi w archangielskiej gubernji i na tym obszarze ziemi mieli być osiedleni więźniowie polscy, po odsiedzeniu swego terminu w koszarach aresztanckich w Sołombale. Zarząd Izby Skarbowej wystąpił przeciw temu projektowi — jak mówiono — z życzliwości dla Polaków. Wątpię, ażeby to było istotną pobudką. Czemże lepszem miało być wysyłanie tych więźniów na osiedlenie w Syberji? Mówiono, że w kolonji archangielskiej nie mogliby wyżyć z pracy rolniczej, ależ i w Syberji życie z pracy rolniczej nie było łatwem! Osiedleńcy z archangielskiej gubernji mieliby nawet łatwiejszy powrót do kraju ojczystego, aniżeli z Syberji.

Nie święci przecież lepią garnki. Jeżeli inni znoszą drogę etapem, dlaczego ja nie miałbym jej znieść także? Zdecydowałem się więc na wyjazd, a ponieważ, jako zaliczonemu do uprzywilejowanych, należała mi się podwoda, więc kupiłem lekkie sa-

nie kryte, ażeby jechać wygodniej, zwłaszcza podczas słoty. Kupiłem sanie, ponieważ śnieg jeszcze leżał, chociaż to były albo ostatnie dni marca, albo pierwsze kwietnia 1866 r.

Pożegnano mnie serdecznie i obdarzono hojnie. Gdym się żegnał z Fleischerem, zapytał mnie, czy oddano mi pieniądze, które dla mnie zbierano. Powiedziałem, że nie, bo istotnie nic jeszcze nie otrzymałem. Dał mi więc na drogę kilkadziesiąt rubli. Przed samym wyjazdem oddała mi Pawłowa sto kilkadziesiąt rubli od przyjaciół — jak mówiła. Przyjąłem je jako pożyczkę i istotnie, kiedy w Pawłowsku poprawiły się moje interesy pieniężne, odesłałem z podziękowanie Pawłowej te pieniądze do Tambowa, dokąd ją, za staraniem Hartinga, przeniesiono. Goryniewski darował mi na drogę doskonałą malicę samojedzką, którą w Woronežu, gdym potrzebował pieniędzy, sprzedałem za 25 rubli. Goryniewska dała mi na pamiątkę łyżkę srebrną z wyrżniętym napisem: Archangielsk, która przechowała się u mnie dotąd. Zaopatrzono mię też dość obficie w żywność: kurczęta pieczone, pieczeń cielęcą i tp. I ruszyłem w drogę.

ROZDZIAŁ X

ETAPEM DO WORONEŻA — PAWŁOWSK

(1866—1867)

Droga ta etapem, która trwała cztery i pół miesiąca, była nieraz bardzo przykra, ale pod dwoma względami była dla mnie korzystna, dawała wypoczynek dla wzroku i dawała możność poznania tych stron życia rosyjskiego, które są ukrywane i nie wystawiane na pokaz.

Co do pierwszego, to w ostatnich czasach w Archangielsku miałem wzrok tak osłabiony i podrażniony, że przy sztucznem świetle pisanie stawało się prawie niemożliwe. Długie noce zimowe, podczas których dużo czytałem i pisałem, oraz już od stycznia prawie silnie lśniące śniegi szkodliwie oddziałały na oczy. Podczas podróży bardzo mało czytałem, większą część czasu przebywałem na powietrzu i szedłem pieszo, często w towarzystwie żołnierza wyprzedzałem partję, bo przykrzyło mi się siedzieć na wózku i jechać powoli ze wszystkimi, a idąc, miałem już w maju przed oczyma zielone łąki, pola zbożowe, lasy. Wypoczynek oczu zupełnie przywrócił im dawny stan zdrowia.

Co do drugiego, to z pewnością w innych warunkach nie posłyszałbym tak otwarcie wypowiadanych myśli przez włościan, żołnierzy i kryminalistów. Mnie uważali za więźnia, którego obawiać się nie mają powodu, który raczej ich lękać się może. Podczas całej podróży prowadziłem dzienniczek, w którym zapisywałem spostrzeżenia i niektóre dłuższe rozmowy, jak naprzykład z djakonem w Kargopolu, z sekciarzami, z konwojującymi żołnierzami i t.d. Sporo tam było rzeczy ciekawych. Chciałem to wszystko w swobodnych chwilach opracować do druku. Zawsze jednak miałem pilniejsze sprawy, a później gdzieś ten dzienniczek zaginął.

Oczywiście, pisząc obecnie po upływie 50 lat o mojej podróży

etapowej, ani szczegółowo, ani dokładnie opisywać jej nie mogę. Zostały mnie w pamięci tylko pewne punkty i pewne z jakichkolwiekbądź powodów ważniejsze wypadki. Cały też obraz jest mocno zamglony i przedstawia się tylko w najogólniejszych zarysach.

Podróż etapem z dwóch względów była nader przykra. Odbywała się bardzo powoli, z dwudniowym wypoczynkiem na głównych etapach, gdzie człowiek nie wiedział, co robić z czasem, i gdzie miejsca noclegowe były wstrętne i niechlujne, pełne pasożytów i smrodu.

Najmniej przykrą była podróż na drogach bocznych, ponieważ postoje były tam nieliczne i konwojem dowodzili podoficerowie. Wchodziło się więc z konwojem w przyjaźniejsze stosunki, większa była swoboda, można było we wsiach po drodze zatrzymać się, pożywić, — nawet przystanki noclegowe, chociaż licho zbudowane, mniejszy wstręt wzbudzały, wreszcie, za traktament lub za łapówkę, można było wyjednać nocleg gdzieś w chałupie chłopskiej, oczywiście w towarzystwie konwojującego żołnierza.

Najprzykrzejszą była podróż wielkim traktem, gdzie dowodził konwojem oficer, gdzie partje były liczne i gdzie były duże domy etapowe, oparkanione i z bramą zamkniętą. Tam człowiek dopiero czuł się zupełnym więźniem. Cierpiałem też więcej i pod względem umieszczenia i pod względem pożywienia. Samemu nie wolno było wyjść z etapu, przytem etap zwykle był dość odległy od wsi. Żywność więc przynosiły kobiety, od których się ją kupowało. Bardzo często starostowie kryminalni zabierali prawie wszystko, tak że trzeba było brać to, co pozostało. Zdarzało się też, że kobiet nie dopuszczano, a sprzedażą żywności zajmowały się żony oficerów. Dla mnie to było korzystniej, bo łatwiej można było dostać jedzenie, ale natomiast wszystko drożej kosztowało. Jeden z oficerów, kawaler zapraszał do siebie na herbatę z wódką i przekąskami tych, których wygląd zewnętrzny wskazywał, że pochodzą z klasy zamożniejszej i proponował im grę w karty, w której umiejętność gry czy też szczęście oddawały mu dobrą usługę.

Pomiędzy podoficerami, którzy na bocznych drogach prowadzili partję, jedni trzymali się ściślej przepisów, drudzy tylko

wtedy, kiedy byli pod okiem władz wyższych, ale takich, któżby byli dokuczliwymi i brutalnymi, nie przypominam sobie wcale. Tylko jeden był taki, i to — niestety — Polak, przystojny, elegant, kobieciarz i pyszny ze swego stopnia. Najlepszym zaś okazał się Żyd i to Żyd trzymający się ściśle swej religji. Widziałem, jak zrana, kiedy wszyscy jeszcze spali, w żałobnem okryciu i z dziesięciorga przykazaniami uwiązanymi na czole modlił się gorliwie. Przez cały czas prowadzenia partji postępował ze wszystkimi łagodnie i dopuszczał wszelkie możliwe ułatwienia, a czynił to bezinteresownie. Gdym go chciał ugościć kieliszkiem wódki, wymówił się, że nie pije; gdym mu dawał monetę, nie przyjął jej. Hotelami etapowymi były więzienia. Poznałem je w Chołmogorach, Kargopolu, Wytiegrze, Łodejnem Polu, Nowej Łagodzie, Schlüsselburgu, Petersburgu, Moskwie, Podolsku, Siepudowie, Tule, Bogorodzku, Jefremowie, Jelcu, Zadońsku, Ziemlańsku.

Partja, która wraz ze mną wyruszyła z Archangielska była nieliczna; było nas razem czterech i wszyscy byli politycznymi. Było dwóch rzemieślników, którzy wracali do Warszawy, Faustyn Kozłowski i Edward Głowacki, i jeden Żyd, Samuel Kon, który — nie pamiętam — dokąd miał być odesłany. Pierwszą główną stacją etapową były Chołmogory. Miejscowość ta ważna jest z tego powodu, że tu rozpoczęło się osadnictwo Nowogrodzian. Urządzali się oni swobodnie, biorąc za wzór urządzenia swego ojczystego kraju. Już w XIV stul. Moskwa zaczyna swemi wojskami trapić osiedleńców. Po upadku Nowogrodu i osiedleńcy nad Dźwiną północną musieli się poddać uciążliwym i zdzierczym rządom namiestników książąt moskiewskich. Jakkolwiek liczne wieki wspólności państwowej zniweczyły dawną odrębność, to jednak wspomnienia nowogrodzkie nie zatarły się zupełnie wśród ludu.

W Chołmogorach przebyliśmy prawdopodobnie dwa dni, ale w więzieniu, więc miasta nie widziałem i ze znajomymi też nie udało mi się zobaczyć. Zdaje się, że oficer etapowy był służbistą i człowiekiem nieużytym. Było nawet jakieś zajście z powodu Żyda, ale nie pamiętam o co. Żyd ten, jakkolwiek za uczestnictwo w powstaniu był zesłany, w stosunkach był przykry. Czy w Chołmogorach, czy też wkrótce za Chołmogorami roz-

stał się z nami, z czego byłem bardzo zadowolony. Podczas pobytu w Chołmogorach zwierzył mi się konfidencjonalnie, że należy do interesu fabrykacji banknotów rosyjskich i proponował mi przystąpić do spółki. Moją czynnością byłoby puszczanie tych banknotów w obieg. Powiedziałem mu, że wybrał się źle z propozycją.

Drugim etapem z dwudniowym wypoczynkiem była Sija w pobliżu ujścia rzeki tejże nazwy do Dźwiny północnej. Tu, dalej ku południowi, prowadziła droga do Szenkurska, a inna zwracała się na zachód-południe, ku Petersburgowi, dokąd właśnie mieliśmy dążyć. Oficer etapowy był już uprzedzony o mojem przybyciu i zabrał mnie z sobą. Był on żonaty z siostrą naszej gospodyni archangielskiej Stasiukowej, która napisała do swej siostry, polecając mnie jej względom. Całe więc dwa dni wypoczynku spędzałem w ich towarzystwie i tylko na nocleg szedłem do etapu. Podejmowali mię gościnnie, a sam oficer, skoro się uwolnił od zajęć służbowych, chętnie wdawał się ze mną w rozmowę o polityce, o Archangielsku, o naukach it. p.

Żywienie się po drodze wielce mi ułatwiali ci dwaj rzemieślnicy, którzy etapem wracali do Polski. Mieli oni spory woreczek mąki pszennej, którą kupili w Archangielsku. Przybywszy na przystanek, gdzieśmy mieli się pożywić w porze obiadowej, robili oni kluski, wrzucali je do gotującej się wody i następnie wyłożywszy na półmisek, oblewali roztopionem wraz z przysmażoną cebulką masłem. Ja należałem do spółki w kupnie masła i cebulki, a nadto kupowałem wódkę w takiej ilości, ażeby i konwojujących żołnierzy można było potraktować. I te kluski ogromnie mi smakowały, jak nigdy później, prawdopodobnie podniecony apetyt dodawał smaku. Z żołnierzami pozostawałem w dobrej komitywie. Później w Petersburgu mówił mi Święcicki, który z Szenkurska odbywał wkrótce po mnie tą samą drogę, że i żołnierze zachowali o mnie dobre wspomnienie.

Na jednym z etapów, gdzieś na półdrogi z Siji do Kargopola, czekał na mnie Aleksander Hryniewiecki. Będąc w dobrych stosunkach z oficerem etapowym, zabrał mnie ze sobą do swej leśnej siedziby. Gdym mu o kluskach opowiadał, kazał je także swej kucharce na obiad przyrządzić. Ale te kluski nie tak smakowały, jak spożywane na drodze, bo już przedtem jadłem to i owo. Jakkolwiek z powrotem wyjechaliśmy wcześnie, to jednak spóźniliśmy się i partja już była odeszła, tak że musieliśmy ją dopędzać. Bardzo być może, że powodem spóźnienia się była szkaradna droga wskutek topnienia i znikania śniegu.

Kargopol nad rzeką Onegą znajduje się już w ołoneckiej gubernji. I temu miastu dali początek w XII stuleciu osiedleńcy nowogrodzcy. Moskwa, szerząc swoje panowanie, i nad nimi rozciągnęła swe jarzmo.

W Kargopolu, jako chory, zostałem przez lekarza zatrzymany. Tym lekarzem był Polak z Mińszczyzny, Wołodźko, brat Wacława Koszczyca, znanego w naszej literaturze. Rozmawiał ze mną po polsku, tylko o tem, co dotyczyło mego zdrowia. Robił wrażenie jakby wykolejonego w życiu. Ożenił się bowiem z Rosjanką, która była w jakimś domu kucharką. Dorywczy stosunek miłosny uświęcił małżeństwem. Myślałem, że i ze mną mogłoby się stać coś podobnego. Gdybym jednak we własnym kraju ożenił się z dziewczyną z ludu, to nie czułbym się wykolejony, owszem zająłbym wyraźne stanowisko ludowca.

Zarządca więzienia był dla mnie względny. Umieszczono mnie w oddzielnym pokoiku, miałem czyste posłanie i wikt szpitalny dostateczny: chleb, mleko, krupnik mięsny, który mi zawsze smakował i kawałeczek mięsa. W dzień drzwi miałem otwarte, więc mogłem przechadzać się po korytarzu. Z podobnej względności korzystał także uwięziony djakon, który został skazany za znieważenie swego popa. Zaproponował mi, abyśmy pili wspólnie poobiednią herbatę, miał bowiem własny samowar. Herbatę i cukier każdy miał własne. Przyjąłem tę propozycję i pijaliśmy sobie powoli herbatę, rozmawiając o różnych rzeczach. Djakon ten był to człowiek dosyć wykształcony, wolnomyślny, skłaniający się ku poglądom ludowców. Sporo ciekawych rzeczy opowiadał o seminarjum, o życiu popów, o stosunkach społecznych. Ważniejsze z tych rozmów streściłem w mym notatniku.

W więzieniu nie było mi źle i względnie nie bardzo mi się przykrzyło. Do obiadu siedziałem u siebie, czytałem — miałem trochę książek — i zapisywałem do notatnika swoje spostrzeżenia i to, com słyszał. Po obiedzie parę godzin spędzałem na roz-

mowie z djakonem przy herbacie, a następnie włóczyłem się po korytarzu i wdawałem się w gawędkę z tym lub owym. Raz przyszedł do mnie sekciarz, biegun, skazany na wysiedlenie na Syberję. Sekta to najbardziej prześladowana w Rosji. Nazywają sekciarzy biegunami, bo nigdzie stale nie osiedlają się, uważają państwo i wszystkie jego instytucję za dzieło antychrysta, a tym antychrystem jest car. Z tym biegunem miałem długą rozmowę i spisałem ją był w moim notatniku. Wypytywał mnie o powstanie w Polsce, ale zrozumieć go nie mógł, dziwne też, że ten zacięty buntownik przeciwko carowi i jego państwu nie mógł ukryć swego nienawistnego uczucia ku Polakom.

Siedziałem w Kargopolu cały miesiąc. Choroba moja mało ważna prędko minęła, więc nie to było główną przyczyną dłuższego pobytu. Była inna przyczyna, Droga etapowa tak mi dokuczyła, że po przybyciu do Kargopola wysłałem podanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, aby mi pozwolono własnym kosztem odbywać dalszą podróż w asystencji jednego żandarma. Czekałem na odpowiedź, lecz nie nadchodziła; wreszcie zniecierpliwiłem się i postanowiłem ruszyć dalej.

Wyjeżdżałem z więzienia tego dnia, kiedy miało się odbyć knutowanie jakiegoś zbrodniarza. Na dziedzińcu stało już przygotowane rusztowanie i sprowadzono kata. W Rosji ofiarują czynność katowską zbrodniarzom najcięższej kategorji. Są to najbardziej zdeprawowani ludzie. Trzymają ich w więzieniu w osobnej celi, ale dają im lepsze jedzenie, pozwalają sprowadzać wódkę i wyznaczają im miejsce, gdzie mogą, kiedy chcą, się przechadzać. W Archangielsku taki kat miał swoje osobne wewnętrzne podwórko. Zdarzało się, że jakiś więzień, wyjrzawszy przez okno i widząc kata przechadzającego się, krzyknął: „pałacz“, (kat). Wówczas kat z wściekłością wykrzykiwał przekleństwa i groźby. Władza surowo zabraniała drażnić kata, zdarzało się więc to rzadko.

Partja, z którą wyruszyłem w dalszą drogę, składała się zaledwie z kilku ludzi, a w ich liczbie był jeden Polak z rot aresztanckich archangielskich, skazany na kilka lat do ciężkich robót na Sybir. Pocieszna była jego postać, a jeszcze bardziej ją szpeciły długi chałat aresztancki z tuzem na grzbiecie i czapką aresztancką z wiszącemi nausznikami, szedł z kajdankami na rękach.

Nazywał się Kulmatycki, imienia nie pamiętam. Na wózku dla mnie wyznaczonym jechaliśmy razem, żywiliśmy się też razem, a nawet on się zajmował przygotowywaniem jadła, ja tylko opłacałem potrzebne wydatki. Była to osobistość oryginalna, a nawet w pewnym względzie historyczna. Pochodził z Galicji Wschodniej, był synem księdza unickiego. Podczas podróży opowiedział mi całą swoją historję. Młodym chłopakiem, jako służący wyruszył w podróż zagraniczną z jakimś badaczem naukowym. Ten obchodził się z nim przyjaźnie i wpływał na jego rozwój umysłowy. Zwiedzili kraje słowiańskie i Włochy; pod wpływem tego badacza, nabrał przekonań wolnomyślnych, zwłaszcza antyklerykalnych. W 1863 r. zaciągnął się do partji, która wkroczyła do Królestwa Polskiego. Partję tę rozbito i Kulmatycki dostał się do niewoli. Kiedy Czengiery, dowódca rosyjski, przemówił do przyprowadzonych jeńców galicyjskich: „Pocoście tu przyleźli do obcego kraju?“ — Kulmatycki hardo zawołał: „toście wy przyleźli, bo my we własnym jesteśmy kraju“. — Czengiery dał mu za to w twarz. Zesłany do rot aresztanckich w Archangielsku, stawił się ostro względem władz i podburzał przeciwko nim innych towarzyszy. Z tego powodu wynikła sprawa i Kulmatyckiego skazano na kilka lat katorgi w Syberji. W późniejszych latach spotkałem się z nim we Lwowie i opowiadał mnie dzieje syberyjskie. W katordze pozostawał wciąż w ostrych zatargach z władzami. Ażeby go poskromić, przykuto go do ściany w ciemnicy i dawano mu tylko kawał chleba i wodę. Tak umęczony stał z tydzień. Gubernator, dowiedziawszy się o całej tej sprawie, przyszedł, ażeby go zobaczyć.

— Czy tam w Galicji u was wszyscy są tacy zuchwali? — zapytał gubernator.

— Co? — zawołał Kulmatycki — ja jestem najpośledniejszy z Galicjan, tam wszyscy są bardziej niepodległego ducha odemnie.

Gubernator był jakiś człowiek dość ludzki, więc kazał Kulmatyckiego uwolnić od robót katorżnych i osiedlić go osobno, ażeby z katorżanami nie miał żadnych stosunków.

Kulmatycki był zawziętym, fanatycznym propagandzistą. Kiedyśmy wychodzili z etapu po dwudniowym wypoczynku,

szedł ze skutemi rękami, zgarbiony, w swym długim chałacie, w czapce opuszczającej się aż po oczy, zły. Zaczynał od tego, że wyklinał cara i wszystkie jego władze. Podoficer kazał mu milczeć. Kulmatycki nie zważał na to i mówił dalej do żołnierzy swym własnym językiem rosyjskim, urobionym ze słów rosyjskich, rusińskich i polskich, że są niewolnikami, że są niegodni nazwy ludzi, że bez oporu dają się poniewierać. Słuchano go, ten i ów zaczął potakiwać, przypominano swe krzywdy, — podoficer zdejmował kajdanki z rąk propagatora, traktowano go tytoniem, pozwalano mu siąść na wózek, który był dla mnie przeznaczony, i szedł już dalej w przyjaznych stosunkach z żołnierzami aż do nowego główniejszego etapu. Później żołnierze komunikowali swą opinję o więźniach nowemu konwojowemu, który więcej z formalizmu, gdyśmy wychodzili z etapu, wkładał Kulmatyckiemu na ręce kajdanki.

Przypominam sobie, że kiedyś zatrzymaliśmy się we wsi i u jednego z chłopów w obszernej izbie piliśmy herbatę. Oprócz gospodarza, przyszło jeszcze kilku włościan. Kulmatycki rozpoczął swoją propagandę, a chłopi rychło zaczęli mu wtórować i opowiadać o ucisku, jakiego doznają od władz rosyjskich.

Kiedyśmy jechali razem na wózku, Kulmatycki zwracał się do mnie z propagandą. Była to już propaganda innego rodzaju, przeciwko papieżowi i jezuitom. Czasami na przekór zaprzeczałem czemuś, wówczas oczy mu biegały i z nienawistnym niemal uczuciem mnie traktował. Najczęściej jednak pozwalałem mu mówić, a sam o czem innem myślałem. Gdy to spostrzegł, złościł się i posądzał mnie o sprzyjanie jezuitom.

W jednej miejscowości etapowej właścicielem szynku był Polak. Gdy się dowiedział o przybyciu dwóch Polaków więźniów, zaprosił nas do siebie i ugościł jadłem i napojem, nie przyjmując zapłaty. Nadto Kulmatyckiego przebrał, dał mu jakąś starą marynarkę i zwykłą czapkę. Ugoszczenie było sute, a biedny Kulmatycki zalał się wódką okrutnie.

Kiedy wyruszyłem w dalszą drogę z Kargopola, była już wiosna w pełnym rozkwicie. Najczęściej więc nie jechałem na wózku, lecz szedłem pieszo, i w towarzystwie żołnierza wyprzedzałem nieraz partję o jaki kilometr lub nawet więcej. Wogóle miałem względną swobodę. Często nie nocowałem w lokalu

etapowym, lecz w izbie włościańskiej, lub tam, gdzie składano siano lub słomę, raz nawet, okryty lekko, przeziąbłem, bo noc była zimna, i dostałem silnego kataru. Droga więc etapem mniej mi się przykrzyła, aniżeli ta, którą odbywałem wśród roztopów śnieżnych do Kargopola.

Raz, kiedy szedłem z partją, zdaje się, że to było przed Wytiegrą, naprzeciw nadjechał na swych znanych mi dobrze koniach Wasilewski. Spostrzegłszy mnie, wyskoczył z powozu, uściskał mnie i zaprosił do siebie, gdyż awansował w służbie, i przeniesiono go z Archangielska do Wytiegry. Pamięć mi nie dopisuje, lecz przypuszczam, że to była Wytiegra, ponieważ — jak to widzę w „Encyklopedycznym Słowniku Rosyjskim“ — znajduje się tam zarząd II-go okręgu komunikacji (putiej i soobszczenij). Ten odruch Wasilewskiego, by bez wahania, uścisnąć aresztanta, idącego z partją zbrodniarzy, świadczył o szlachetnym jego charakterze. Żołnierzom konwojującym zaimponowało to w wysokim stopniu i podniosło w ich oczach moje znaczenie.

Wasilewski uprzedził już oficera etapowego, więc zaraz po przybyciu zaprowadzono mnie do jego mieszkania. Przez dwa dni podejmował mnie z największą gościnnością. Pani Markowiczowa, zwykle sztywna i imponująca, przyjęła mnie z oznakami wielkiej serdeczności, jako dobrego znajomego. Gościna ta u Wasilewskich była dla mnie wielką niespodzianką. Gdym wyruszał dalej w podróż, zaopatrzyli mnie suto w żywność.

Odbywała się nasza podróż powoli i — gdyby nie nuda na etapach dwudniowych — byłaby wcale znośna. Z żołnierzami stosunki były przyjazne, nie krępowali oni swobody, w towarzystwie żołnierza kąpałem się np. w rzece Swir, raz tylko jeden żołnierz został ze mną we wsi, a reszta z Kulmatyckim poszła zbierać szczaw. Kupiliśmy mięsa, a ugotowana zupa, którą jedliśmy wszyscy wspólnie z jednej dużej misy, smakowała mi tak, jak rzadko kiedy.

Na jednym z etapów przyszedł — prawdopodobnie było to w Łodiejnem Polu — striapczy, młody człowiek i zapytywał nas o nazwiska i o to dokąd idziemy. Obok mnie leżała książka, którą czytałem. Była to Buckle'a „Historja Cywilizacji w An-

glji“ — tłumaczenie polskie. Młody urzędnik wziął książkę, przeglądał ją, a natrafiwszy w jednem miejscu na moją notatkę ołówkiem, zwrócił się do mnie z zapytaniem: — to pan napisał „sprzeczność“? Dał tem do zrozumienia, że jest Polakiem, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale widocznie się powstrzymał — może z obawy o siebie.

Zdaje się, że na tym samym etapie przepędziliśmy straszną noc. Zaatakowały nas pluskwy, tak że porwaliśmy się z pryczy i wcale już nie kładliśmy się zpowrotem. Na drugi dzień prosiłem oficera etapowego, ażeby na noc umieścił nas gdzieindziej.

— Gdzieżbym mógł panów umieścić — odrzekł — chyba w kaplicy.

Była to kaplica prawosławna w środku domu etapowego. Zdawało się, że tam przecież pluskiew być nie może. Omyliłem się grubo. Jeszcze bardziej spragnione krwi, natarczywie nas atakowały. I znowu umęczyliśmy się ogromnie, spędzając noc bezsennie.

Przechodząc w miejscowościach pobliskich jezior Onezkiego i Ładożskiego, widziało się ślady olbrzymiej działalności Piotra I-go w wytworzeniu sieci komunikacyjnej wodnej dla handlu carstwa moskiewskiego. Przechodziliśmy też północną część gubernji nowogrodzkiej, gdzie napotkałem Karelów. Furmanem mego wózka był Karel i z nim prowadziłem długą rozmowę. W notatniku moim zapisałem słowniczek ważniejszych nazw po karelsku. I to, co opowiadał o swych rodakach.

Dopiero od Schlüsselburga dała mi się uczuć cała przykrość drogi etapowej. W więzieniu znajdowała się dość znaczna partja najcięższych zbrodniarzy w kajdanach na nogach i na rękach. Nie mogłem w nocy spać, tak straszny był smród, a powietrze tak gęste, że mogła w nim — jak mówią Moskale — siekiera zawisnąć. Z tą partją wyruszyliśmy dalej do Petersburga. Obecność tych zbrodniarzy, wreszcie bliskość stolicy, a więc możliwość przejazdu wyższych wojskowych, zmuszały konwój do ścisłego przestrzegania przepisów.

Przy wejściu do Petersburga konwój posuwał się zwolna, a z ludności razporaz ktoś zbliżał się do wózka, na którym jechałem z Kulmatyckim i rzucał nam pod nogi jakąś monetę.

Miałem takie uczucie, jakbym się znajdował pod pręgierzem. Nasunąłem czapkę głęboko na oczy, podniosłem kołnierz i siedziałem nieruchomo. Zbliżając się do więzienia, konwoj zatrzymał się na dziedzińcu jakiegoś znanego sobie szynku i tam nastąpiło obliczenie rzucanej monety i jej podział. Dzielono na tyle części, ilu było więźniów, plus jedną, którą przeznaczono na wspólne z konwojem picie wódki. Zebranej monety było sporo i na mnie też przypadła dość znaczna część, którą całą oddałem Kulmatyckiemu. Naszą gospodą w Petersburgu była piercsyłocznoja tiurma (więzienie dla przesyłanych). Był to gmach ogromny. Mnie i Kulmatyckiego rozmieszczono w różnych celach. Zostałem umieszczony w oddziale uprzywilejowanych. Cela, w której znajdowałem się, była obszerna jasna i dość czysto utrzymana, z łóżkami pojedyńczemi i świeżą bielizną. Na żywienie się wyznaczono pewną sumę i, stosownie do żądania, przynoszono z miasta żywność. Co rana przychodził z kociołkiem miedzianym sprzedający „patokę z imbirom“ (nalewkę rumbarbarum z syropem) i świeże „rozanczyki“ (jak róża składane bułeczki pszenne). Mnie to smakowało. Przez cały dzień cele były otwarte, można było przechadzać się po korytarzu, odwiedzać się wzajemnie po różnych celach. Oficer żandarmski, który przychodził codziennie, był ugrzeczniony i żadnych nie czynił utrudnień.

Byłem w tym wzięzieniu z jaki tydzień, dopóki nie załatwiono formalności co do dalszej podróży. Czas ten przeminął niepostrzeżenie. Przesyłanych było tak dużo, że w naszej celi nie wszyscy mieli jedno łóżko tylko dla siebie, lecz musiano gdzieniegdzie zestawiać po dwa łóżka, aby mogło się na nich pomieścić trzech ludzi. W oddziale politycznych byli wyłącznie Polacy, dwóch tylko Rosjan, lecz ci trzymali się oddzielnie i zdaleka. Niezwykły przedstawiał się widok. Po korytarzu przechadzały się pary, grupy, wielu dzwoniąc kajdanami, ale postawy harde, oczy dumne, rozmowy głośne; byli to ludzie pełni poczucia swej godności. Jedne partje wyruszały w dalszą podróż, drugie przybywały, więc coraz nowe opowiadania, często żywe, a nawet gorące spory przekonaniowe. W notatniku moim notowałem liczne nazwiska, w pamięci pozostały tylko trzy: Boskiego, Bersohna i Święcickiego, o którym już wspominałem

poprzednio. Bersohna zapamiętałem z powodów, o których później będę mówił. Najbardziej zbliżyliśmy się ze sobą: ja i Boski, właściciel ziemski z Królestwa Kongresowego. W zdaniach naszych byliśmy bardziej umiarkowani, a w sposobie życia stroniliśmy od gry w karty i od uciech butelkowych. Wcześniej więc kładliśmy się spać i wcześnie też wstawaliśmy. Odwiedzałem też Kulmatyckiego, który się znajdował w innej celi. Napisałem dla niego podanie do ambasady austrjackiej, a sądząc z tego, co mówił w późniejszym czasie we Lwowie, nie pozostało bez skutku.

Z powodu reparacji i odświeżania lokalu przeniesiono nas więźniów politycznych do oddziału, który zajmowały przedtem kobiety kryminalne. Ja i Boski swoim zwyczajem położyliśmy się spać wcześnie, a łóżka nasze były zbliżone. Wkrótce uczułem straszny świerzb po całym niemal ciele, wyskoczyłem więc z łóżka i ujrzałem Boskiego ze świecą oglądającego przyległą ścianę. Roiło się tam od pluskiew. Otrząśliśmy się, oczyściliśmy się, ale już nie kładliśmy się do łóżek, jeno przesiedzieliśmy całą noc na krzesełkach, rozmawiając i ziewając. Na szczęście, zrana wyprawiono mnie w dalszą podróż.

Jechaliśmy koleją do Moskwy. Partja była liczna, z samych Polaków, sporo było kobiet, a nawet i dzieci, Z listu pisanego do Kowerskiego, wymieniam niektóre osoby: ks. Kosiłowski Al. Więckowski — do tomskiej gub.; Zieleński, pani Niekraszowa z dwiema córeczkami, Burchardtowie — mąż i żona, p. Wirszyłłowa i Łoginowiczowa. Byliśmy napakowani do wagonu, jak śledzie w beczce. Niektórych transportowano na Syberję, niektóre kobiety jechały do mężów, a niektóre z dziećmi na wygnanie. Były liczne ofiary sprawy pożarowej na Litwie, którą sama biurokracja moskiewska zorganizowała, a chociaż prowadzone przez Szuwałowa śledztwo wykazało to, jednak osoby oskarżone i uwięzione w drodze administracyjnej posłano na wygnanie. Przepełnienie wagonu szczególnie w nocy było bardzo dokuczliwe. Trzeba było kobietom i dzieciom ustąpić miejsca, więc musieliśmy jeszcze bardziej się ścisnąć. Okropne przebyłem męczarnie. Sen strasznie morzył, a tymczasem nie było gdzie głowy oprzeć. Wydarzył mi się w tej podróży komiczny wypadek. Przynaglony potrzebą, nie mogłem znaleźć wychodka, więc gdzieś za węgłem przysiadłem, lecz w tej chwili rozległ się sygnał odjazdu, a ja, nie uporządkowawszy się należycie puściłem się pędem. Pociąg już ruszył, lecz konduktor pochwycił mnie za rękę i wsadził do najbliższego wagonu. W kilka chwil wbiegł wystraszony żandarm, szukając mnie. Ucieszył się, widząc, że przecież nie zniknąłem.

Chyliło się już ku wieczorowi, gdyśmy przyjechali do Moskwy. Partja nasza wyruszyła dalej pieszo ku głównemu więzieniu. Szliśmy dość długo i kiedy wreszcie wpuszczono nas na dziedziniec więzienny, była już noc. Tam na dziedzińcu przy świecach sprawdzono tożsamość wszystkich, spisano protokół i odesłano nas do dworu, znajdującego się niedaleko od mostu kamiennego na rzece Moskwie, a przeznaczonego dla więźniów politycznych polskich. Szliśmy więc niemal na drugi kraniec miasta ponownie dość długo. Noc była ciemna, o kilka kroków trudno było widzieć osobę. Ucieczka nie przedstawiała żadnej trudności, zwłaszcza dla mnie, który znałem dobrze Moskwę. Lecz poco było uciekać?

Kałamażny dwór, były to dawne stajnie. Odnowiono je i urządzono wewnątrz prycze. Hala była obszerna. Wszyscy w niej się mieścili i mężczyźni i kobiety. Te ostatnie, za pomocą rozpiętych prześcieradeł, okryć, szali, odgradzały sobie sypialnie i gotowalnie. Ja umieściłem się na pryczy obok młodego księdza, Kosiłowskiego, z którym przez kilka dni pobytu mego w tem więzieniu długie i przyjazne prowadziłem rozmowy. Byłoby nawet nieźle w tem miejscu, gdyby nie moc pcheł napastujących. Wolę jednak je, aniżeli pluskwy, bo chociaż dokuczają nie mniej dotkliwie, ale nie budzą wstrętu i obrzydzenia.

Mieliśmy zatarg z oficerem etapowym. Udawał liberała, a równocześnie wyzyskiwał uwięzionych na żywności. Z tego powodu — nie przypominam już szczegółów — wystąpiono z protestem. Rozgniewany wsadził protestującego do ciemnicy, a kiedym zwrócił uwagę, że postępuje nieprawnie, zagroził i mnie także ciemnicą. Później spuścił z tonu, uwolnił wsadzonego do karceru i znowu uderzył w strunę liberalizmu. Zemścił się jednak na mnie gdym odjeżdżał, zrobił rewizję w moich rzeczach i zabrał niektóre fotografie, mówiąc, że są rewolucyjne.

Na wózku, który mi się z prawa należał, zasiadł i rozparł się swojemi manatkami jakiś aresztant, tak że musiałem wywojować dla siebie miejsce. Wzbudził we mnie odrazu antypatję i okazała się ona najzupełniej usprawiedliwiona. Był mojem utrapieniem aż do Tuły. Wszędzie go umieszczano ze mną, arogancko zajmował najlepsze miejsce, ale najgorzej było to, że musiałem jaknajdalej od niego się trzymać, bo we włosach i w bieliźnie miał całe legjony robactwa. Na jednym etapie swoim zwyczajem on zajął pryczę, a ja ułożyłem się na podłodze. Na nieszczęście moje, zaczął się czesać. Porobiłem możliwe barykady koło siebie, lecz nie uniknąłem — jak się przekonałem — wtargnięcia wroga. Ten aresztant nie był kryminalny, lecz administracja wysłała go do miejsca urodzenia jako pozbawionego środków do życia włóczęgę i oszusta. Opowiadał mi swoje dzieje, chociaż milczeniem okazywałem niechęć do wdawania się z nim w rozmowę. Miał on pochodzić ze szlachty zamożnej. Chwalił się, że w Paryżu zjadał obiady po 25 franków u słynnego kucharza w Palais Royal.

Dopiero od Moskwy do Tuły odczułem w pełni okropność podróży etapem. Odbywaliśmy podróż wielkim traktem syberyjskim. Partje były liczne, konwojowane przez konnych kozaków, pod dowództwem oficera. Domy etapowe znajdowały się w znacznej odległości od wsi otoczone dokoła ostrokołem. obszerne, a pomimo to przy zajęciu miejsc okazywały się za ciasne. Brud, robactwo, smród, zaduch, że brakło powietrza. Wyżywienie się wielce utrudnione i — jak już mówiłem — obciążone wyzyskiem. Wszystkie te dolegliwości odczuwałem ja najbardziej, bo miejsca i żywność zdobywano brutalnie z przekleństwami, a często z bijatyką. Lecz o wiele więcej odemnie cierpiał jakiś stary Żyd. Wprawdzie, była po temu ważna przyczyna. Opanowany on był przez wszy do tego stopnia, że łaziły gęsto po jego chałacie. Odpychali go więc wszyscy i tylko z łaski coś od kogoś urwał.

W Tule na wzgórzu, panującem nad miastem, stał wielki murowany gmach. Imponująca ta budowla była więzieniem. Tu w celi uprzywilejowanych było obszernie i dość wygodnie. Wnet po moim przybyciu, przyszedł mnie odwiedzić jakiś książę kaukaski, nazwiska jego sobie nie przypominam. Był to

właściciel ziemski, bogaty, skoligacony z możnemi rodami i posiadający dość wysoką rangę wojskową. Miał on w więzieniu własną celę, bardzo wygodnie urządzoną, i wszelką gotowość władzy więziennej na swe usługi. Człowiek był światły, bywał zagranicą, posiadał dobrze język francuski. Miał sporo książek i ja z nich korzystałem. Tak przeczytałem historję rewolucji węgierskiej 1848 i 1849 r., napisaną po francusku przez jakiegoś Węgra. Podobała się mi bardzo i porobiłem z niej małe wyciągi do mego notatnika, Książę ten, w rozmowie liberalnych przekonań, oprócz gazety rosyjskiej prenumerował francuską — zdaje się — „L.'Europe." Dowiedziałem się wówczas sporo ciekawych i ważnych rzeczy o programie i rozwoju Międzynarodówki. Wogóle te kilka dni, które spędziłem w tulskim więzieniu, po dokuczliwościach drogi etapowej, były dla mnie i przyjemne i pożyteczne. O ile sobie przypominam kaukaski książę skazany był za kazirodztwo. Z Tuły ruszyliśmy znowu boczną drogą etapową. Odetchnąłem swobodniej. Zwykle w towarzystwie żołnierza szedłem pieszo i znacznie wyprzedzałem idącą partję. Wstępowałem do domów włościańskich, nieraz nocowałem w tych domach, wogóle poruszałem się swobodniej. Miałem sposobność zapoznać się bliżej z życiem włościan rosyjskich. Spostrzeżenia moje i rozmowy zapisywałem do notatnika. Żywienie się też było ułatwione. Był to miesiąc sierpień, były więc owoce i wielka obfitość i taniość ogórków i melonów, zwłaszcza w gubernjach: orłowskiej i woroneżskiej.

Przechodziliśmy przez miasta: Bogorodsk i Epifań w tulskiej gubernji, duże miasto Jelec — w orłowskiej gubernji, wreszcie Zadońsk i Ziemlańsk już w woroneżskiej gubernji.

W jednym z etapów dołączono młodziutką Rusinkę, włościankę, którą odsyłano do jej wsi. Miała pomieszane zmysły. Żołnierz zaproponował umieścić mnie z nią razem w nocy, — odmówiłem i powiedziałem mu, że to grzech korzystać z jej nieświadomości. Czy pozostawili ją w spokoju, nie wiem, bo słyszałem ich śmiechy i jej przekleństwa. Na drugi dzień szła razem z partją.

Zdaje się, że to z Zadońska wieziono wraz z partją kata do Ziemlańska. Rozbijał się on strasznie po drodze. Przed każdym szynkiem zatrzymywał konwoj. Wchodził do szynku, co spo-

strzegł, to jadł i pił, za nic nie płacąc. Nie ośmielono się mu sprzeciwiać. Nietylko sam pił, lecz kazał dawać wódkę i konwojującym. Upił się wreszcie ostatecznie, a żołnierze też niezupełnie mocno władali nogami. Wytrzeźwieli jednak ze strachu, bo z przeciwka nadjechał ataman kozaków dońskich, Potapow. Lecz ten nie zatrzymywał się i szybko pojechał dalej.

Woroneż, to miasto gubernjalne, duże, nad rzeką tejże nazwy, niedaleko od jej ujścia do Donu. Znajduje się w nim pomnik poety ludowego, Kolcowa. I w tem mieście są ślady działalności Piotra I-go i jego usiłowań stworzenia floty morskiej. Największa ulica, Dworzańska, topolami wysadzona, kościołek katolicki — mały, mieścił się w domu wynajętym od gminy tulskiej.

Niespodziewanie dowiedziałem się, że na przybycie moje oczekiwano już w Woroneżu.

Osobą, która mnie oczekiwała, był mój wuj, Władysław Dmochowski. Prawdopodobnie z kancelarji gubernatora dowiedział się o mnie. Osobiście go nie znałem, słyszałem tylko od matki o pokrewieństwie naszem z Dmochowskimi. Był on chory i leżał w szpitalu miejskim. Gdym przyszedł do niego, uściskał mnie serdecznie, jako bliskiego krewnego. I we wszystkich późniejszych stosunkach troszczył się o mnie i wspierał materjalnie.

Była to wybitna i bardzo sympatyczna osobistość. Będąc jeszcze uczniem w gimnazjum, mając około 18 lat, należał do spisku Konarskiego. Stawiony przed komisję śledczą w Wilnie, został przez jej prezesa, księcia Trubeckiego, przywitany policzkiem. Odpowiedział również policzkiem. Była to dobra nauczka dla Trubeckiego, odtąd zaniechał zwyczaju witania podsądnych uderzeniem w twarz. Młodego jednak chłopca skatowano i przykutego do żelaznego pręta popędzono na Kaukaz w sołdaty. Tam walecznością swoją zdobył stopień oficerski i krzyż św. Jerzego, który nadawano tylko za szczególne dowody odwagi. Za Aleksandra II, wrócił na Litwę, ożenił się z Szrederówną z Inflant i osiadł w Mińsku, gdzie był w pewnym względzie pośrednikiem pomiędzy szlachtą folwarczną i młodzieżą ludowcową, która go kochała i szanowała. Z powodu żądań, spisanych celem przedstawienia rządowi, które szlachta mińska miała uchwalić na zwołanym sejmiku w listopadzie 1862 r., posłano na wygnanie kilku najczynniejszych obywateli. W liczbie ich był Władysław Dmochowski. Nie przypominam sobie, w jakim mieście powiatowem przebywał. Zdaje się w Bobrowie. Tam, jako oficer kaukaski, udekorowany krzyżem św. Jerzego, miał wielkie poszanowanie u władzy miejscowej, z czego korzystał dla dobra swych współwygnańców, zwłaszcza ubogich mieszczan i włościan. Wyjednał, że przyznano wszystkim zapomogę na życie w kwocie, jaka się należała szlachcie. Chłopi, mieszczanie i szlachta zagonowa nazywali go ojcem, przychodzili do niego po radę, składali jakby u kasjera swoje oszczędności. Był typem szlachcica ludowca. Nie zapominał o tem, że jest szlachcicem, o swem wyższem społecznem stanowisku, traktował rzeszę ludową zgóry per ty, ale dobrotliwie, sprawiedliwie, troszcząc się o jej potrzeby. Wybaczano mu jego połajanki i nawet groźby użycia kija, bo go kochano. A wiara ta miała też swoją dumę. O jednym takim wypadku opowiadał Dmochowski. Było dwóch Maćków, t. j. chłopów Mazurów, na wygnaniu. Raz jeden z tych Maćków przyszedł do współwygnańca warszawiaka, trochę literata, pyszałka, w jakiejś sprawie. Spostrzegłszy zegarek na komodzie, wziął go w ręce, by go obejrzeć.

— Nie ruszaj durniu — krzyknął warszawiak — bo to nie twoja rzecz.

Po pewnym czasie, tenże Maciek, który zarabiał w pracach polowych koło miasta i miał znaczniejsze oszczędności, złożone u wuja, przyszedł do niego, by je podjąć.

— A co chcesz zrobić? — zapytał wuj.

— Chcę kupić zegarek — odrzekł Maciek.

— Poco ci ten zegarek? — perswadował mu wuj.

— Dlaczego nie mam go mieć? Mam pieniądze, więc kupię go sobie.

I oto Maciek przychodzi na jakieś zebranie z zegarkiem w kieszonce. Warszawiak, spostrzegłszy to, zbliżył się, mówiąc:

— A masz zegarek? pokaż — i sięgnął ręką do kieszonki. —

Wówczas Maciek wyprostował się i podniesionym głosem krzyknął:

—Nie ruszaj, durniu, bo to nie twoja rzecz!

Maciek kupił zegarek, by się zemścić na warszawiaku.

Fotografja wuja, którą posiadam, ma następujący napis: „W dowód najgłębszego szacunku i miłości, jaką mam do ciebie, kochany siostrzanie, Bolesławie, tę kartkę posyłam — Wuj twój i współwygnaniec. Władysław Dmochowski. 30-go maja 1867 r." — Wysokiego wzrostu, żołnierskiej postawy, twarz podługowata, wyraz jej poważny a nawet srogi, wysokie czoło, sumiaste, zwisające wąsy. Tak się przedstawia postać wuja.

Z polecenia jego wziął mnie do siebie na mieszkanie i stołowanie wygnaniec Klimowicz, złotnik z Grodna. Dobry Polak, poczciwy, w swym zawodzie doskonały rzemieślnik, przytem dość sprytny spekulant w sprawach wymiany i sprzedaży, całą duszą był oddany wujowi, któremu w znacznej części zawdzięczał swe stosunki w mieście, zapewniające mu względnie dość znaczny zarobek. Zachowałem z nim i później w Warszawie przyjazne stosunki. Przypominają mi się dwa fakty. Jednego dnia byłem u niego na obiedzie. Na wety podał kawon. W latach jeszcze dziecinnych, zapewne wskutek przejedzenia się, nabyłem wstrętu do tego owocu. Podany przez Klimowicza kawon wyglądał w przecięciu tak ponętnie i pachniał jakby bukiet kwiatowy, żem się odważył go spróbować i z przyjemnością go zjadłem.

Drugi fakt był następujący. Tego samego dnia — już wieczorem wynająłem furę chłopską, ażeby przewieźć moje rzeczy do Klimowicza. Kiedyśmy wjechali w ulicę, na której on mieszkał, było już zupełnie ciemno i pusto. Chłop począł się tak kręcić, że wzbudził we mnie podejrzenie. Miałem się więc na baczności, ostro zatrzymałem go przed domem, zapłaciłem i zabrawszy swoje rzeczy, wszedłem do mieszkania Klimowicza. W pół godziny później ktoś dobijał się do drzwi. Otworzono. Był to ten chłop, który mnie wiózł.

— Czego chcesz? — zapytałem ostro.

— Pan zapomniał szubę na moim wozie — odrzekł.

Byłem zawstydzony moją podejrzliwością, podziękowałem serdecznie chłopu i dałem mu jakieś pieniężne wynagrodzenie. Malicę tę kupił Klimowicz odemnie za 25 rubli, a odsprzedał ją — jak sam mówił — w późniejszym czasie znacznie drożej.

I w Warszawie ciągnął on niezłe zyski z tego, że kupował rozmaite srebrne i złote rzeczy, a następnie odsprzedawał je drożej.

Tego, samego dnia lub na drugi dzień przywieziono na wygnanie Stosława Łagunę. Był on już poprzednio wysłany na wygnanie, ale następnie odwieziono go napowrót do Warszawy, ponieważ wykryły się nowe fakty jego współdziałania w organizacji Rządu Narodowego. Przesiedział powtórnie rok w Cytadeli i tylko dzięki temu, że powstanie uważano za ostatecznie złamane i że zaczęto jego sprawę likwidować, nie wydano drugiego ostrzejszego wyroku, lecz zesłano go stosownie do dawniejszego wyroku.

Odrazu zawiązały się pomiędzy mną i Łaguną przyjazne stosunki. Samo jego nazwisko łączyło się u mnie z miłem wspomnieniem. Będąc w Dorpacie, czytałem w piśmie dodatkowem do „Słowa" petersburskiego jego artykuł o Hanzie nad Dźwiną, który szczególnie mnie zajął jako Inflantczyka.. Przez cały czas pobytu w Woronežu prawie wciąż byliśmy z sobą. Różniliśmy się w wielu zdaniach, sprzeczaliśmy się często, ale to nie zmniejszało sympatji, jaką czuliśmy wzajemnie do siebie. Odwiedziliśmy razem kilku wygnańców. Pamiętam tylko wspólny pobyt wieczorem u wygnanki z Litwy, mieszkającej z młodziutką córką, może osiemnastoletnią. Córka ta podobała się Łagunie porównywał ją do pięknej polnej różyczki.

Poradzono mi, ażebym poprosił gubernatora o wysłanie mnie do miasta powiatowego, Pawłowska, gdzie znajdę i dobre towarzystwo i dogodne życiowe warunki. Gubernator, gdym wyraził tę prośbę, odpowiedział, że władza sama wie, dokąd każdego należy przeznaczyć. Pomimo tej odmownej odpowiedzi, wyznaczono mi Pawłowsk. Gubernatorem był książę Gagaryn i względem Polaków wygnańców zachowywał się przychylnie. Opowiadano, że, kiedy odwiedzał Pawłowsk, tameczny sprawnik, Szłykow, który przedtem był w Murawjewowskiej szkole na Litwie, mówiąc o wygnańcach, donosił, że panna Leonowicz, zatrudniona rzekomo jako ekonomka u prezesa ziemstwa, Szaposznikowa, jest właściwie nauczycielką jego dzieci. Gubernator który nieco odwrócony przeglądał papiery na stole, spojrzał przez ramię na Szłykowa i powiedział:

— Ja sawietowałby wam nie mieszatsa w eti dieła (Radziłbym

panu nie wtrącać się w te sprawy). Podziałało to na Szłykowa tak dobrze, że pozostawił wygnańcom zupełną swobodę. Matka Gagaryna — jak mówiono — była Polką, z domu Branicka i współczuła swym rodakom. Opowiadano, że posyłała obiady partjom skazańców polskich, idących na Sybir.

W tymże czasie przybył na wygnanie Ludgar Grocholski z Podola. Jechał we własnym powozie, z kucharzem. Towarzyszyła mu matka. Nie przypominam sobie, jak się to złożyło, że miałem jechać razem z Grocholskim do Pawłowska.

Z Woroneża wyjechaliśmy w ten sposób, że Grocholski z matką jechał w powozie, a ja z Łaguną na wózku pocztowym. Tak jechaliśmy do pierwszej stacji. Łaguna jechał do Bobrowa, więc jego droga w inną prowadziła stronę. Pożegnaliśmy się przyjaźnie, przyczem żartobliwie powiedział, że mu się podobały niektóre moje teorje, a szczególnie ostatnia o drzewach smutnych i wesołych, którą jadąc rozwijałem. Po dłuższym nieco pobycie na stacji, matka Grocholskiego odjechała do Woroneża, a ja z nim w dalszą puściłem się drogę.

Żadnych ważniejszych wspomnień nie pozostawiła mi ta podróż. Raziło mnie tylko zachowanie się Grocholskiego. Byliśmy na równej stopie i uchybienia w tym względzie nie robił. Wiedział jednak, że moje pieniężne środki były skromne, że musiałem bardzo oszczędzać, a tymczasem nigdy mnie nie zaprosił na jadło przygotowane przez swego kucharza. Raziło mnie to, bo pomiędzy Litwinami nic podobnego zdarzyć by się nie mogło. Łaski mi nie robił, żem jechał w jego powozie, bo opłata koni pocztowych mniej go kosztowała, gdyż z kancelarji gubernatora wydano żandarmowi pewną sumę, którą opłacał za mnie.

Wygląd kraju, którym jechaliśmy, miał odmienne cechy od widzianych dotąd przezemnie. Był to już kraj stepowy. Daleko biegnąca, bezleśna prawie równina, złociła się słonecznikami, różowiła się prosem i bujną zielenią basztanów i łąk. Kraj czarnoziemny, żyzny.

Pawłowsk nad Donem przy ujściu rzeki Oseredy dość spore miasto, chociaż przeważnie małe domki posiadające, a wskutek gleby czarnoziemnej i braku zabrukowania, wiosną, jesienią i podczas deszczów, tonące w błocie. I tu upamiętniła się działalność genjalna, lecz zarazem i despotyczna Piotra I-go. W Pawłowsku formował on pierwsze zakłady marynarki Czarnego Morza. W tym celu przesiedlił nawet z archangielskiej gubernji do okolic dońskich około 10.000 ludności.

Po przyjeździe, już na drugi dzień wyszukałem sobie mieszkanie i pożegnałem niegościnnego towarzysza podróży. Znalezienie mieszkania załatwił mi kucharz czy też pokojowiec Grocholskiego. Domek, w którym zamieszkałem, stał na samym krańcu miasta przy drodze. Miałem pokoik, do którego się wchodziło przez izbę gospodarską, z podłogą ubitą z gliny, z sufitem niskim, lecz dość przestronny i jasny, dwa okna otwierały się ku bramie wchodowej, jedno wychodziło na podwórze wewnętrzne. Za mieszkanie, opał, obiad i wieczerzę, obsługę, dostarczenie samowara i pranie bielizny miałem płacić 5 i pół rubli. Herbatę, cukier i chleb pszenny sam kupowałem. Z początku jadło nie smakowało mi. Dawano często kaszę jaglaną, omaszczoną tłuszczem baranim. Lecz to trwało niedługo. Krowa bowiem ocieliła się i obficie dawała mleko. Dawano więc kaszę z mlekiem, co z wielkim smakiem zajadałem. Następnie, gdy mój stan materjalny polepszył się, sam podniosłem opłatę do dziesięciu rubli miesięcznie. Mieszkałem tam aż do końca pobytu w Pawłowsku, to jest rok cały, i było mi tam dobrze.

Ludgar Grocholski nie wchodził w znajomość z rodakami wygnańcami. Natomiast urządzał u siebie wieczory karciane, na które zapraszał urzędników rosyjskich. Nikt z Polaków u niego nie bywał. Nudził się, jak się sam przyznawał, gdym go spotykał. Później przyjechał brat jego stryjeczny, Władysław Grocholski, i razem z nim zamieszkał. Ten był skłonniejszy do nawiązywania stosunków z rodakami, ale ostatecznie poszedł za przykładem Ludgara. W roku 1904, kiedy byłem w Zakopanem, słyszałem, że Grocholski został prezesem Polskiego Towarzystwa Dobroczynności w Odesie i swoją działalnością zjednał sobie pochlebną opinję. Widocznie z wiekiem zmądrzał.

Ja, zaraz po przybyciu do Pawłowska, wszedłem w stosunki ze wszystkimi rodakami — a samych wygnańców było ze 35-ciu — starałem się nawet połączyć ich w jakąś całość, wytworzyć jakieś wspólne pomiędzy nimi zainteresowanie.

Najdostojniejszym — że tak powiem — domem wśród wyg-

gnańców naszych był dom Kułakowskich, z którym też najprzyjaźniejsza wywiązała się łączność. Romuald Kułakowski, pułkownik inżynierji, bardzo miłej, ujmującej powierzchowności, światły, uczynny, gorliwy patrjota i obywatel postępowych przekonań. Dom jego, utrzymywany na doskonałej stopie, stał gościnnie otworem dla współwygnańców. Żona jego Katarzyna, z domu Manteuflówna, była bardzo miłą osobą. Wspominałem już o niej, mówiąc o mym bracie, Anicetym. Mnie od samego początku okazywał wielką życzliwość. Kułakowscy mieli troje dzieci: starszego syna. Janusza, mającego wskutek choroby przytępione zdolności umysłowe, i dwie piękne i miłe córeczki: Milcię i Helenkę. Nauczycielką tych dzieci i domownicą została także współwygnanka, Wincenta Szarska, późniejsza moja żona. U Kułakowskich bywałem często i zawsze najmilsze tam chwile spędzałem. Kułakowski miał sporą bibljoteczkę i prenumerował kilka pism polskich.

W przyjacielskich stosunkach z domem Kułakowskich pozostawał dom Kuncewiczów. Adolf Kuncewicz, lekarz z uniwersytetu kijowskiego, oczytany, dobry patrjota, lubił rozprawiać, wpadając w ton żartobliwy, szyderczy, chociaż bez złośliwego zamiaru bolesnego dotknięcia przeciwnika w dyspucie. Ożenił się już na wygnaniu z córką wygnanki, Cezaryny Falkowskiej, autorki kilku dziełek dla dzieci. Kochał swoją żonę i ona go kochała, chociaż rozpowiadał, że, wyrządziwszy jej krzywdę jako lekarz, — okazała się potrzeba ucięcia palca — musiał ożenienieniem się naprawić to zło. Z nim byłem także w dobrych przyjaznych stosunkach, ale nie tak przyjacielskich jak z Kułakowskim. Miał ogromną praktykę lekarską, był w ciągłych rozjazdach i zebrał na wygnaniu znaczny fundusz. Istotnie był umiejętnym, dobrym lekarzem, lecz do wziętości jego przyczynił się ogromnie szczęśliwy wypadek. Kiedy przybył do Pawłowska na wygnanie, umierał tameczny protopop; a lekarze miejscowi stracili nadzieję ocalenia go. Dowiedziawszy się o przybyciu lekarza Polaka, rodzina wezwała go do łoża umierającego. Kuncewicz wzbudził zaufanie i w chorym i w jego rodzinie, wkrótce chory zaczął przychodzić do sił i po pewnym czasie wrócił całkowicie do zdrowia. Wdzięczność protopopa była wielka; głosił on wszędzie, że doktór polski go wskrzesił. Trzeba dodać, że

Kuncewicz był rodem z Litwy historycznej i miał właściwości tamecznej szlachty, która z całej szlachty polskiej najbardziej była sympatyczna; przynajmniej była taką w moich oczach i w mojem przekonaniu.

Trzecim domem familijnym byli Stępowscy z Podola: matka z dwoma dorosłymi synami: Bronisławem i Witoldem. Stosunki jednak tego domu z współwygnańcami pozostawały raczej na stopie etykietalnej, aniżeli prawdziwej łączności. Matka z Bronisławem nie unikała stosunków towarzyskich, lecz i nie starała się o ich podtrzymanie. Witold, przystojny chłopak, blondyn. junacki, więcej się garnął do życia towarzyskiego i chętnie się łączył z młodymi towarzyszami. Miał ładny głos i z zapałem śpiewał pieśni patrjotyczne.

Było jeszcze małżeństwo Domaradzkich z Wołynia czy też z Podola. Nie brało ono jednak w życiu towarzyskiem udziału. Sama Domaradzka była akuszerką i trzymała pod pantoflem swego małżonka.

Oprócz tych domów, były poszczególne osoby męskiej i żeńskiej płci.

Z mężczyzn najwykwintniejszą osobą był Stanisław Zamoyski, syn Andrzeja, przywódcy szlachty Królestwa Kongresowego. Grunt jego natury był dobry, ale instynkt wielkopański, wychowanie angielskie, pociąg ku demokracji uczyniły go dziwakiem bez żadnego prawie wpływu na społeczeństwo polskie. Był to — aby tak powiedzieć — arystokratyczny demokrata. Chwalebna oszczędność w życiu graniczyła ze skąpstwem. Z współwygnańcami był grzeczny, ale nie podtrzymywał stosunków. Bywał tylko u Kułakowskich, zrzadka u Kuncewiczów i mnie parę razy rewizytował. Nie miał posługi i wszelkie czynności gospodarcze sam spełniał. Rąbał sobie drzewo i kiedyś dość mocno siekierą skaleczył sobie nogę. Sam sobie uszył odzienie. W tym celu rozpruł jedno ze swych ubrań; w rozmiarach części składowych wykroił z grubego sukna z sierści wielbłądziej kawałki i następnie je pozszywał. Oczywiście, odzienie to wyglądało dosyć cudacznie. Kupił sobie konia i na nim jechał na wypas gminny, a tam, uwiązawszy konia na długim sznurze, którego koniec trzymał w ręku, kładł się z książką na ziemi i czytał ją, pozwalając paść się swobodnie koniowi. Chodził sam

na rynek i kupiwszy owsa dla konia, wracał do domu z workiem na plecach.

Bankierem moim był Lewandowski. Ile razy zabrakło mi pieniędzy, szedłem z ufnością do niego i nigdy zawodu nie doznałem. Był on Wołyniakiem. Służył w kancelarji w Żytomierzu, a na kilka lat przed powstaniem odziedziczył folwark Kalczyńce. Te Kalczyńce umiłował, wciąż o nich wspominał i marzył. Był dobrym Polakiem i wiernie się trzymał programu Rządu Narodowego. Narzekając czasem na chłopów, mówił: „wszak gotów byłem dla nich wyzuć się z ostatnich butów". Stary kawaler, lubił towarzystwo i miał zawsze dużo do opowiadania. Dusiła go astma, którą nabył — jak opowiadał — kiedy będąc jeszcze młodym chłopcem, słotą jesienną cały zmokły i zdrętwiały od zimna, przekradał się na umówioną schadzkę z żoną podmiejskiego młynarza. Widzę go, jak stoi u Kulakowskich, przyparty plecami do pieca, z fajką w ustach i opowiada z wielkim humorem, budzącym powszechny śmiech, rozmaite pocieszne sprawy z życia szlachty wołyńskiej. Wśród tego opowiadania nieraz porywał go astmatyczny kaszel i męczył go przez kilka minut. Miał upodobania gospodarskie, hodował parę prosiaków i chodził do lasu zbierać dla nich żołędzie. Czasem wspólnie robiłem z nim taką wycieczkę.

Typem safanduły szlachcica był Borkowski, także Wołyniak, nazywany sędzią. Już sam wygląd jego — jedno oko miał zezowate — potwierdzał to. Dobry człowiek, ale mocno ograniczony. Raz niemało się rozgniewał, kiedym mówił o procesie rozwoju kurczęcia w jajku. — Kto to mógł widzieć — zaperzył się z zawziętością — bujdy i tyle!

Z Wołynia pochodził także Wierzbicki farmaceuta. Przystojny, młody człowiek, wygadany, przedsiębiorczy, dostał posadę prowizora w aptece Burmanowicza, Polaka ożenionego z Niemką. Rozkochał w sobie starszą córkę swego pryncypała, dziewczynę, może dziewietnastoletnią, przystojną i łagodną Wierzbicki oświadczył się o jej rękę, ale rodzice nie chcieli o tem słyszeć i wymówiono mu posadę w aptece. Dziewczyna, za namową Wierzbickiego, uciekła z domu i zamieszkała u niego. Stało się to przed moim przyjazdem do Pawłowska. Kiedym przyjechał, Wierzbicki prowadził zawziętą wojnę z Burmanowiczem, domagając się zezwolenia na ślub. Ostatecznie ożenił się. Burmanowiczówna cała była mu oddana, lecz on, dążąc do ożenienia się, może więcej o aptece, aniżeli o niej myślał.

Dwaj młodzi ludzie, Rusiński z Mohylewszczyzny i Zglinicki Kongresowiak, przedstawiali dwóch nierozłącznych przyjaciół, którzy wciąż razem włóczyli się po mieście. Rusiński sympatyczny chłopak, butny, ale mało wykształcony. Jego przyjaciel nie był właściwie wygnańcem, lecz został jako żołnierz wylosowany. Kiedym przyjechał, był on czasowo uwolniony z powodu nadwyrężonego zdrowia. Chcąc się uwolnić od służby,brał na rozwolnienie i w ten sposób osłabiał swój organizm. Starałem się mu przedstawić, że niewłaściwie postępuje, że jako patrjota powinien by pozostawać w szeregach, ażeby wpływać na swych rodaków i wreszcie nauczyć się sztuki wojskowej, która może się przydać dla dobra narodowego. Moje przedstawienia żadnego skutku nie wywierały. Obaj ci przyjaciele prowadzili próżniacze, włóczęgowskie życie.

Przypominam sobie także szlachcica zagonowego z Wołynia czy też z Ukrainy. Ile razy wstąpiłem do niego, zastawałem go klęczącego i modlącego się. Modlitwa była jego zajęciem i rozrywką. Kiedy otrzymał pozwolenie powrotu, kupił konie i wózek i sam powożąc, wracał do kraju.

Była jeszcze w Pawłowsku dosyć znaczna liczba podrzędniejszych oficjalistów z Wołynia, lecz gdym przyjechał, pozostało ich tylko kilku. z których przypominam sobie Kaczorowskiego i tego, który u Grocholskiego spełniał czynność pokojowca. Jak już opowiadałem, on to wskazał mi mieszkanie, a zalecając się do gospodyni, chociaż bezskutecznie, dosyć często mię odwiedzał. Opowiadał mi też rozmaite ciekawe szczegóły zaszłych na Wołyniu wypadków.

Oficjalistów z Wołynia szlachta folwarczna rosyjska bardzo chętnie przyjmowała na posady ekonomów, leśników, kucharzy, furmanów. Trwało to dopóty, dopóki nie kazano zgóry zwrócić szczególną uwagę policyjną na tę szlachtę. To wystraszyło szlachtę, i odtąd rzadko kto mógł dostać zajęcie w gospodarstwie wiejskiem.

Pomiędzy wygnańcami była: Wincentyna Szarska, późniejsza moja żona, o czem już wspomniałem. Z Wińcią często się spo-

tykałem, ceniłem jej charakter, miałem dla niej wielką cześć. Małomówna, często cierpiąca na migrenę, była zbolała po świeżych wypadkach. W pierwszym boju powstańczym w Horchorkach na Mohylewszczyźnie, straciła narzeczonego Domaradzkiego.

Z wygnańcami naszymi, zwłaszcza młodymi, żył w koleżeńskich i przyjaznych stosunkach także wygnaniec Rusin, Borys Poznański. W baraniej czapce, chłopskiej świtce, z krótką fajeczką w ustach miał wygląd prawdziwego ukraińca. Dzieje jego ciekawe i godne uwagi. Ojcem jego był lekarz, ożeniony z Rosjanką i zamieszkały w Rosji. Borys, żyjący w otoczeniu rosyjskiem, wychowany w wierze prawosławnej, uważał siebie za Rosjanina. Następnie dostawszy się w opiekę swego stryja, który mieszkał na Ukrainie, i chodząc do gimnazjum w Białej Cerkwi, gdzie w ogromnej przewadze była młodzież polska Borys spolszczył się i stał się nawet polskim patrjotą. Po ukończeniu gimnazjum, wstąpił na wydział matematyczny w uniwersytecie kijowskim. Tam się przejął przekonaniami ludowemi i odkrył w sobie narodowość rusińską. Ożenił się z chłopką i osiadł we wsi. Podczas powstania polskiego, zachował się biernie, chociaż w głębi duszy sprzyjał powstańcom. Po stłumieniu powstania, popi rozpoczęli agitację wśród chłopów, ażeby ci zażądali folwarków od szlachty polskiej. Jedną z pierwszych wsi, ogarniętych agitacją, była właśnie wieś, gdzie mieszkał Poznański. Popi zgromadzili włościan i namawiali ich do podpisania przygotowanej petycji. Chłopi, jak wszędzie nieufni, oświadczyli, że muszą się namyśleć i dadzą później odpowiedź. Poznańskiego w tym czasie nie było we wsi. Skoro wrócił, poszli chłopi do niego po radę.

— Nasza chata z kraju — rzekł do nich — niech Moskale rżną się z Polakami, a my czekajmy, aż jedni drugich wybiją i wyniszczą.

Chłopom podobała się ta rada i kiedy pop przybył po odpowiedź, stanowczo odmówili swoich podpisów. Dowiedziano się jakoś, że stało się to pod wpływem Poznańskiego. Doniesiono o tem generał-gubernatorowi kijowskiemu, a ten zarządził przywiezienie go do Kijowa i w drodze administracyjnej wysłał na wygnanie do woroneżskiej gubernji. Kiedy Poznański w sporach o sprawie ruskiej wpadał w zawziętość i oświadczał, że wolałby być chińczykiem, aniżeli Polakiem, odpowiadano mu ze śmiechem:

— Et gadaj, przecież ciebie wysłano za „soczustwije k polskomu miatieżu" (za współczucie do powstania polskiego).

W pawłowskim powiecie Borys czuł się jakby we własnym rodzinnym kraju. Ludność ukraińska w tym powiecie dorównywała liczbą a może nawet i przewyższała rosyjską. Koło samego Pawłowska wsie ukraińskie były liczne i w dzień targowy ukraińska ludność gromadnie place zapełniała. W tym powiecie widoczną była różnica narodowościowa pomiędzy Rosjanami i Ukraińcami. I wzajemna niechęć pomiędzy nimi istniała. Ukraińcy nazywali Rosjan kacapami, z powodu brody, a Rosjanie Ukraińców chochłami. Ukraińcy żenili się tylko z Ukrainkami i całym swym bytem wyodrębniali się od Rosjan.

Poznański, jako ludowiec wyznania prawosławnego, poznał się z popami miejscowymi, a szczególnie jeden młody upodobał go sobie z powodu jego przekonań ludowych i znajomości tekstu ewangielji, jak się o tem przekonał nieraz w swej dyskusji z nim. Uprosił więc go raz, ażeby mu napisał kazanie, które miał wygłosić podczas uroczystości, gromadzącej z okolicznych wiosek ludność włościańską. Borys spełnił jego życzenie. Pop przeglądnął kazanie, a widząc, że pismo jest czytelne, wyraźne, nie zadał sobie trudu przeczytać je dokładnie. Kiedy rozpoczął kazanie przed licznie zgromadzonym ludem, czytał je gromkim i pewnym głosem, lecz następnie głos stawał się drżący, przyciszony, pop z trwogą oglądał się dokoła. Niechcący wypowiedział kazanie rewolucyjne. Na szczęście, nie było nikogo z tych, co z urzędu robią donosy.

— Nu brat — mówił następnie do Poznańskiego — nie chcę już twoich kazań. Zacząłem czytać, więc musiałem skończyć, ale myślałem, że zemdleję ze strachu.

Chcąc wytworzyć wśród wygnańców pewien łącznik, któryby spowodował wspólne zebrania, skłaniał do wymiany zdań, zachęcał do zajęć umysłowych, do czytania książek, zaproponowałem urządzanie wieczorków literackich. Ażeby każdy mógł brać w tem udział, radziłem, by z książek przeczytanych przygotowywać ustną lub pisemną własną ocenę. Oczywiście, że by-

łyby pożądane i oryginalne utwory, gdyby kto takowe posiadał. Kułakowski i Kuncewicz przyklasnęli projektowi. Ponieważ Kułakowski zajmował obszerne mieszkanie, więc zgromadzenia miały u niego się odbywać, a przytem oświadczył, że chętnie będzie wypożyczał ze swej bibljoteki książki do czytania.

Zgromadzenia te odbywały się raz tygodniowo. Oprócz Kułakowskich i Szarskiej, przychodzili Kuncewiczowie, dosyć często Zamojski, od czasu do czasu Lewandowski i Borkowski, rzadko panna Leonowicz, gdyż zajęcia w domu jej na to nie pozwalały, — zdaje się, że i Poznański czasem przychodził. Lecz młodzi, których miałem przedewszystkiem na myśli, ostentacyjnie trzymali się zdaleka. Ani Stępowscy, ani Grocholscy nie brali udziału. Rusiński ze Zglinickim także nie bywali.

Z tych wieczorków literackich najwięcej skorzystałem ja sam. I zdaje się, że tylko ja sam miałem każdego wieczora coś do przeczytania. Czytałem ustępami swoją pisaną socjologję i krótkie sprawozdania o książkach czytanych. W tym celu chciał poprzeć jakieś wnioskowanie pewnemi faktami lub spojakiegoś ważniejszego artykułu, zapisywałem to, co wydawało mi się godne uwagi. Kajeciki te i później służyły mi nieraz, gdym chciał poprzeć jakieś wnioskowanie pewnymi faktami lub spostrzeżeniami innych osób. Kułakowski często zabierał głos i nieraz musiałem z uporem bronić swego zdania. Z tego powodu, chwaląc mnie przed kimś powiedział: „Ma ważną wadę, jest sprzeczalski". Kuncewicz, któremu praktyka lekarska nie pozwalała zawsze bywać na wieczorkach, też chętnie podchwytywał to, co zdawało się mu być słabą stroną, i z uśmiechem złośliwym, chociaż nie bolesnym, zlekka ośmieszał mój radykalizm. Ostatecznie jednak nie był tak bardzo wrogi. Inni zachowywali milczenie, tylko raz — zdaje się — Borkowski uważał za bluźnierstwo wdzieranie się w tajemnice sprawy rozrodczej. Kiedyś Kułakowski odezwał się, że widzi w moich pracach znaczne wyrobienie literackie. Była to jednak pochwała niezasłużona, jak to widzę, odczytując dzisiaj niektóre rękopisy z owych czasów pozostałe.

Kiedy przybyłem do Pawłowska, była piękna i ciepła jesień. Wstawałem ze świtem i szedłem do kąpieli w Donie. Kąpałem się do późna, kiedy już stawało się dobrze zimno, tak że Kuncewicz zauważał, iż się narażam na przeziębienie żołądka. Wróciwszy z kąpieli, piłem herbatę i równocześnie czytałem coś wymagającego więcej uwagi. Następnie pisałem aż do czasu, kiedy mi wypadło iść na lekcję. Po obiedzie spałem trochę, później piłem herbatę, czytałem dzienniki, powieści. Ku wieczorowi szedłem na przechadzkę, albo do kogoś w odwiedziny.

Pomimo zakazu rządowego wygnańcom dawania lekcji miejscowej ludności, miałem ich dosyć. Wkrótce po moim przyjeździe, zaproponował mi aptekarz Burmanowicz, abym zajął się kształceniem jego dwóch córeczek. Za dwie godziny dziennie wyznaczył mi 6 rubli miesięcznie. Byłem bardzo zadowolony, miałem bowiem opłacone życie. Uczenice moje były prawdziwe trusie, ciche, posłuszne. Uczyły się dobrze, zwłaszcza starsza, może 10-letnia dziewczynka, miła, typ Niemeczki sentymentalnej. Matka ich była Niemka, obłożnie chora i wkrótce umarła. Na żądanie samego Burmanowicza, uczyłem głównie języka polskiego, a i inne przedmioty wykładałem po polsku.

Po kilku miesiącach mojego nauczania u Burmanowicza, przyszedł do niego miejscowy striapczy.

— U pana — rzekł do aptekarza — Limanowski uczy pańskie córki.

Burmanowicz, gburowaty w obejściu się i mało zważający na urzędników, ponieważ dawał im nieraz bezpłatnie lekarstwa, odrzekł ostro:

— A tak, daje lekcje, a jak pan doniesiesz o tem, to przestanie dawać.

— Nie, mnie wcale nie chodzi o donos. Chciałbym, ażeby moją córeczkę przygotował do gimnazjum.

W ten sposób dostałem drugą lekcję, za godzinę dziennie 3 ruble. Dziewczynka była posłuszna, ale mało pojętna. Raz, odbywając z nią lekcję u okna, spostrzegłem, że przyjechał sprawnik Szłykow z wizytą do striapczego. Pokój był przechodni, więc odwróciłem się tyłem do drzwi i oparłem głowę na dłoni, ażeby nie dać się widzieć sprawnikowi. Lecz on zaszedł z drugiej strony i powitał mnie. Mogłem więc to uważać za zgodę na dawanie lekcyj.

W późniejszym czasie dostałem i trzecią lekcję. Uczyłem dwie dziewczynki i za dwie godziny dziennie pobierałem aż

dwanaście rubli miesięcznie. Stałem się względnie Krezusem. Po zapłaceniu za wikt i stancję, pozostawało mi jeszcze 11 rubli, tak że robiłem małe oszczędności. Rodzice tych dziewczynek niedawno przybyli do Pawłowska. Ojciec ich był sprawnikiem w ihumeńskim pow. w Kijowskiem. Wysokiej postawy, twarzy otwartej, był bon vivant, mało się troszczący o politykę swego rządu. Przed powstaniem hulał i polował wesoło ze szlachtą, nie chciał więc być jej prześladowcą i przyjął posadę naczelnika akcyzy w pow. pawłowskim. Żona jego, również wysokiego wzrostu i dobrej tuszy, gładkiej twarzy, miała wygląd imponujący. Zyskowna posada dawała im duże środki pieniężne. Prowadzili więc dom otwarty i wystawny. Najmilszą ich rozrywką była gra w karty w modną podówczas stukułkę. Pani lubiła otaczać się młodzieżą i dla mnie była zawsze uprzejma. Nieraz i mnie po lekcjach w godzinach popołudniowych zatrzymywała na herbatę. Zapraszali mnie do siebie i na zebrania wieczorne, ale z tego nader rzadko korzystałem, tembardziej, że nie siadając do gry w karty, czułem się w tem towarzystwie zbyteczny. Uczennice moje były to dwa spore już podlotki. Starsza, mniej więcej 12-letnia panienka, dość już wysoka, przystojna, śmiała, pojętna, bardziej myślała o kokietowaniu mnie, anizeli o nauce, i musiałem z wielką powagą przypominać jej o mojem stanowisku nauczyciela. Druga również dość wysoka, tłuścioch, twarzy pospolitej, leniwa i niebardzo pojętna, niecierpliwie zawsze czekała końca lekcji.

Władysław Grocholski, kiedy pozwolono mu przenieść się do gubernji chersońskiej, w której posiadał także majątek ziemski, przybywszy do mnie z pożegnaniem, mówił:

— Patrząc na pana, zazdrościłem mu, zawsze zajęty, zawsze czynny, a ja nie wiedziałem, co z czasem robić i nudziłem się wściekle.

Pomyślałem w duchu: stokroć wolałbym mieć twoje majątki i nie biegać po lekcjach, a z pewnością nie nudziłbym się i lepszy zrobiłbym użytek ze swego czasu.

Dopóki nie nastąpiły słotne i zimne dni, co niedzielę puszczaliśmy się z Poznańskim od samego niemal świtu w wędrówkę po okolicy podmiejskiej. Byłem z nim w bardzo dobrych, przyjaznych stosunkach. Toczyliśmy długie rozmowy naukowe, polityczno-społeczne. Jakkolwiek w tem i owem różniliśmy się, to jednak mieliśmy jedno wspólne: chcieliśmy wolności i równości dla wszystkich. Jako ludowiec, notował on uważnie zwyczaje, obyczaje swego ludu ukraińskiego, zapisywał pieśni, rysował ich stroje, izby, sprzęty. W warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym" były drukowane jego etnograficzne artykuliki.

W następnym roku wiosną i latem w wycieczkach moich niedzielnych towarzyszył mi Wierzbicki, ponieważ Poznański otrzymawszy posadę w akcyzie, zamieszkał we wsi o kilka godzin drogi pieszej od Pawłowska. Celem naszych wycieczek była herbaryzacja, a Wierzbicki przytem polował na turkawki. W tym czasie, sprowadziwszy z Warszawy „Księgę Przyrody" — Fryderyka Schoedlera w polskiem tłumaczeniu, przeczytałem ją uważnie, odświeżając swe wiadomości przyrodnicze. Jeżeli roślina ani Wierzbickiemu, ani mnie nie była znana, badałem ją w domu i prawie zawsze udawało mi się oznaczyć, jeżeli nie jej nazwę, to przynajmniej rodzinę, do której należała. Do pomocy służyły mi „Botanika" Jussieu'go i atłas botaniczny, pożyczony od Wierzbickiego. Sprawiało mi to wielką przyjemność, gdym osiągał pomyślny rezultat w mojem badaniu.

W pierwszych miesiącach pobytu w Pawłowsku, kiedy miałem jeszcze tylko jedną lekcję u Burmanowicza, próbowałem był otworzyć sobie nowe źródło zarobkowe piórem. Kułakowski prenumerował kilka pism polskich, a pomiędzy niemi nowopowstały tygodnik ilustrowany, „Kłosy". Wiało od niego pewną świeżością, jakby większem skłanianiem się do przekonań demokratycznych. Przyszło mi więc na myśl, by zużytkować mój notatnik etapowy w formie „Listów z Rosji" Napisałem takie dwa listy i wysłałem do redakcji „Kłosów". Były one jakby wstępem do tego, co miałem później pisać. Starałem się dać poznać, rachując się oczywiście z cenzurą, a więc niewyraźnie, pod pewną osłoną, że wrzenie rewolucyjne w Rosji może przyjąć wielkie rozmiary, albowiem płynie z nastroju mas ludowych. Z niecierpliwością brałem do rąk każdy nowoprzybyły numer „Kłosów". Ale moich listów jak nie było, tak nie było. Zwróciłem się więc z prośbą do Józefa Lei, który w tym czasie otrzymał pozwolenie powrotu do Warszawy, ażeby się dowiedział, co się dzieje z moją pisaniną. Leja przysłał mi odpowiedź redaktora

Kazimierza Wójcickiego, który, przyznając mi zdolność do pióra, oświadczył, że „Listy" są bardzo ogólnikowe, a więc nie nadają się do druku. Zachęcał mnie do pisania bardziej konkretnych artykułów. Dałem jednak za wygraną, tembardziej, że liczba lekcyj się powiększyła.

Jeden wszakże mój artykulik był drukowany, oczywiście bezpłatnie. Zaczęło wychodzić w Warszawie tygodniowe popularne pisemko p. t. „Opiekun Domowy". Nie miało ono żadnego ustalonego programu, propagowało tylko wiedzę i sprzyjało kierunkowi demokratycznemu, a szczególnie podnosiło wielkie znaczenie „własnej pomocy", czyli indywidualnych usiłowań zdobycia majątku i znaczenia w społeczeństwie. Przeciwko temu hasłu „własnej pomocy" postawiłem drugie ważniejsze hasło, „wzajemnej pomocy". W tym artykuliku — o ile przypominam sobie — nie wspominałem nawet o socjaliźmie, a wszakże był to mój pierwszy głos, usiłujący zwrócić ku niemu myśli. W „Listach z Rosji" chciałem to także uczynić i być może, że to był główny powód, dlaczego Wójcicki ich nie drukował.

Ponieważ w miejscowem ziemstwie zawakowała jakaś podrzędna posada kopisty czy coś podobnego, namawiano mię, ażebym się ubiegał o nią. Mówiono, że w każdym razie będę miał tam więcej niż z lekcyj, — lekcyj u naczelnika akcyzy jeszcze wówczas nie miałem — a przytem mogę się spodziewać prędkiego awansu. Już o mnie tam mówiono i zażądano, bym przysłał próbę pisma. Nakreśliłem więc na kartce wyrazistym charakterem po rosyjsku zdanie: „Ludzie rodzą się, żyją i umierają". Zdanie to spowodowało odmowę. — To jakiś filozof — powiedziano — to nie dla niego posada. — Przyznam się, żem się nie zmartwił z odmownej odpowiedzi, gdyż wcale nie czułem pociągu do pracy biurowej.

Widocznie zyskałem był pewien rozgłos jako nauczyciel, ponieważ gdy nadeszło pozwolenie powrotu do Polski, jeden z miejscowej szlachty folwarcznej, książę Gorczakow czy Golicyn, pośrednio dowiadywał się, czybym nie zgodził się przyjąć obowiązku nauczyciela przy jego dwóch chłopcach, z którymi po roku wyjechałbym zagranicę. Byłem jednak tak stęskniony do pracy narodowej i społecznej w Polsce, że ta w innych warunkach bardzo ponętna propozycja nie zachwiała mem postanowieniem wyjazdu do Warszawy.

Oprócz niedzielnych wycieczek, trzy razy wydalałem się z Pawłowska na dzień. Raz odbywało się polowanie, w którem większa część kolonji polskiej wzięła udział. Drugi raz jeździłem — nie przypominam sobie z kim — do Ofenberga, Polaka, dzierżawcy czy też zarządcy jakiegoś folwarku szlacheckiego. Trzeci raz wiosną w piękny dzień pogodny — prawdopodobnie w niedzielę albo w jakieś święto — odwiedziłem Poznańskiego w jego wiejskiej siedzibie. Ugościł mnie ulubioną ukrainską potrawą warenikami i chciał mnie bliżej zapoznać z młodą ukrainką. Poznański lubił kobiety. Kiedym raz, żartując, przypomniał, że się sprzeniewierza swojej żonie, odrzekł, że i kościół katolicki na to zezwala, kiedy żona pozostaje daleko za rzekami lub górami.

Dowiedziawszy się, że u pewnego chłopa mieszka Polak, niedawno przybyły etapem do miasta, poszedłem do niego, by powziąć o nim dokładniejszą wiadomość. Tak w mej pamięci coś się mgli, że był to ten student z Dorpatu, któremu zanieśliśmy wyrok verschliesu. Wydalono go z Petersburga za włóczęgostwo i pijaństwo. Litując się nad jego losem, usiłowałem wzbudzić w nim ambicję i podnieść moralnie. Byłem u niego dwa razy, ale wpadł już w taki stan zbydlęcenia, że żadnej nie rokował nadziei.

Jakoś podczas zimy zjechał do Pawłowska ksiądz katolicki. W jednym z domów urządzono kaplicę. Bawił ze dwa dni. Sporo żołnierzy spowiadało się. Odprawił mszę. Byłem na niej obecny, lecz nie w takiem usposobieniu jak w Archangielsku. Dawniejsza moja religijność zgasła już bezpowrotnie.

Podczas świąt Wielkanocnych dwóch młodych popów, którzy obchodzili domy sąsiedzkie, przyszło do naszego domu z modłami i ze święconą wodą. Składano im ofiarę pieniężną. Weszli i do mego pokoju. Oświadczyłem im z góry, że jestem katolikiem, Polakiem. Ponieważ w pokoju była ikona, przyszła gospodyni z siostrą i kilku sąsiadami, popi odprawili swe modły i pokropili pokój wodą święconą. Gospodyni dała im wódki i jakąś zakąskę. Obaj byli młodzi i wszczęli ze mną rozmowę. Zdaje się, że obaj skłaniali się ku przekonaniom ludowym.

a może jeden z nich był tym, któremu Poznański był napisał kazanie. Żegnając mię, powiedzieli:

— Święcimy zmartwychwstanie Syna Bożego i Polska też zmartwychwstanie.

Czasem zdarzało mi się rozmawiać z sąsiadami, z pochodzenia i ze sposobu życia włościanami, gdy się zeszli do moich gospodarzy na gawędkę. Pewna rozmowa szczególnie wraziła mi się w pamięć. Była kiedyś mowa o oswobodzeniu włościan z poddaństwa.

— To cesarz francuski kazał zrobić naszemu carowi — wygłosił jeden z obecnych.

Kiedyindziej była mowa o samowładzy cara.

— Tak — mówiłem — car jest samowładny, może robić, co zechce, nikt nie śmie mu się oprzeć.

— No — ktoś zaprotestował — gdyby chciał coś złego zrobić, to senat nie pozwoli.

— Akurat — odrzekłem — senatorów powysyła na Sybir.

— No to nie pozwoli święty synod.

— Car rozpędzi synod na cztery wiatry.

— No to przecież jest ktoś od niego starszy. Nie pozwoli mu na to „papa rymskij".

Na ten niespodziewany argument, zamilkłem. I skąd prawosławnym mieszczanom wlazł „papa rymskij" do głowy? — pomyślałem.

Rok mego pobytu w Pawłowsku upływał spokojnie i względnie dobrze dla mnie. Pracowałem, miałem towarzystwo, w domu miły stosunek i wygody. Gospodyni przywiązała się do mnie, a jej mała, może dwuletnia córeczka, rwała się do moich ramion z większą ochotą i życzliwością, aniżeli do ojcowskich. I ja też z lubością huśtałem i nosiłem tą śliczniutką dziewczynkę. Miałem jakby ojcowskie dla niej uczucie. Jeszcze była w domu istotka, która się ogromnie do mnie przywiązała. Była to biała ładna koteczka. Wkrótce po moim przyjeździe do Pawłowska spostrzegłem na parkanie naszego domu miauczącego kociaka. Zabrałem go do swego pokoju, napoiłem mlekiem, wyczesałem. I został u mnie. Przez całą jesień okno na podwórze w mym pokoju było otwarte. Kotka siadywała na tem oknie, i gdym, wracając, wchodził na podwórze, wskakiwała mi na

ramię, mruczała radośnie i ocierała się koło mej twarzy. Podczas obiadu, gdy czytając, skupiałem uwagę na książce, ściągała z mego talerza mięso. Na wiosnę, w drugim roku gdzieś się zapodziała moja koteczka.

Byłoby mi w Pawłowsku zupełnie dobrze, gdyby nie tęsknota do czynnej roli we własnym kraju, do pracy użytecznej dla swego narodu. Miałem już pewien urobiony program działania: w dziedzinie myśli krzewienie pozytywizmu, w dziedzinie życia społecznego propaganda socjalizmu.

Jakoś jesienią 1867 r. nadeszła wiadomość, że car Aleksander II-gi; udając się do Francji i chcąc zjednać sobie opinję europejską, w Wierzbołowie podpisał coś w rodzaju amnestji za powstanie polskie. Wkrótce powstańcy pootrzymywali z Woroneża zawiadomienie, że mogą przenieść się do Królestwa Polskiego. Mnie jednak w tym spisie uwolnionych nie było. Zmartwiło mnie to mocno, a że zamierzałem pójść do kąpieli, więc poszedłszy nad rzekę, począłem rozpaczliwie płynąć na drugą stronę. Dotąd tego nie próbowałem i zawsze, odpłynąwszy spory kawał, zawracałem do brzegu. Rzeka koło Pawłowska rozlewała się szeroko. Gdy przepłynąłem do połowy, a może nieco więcej, uczułem grunt pod nogami. Była to mielizna. Wypocząłem tam nieco i popłynąłem do drugiego brzegu. Odtąd, aż do samego wyjazdu z Pawłowska, codziennie przepływałem Don.

Wykluczono mnie z liczby uwolnionych — jak się dowiedziałem później — dlatego, że należałem do liczby pierwszych wygnańców wysyłanych za osobistym podpisem cara (po wysaczajszemu pawieleniju). Później nie robiono tej ceremonji. W Petersburgu uznano więc za potrzebne uzyskać osobny rozkaz cara dla tej kategorji wygnańców, do której i ja należałem.

Po upływie mniej więcej miesiąca, otrzymałem z Woroneża zawiadomienie, że wolno mi przesiedlić się do Królestwa Polskiego. Do stron rodzinnych, ani na Litwę, ani na Ruś nie pozwolono wracać. Po otrzymaniu zawiadomienia, nie ociągałem się i wyjechałem do Woroneża.

Szczęśliwym wypadkiem, posiadałem nieco większą sumę pieniężną co pozwalało mi opłacić koszta podróży. Jak już mówiłem — zgromadziłem nieco oszczędności, ale było tego nie-

dużo. Przypuszczam, że matka musiała mi nieco przysłać. Nie to jednak złożyło się na znaczne powiększenie mych funduszów. Powiększył je rząd. Było to tak. Kancelarja gubernatora woronezskiego wysłała do Archangielska zapytanie, czy ma mi wypłacać wyznaczoną dla wygnańców zapomogę od rządu. Gubernator archangielski odrzekł, że z pytaniem tem należy się zwrócić do gubernatora witebskiego. Ten zaś odpisał, że zapomoga mi się nie należy, ponieważ mam posiadłość ziemską. Na to kancelarja gubernatora woroneżskiego zażądała, ażeby z tej posiadłości, która jest zasekwestrowana, wypłacono mi należną sumę na utrzymanie. Wówczas gubernator witebski odpowiedział, że ściągnięcie tej sumy przedstawia trudności i dlatego powinna mi być wypłacona zapomoga, zwykle wyznaczana wygnańcom. Cała ta korespondencja trwała prawie rok i nie przypominam sobie, ażebym czynił jakieś w tej sprawie starania; być może, że Dmochowski, który pozostawał czas dłuższy w Woronezu, wpłynął na to, że kancelarja gubernatora tak troskliwie zajęła się moją sprawą. Jakkolwiekbądź, niemal przed samym wyjazdem wypłacono mi niespodziewanie prawie sto rubli, rachując coś za 12 miesięcy po 7 rubli i 50 kopiejek za miesiąc.

W listach, które u mnie pozostały, znajduję trochę pisanych do Pawłowska: dwa od Czajczyńskiej, po jednym od Pawłowej, Sykłowskiego, Lei i Adolfa Hryniewieckiego z Penzy. Większa część listów zaginęła, korespondowałem bowiem z wielu osobami. Pisał Korewa z Permi o urządzeniu wspólnego domu za inicjatywą ks. Ściegiennego.

Posiadam też list Kułakowskiego, pisany 10 grudnia 1867 r. z Pawłowska do Warszawy. Z tego listu przytaczam następujący ustęp: „Panna Szarska temi dniami wyjeżdża; Lichomski (nie przypominam go sobie wcale) dostał miejsce w Piotrówce, ale właściciel nie omieszkał skorzystać z pozycji wygnańczej, bo płaci o połowę mniej niż poprzednikowi; Domaradzki u Borownowa zajmuje się; biedny Wierzbicki klepie nędzy pełne życie; Hołubicki, Trojanowski, Kaczorowski tenże żywot pędzą; Dejnarowicz temi dniami rusza na piechotę. Burmanowiczowa umarła".

W Woronezu nie zastałem ani wuja Dmochowskiego, ani Klimowicza. Poznałem za to pannę Helenę Schif. Ładna i inteligentna, bardzo mi się podobała. Była panną respektową u Lipskiej w Marjenhauzen w Inflantach i za współudział w sprawach powstańczych została wysłana do gub. woroneżskiej. W rozmowie dowiedziałem się, że w więzieniu w Petersburgu poznałem jej narzeczonego Bersohna, prosiła więc mnie, ażebym go odwiedził w Warszawie i udzielił jej wiadomości o nim. Czy była ona Żydówką nie wiem. Wówczas kwestja antysemityzmu wcale nie istniała. Zaprosiła mię na herbatę wieczorem. Zastałem tam grono naszych młodych wygnańców. Zachowanie się, współudział w dyskusji świadczyły o samodzielnym jej charakterze i uświadomieniu polityczno-społecznem. — Pisząc następnie w Warszawie mój szkic powieściowy: „Dziewczyna nowego świata", ją to głównie miałem na myśli.

ROZDZIAŁ XI

WARSZAWA I LUBELSKIE

(1867 — 1869)

Otrzymawszy wilczy paszport — jak go nazywaliśmy, albowiem nakazywał jechać wprost do Warszawy, nigdzie nie zatrzymując się, puściłem się w dalszą drogę. Wraz z kilku innymi wygnańcami jechałem pocztą do Kozłowa, miasta powiatowego w tambowskiej gubernji. Dzień był upalny, dużo kurzu, ciasno w wozie, — oto jedyne wrażenie, które w pamięci pozostało.

Z Kozłowa na Kaługę, którą zdaleka tylko widziałem, jechałem do Moskwy. Przybyłem wcześnie zrana. Pozostawiwszy rzeczy u portjera na dworcu kolei żelaznej, sam ruszyłem odwiedzić to miasto, tak dobrze mi znane. Zaszedłem do kościoła katolickiego, następnie do pobliskiego kościoła katolickiego francuskiego i dalej skierowałem się ku gimnazjum, w którem odbywałem naukę.

Dom, w którym mieszkał Miedwiediew, znajdował się w pobliżu gimnazjum, zaszedłem więc do dawnego jego mieszkania, ale już kto inny był rządcą domu i o Miedwiediewych nic nie wiedziano. Poszedłem więc ku uniwersytetowi, wskrzeszając wspomnienia z lat minionych. W biurze adresowem przy policji, wydostałem adresy Sawickiego i — zdaje się — Stupina. Prawdopodobnie adresu Miedwiediewa nie było. W biurze tem spotkałem się z jakimś Polakiem — zdaje się — studentem uniwersytetu, ale obaj niezbyt ufni względem siebie, wymieniliśmy tylko ze sobą kilka słów. Zdaje się, że znał on Sawickiego.

Ojczym mój mieszkał w gimnazjum na Preczystience. Nie awansował, zawsze bowiem pozostawał na posadzie nadzorcy (nadziratiela) uczniów. Gdym przyszedł do niego, zastałem go w domu, gdyż właśnie uczniowie weszli do klasy, a on wrócił

na śniadanie do swego mieszkania. Przywitał mnie życzliwie, ale jakby nieufnie, może obawiał się, bym nie prosił go o pieniądze. Wypytywał o moje losy życiowe, a tymczasem kucharka postawiła przedemną spory befsztyk z przysmażanemi kartoflami. Wybiegawszy się po mieście, byłem głodny, więc jadłem z wielkim apetytem. Tymczasem Sawicki zaczął o sobie opowiadać. Mówił o ciężkiem położeniu Polaków na służbie rządowej, wskutek rosnącej ku nim niechęci po powstaniu 1863 r.

Stupina — zdaje się — nie zastałem w domu. Zaszedłem jeszcze do Syrejszczykowych. Na górze, gdzie mieszkałem, zawsze była ta sama niańka z córką swoją dobrze podstarzałą. Witały mnie życzliwie. W domu zastałem tylko mego byłego ucznia, Nikolinkę. Był to już poważny młody człowiek. Ukończył uniwersytet moskiewski i był asystentem przy katedrze chemji. Właśnie tylko co wrócił do domu i jadł obiad. Zaprosił mnie do wspólnej biesiady, jedząc i pijąc herbatę, opowiadaliśmy sobie wzajemnie o przebiegu swego życia. Uważałem, że był bardzo oględny w poruszaniu kwestji politycznych, nie chcąc może mnie czemś urazić. Pożegnaliśmy się przyjaźnie, — prosiłem, by pozdrowił odemnie ojca i swych braci. Wyszedłszy od Syrejszczykowych, skierowałem się wprost ku kolei.

W Petersburgu zatrzymałem się w gostinnicy (zajeździe) Znamienskaja na samym krańcu Newskiego Prospektu. Przyjechałem późno wieczorem, wyszedłem natychmiast na miasto — do restauracji, gdzie zjadłem kolację, i wróciwszy już późno, zamknąłem się i położyłem spać. Na drugi dzień wcześnie wyszedłem na miasto. Kiedy służący zagadnął mię o meldunek, powiedziałem, że nie mam czasu, że muszę spieszyć, i dałem mu dwadzieścia kop. Gdym wrócił wieczorem, służący był podpity i o meldunku nie pamiętał. Trzeciego i czwartego dnia powtórzyła się ta sama historja. Na piąty jednak dzień pokojowiec powiedział, że gospodarz się gniewał na niego, iż dotąd pozostawałem niemeldowany. Doręczyłem więc mój paszport. Nie zdołałem jeszcze wyjść, kiedy przybiegł wystraszony gospodarz i zaklinał mnie na wszystko, ażebym przeniósł się gdzieindziej. Nie żądał nawet zapłacenia należności. Okazało się, że w tej samej gostinnicy mieszkał był Komisarow, który strzelał do cara i tak samo był niemeldowany. Wówczas gospodarz za-

płacił grubą karę i uważał, że jeszcze dość szczęśliwie dla niego cała sprawa się skończyła. Wobec lamentów gospodarza, musiałem, zapłaciwszy należność, przenieść się gdzieindziej. Pojechałem więc do hotelu, który się znajdował w pobliżu dworca kolei warszawskiej.

Byłem w Petersburgu ze dni cztery czy też pięć. Zaraz pierwszego dnia poszedłem do kancelarji oberpolicmajstra i wniosłem podanie, ażeby mi pozwolono pozostać w mieście, póki nie otrzymam odpowiedzi na moje podanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Powiedziano mi, że oberpolicmajster Trepow wyjechał z Petersburga, więc dopiero po jego powrocie nastąpi rezolucja. W podaniu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych żądałem, by mi pozwolono odwiedzić matkę w pow. dyneburskim.

Czekając na skutek mych podań, obijałem bruki w mieście. Na szczęście pogoda sprzyjała. Oglądałem więc pomniki, zwiedzałem cerkwie i niektóre muzea, byłem w Bibljotece Publicznej. Jak już wspominałem, w katolickim kościele Ś-ej Katarzyny spotkałem Baranowskiego. Zmęczony chodzeniem, przesiadywałem w kawiarni czy też cukierni przy szklance herbaty lub filiżance kawy i czytywałem wszystkie tam znajdujące się dzienniki. Byłem i w czytelni, gdzie za opłatą 10 kop., przeglądałem miesięczniki rosyjskie. Obiad jadałem w „kuchmistierskiej" za skromną opłatą 20 kop. Raz byłem w teatrze na „jaskółce". Zdaje się, że to był balet, w pamięci tylko pozostał ostatni obraz jakiejś apoteozy, efektowny i wystawny.

Znajomych w mieście nie miałem. Raz tylko byłem u jakiegoś urzędnika Polaka kawalera, do którego miałem liścik rekomendujący od Kułakowskiego. Nie przypominam sobie, w jaki sposób dowiedziałem się o adresie Chiżniakowa. Był nauczycielem w szkole ludowej i mieszkał koło cerkwi Aleksandra Newskiego. Serdecznie mnie powitał. Zastałem u niego jakiegoś młodego człowieka, który rozprawiał bardzo liberalnie z przymieszką wszakże moskiewskiej zaborczości. Mówił o swym pobycie na Litwie, o strasznym ucisku ludu wiejskiego przez szlachtę, którego odgłos słyszał w suplikacjach ludu wiejskiego. Ponieważ Chiżniakow uprzedził mnie, ażebym nie wyjawiał szczerze swych myśli, gdyż czasy i ludzie uległy wielkiej

i niekorzystnej zmianie, więc się ograniczyłem do sarkastycznej uwagi, że suplikacje mówią o powietrzu, głodzie i wojnie, które zawsze i wszędzie sprowadzały klęskę.

Napiwszy się herbaty, poszliśmy z Chiżniakowym na przechadzkę. Zwiedziliśmy ławrę Aleksandra Newskiego i poszliśmy na pobliski cmentarz, na którym pochowano Murawjewa.

Na drugi dzień po przeniesieniu się do hotelu obok dworca kolei warszawskiej, poszedłem do kancelarji oberpolicmajstra. Trepow wrócił, lecz go nie było, zastępował go ktoś inny. Gdym powiedział, w jakim interesie przyszedłem, wpadł na mnie groźnie, nakazując natychmiastowy wyjazd, jeżeli nie chcę doznać wielkiej przykrości. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych powiedziano mi, że podanie moje odesłano do Wilna, gdzie się rozstrzyga wszystkie podobne sprawy i że najlepiej zrobię, jeżeli sam w Wilnie porobię odpowiednie starania.

Nie było więc co robić, wyruszyłem dalej w podróż. Gdy pociąg przybył do Wilna, liczni żandarmi stali na peronie. Nikogo nie wypuszczano z wagonów. Poprzednio obchodzono przedziały i sprawdzano paszporty. Mnie oddzielono od innych i wyprowadzono na peron. Tam już była spora gromadka z wilczemi paszportami. Otoczono nas żandarmami i niewolno było nam się ruszać aż do godziny odjazdu. Na moje przedstawienie, że mam sprawę w Wilnie, oficer żandarmski z pianą u ust i z iskrzącemi się oczyma wykrzyknął, że mam milczeć i czekać na odjazd. Jakiś Żyd, znajdujący się na peronie, zbliżywszy się dał jakiś pieniądz któremuś z naszej gromadki, czy przez litość czy może znajomemu swemu współwiercy. Porwano go natychmiast i, kopiąc nogami i bijąc kułakami, pociągnięto go dalej do dworca. Tak czekaliśmy z jaką godzinę. Następnie, gdy miał nastąpić odjazd, wsadzono nas do wagonu, oddano paszporty i zamknięto.

Przybyłem do Warszawy prawdopodobnie w miesiącu wrześniu 1867 r., wyjechałem zaś w Lubelskie, ile wnosić mogę, w marcu 1868 r.

Po przyjeździe do Warszawy, zatrzymałem się w jakimś tanim hotelu na ulicy Długiej. Minakowski, mój archangielski współlokator, którego odwiedziłem, poznał mnie z bratem swoim i zaprosili mnie na obiad do pobliskiej taniej restauracji.

W tym hotelu niedługo pozostawałem. Musiałem bardzo się rachować z wydatkami, gdyż zasób mój pieniężny już się wyczerpał. Przeniosłem się więc do pokoju, który wynajęli byli Ruciński i Jundziłł, także ekswygnaniec, syn lekarza z Dyneburga, przy jakiejś ubogiej rodzinie — zdaje się — na Chmielnej ulicy. Przypominam sobie, że kiedy zdarzało się wrócić nieco później do domu, trzeba było przechodzić przez pokój, w którym spała rodzina, trzy dorosłe córki sypiały na podłodze.

I w tem mieszkaniu nie pozostawałem długo. Jeden z moich dobrych znajomych powiedział, że wyrobił dla nas mieszkanie za bardzo małą opłatą — zdaje się — półtora rubla kwartalnie. Był to pokój w domku na ulicy Wolność przy samych okopach. Domek stał wśród obszernego dziedzińca gdzie poprzednio była fabryka mydła, i w tym domku był tylko jeden dość obszerny pokój. Przenieśliśmy się wszyscy trzej do tego mieszkania. Wkrótce jednak Ruciński dostał jakąś posadę przy gospodarstwie rolnem w pobliżu Częstochowy. Jundziłła zabrała do siebie rodzina, matka z córką, które także przybyły z wygnania. Pozostałem sam jeden. W dalszym ciągu opowiadania wrócę jeszcze do pobytu w tem mieszkaniu.

Na miesiąc może przed wyjazdem z Warszawy zamieszkałem na Lesznie. Zostałem wspóllokatorem nieznanego mi poprzednio akademika. Pokój, w którym mieściliśmy się, był dość obszerny. Wynajmował go nam, biorąc opłatę od każdego zosobna, szewc, który z synkiem swoim i z warsztatem, zajmował drugi poprzedzający mniejszy pokój. Był to wdowiec, lubiący upijać się i niemający widać roboty. Straszna była nędza dokoła niego. Najwięcej cierpiał jego synek, liczący lat sześć, może siedem. Nieszczęśliwa to była istota: potworek fizycznie, idjota, ale przebiegły i pełen instynktów występnych. Kradł i niszczył, co mógł. Ojciec bił go za to niemiłosiernie, a pozostawiał go po całych dniach bez kawałka chleba i w nieopalanej, mroźnej stancji. Nieraz wyrządził mi znaczną szkodę. Litość jednak przemogła wznieconą złość. I nasz pokój, wbrew umowie, pozostał nieopalany. A zima była surowa, mroźna. Woda w naszym pokoju zamarzała. Spaliśmy, przykryci wszystkiem, cośmy posiadali z odzienia. Gdy trzeba było wstawać,

podniecaliśmy się wzajemnie. Umawialiśmy się, że na komendę raz dwa trzy, wyskoczymy z łóżka odrazu. Rozpoczynaliśmy liczenie: raz, dwa następowało dość prędko, ale trzy dawało na siebie czekać.

Nie powiem, ażeby wrażenia, doznawane w Warszawie, były przyjemne. Wprawdzie, było się w kraju ojczystym, wśród swoich, lecz właśnie dlatego odczuwało się niewolę stokroć silniej, aniżeli na wygnaniu.

Wracając z wygnania, urzędownie pozostawaliśmy pod dozorem policji. A przytem, jako pochodzących z Litwy, miano nas formalnie osiedlić w Królestwie. Spisywano więc szczegółowe protokóły, w których nietylko żądano wymienienia rodziców, braci, sióstr, lecz także stryjów, wujów, ciotek. Językiem urzędowym był jeszcze polski. Niższa służba policyjna, jak rewirowi, składała się przeważnie z Polaków i była uprzejma i dosyć życzliwa. O wyższych urzędnikach policyjnych, jak komisarze cyrkułowi, tego powiedzieć nie można. Po spisaniu protokołów, wezwano do złożenia przysięgi. Akt ten odbył się zupełnie formalnie. W pałacu namiestnikowskim przed stołem, na którym znajdował się dużych rozmiarów portret Stanisława Małachowskiego, stanęliśmy w liczbie może dziesięciu. Jakiś urzędnik odczytał szybko rotę przysięgi. Staliśmy w milczeniu. Następnie kazano podpisać swoje nazwiska. I wkrótce wydano nam książeczki legitymacyjne, jako stałym mieszkańcom Warszawy.

Na ulicach nieraz wojskowi i oficerowie brutalnie potrącali a nawet spychali przechodzących z trotuarów. Wieczorami gwałtownie i brutalnie napastowali młode dziewczęta, a tych, co stawali w ich obronie, znieważali i, wezwawszy do pomocy policję, odsyłali do cyrkułów.

Jakkolwiek nie był jeszcze zaprowadzony język rosyjski, jako urzędowy, to Moskale, którzy przejmowali urzędy, usiłowali nieraz narzucić moskiewszczyznę.

Przygnębienie moralne, jakie człowiek odczuwał, powiększało się jeszcze niepewnością dnia jutrzejszego, czy będzie miał co jeść. Nie chciałem korzystać z pomocy, ze składek udzielanej. Bądźcobądź byłem w lepszem od ogromnej liczby eks-wygnańców położeniu. Mogłem mieć coś z domu; miałem

życzliwe osoby, któreby nie odmówiły mi pożyczki. Tymczasem ogromna liczba osób literalnie pozostawała bez żadnych środków. Przyczynili się do tego niektórzy gubernatorowie, przymusowo posyłając wszystkich wygnańców do Warszawy. Dla kilku tysięcy przybyłych, co nie mieli czem opłacić mieszkania, rząd wyznaczył koszary wojskowe w Mokotowie. Formowanie komitetów wspierających nie było dozwolone. Zbieranie składek odbywało się potajemnie. Zajmowały się tem kobiety-patrjotki, które z tego powodu bywały nieraz napastowane przez policję. Ale zawsze ofiarniejszą była ludność mniej zamożna.

Ubodzy ludzie kupowali chleb, dostarczany przez Bank Polski. Był on tańszy i bardzo dobry. Liczba jednak dostarczanych bochenków była ograniczona, więc od wczesnego już ranka gospodynie tworzyły łańcuch, by dostać pożądaną bułkę. Co do mnie, to oszczędność kilku groszy nie powstrzymywała mnie od kupowania chleba u piekarzy, a sprzedawany przez nich chleb żytni wydawał mi się tak smaczny, że zjadałem sporą jego ilość, czem wynagradzałem liche żywienie się pod innym względem. Jadałem obiady najtańsze i to nie codziennie. Czasem zamiast obiadu brałem kawę, która mi szczególnie w niektórych kawiarniach bardzo smakowała.

Dokuczały też częste deszcze jesienne. Człowiek musiał biegać po mieście, poszukując zarobku, a tu lało jak z rynny. Wówczas Żydzi byli zaprowadzili tanie karetki, kursujące po mieście, gdzie za opłatą 10 groszy można było przejechać pewną przestrzeń. Rachowano jeszcze na złote i na grosze. Karetki te, wiezione przez wychudzone konie, wlokły się powoli i z tego powodu jak również dla oszczędności, nie jeździłem niemi. Zdarzało się jednak, że czasami chroniłem się do nich przed ulewą deszczową. Pamiętam, że raz jakiś szlachcic wiejski, wsiadając wraz ze mną do takiej karetki, wykrzyknął rozpaczliwie:

— Dręczą nas Moskale i deszcze nas dręczą.

Doznałem też bolesnego zawodu co do kolegów uniwersyteckich z Dorpatu. Wprawdzie poróżniły mnie z nimi przekonania polityczne, lecz te należały już do przeszłości i miałyżby zniweczyć tak wysławianą dawniej koleżeńskość? Spodziewałem się, że bądźcobądź dopomogą mi radą, wskazówkami, wreszcie stosunkami swemi towarzyskiemi.

Nie wszyscy jednak dorpatczycy okazali zupełny brak koleżeńskości. W tym czasie poznał i zaczepił mnie sam na ulicy Witold Jodko-Narkiewicz (1834—1898), który w tym czasie wykładał okulistykę w Szkole Głównej. Poznałem go był we Wrocławiu. Prosił, ażebym go odwiedził, przyjął mnie życzliwie i przedstawił swojej żonie, córce bogatego kupca rosyjskiego Skworcowa. U niego też byłem na wilji, gdzie widziałem jego synka kilkoletniego, jednego z głównych przywódców późniejszego ruchu socjalistycznego w Polsce.

Podczas mego drugiego pobytu w Warszawie sam się zbliżył do mnie lekarz Zajączkowski, z którym w Dorpacie nie miałem prawie żadnych stosunków, ponieważ należał do Szczegółu. On to wydał mi świadectwo lekarskie, na mocy którego uzyskałem paszport zagraniczny.

Muszę tu dodać, że Jodko i Zajączkowski byli Polakami z Litwy, i pewnie też dlatego koledzy z Moskwy, gdym spotkał się z nimi w późniejszych czasach, okazali więcej serca, bo wszyscy byli litewskiego pochodzenia.

Prawdziwym światem, w którym się żyło, znajdowało współczucie a nawet i pomoc, było koło byłych wygnańców. Wuj Dmochowski, żywiący szczere uczucie rodzinne, wspierał mnie materjalnie i zaznajomił z liczną moją rodziną ze strony matki. Byli to Kurzynieccy, Ordowie, Dmochowscy. Szczególnie kobiety w tych rodzinach serdeczną swą uprzejmością czyniły nader miłe wrażenie. Z pamięci ulotniły się imiona i cechy indywidualne. Przypominam sobie tylko nader miłą staruszkę Ordzinę i dwoje jej wnucząt, małą dziewczynkę i młodszego jej braciszka. Zawsze byłem ucieszony poważnem i opiekuńczem zachowaniem się tej dziewczynki względem swego brata. Dmochowski nietylko mnie, jako swemu krewnemu, pomógł, lecz przez swe stosunki starał się być użytecznym dla wszystkich swych towarzyszy wygnania. Gniewało go, kiedy widział obojętność i pyszałkowatość u niektórych eks-wygnańców względem ubogich swych dawnych towarzyszy. Raz, kiedy szedł z jakimś ubogim rzemieślnikiem, napotkał eleganckiego warszawianina, który był razem z nimi na wygnaniu. Warszawianin ten, nie odkłoniwszy się nawet na powitanie rzemieślnika,

wyciągnął rękę ku Dmochowskiemu z nadskakującą uprzejmością. Dmochowski miał na swych plecach ładny płaszcz futrzany; podał więc rękaw tego płaszcza zamiast swej ręki witającemu go warszawianinowi. Ten stanął stropiony.

— Witasz się z mojem futrem — rzekł Dmochowski — bo mego towarzysza bez futra nie poznajesz.

Z towarzyszy wygnania archangielskiego zastałem w Warszawie: Minakowskiego, Leję, Sykłowskiego, Szubę, Stecką i jeszcze kilku innych, z którymi jednak przelotne miałem tylko stosunki. O Sykłowskim już mówiłem. Szuba, który był w rotach aresztanckich, miał na Nowym Świecie jadalnię, urządzoną na większą skalę. Kiedym go spotkał, zobowiązał mnie, ażebym przyszedł do jego zakładu. Wstąpiłem raz. Nie było jeszcze nikogo z gości i dopiero przygotowywano stoły. Wstąpiłem na chwilę, by się poinformować w jakiejś sprawie, lecz Szuba kazał przynieść befsztyk i kubek piwa i ugościł mnie obficie, oczywiście nie pozwalając mnie mówić o żadnej zapłacie. U Minakowskiego zaciągnąłem drobną pożyczkę, bo jakkolwiek i on nie był kapitalistą, to jednak, wskutek stosunków rodzinnych, zawsze miał przy sobie trochę grosiwa.

Leja zaprosił mnie na obiady w niedziele i zapoznał ze swoją rodziną. Był on urzędnikiem w biurze kolei wiedeńsko- warszawskiej, zarządzanej przez Kronenberga. Żona jego, Emilja (1839—1906), była poetką i autorką książeczek dla dzieci. Zarabiała też jako nauczycielka.

U Leji poznałem Joachima Szyca, którego znałem jako autora geografji starożytnej Polski (Poznań, 1851) i o którym słyszałem już w Archangielsku, albowiem był na wygnaniu w Szenkursku. Szyc był z Leją w legjonach polskich na Węgrzech i pisał nawet o nich (Poznań, 1851).

Poznałem też u Lei Józefa Krzywickiego, z którym częstsze i ściślejsze nawiązały się stosunki. Nieco młodszy odemnie kończył on studja swoje filologiczne, i rozprawa jego magisterska: „O językach Słowian połabskich" pozyskała w świecie naukowym uznanie.

Obracając się w kole byłych wygnańców, poznałem bardzo wiele osób. Dzisiaj najzupełniej utonęły one w głębinach mej



Adam Wiślicki
Warszawa

pamięci. Przeważnie byli to ludzie ubodzy, szukający jakiegokolwiek zarobku. Pomagaliśmy sobie w tem wzajemnie, powiadamiając się, skorośmy się dowiedzieli o jakiem możliwem zajęciu. Najłatwiej mogli zdobyć zarobek umiejący pisać dosyć poprawnie po rosyjsku, a szczególnie ci, co byli już obeznani z praktyką kancelaryjną. W biurach bowiem administracyjnych zaczęto już wprowadzać język rosyjski. Napotykano w tem jednak wielką trudność dla braku dostatecznej liczby znających ten język, zwłaszcza dla pożądanych posad kopistów. Niestety, Litwini, którzy już poprzednio w swym kraju służyli po kancelarjach, łatwo poszli na ten chleb moskiewski. Ja potępiałem to pomaganie wrogom w zamiarach moskwiczenia i wolałem głodować, niż korzystać z tego zarobku.

Podczas mojej gonitwy po mieście za jakimkolwiek zarobkiem, spotkałem razu jednego Lewandowskiego, nie tego co był w Pawłowsku, lecz innego, którego poznałem u wuja. Był to królewiak, właściciel fabryki żelaznych narzędzi, którą rozszerzał i udoskonalał.

— Potrzebuję robotnika do fabryki — rzekł do mnie — mogę tam umieścić kogoś z wygnańców.

— Sam gotów jestem przyjąć robotę w fabryce — odrzekłem.

— Nie, to nie dla pana — mówił — potrzebny jest robotnik terminator, któryby posługiwał innym robotnikom, człowiek prosty, zwykłej pracy.

— Dlaczegoż nie mógłbym i ja spełniać tej czynności.

— Jeżeli pan się decyduje — powiedział Lewandowski — to przychodź pan jutro do fabryki.

Stałem się więc robotnikiem. O ile przypominam sobie, czas roboty rozpoczynał się od godziny 8-ej z rana i trwał do godziny 7-ej wieczorem, z godzinną przerwą na obiad. Punkt o godzinie 8 zrana zamykano fabrykę i kto się spóźnił, mógł dopiero rozpocząć robotę po południu, a pół dnia potrącano, wszakże powtarzające się takie spóźnianie groziło utratą roboty w fabryce.

Zaprzęgnięto mnie do piłowania żelaza, jako podstawowej czynności w robotach nad nim. I przez dwa tygodnie bez przerwy piłowałem żelazo. Była to dla mnie męcząca praca,

męcząca fizycznie i męcząca moralnie swoją monotonnością: stać przez dziesięć godzin na jednem miejscu i kiwać się nad kawałkiem żelaza. Patrząc na innych terminatorów zazdrościłem im. Wprawdzie ich łajano, czasem popychano, ale nie pozostawali wciąż przy jednej i tej samej pracy, wołano ich do pomocy, do obsługi, to tu, to tam. Ja byłem w wyjątkowem, jakby uprzywilejowanem położeniu i ono to przyczyniło się do umęczającej mnie pozycji. Nie tyle mój wiek, polityczny charakter, dawniejsza pozycja socjalna wstrzymywały robotników do zbliżenia się do mnie, ile mój stosunek do pryncypała. Jakkolwiek Lewandowski był także na wygnaniu, miał przekonania bardziej demokratyczne i postępowe od innych pryncypałów, to wszakże zawsze był dla robotników pryncypałem, z którym należy się mieć na ostrożności. Mój zaś stosunek do Lewandowskiego nietylko był stosunkiem do znajomego, lecz przybrał niejako charakter domowy. Stało się to tak.

Pobierałem dziennej płacy jeden złoty. Nie starczyło to na wyżycie. Pierwszego dnia pracy w porze obiadowej posiliłem się gdzieś w taniej jadalni. Na drugi czy na trzeci dzień jeden z robotników zaproponował mi pójść razem z nim tam, gdzie on jada obiad. Było to w pobliżu fabryki w mieszkaniu jednego z robotników, którego żona stołowała pięciu czy sześciu jego kolegów. Wypiliśmy po kieliszku wódki; postawiono na stół wazę z mięsną zupą — kto chciał nabierał z niej dwa razy na talerz — następnie dano kawał mięsa z jarzyną. Chleba jadł każdy, ile chciał. Obiad był smaczny i nasycił. Opłata wynosiła złoty. Poszedłem tam i drugi raz. Podczas obiadu oczywiście rozmawialiśmy o tem i o owem, zbliżenie się więc odbywałoby się w naturalny sposób. Lecz właśnie raz, kiedy przygotowywaliśmy się iść na obiad, był w fabryce Lewandowski i zaprosił mnie do siebie na obiad. Tam przedstawił mnie swojej żonie, a ta zobowiązała mnie, ażebym koniecznie przychodził codziennie na obiady. Podziękowałem, wymawiałem się, ale trudno mi było powiedzieć, że to wzbudzi pewną nieufność robotników ku mnie. Zaproszenie było tak szczere i nalegające, a tak dla mnie korzystne, gdyż złoty zostawał na śniadanie i kolację, że ostatecznie stałem się domownikiem obiadowym.

Po paru tygodniach jednak polepszyło się moje położenie

w fabryce. Oswojono się ze mną, a moje skromne, nienarzucające się zachowanie niweczyło pewną ku mnie nieufność. Coraz częściej odrywano mnie od piłowania ku innym pomocniczym czynnościom. Uważano, żem zrobił znaczne postępy w piłowaniu i że mogę już być używany do innej pracy. Było to dla mnie wielką ulgą. Gdy mnie wołano do podniecania ognia przy kuciu miechem kowalskim, uważałem to za pewnego rodzaju wypoczynek.

Przyzwyczaiłem się zwolna do pracy fabrycznej. To mnie najwięcej bolało, że musiałem się wyrzec wszelkiej pracy umysłowej. Gdy wracałem z fabryki do domu, byłem tak znużony, tak wyczerpany, że jedynym pragnieniem było spocząć na łóżku i wyspać się dobrze. Przez całe sześć dni nie brałem książki do rąk nie czytałem nawet gazet. Dopiero w niedzielę pożywiałem się nieco duchowo.

Przyczyniał się do tego i tryb mego życia. Jak już opowiadałem — współlokatorowie moi, Ruciński i Jundziłł opuścili mię i pozostałem sam w mieszkaniu. Przez czas pewien na podwórzu znajdowały się kaczki w dość znacznej liczbie i dla ich pilnowania oraz także domu był tam starzec, który zaledwie włóczył nogami. Kiedy rozpoczęły się większe zimna, zabrano i starca i kaczki. W obszernej posiadłości pozostałem sam jeden. Fabryka była na Żelaznej ulicy, musiałem więc wyjść z domu co najmniej o wpół do ósmej, a nawet i wcześniej, jeślim chciał się napić kawy lub ciepłego mleka. Wracając z fabryki, zachodziłem do najbliższego sklepiku, kupowałem wiązkę drzewa, miarkę kartofli, chleb, trochę masła i w swym pokoju rozpalałem ogień na kominku, piekłem kartofle, grzałem się i żywiłem. Ogrzawszy się i podjadłszy, kładłem się spać. Dopiero w niedzielę szedłem do kawiarni na gazety i odwiedzałem znajomych.

Razu pewnego, kiedy już miałem zrana wyjść do miasta, i stojąc przed oknem oczyszczałem swoją czamarkę, zdziwionemu memu wzrokowi ukazała się nimfa w postaci młodej dziewczyny.

— Proszę pana — przemówiła do mnie — rewirowy już od pół godziny dzwoni. Prosił mnie, ażebym przelazła przez parkan i zobaczyła czy jest ktoś w domu, czy też niema nikogo.

Była to pokojowa dziewczyna z sąsiedzkiego domu. Dzwonienia słyszeć nie mogłem dla prostej przyczyny, że drut przeciągnięty od bramy do dzwonka był oddawna urwany, i nikt się nie troszczył o naprawę.

— Jak się pan nie obawia tak mieszkać sam? — zapytał rewirowy.

— Goły nie boi się rozboju — odrzekłem.

Widocznie pisząc do Kułakowskiego, wspominałem o swem ciężkiem położeniu, ponieważ w liście jego z Pawłowska z dnia 10 grudnia 1867 r., spotykam następujący ustęp:

„Smutne te wasze dzieje teraźniejsze w Warszawie. Dwa tygodnie pracy ciężkiej nad siły fizyczne, przeciwne usposobieniu ducha. Ale dobrodzieju, obwiniam was o brak rozwagi, bo praca dorywcza ręczna, bez żadnego specjalnego przygotowania, może być tylko fizyczną i bardzo ciężką, więc obwiniam, że łatwiej wam było być nierozważnym, przyjąwszy pracę zabijającą, niż zdecydować się na wyjazd." — Kułakowski, jako światły obywatel, rozumiał wielkie znaczenie pracy narodowej rzemieślnika wykształconego i radził zdecydować się na terminatorstwo trzyletnie w rzemiośle stosownem do sił fizycznych.

Jak długo pracowałem w fabryce, nie przypominam sobie. Miesiąc, może więcej. Prawdopodobnie, pracowałbym dalej, gdyby nie interwencja osób życzliwych. Raz Lewandowski, przyszedłszy do fabryki, wezwał mnie do siebie. Zastałem u niego matkę Stosława Łaguny. Dowiedziawszy się od syna o mojej bytności w Warszawie, zainteresowała się moim losem. Zaagitowała w kółku swych znajomych kobiet i wyszukały mi lekcję dla dwóch chłopczyków u mecenasa Wierzchlejskiego. Porzuciłem fabrykę i przeniosłem się na mieszkanie na ulicę Leszno.

Łagunowa, staruszka, mająca przeszło 50 lat, siwiutka, miała cerę młodocianą, bardzo przyjemną; była ruchliwa dobra, gościnna. O niej córka Kułakowskiego tak się wyraziła jednego razu: — „Mamo, pani Łaguna ma siwe włosy, a taka jeszcze młoda". — Mąż jej staruszek, przeszło 70-letni, emerytowany sędzia z Płocka, przedstawiał bierną stronę w małżeństwie. Lubił dobrze zjeść i pogadać o rozmaitych sprawach. Łagunowie mieli dwóch synów: jeden był w partji i osiadł w Galicji, drugim był Stosław. Ten ostatni był ulubieńcem matki i ktokolwiek miał z nim stosunki, stawał się już przez to dla niej drogim. Stosław pisywał obszerne do niej listy, arcydzieła swego rodzaju, pełne niezwykłego humoru. Matka dawała mi je do odczytywania. Zobowiązała mnie, ażebym przychodził codziennie na obiady, a jeżeli kiedy się spóźniłem, lub jaka przeszkoda mnie zatrzymywała, przysyłała po mnie służącą. Łagunowie mieszkali niedaleko, także na ulicy Leszno. Stary sędzia polubił mnie także i opowiadał mi dzieje swego pobytu i urzędowania w Płocku.

Mówiąc o osobach, z któremi w bliższych pozostawałem stosunkach, nie wymieniłem Falkowskiej i Kosińskiej. Cezaryna Falkowska, matka Kuncewiczowej, była autorką książeczek dla dzieci, osobą bardzo dobrą. Gniewała się na mnie, żem się udał do niej dopiero po paru miesiącach pobytu w Warszawie na prośbę Kuncewicza. Mąż jej szczególną mi okazywał przychylność.

Z Kosińską poznajomił mnie Sykłowski. Zdaje się — była wdową. Była akuszerką, mieszkała na Trębackiej ulicy. W średnim wieku, nieładna, ale i niebrzydka, okrągła i tłuściutka, miała żywy umysł i interesowała się sprawami ogólnego znaczenia. Była czynną w organizacji rewolucyjnej 1863 r. U niej przez czas pewny przebywał Ignacy Chmieleński. I później za moich czasów przebywał u niej jakiś tajemniczy Ignacy, o którym pisała do mnie w Lubelskie, że „jak zawsze jest statuą Komandora". Lubiłem ją i nieraz przychodziłem do niej na herbatkę z serdelkami. Pisząc do mnie w Lubelskie, nazywała mnie braciszkiem.

Ksiądz Juwenalis pisał do mnie, ażebym koniecznie odwiedził jego znajomego czy krewnego — już nie pamiętam — kupca dziczyzny. Raz więc w niedzielę zrana poszedłem do niego. Miał dwie córki młode, ale ani z twarzy ani z rozmowy nie zainteresowały mnie. Gospodarz ugościł mnie sarniną,

Pamiętając o obietnicy, danej H. Schif w Woronežu, poszedłem do Bersohna. Mieszkał u rodziców. Kiedy zadzwoniłem, otworzyła mi jakaś niemłoda kobieta i poprowadziła do sypialnego pokoju, gdzie dwaj młodzi Bersohnowie, bracia, jeszcze byli w łóżku, chociaż już była godzina dziesiąta rano.

Kobieta ta, czy krewna ich czy też niańka, wybeształa ich, że tak do późna pozostają w łóżku. Mówiła do nich po polsku, i ile zauważyć mogłem — w całym domu panował język polski. Bersohn był to ładny młody chłopak. O Helenie — zdaje się — już mało myślał, ponieważ dość obojętnie słuchał tego, com o niej mówił. Nie wiem, czy doszło pomiędzy nimi do małżeństwa.

Znajduję w zbiorze listów dwa od matki z czasów tego mego pobytu w Warszawie. Wprawdzie, ani na jednym ani na drugim niema wymienionego roku, ale z treści należą one do tego okresu. Jeden jest datowany oktobra 7 (star. styl — rok 1867), drugi februarji 21 (star. styl. — rok 1868). Z tych listów widzę, że matka przysłała mi 25 rubli, że braciom wysłała 150 rubli i prosiła siostry, by wysłały tą sumę, obowiązując się ją oddać. Przypominam sobie, że w sprawie tych pieniędzy, które miały posłużyć do założenia handlu w Ojoka, pisała była matka, radząc się, co ma uczynić, ponieważ swobodnie mogła rozporządzać dochodem, na moją tylko część przypadającym, jako nie ulegającym konfiskacie rządowej. Odpisałem mamie, że ponieważ wspólną była sprawa, za którą ucierpieliśmy, więc i jej następstwa muszą być wspólne, a więc pozostała moja część powinna się uważać za wspólną naszą część. Matka administrowała jeszcze całym Podgórzem, ale — jak pisała — „przyszło już potwierdzenie senackie, ażeby nasze części oddzielić, to jest moją, Kamili i twoją". W liście z lutego pisała, że „skarb ocenił cały Podgórz ze wszystkimi folwarkami na 6.000, oto jak mało cenią pracę mozolną naszych przodków i wyzuwają nas gwałtem z naszego władania". Ponieważ pisałem, że wuj chciałby poznać mamę i ciocię, odpowiada na to mama: „my też wszystkie siostry bardzo pragniemy; jeżeli będzie mógł uwolnić się, bylibyśmy radzi, by z tobą przyjechał razem". O sobie pisała, że Aneta Parafjanowiczówna u niej mieszka i mnie „jako siostra ściska". Zaborowskim ciężko i „prawie nie mają czem opłacać podatków". „Córeczka ich hoduje się, tylko tak mizerna, że nie można rokować jej długiego życia", a szkoda, gdyż „byłaby wcale dobra dziewczynka". O Michale Platerze indryckim pisała, że ożenił się z Szyrynówną i mieszka w Krasławiu, a poprzednio mieszkał w Rydze po ożenieniu. Dziwiłowiczówna tobie się kłania, zawsze cię kocha jednostajnie; tego lata miała u siebie gościa na godzin kilka — Stanisława Korsaka z Kostromy, którego rząd znów zwrócił napowrót do Kostromy".

Jak z pewnych okoliczności wnosić mogę, w marcu przyjechał do Warszawy Stefan Kowerski z Lubelskiego, gdzie jego teściowa miała posiadłość ziemską. Ożenił się on na wygnaniu w niżegorodzkiej gubernji w 1865 r. z Zofją Przewłocką, osiemnastoletnią dziewczyną, córką wygnanki tegoż imienia.

Kowerski, odszukawszy mnie i dowiedziawszy się o ciężkich warunkach mego bytu, przemówił do mnie mniej więcej w te słowa:

— Co masz, Bolesławie, ubijać się tu o kawałek chleba, wyczerpywać i marnować swe siły, jedź do nas w Lubelskie. Sąsiadka i powinowata mojej teściowej potrzebuje guwernera, nauczyciela, dla swego chłopaka. O tobie słyszała odemnie i chętnie cię przyjmie. Obecnie przyjechała do Warszawy, zaprowadzę cię do niej i tam się z nią umówisz. Mogę cię zapewnić, że będzie ci tam dobrze. Wypoczniesz, odżywisz się, może uzbierasz trochę grosza, a wówczas możesz wrócić do Warszawy, gdzie tymczasem ułożą się warunki w bardziej normalny sposób, więc łatwiej będziesz mógł wynaleźć odpowiedni sobie rodzaj zajęcia.

Przemówiło to do mego przekonania, a przytem pociągała mnie silnie chęć poznania nowej miejscowości, chęć ta aż do dni dzisiejszych zawsze we mnie była potężna, a to tem bardziej, że to była nieznana mnie część kraju ojczystego, że otwierała się sposobność do zaznajomienia się z miejscowemi warunkami życia wiejskiego.

Przed wyjazdem byłem u znajomego szewca, z którym nieraz rozmawiałem o naszych sprawach. Oddałem mu buty do reparacji. Widząc, że i na nogach mam buty dziurawe, zaproponował zrobić nowe.

— Kiedy nie mam pieniędzy — odrzekłem.

— No, to skoro je otrzymasz, odeślesz mi pan należność.

Był to szewc patrjota i zrobił mi tę dogodność, jako byłemu wygnańcowi.

Na wyjazd z Warszawy dostałem paszport miesięczny i czerwony, to jest taki, jaki dawano znajdującym się pod dozorem

policyjnym. Wziąłem miejsce w kurjerce, która kursowała pomiędzy Warszawą i Lublinem. Przy rogatce spuszczono barjerę i kazano wysiąść wszystkim pasażerom. Było tam więcej wozów i powozów, tak że liczba jadących była znaczna. Z wartowni wyszedł oficer z kilku uzbrojonymi żołnierzami i kazał wszystkim podnieść do góry swoje paszporty. Z pewnym zdziwieniem ujrzałem sporo czerwonych paszportów. Oddzielono je, spisano nazwiska, wreszcie oddano je nam, podniesiono barjerę i pozwolono jechać dalej.

Dozór policyjny miał trwać dwa lata. Po przyjeździe na miejsce, gdy się skończył termin paszportu, udałem się do zarządu gminnego, złożyłem wydany poprzednio i zażądałem wydania nowego. Gdy przez kilka miesięcy nie otrzymywałem paszportu, kiedyś w Bychawie, zaszedłem do gminy, by się o niego upomnieć. W gminach wówczas urzędowano jeszcze po polsku, a sekretarzem gminnym był tam młody człowiek, nazwiskiem Maj, mający dobrą opinję, a — jak mówiono — nawet były powstaniec. Maj okazywał mi wiele życzliwości.

— Niech się pan nie niepokoi — powiedział — paszport pański wysłałem swego czasu do Warszawy, sprawę więc uregulowałem, a im dłużej zwlekać będą z wysłaniem paszportu z Warszawy, tem mniej wypadnie panu zapłacić.

I istotnie przez rok zapłaciłem tylko za dwa miesiące. Kiedy przysłano nowy paszport z datą wystawienia o kilka tygodni wcześniejszą, musiałem coś po tygodniu złożyć go znowu w gminie. I znowu po kilku miesiącach przysłano mi nowy, ale tym razem roczny i biały. Później dowiedziałem się, że to skrócenie przeciągu czasu dozoru policyjnego wynikło ze względu na Żydów. Z powodu ciągłych ich przejazdów, tyle miano kłopotów z wydawanemi im czerwonemi paszportami, że postanowiono skrócić czas dozoru policyjnego.

Wrażeń z jazdy do Lublina nie przypominam sobie. W Lublinie już czekały na mnie konie. Musiała to być pora roztopów wiosennych, bo w jednem miejscu ugrzęźliśmy i trzeba było szukać pomocy w pobliskiej wiosce.

Posiadłością Koźmianowej, u której miałem sprawować obowiązki nauczyciela domowego, był Gałęzów, odległy o jakie półgodziny jazdy od miasteczka Bychawy, gdzie znajdował się

kościół parafjalny. W Bychawie — jak już wspominałem — mieszkał Zygmunt Sarnecki, a w dobrach jego zarządcą był Stefan Kowerski.

Droga do Bychawy opuszczała się do parowu i biegła w pobliżu małej rzeczki, niemal strumienia, Samicy. Z prawej strony na wzgórzu znajdowała się wieś, dalej widać było czworaki dworskie i wreszcie z poza drzew przeglądał dwór gałęzowski.

Dom w Gałęzowie był drewniany. Z obszernej sieni na prawo prowadziły drzwi do pokoju jadalnego i do dalszych pokojów, na lewo — do dużego pokoju o trzech oknach, który mi wyznaczono na mieszkanie i w którym odbywać się miała nauka. Koźmianowa chciała była umieścić w tym pokoju i syna swego Władka, ale siostra jej Melanja sprzeciwiła się temu. I ja w głębi ducha byłem z tego zadowolony. Dwa okna pokoju wychodziły na dziedziniec, a jedno na ogród. W tym ogrodzie najczęściej przepędzałem chwile wypoczynku, zwłaszcza była tam jedna droga, ocieniona z jednej strony lipami, po której całemi godzinami chodziłem, snując myśli o kierunku badań społecznych, lub marząc o przyszłości. Na lewo od domu w dość szerokim parowie znajdował się staw, zasilany potokiem Samicy, a poza stawem wzgórze, porosłe krzakami i drzewami, zamienione w park spacerowy z dróżkami i altaną. Rzadko jednak tam chodziłem i to prawie zawsze albo w towarzystwie mego ucznia albo też w jakiem innem towarzystwie.

Kosińska w liście swoim pisała, żem skreślił sielankę z mego pobytu w Gałęzowie. Istotnie, ten okres prawie półtora roku (1868 i część 1869), który tam przebyłem, mogę uważać za sielankę w mem życiu. W ciszy wiejskiej, nie widując władz najezdniczych, wolny od dobijania się o kawałek chleba, uważany raczej za przyjaciela i domownika, aniżeli za płatnego nauczyciela, odetchnąłem swobodniej ojczystem powietrzem i życie zabarwiło się miłem uczuciem.

Marja Koźmianowa miała dwóch synów: starszy Wicek znajdował się w Poznaniu w konwikcie księdza Jana Koźmiana; młodszy Władek, mój uczeń, mógł mieć dziewięć do dziesięciu lat. Był to chłopiec dobry, ale pieszczony i ciągle psuty przez swoją ciocię, ciostrę Koźmianowej, starą pannę Melanję. Napychała go pyszałkowatością ze szlachectwa i mienia, a pie-

szczotami i wymaganiami uczyniła go kapryśnym i upartym. Koźmianowa chciała go była oddać całkowicie pod moją opiekę, lecz ciocia oparła się temu, bo nie chciała się rozstać ze swoim pieszczochem. Nocował więc obok jej pokoju, dawała mu lekcje religji i uczyła języka francuskiego, chociaż co do tego nie jestem pewny, a przytem przerabiała z nim zadane przezemnie lekcje. Było to wielkie ułatwienie dla mnie, bo pozostawiało mi dużo swobodnego czasu, ale Władkowi nie wychodziło to na pożytek. Kochał on ciotkę i ona go całą duszą kochała, ale mimo to wzajemnie siebie dręczyli. Władek, zniecierpliwiony jej wymaganiami, kaprysił, buntował się, ona płakała, nie wiedziała, co począć i przybiegała do mnie, bym poskromił chłopca. Moje położenie było trudne. Zabierałem chłopca do siebie, upominałem go, że męczy, krzywdzi swoją ciocię, dawałem mu coś do roboty, wreszcie, wytrzymawszy go jakąś godzinę, siedzącego z uporem bezczynnie, pozwalałem mu iść bawić się.

Koźmianowa miała lat ze 40. W każdym razie była starsza odemnie, chociaż i ja miałem już lat 33. Cera jej wszakże była świeża, w ciemnym i bujnym warkoczu jej włosów ledwie dostrzegało się srebrne nici. Była wdową. Siostra jej, Melanja, była młodszą od niej — jak się zdaje — chociaż wyglądała starzej. Nie była ładna. Obie były patrjotki, dobrego serca, dość oczytane. Okazywały mi wiele życzliwości. Biedna to była skądinąd kobieta: umęczona kłopotami pieniężnemi, Gałęzów był dobrze zadłużony, dosyć często jeździła do Lublina, poszukując gotówki, a każdą taką podróż prawie zawsze odchorowała przez kilka dni silną migreną.

Najbliższymi domownikami naszymi byli: kucharz i zarazem lokaj, Antoni, człowiek uczciwy i dobry Polak, który odrazu wziął mnie w swoją opiekę, później pozyskałem go sobie jeszcze bardziej, ponieważ uczyłem jego synów; pokojowa starsza, nieładna dziewczyna, cicha, pracowita, mało udzielająca się; wreszcie młodsza służąca, Marysia, młoda dziewczynka wiejska o dość pospolitym wyglądzie.

Zwykły rozkład dnia był następujący: dopóki można było się kąpać, wnet po obudzeniu się szedłem do stawu, gdzie była urządzona łazienka. Po powrocie przynoszono mi kawę. Następnie coś pisałem. O dziesiątej przychodził Władzio. Pracowałem z nim do godziny 12. Później była przekąska: kieliszek wódki, chleb z masłem, śliwki suszone z kminkiem. Następnie z Władziem szliśmy gimnastykować się, to był już mój pomysł. W ogrodzie urządzono (wzorem tego, co był urządził Cieński w Archangielsku) dwa sznury z kółkami przywiązane do belki opartej na dwóch słupach. Władek nie bardzo chętnie gimnastykował się i można powiedzieć, że ja najwięcej korzystałem z tego urządzenia, tak że pozostawały mi aż do późnych lat odciski pod palcami u rąk. Następnie, czekając na obiad, przechadzałem się po ogrodzie, obmyślając zwykle to, co na drugi dzień miałem pisać. Po obiedzie, który zwykle przypadał pomiędzy pierwszą a drugą godziną, czytałem gazety, coś nowego, przechadzałem się — czasem z Władkiem — chociaż niebardzo chętnie odbywał on te przechadzki, później znowu parę godzin zajmowałem się Władkiem, — często mniej, gdyż ciocia Melanja trzymała go przy sobie — i znowu chodziłem po ogrodzie, rozmyślając o tem lub owem, a jeszcze częściej ulatując wdal marzeniami. Przy herbacie wieczornej miałem większy apetyt niż przy obiedzie i żywiej toczyła się rozmowa. Następnie czytałem obu paniom coś głośno. Władek zwykle leżał już w łóżku. I tak przeczytałem wszystkie utwory Słowackiego. Panie były zadowolone z mego czytania: Koźmianowa mówiła, że się upaja muzyką wiersza Słowackiego. Później u siebie w pokoju przy lampie jeszcze cośniecoś czytałem, zaczem sen poczynał sklejać mi powieki.

Najbliższem sąsiedztwem Gałęzowa była Wola Gełęzowska, pozostająca z nim w częstych i jakby rodzinnych stosunkach. Wola Gałęzowska leżała także na prawem wzgórzu tego samego wąwozu, nieco dalej od Bychawy. Letnią porą często chodziliśmy tam pieszo. Ponieważ dla uniknięcia kurzu, powodowanego jazdą fur chłopskich, skracaliśmy sobie drogę przez łąkę poza Samicą, przechadzka ta piesza trwała może z jaki kwadrans. Dwór w Woli Gałęzowskiej miał okazalszy nieco wygląd od Gałęzowa: dom większy, obszerniejszy, z pięterkiem nadbudowanem. Było w nim rojno i gwarno.

Główną osobą, dokoła której skupiało się całe życie we dworze, była matka żony Kowerskiego. Z domu Koźmianówna, wdo-

wa po Przewłockim, poślubiła następnie Goniewskiego. Patrjotka, w dość wysokim stopniu wykształcona, artystycznie grająca na fortepianie, utworzyła w swym domu rodzaj pensjonatu, przygotowującego panny do zawodu nauczycielki. Zawsze więc tam było liczne towarzystwo.

Goniewski, jakkolwiek miał własną posiadłość, Sobieską Wolę, mieszkał stale z żoną w Gałęzowskiej Woli. Było to dobrane małżeństwo. W zachowaniu się swojem Goniewski okazywał wiele serdeczności, bliscy jego krewni posądzali go o obłudę, co do mnie, nie miałem żadnych powodów wątpić o jego szczerości. Był to gorący patrjota, demokratycznych przekonań wszechstronnie wykształcony poeta. Uczęszczał na uniwersytet we Wrocławiu, przesiedział rok w Cytadeli za znalezioną u niego zakazaną książkę. Sądzę, że musiał należeć do organizacji narodowej w 1863 r. W Gałęzowskiej Woli był osobą bierną, może nieco pomagał w zarządzie gospodarstwem, lecz prawie zawsze zastawałem go we własnym pokoju, gdzie czytał i pisał. Dramat o Konarskim, napisany przez niego, drukowano w późniejszych latach — zdaje się — po śmierci jego, w Poznaniu. Przetłumaczył on także „Don Karlosa" — Szyllera i czytał mi niektóre ustępy. Styl był gładki, wiersz dźwięczny. Jak już to słyszałem z ust Nieronowa, miał duże kłopoty z wierzycielami, a kiedyś zatrzymano mu w Lublinie powóz z końmi. W Lublinie mieszkała jego matka. Po śmierci jej, która nastąpiła już znacznie później po moim wyjeździe, otrzymał w spadku pieniądze. Nadto znalazł się ktoś — czy to jego krewny, czy też jego przyjaciel — który objął Sobieską Wolę w długoletnią dzierżawę, pospłacał jej wierzycieli, podniósł w niej gospodarstwo i pomnożył dochody. Dzięki temu przed śmiercią Goniewski był już zamożnym szlachcicem.

Przewłocka, secundo voto Goniewska miała czworo dzieci: Kowerską, syna Stanisława — studenta Szkoły Głównej w Warszawie, Kocia (Konstantego, imię to samo — ile przypominam — nosił także Goniewski), wreszcie Maniusię.

Kowerska była już także matką, miała podobno miłego chłopczyka Hutka, nazwanego tak, ponieważ on sam wymawiał w ten sposób spieszczone swoje imię: Stefutek. Była jeszcze młodości niemal dziewczęcej, miłej powierzchowności. Francuskim językiem władała równie dobrze jak i polskim. Uczyła się także angielskiego języka, a Koźmianowa żartowała z niej, że, smażąc konfitury lub w inny sposób pomagając matce w gospodarstwie, równocześnie czytała powieści angielskie. W późniejszym czasie, już za mojej bytności zagranicą, zaczęła sama pisać powieści.

Z synem, który przyjeżdżał tylko na święta Wielkanocne, Bożego Narodzenia, oraz na wakacje letnie, nie zawarłem bliższej znajomości; wydawało mi się, że podzielał bardziej postępowe, demokratyczne przekonania. Wogóle spodziewano się, że stanie się pożytecznym obywatelem. Niestety podczas letnich wakacji zginął w sposób tragiczny. Wróciwszy z polowania, bawił się z młodymi psami na dziedzińcu. Kolbą strzelby nabitej odpychał cisnące się ku niemu pieski. Jeden z nich zaczepił za cyngiel, padł strzał, który trafił w piersi Stanisława. Matka rozpaczała. Pochowano go przy licznym współudziale sąsiedztwa i włościan miejscowych. „Tygodnik Ilustrowany" umieścił kilka słów wspomnienia o nim.

Kocio, w wieku mniej więcej Władka, był dobrym i zdolnym chłopakiem. Odziedziczył po matce muzykalność i grał artystycznie. W późniejszym czasie był poważany wśród szlachty miejscowej, został wybrany na dyrektora Towarzystwa Kredytowego w Lublinie, a później na członka Rady Państwa w Petersburgu.

Mania, dziewczynka może ośmioletnia, ruchliwa, z oczkami bystremi, ciekawa, naiwna, szczera w przejawie swych uczuć, była moją faworytką. Z upodobaniem patrzyłem na jej poważną twarzyczkę. Z powagą też dopytywała się o rzeczy, które nieraz wprowadzały starszych w kłopot. Jaś Kowerski, chłopiec może trzynastoletni, przekomarzał się z nią, ona niby się gniewała, lecz go lubiła i najczęściej do niego się zwracała. Pamiętam jak kiedyś, gdyśmy siedzieli przy herbacie, podbiegła do Jasia z zapytaniem: co to takiego telegraf?

Jaś, oblizując się językiem po ustach — było to jego nawyknienie, — i machając rękami, zaczął jej tłumaczyć:

— Widzisz, to taki drut długi u góry, wyobraź sobie od Woli Gałęzowskiej do Bychawy — rozumiesz?

— Rozumiem.

— Ot widzisz, ja zawieszę buty na tym drucie tu w Woli Gałęzowskiej, dmuchnę, a one są już w Bychawie.

— Co ty, Jasiu, — ozwał się Goniewski — bałamucisz jej w głowie, prawiąc takie bujdy.

Mania pobiegła do Goniewskiego, oparła się łokciami o jego kolana i zwróciła się do niego:

— Niechże ojczulek powie: co to telegraf?

Ten chciał dać jej naukowe wyjaśnienie o ile można w przystępnej formie. Słuchała go uważnie z rozszerzonemi oczami. Wstrząsnęła wreszcie główką i pobiegła znowu do Jasia, mówiąc: Jaś to lepiej tłumaczy.

Wyszła ona w późniejszym czasie zamąż za Świdę, mającego posiadłości w Lubelskiem koło Janowa.

Jaś Kowerski, syn pierwszej żony Stefana, był ruchliwy, rozmowny i inteligentny chłopak. Okazywał macosze wielkie przywiązanie. Wśród dzieci przewodził. Miał wrodzoną zdolność do opowiadania.

Do mieszkanek Woli Gałęzowskiej należały także dwie bratanice Goniewskiego: Karolina i Marynka. Młodsza, Marynka, była jeszcze podlotkiem. W późniejszych czasach, gdy owdowiałem została moją żoną.

Oprócz wymienionych, zawsze było w Woli Gałęzowskiej kilka obcych osób, które tam przebywały dla nauki.

Ponieważ od nauczycielek wymagano przedewszystkiem dobrej znajomości języka francuskiego i gry na fortepianie, więc była też i nauczycielka Francuzka. Gry na fortepianie uczyła sama Przewłocka.

Kiedym przyjechał do Gałęzowa, nauczycielką Francuską była panna Ouberdon, nieładna ale wszechstronnie wykształcona, miła i poważna osoba. Dość często z nią rozmawiałem, i nietylko o sprawach potocznych lecz i kwestjach naukowych. Gdy w rozmowie popełniłem ważniejszy błąd językowy, poprawiała mnie i mogę powiedzieć, że podczas pobytu w Gałęzowie wiele skorzystałem z francuszczyzny..

We dworze w Woli Gałęzowskiej mieszkali jeszcze Stryjeńscy: generałowa, poważna matrona, która miała sporą własną bibljoteczkę, i jej brat Piotr, dobry i poczciwy staruszek, przedstawiający przeżyte już formy ugrzecznienia.

Wkrótce, po moim przyjeździe do Gałęzowa, przyjechali także z Lublina Koźmianowie: Aleksander, brat męża Gałęzowskiej Koźmianowej, jego żona i córka Frania ze swoją nauczycielką Francuską. Bawili w Gałęzowie parę tygodni. Aleksander Koźmian, oficer byłego wojska polskiego, ociemniały wskutek rozpościerającej się katarakty, którą zdjęto następnie w Warszawie, często zachodził do mnie na pogawędkę. Żona jego, poważna, wszechstronnie wykształcona, oczytana, przypominała swojem zachowaniem się moją ciocię Karolinę. Z przekonań była konserwatystką, lgnęła do arystokracji, unosiła się nad pismami Stanisława hr. Tarnowskiego, który podówczas rozpoczynał swoją literacko-krytyczną działalność. Lubiła rozprawiać i pomimo swych demokratycznych opinji miałem pewne u niej względy. Frania nie była pięknością, lecz miała miłą, pełną wdzięku twarzyczkę i figurkę. Ruchliwa, napełniała cały dom swoją śpiewnością.

Pedagogiczny zawód nie odpowiadał ani memu upodobaniu, ani memu usposobieniu. Przyjąwszy jednak zobowiązanie, starałem się, o ile można, z pożytkiem dla uczniów je spełniać. Władzio jąkał się, więc Koźmianowa prosiła mnie, ażebym, o ile to możliwe, pozbawił go tej wady, albo przynajmniej ją zmniejszył. W tym celu zapoznałem się z odpowiedniemi wskazówkami pedagogicznemi i o ile sobie przypominam, zastosowanie ich sprowadziło w pewnej mierze dobry skutek. Nauka odbywała się w języku polskim. Starałem się, by dobrze rozumiał, czego się uczył. Nadto rozwijałem w nim uczucie patrjotyczne, szczególnie ucząc go, wierszy patrjotycznych, i zasiewałem myśli demokratyczne.

W Woli Gałęzowskiej miałem także dwa razy tygodniowo po parę godzin nauczania. O ile sobie przypominam, płacono pięć rubli miesięcznie. Uczyłem Jasia i Kocia łaciny i wykładałem fizykę wspólnie dla nich i dla panien. Tłumaczyliśmy Cezara — „De bello Gallico". Sprowadziłem z Warszawy dosłowne tłumaczenie niemieckie ze szczegółowemi i dokładnemi komentarzami gramatycznemi, co wielce ułatwiało mi nauczanie. Co do fizyki, to oprócz „Księgi Przyrody" — Schoedlera miałem do pomocy popularną obszerną Fizykę — Guillemin'a we francuskim języku z licznemi i pięknemi rycinami. Książkę

tę, świeżo wydaną, chwaloną i kosztowną, sprowadziłem także przez pośrednictwo księgarni warszawskiej. Na rycinach jej objaśniałem przyrządy i doświadczenia, niemożliwe do okazania z powodu braku potrzebnych przyrządów. Niektóre jednak doświadczenia, które można było wykonać prostemi środkami robiłem — niezawsze zręcznie. Mogę wszakże stwierdzić, że z ciekawością przysłuchiwano się moim wykładom.

Podczas mego pobytu w Gałęzowie sporo pisałem i czytałem. Kontynuowałem chwilowo przerwane pisanie mojej socjologji. W pozostałych kajetach z tego czasu widzę, że większą ich część napisałem w Gałęzowie. Tytuły rozdziałów, które zaprzątały tam mój umysł, były następujące: Rodzina; Dziedzictwo i dziedziczenie; Opieka nad dziećmi, Czynniki ludzkiego postępowania; Moralność jej znaczenie, źródła i wpływ; Współzawodnictwo i wspólność. W późniejszym czasie, będąc w Warszawie, przeczytałem z tej pisaniny parę ustępów Szląskowskiemu. Podobały mu się i radził, ażebym je częściami oddawał do druku. Nie śpieszyłem się z tem jednak i słusznie. Potrzebna była podstawa poważniejszych studjów, lecz w każdym razie wyjaśniłem sobie niejedno, nagromadziłem sporo faktów i utorowałem drogę do ściślejszego badania.

Czytanie moje nie było uregulowane podług przyjętego zgóry systemu i skierowane ku pewnemu oznaczonemu przedmiotowi. Czytałem wszystko, co było pod ręką. Sam mogłem sprowadzić tylko kilka książek. Zaprenumerowałem „Przegląd Tygodniowy", który wkrótce po powstaniu zaczął wychodzić pod redakcją Adama Wiślickiego. Podobało mi się to wydawnictwo z tego powodu, że wśród martwości innych pism wykazywał stosunkowo największą ruchliwość i żywotność. Oprócz wyżej wymienionych książek, które potrzebne mi były jako pomoce naukowe, sprowadziłem jeszcze z Warszawy pierwszy tom, który mnie tylko przysłano, Supińskiego — „Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego", drugi tom Buckle'a w tłumaczeniu Zawadzkiego, Milla — w tłumaczeniu francuskiem: „Auguste Comte et le positivisme", parę broszur socjalistycznych, oraz „Patologję i Terapję" Niemeyer'a w tłumaczeniu francuskiem. Tę ostatnią książkę sprowadziłem dla użytku praktycznego, o czem jeszcze opowiem.

Gałęzów nie był zasobny w książki. Wszakże i tu znalazłem „Wielką Encyklopedję" Orgelbranda, wprawdzie niekompletną z której wiele korzystałem. Zeszyt o Słowianach sam sprowadziłem z Warszawy. W Gałęzowskiej Woli natomiast było sporo dobrych książek. Byli to pisarze francuscy z XVIII stul. w starych wydaniach. Czytałem więc Voltaire'a — Kamila Desmoulins'a i Buffona. „Historja rewolucji francuskiej" Mignet'a odkryła mi całą jej doniosłość. Czytałem Ruhliére'a i dzieła Szajnochy. Znalazłem roczniki „Revue des deux mondes" i lwowski „Dziennik literacki". Prenumerowano tam dziennik „Le Temps", „Wędrowca" i „Tygodnik Ilustrowany". Wreszcie dostawano tam niektóre wydawnictwa patrjotyczne, z których największe wrażenie robiły „Rachunki" — Kraszewskiego.

Nie ograniczyłem się jednak do samego pisania socjologji, ciągnęło mnie, by wypowiadać swoje myśli, swe przekonania drukowanem słowem. Stałem się więc nieproszonym i niedziękowanym współpracownikiem „Przeglądu Tygodniowego". O ile przypominam sobie, pierwszy artykulik, który wysłałem do tego pisma, był w sprawie równouprawnienia kobiet. Popierał on przewodnią myśl drukowanych w temże piśmie listów Wandy, pod którem to imieniem — jak się dowiedziałem później — występował Walery Przyborowski. W artykuliku tym przytoczyłem ważne i ciekawe fakty, zaczerpnięte z dzieła Ernesta Legouvé — „Histoire morale des femmes". Zdaje się, że podpisałem mój artykulik pseudonimem: Janko Płakoń. Z niewiadomych powodów, Wiślicki pozostawił w podpisie tylko dwie początkowe litery: J. P. To mnie skłoniło, że pod późniejszemi artykulikami stawiałem litery własnego imienia i nazwiska. B. L. Następnie streściłem napisany przez Laboulaye'go w „Le Tems" życiorys Domingo Faustino Sarmiento, który, w przekonaniu, że oświata ludu jest główną podstawą wolności i postępu, pracował w tym kierunku wśród bardzo nieprzyjaznych warunków i praca jego nie była daremna. Artykuł ten został wydrukowany w Nr. 37 z 1868 r., a nadto został powtórzony w dziele „Własna Pomoc" — Smiles'a. Posłałem też artykulik o odkryciu kości wielkich jaszczurów, na podstawie fejletonu z dziennika „Temps". Dalej obszerny artykuł o pozytywizmie Augusta Comte'a, jako sprawozdanie z dzieła Milla:

„Auguste Comte et le positivisme". Byłby to pierwszy w polskim języku ważniejszy o tym przedmiocie artykuł, gdyby mnie nieco nie uprzedził ksiądz Krupiński w „Bibljotece Warszawskiej". Wysyłając moje sprawozdanie, nie wiedziałem o tem, że podobnej treści artykuł się był pojawił. Opisałem też ludowy obchód zaręczyn i wesela, jakiemu się przypatrywałem w Gałęzowie przy wyjściu Marysi zamąż. Wiślicki wydrukował ten opis w kalendarzu, „Przeglądu Tygodniowego".

Nie te wszakże artykuły zwróciły na mnie uwagę, jako na nową siłę na polu piśmiennictwa przybywającą. Uczyniły to moje oceny powieści „Augusty" — Morzkowskiej, „Nepisa" — Zacharjasiewicza i jakiejś powieści (tytułu nie pamiętam) Bortkiewicza. Zwłaszcza ocena powieści Morzkowskiej — jak się dowiedziałem później — sprawiła pewne wrażenie. Zająłem bowiem stanowisko odmienne od innych krytyków. Poszedłem za wzorem Dobrolubowa. Rozprawiałem się nie tyle z autorem, ile z osobami przezeń wyprowadzonemi. Chodziło mi przedewszystkiem o psychiczną i społeczną prawdę, nie zaś o estetykę, a najmniej o stylistykę, w dziedzinie której sam nie czułem się dość silny, aby innym czynić zarzuty. Możność wypowiadania swych myśli i przekonań w ocenach powieści pociągała mnie ku temu rodzajowi piśmiennictwa i był czas w Warszawie, kiedy chciałem głównie w tym kierunku koncentrować swą czynność piśmienniczą.

I sama twórczość powieściowa pociągała mnie ku sobie. Napisałem dwa obrazki: jeden z myślą socjalistyczną, drugi fantastyczny. Pierwszy obrazek pod tytułem: „Z pamiętnika nauczyciela" (tytułu dobrze nie pamiętam) został w 1891 r. wydrukowany w Książce zbiorowej z powodu jubileuszu Orzeszkowej wydanej. Drugi obrazek pt. „Sen" gdzieś zaginął .

Zamierzałem także napisać utwór dramatyczny, biorąc za temat życie Emilji Platerówny. Ułożyłem treść na pięć aktów, i zacząłem był opracowywać oddzielne sceny. Wykończyłem rozprawę o wzajemnym stosunku moralności i wiedzy, co zacząłem był już pisać w Archangielsku, przeznaczając to do „Bibljoteki Warszawskiej". Wreszcie wysłałem parę artykulików — ile przypominam sobie — do „Kurjera Warszawskiego", który prenumerowano w Gałęzowie. W jednym wykazy-

wałem z demokratycznego punktu widzenia niewłaściwości wychwalania zwyczaju całowania rączek, co był uczynił „Tygodnik Ilustrowany", a w drugim przedstawiałem potrzebę zakładania łazienek dla ludu.

Oprócz tych zajęć, wracałem do praktyki lekarskiej. I Koźmianowa i Goniewska udzielały rady lekarskiej proszącym o to włościanom, zwłaszcza swoim parobkom, i miały nawet domowe apteczki z najbardziej używanymi lekami, jak olejek rycynusowy, emetyk, rumianek, kwiat lipowy i t.p . Koźmianowa, dowiedziawszy się, żem studjował medycynę, odsyłała do mnie zgłaszających się o poradę, Goniewska robiła to w tych wypadkach, kiedy sama nie miała pewności, co począć należy. Wreszcie i Żydzi z Bychawy czasem zgłaszali się do mnie. Z książek lekarskich pozostały mi „Terapja" Richtera i zbiór recept lekarzy znakomitych. To nie wystarczało, sprowadziłem więc dzieło Niemeyer'a, które miało w tym czasie ogromny rozgłos w tłumaczeniu francuskiem, i przestudjowałem je.

Pierwsza jesień w Gałęzowie, to jest w 1868 r. utkwiła mi w pamięci swoim niezwykłym — przynajmniej dla mnie — wyglądem przyrody. Była to jesień bardzo łagodna i przeciągnęła się niemal do świąt Bożego Narodzenia. Niezwykły wygląd polegał na tem, że drzewa zachowywały długo liście, ale te były koloru żółtego, pomarańczowego, czerwonego. W grudniu niektóre drzewa zaczęły kwitnąć. Za to w lutym 1869 r. srogie nastąpiły mrozy. Pamiętam, że wypadło mi pojechać do Bychawy. Koźmianowa dała mi olbrzymie futro niedźwiedzie, pozostałe po mężu, które od mego oddechu na kołnierzu i u góry okryło się gęstym szronem.

Jak już mówiłem, pobyt w Gałęzowie należał do przyjemnych chwil życia. Częste stosunki z Wolą Gałęzowską głównie na to wpływały. Tam było ludno i gwarno. Urządzano dość często tańce, i ja do nich należałem, wprawdzie jedynie do kontredansa. Brał też udział w tym tańcu i Stryjeński, który wykonywał wszystko dokładnie po dawnemu. Sprawiało pocieszny widok, jak ten staruszek posuwał się w podskokach i jak oddawał ugrzecznione ukłony. Szczególnie podczas świąt i imienin wesoło czas przepędzano. Dwa razy urządzono teatr amatorski i w obu wypadkach brałem w nim udział. Pierwszy raz graliśmy w Wo-

li Gałęzowskiej: „Zawieruchę“ — Koziebrodzkiego. Pamiętam, że w pierwszej scenie występowaliśmy: ja i Kowerski. Ja nauczyłem się roli, lecz Kowerski wcale jej nie umiał, a sufler był tak źle umieszczony, że nic nie mógł mu dopomóc. Na moje pytanie, Kowerski dał odpowiedź, która zmusiła i mnie do zmiany całego toku rozmowy. Rozmawialiśmy więc po swojemu, nie stosując się do słów autora. Nie spostrzeżono jednak tego, i wyszliśmy zwycięsko. Drugi raz graliśmy w Gałęzowie sztuczkę francuską, w której występowałem w roli kochanka i podobno okazałem wcale niezłe zdolności aktorskie.

Oprócz częstych odwiedzin z Woli Gałęzowskiej, rzadko kto inny bywał w Gałęzowie. Byli parę razy Koźmianowie z Lublina, przyjeżdżały z Kujaw siostry Koźmianowej, wreszcie kilka krótkich wizyt najbliższych sąsiadów. Kilka dni, a może tydzień używał wsi zaproszony z Warszawy muzyk Noskowski, który później doszedł do znacznej sławy. Był mniej więcej w tym samym wieku co i ja. Koźmianowa poleciła go moim względom, ażebym go bawił. Nie wywiązał się jednak bliższy między nami stosunek. On był gorącym towiańczykiem, wreszcie prawdopodobnie uważał siebie za o wiele wyższego. Mnie zaś talent muzyczny mógł się podobać, lecz nigdy imponować, a co do towianizmu nie ukrywałem swego zapatrywania się.

Muszę tu wspomnieć o jednem dość licznem zebraniu, na którem niespodziewanie odegrałem większą rolę. Koźmianowa, pozostając w ciągłych kłopotach pieniężnych, wynurzyła się z zamiarem sprzedania Gałęzowa. Z kilku miejsc więc nadeszły oświadczenia o gotowości wejścia w układy. W tym celu zaprosiła ona zgłaszających się, by przybyli w pewnym dniu do Gałęzowa. Przyjechało kilku szlachciców. Podczas obiadu mówiono o sprawach gospodarskich, o złym stanie interesów większych posiadłości i powoli zeszła rozmowa na powstanie 63 r. Szlachcice nie krępowali się i nietylko potępiali powstanie, ale ich uczęstnikom zaczęli przypisywać chęć obłowienia się na własną korzyść. Zakipiało we mnie wszystko i wyrwały się z piersi ostre słowa. Sens ich był mniej więcej taki: siedzieliście podczas powstania za piecem — to wasza sprawa, ale trzeba być nikczemnym, ażeby spotwarzać tych, co nieśli swe życie na śmierć i męki dla sprawy wolności swego narodu. To moje

odezwanie się było jak piorun, który padł na szlachciców z jasnego nieba. Zapanowało zdumienie i milczenie. Widziałem, że i Koźmianowa mocno była niezadowolona. Po niejakim czasie zaczęto się usprawiedliwiać i stosunek do mnie szlachciców ogromnie się zmienił. Przedtem nikt nie zwracał na mnie uwagi: guwerner — niewielka osoba. Po obiedzie wszyscy podchodzili do mnie, tłumaczyli się, że współczuli powstaniu, że wspierali je podług możności i t.d. „Może to jaki komisarz tajnie egzystującego Rządu Narodowego“ — mogli myśleć w duchu. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Koźmianowa, widząc to, podziękowała mi nawet, że zgromiłem szlachciców.

Do Bychawy jeździłem dość często ze wszystkimi do kościoła i kilka razy do Lublina.

Zimową porą wybrałem się na kilka dni do Warszawy. Chciałem spróbować, czy nie da się zawiązać bliższych stosunków z jaką redakcją. Jechałem dyliżansem. Mroźno było, poszedłem więc za udzieloną mi radą, obwiązałem nogi w bibułę, następnie włożyłem skarpetki i przekonałem się, że rada była dobra. Jechałem z jakimś jegomościem, który wciąż rozprawiał i wytykał innym rusycyzmy.

W Warszawie byłem w redakcjach „Przeglądu“, „Tygodnika“ i „Bibljoteki Warszawskiej“. Co do pierwszej, to oprócz chęci poznania redaktora, chciałem go zapytać, dlaczego nie drukuje mego artykułu o Comte'ie i pozytywyzmie. Adam Wiślicki, młody jeszcze mężczyzna, ładny z piękną brodą, gdym mu się przedstawił, rzekł:

— A właśnie tylko co o panu mówiliśmy, że pan w swych artykułach zawsze potrąca kwestje aktualne.

Gdym wspomniał o artykule o Comte'ie, powiedział, że podobnej treści była rozprawa Krupińskiego w „Bibljotece Warszawskiej“, i zapytał czy ją znam.

— Nie mamy na wsi „Bibljoteki Warszawskiej“ — odpowiedziałem — i nie wiedziałem o rozprawie Krupińskiego. Mój artykuł — jak o tem mówię w nim — jest sprawozdaniem z dzieła Milla.

Przypuszczam, że Wiślicki podejrzewał, iż zaczerpnąłem moje wiadomości z „Bibljoteki Warszawskiej“. Uspokojony moją odpowiedzią, zapewnił, że artykuł będzie drukowany

w najbliższym czasie i istotnie wkrótce się pojawił. Żegnając się, oświadczył, że chętnie wydrukuje wszystko, co napiszę, i prosił mnie o dalsze współpracownictwo. Ani on, ani ja nie wspominaliśmy o honorarjum.

Do „Bibljoteki Warszawskiej“ miałem dwie sprawy: jedną własną, artykuł z powodu Buckle'a; drugą Goniewskiego: prosił mnie mianowicie, by dowiedzieć się, czy nie drukowanoby tam jego przekładu „Don Karlosa“ Szyllera. Przyjął mnie w redakcji profesor Pawiński. W obu sprawach dał odmowną odpowiedź. Nie pamiętam już dobrze, jaki dał powód, że odmówił przyjęcia mego artykułu. Pozostało mi tylko wrażenie, że nie uważał Buckle'a za poważnego historyka, tak samo jak i Korzon, gdym rozmawiał z nim o tem w późniejszym czasie. Co do „Don Karlosa“, odmowę motywował tem, że tam są ustępy przeciwko papieżowi, przeciwko religji katolickiej, a wobec tego, że Moskale prowadzą w tym kierunku silną agitację, drukowanie tego dramatu byłoby to puszczenie wody na ich młyn. Wogóle Pawiński nie podobał mi się. Wiało od niego chłodem i zarozumiałością. Po tej próbie z Pawińskim, po rozmowie z Krzywickim i innymi, przyszedłem do przekonania, że nie mam co robić w Warszawie i że trzeba wracać do Gałęzowa. Byłem jeszcze ze dwa razy w teatrze: widziałem Królikowskiego, Żółkowskiego, Modrzejewską, i po kilku dniach pobytu w Warszawie, wyjechałem ponownie w Lubelskie.

Podczas mego dalszego pobytu w Gałęzowie, dwa razy wyjeżdżałem w dalsze okolice. Raz do Sobieskiej Woli, folwarku Goniewskiego, i raz do Żabna, siedziby Stefana Kowerskiego.

Do Sobieskiej Woli w powiecie krasnostawskim jeździłem z całą rodziną Przewłockich i Goniewskich. Jechałem na jednej furze, dobrze wysłanej słomą, z Kowerską, Jasiem Kowerskim i Karoliną Goniewską. Wyjechawszy zrana, przyjechaliśmy ku wieczorowi do Sobieskiej Woli. Tam gospodarowały Anna i Julja Goniewskie, siostry Karoliny i Marynki. Mnie z Kociem Przewłockim ulokowano w jakimś domku odosobnionym. Na następną noc Kocia zabrano gdzieindziej, a ja tylko sam zostałem i — przyznam się — miałem trochę jakiegoś nieokreślonego lęku, może wskutek tego, że wieczorem opowiadano o jakichś pośmiertnych duchach, a więc z głębi wynurzyły się dawne obrazy. Goniewski należał do wierzących w duchy. Bawiliśmy kilka dni w Sobieskiej Woli i czas upływał nader przyjemnie. Był tam duży ogród i prześliczna cienista w nim aleja. Na drugi czy na trzeci dzień odbył się w tej alei wielki proszony obiad. Były na nim osoby z sąsiedztwa.

W tymże powiecie krasnostawskim znajduje się Żabno, jeden z folwarków olbrzymiej ordynacji Zamojskiego. Kowerski, po sprzedaniu swej posiadłości na Litwie, wydzierżawił Żabno na lat 20. Urodził się mu w tym czasie synek, a na chrzestnych rodziców zaprosił Koźmianową i mnie. Jechałem w powozie z przyszłą moją kumą, z jej siostrą Melanją i z Władziem. Synowi Kowerskiego przy chrzcie dano imię Stanisława. Tamże w Żabnie mieszkała i jego siostra Walerja, już dosyć leciwa i nieurodziwa panna, ale wielkiej dobroci. Bawiliśmy tam parę dni. Jak przez mgłę wydaje mi się, że zboczyliśmy do Radecznicy, klasztoru Bernardynów, który w tymże roku wkrótce Moskale zabrali na cerkiew.

W kwietniu albo w maju 1869 r. zgłosił się do mnie listownie Kori, adjutant generał-gubernatora wileńskiego o sprzedaż mojej części Podgórza, albowiem zamierzał kupić całą tę posiadłość. Odpisałem na to, że nie mogę dać stanowczej odpowiedzi, zanim sam osobiście na miejscu nie zbadam istotnego stanu rzeczy. Prawdopodobnie było to w maju, jak wnoszę z listu matki, pisanego do mnie 21 maja (star. styl) Pisze tam, że obiecałem przyjazd w miesiącu sierpniu.

I w samej rzeczy po pewnym czasie Kori powiadomił mnie, że wyrobił mi pozwolenie przyjazdu do Podgórza. W liście tym pisał, że bez względu na to, czy dojdziemy do układu, czy nie, w każdym razie cieszy się z tego, że ułatwił mi widzenie się z rodziną.

Przypuszczam, że w lipcu, pożegnawszy się serdecznie ze wszystkimi, opuściłem Gałęzów.

ROZDZIAŁ XII

WYJAZD DO STRON RODZINNYCH

(Sierpień — wrzesień 1869)

Jak długo bawiłem w Warszawie, nie pamiętam. Musiałem tam jednak przebywać z tydzień, a może i dwa, zanim załatwiono formalności, ponieważ w tym czasie napisałem obrazek: p.t. „Dziewczyna z nowego świata". Pobudkę do jego napisania dał mi obrazek, który przeczytałem w „Bibljotece Warszawskiej", a który tchnął młodzieńczą żywością. Obrazek był bez podpisu autora. W moim obrazku przedstawiłem rysy rzeczywiste, pochwycone z życia byłych spiskowców i powstańców. Jak już wspominałem, stała mi wówczas przed oczami Helena Sziff. Utwór ten oddałem redakcji „Gazety Polskiej". Mając już wyjeżdżać z Warszawy, zgłosiłem się po odpowiedź. Dano odmowną, lecz nie pamiętam, czy podano jaki tego powód. Oddałem więc rękopis redakcji „Tygodnika powieści i romansów", który odniedawna zaczął wychodzić, a który zaprenumerowałem dla mojej matki, i nie czekając na odpowiedź, wyjechałem z Warszawy. Pamiętam, że podczas mego pobytu w Katarzynowie, każdy nowoprzybyły numer pisma brałem z pewnem uczuciem oczekiwania do rąk w nadziei, że napotkam tam swój utwór, a następnie doznawałem niemiłego uczucia zawodu. Po powrocie do Warszawy, poszedłem do redakcji, by się dowiedzieć o losie mego obrazka. Redaktor pochlebnie się o nim wyraził i jedynie względy cenzuralne stanęły na przeszkodzie jego wydrukowaniu. O dalszych jego losach później opowiem.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, wyjechałem z Warszawy w miesiącu sierpniu, albowiem po przyjeździe do Inflant kąpałem się i w Indrze i w Dźwinie, i w jeziorze Jaskiem następnie, a gdy — po miesięcznym tam pobycie — wróciłem do Warszawy, była jeszcze piękna ciepła pogoda.

Przyjeżdżając do Wilna, postanowiłem mówić z ludnością tylko po polsku. Gdym odbierał swój pakunek, zbliżył się do mnie jeszcze młody człowiek i powiedział: „wszak z panem Limanowskim mam honor mówić". „Tak" — odrzekłem — „Jestem Karłowicz — mówił dalej — znałem brata pańskiego". Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i rozstaliśmy się. W późniejszych latach, kiedy Karłowicz, w czasie swego pobytu w Genewie, zaszedł do mnie, przypomniałem mu, że poznaliśmy się jeszcze w Wilnie. Zaprzeczył temu stanowczo. Albo więc zapomniał, albo też podstawiony jakiś agent miał mnie pilnować. Przypuszczam jednak raczej pierwszą ewentualność, ponieważ nie zauważyłem ze strony owego pana jakiejkolwiekbądź próby zbliżenia się ze mną, a to mogło być łatwe, ponieważ od brata Józefa słyszałem o jego przyjaznych w Belgji stosunkach z Karłowiczem.

Na ganku obskoczyli mnie furmani, z brodami, w kaftanach i w pasach moskiewskich, po moskiewsku też zapraszając do swoich powozów. Wsiadłem do najbliższego i, mówiąc po polsku, wymieniłem znany mi z dawnych czasów hotel Müllera.

— Dobrze panie, — odrzekł woźnica również po polsku.

— Cóż u licha, przebraliście się w strój kacapski — powiedziałem.

— Panie, tak każą, inaczej nie dają pozwolenia na furmaństwo, a po polsku nie wolno mówić.

W dalszej rozmowie okazało się, że był to Polak ze szlachty zagonowej w Grodzieńskiem, który nawet był w partji powstańczej, ale później dla chleba musiał zostać furmanem.

Na drugi dzień byłem świadkiem pociesznej sceny na placu Katedralnym. Dwóch furmanów z brodami i w stroju moskiewskim kłóciło się ze sobą po polsku: „Psia krew, prawdziwy kacap" — krzyczał jeden. — „Moskiewska jucha" — wołał drugi.

W hotelu służba zaczęła mówić ze mną po rosyjsku, ale, gdym przemówił po polsku, już w tym tylko języku do mnie mówiła. Pojawił się też i faktor Żydek, proponując mi po polsku swoje usługi.

Zaszedłem do Koriego. Oświadczył, że przyjedzie do Podgórza na tydzień, a tymczasem radził zajść do komisji, posia-

dającej spis dóbr skonfiskowanych i przeznaczonych do sprzedaży, gdyż tam znajdę wykaz cyfrowy przestrzeni i inne potrzebne wiadomości.

— Gdyby panu czyniono jakieś trudności, — powiedział Kori — niech pan powie, że przychodzi z mego polecenia.

Zastrzeżenie to okazało się potrzebne. Na żądanie moje bowiem, aby mi dano wykaz Podgórza, majętności Limanowskich, urzędnik przerzucił leżące przed nim papiery i z całą stanowczością twierdził, że niema takiego wykazu. Wymieniłem więc, że przychodzę z polecenia Koriego, wobec czego zaczął znowu niby to szukać i podał mi wreszcie duży zeszyt, w którym był także wykaz Podgórza. Porobiłem więc z tego wykazu notaty dla siebie.

Rusyfikacja w restauracjach uwydatniała się w jadłospisach. Lecz i tu było to powierzchowne. W spisie rosyjskim, czyli raczej pisanym literami rosyjskiemi, wymieniono: rosół z kluskami, zrazy zawijane z kaszą, naleśniki i tp.

Potrzebując wskazówki co do pewnej ulicy, zwróciłem się z zapytaniem do napotkanego przechodnia. — „Nie panimaju"— odrzekł szorstko. „Bałwan" — mruknąłem i poszedłem dalej. Był to młody Żyd, co łatwo było poznać. Zauważyłem wówczas, że starzy Żydzi odpowiadali po polsku; pomiędzy młodymi rusyfikacja już znajdowała zwolenników.

Wyjeżdżając z Warszawy, otrzymałem parę adresów osób, z któremi radzono mi się poznać. Zdaje się nawet, że miałem listy rekomendacyjne. Udałem się więc do jednej z tych osób — nazwiska nie pamiętam. Była to niemłoda już kobieta. Zastałem tam też kilka innych starszych kobiet. Panował wśród nich nastrój religijny, przechodzący w bigoterję, a płaczliwa rezygnacja, tak wciąż odzywała się w rozmowie, że czułem się nieswojo w ich gronie i dalszych znajomości nie szukałem.

W Dyneburgu zatrzymałem się w hotelu Fedorowicza. Nie było dla mnie osobnego pokoju, więc, za wspólną zgodą, umieściliśmy się w jednym pokoju: ja i jakiś młody Polak, zdaje się student któregoś z uniwersytetów, wracający z wakacji. Ponieważ było ciepło, więc na noc okno pozostało otwarte i wleciał przez nie nietoperz do pokoju.

Dalej jechałem do stacji Balbinowo. Tu wynająłem wózek do

Katarzynowa, gdzie mieszkała matka. Furmaniła wózkami okoliczna szlachta zagrodowa, mój woźnica był także Polakiem. Dopóki jechałem koleją, mowa rosyjska natarczywie się narzucała na stacjach kolejowych, lecz gdym się zagłębił we wnętrze kraju, znikł pokost moskiewski i wszystko wydawało się po dawnemu. Spotykani ludzie pozdrawiali jak i dawniej: „Niech będzie pochwalony". Na zapytanie polskie odpowiadano po polsku. Miałem wrażenie, że nic się nie zmieniło, że straszna burza gdzieś nad głowami tylko przeleciała.

Przy powitaniu matki ukląkłem. Rozrzewniona i zdumiona była. I stało się to bez namysłu, samorzutnie. Wprawdzie podczas ostatniej mej gospodarki w Podgórzu, wzmogło się u mnie przywiązanie do matki, lecz dopiero będąc na wygnaniu, oceniłem jej macierzyńską troskliwość.

Dowiedziawszy się o moim przyjeździe, włościanie łuksztyńscy przychodzili mnie witać. Pamięć ta ich o mnie sprawiała mi serdeczną radość. Przynosili w podarku koguty i kury, tak, że napełnił się niemi cały dziedziniec Katarzynowski. Ze swojej strony obdzielałem włościan obrazkami świętych wraz z wydrukowanemi modlitwami, które była wydała w tym czasie księgarnia Gebethnera i Wolfa i których sporą paczkę kupiłem, wyjeżdżając z Warszawy. Uważałem to za dobry środek krzyżowania zamiarów moskiewskich.

Pobyt w stronach rodzinnych opisałem szczegółowo w listach do braci w Syberji i całej serji tych listów dałem nagłówek: „Bolesławjada". Listy te pisałem już po powrocie do Warszawy.

Domek w Katarzynowie dzielił się na dwie części. Z sionek na prawo wchodziło się do połowy zamieszkałej przez matkę, na lewo do połowy gościnnej. W tej drugiej połowie był dość duży pokój z oknem dużem weneckiem i był mały pokoik z jednem oknem. W tym pokoiku matka mię umieściła. Był to jasny, przyjemny pokoik. Pozostawił mi miłe wspomnienie.

Przez cały czas mego pobytu w Katarzynowie i wogóle w stronach rodzinnych panowała ciepła i piękna pogoda. Obudziwszy się zrana, szedłem do Indry kąpać się, potem czytałem, co się znalazło u matki, aż zawołano mnie na herbatę.

Przy matce mieszkała wówczas Aneta Parafjanowiczówna, pomagając jej w gospodarstwie. W tej połowie, gdzie mieszkały,

były — o ile przypominam sobie — też dwa pokoje. Pierwszy duży pokój był to pokój jadalny: tam pijaliśmy herbatę, jedliśmy obiad i kolacje.

Z Anetą często przesiadywałem na ganku, odbywałem z nią i z matką przechadzki, a nieraz z nią samą, prowadziliśmy długie rozmowy i nasz wzajemny stosunek nabrał wiele serdeczności. Była w swoich zamiłowaniach i mowie prostacza, co mnie jednak nie raziło. Matka nazywała ją latawcem i ostro jej wyrzucała, że poufali się z chłopcami wiejskimi.

Obszedłem cały Podgórz. W samym Podgórzu mieszkali włościanie dzierżawcy. Z przykrością patrzyłem na zniszczenia, porobione w ulubionym ogrodzie przez urzędnika Moskala, zawiadującego Podgórzem. Kazał on wyrąbać piękną aleję jarzębinową, która rzekomo przeszkadzała zbiorowi siana. Zniszczono śliczny gaj świerkowy. Odwiedziłem włościan w Łuksztyni, byłem w Lajnikach, zaszedłem do Macieja, którego osadziłem na pustkowiu koło jeziora Lajnickiego. Wyrobił on sobie pole, a koło domku miał ogródek warzywny. Wszędzie mię witano z życzliwością. Poszedłem też odwiedzić starego Kwiatkowskiego. Przysporzył sobie jeszcze dzieci, wyglądał już bardzo zgrzybiale. Był bardzo rozczulony mojemi odwiedzinami.

— Gdyby już panicze wrócili — mówił — bo ojcowizna zupełnie zginie.

— Kochany Kwiatkowski — odrzekłem — gdyby to tylko od nas zależało.

W kościele indryckim na ławkach wśród siedzącej publiczności widziałem twarze mi nieznane. Zaszła bowiem w sąsiedztwie ogromna zmiana. Tołojowce, zapisane Feliksowi Korsakowi, z powodu jego udziału w powstaniu, zabrano na skarb. Ciocię Różę wyrzucono z domu, przytuliła ją schorowaną w swej chałupie dawna jej sługa. Sama chodziła na zarobek i żywiła ciocię. Zdarzyło się, że rozgniewana zwymyślała ją. Wówczas ciotka zwlekała się z łóżka, zabierała swe manatki i mówiła:

— Ja pójdę, pójdę.

— A to znowu co nowego? — wykrzykiwała dawna służąca i odbierała od ciotki manatki — leż panienko, i tylko, mało co człowiek powie.

I to powtarzało się kilka razy, jak opowiadała matka. Ciocia Róża w tym czasie gdzieś wyjechała, więc jej nie widziałem.

Stanisławów kupili włościanie — zdaje się Łotysze z Inflant Szwedzkich. Wogóle opowiadano, że Łotysze w różnych miejscach zakupili ziemię. W Szterenbergu nie było Gizbertów. Indrycę dzierżawili Jankowscy.

Paulinowo też — zdaje się —było w dzierżawie. Za protegowanie roskołów, ponieważ płacili większe czynsze, zapłacił Włodzimierz Gizbert znaczną utratą ziemi. Albowiem Murawjew kazał tych roskołów uwłaszczyć. Lucjan, usuwając roskołów, a oddając ziemię w dzierżawę polskiej szlachcie zagrodowej, ocalił Podgórz od takiej utraty. Włodzimierz w tym czasie, kiedy byłem w stronach rodzinnych bawił w Libawie u wód — zdaje się — głównie dla gry w karty. Matka jego mieszkała w Krasławiu. Będąc w tem mieście, odwiedziłem ją. Witała mnie życzliwie, zatrzymała na obiad, ale pomimo swej dobroci i patrjotyzmu, z pewnem żalem powiedziała:

— To wy, Limanowscy, najwięcej przyczyniliście się do tego nieszczęścia, jakie nas wszystkich spotkało.

Odwiedziłem też Michała Platera, mieszkającego także w Krasławiu. Postarzał się i stetryczał.

— Nie mamy tu co robić — mówił — lud nas się wyrzekł.

Krasław jednak nie stracił jeszcze dawnego swego wyglądu miasta polsko-żydowskiego, w którem kościół katolicki górował, gromadząc podczas świąt tysiączne tłumy.

W tydzień może po moim pobycie w Katarzynowie, przyjechał Kori. Był to człowiek wykształcony i miły w towarzystwie. Łotysz z pochodzenia, wyznania luterańskiego, jako Kurlandczyk wychowany w kulturze niemieckiej, inżynier, przebywał lat 10 w Warszawie i mówił bardzo dobrze po polsku. Chodziło mu przedewszystkiem o własny interes, o interesy moskiewskie mało się troszczył. Opowiadał z humorem, jak pomagał Murawjewowi w „odpolszczaniu" kościoła kalwińskiego w Wilnie. Na żądanie Murawjewa, ażeby nie śpiewano po polsku w kościele, księża się tłumaczyli, że śpiewane psalmy polskie są już od dawna znane, a w rosyjskim języku psalmów nie znają.

— Przetłumaczyłem więc Murawjewowi psalm na język ro-

syjski także wierszami — przyczem Kori z patosem wydeklamował wiersze — ale na nieszczęście pozostał bez użytku.

W Katarzynowie rozmawiał z nami po polsku. Po obiedzie, siedząc na ganku, wdawaliśmy się w rozmowę polityczną.

— Wszak polskie panowanie — mówił — tu się skończyło. Gdyby tu lud był polski, to co innego, ale lud jest wam obcy, wrogi.

— Właściwie — mówiłem — nie chodzi o panowanie. Jesteśmy tu już oddawna spolszczeni, to jest nasz kraj, nasze strony. Chłopi, prawda, są nam obcy, ale jeszcze więcej Rosjanom. Tu walka się odbywa w istocie o to, czyje wpływy przeważą: polskie czy rosyjskie? Dopóki z Warszawy będzie wychodzić hasło wolności, dopóty wpływ polski będzie silniejszy. Groziłaby przewaga rosyjska tylko wówczas, gdyby wolność płynęła z Petersburga.

Na drugi dzień zrana wraz z Korim pojechałem do Podgórza. Na dziedzińcu stała gromadka ludzi i żywo o czemś rozprawiała. Podeszliśmy. Kori zapytał o czem mówią.

— My, panoczku — rzekł jeden z chłopów — rozmawialiśmy o tem, że tej nocy skradziono konia u B.

— A któż to by kradł? Jak myślicie — zapytał Kori.

— A któżby, jeżeli nie ten Moskal, co tu się osiedlił niedawno. Z pewnością to on skradł konia.

— Mówicie: Moskal, a któż wy jesteście? — pytał Kori.

— My, panoczek, jesteśmy tutejsi, jesteśmy Polakami.

U włościan Polak znaczyło właściwie katolik.

Gdyśmy poszli dalej z Korim, rzekłem do niego:

— Widzisz Pan, że lud włościański jest bądź co bądź nam bliższy .

Kori prosił, ażebym go odwiedził, gdy pojadę do siostry w drysieńskiem.

Matka pisała mi już, że Michałom bardzo źle się powodzi, że córeczka ich słabiutka i że nie można jej rokować długiego życia. Kamila witając mnie, ściskała i całowała. Michał zupełnie się postarzał, dawniejszy humor jednak nie opuszczał go.

Z Niemiec pojechałem do Kozłowa, by odwiedzić Łepkowskich. Dano mi pod siodło konia, utykającego od czasu do czasu, którego Łepkowska, dawna Korniówna, zamianowała rumakiem. Przyjęto mnie ze smutnemi oczami. Matka Helenki popłakała się. Wszyscy Łepkowscy wzięli udział w powstaniu. Nawet ów Łepkowski oficer rosyjski, który w ziemi dońskiej Kozaków sam skozaczał i ożenił się z kozaczką, wstąpił do partji powstańczej. Kiedy rozpoczęła się żakierja, wspierana przez policję, wszystkie kobiety uciekły z domu i przechowywane były przez włościańską rodzinę ze wsi Kozłowskiej. Przecierpiały dużo. Łepkowska młoda, której mąż był na Syberji, oddała swego syna do gimnazjum w Helsingforsie w Finlandji.

Na tym samym utykającym koniu wyruszyłem do Tyzenholtów, których majątek znajdował się na pół drogi do Druj mniej więcej. Rodzina to zupełnie polska. Kori był w wesołym usposobieniu. Po obiedzie grał na fortepianie i śpiewał patrjotyczne polskie pieśni.

— Toby się gorszono w Wilnie — mówił wesoło — gdyby wiedziano, jak się tu zachowuję.

Za parę dni miał wyjechać do Witebska, ażeby dokładną powziąć wiadomość o Podgórzu, a za tydzień przyjechać do Niemiec, ażeby ostatecznie się umówić co do kupna mojej części.

Wracając od Tyzenholtów, zrobiłem ciekawe spostrzeżenie. Tuż koło kolei pasło się kilkanaście krów, niektóre przechodziły przez sam tor, kiedy odezwał się gwizd nadjeżdżającego pociągu. Mój koń się strwożył i w bok się rzucił, a tymczasem krowy spokojnie zeszły z szyn i bez trwogi patrzyły na przebiegający pociąg, — widocznie już z tem się oswoiły.

Pojechaliśmy z Kamilą do Krzywcówki do ciotki Karoliny. Nie zastaliśmy Jesipowiczów, wyjechali byli do Jass. Przenocowaliśmy w Krzywcówce i po śniadaniu wyjechaliśmy do Siebieża. Kamila wróciła do Niemiec, ja zaś wziąłem pocztę i wyruszyłem ku Jassom. Pocztyljon, który mnie wiózł, był to młody chłopak, syn polskiego szlachcica zagrodowego; po polsku rozumiał, lecz mówił po białorusku. Rozmawiałem z nim, widocznie dobry był chłopak, lecz świadomość jego narodowa była chwiejna. Od Siebieża były dwie stacje do Jass, pamiętam bowiem, że na następnej stacji pocztmistrzem był Moskal.

Ciotki powitały mnie serdecznie. Pietraszewski też okazywał radość. Siedział zbiedzony z kołtunem na głowie. Żyd wciąż

przy nim się kręcił, coś opowiadając. Pietraszewski przebył ciężkie czasy. Wskutek denuncjacji popa sąsiada, robiono u niego ścisłą rewizję. Nawet w ulach szukano broni.

Ciocia Karolina odwiozła mnie swojemi końmi do Niemiec. Po drodze nocowaliśmy w jakiejś karczmie, gdzie nas pchły opadły w ogromnej liczbie. Ja wytrzymać nie mogłem i przeniosłem się na nocleg do powozu. Biedna ciocia pozostała i umęczyła się ogromnie. Przejeżdżaliśmy zrana przez Agłonę i wstąpiliśmy do kościoła. Właśnie odbywała się msza. Wspaniały kościół, chłopcy w komeżkach, kapłan w swych szatach budzili we mnie, aczkolwiek niewierzącym, pewne poszanowanie katolicyzmu, jako ostoi wpływu polskiego przeciwko tępicielskim usiłowaniom Moskwy.

Zaraz po wyjeździe cioci z Niemiec, przyjechał Kori.

— Musicie mieć panowie — mówił — protektorów w Witebsku. Nie mogłem bowiem dojść tam do żadnego porozumienia i zrzekam się kupna Podgórza.

Kamila nierozwagą swoją mogłaby mię narazić na znaczne przykrości, gdyby to był kto inny, a nie Kori. Zaczęła bowiem, całując mnie, mówić, że włościanie ziemscy, których obdarzyłem obrazkami, są wielce niemi ucieszeni. Widziałem, że to zwróciło uwagę Koriego, lecz nie poczuwał się on do roli inkwizytora.

Kamila, zabrawszy ze sobą córeczkę odwiozła mnie do matki. Pomiędzy nią i Kamilą dziwny zachodził stosunek. Kochały się, ale nie mogły wytrzymać ze sobą długo. Matka zaczynała robić jej uwagi, Kamila się burzyła. wywiązywała się sprzeczka, wiodąca do rozstania się. Tak było i teraz. Kamila, po dwóch dniach pobytu, odjechała.

I mnie też kończył się termin paszportu, a przytem, lubo mi było dobrze u matki, to jednak rwała mnie do Warszawy chęć jakiejś samodzielnej i czynnej pracy na polu publicznem.

Po drodze do Warszawy, zatrzymałem się w Grodnie. Obszedłem miasto, zwiedziłem kościoły, obejrzałem zamek Batorego i ruiny cerkwi w Kołoży, jednego z najdawniejszych zabytków budownictwa na Litwie. W farze oglądałem wymalowane na ścianach sceny z życia szlachty polskiej w XVII i XVIII stuleciu. Poszedłem też na Horodenkę, gdzie Tyzenhauz organizował był zakłady przemysłowe, chcąc z tego miasta uczynić ognisko przemysłowe dla całej Rzeczypospolitej, a nawet może jej miasto stołeczne. Nad brzegiem płynącego Niemna wspominałem przeszłość dziejową i dumałem o walce naszej z najazdem.

ROZDZIAŁ XIII

POWRÓT DO WARSZAWY — WYJAZD ZAGRANICĘ

(1869 — 1871)

Przybywałem do Warszawy jako dawny jej mieszkaniec, obznajmiony z warunkami jej życia, mający licznych w niej znajomych i wreszcie już pewne stosunki ze światem piśmienniczym, mam tu na myśli „Przegląd Tygodniowy" Wiślickiego. Łatwiejsze więc i przyjemniejsze było życie, aniżeli podczas pierwszego mego pobytu.

Dmochowskich odwiedzałem dosyć często. Sam Dmochowski, brat stryjeczny Władysława, dymisjonowany wojskowy rosyjski, uległ w tym czasie wypadkowi złamania nogi i leżał chory w łóżku. Zawsze u Dmochowskich można było spotkać kogoś z Litwinów. Bywał tam często ich krewny, którego Michasiem zwano; nazwiska jego nie pomnę. Panny zwykle z niego żartowały, ale i on wywdzięczał się im żartami, często bardzo śmiałemi. Przypominam go sobie najwięcej z tych czasów, kiedy do Warszawy przybyła z Litwy młodziutka krewna Dmochowskich, Bielecka, przypominająca nieco z twarzy i z układu Helenkę.

Michaś mówił, że się wybiera do szeregów francuskich. Ja się także wybierałem, ale nie rozgłaszałem tego.

Ordzina, miła i gościnna staruszka, z miłością opiekowała się wnuczkami. Dziewczynka mogła mieć osiem albo dziewięć lat, chłopczyk był o parę lat młodszy. Zawsze z satysfakcją patrzałem, jak bystra i rezolutna dziewczynka komenderowała swym braciszkiem, który powolnie jej ulegał.

Liczba znajomych ogromnie się powiększyła. Przybyli współwygnańcy z woroneżskiej gubernji: Kułakowscy, Kuncewiczowie, Wincia Szarska, Zamoyski, Lewandowski, Borkowski i Klimowicz z rodzinami swojemi. Przybyli z wygnania także Tadeusz Korzon i Konrad Chmielewski. Z dawnych kolegów przybyli w tym czasie jako lekarze: Mikucki z Moskwy i Zajączkowski z Dorpatu. Spotkałem też Teodora Wrzeszcza z Leodjum i Podgórskiego z Paryża.

Kułakowski zaproponował mi, bym dawał jego dzieciom lekcje, o ile przypominam sobie: historji, geografji i matematyki. Godzin niewiele było zajętych i zarobek był mały, ale wielce pomocny w mojem położeniu. U Kułakowskich często zatrzymywano mnie na obiad, to zapraszano na wieczór. U nich spotykałem się z Wincią i odprowadzałem ją zwykle wieczorem do domu. Tam poznajomiłem się też z rodziną Korniłowiczów, z którymi wszedłem następnie w przyjazne stosunki. Kułakowski lubił grać w bezika, więc często zasadzał mnie do gry z sobą. Przegrałem sumy neapolitańskie, wciąż zapisywane na rachunek, z których się nigdy nie uiściłem — muszę się przyznać — i o których sam Kułakowski nigdy nie wspominał.

Lewandowski, mój bankier w Pawłowsku, stał się moim bankierem i w Warszawie. Pożyczałem u niego drobne sumki i w dość krótkim czasie je zwracałem. Przed samą jego śmiercią zwróciłem mu 10 rubli, których nie chciał przyjąć i radził mi zachować u siebie. Astma i kaszel wzmogły się u niego do przerażających rozmiarów, wychodził więc z domu rzadko. Jedyną jego rozrywką była gra w karty. I ja czasem grywałem, kiedy brakło partnerów, ale o małą tylko stawkę, tak że wygrana lub przegrana nie przenosiła rubla. Zwykle jednak grano o wyższe stawki, jednym z tych grubszych graczy był zamożny szlachcic z Litwy, młody jeszcze człowiek, nazwiskiem Kibort. Chociaż był także eks-wygnańcem, z uboższymi od siebie obchodził się pyszałkowato. Jak już wspominałem, Lewandowski przy mnie jeszcze umarł w Warszawie. Pogrzeb jego odbył się 10 maja 1870 roku

Zamoyski Stanisław mieszkał u swoich krewnych Branickich w ich pałacu na Nowym Świecie. Byłem u niego parę razy w jakimś interesie. Okazywał mi życzliwość. Chciał mi dać posadę leśniczego w swych dobrach.

— A jaka będzie moja główna czynność? — zapytałem.

— Pilnować i łapać chłopów — odpowiedział z właściwym sobie uśmiechem — gdyby z lasu drzewo wykradali.

— To nie dla mnie — odrzekłem — nie po to przyjechałem do Polski, ażeby z chłopami wojować.

Nie był on wszakże zły na chłopów — jak o tem dowiedziałem się od Zaborowskiego, syna Marcina, któremu na moje przedstawienie dał posadę pisarza czy też ekonoma w jednym ze swoich folwarków koło Łomży. Wprawdzie pilnował swego dobra, ale był sprawiedliwy, przystępny i prosty w stosunkach.

Zaprowadził mnie też do Lubomirskich, którzy mieszkali w swym pałacu na ulicy Wareckiej. Byłem tam tylko raz. Zdaje mi się, że to był Tadeusz Lubomirski — nie jestem jednak pewny. Na pogrzebie Stefana Lubomirskiego, gdym przyszedł do pałacu Lubomirskich na Krakowskiem Przedmieściu, ujął mnie pod ramię i, chodząc po sali, wypytywał co zamierzam robić, a, gdym powiedział, że myślę o wyjeździe zagranicę, zaproponował mi objąć guwernerkę nad jego synem czy też synami. — Po roku albo dwóch, wyjedziesz pan razem z nimi zagranicę — dodał.

Nie pamiętam, co mu powiedziałem na tę propozycję, lecz o przyjęciu jej wcale nie myślałem, bo wyjeżdżałem zagranicę z zamiarem służby w szeregach zbrojnych.

Klimowicz dostał się jakoś do Grodna i, zabrawszy żonę i dzieci, przybył do Warszawy. Lubiłem go, jego opowiadania, i dosyć często zachodziłem do niego. Żona jego, prosta kobieta, była dobra i gościnna, tak że zawsze był poczęstunek, kiedy przychodziłem. U Klimowiczów było dwóch chłopaczków, zdaje się, że jednego zwano Stasiem. W kilkanaście lat później poznałem w Paryżu dwóch Klimowiczów: Stanisława i Paulina, socjalistów-emigrantów.

Klimowicz był z gruntu poczciwym człowiekiem, ale, ułatwiając sprzedaż rozmaitych kosztowności, oczywiście nie zapominał o swym zysku. Wuja Dmochowskiego szczerze kochał z wdzięczności za okazaną pomoc w Woroneżu i za zaznajomienie go w Warszawie z litewską szlachtą. W stosunkach z tą szlachtą pośredniczył przy sprzedawaniu przez nią złotych i srebrnych rzeczy i dobrze zarabiał. Pamiętam jego rozpacz, kiedy zapomniał w sankach parę cennych świeczników, wziętych u

jakiegoś szlachcica do sprzedania. Zyskiwał więc, ale czasem i tracił.

U Tadeusza Korzona, który czas pewien bawił w Augustowskiem u krewnych swej żony i przybył do Warszawy, już podczas powtórnego mego w niej pobytu, wyznaczony był dzień, kiedy wieczorem przychodzili do niego znajomi na herbatkę. Zawsze więc gromadziło się kółko eks-wygnańców przeważnie Litwinów. Odbywały się gorące dysputy, w których sam Korzon brał przeważny udział. Stając w obronie zasad konserwatywnych, zaczepnie uderzał na nowatorów, mając mnie głównie na myśli. I ja ze swojej strony kontrataktowałem. Większość była po stronie Korzona, mnie energicznie tylko popierał Ignacy Radliński. Korzon hołdował prawdomówności, lecz nieraz stawała się ona cierpkością stronniczą. Pomimo, że czasem zadrasnął mnie boleśnie, sprzyjał mi szczerze i stosunki nasze były przyjazne.

— Jaki z ciebie rewolucjonista? — mówił raz do mnie, spotkawszy na ulicy — jesteś najgorszego gatunku konserwatorem, bo chodzisz w butach dziurawych i w wytartym kapeluszu.

Konrad Chmielewski, wysokiego wzrostu, przyjemnej powierzchowności, był w stosunkach, koleżeński, uczynny.

U Kułakowskich poznałem się z Korniłowiczową, wdową po wojskowym rosyjskim. Miała ona dwóch synów, Edwarda i Rafała, którzy w tym czasie rozpoczynali studja uniwersyteckie: Edward studjował medycynę, Rafał — o ile pomnę — nauki matematyczne. Korniłowiczowa, dowiedziawszy się od Kułakowskiego, że mam silnie rozstrojony żołądek, wskutek stołowania się po garkuchniach, zaproponowała, ażebym jadał razem z nimi obiady. Obiady były smaczne i pożywne, a przytem na żywej rozmowie o rozmaitych rzeczach i przedmiotach upływało parę godzin obiadowych bardzo przyjemnie. Żołądek mój wyrestaurował się, a z rodziną Korniłowiczów w przyjacielsko-zażyłe wszedłem stosunki.

Nie przypominam sobie, z jakiej okazji poznałem się ze Szląskowskimi. Zdaje się, że miałem w czemś pomagać młodemu Szląskowskiemu, który kończył gimnazjum i wstępował do uniwersytetu. Zatrzymywano mnie tam na herbatę i na rozmowie parę godzin upływało. Szląskowska, z domu Mierosławska,

siostra generała Ludwika, wątła, chorowita, była już wdową i miała troje dzieci: syna, o którym wspominałem i dwoje jeszcze małych: dziewczynkę i chłopczyka. Przypominam sobie raz kłótnię pomiędzy dzieciakami. Na rozkazujący ton dziewczynki, chłopczyk powiedział, że niema ona co rozkazywać, bo mężczyzna jest ważniejszy od kobiety.

— A to dlaczego? — zapytała dziewczynka.

— Bo Pan Bóg stworzył kobietę z żebra mężczyzny — odrzekł chłopczyk.

Młody Szląskowski okazywał mi wiele życzliwości. Był patrjotą gorącym i okazywał chęć uczenia się wojskowości. Jak już wspominałem, darowałem mu Roquancourt'a. Studjował on prawo i w późniejszym czasie został adwokatem — zdaje się — w Kaliszu.

Szląskowska rozporządzała bardzo miernemi środkami, więc i stopa życia była do tego dostosowana. Przychodziła do niej często na herbatkę uboga jej znajoma, którą nazywano kapitanową. Opowiadała ona jakieś dziwy, na które miała patrzeć własnemi oczyma: latanie obrazów po pokoju i tym podobne rzeczy. Mówiła o tem ze stanowczością, jako naoczny świadek. Opowiadanie jej tchnęło wiarą, przekonaniem. Czyżby ulegała halucynacjom?

Przez cały prawie czas mego ówczesnego pobytu w Warszawie mieszkałem przy ulicy Chmielnej w kamienicy trzypiętrowej. Na trzeciem piętrze były tam liczne małe stancyjki, zajmowane przez młodzież akademicką i kancelaryjną. Jeden z takich pokojów był mojem mieszkaniem. Miałem wąskie łóżko drewniane, prostej roboty, dwa stoliki, na jednym pisałem, na drugim przyrządzałem kawę lub herbatę, dwa krzesełka i etażerkę na książki. Na parę miesięcy przed wyjazdem przeniosłem się do mieszkania Krzywickiego — on wyjechał na wakacje — które się znajdowało w Al. Jerozolimskich.

O zarobek było ciężko i zarobki były niewielkie. Mówiłem już o lekcjach, które dawałem u Kułakowskiego. Wznowiłem znowu stosunek z Wierzchlejskim i tam dawałem lekcje. Wierzchlejski zaproponował mi pracę w kancelarji, bym w ten sposób wyrobił sobie na przyszłość nowe źródło dochodowe, przyczem zdarzają się także poboczne zarobki. Pracowałem z jakieś

pół roku, ale raz tylko dostałem rubla od jakiegoś Żyda za zrobiony dla niego wypis. Wierzchlejski mi nic nie płacił. Oprócz bieżących kancelaryjnych robót, dawał mi do pisania obrony, które przedstawiał jako obrońca z urzędu wyznaczony. Sądownictwo odbywało się wówczas po polsku. Szczególnie był zadowolony Wierzchlejski z dwóch obron: jedna była w sprawie o podpalenie, druga z powodu oskarżenia dziewczyny o dzieciobójstwo. Z całą sumiennością przestudjowałem sprawy i wszystko zgromadziłem i uwydatniłem, co mogło służyć dla obrony. Napisana przezemnie obrona dziewczyny tak się podobała Wierzchlejskiemu, że powiedział, iż sam wystąpi z przemówieniem. Widząc, że posiadam pewne zdolności prawnicze, dał mi do opracowania jakąś sprawę procesową bardzo zawikłaną. Zająłem się nią gorliwie i udało mi się uporządkować materjał i w należytym świetle przedstawić. Zabrało mi to dużo czasu i pracy

Krzywicki nastręczył mi zarobek w bibljotece Ordynacji Zamoyskich. Była tam duża bibljoteka, a bibljotekarzem był Ehrenberg, dawny ludowiec i spiskowiec. Praca zarobkowa polegała na pisaniu kartek katalogowych. Trzeba było wypisać całą kartkę tytułową książki. Były one rozmaitej długości. Płacono jednakowo za każdą kartę. Krzywicki zarabiał w ten sposób mniej więcej półtora rubla codziennie. Ja nie mogłem dojść do takiej doskonałości. Mój zarobek nigdy nie przekraczał 60 kop. Wogóle nie należałem do szybko piszących, a przytem nieraz zaciekawiony książką strwoniłem jaką godzinę na jej przeglądanie. Praca ta mi się przykrzyła, i nie pamiętam, czy dłużej niż miesiąc nią się zajmowałem.

Miałem stały zarobek z pióra, ale był to zarobek bardzo mały. Wiślicki płacił akuratnie, lecz — o ile sobie przypominam — po dwa grosze od wiersza. Należałem do najwięcej piszących w „Przeglądzie Tygodniowym"; szczupłe jednak jego ramy nie pozwalały na dawanie wiele miejsca jednemu ze współpracowników, a tych współpracowników była spora liczba, bo większa część utalentowanych późniejszych pisarzy, jak Henryk Sienkiewicz, Juljan Ochorowicz, Piotr Chmielowski, Aleksander Świętochowski i wielu innych, rozpoczynało w nim swój zawód literacki. Wiślicki wydawał też sporo mniejszych dziełek popu-

larnych, z obcych języków tłumaczonych. Tłumaczom płacił też bardzo mało. Jedną z takich broszurek, p. t. „Małpia i ludzka czaszka“ — Virchov'a — przetłumaczyłem. Do tłumaczeń jednak brałem się niechętnie. Uczciwość nie pozwalała mi byle jak je wykonywać, więc miałem sporo pracy, a mizerny zarobek.

Krzywicki starał się otworzyć dla mnie źródło pracy zarobkowej w „Bibljotece Warszawskiej“, której redaktorem ówczesnym był Szabrański. Mówił mu o mnie, czy sam czy przez pośrednictwo Wójcickiego, — dość że Szabrański powiedział, ażeby przyprowadził mnie w niedzielę do redakcji na poranek literacki. Co niedziela przed południem odbywały się takie poranki. W jedną więc z najbliższych niedziel poszedłem z Krzywickim. Było może z dziesięć osób. Przy stole, na którym stały wódka i talerz z serdelkami, serem, masłem i chlebem, siedzieli Wójcicki i Szabrański, rozprawiając o przygodzie, jaka wówczas wydarzyła się Smolce i wogóle o sprawach galicyjskich, w której to rozmowie przebijała niechęć ku dążnościom demokratycznym. Było kilku młodych, z którymi zapoznał mnie Krzywicki, lecz nazwisk ich sobie nie przypominam. Jednym z nich — zdaje się — był Walery Przyborowski, bo się przedstawiał jako ekspowstaniec. Był też tam i Kraushar, ponieważ w swych pamiętnikach Alkara wspomina i o mnie, mówiąc o poranku literackim w „Bibljotece Warszawskiej“. Krzywicki zachęcał mnie, ażebym przystąpił do stołu, wypił wódki i przekąsił nieco. Czując się nieswojo, nie odważałem się na to, wreszcie nie przyszedłem na przekąskę. Stałem z kilkoma innymi koło pieca, milcząc i słuchając, co mówią. Podszedł do nas stary Dmochowski, literat. Opowiadał rozmaite pocieszne szczegóły ze swoich wspomnień o literatach i o mówcach sejmowych. Wreszcie zaczęto wychodzić. Sądziłem, że i ja pójdę z niczem. Zatrzymał mnie jednak Szabrański i, odprowadziwszy na stronę, zaproponował mi, bym coś napisał do „Bibljoteki Warszawskiej“. Oświadczyłem się z wielką gotowością.

— Zajmują mnie nadewszystko — mówiłem — zagadnienia społeczne. Do napisania oryginalnego artykułu nie poczuwam się jeszcze na siłach. Lecz chętnie wybrałbym dwa jakieś dzieła lub więcej z literatury zagranicznej i napisałbym o nich sprawozdawczo-krytyczny artykuł, jak to się dzieje np. w „Revue des deux mondes“.

— O rzeczach społecznych — odrzekł Szabrański — drukować nie możemy. Są to rzeczy drażliwe. Lecz gdyby pan napisał coś z dziedziny estetyki.

Ukłoniłem się, myśląc w duchu, że nic z tego nie będzie, ponieważ najmniej mnie interesowała estetyka i najmniejszej w tej dziedzinie nie miałem znajomości.

Był to pierwszy i ostatni mój udział w porankach literackich.

Z wyjątkiem „Przeglądu Tygodniowego“, było bardzo trudno dostać się ze swoją pracą do pism warszawskich. Każde pismo miało pewną liczbę stałych współpracowników, którzy zapełniali wszystkie szpalty. Jedyny wyjątek stanowiły powieści, lecz i w tym względzie tylko znanym pisarzom otwierano wstęp z łatwością. Wiedząc o tem, nie próbowałem nawet wejść w stosunki z temi pismami. Nadspodziewanie przyszła w pomoc cenzura moskiewska. Zażądała ona od pism, ażeby koniecznie umieszczały coś zaznajamiającego czytelników z Rosją. Redaktorowie byli w kłopocie, poczucie polskie zmuszało ich do bardzo ostrożnego w tym względzie postępowania. Przyszło wreszcie redaktorom na myśl, że eks-wygnańcy mogliby spisywać swoje spostrzeżenia i wrażenia, co nie byłoby tak źle widziane przez czytelników. I ja otrzymałem propozycję ze strony redakcji „Kłosów“. Może na to wpłynęły moje dawne „Listy z Rosji“. Napisałem więc obszerny artykuł p. t. „Wybrzeże Morza Białego“, który był drukowany w Nr. 249 i 250 z 1870 r. I podpisany moim pseudonimem: Janko Płakoń. Lewental wypłacił mi honorarjum, które przeszło moje oczekiwanie, bo 19 rubli z kopiejkami. Następnie otrzymałem propozycję od Orgelbranda, wydawcy „Bluszczu“, ażebym też coś ze swoich wspomnień napisał. Wynikiem tego były dwa artykuły: „Samojedzi“ i „Z Mezenia do Archangielska“. Honorarjum za ostatni artykuł otrzymałem już we Lwowie, a gdym się żegnał z Orgelbrandem, prosił mnie o nadsyłanie korespondencji z Galicji.

Skomorowski, eks-wygnaniec z Szenkurska, nastręczył mnie ks. Stefanowi Lubomirskiemu jako lektora. Trzy razy na tydzień od godz. 6 do 8 wieczorem sprawowałem swoją czynność. Za wieczór pobierałem 1 rubla. Stefan Lubomirski był to dobry

Polak i człowiek uczciwy. Służył on w wojsku rosyjskiem i był już na wysokim stopniu, bodaj generała, kiedy wybuchło powstanie 1830 r. Nie poszedł z wojskiem do Polski, podał się dymisji, oświadczając, że nie może bić się z rodakami. Mikołaj, pomimo swego despotyzmu, uszanował jego wolę. Mając rozległe dobra w Mohylewskiem, Lubomirski, jako marszałek szlachty tamecznej, przybył do Moskwy na koronację Aleksandra II-go i — jak opowiadano — podczas spotkania się z carem, mówił mu o konieczności podjęcia sprawy włościańskiej. Spokrewniony z Tołstojami, miał względy u władz moskiewskich. Na Krakowskiem Przedmieściu posiadał własny dom, który nazywano pałacem. Lektura moja i mnie samemu sprawiała niemałą przyjemność. Dostawał on książki, których cenzura nie pozwalała puszczać w obieg, wśród nich książki, drukowane w Galicji, opisujące okrucieństwa i łajdactwa moskiewskie. Czytywałem też gazetę francuską, „Journal des débats", czy „Le Temps". W soboty i w wigilje świąt czytałem modlitwy i ewangelje. Lektura ta dwugodzinna męczyła mnie. Dla orzeźwienia się i zwilgocenia gardła wypijałem spore łyki wody, stojącej przedemną w karafce. Zimna woda nabawiła mnie silnego zapalenia gardła, do czego przyczyniła się i inna okoliczność. Owej zimy w Warszawie bardzo się upowszechniło, że cierpiący na piersi kładli na usta przykrywki, w tym celu odpowiednio zrobione i sprzedawane w magazynach. Po małpiarsku i ja zacząłem nosić taką przykrywkę. Z tego powodu trzeba było w rozmowie wysilać głos i chrypka dość często zaczęła mnie napastować. Choroba zmusiła mnie zaprzestać czytania, następnie zaś Lubomirski zachorował i umarł. Lubomirski okazywał mi życzliwość i mówił, że chętnie dałby mi posadę w swych dobrach w Mohylowskiem, gdyby mi pozwolono tam pojechać. Podziękowałem mu za te chęci, lecz wcale nie myślałem starać się o pozwolenie, gdyż nie miałem chęci zagrzebywać się na prowincji.

Próbowałem także dostać lekcje przez biuro pośrednicze, ale bez skutku. W znacznej mierze przeszkadzało mi to, że oceniałem siebie sumiennie. Kiedy mnie pytano np. czy posiadam język francuski, odpowiadałem „tak", ale dodawałem przy tem: „czytam bez słownika i wszystko rozumiem, rozmówić się mogę ale nie mam biegłości w mowie". Gdybym nie dodawał tych

„ale", uszłoby. Tę samą lekcję, która mnie ominęła, dostawał ktoś z moich znajomych, posiadających o wiele mniejszą znajomość wszystkiego. Opowiadał bowiem na pytania kategorycznie: „tak", bez wszelkich wahań. Raz w jednem z takich biur ostro się przemówiłem. Kierownik, młody człowiek, zażądał, ażebym złożył, oprócz wpisowego, jakąś sumę, a otrzymam z pewnością lekcję. Odpowiedziałem, że nie mogę złożyć takiej sumy, lecz skoro otrzymam lekcję, to ją złożę. Na to rzekł mi arogancko:

— Muszę mieć pewność, że pan mnie nie oszukasz??

Wprawiło mnie to w gniew i ostro zawołałem:

— A ja jestem prawie pewny, że pan mnie oszukasz.

Byłem już bowiem kilka razy przedtem w tem biurze, i raz nawet już coś odemnie wyłudził.

Jeszcze o jednej próbie zarobkowania wspomnieć muszę. W „Kurjerku" wyczytałem, że można mieć łatwy i niemęczący zarobek, należy w tym celu zgłosić się pod takim to a takim adresem. Poszedłem więc. Gdym zadzwonił, wychyliła się przez nieco otwarte drzwi jakaś głowa z pytaniem:

— Czego pan żąda?

— Wyczytałem w „Kurjerku", że można tu mieć zarobek — odrzekłem.

— Tak — powiedziała głowa, nie wpuszczając mnie do mieszkania — polega on na tem, ażebyś pan chodził ciągle koło Banku i uważał na osoby tam przychodzące. Skoro pan spostrzeże, że to może być jakiś interesant, trzeba zaczepić go, starać się wywiedzieć, o co mu chodzi, a następnie przywieść go do mnie, ja bowiem ułatwiam przeprowadzanie interesów. Pan otrzymasz pewien procent (nie przypominam sobie jaki) od załatwionej sprawy.

Był to wprawdzie bardzo niepewny zarobek, zależny od sumienności agenta, którego miałem przed oczyma, a który wcale nie wzbudzał najmniejszego zaufania.

Ponieważ jednak w tym czasie zacząłem był pisać powieść: „Dwie drogi", o czem później obszerniej powiem — postanowiłem spróbować tego rodzaju zarobkowania, ażeby poznać dokładniej zwyczaje świata finansowego. Przez dwa dni krążyłem koło Banku. Gdym kogo zaczepił, otrzymywałem szorstką od-

powiedź, że nic mnie do tego. Na moje utrapienie pora była dżdżysta i słotna, tak że się nabawiłem kataru. Dałem więc za wygraną, widząc, że na tem polu do żadnego rezultatu prawdopodobnie nie dojdę.

W pracy literackiej nie kierowałem się chęcią zarobku, lecz jedynie możnością wypowiadania swych przekonań. W „Przeglądzie Tygodniowym" w drugiej połowie 1869 r. były drukowane następujące moje artykuły: „Tegoroczna dążność społeczna", „Konieczność ograniczenia liczby godzin pracy", krytyczne oceny powieści Zacharjasiewicza „Mąż upatrzony", Jeża, „Urocza", Kraszewskiego — „Złoty Jasieńko", sprawozdawcze artykuły ze „Szkiców ekonomicznych"—Wzdulskiego i Pogadanek popularnych z Bartinta, streszczenie życiorysu Jerzego Waszyngtona, napisanego przez Whista. Nadto prowadziłem dział p. t. „Przegląd życia społecznego" — w 4-ch numerach. W 1870 r. były krytyczne oceny i streszczenia: powiastki „Andrzej Frąckowiak", „Historji powszechnej" — Durny, „Nowego wykładu ekonomji politycznej" — Batbie, „La Création" — Quinet'a, „Podróży" Fryderyka Szulca, gdzie się znajdują ciekawe szczegóły o sejmie czteroletnim, „Pamiętników Hansa Szwejnistera"— jako ważnego przyczynka do dziejów śląskich w XVI stul. Napisałem też artykulik o Arturze Grotgerze na podstawie jakiejś wiedeńskiej gazety. Przegląd życia społecznego był w 8 numerach. Jeden z tych przeglądów, streszczających dzieje prześladowań narodu irlandzkiego, umieszczony na samym wstępie. spowodował ojca Wiślickiego do udzielonej mi żartobliwie przestrogi:

— Ależ pan swoimi artykułami wpakuje mego syna do więzienia.

Ocena dzieła Quinet'a wzbudziła w jednym z moich znajomych słowa pełne uznania. Zwrócił też na mnie uwagę Gustaw Doliński w artykule fejletonowym — „Dziennika Poznańskiego" — o czasopiśmiennictwie warszawskiem.

Oprócz tych artykułów, kontynuowałem pisanie swojej socjologji. Szło to jednak żółwim krokiem i niewiele stronic podczas tego pobytu w Warszawie dodałem.

Zacząłem też pisać powieść p. t. „Dwie drogi". Treść jej miała być taka. Przybyły z wygnania do Warszawy spotyka się z ekswygnańcem także, z którym w Dorpacie w przyjaznych pozostawał stosunkach. Obaj są przejęci gorącą chęcią wyrzucenia najeżdzcy moskiewskiego. Ku temu celowi idą jednak dwiema różnemi drogami. Jeden osiedlił się wśród chłopów, ożenił się z chłopką, wcielił w życie chłopskie i rozniecał w swem środowisku świadomość narodową i nienawiść do jarzma najeźdzcy. Drugi postanowił zdobyć bogactwo, stać się potęgą pieniężną i swymi wpływami opanować stojących u steru rządców kraju. Miałby zostać niejako drugim Wallenrodem. W tym celu wstąpił jako podrzędny urzędnik do banku. Pozyskał zaufanie i protekcję swego pryncypała. Przystojny, zgrabny, salonowiec, dobry tancerz, mający prześliczny głos i śpiewający wzruszające piosenki, rozkochał córkę swego przełożonego, młodą i ładną Żydówkę i ostatecznie z nią się ożenił. W rezultacie: pierwszy wytworzył liczną rzeszę świadomych narodowo włościan, gotowych do powstania zbrojnego; drugi uległ wpływowi swego środowiska i — po długiem borykaniu się — czuł swą niemoc i został tylko biernym sympatykiem. Napisałem był już początek tej powieści. Wśród dość częstej mej peregrynacji gdzieś zaginął.

Oprócz tych zajęć muszę jeszcze o jednem wspomnieć. Wuj Władysław prosił mnie, ażebym jego synowi, Tadeuszowi, dawał lekcję — o ile przypominam sobie — języka polskiego i historji. Mieszkał Tadzio u swego krewnego Władysława Dmochowskiego, malarza, zarabiającego dość dobrze jako ilustrator w „Tygodniku Ilustrowanym" czy też w „Kłosach". Tadzio przychodził do mnie w oznaczonych godzinach, ale nauka nie trwała długo. Dawałem lekcje bezpłatnie. Uczeń mój nie okazywał chęci, zadań nie przygotowywał, dość często nie przychodził, wreszcie całkiem przestał przychodzić. Z przyjemnością też wyczytałem później w piśmie zbiorowem: „Z okolic Dźwiny", wydawanem w Witebsku w 1912 r., że wyrobił się na dobrego, myślącego malarza, na wytrawnego znawcę historji i rozwoju sztuki i obywatelsko uświadomionego człowieka.

Wrzeszcz, który otrzymał zajęcie rysownika w biurze Blocha, starał się, ażeby i mnie coś u niego wyjechać. Bloch w tym czasie budował kolej litewską. Otrzymałem obietnicę, że dostanę na niej posadę konduktora lub jaką inną, oczywiście tylko w takim razie, jeżeli otrzymam pozwolenie zajęcia tej posady. Jak widzę

z listu matki, datowanego 1-go grudnia — a mogło to być tylko w 1869 r. — podała ona prośbę w tej sprawie do namiestnika, ale jej odmówiono — jak pisze — „z przyczyny, że uważają ciebie niebłagonadiożnym".

Do nowych znajomych domów, oprócz poprzednio już wymienionych, przybyły jeszcze Dalewskich i Wiślickich. U Dalewskich byłem raz podczas świąt Bożego Narodzenia, a może co najwięcej dwa razy.

Józef Wiślicki, ojciec Adama, był jednym z opiekunów taniej kuchni, w której byłem kasjerem. Tam się z nim poznałem. Ponieważ urodził się w 1805 r. — jak pisze „Encyklopedja" Orgelbranda — powinien był mieć w tym czasie 64 lat. Na to jednak nie wyglądał. Trzymał się krzepko i oznak starości widać nie było. Ożenił się powtórnie i żona w dość młodym jeszcze była wieku. Raz w tygodniu wieczorem zbierano się u nich. Zaproszony przez Wiślickiego, byłem u nich parę razy. Przychodzili tam także synowie jego, Adam i Władysław muzyk. Oboje Wiśliccy byli uprzejmi i gościnni, a Józef nawet okazywał mi szczególną życzliwość, prawdopodobnie jako współpracownikowi pisma swego syna. Był on także autorem, pisał w swoim czasie artykuliki, powiastki, a nawet trzy większe powieści historyczne wyszły z pod jego pióra. Najwięcej jednak był znany ze swego „Opisu Królestwa Polskiego", czyli raczej południowych jego powiatów z lewej strony Wisły.

Adam Wiślicki, podług „Encyklopedji" Orgelbranda, urodził się w 1836 r., a więc byliśmy prawie w jednym wieku. Mieszkał on na Nowolipiu i tam była redakcja „Przeglądu Tygodniowego". Odnosząc artykuły, wdawałem się z nim w gawędkę. Był rozmowny i chętnie wysłuchiwał uwag czynionych co do kierunku pisma. Wielkiego zasobu naukowego nie posiadał, nawet w dziale geografji, do którejto specjalności rościł sobie pewne prawo, lecz był zwolennikiem postępu i miał cięte pióro, zwłaszcza w artykułach polemicznych, jakiemi były przeważnie „Echa". Ważną jego zasługą było to, że swoim współpracownikom pozwalał swobodnie wyjawiać swe myśli, co wielce utrudniali sami redaktorowie — nie mówiąc o cenzurze — w innych pismach.

Gdym przyszedł do niego podczas świąt Bożego Narodzenia,

zaprosił mnie do swej bawialni, gdzie się już znajdował był redaktor „„Opiekuna Domowego". Pamiętał on o moim artykule w tem piśmie i bardzo pochlebnie o mych dążnościach piśmienniczych się wyraził. Wiślicki traktował nas winem i ciastkami. Wywiązywała się ożywiona rozmowa trwająca przez parę godzin. Drugi raz, gdy z Minakowskim wychodziłem ze zgromadzenia Merkurego — którego byłem członkiem i Minakowskiego na członka zwerbowałem — spotkałem się z Wiślickim, który także był na tem zgromadzeniu. Zaprosił nas obu do cukierni i utraktował lodami — było to latem czy też jesienią, a dzień był skwarny. Przyszedł też raz do mnie na ulicę Chmielną i zaprosił na wieczór do siebie. Mieli się zgromadzić u niego i inni współpracownicy. Ponieważ tego dnia wieczorem wyjeżdżał wuj Dmochowski, więc nie mogłem przyjąć zaproszenia, co sprawiło Wiślickiemu prawdziwą przykrość. Chciał więc — jak widzę — w bliższe wejść ze mną stosunki. I gdybym pozostał w Warszawie, prawdopodobnie byłoby to nastąpiło.

Z dwoma jego ówczesnymi współpracownikami, Juljanem Ochorowiczem i Piotrem Chmielowskim, poznałem się, chodząc na czytanie sprowadzanych potajemnie dzienników galicyjskich i poznańskich. W pewnym domu była naznaczona godzina, o której zbierała się garstka ludzi dla czytania tych dzienników. Wprowadził mnie do tej czytelni — zdaje się — Krzywicki. Zawsze zastawałem tam ze cztery albo pięć osób. Poznałem się z niektórymi, ale w pamięci pozostały tylko dwa wymienione nazwiska.

Przez Krzywickiego poznałem też Kryńskiego, słynnego następnie gramatyka, którego zasady pisowni zaczęły już wówczas zjednywać zwolenników w młodszem pokoleniu. Z piszących poznałem jeszcze Bądzkiewicza, nauczyciela języka polskiego w któremś gimnazjum. Nie jestem pewny co do istotnego brzmienia jego nazwiska. Zaszedłem do niego — o ile przypominam sobie — z wujem Dmochowskim. Miał złamaną nogę i pozostawał w łóżku. Pochodził z Litwy historycznej i chwalono go jako dobrego człowieka i Polaka. Wydał on świeżo podręcznik literatury polskiej, który uległ nielitościwej krytyce, wykazywano bowiem autorowi plagjaty.

Pomijając inne względy, sam brak pieniędzy nie pozwalał mi

szukać zabaw w Warszawie. Jedynie parę godzin wieczorem albo popołudniu przepędzałem w cukierni, albo w kawiarni. Wydatek był mały: szklanka herbaty i ciastko, albo filiżanka czarnej kawy. Zato przeczytywałem wszystkie gazety i czasopisma, jakie tam znajdowałem. Najwięcej gazet było w cukierni na Krakowskiem Przedmieściu, lecz tam rzadko chodziłem, bo zawsze było pełno ludzi i z tego powodu zachodziła trudność i o gazety. Najczęściej chodziłem wieczorem do cukierni Semadeniego na rogu Nowego Świata i ulicy Wareckiej, a po południu do kawiarni na rogu Marszałkowskiej i Chmielnej. Do tej ostatniej chodziłem dlatego, że popołudniu bardzo mało tam osób bywało. W tej kawiarni i u Semadeniego prenumerowano pismo rosyjskie: „Gołos", który był z tego względu ciekawy, że zawierał sporo wiadomości o ruchu międzynarodowym, o którym cenzura warszawska pisać nie pozwalała. Czytywałem też organ urzędowy, „Dziennik Warszawski", wydawany wówczas jeszcze po polsku. Umieszczał on korespondencje z Paryża, z których można było coś niecoś dowiedzieć się o naszej emigracji i jej zabiegach, chociaż wszystko to w nikczemnem i zjadliwem świetle przedstawiano.

Gdybym miał możność, to chodziłbym dość często do teatru. który lubiłem i który był jedną z najmilszych dla mnie rozrywek. Tymczasem byłem wszystkiego cztery, a może pięć razy i to dwa razy tylko dlatego, że Minakowski obdarzył mnie bezpłatnymi biletami. Raz dał mi bilety na balkonie II piętra. Ofiarowywałem je Kułakowskiemu, lecz sam Kułakowski nie poszedł, prosił mnie tylko, bym towarzyszył jego żonie. Dawano „Piękną Helenę" Offenbacha, w której występowała, jako primadonna Dowiakowska. Opera ta, z powodu tej śpiewaczki i wogóle z powodu swej treści zdobyła wielką popularność w Warszawie. Ośmieszała ona monarchów, co trafiało do uczuć gnębionego absolutyzmem moskiewskim społeczeństwa. Zastanawiałem się nad tem, jak to demokratyzacja, pomimo wysiłków cenzury, wciąż odnajduje sobie drogi i wciąż się sączy do umysłów.

Widząc w „Kurjerze Warszawskim" ustawiczne ogłoszenie o baliku na ulicy Bednarskiej z wizerunkiem wirującej tancerki, powziąłem chętkę pójścia tam. Wstęp niewiele kosztował. Był to zwykły zamtuz, w którym wystrojone dziewczęta oczekiwały

przybycia mężczyzn. Przyszedłem za wcześnie, bo było jeszcze prawie pusto na sali, i jedna tylko młodziutka dziewczyna kręciła się po niej jakby warjatka. Powoli zaczynali przybywać mężczyźni. Przybył jakiś dobrze szpakowaty człowiek, nazywany przez dziewczęta radcą, który zachowywał się wobec nich brutalnie i pogardliwie. Patrzyłem na odbywające się tańce, gorszyłem się z głupich i brutalnych dowcipów, i wreszcie znudzony, poszedłem do domu.

Odmiennie wyglądały tak zwane komplety, czyli wieczorki tańcujące, urządzane przez nauczycieli tańców. Panowała tu wielka swoboda, ale nie wykraczała z granic przyzwoitości i form grzecznych. Byłem parę razy na takich kompletach i wyniosłem przyjemne z nich wrażenie.

Byłem też raz w Wielkiej Resursie na balu, urządzonym na jakiś cel dobroczynny. Nie mając nikogo ze znajomych, przesuwałem się z kąta w kąt, przypatrując się tańczącym i przechodzącym, a po kilku godzinach, spędzonych bez żadnych wesołości, wróciłem do swojej ubogiej stancyjki. Byłem jeszcze parę razy na zabawach urządzanych na cele dobroczynne w Ogrodzie Saskim. Raz nawet na loterji wygrałem jakąś francuską książkę.

Minakowski zaprowadził mnie kiedyś na zabawę ludową w Srebrnej Sali gdzieś w pobliżu Ogrodu Krasińskich. Sala duża jakby teatralna z lożami po bokach. Właśnie w jednej loży zasiedliśmy i przypatrywaliśmy się z góry zabawie. W sali był urządzony także bufet, a na estradzie grała muzyka. Tańcząca publiczność składała się z rzemieślników, robotników, dziewcząt służących i wogóle z ubogich zawodów. Co do ubiorów, wielka była mieszanina, chociaż widocznem było, że to ludność pracująca. Zwykłym tańcem był walc. Sami tancerze opłacali muzykę, więc za każdym razem robili składkę i oddawali ją muzykantom. Ci, chcąc zarobić, nie grywali długo, może z jakieś dziesięć minut, nie więcej. Wszyscy zachowywali się spokojnie, przyzwoicie. Takie wrażenie ta zabawa na mnie sprawiła.

Jakoś pod koniec zimy ku wiośnie spadł na mnie -- w mojem położeniu, zmuszającym do wielkiej oszczędności — ciężki kłopot. Pojawił się niespodzianie w mojej stancji Edward, syn Marcina Zaborowskiego, brata mego szwagra. Przybył on do Warszawy prawie bez grosza, poszukując jakiegoś zajęcia. Był.

to bardzo jeszcze młody chłopak, w gruncie niezły, ale nader słabego wykształcenia i już nieco pod względem narodowym zdemoralizowany. Był on poprzednio jakimś oficjalistą w Izabelinie — Inflantach polskich — na dworze Platerów. Tam w kole oficjalistów zaczęła już grasować niedrukowana nawpół pornograficzna literatura rosyjska, która nieokrzesanym chłopakom więcej się podobała od naszej patrjotycznej. Nie mogłem go pozostawić własnemu losowi. Zamieszkał więc u mnie, sypiał na podłodze na kupionym sienniku, okrywając się odzieżą Dzieliłem się z nim śniadaniem i wspierałem go nieco groszem. Poznajomiłem go z Minakowskim i jeszcze z paru osobami, ale do towarzystwa bardziej wykształconego nie odważałem się go wprowadzić. Starałem się o jakieś zajęcie dla niego, i szczęśliwie udało mnie się wyrobić mu posadę. Zwróciłem się do Zamoyskiego i ten przyjął go na oficjalistę w swych dobrach w Łomżyńskiem. Po kilku miesiącach wpadł on do Warszawy za jakimś interesem i odwiedził mnie. Był zadowolony ze swej posady. Opowiadał mi o dziwactwach Zamoyskiego, więc np. ze stacji kolejowej szedł pieszo do swego domu. Na krótszej drodze, którą przechodził, w strumieniu wezbrała silnie woda i przez zwykłą kładkę przejść nie można było. Włościanie, włościanki, których napotykał Zamoyski, zzuwali obuwie i brnęli przez wodę. Nie namyślając się długo i Zamoyski to samo uczynił. Włościanie z podziwem patrzyli na byłego swego dziedzica, który przecież w folwarku miał i konie i powóz.

Podczas tego pobytu w Warszawie, zrobiłem tylko dwie wycieczki poza stolicę. Nie dlatego, ażebym nie miał ochoty pojechać do Bielan, zwiedzić Marymont, poznać Saską Kępę, dokąd tłumy ludu się udawały, lecz jedynie dlatego, że środki moje pieniężne stawały temu na przeszkodzie. I te dwie wycieczki, które zrobiłem, były spowodowane wyjątkowemi okolicznościami.

Jakoś wiosną dość wczesną Klimowicz zaproponował pieszą wycieczkę do Wilanowa. Oświadczył, że potrzebną prowizję on ze sobą zabierze i że na wycieczkę tę poświęcimy dzień niedzielny. Chętnie się zgodziłem. Jak już powiedziałem, była to wiosna jeszcze wczesna i od wylewu Wisły jeszcze pozostawały łachy wodne. Dzień był piękny, pogodny, trochę błota na drodze nie utrudniało wiele naszej podróży. Szliśmy raźno, wesoło rozmawiając i rozglądając się po okolicy. Przyszedłszy do Wilanowa, Klimowicz skierował się ku jednej z lepszych chałup włościańskich; napiliśmy się mleka i nieco posilili. Zostawiwszy tam przyniesioną prowizję, poszliśmy zwiedzić pałac i park słynną niegdyś siedzibę Sobieskiego. Opisywać wyglądu komnat, galerji obrazów, ogrodu nie będę, gdyż mógłbym uczynić to tylko pod świeżem wrażeniem. Po zwiedzeniu pałacu, wróciliśmy do chałupy włościańskiej. Uderzył mnie wówczas ogromny kontrast pomiędzy świetnością pałacu, a nędzą chałupy, która jednak zewnętrznym wyglądem bardzo się wyróżniała wśród innych. Izba, natłoczona dziećmi, w której i cielę się znajdowało, z ubogiemi sprzętami, nader przykre robiła wrażenie. Posiliwszy się tam, złożywszy należną opłatę gospodyni, chodziliśmy nieco po okolicy i wreszcie prawdopodobnie koło godziny trzeciej albo może czwartej puściliśmy się w drogę powrotną do Warszawy. Nie szliśmy już tak raźno jak zrana, byliśmy bowiem dobrze zmęczeni, — gdy więc w połowie drogi nadjechał chłop, za niewielką opłatą, przysiedliśmy się na furę i dobrze już wieczorem przybyliśmy do stolicy.

Druga wycieczka była do Mińska, czyli też Nowomińska, a raczej w pobliże tego miasteczka, położonego o parę stacyj od Warszawy na drodze do Siedlec

Falkowski otrzymał posadę skarbnika w Starej Wsi, w dobrach Władysława Zamoyskiego, leżących w sąsiedztwie tego miasteczka. Zaprosił mnie do siebie na kilka dni, a równocześnie mieli być tam także Kułakowski i Kuncewicz.

Było to latem. Wziąłem miejsce w dyliżansie, kursującym pomiędzy Warszawą i Siedlcami. Na ostatniej stacji objaśniłem konduktora, że mam jechać do Mińska i uprosiłem go, by w odpowiedniem miejscu się zatrzymał, bym mógł wysiąść. Przy tej rozmowie poczęstowałem go wódką, a że do jedzenia nie było nic, prócz bułki, więc zakąsiliśmy kawałkiem chleba. Zabrawszy swój tłumok, siadłem na przodzie obok konduktora, który wysadził mnie w odpowiedniem miejscu. Wkrótce przybyłem do celu.

Spiesząc do dyliżansu, nie zjadłem obiadu w Warszawie, wlałem więc przy poczęstunku konduktora spory haust wódki do

próżnego żołądka. To wywołało silne działanie na organizm. Czułem się jakby omdlewający, czułem przytem głód, a w łopatkach jakby liczne mrówki biegały. Marzyłem o tem, by coś zjeść, położyć się, nieco się uspokoić, ale nie chciałem o tem mówić. Tymczasem z powodu wyjątkowych okoliczności wszystko się przewlekało. W przededniu bowiem mego przyjazdu był pożar w Mińsku i wiele osób pozostało bez dachu. Falkowscy dali u siebie chwilowy przytułek znacznej liczbie ofiar pożaru. Mieszkanie więc było przepełnione ludźmi i z tego powodu sama Falkowska miała sporo zatrudnienia. Dopiero wieczorem dano herbatę i jedzenie. Do tego czasu przebywałem wprost piekielne męczarnie. Skoro jednak zjadłem befsztyk, cierpienia jakby ręką odjął; wróciłem do stanu normalnego.

Gospodarstwo w majątku Zamoyskiego było wzorowe i nietyle dochody miało na celu, jak raczej danie przykładu innym dziedzicom rolnikom. Rozległe łąki pomiędzy Mińskiem i dworem były drenowane i irrygowane. W innych działach prowadzono również postępową gospodarkę.

Bawiłem u Falkowskich tydzień, a może nieco dłużej. Czas mijał przyjemnie, pogoda nam służyła i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie utrapienie z muchami. Wyznaczono mi pokoik, którego okno przylegało do obory. Nieprzeliczony więc rój much osiadał na oknie. Wprawdzie tylko nocowałem w tym pokoiku, ale i to wystarczało, ażeby muchy mnie zadręczały. Przybywszy na noc, musiałem pospiesznie gasić światło, bo już zaczynały się ruszać, a zrana pomimo opuszczonej story, skoro tylko świtać poczęło, obsiadały poduszkę i łaziły po twarzy, po głowie. Z powodu tych much zawsze wcześniej wstawałem i ubrawszy się wychodziłem na przechadzkę, lub w salonie czytałem i przeglądałem pisma, których było dość sporo u Falkowskich. Później gromadzili się inni. Codziennie zrana, przed podaniem herbaty, ja, Kułakowski i Kuncewicz chodziliśmy kąpać się do rzeczki, płynącej poza łąkami w dość znacznej od dworu odległości. Na tej rzeczce był młyn, a przed nim była zbudowana szluza, gromadziła się więc woda do znacznej wysokości. Tam więc kąpaliśmy się i następnie wracaliśmy przez łąki. Chwile te pozostawiły najprzyjemniejsze wrażenie. Wracając, dyskutowaliśmy o rozmaitych kwestjach. Wywiązywał się spór zacięty

chociaż niebolesny i nieprzykry. Zwykle spór ten odbywał się pomiędzy mną i Kuncewiczem, Kułakowski bywał niejako rozjemcą. Kuncewicz, człowiek wielkiego wykształcenia, gorący patrjota najlepszych chęci, lubił dyskusje i spory i chętnie przybierał ton drażniący, wyzywający, aczkolwiek bez złośliwej chęci dokuczenia. Jakkolwiek zbijał moje poglądy, to jednak kiedyś oświadczył poważnie, że nie przeminę bez śladu, bo posiadam materjał na reformatora.

I ja też miałem tę ambicję, by życie moje, nie upłynęło bez śladu w dziejach. Rwałem się więc do pracy politycznej i społecznej w szerszych rozmiarach i na większą skalę. W Warszawie działania polityczne i społeczne mogły być tylko spiskowe, a w ówczesnych warunkach umysły nie były do tego przysposobione. Przygnębienie, jako następstwo klęski powstania, było jeszcze silne, a przewrót w stosunkach włościaństwa nasuwał dawną zasadniczą dążność demokratyzacji. Dla nowej dążności trzeba było jeszcze pozyskać podłoże teoretyczne. Najbardziej usposobionymi do pracy politycznej mogli być ci, co brali już w niej udział, lecz ci byli na emigracji, albo świeżo wróciwszy z wygnania, zmuszeni byli starać się o środki do życia i, pozostając pod ciągłym nadzorem oka szpiegowskiego, czuli chwiejność gruntu pod nogami. Napotkałem wśród dawnych spiskowców tylko jednego, który okazywał gotowość rozpoczęcia niebezpiecznej pracy, ale i on wśród najlepszych swych przyjaciół nie znajdował odgłosu. Zdawali się mówić: jeszcze nie czas, trzeba czekać. Spotykałem go u Lei, i — o ile sobie przypomnieć mogę — nazywał się Wyszomirski. W czasie powstania był bardzo czynny. Miał on zakład wód mineralnych czy coś podobnego i u niego na dziedzińcu formowały się oddziały, które miały wyjść do powstania. Dostał się do więzienia i — mimo swego wieku młodego — w kilku dniach osiwiał. Szpiedzy mieli go ciągle na oku. Udało mu się jednak zmylić poszlaki i wyjść cało z rąk wrogów. Jemu to bardzo się podobała moja ocena Quinet'a — „Créations“ i w rozmowie z nim widziałem, że i we mnie odczuwał bunt przeciwko dobrowolnemu niewolnictwu. Porywałem się coś robić. Kiedy car miał przejeżdżać przez Warszawę, wrzuciłem do skrzynek pocztowych sporo listów anonimowych do różnych majstrów, zalecając im, by

wstrzymywali czeladź od wychodzenia na ulicę, ażeby tam, oprócz policji i wojska, jak najmniej ludzi było. U rzemieślników uczucie patrjotyczne było silne. Miałem kilka na to dowodów.

Królestwo zamieniano coraz bardziej na zwykłą rosyjską prowincję. Do administracji i do szkół wprowadzano język rosyjski. Szkołę Główną zamieniono na uniwersytet, w którym wykłady miały się odbywać w języku rosyjskim. Profesorom pozostawiono rok czasu do nauczenia się języka.

Rosjanie, urzędnicy i wojskowi, zachowywali się zuchwale, wyzywająco. Napastowali kobiety. Raz wuj Dmochowski, zauważył, jak kobieta broniła się przed napaścią oficera i, przywoławszy dorożkę, wsiadła do niej. Ale oficer, pomimo jej uporu, także chciał wsiąść do powozu. Wówczas wuj szybko się zbliżył, odtrącił oficera i kazał furmanowi jechać. Oficer rzucił się ku wujowi, lecz ten odsłonił pierś i pokazał krzyż Jerzego.

— Widzisz — rzekł do oficera — jestem także oficerem i mam krzyż Jerzego.

To poskutkowało, oficer coś mruknął, ale począł pośpiesznie uchodzić.

Ja nie miałem krzyża i musiałem miarkować gwałtowny poryw, jaki parokrotnie na widok brutalności moskiewskiej pchał mnie do ostrego wystąpienia. Było to niebezpieczne, gdyż mogło się skończyć ponownem wysłaniem do Rosji, jak to uczyniono z kilku osobami.

Moskwiczenie znajdowało usłużność w każdym urzędniczku Moskalu, w każdym niemal oficerku. Jeszcze nie nastąpiło było urzędowe przemianowanie miast polskich, a już urzędnicy dowolnie zmieniali nazwy. Wysyłałem kiedyś list polecony do Jędrzejowa. Jakiś młody urzędniczek z miną wyzywającą i głupim dowcipem, przekreślił tę nazwę i napisał po rosyjsku „Andrejew". Drugi raz w garkuchni nieco wyższego stopnia, bo cena obiadu wynosiła 25 kop. czyli 50 groszy, do stolika, przy którym obiadowałem, przysiadł się oficer i jakiś cywilny jegomość. Rozmawiali z sobą po rosyjsku, z wymowy jednak widać było, że jegomość cywilny nie był Moskalem. Oficer naśmiewał się z języka polskiego i wychwalał śpiewność rosyjskiego, który zdaniem, jego współzawodniczy co do piękności z włoskim. Cywilny mało się odzywał. Kiedy oficer w zapale recytował wyrazy rosyjskie jako wzór dźwięczności brzmienia, nie mogłem się powstrzymać od uwagi, że w języku czuchońskim (estońskim) jeszcze dźwięczniej brzmią wyrazy. Oficer spojrzał na mnie z taką złością, jakby chciał mnie aresztować.

Przytoczyłem te dwa przykłady, ażeby pokazać, z jak przykremi uczuciami podówczas w Warszawie trzeba się było oswajać. Trzeba było cierpliwie znosić swoje położenie niewolnicze

Cała Warszawa — mogę powiedzieć — przyjęła z radością wiadomość, że Francja wypowiedziała wojnę rządowi pruskiemu. Było to w drugiej połowie lipca. Nie wątpiono w zwycięstwa francuskie. Przed wyjściem „Kurjera Warszawskiego", tłoczono się w administracji, ażeby mieć jaknajprędzej numer gazety. Pierwszych dni sierpnia przyszła wiadomość o zwycięstwie francuskiem. Trzeba było widzieć, jaka radość zapanowała na ulicach. Wkrótce jednak nadeszła wiadomość, że Mac Mahon przegrał bitwę i cofa się. Nie chciano temu wierzyć, uważano to za podstęp wodza francuskiego. I ja należałem do wierzących w zwycięstwo francuskie. Wkrótce po wybuchu wojny postanowiłem starać się o paszport zagraniczny i wyjechać do Galicji w nadziei, że tam powezmę wiadomość o formowaniu się legjonu polskiego, do którego mógłbym się zaciągnąć.

Tymczasem klęski Francuzów następowały po klęskach. Wreszcie upadło cesarstwo, ogłoszono Rzeczypospolitę. Byłem teraz pewien, wspominając przeszłość dziejową, że się zerwie huragan rewolucyjny i wymiecie Niemców. Gorące staczałem spory na ten temat z Kuncewiczem, który twierdził, że Niemcy ostatecznie wezmą Paryż i owładną Francją. Utrzymywał to zawzięcie nie przez życzliwość dla Niemców, lecz przez złość ku Francuzom, że się dają pobić.

Zebrawszy pewną sumkę pieniędzy i mając świadectwo lekarskie, podpisane przez Zajączkowskiego, że stan mego zdrowia wymaga cieplejszego klimatu, podałem prośbę o wydanie mi paszportu zagranicznego. W tym względzie władze rosyjskie nie robiły byłym wygnańcom trudności, owszem zdawały się być zadowolone, że się pozbywają niepewnych żywiołów. Otrzymałem więc paszport i około połowy września wyjechałem z Warszawy.

PRZYPISY.

str. 13. Wydane dotychczas główne wspomnienia B. Limanowskiego 1) Ze wspomnień wygnańca. Dziennik lwowski. 1871 r. 2) Jaką drogą doszedłem do socjalizmu. Wyd. Socjalizm, demokracja, patrjotyzm. Kraków 1902 r. 3) Pierwsza manifestacja w Wilnie 1861 r. Księga zbiorowa w 40-tą rocznicę powstania styczniowego. Lwów 1903. str. 227—233 4) Wspomnienia z pobytu w Galicji. Wyd. Z pola walki. Londyn 1904 r. 5) Garść wspomnień z pobytu w Genewie. Kalendarz Rob. P. P. S. na r. 1922. Warszawa 1922 r. str. 82—87 6) Z moich wspomnień o narodzinach P. P. S. Wyd. Księga pamiątkowa P. P. S. W trzydziestą rocznicę. Warszawa 1923. str. 32—37.

str. 15. W gub. Kostromskiej, leżącej w dorzeczu górnej Wołgi, znajdują się wielkie lasy, zajmujące obszar połowy gubernii.

Podgórz (po łotewsku Zamkołny), majątek w pow. dyneburskim dawn. gub. witebskiej, na pograniczu z d. gub. kurlandzką, na prawym brzegu Dźwiny przy ujściu Sudry, — parafja indrycka.

Majątek ten nabyty od Platerów ok. 1820 r. przez Wincentego Limanowskiego miał obszaru 680 ha. Włączony do niego nieco później folwark Lajniki (ok. 50 ha) nabyty był od Gizbertów-Studnickich. Do Podgórza należały wsie Łukszynie i Truszela. Przy ostatecznym podziale spadku pozostałego po Wincentym Limanowskim koło r. 1880 między żyjących sukcesorów, wdową po Wincentym Katarzyną z Wysłouchów 1° voto Limanowską 2° voto Sawicką, trzech synów Bolesława, Lucjana i Józefa oraz córką Kamillą z Limanowskich Zaborowską — Podgórze przeszło na własność Lucjana, Jassy (por. Jassy) na własność Józefa, którzy spłacili pozostałych sukcesorów. Od 1918 r. Podgórze znajduje się na terytorjum Łotwy. W 1920 r. uległo ono wywłaszczeniu na rzecz reformy rolnej za wyjątkiem ośrodka (56 ha), który został przymusowo sprzedany ze względu na to, iż rodzina pozostała po Lucjanie (um. 1914 r.) posiadała obywatelstwo polskie.

str. 17. Indryca, wieś przylegająca do Podgórza z kościołem parafialnym św. Jana Chrzciciela. W Indrycy znajdował się kiedyś zamek kawalerów Mieczowych. Od wsi nazwa majątku Wielka Indryca (po łotewsku Leel Indryca) — własność do 1880 r. Broel. Platerów.

Jassy, pow. siebieski d. gub. witebskiej, nad rzeką Wielką i jeziorem tejże nazwy. Majątek (ok. 1500 ha), był od 1795 r. własnością Wysłouchów, skąd drogą dziedziczenia przeszedł do Limanow-

skich. Przy podziale masy spadkowej (por. Podgórz) stał się własnością Józefa Limanowskiego. (um. 1905 r.), — następnie jego rodziny. Obecnie Jassy znajdują się na terytorjum państwa sowieckiego.

str. 18. Prosfira — święcony chleb używany na hostję do mszy św. w obrządku wschodnim.

„ Komendarz = proboszcz

„ Druja (Druha), dawniej Sapieżyn, miasteczko w pow. dziśnieńskim, na lewym brzegu zach. Dźwiny przy ujściu do niej Drujki.

str. 20. Indra, rzeka, dopływ Dźwiny, stanowi granicę między powiatami dyneburskim, a drysieńskim, począwszy od wsi Mała Indryca do Dźwiny.

str. 28. Krasław, po łotewsku Kresława, miasteczko w Inflantach polskich pow. dyneburskim, nad Dźwiną, przy ujściu do niej Krasławki. Siedziba Broel — Platerów (linia krasławska).

str. 31. „Pielgrzym w Dobromilu“ Izabeli z Flemingów Czartoryskiej. Czasopismo „Biblioteka dla cztienija“, wychodziło w Petersburgu 1834—1865. Mikołaj Karamzin: Pisma russkago putieszestwiennika. (wyd. 1838 r.)

str. 35. O ks. Golminie pozostała tradycja, jako wielkim siłaczu. Gdy szedł na spacer podrzucał wielkie kamienie, jak piłki i kładł je koło drogi. Kościół w Indrycy był do reformacji kościołem katolickim. Platerowie zamienili go na zbór luterański, ale w r. 1695 zamieniono go znów na kościół katolicki. Od r. 1756—1776 zarządzali nim Jezuici. Ponieważ brakło im jednak kapłanów biegłych w jęz. łotewskim, musieli go oddać księżom świeckim.

str. 37. Szterenberg, po łotewsku Szterenbergis, wieś w pow. dyneburskim, (parafia Indryca) w r. 1863 własność Stanisława Gizberta—Studnickiego.

str. 46. Dryssa, miasto powiatowe w d. gub. witebskiej, przy ujściu rzeki Dryssy do zach. Dźwiny.

str. 49. Konstanty Kawelin (1818—1885) znany rosyjski prawnik i filozof. Należy jednak wątpić, czy był to ten sam Kawelin, kolega Aleksandra Limanowskiego, gdyż studja na Uniw. moskiewskim ukończył on w r. 1839. Później coprawda miał on wykłady na Uniw. mosk. (od r. 1844 do 1848), ale wiosną 1848 r. przeniósł się do Petersburga.

str. 50. Płaton Pogorielskij, dyrektor 3-go gimnazjum w Moskwie (ta i następne dane zostały stwierdzone na podstawie spisów urzędowych).

str. 51. Michał Kapustin, nauczyciel 3-go gimn. w Moskwie, potem prof. wydz. prawnego Uniw. mosk.

„ Karol Czermak, inspektor 3-go gimn. w Moskwie.

„ Piotr Pierelewskij, inspektor 3-go gimn. w Moskwie.

„ Franciszek i Albert Verdun, nadzorcy 3-go gimn. w Moskwie.

str. 52. Aleksander Smirnow, naucz. jęz. rosyjskiego 3-go gimn. w Moskwie.

„ Edward Rengarten, naucz. jęz. niemieckiego, 3-go gimn. w Moskwie.

„ Adolf Stori, naucz. jęz. francuskiego 3-go gimn. w Moskwie.

str. 53. Piotr Lektorskij, nauczyciel matematyki 3-go gimn. w Moskwie.

„ Leopold Klein, naucz. kaligrafji 3-go gimn. w Moskwie.

str. 54. Feliks Drzewiński, fizyk, prof. fizyki Uniw. wileńskiego. Po zamknięciu uniw. prof. Akad. Med. do 1841 r. Potem przenosi się do Moskwy. Tam umarł. Autor szeregu dzieł w swej specjalności.

str. 55. Pharamond, legendarna postać pierwszego króla francuskiego z rodu Merowingów. Istnienie jego nie znalazło potwierdzenia w źródłach.

str. 59. Aleksander Gedeonow (1790—1867) od r. 1833 dyrektor ces. teatrów petersburskich, a od r. 1847 dyrektor ces. teatrów obu stolic.

str. 62. Justus Liebig (1803—1873) znany niemieski chemik, prof. Uniw. w Giessen i w Monachjum.

„ Aleksander Ostrowski (1823—1886) wybitny komedjopisarz rosyjski.

„ Aleksy Pisiemski (1820—1881) znany powieściopisarz rosyjski.

„ Teodor Dostojewski (1821—1881) jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy rosyjskich.

str. 70. Jauza, rzeka w pow. moskiewskim, wpada do rzeki Moskwy.

str. 72. Guido Reni (1575—1642) słynny malarz włoski szkoły t. zw. bolońskiej.

str. 76. Walenty Korsz (1828—1893) ros. dziennikarz, historyk literatury, red. „Mosk. Wiedomostej“.

str. 77. Miasteczko Rosica,nad rzeką Rosicą i Perną (pow. drysieński).

„ Folwark Niemcy — pow. drysieński.

str. 78. Mateusz de Carnay, naucz. jęz. łacińskiego 3-go gimn. w Moskwie.

„ Borys Ordyński, naucz. jęz. greckiego 3-go gimn. w Moskwie.

„ Aleksander Sokołow, naucz. przyrody i fizyki 3-go gimn w Moskwie.

„ Wasyl Grywcow, naucz. historji 3-go gimn. w Moskwie.

str. 79. Sergjusz Smaragdow (ur. ? um. 1871), autor szeregu podręczników historji powszechnej (hist. staroż. wyd. 1840 r. średniowieczna w r. 1841, nowożytna w r. 1844). Autor pamiętnika twierdzi, że czytał Amadeusza Thierry o Merowingach. Było dwóch braci Thierry, Amadeusz (1797—1873), Augustyn (1795—1856), i obaj byli wybitnymi historykami francuskimi. W tym wypadku jednak autor zapewne ich pomieszał, gdyż Amadeusz zajmował się dziejami Rzymu i Galji, podczas gdy Augustyn był medjuwistą. Książka, którą Limanowski czytał w Moskwie była zapewne dziełem Augustyna Thierry p. t. „Récits des temps mérovingiens“, tłumaczonem zresztą na język rosyjski.

str. 79. Franciszek Guizot (1787—1874), znany polityk francuski z epoki Ludwika Filipa i wybitny historyk. Dzieło jego, które podówczas Limanowski czytał, nosiło tytuł: „Histoire générale de la civilisation en France“.

„ Abram Norow (1795—1869) — rosyjski polityk i pisarz. Od r. 1850

był pomocnikiem ministra oświaty, w latach 1854—1858 był ministrem oświaty.

„ Mikołaj Nowikow, naucz. historji 3-go gimn. w Moskwie.

str. 80. W spisach nauczycieli 3-go gimn. w Moskwie figuruje w okresie, kiedy Limanowski do szkoły tej uczęszczał, jako nauczyciel historji rosyjskiej Ilja Wasilkow. Możliwe, że w pamięci Limanowskiego utkwiło imię i skojarzyło się z nazwiskiem, tworząc nazwisko Ilgin czy Ilijaczew, co do którego pamiętnikarz ma sam wątpliwości.

„ Mikołaj Ustrjałow 1805—1870) historyk rosyjski, prof. uniw. petersb. W latach 1837—1841 wydał w 5 tomach historję Rosji, a w kilka lat później wydał dwa krótkie podręczniki dla szkół średnich.

„ Aleksander Pietrowskij, nauczyciel matematyki 3-go gimn. w Moskwie.

str. 81. Bolesław Trusow, nauczyciel matematyki 3-go gim. w Moskwie.

„ Aleksy Kolcow (1808—1842), wybitny pisarz rosyjski.

str. 82. Teodor Batalin, naucz. geografji 3-go gimn. w Moskwie.

„ Hieronim Gay, naucz, jęz. francuskiego 3-go gimn. w Moskwie.

str. 83. Fryderyk Caspari, naucz, jęz. niemieckiego 3-go gimn. w Moskwie.

str. 84. Należy przypuszczać, że autorem owej książki był nie kolega Limanowskiego, ale Aleksander Popow (1821—1877), znany historyk, specjalista dziejów wojny 1812 r.

str. 86. W r. 1852 została staraniem mosk. Towarzystwa Rolniczego zorganizowna w Moskwie wystawa rolnicza.

str. 88. Góry Worobjewy, o 2 wiorsty od Moskwy na prawym brzegu rzeki Moskwy. Stamtąd rozciąga się wspaniały widok na Moskwę.

„ Carycyno, miejscowość leżąca w gub. moskiewskiej. Ces. Katarzyna II zaczęła tam budować pałac w stylu gotyckim. Pałac ten nie został wykończony i pozostały tylko ruiny.

„ T. zw. Troicko — sergiejewska ławra znajduje się o 68 wiorst od Moskwy. Została ona założona w r. 1335.

str. 89. Do klasztoru tego uciekł ces. Piotr w obawie przed zabójcami. Stamtąd brał też pieniądze na prowadzenie wojen.

str. 91. Iwan Wernadskij (1821—1884) znany ros. ekonomista, w latach 1851—1856 był profesorem Uniwersytetu moskiewskiego.

„ Nikita Kryłow (1807—1879) prof. prawa rzymskiego Uniw. mosk. w latach 1835—1872.

„ Piotr Riedkin (1808—1891) znany ros. prawnik, który wykładał filozofję prawa w duchu heglowskim. Prof. encyklopedji prawa Uniw. mosk., w latach 1835—1848. Potem przeniósł się do Petersburga na stanowisko urzędowe przy ministrze Perowskim, w okresie studjów uniwersytetach Limanowskiego nie znajdował się już zatem w Moskwie.

„ Piotr Kudriawcew (1816—1858). Uczeń, zwolennik i przyjaciel Granowskiego. Prof. hist. średniowiecznej Uniw. mosk. Wykłady jego odznaczały się żywością uczuć i pełnością obrazów. Zmarł na suchoty. Dzieło Kudriawcewa, o którem wspomina autor, to książka p. t.: „Losy Włoch od upadku zachodniego cesarstwa rzymskiego do odbudowania go przez Karola“, wyd. w r. 1850.

str. 92. Paweł Leontjew (1822—1874) znany filozof i pedagog. Uczeń Schellinga. Od r. 1847 zajmował na Uniw. mosk. katedrę rzymskiej literatury i archeologji.

„ Timofiej Granowski (1813—1855). Prof. historji Uniw. mosk., wybitny ros. historyk. Wywierał olbrzymi wpływ na młodzież. Politycznie był liberałem, opozycyjnie usposobionym wobec rządu i występował przeciw idei słowianofilstwa.

„ Aleksander Armfeld (ur. 1806) od r. 1837 prof. medycyny sądowej, encyklopedji, metodologji, historji i literatury medycyny Uniw. mosk.

str. 93. Grzegorz Szezurowski (1803—1884) — geolog, prof. geologji i mineralogji Uniw. mosk.

„ Aleksander Fiszer — von Waldheim (1803—1884). Prof. botaniki Uniw. mosk.

„ Mikołaj Warneck (ur. 1823). Od r. 1860 prof. anatomji i fizjologji Uniw. mosk. — Zoologję na wydziale fizyko-matematycznym wykładał Karol Rule.

str. 94. Ludwik Siewruk (1806—1853). Prof. anatomji Uniw. mosk. Umarł on istotnie na rok przed wstąpieniem Limanowskiego na Uniw. mosk.

„ Iwan Sokołow, Prof. anatomji Uniw mosk.

„ Stefan Klimenkow (1805—1858) adjunkt Uniw. mosk.

„ Iwan Glebow (1806—1884). Prof. fizjologji i anatomji porównawczej Uniw. mosk.

str. 95. Założenie Uniwersytetu w Moskwie zostało postanowione w r. 1754 za czasu pobytu dworu cesarskiego w tem mieście na podstawie projektu opracowanego przez Szuwałowa przy pomocy Łomonosowa. Oficjalne otwarcie uczelni nastąpiło 12 stycznia st. st. 1755 r. Stuletnia rocznica przypadła zatem na styczeń 1855 r.

str. 97. Bitwa pod Borodinem dnia 7 września 1812 r.

str. 108. Ta podróż koleją z Gatczyny do Petersburga jest prawdopodobną. W r. 1851 zapadło postanowienie budowy linji kolejowej petersbursko-warszawskiej. Wojna krymska opóźniła jednak wykonanie tego zamiaru i zdołano w tym czasie zbudować tylko jeden odcinek tej linji, długości 42 wiorsty, właśnie od Gatczyny do Petersburga.

„ Opisy Petersburga pióra Mickiewicza, o których wspomina autor, znajdują się w „Dziadach“.

str. 109. Kościół katolicki na Newskim Prospekcie, o którym tu mowa, to kościół Św. Katarzyny.

„ Sobór Isakijewski nie znajduje się na Newskim Prospekcie, ale na placu Isakijewskim.

str. 110. Linja kolejowa petersbursko-moskiewska została wykończona w r. 1851.

str. 111. Franciszek Magendie (1783—1855), wybitny fizjolog franc. autor szeregu dzieł w tej dziedzinie.
„ Marja Jan Piotr Flourens (1794—1867), znany i wybitny fizjolog franc. autor wielu dzieł naukowych w swej specjalności.
str. 112. August Comte (1798—1857) znany filozof i socjolog, twórca filozofji pozytywistycznej. Wywarł znaczny wpływ na Limanowskiego.
„ Albert Schäffle (ur. 1831) wybitny niem. ekonomista i socjolog. Główne jego dzieło socjologiczne nosi tytuł: „Bau und Leben des sozialen Körpers."
str. 113. Henryk Giwartowski (1816—1884) prof. farmacji, farmakologji i chemji med. Uniw. mosk.
„ Mikiłaj Laskowski (zm. 1893) agronom, docent gospodarstwa wiejskiego Unw. mosk.
„ Aleksy Połunin (ur. 1820) prof, patol. — anat. Uniw. mosk.
str. 114. Mikołaj Toporow, prof. patologji, terapji i psychjatrji. Uniw. mosk.
„ Wasyl Basow (1812—1880) prof. teoryt. chirurgji i oftalmiatrji Uniw. mosk.
str. 115. Mikołaj Anke (ur. 1803) prof. farmakologji, ogólnej terapji i toksykologji.
„ Fryderyk Oesterlen (1812—1877) austrj. uczony z dziedziny medy-
„ czyny, przez pewien czas prof. Uniw. w Dorpacie. Pozostawił po sobie szereg dzieł z dziedziny medycyny i m. i. farmakologji.
str. 116. Kornel Młodziejowski (1818—1865). Od 1848 r. adjunkt kliniki tarapeutycznej Uniw.mosk., od 1854 prof. patologji i terapji tegoż uniw. od 1863 r. dyr. kliniki.
„ Aleksander Overt (1804—1864), syn emigranta franc., znany lekarz moskiewski, prof. djagnostyki Uniw. mosk.
str. 117. Koronacja Aleksandra II nastąpiła dnia 26 sierpnia st. st. 1856 r.
str. 120. Mikołaj Dobrolubow (1836—1861), jeden z najwybitniejszych rosyjskich publicystów i krytyków kierunku liberalnego. Wywierał olbrzymi wpływ na młodzież i społeczeństwo.
„ „Sowremiennik" miesięcznik literacko-polityczny, założony przez Puszkina i wychodzący od r. 1836.
str. 123. Piotr Tiernowskij (1798—1874) duchowny prawosławny, prof. hist cerkiewnej Uniw. mosk.
str. 129. Teodor Inoziemcew (1802—1869), wybitny lekarz moskiewski, od r. 1835 prof. chirurgji oper. i dyrektor kliniki chirurg. Uniw. mosk.
str. 130. Aleksander Razćwietow (1823—1902), asystent kliniki chirurgicznej Uniw. mosk., a potem kolejno adjunkt, docent i profesor tejże uczelni.
str. 132. Ignacy Trzaskowski (1834—1874). Ukończył w Moskwie medycynę, potem lekarzem w Szatach, pow. wiłkomierskiego. W 1863 walczy w oddziale Sierakowskiego i w bitwie pod Birżami dostał się do niewoli. Siedzi w Wilnie. Skazany na 5 lat ciężkich robót, wysłany do

Usolu do warzelni soli. Osiedlenie potem w Czeremchowie pod Irkuckiem, od 1870 w Irkucku, gdzie jest lekarzem.
str. 133. Jan Świda. Ur. 1835. Gimn. w Słucku. Medycyna w Moskwie. Zagraniczne studja, Wiedeń, Praga, Paryż, Berlin. W czasie powst. naczelnik pow. borysowskiego. Aresztowany w lutym 1864. Skazany na śmierć, zamiana na 12 lat katorgi. Zesłany do Usola. Od 1868 w Irkucku — jako lekarz. Od r. 1874 w Wilnie.
str. 134. Dominik Bociarski (1836—1913) Szkoły w Telszach, Szawlach i Wilnie. Uniw. w Moskwie, wydział prawny. W lutym 1863 uwięziony, zesłany do obw. Omskiego, ale został w Tobolsku, potem w gub. penzeńskiej. 1868 wraca do Warszawy. Potem w Petersb. pomocnik adw. Spasowicza, od r. 1876 w Kownie adwokatem.
„ Bolesław Dłuski (1829—1905) Gimn. w Wilnie, za spisek jako 14 letni chłopiec zesłany do służby wojsk. na Kaukazie. Studja malarskie w Petersburgu, medyczne w Moskwie. Udział w powstaniu zwłaszcza bitwa pod Popielanami. We Francji i Anglji żyje z rysunków. Obywatelem angielskim. Przenosi się do Krakowa.
str. 135. Autor ma chyba na myśli filozofa i etnografa Jana Karłowicza (1836—1903). Mieryk Karłowicz bowiem należy do późniejszej epoki.
„ Było dwóch braci Barszewów, obaj wybitni kryminolodzy W tym wypadku chodzi autorowi o Sergjusza Barszewa (1808—1882), prof. prawa karnego Uniw. mosk., później rektora.
str. 136. Jakób Gieysztor: Pamiętniki z lat 1857—1865. Wilno 1921. W I tomie str. 359—362 znajduje się list Dr. Kazimierza Jaworowskiego z Kowna.
str. 139. Autor ma zapewne na myśli gazetę „Polarnaja Zwiezda" wyd. w Londynie od 1855 r. przez Ogarewa i Hercena.
str. 141. Akademja medyko-chirurgiczna w Warszawie została otwarta 1 października 1857 r. Prezydentem był Cycuryn.
str. 145. Pod nazwą „Syn Otieczestwa" wychodziły kolejno dwa czasopisma nie mające z sobą nic wspólnego. Najpierw pod tym tytułem ukazywała się w Petersburgu gazeta historyczno-polityczna w latach 1812—1852. Później zaś tytuł ten przyjął tygodnik polityczno-literacki wychodzący w Petersburgu w latach 1856—1861. W tym wypadku chodzi naturalnie o to drugie pismo.
str. 147. Werro, miasto powiatowe w gub. inflanckiej.
str. 149. Rudolf Buchheim (ur. 1820) lekarz i chemik, prof. farmakologji, dietetyki i hist. medycyny Uniw. dorpackiego.
str. 150. Karol Rufus Wiktor Weyrich (1819—1876) prof. i dyrektor kliniki chorób wewn. Uniw. dorpac. od r 1860.
„ Ludwik Strümpel, niem. profesor i pedagog. Ur. 1812 r. Uczeń filozofa Herbarta. Prof. Uniw. dorp., a potem w Lipsku.
str. 151. Jan Adolf Oppmann (1836—1903). Był potem pastorem w Łowiczu.
„ August Karol Diehl (1837—1908) pastor i kaznodzieja, superintendent kościoła ewang. reformowanego w kr. Polskim.

str. 159. Edmund Chojecki (1822—1898), literat polsko-franc., pseudonim francuski Charles Edmond.

„ Aleksander Niewiarowski (1825—1892), literat, pseudonim Al. Półkozic.

str. 162. Jerzy Adelman ur. 1811, lekarz w ks. Hessen, od r. 1841 prof. chirurgji Uniw. dorp.

str. 163. Fryderyk Chrystjan Neue (1797—1886) filozof niemiecki, prof. hist. staroż., literatury, filozofji i pedagogji Uniw. dorp.

str. 164. Jezioro Pejpus, inaczej Czudzkie lub Czuchońskie, liczy 3087 wiorst kwadr. rozległości i leży w pow. dorpackim, w gub. petersburskiej, gub. estońskiej, gub. pskowskiej i w pow. werroskim. Wiele wysp.

str. 169. Jan Kanty Gregorowicz (1818—1890) — autor artykułów w czasop. rolniczych, red. Gaz. Rolniczej, a potem Gaz. Codziennej. Limanowski ma zapewne na myśli jego „Obrazki wiejskie" i „Zarysy wiejskie" (2 tomy, 1854).

„ Józef Strumiłło (1774—1847). Ogrodnik. Szereg dzieł, „Ogrody północne" 3 tomy — 7 wydań. Rocznik ogrodniczy. Pszczelnictwo ogrodnicze i. i.

str. 178. Warnowicze, majątek w pow. iłuksztańskim, do gub. kurlandzkiej.

str. 182. Wiosną 1859 r. doszło do zatargu w świeżo założonej Akademji medyko-chirurgicznej w Warszawie. Władze wprowadziły przymus egzaminów podlekarskich na przejściu z 2-go na 3-ci kurs. Młodzież rozpoczęła solidarną walkę, udała się do prez. Cycuryna, a gdy ten odmówił zmiany tego przepisu, wniosła masowo podania o zwolnienie z Akademji. Nastąpiły aresztowania i represje. Wtedy część młodzieży załamała się. Skończyło się wydaleniem szeregu słuchaczy.

str. 183. „Wiadomości Polskie" wyd. w Paryżu przez Klaczkę, Kalinkę i Wrotnowskiego w latach 1857—1861.

„ Juljan Klaczko wydał w r. 1859 w Paryżu broszurę p. t. „Katechizm rycerski" przeciw Mierosławskiemu.

str. 197. Siostry te nazywały się Fastykowskie Izabella i Serafina. W pamięci pamiętnikarza utkwiło imię „Serafina" i przekształciło się w nazwisko „Serafinowicz" (patrz przypisy do str. 80)

str. 200. hr. Aleksander Suworow, ks. italijski, wnuk feldmarszałka, od 1848 do 1861 r. gen.—gub. gub. liflandzkiej, estlandzkiej i kurlandzkiej.

str. 211. Zatoka Kurońska (Kurisches Haff). Labiawa, miasto powiatowe regencji królewskiej, leży nad lewym brzegiem rzeki Dejmy, o 3 kilometry od ujścia jej do zatoki Kurońskiej. Wobec burzliwości zatoki przeprowadzono z Dejmy kanał 18 kilom. długi, zwany Wielkim Fryderykowskim (Gr. Friedrich Graben).

str. 213. W r. 1859 w ręce prez. policji w Poznaniu Baerensprunga wpadła odezwa „Ludu Polskiego" z Londynu. Baerensprung odezwę tę przedrukował i rozesłał do szeregu obywateli poznańskich, a następnie wszedł pod podstawionymi nazwiskami w kontakt z organizacją londyńską, rzekomo w imieniu analogicznej organizacji poznańskiej i skłonił Londyn do przysłania do Poznania emisarjusza Majewskiego, którego następnie kazał aresztować. Ta prowokacja znalazła głośne echo w sejmie.

str. 217. Bolesław Limanowski: Ludwik Mierosławski. Światło. Londyn. 1900 str. 49—62. Bolesław Limanowski: Szermierze wolności. Kraków, 1911 Ludwik Mierosławski str. 203—243.

„ Adolf Franck (1809—1893) filozof spirytualista francuski. Od r. 1856 profesor Collège de France.

„ Henryk Józef Leon Baudrillart (1821—1892) — franc. ekonomista.

str. 219. Józef Wacław Fric (1829—1890) dramaturg i bajkopisarz czeski: publicysta i polityk. Czynny udział w rewol. 1848 r. W 1849 w spisku Bakunina. Więziony i internowany 1854—1858. Potem przebywa w Paryżu.

str. 220. Jan Kurzyna (1835—1865) wybitny uczestnik ruchu narodowego w latach 1859—1864., sekr. Mierosławskiego. Był słuchaczem Akad. med.-chirurgicznej w Warszawie i tam zapewne poznał brata autora pamiętników. Tłumaczy to w jaki sposób bracia Limanowscy znaleźli się łatwo w Paryżu w kole osób zbliżonych do Kurzyny.

str. 221. Jan Ledóchowski (1791—1864) działacz polityczny w Paryżu, członek Tow. Demokr., wydawca pism Mierosławskiego.

„ Franciszek Grzymała (1790—1871) — publicysta, zmarł w Paryżu na emigracji.

„ Seweryn Elżanowski (1821—1874) działacz emigracyjny, red. „Przegląd Rzeczy Polskich". Zmarł w Paryżu.

„ Antoni Gorecki (1787—1861), bajkopisarz.

„ „Przegląd Rzeczy Polskich", pismo emigr., wyd. w Paryżu, reprezentujące kierunek czerwonych. Wychodzi 1857—1863, poczem zamknięte przez rząd francuski.

str. 223. Jan Nepomuncen Janowski (1803—1888) publicysta, red. „Gazety Polskiej", jeden z założycieli Tow. Demokr.

str. 225. Zygmunt Sarnecki (1837—1922) komedjopisarz, literat, dyrektor teatrów. Wyd. w 1888—1894 w Krakowie „Świat", pismo poświęcone sztuce.

str. 227. Edward Żeligowski (1820—1864) pseud. Antoni Sowa, autor fantazji dramatycznej „Jordan" (1846 r.), poeta.

str. 232. January Filipowicz (1815—1869) pedagog, prof. w Wilnie.

str. 235. Znane krwawe wypadki w Warszawie w czasie których padło pięciu zabitych, nastąpiły 27 lutego 1861 r.

str. 246. Paweł Muchanow, jako dyrektor Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, podsunął namiestnikowi Gorczakowowi cyrkularz, polecający chłopom łapanie podejrzanych, który wywołał oburzenie. Dnia 25 marca 1861 r. Gorczakow wyjednał dla Muchanowa dymisję i rozkaz natychmiastowego opuszczenia Warszawy. Po drodze na wszystkich stacjach żegnano go kocią muzyką.

str. 253. Izborsk, wieś w pow. pskowskim.
„ Benedykt Dybowski drukował wspomnienia p. t. „Przed pół wie- kiem“ w „Biblj. Warsz.“ z r. 1908 i z r. 1911. W r. 1913 wyszły we Lwowie jego „Wspomnienia z przeszłości półwiekowej“ wyda- ne przez rodzinę.
str. 255. A. Bieleckij: Sbornik dokumentow muzeja Grafa M. N. Murawje- wa T. I. Wilno 1906.
str. 256. Jerzy Brynk — rozwijał działalność spiskową w gub. grodzieńskiej. W lutym 1839 r. został skazany na ciężkie roboty w Syberji.
str. 257. Jakób Gieysztor w swych pamiętnikach (j. w.) twierdzi, że Jeleński mający z nim wspólną sprawę, przyznał się i jego oskarżył, potem w czasie wspólnej jazdy na Sybir, wnosił upokarzające prośby o ułaskawienie, a w stosunku do swej rodziny był egoistą. np. kazał żonie z sobą jechać, choć pragnęła zostać z dziećmi.
str. 263. Jerzy Laskarys (1828—1888) — pisarz i poeta, autor szeregu opowia- dań, poezji i książek dla młodzieży. Uczestnik powstania 1863 r. po- tem zagranicą i po 10 latach wraca do kraju.
str. 265. Włodzimierz Nazimow I, gen.-piechoty, Wojenny gubern. wileński.
str. 275. Adolf Chodźko był lekarzem powiatowym w Pinedze, gub. archan- gielskiej. Chodźko wyjechał do Pinegi.
str. 277. Mikołaj Arandarenko, gubernator archangielski.
str. 278. Władysław Goryniewski, był kierownikiem kancelarji gub w Ar- changielsku.
str. 281. Porfiry Szwecow, sprawnik powiatowy w Mezeniu.
str. 283. Aleksander Żardecki, t. zw. prystaw w Mezeniu.
str. 291. „Gazeta Polska“ — przekształtowana w r. 1861 z dawnej „Gazety Codziennej“. Po wybuchu powstania redaktorem J. I. Kraszewski.
str. 292. Marjan Dubiecki (1838—1926). Sekretarz Rządu Nar. za powstania styczniowego. Zesłany do Rosji. Historyk.
str. 294. Stefan Prugawin, inspektor szkół powszechnych okręgu chołmogór- skiego.
str. 301. Autor ma prawdopodobnie na myśli Pawła Kruzensterna, wiceadmi- rała, zmarłego w r. 1881, który ułożył mapę kraju pieczorskiego, stanowiącego część gub. archangielskiej.
„ Malica — ciepła odzież ludów północnych, sporządzona ze skóry reniferów, włosem do wewnątrz.
„ Pimy — długie, miękkie buty ze skóry reniferów, włosem z zewnątrz.
str. 304. Chodźko był istotnie podówczas lekarzem w Pinedze i twierdzenie poprzednie autora, że nigdy go już nie spotkał, okazuje się nieścisłe
str. 306. Romuald Podbereski, wydawca czasopism w Petersburgu i Wilnie, jak „Rocznik liter“. (1843, 1844, 1846) „Pamiętnik nauk. i liter.“ (1849—1850).
str. 308. Antoni Chacewicz, radca rządu guber. w Archangielsku.
str. 311. Jan Tomasz Rocquancourt (1792—1871) Prof. w St. Cyr. Szkoły wojskowej. Autor m. i. „Cours complet d'art et d'histoire militaire.“

str. 315. Fryderyk Bieliński, nauczyciel przyrody gimnazjum w Archangielsku.
str. 319. Leopold Lubowidzki, prezes Izby dóbr państw. w Archangielsku.
str. 320. Zapewne ów ks. Juwenalis jest indentyczny z kapelanem ks. Juwena lisem z Łomży, który w r. 1860 wysłany został do fortecy w Dy- neburgu.
str. 321. Paweł Czubiński (1839—1884). Etnograf. w r. 1862 został zesłany do gub. archangielskiej. Do r. 1869 tam w służbie urzędniczej ko- lejno jako sekr. komitetu statyst., redaktor „Gub. Wiadom.“ i urzęd- nik dla specj. poruczeń. Uczestniczy następnie w szeregu ekspedycyj naukowych. Od r. 1876 w Petersb.jako urzędnik Min. Komunikacji
str. 223. Czubiński wiecegubernatorem faktycznie nie był.
str. 327. „Sowremiennoje Słowo“, pismo codzien. wych. w Petersb. od r. 1862.
„ „Oczerki“ pismo codzienne polit.—literackie, wyd. w Petersburgu. w r. 1863 pod redakcją A. N. Oczkina, a właściwie Jelisejewa.
str. 329. Stanisław Chomiński, gen.—major wojska ros., gen.—gubernator, gub. wołogodzkiej.
„ Ustsysolsk — miasto powiatowe gub. wołogodzkiej na wysokim brzegu lewym rzeki Sysoły.
„ Sołombała, przedmieście m. Archangielska na wyspie leżącej w dal- cie rzeki półn. Dźwiny. Do r. 1862 był tam port wojskowy. po- tem zniesiony.
str. 334. Wicegubernator archangielski Michał Strachowski.
str. 336. Gubernator archangielski Mikołaj Harting.
str. 337. Policmajster m. Archangielska Jakób Sztutcer.
str. 339. Prokurator gub. archang. Emiljan Nagułła.
str. 341. Sędzia śledczy w Archangielsku Daniło Łotyszew.
str. 342. W czasopiśmie „Otieczestwiennyja Zapiski“ przekład „Pana Ta- deusza“ dokonany przez Mikołaja Berga, ukazywał się w r. 1862 i w r. 1870.
„ Autor ma zapewne na myśli Jakóba Makarenko, prezesa Izby Kryminalnej w Archangielsku.
str. 347. W gimnazjach rosyjskich w owych czasach było dwóch nauczycie- li noszących nazwisko Stronin 1) Aleksander Stronin, naucz. historji gimn. w Połtawie i 2) Piotr Stronin, naucz. rosyjskiego w gim. cher- sońskim, w późniejszych latach dyrektor gimn. w Częstochowie.
str. 354. Chodzi o marymoncki instytut agronomiczny, zał. 1818 r. Istnieje do r. 1863, poczem włączony do Instytutu w Puławach.
str. 362. baron Karol de Talleyrand — Perigord, został w r. 1864 akredyto- wany, jako ambasador Francji w Rosji.
str. 363. Michał Łomonosow (1711—1765) znany poeta i wybitny uczony (fi- zyka, chemja i. i.)
str. 364. Dominik Poźniak, lekarz gub. w Archangielsku.
„ Chlestakow, bohater „Rewizora z Petersburga“ Gogola.
str. 365. Maurycy Horodyski, dr. med., inspektor lekarski w Archangielsku.
str. 366. Jerzy Karstens, lekarz miejski w Archangielsku.

„ Lekarzami gubernjalnymi byli Maurycy Horodyski, Aleksander Zatwornicki i Jan Sztern.
str. 368. Aleksy Kaznaczejew, gub. archangielski.
str. 369. Aleksy Suworyn (ur. 1834) znany dziennikarz rosyjski. „Gołos" pismo codzienne polityczno-literackie wych. w Petersburgu od r. 1863 r.
str. 375. Henryk Wołodźko, lekarz miejski w Kargopolu.
str. 377. pułk. Onufry Czengiery, dowódca pułku smoleńskiego piechoty ros.
str. 389. Prawdopodobnie był to Aleksander Szłykow, który w kilka lat potem był sprawnikiem policji powiatowej w Niźniediewickie, również mieście powiatowym gub. woroneskiej.
str. 409. Józef Komisarow dnia 4 kwietnia st. st. 1866 w czasie zamachu Karazakowa na cara Aleksandra II uderzył wykonawcę zamachu w rękę i udaremnił przez to zamach.
str. 410. Teodor Trepow, gen. major, oberpolicmajster petersburski.
str. 415. Witold Jodko Narkiewicz (1834—1898) lekarz, okulista w Warszawie, docent Szk. Głównej (1862—1869), ordyn. Inst. Oftolm. Szereg prac. Witold Jodko-Narkiewicz, syn. (1864—1924) pseud. A. Wroński, działacz P. P. S. — szereg broszur polit. Poseł w Konstantynopolu.
str. 416. Józef Krzywicki (1838—1900), geograf. Jeden z redaktorów „Słown. Geogr. Kr. Polsk.
„ Emilji Leja z Milkuszyców (1839—1906) — pisarka dla dzieci i ludu, pisma religijne, powieści, dzieła popularne.
„ Joachim Antoni Szyc (1824—1896) W latach 1848—49 w powstaniu węgierskiem, potem na Syberji do 1853, po 1863 zesłany do Szenkurska. Napisał „Geografję dawnej Polski" ‚Legjony polskie na Węgrzech" 1850 i in.
str. 420. Stosław Łaguna (1833—1900) historyk i prawnik, 1859—1861. prof. prawa admin. w Petersb. Za udział w powstaniu 1863 r. zesłany. Od r. 1877 współredaktor Ateneum.
str. 421. Cezaryna z Suchockich Falkowska — autorka dzieł dla dzieci z lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.
str. 424. Gałęzów, folwark, kolonja i wieś nad rzeką Gałęzówką, gmina Bychawa, pow. lubelski.
„ Bychawa, osada miejska w pow. lubelskim.
str. 427. Wola Gałęzowska, folwark i wieś, gm. Bychawa, pow. lubelski.
str. 428. Sobieska Wola, folwark i wieś. w. pow. Konstantynowskim. Konstanty Goniewski — autor dramatu Konarski, Poznań 1883, i innych. Przekład Don Karlosa.
str. 429. Zofja Kowerska z Przewłockich (1848—1929). Prace pedag., powieści, dla młodzieży.
str. 434. Franciszek Krupiński, ksiądz Pijar, częściowo heglista, ale i empiryk. szereg dzieł i tłumaczeń.
„ Jan Zacharjasiewicz, ur. 1825. Zaczyna pisać w latach 50-tych. Jest wtedy radykalnym pisarzem. W dalszej działalności pisze powieści o tendencjach antyruskich i występujące przeciw germanizatorom.
„ Walerja Marrenè-Morzkowska — w r. 1857 rozpoczęła działalność literacką, szereg powieści i studjów literackich.
str. 435. Władysław Koziebrodzki (1839—1893) Autor szeregu lekkich salonowych komedji.
str. 436. Zygmunt Noskowski (1846—1849) uczeń Moniuszki, prof. Warsz. Tow. Muz., kapelmistrz filharmonji, dyrygent opery. Autor szeregu symfonji i in. utworów muzycznych.
str. 437. Żabno, wieś w gm. Turobin, pow. Krasnostawskiego.
str. 438. W Radecznicy, pow. zamojskiego w r. 1869 został zlikwidowany kościół i klasztor katolicki i zamieniony na cerkiew.
str. 448. Autora zawiodła pamięć. Majątek Tyzenhauza, zwał się Horodnica, Horodenka.
str. 453. Ignacy Radliński (1843—1920) orjentalista i religjolog.
str. 455. Gustaw Ehrenberg (1818—1895) ludowiec i spiskowiec, poeta i dziennikarz. W 1840 zesłany na Sybir. W 1858 wraca do Warszawy. Bibljotekarz bibl. Zamojskich.
str. 459. Franciszek Salezy Dmochowski (1801—1871) autor wierszy oryg. i tłumaczeń poetów franc. Redaktor szeregu pism. Studja literackie, powieści, książki dla dzieci i in.
str. 463. Pisarz, o którym autor wspomina nazywa się Antoni Bądzkiewicz. (1831—1893) — pedagog i historyk literatury. Wydał mł in. „Teorję poezji w związku z jej historją" (1867 I wyd.) i o tej to książce zapewne pisze autor.
str. 469. Szkoła Główna istniała w latach 1862—1869.

SKOROWIDZ

SPIS ROZDZIAŁÓW